



WOJNA  
I MIŁOŚĆ  
*Katarzyna i Igor*

JOLANTA MARIA KALETA



JOLANTA MARIA KALETA

WOJNA  
I MIŁOŚĆ  
*Katarzyna i Igor*



OTWARTE

KRAKÓW 2019

*„Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona  
godzina na wszystkie sprawy pod niebem: jest czas  
rodzenia i czas umierania, [...] czas miłowania  
i czas nienawiści, czas wojny i czas pokoju”.*

Księga Koheleta 3, 1–2. 8

## Niezbędnik historyczny

Decyzje kongresu wiedeńskiego z 1815 roku, kończącego okres wojen napoleońskich, ustanowiły nowy ład w Europie na blisko sto lat. Głos decydujący należał do pogromców Napoleona – Rosji, Austrii, Anglii i Prus. Teoretycznie władcy tych państw kierowali się trzema zasadami: restauracji, co w praktyce oznaczało powrót na tron znienawidzonych przez poddanych monarchów; legitymizmu, czyli nienaruszalności prawa dynastii do tronu, co w praktyce oznaczało odebranie narodom pozbawionym własnych państw prawa do ich odzyskania; oraz równowagi sił, co w praktyce oznaczało dążenie do zdobycia przewagi nad pozostałymi państwami.

Na mocy decyzji kongresu – „tańczącego kongresu”, jak kpili niektórzy – w miejsce Księstwa Warszawskiego powołano do życia Królestwo Polskie połączone unią personalną z Rosją, co w konsekwencji świadczyło o braku pełnej samodzielności politycznej nowego tworu politycznego. Z Krakowa i okolic utworzono Wolne Miasto Kraków. Pozostałe ziemie polskie, które znajdowały się pod zaborami, swego statusu zasadniczo nie zmieniły.

Na straży decyzji kongresu stanęło Święte Przymierze, powołane do życia przez Austrię, Prusy i Rosję, zaborców ziem polskich. I to właśnie sprawa Polski ów sojusz cementowała najmocniej – oprócz dążenia do izolacji Francji oraz hamowania wszelkich prądów narodowowyzwoleńczych i rewolucyjnych.

Wkrótce okazało się, że wieczysty pokój jest fikcją, a konflikty pomiędzy mocarstwami i pozostałymi państwami Europy przybierają na sile. Nie udało się także zahamować ruchów narodowych, co zaowocowało zjednoczeniem Włoch w 1861 roku, utworzeniem dualistycznej monarchii austro-węgierskiej w 1867 roku i zjednoczeniem Niemiec przez Prusy w 1871 roku. Na ziemiach polskich natomiast doszło najpierw do wybuchu powstania listopadowego w 1830 roku, zakończonego klęską, w wyniku czego ograniczono odrębność Królestwa Polskiego, znosząc konstytucję i armię. W 1863 roku wybuchło powstanie styczniowe, którego klęska doprowadziła do odebrania resztek odrębności politycznej Królestwu Polskiemu. Jego ziemie jako Kraj Nadwiślański, podzielone na gubernie, weszły w skład Rosji, językiem urzędowym stał się język rosyjski, a władzę sprawowali generałowie-gubernatorzy.

Poczynając od zakończenia wojny francusko-pruskiej w 1871 roku, w Europie nastąpiła *la belle époque* – piękna epoka, czas spokoju, rozwoju gospodarczego i postępu technicznego. To wówczas wynaleziono telefon, samochód i samolot. Powstało i upowszechniało się kino. W tym też czasie zaczęła się rozwijać świadomość klasy robotniczej, co zaowocowało narodzinami partii socjalistycznych i rewolucyjnych. Pierwsza wojna światowa nie tylko przerwała ten okres dobrobytu, lecz także zmiotła z powierzchni ziemi trzy wielkie mocarstwa, które ponosiły odpowiedzialność za jej wybuch.

Czynnikami, które doprowadziły do wybuchu Wielkiej Wojny, były wzrost współzawodnictwa mocarstw, nasilenie się nacjonalizmów i polityka imperialna. Zgodnie z nią mocarstwa dążyły do zwiększenia swych posiadłości zamorskich oraz poszerzenia terytoriów kosztem słabnących sąsiadów, wywołując na przełomie XIX i XX wieku nowe konflikty. Dla ówczesnych mocarstw imperialnych sprawa uzyskania przewagi gospodarczej i militarnej stanowiła kwestię kluczową. Tak prowadzona polityka sprzyjała rodzeniu się roszczeń terytorialnych i wyścigowi zbrojeń. Francji zależało na rewanżu za klęskę w wojnie 1870–1871 oraz odzyskaniu Alzacji i Lotaryngii. Rosja dążyła do zwiększenia swych wpływów na Bałkanach oraz do swobodnego przepływu przez cieśniny Bosfor i Dardanele. Niemcy, od

momentu zjednoczenia, parły do nowego podziału kolonialnego świata, co zagrażało Wielkiej Brytanii. Były państwem najlepiej przygotowanym do wojny i najbardziej nią zainteresowanym. Terenem europejskim, gdzie ścierały się wpływy mocarstw, były Bałkany, od lat sfera dominacji Austro-Węgier. Tam też zrodził się ruch nacjonalistyczny, mający na celu zjednoczenie Słowian południowych pod przewodnictwem Serbii, popieranej przez Rosję.

Pierwszą oznaką zbliżającej się wojny było powstanie dwóch wrogich sobie sojuszy militarno-wojskowych: trójprzymierza (1882), zawartego między Niemcami, Austro-Węgrami i Włochami, oraz trójporozumienia, zwanego inaczej *entente cordiale*, które kształtowało się w latach 1892–1907 między Francją, Rosją i Anglią. Kolejny krok przybliżający świat do konfliktu zbrojnego stanowiły międzynarodowe kryzysy: w Maroku i na Bałkanach. Kryzys bałkański zaowocował wybuchem dwóch wojen bałkańskich (1912–1913), w których wzięły udział Bułgaria, Grecja, Czarnogóra, Serbia, Rumunia i Turcja. Zmieniły one Bałkany zarówno w sensie politycznym, jak i terytorialnym. Na znaczeniu straciła Turcja, a Serbia, popierana przez Rosję, zaostrzyła politykę antyhabsburską. Niemcy czuły się zatem zobowiązane do popierania Austro-Węgier. Ten stale gotujący się „kocioł bałkański” stał się bezpośrednią przyczyną wybuchu pierwszej wojny światowej. 28 czerwca 1914 roku Gavrilo Princip, członek jednej z tajnych organizacji niepodległościowych działających w Serbii, dokonał udanego zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcę tronu Austro-Węgier. Wystosowane wobec Serbii austro-węgierskie ultimatum wywołało ogólnoeuropejski kryzys dyplomatyczny, który wobec braku dobrej woli, aby go rozwiązać, doprowadził do wybuchu wojny.

Polacy, którzy wówczas własnego państwa nie posiadali, właśnie w konflikcie trzech zaborców upatrywali szansę na odzyskanie niepodległości. Po okresie pozytywistycznej pracy u podstaw oraz pracy organicznej nastąpił powrót do marzeń o zbrojnym zrzućeniu jarzma zaborów. Coraz częściej na ustach Polaków pojawiały się słowa wieszcz, Adama Mickiewicza, napisane po klęsce powstania listopadowego, wciąż aktualne:

*Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników,*

*wygnańców i pielgrzymów polskich.*

*Wybaw nas, Panie.*

*O wojnę powszechną za wolność ludów!*

*Prosimy Cię, Panie.*

*O broń i orły narodowe.*

*Prosimy Cię, Panie.*

*O śmierć szczęśliwą na polu bitwy.*

*Prosimy Cię, Panie.*

*O grób dla kości naszych w ziemi naszej.*

*Prosimy Cię, Panie.*

*O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej.*

*Prosimy Cię, Panie.*

*W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.*

*Amen.*

*Adam Mickiewicz, Litania pielgrzymska*

## **Główni bohaterowie powieści**

### **Rodzina Jaxa-Raweckich z Porętowa:**

*Andrzej Jaxa-Rawecki, senior rodu, lat siedemdziesiąt trzy, właściciel folwarku w Porętowie*

*Apolonia z Krzysztoforskich, jego żona, młodsza o pięć lat, przez wnuki zwana babcią Polą*

*Urszula, ich starsza córka, zwana Lalą, siostra zakonna u krakowskich albertynek*

*Ewelina, ich młodsza córka, poślubiona Sewerynowi Baranowskiemu, mieszkająca z nim w majątku ziemskim na Wołyniu*

### **Rodzina Jaxa-Raweckich z Miechowa:**

*Paweł, najstarszy syn Andrzeja i Apolonii, właściciel zakładu introligatorskiego i księgarni w Miechowie*

*Agnieszka, z domu Maciejewska, jego żona*

*Cezary, ich najstarszy syn, wydany z Królestwa Polskiego przez władze carskie, przebywa we Lwowie*

*Wiktor, młodszy syn, po skończeniu nauki służy w armii carskiej*

*Katarzyna, ich jedyna córka, ukończyła gimnazjum tuż przed wybuchem Wielkiej Wojny*

*Albin, najmłodszy z rodzeństwa, uczeń gimnazjum, lat szesnaście*

### **Rodzina Jaxa-Raweckich z Kielc:**

*Leopold, młodszy syn Andrzeja i Apolonii, komisarz do spraw włościańskich w urzędzie w Kielcach*

*Elżbieta, z domu Kowalkow, Rosjanka, jego żona, zwana Lizą*

*Daria, ich córka, w chwili wybuchu wojny mająca szesnaście lat*

*Jerzy, zwany Jurą, ich starszy syn, uczeń kieleckiego gimnazjum*

*Mikołaj, zwany Kolą, najmłodszy z rodzeństwa, także uczeń gimnazjum w Kielcach*

### **Rodzina hrabiów Kaledinów z Sołowiejki:**

*Piotr Iwanowicz Kaledin, Rosjanin, generał w stanie spoczynku*

*Tamara Grigoriewna, z domu Tuaszwili, Gruzinka, jego żona*

*Igor, ich pierworodny syn, porucznik w pułku dragonów stacjonujących w Miechowie*

*Piotr i Paweł, bliźniacy, ich młodszy synowie, uczniowie gimnazjum*

## **Postaci historyczne występujące w powieści**

### **Polacy:**

*Józef Piłsudski (1867–1935) – działacz niepodległościowy, twórca Organizacji Bojowej PPS, Związku Walki Czynnej i Polskiej Organizacji Wojskowej, komendant główny Związków Strzeleckich, organizator Pierwszej Kompanii Kadrowej, dowódca I Brygady Legionów Polskich, Naczelnik Państwa (1918–1922), pierwszy marszałek Polski (1920), inicjator przewrotu majowego w 1926 roku i przywódca sanacji, dwukrotny premier rządu polskiego, Generalny*



*Inspektor Sił Zbrojnych (1926–1935).*

*Władysław Belina-Prażmowski (1888-1938) – członek Związku Walki Czynnej oraz Związku Strzeleckiego, oficer Legionów Polskich, organizator i dowódca 1. Pułku Ułanów Polskich, tak zwanych beliniaków, uczestnik walk Legionów Polskich z Rosją, prezydent Krakowa w latach 1931–1933, wojewoda lwowski (1933–1937).*

*Zbigniew Dunin-Wąsowicz (1882–1915) – zawodowy oficer w armii austro-węgierskiej do 1912 roku, związany z ruchem strzeleckim, dowódca 2. dywizjonu kawalerii w II Brygadzie Legionów Polskich, uczestnik walk na Bukowinie i we wschodniej Małopolsce, 13 czerwca 1915 roku prowadził słynną szarżę kawalerii pod Rokitną, gdzie poległ.*

*Bolesław Mościcki (1877–1918) – oficer w armii carskiej, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej, podczas wojny dowódca 1. Zaamurskiego Pułku Kawalerii, od lipca 1917 roku dowódca 1. Pułku Ułanów, dowodził zwycięską bitwą z Niemcami pod Krechowcami, zginął z rąk bolszewików w lutym 1918 roku.*

*Roman Damian Sanguszko (1832–1917) – potomek magnackiego rodu książęcego, wywodzącego się od Giedymina, ordynat zasławski, właściciel majątku ziemskiego w Sławucie, kolekcjoner dzieł sztuki, twórca rodzinnego archiwum, rozwinął hodowlę koni arabskich pełnej krwi, zakładał młyny, tartaki, gorzelnie, cegielnie itd. Zginął z rąk zrewoltowanych żołnierzy 1 listopada 1917 roku.*

*Jaxa z Miechowa, zwany także jako Jaxa Gryfita (1120–1176) – możnowładca małopolski, którego pochodzenie nie jest dokładnie znane, w 1162 roku brał udział w wyprawie krzyżowej do Ziemi Świętej. Po powrocie ufundował klasztor Bożogrobców w Miechowie, który do rangi bazyliki mniejszej Grobu Pańskiego podniósł papież Jan Paweł II w 1996 roku.*

*Oraz: Augustyn Łosiński, biskup kielecki; Stygar, burmistrz Stanisławowa; Karol Trzaska-Durski, generał, komendant Legionów Polskich z ramienia Austro-Węgier; Tadeusz Ostrowski-Oster; Zofia Zawiszanka.*

### **Anglicy:**

*Sir George William Buchanan – od 1910 roku ambasador Wielkiej Brytanii w Rosji, zaprzyjaźniony z carem Mikołajem II, usiłował przekonać go do przeprowadzenia liberalnych reform. Podczas wojny ostrzegał też rosyjską Dumę, że Niemcy, poprzez niczego nieświadomą carową Aleksandrę, nastawiają cara przeciwko aliantom.*

*Sir Samuel Hoare – od 1916 roku oficer łącznikowy MI6, wkrótce szef brytyjskiej misji wywiadowczej w Rosji w stopniu podpułkownika. Zarówno w prasie brytyjskiej, jak i w Rosji po zabójstwie Rasputina pojawiły się pogłoski, jakoby brytyjczycy agenci byli odpowiedzialni za jego śmierć. Sir Hoare stanowczo zaprzeczył, ale to on poinformował rząd brytyjski o zamachu, pisząc w notatce, że „było to w orgii, w której Rasputin spotkał swoją śmierć”. Jednak w archiwach MI6 nie znaleziono żadnego dokumentu, który potwierdzałby pogłoski o udziale czy inspiracji Brytyjczyków.*

*Oswald Rayner – agent MI6 w Rosji podczas pierwszej wojny światowej, przyjaciel księcia Feliksa Jusupowa od czasu studiów na Uniwersytecie Oksfordzkim. Po śmierci Rasputina chwalił się, że był świadkiem morderstwa. Przetłumaczył na język angielski dwie książki autorstwa Jusupowa, opisujące kulisy zbrodni.*

### **Rosjanie:**

*Aleksiej Aleksiejewicz Brusilow – rosyjski generał, jeden z najwybitniejszych dowódców rosyjskich. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej objął dowództwo 8. Armii. Od 1916 roku dowódca Frontu Południowo-Zachodniego. Zaplanował śmiałą koncepcję ofensywy, którą*

przeprowadził latem 1916 roku, jednakże nie zdołał osiągnąć głównego celu, jakim było wyeliminowanie Austro-Węgier z wojny. Na niepowodzenie złożyło się szereg przyczyn, między innymi brak współdziałania z pozostałymi Frontami, a nawet niechęć samego cara.

Aleksander Wasiliewicz Samsonow – rosyjski generał dowodzący 2. Armią, która w pierwszych dniach wojny, zanim mobilizacja dobiegła końca, wspólnie z 1. Armią generała Rennekampa brała udział w operacji wschodniopruskiej. Po początkowych sukcesach dzięki znacznej przewadze liczebnej na skutek braku porozumienia i współdziałania pomiędzy głównodowodzącymi Niemcy otoczyli armię generała Samsonowa pod Tannenbergiem, zadając jej druzgocącą klęskę. Sam generał oraz niedobitki jego armii wydostali się z okrążenia, jednakże podczas odwrotu Samsonow zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Dla Niemców zwycięstwo miało duże znaczenie propagandowe: bitwę pod Grunwaldem (1410) nazywają oni pierwszą bitwą pod Tannenbergiem, ta druga zaś, z 1914 roku, okazała się dla nich zwycięska.

Grigorij Jefimowicz Rasputin – urodzony we wsi Pokrowskoje w guberni tobolskiej na Syberii rosyjski chłop, w którego życiorysie istnieje wiele niejasności i przekłamań. Podawał się za mnicha, jasnowiedza i uzdrowiciela, dzięki czemu wkradł się w łaski rodziny carskiej. Wkrótce stał się najbardziej wpływową osobą na dworze. Zyskał sobie wielu wielbicieli, zwłaszcza wśród kobiet, także tych pochodzących z arystokracji. Ale miał jeszcze więcej przeciwników, zdających sobie sprawę, jak zgubny wpływ wywierał na decyzje podejmowane przez cara Mikołaja II. Okoliczności jego śmierci też pozostawiają wiele pytań bez odpowiedzi, a jej wersji jest kilka.

Feliks Feliksowicz Jusupow – wywodzący się z najbogatszego w Rosji rodu, arystokrata, książę, ożeniony z krewną cara Mikołaja II, zamieszany w zabójstwo Rasputina, którego dokonano w jego palacu w Petersburgu.

Oraz: Dymitr Pawłowicz Romanow, wielki książę; Aleksander Protopopow, minister spraw wewnętrznych; Włodzimierz Puryszkiewicz, deputowany do Dumy; oraz Stanisław Łazawert, lekarz wojskowy.

Do skonstruowania osobowości niektórych bohaterów powieści swoich życiorysów użyczyły następujące postaci:

Wiktor Dzierżykraj-Stokalski

Rotmistrz Konstanty Plisowski

Nestor Iwanowicz Machno

Edward Webersfeld

Do napisania powieści zainspirowały mnie dzieje miłości Wasyla Kality i Katarzyny Niepielskiej, pradziadków mego męża.

**Katarzyna**

**Część pierwsza**  
**Cisza przed burzą**

## Rozdział 1

Katarzyna nerwowo przetrząsała zawartość przepastnych szuflad komody. Z uwagi na skąpe światło gasnącego dnia, które z trudem oświetlało jej pokój, nie należało to do rzeczy najłatwiejszych. Na domiar złego z głębi domu docierały do niej odgłosy pośpiesznej krzątania, skrzypienie otwieranych szaf, trzaskanie drzwiami, jakieś głośniejsze od czasu do czasu rzucone słowo, świadczące o przygotowaniach rodziny do wyjazdu, co tylko potęgowało desperację dziewczyny. Wkrótce na podłodze zaczęła lądować wyrzucana z szuflad bielizna, powiązane w pary pończochy, halki, koronkowe czepki i haftowane lejbiki, a pilnie poszukiwanego przedmiotu jak nie było, tak nie było.

– No gdzież się on, do diabła, zawieruszył? – mamrotała pod nosem bliska płaczu. – Przecież dobrze pamiętam, że go tutaj schowałam. Czyżby ta wścibska Gabryśka podkraǳła?

Nagle na korytarzu dały się słyszeć drobne, szybkie kroki. Zanim drzwi gwałtownie się otworzyły, znaleziony w ostatniej chwili przewiązany czerwoną wstążeczką niewielki przedmiot zdążył zniknąć w kurczowo zaciśniętej dłoni Katarzyny. W szeroko otwartych drzwiach stanęła dojrzała, lecz ze śladami dawnej urody na twarzy, szczupła i niewysoka kobieta. Na sobie miała karakułowe futro, spod którego wystawała długa, sięgająca kostek, ciepła spódnica. Jasne włosy uczesane w kok okrywał ciepły szal, owinięty szczelnie wokół szyi. Zaskoczonym spojrzeniem obrzuciła zastygłą w bezruchu dziewczynę. W jej rozsypanych na ramionach płowych włosach, skręconych w spirale loków, wpadające przez okno promyki słońca zaśniły złotą aureolą jak na obrazach przedstawiających świętych męczenników.

– Kasiu, dziecko moje – odezwała się surowym tonem, gdy otrząsnęła się z dziwnego wrażenia, jakie na niej wywarł widok córki. – Co ty wyprawiasz? – Wymownym spojrzeniem obrzuciła porozrzucaną po całym pokoju bieliznę.

– Klamra do włosów mi się zawieruszyła – odparła Katarzyna, uciekając spojrzeniem w bok. Nie umiała kłamać na zawołanie, ale powiedzieć prawdy nie mogła pod żadnym pozorem. – Ale już znalazłam.

– No to, na miłość boską, dlaczego stoisz jak słup soli?! – strofowała ją matka. – Ojciec i twoi bracia już dawno czekają przy saniach. Chyba nie chcesz, abyśmy się przez ciebie spóźnili na wieczerzę wigilijną?

– Ależ ja jestem gotowa, mamusiu – odparła z uśmiechem, całkowicie już opanowana. – Tylko palto włożę i możemy jechać.

Katarzyna, skończywszy na wiosnę siedemnaście lat, poczuła się już osobą dorosłą, choć jej rodzice, Agnieszka i Paweł Jaxa-Rawecy, byli całkowicie odmiennego zdania. Zwłaszcza ojciec, właściciel zakładu introligatorskiego i księgarni w Miechowie, ubolewał nad brakiem stateczności u swojej córki. „Jeszcze toto płoche i wcale do zamążpójścia się jej nie spieszy!” – zwykł mawiać, gdy Józef Koziński, właściciel apteki na rogu rynku i Krakowskiej, nagabywał go, czy nie zechciałby oddać córki jego synowi, Ksaweremu. Paweł utwierdzał się w tym przekonaniu, widząc, jak jego Kasienka zamiast do kościoła czy ze służącą na targ po zakupy, jedną ręką unosząc suknię, aby się nie powalała w błocie zalegającym na ulicy, drugą przytrzymując na głowie kapelusik, biegła do sklepu Hany Rubiki przy rynku po nowe koronki potrzebne do przystrojenia bluzeczki. W niczym nie przypomina swej matki, kobiety bogobojnej i statecznej, myślał nieraz zawiedziony. Musiał jednak w duchu przyznać, że w sklepie z galanterią, należącym do Izraela Jamy, a mieszczącym się po sąsiedzku z introligatornią, jego córka skutecznie potrafiła się wyklócać o cenę upatrzonych drobiazgów.

Jednego wszak nie wiedział: że właśnie nie dalej jak w zeszłym tygodniu kupiła tam jakiś drobiazg, na który wydała wszystkie zaoszczędzone pieniądze.

– Tylko niech pan nic nie mówi mojemu papie – poprosiła, uśmiechając się przymilnie.

Choć Izrael Jama zaliczał się do osób wiekowych, których wdzięki kobiecie nic a nic nie wzruszają, nie potrafił się oprzeć czarowi, jaki rzucała Katarzyna, kiedy się uśmiechnęła. Wówczas w jej policzkach pojawiały się dwa słodkie dołeczki. Uroku dodawała jej burza jasnych loków, które uparcie wymykały się spod spinek i grzebieni, nie dając się ułożyć w modny kok na czubku głowy. Nawet związane w węzeł na karku już po godzinie rozsypywały się jej na plecy i ramiona. Choć matka Katarzyny miała podobne włosy, jakoś potrafiła wziąć je w karby i gładko uczesać.

– Pewno ma być to gwiazdkowy prezent dla jaśnie wielmożnego pana Raweckiego? – zgadywał Jama, zaglądając Katarzynie w oczy. Chyba siódmym zmysłem dostrzegł w nich skrywany głęboko na dnie smutek, o którym Katarzyna sama jeszcze nie wiedziała.

– Raczej nie – bąknęła speszona i poczuła oblewający ją rumieniec. – Poproszę jeszcze o tę klamrę do włosów – na wszelki wypadek szybko zmieniła temat, aby Jama przestał ją ciągnąć za język.

Kiedy ponaglana przez matkę wzięła ciepłe botki i włożyła zimowy płaszcz ozdobiony futrzanym kołnierzem, Rawecy w końcu mogli załadować się do głębokich sań, które miały ich zawieźć do Porętowa, do dziadka Andrzeja i babci Apolonii, nazywanej przez wszystkich Połą. Odkąd Katarzyna sięgała pamięcią, tam zawsze spędzali wigilię. Siedząc w saniach, opatulona baranią skórą, raz po raz sprawdzała ręką, czy aby nie zgubiła wciśniętego do kieszeni palta drobiazgu. Była tak przejęta, że nawet nie czuła tęgiego mrozu, który chwycił już na Świętego Andrzeja i nie miał zamiaru puścić. W kilka dni skuł lodem Miechówkę, rzeczkę płynącą na zachód od Miechowa, miasteczka rozlokowanego na wzgórzu, pośród pól i łąk Wyżyny Miechowskiej. Również dzwon stojącego w centrum Miechowa kościoła Grobu Bożego zdawał się ciszej wybijać godziny i wołać wiernych na nabożeństwa, jakby mu serce zamarzło. Co noc tęgi mróz ozdabiał szyby okien kwiatami z lodu, który Katarzyna wraz ze swoim młodszym bratem Albinem wyskrobywali paznokciami, aby oglądać spieszących Bóg wie dokąd przechodniów, okutanych w baranie kozuchy, ciepłe wełniane chusty lub kosztowne futra – na co kogo było stać.

– Ale śniegu w tym roku napadało. Od lat nie pamiętam takiej ostrej zimy. Czy my w ogóle mamy radę dojechać do rodziców? – denerwował się jak zwykle Paweł, ubrany w ciepłą szubę. Z niepokojem spoglądał na biały puch, który grubą warstwą pokrył dachy niskich kamieniczek rozlokowanych przy rynku i przyległych uliczkach, opatulił domy luźno rozrzucone na przedmieściach, niczym puszysty dywan rozłożył się na drogach, jeszcze nie tak dawno rozmiękłych i błotnistych od jesiennych deszczy, a nawet wyciszył główny trakt, wiodący przez centrum miasteczka: na północ do Kielc, a na południe do Krakowa. – Dachy aż się uginają pod ciężarem śniegu.

– Oj, Paweł! – fuknęła Agnieszka i z dezaprobatą pokręciła głową. Jaki ten mój mąż strachliwy, pomyślała. – Przecież to tylko trzy wiorsty, więc śniegu tam tyle samo co i u nas, a drogę dawno ubiły chłopskie furmanki.

Na chwilę zapadła cisza przerywana prychaniem koni zaprzęzonych do sań i głuchym stukotem kopyt po ubitym śniegu. Gdy wjechali na rynek, Agnieszce z daleka rzuciła się w oczy wysoka wieża kościoła Grobu Bożego, zwieńczona kopułą o kształcie globusa, cała zasypana śniegiem. Wygląda, jakby ktoś nałożył na nią czapę z białego futra, przyszło jej na myśl.

– Gdyby zrealizowano ten pomysł z posągami Chrystusa – odezwała się sceptycznie, nie spuszczając oczu z kopuły – to pod tym ciężarem wszystko by teraz legło w gruzach.

– No, jak ty już coś powiesz! – obruszył się Paweł, który zaliczał się do zwolenników odlania z brązu figury, choć w czasach, kiedy owa idea się zrodziła, był zaledwie dziesięcioletnim wyrostkiem. Pamiętał, że bez żalu na ten zbożny cel oddał wówczas wszystkie zebrane w skarbonce kopiejki. Ale do realizacji projektu nie doszło, nawet nie wiadomo, z jakiego powodu. Od tamtego czasu dysponował znacznie większym dochodem, który przynosił mu nie tylko zakład na rogu Krakowskiej i Bóżnickiej, ale również puszczone w dzierżawę trzydzieści mórg ziemi, leżące na obrzeżach miasta, odziedziczone po dziadku ze strony matki. – Gadasz głupoty jak ten cały, pożałuj się Boże, dziennikarzyna, jak mu tam... – udawał, że nie pamięta.

– Bolesław Prus, tatusiu – odruchowo podrzuciła Katarzyna, choć rozmowie rodziców przysłuchiwała się bez zainteresowania. Z uwagą rozglądała się wokoło, jakby miała nadzieję kogoś ujrzeć pomiędzy spóźnionymi przechodniami spieszącymi do domów.

– No właśnie, Prus. – Paweł skrzywił się z niesmakiem. – Może też przynasz mu rację, że szpitala nie należało pobudować? – zżymał się, jak zawsze, gdy ktoś miał odmienne zdanie niż on. – Przez te jego farmazony wypisywane w gazecie dróg nam nie wyrzutowano i nadal w błocie grzęźniemy! Śmiał o nas napisać: „kapuściane miasteczko”! To on ma głowę kapuścianą, ot co!

Z nieznanym miechowianom przyczyn młody felietonista i pisarz nie darzył ich miasteczka sympatią, więc raz po raz jakieś złośliwości na jego temat w warszawskiej prasie zamieszczał.

Albin z odrobiną zazdrości spoglądał na dzieciarnię, która zdzierała często i tak już zdarte zelówki butów, ślizgając się po lodzie, w który w mig się zamieniała rozchlapywana z beczek woda, rozwożona po mieście przez woźniaków. Jemu ojciec nie pozwalał na zabawę z „ulicznikami”, jak nazywał dzieci miejscowej biedoty, zwłaszcza tej żydowskiej, co Albinowi nie przeszkadzało robić tego bez jego wiedzy i zgody. Nim rok minie, odważy się na znacznie większe nieposłuszeństwo.

Jeszcze nie zdążyli minąć cmentarza, gdy nagle od strony pola ćwiczeń, znajdującego się na Poradowskich Wzgórzach, pobrzękując szablami, nadjechał szwadron dragonów stacjonujących w koszarach przy Wolbromskiej. Ponad setka dorodnych koni, wszystkie karej maści, głucho tętniła kopytami po ubitym śniegu, a z ich rozdętych nozdrzy buchały obłoki białej pary. Ubrani w czarne mundury dragoni, w czarnych kaskach, ozdobionych białym pióropuszem biegnącym od ucha do ucha, wszyscy wysocy i dobrze zbudowani, prezentowali się okazale i groźnie zarazem. Katarzyna zamarła i odniosła wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej gardłem.

Siedzący na kozle Wiktor, starszy brat Katarzyny, który z okazji świąt dostał urlop i przyjechał z Warszawy, gdzie pełnił służbę w elitarnym Ułańskim Pułku Lejb-Gwardii, z zainteresowaniem spoglądał na wracających do koszar żołnierzy.

– Który to pułk teraz stacjonuje w Miechowie? – spytał, odwracając głowę w stronę siedzących w saniach rodziców i rodzeństwa. Zdziwiła go bladość twarzy Katarzyny.

– Ten co zawsze – pospieszyła z odpowiedzią i przez chwilę spoglądała za znikającym w oddali szwadronem dragonów. – 45. Jamburgski Pułk Dragonów. Pan Jama tak mówił ostatnio, a Żydzi się na tym znają, bo z nimi handlują – dorzuciła, czując na sobie badawcze spojrzenie ojca.

Paweł jednak już na jej słowa nie zwrócił uwagi. Nagle przyszło mu do głowy, że chyba zapomniał zabrać z zakładu modlitewnik, który osobiście oprawił w cielecą skórę i umieścił po wierzchu złocene litery, układające się w ozdobny napis: „Bóg, nadzieja nasza”. Książeczka miała być prezentem gwiazdkowym dla Katarzyny. Dla chłopców przygotował koperty z gotówką, aby uczyli się gospodarować własnymi pieniędzmi. Miał przy tym płonąć, jak się

miało okazać, nadzieję, że zawarta w owym modlitewniku mądrość Boża utemperuje płochy charakter jego latorośli. Szybko zrobił w myślach „rachunek sumienia”. Gdy zegar na wieży wybił południe, wyliczał w pamięci, odginając po kolei palce: sprawdziłem, czy robota zaplanowana na dziś została wykonana, później wręczyłem każdemu pracownikowi po parę kopiejek w prezencie gwiazdkowym i na koniec pogasiłem lampy. W tym momencie sobie uświadomił, że modlitewnik wsunął do kieszeni surduta. Szybciutko namacał go ręką. Jest, odetchnął z ulgą.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, ciesząc się na wieczór spędzony w domu swego dzieciństwa, w towarzystwie rodziców oraz brata z rodziną, mocno przygarnął żonę do siebie, a nawet ją pocałował w policzek, co często mu się nie zdarzało. Agnieszka obrzuciła go nieco zaskoczonym spojrzeniem, ale nie skomentowała zachowania męża. Ona prawie zdążyła zapomnieć o gorącym uczuciu, które ich połączyło, gdy pierwszy raz skrzyżowały się ich spojrzenia. Miało to miejsce wiele lat temu, w mijanym właśnie kościele Bożogrobców. Paweł służył wówczas do mszy i jak się później dowiedziała, rodzice planowali oddać go do seminarium duchownego. Te kilka minut, kiedy patrzyli sobie w oczy, wystarczyło, aby stracił całe powołanie. Kiedy skończył edukację, wzięli ślub, a po roku przyszedł na świat ich pierworodny, któremu na chrzcie dano imię Cezary.

Od dziecka sprawiał kłopoty. Ząbkował boleśnie, budząc wszystkich domowników głośnym płaczem, zaczął mówić bardzo wcześnie, zamęczając rodzinę i niańkę setkami pytań. Jako trzyletni brzdąc podczas wizyty u dziadków stłukł cenną wazę chińską z kolekcji babci Poli. W szkole elementarnej wbił koledze stalówkę w nos, na innego napluł, kolejnego zaś kopnął w przyrodzenie, tylko dlatego, że byli Rosjanami.

– Bóg nas karze, że nie jemu poświęciłeś życie, tylko mnie – szlochała Agnieszka, nie dając już sobie rady. Tym bardziej że na świat przychodziły kolejne dzieci: Wiktor, Katarzyna i na końcu Albin.

– Nie opowiadaj głupot, Agnieszko – strofował ją Paweł. – Na co Bogu taki grzesznik jak ja, o słabej wierze? Wszyscy pierworodni sprawiają kłopoty – tłumaczył z pełnym przekonaniem do swoich racji. – Przecież to na nich rodzice się uczą wychowywać swoje pociechy. Jak pójdzie do gimnazjum, to się ustatkuje.

Jednak później było już tylko gorzej. Cezary uczył się w kilku szkołach średnich: w Kielcach, Marianopolu i Piotrkowie Trybunalskim, z każdej wydalany za wrogi stosunek do carskich władz szkolnych. Jakby tego było mało, ledwie ukończył gimnazjum, został socjalistą. Gdy sprawa się wydała, został aresztowany, a następnie wydalony z Imperium Rosyjskiego do Galicji, co niemal przyprawiło Pawła o atak serca, a Agnieszka na jakiś czas popadła w melancholię. Tylko dziadek Andrzej na wieść, że Cezary wstąpił do Strzelców, podkreślając zawadiacko wąsa, mawiał: „Zuch chłopak! Moja krew! Takich synów Polska potrzebuje!”.

Jakby tego było mało, drugi syn, Wiktor, ukończywszy gimnazjum realne, zgłosił się do służby wojskowej jako jednoroczny ochotnik, a później zdał egzamin do szkoły oficerskiej. Paweł i Agnieszka, początkowo byli temu przeciwni, jednak w obawie, że kolejny syn opuści ojczystą ziemię, ulegli. „Jak już chce służyć w wojsku – oznajmił pewnego dnia Paweł – to już lepiej, żeby służył w naszym”. Czyli rosyjskim. Później tej decyzji gorzko pożałują, ale wówczas na wszystko będzie już za późno.

Paweł za taki stan rzeczy obwiniał swego ojca, Andrzeja, który od najmłodszych lat uczył wszystkie swoje wnuki dosiadać wierzchowca, posługiwać się szablą i strzelać z dubeltówki. W najczarniejszych snach nie przypuszczał, że w ten sposób zaszczerpi Cezaremu i Wiktorowi zamiłowanie nie do myślistwa i tradycji, ale do wojaczki. Katarzynie natomiast te umiejętności uratują kiedyś życie.



Ani się Rawecy spostrzegli, gdy ujrzeli przed sobą czterospadowy dach dworu w Porętowie. W chłodnym blasku grudniowego słońca parterowy budynek otynkowany na biało, z niewielkim kolumnowym gankiem, z rozświetlonymi od wewnątrz oknami, emanował spokojem i bezpieczeństwem, a jego mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy z czarnych chmur, które już się gromadziły na horyzoncie.

## Rozdział 2

Choć słońce już zniknęło za horyzontem, barwiąc niebo krwawą łuną, Rawecy jeszcze nie zasiedli do wigilii. Zniecierpliwiona Katarzyna co chwilę biegła do salonu, aby spojrzeć na stojący na komodzie zegar, a ten sprawiał wrażenie, jakby stanął w miejscu. Najpierw mnie poganiali, a teraz i tak musimy czekać na stryjostwo z Kielc, zżymała się, zagryzając wargi, aby się nie popłakać. Jak nic spóźnimy się przez nich na pasterkę.

– Głodna jesteś, moja duszko? – z niepokojem dopytywała się babcia Pola, spoglądając na błyszczące nienaturalnym blaskiem oczy swojej najstarszej wnuczki. – A może, nie daj Bóg, ty chora jesteś, że tak cię nosi po domu? – Przytknęła dłoń do czoła wnuczki. Było gorące. – Nie masz ty aby gorączki?

– Ależ skąd, babciu. – Katarzyna uciekła spojrzeniem w bok. – Tak się babci tylko wydaje, bo ma zimne ręce. Nic mi nie jest. Albo nie. Jestem głodna – zmieniła na koniec zdanie. – Może zasiądźmy już do wigilii? – spytała z nadzieją.

– Co to, to nie! – babcia się zaśmiała. – Musimy poczekać na Leopolda z rodziną. Ale możesz pójść do kuchni poprosić Antosiową o kawałek placka. Już wyjęła z pieca i zdążył przestygnąć – szepnęła konfidencjonalnie, aby Albin i Wiktor nie usłyszeli.

Kochała Katarzynę najbardziej ze wszystkich swoich wnucząt. Być może dlatego, że widziała w niej siebie, kiedy była młodą dziewczyną. Ta sama ciekawość świata i bezkompromisowość, to samo gorące, odważne serce. Jedynie ten smutek na dnie oczu wnuczki napawał ją niepokojem. Przyglądała dłonią siwe włosy uczesane w kok i ruszyła na poszukiwanie swej synowej, Agnieszki. Zastała ją w salonie, gdzie siedząc przy pianinie, grała ulubioną kolędę *Jezus malusieńki*. Andrzej z chłopcami pewno myszkują w spiżarni, pomyślała Pola, nigdzie ich nie widząc.

– Moja Agnieszko – szepnęła, pochylając się do ucha synowej – niepokoi mnie nasza Katarzyna. Jest jakaś podekscytowana i chyba ma gorączkę. Czy to aby nie zwiastun tuberkulozy?

Tylko tego mi brakowało, pomyślała z przerażeniem Agnieszka. Ona nic podejrzanego w córce nie zauważyła. Od rana się stroiła, nie mogąc się zdecydować, którą sukienkę włożyć. Nawet bez grymaszenia dała sobie zasnurować gorset, choć ostatnio wcale go nie nosiła, powołując się na hasła feministek, które zdobywały z roku na rok coraz więcej zwolenniczek.

– Chyba mama jest przewrażliwiona – odparła, zaprzestając grania. – Układałam jej dzisiaj włosy, bo poprosiła, i nie była rozgorączkowana. Nic a nic nie kaszle, a w nocy się nie poci... Nie, to pewno emocje – odgadła po chwili. – Nie może się doczekać prezentu od ojca. Jak podpatrzyła, będzie to pięknie oprawiony tomik poezji jakiegoś młodego poety, ponoć modnego w tym sezonie.

Rozmowę przerwało wejście Katarzyny. Kończyła zlizywać z ust okruszki ciasta. Obrzuciwszy matkę i babkę podejrzliwym spojrzeniem, gdy nagle umilkły w pół zdania, podeszła do okna i zapatrzyła się rozmarzonym wzrokiem na rosnące przed domem dorodne lipy. Rzuciły długie i tajemnicze cienie na drogę. Tuż za bramą ciągnęły się aż po sam horyzont całe zasypane na biało pofałdowane pola, a w oddali majaczyły przykryte śnieżnymi czapami dachy chłopskich chałup. Katarzyna cały czas czuła na sobie wzrok matki i babki oraz słyszała ich szepty. Czemu one mi się tak przyglądają? – pomyślała z niepokojem. – Czyżby coś podejrzewały? Może Jama jednak się wygadał? Odruchowo sięgnęła ręką do stanika, gdzie ukryła wyjęty z kieszeni pałta drobiazg. Był wciąż na swoim miejscu, bezpieczny.

Nagle do jej uszu dotarł głuchy tętent kopyt po ubitym śniegu, rżenie koni i srebrzysty dźwięk dzwoneczków uwiązanych do uprzęży. Już po chwili przez szeroko otwartą bramę na obszerny podjazd wtoczyły się należące do dworu sanie, zaprzężone w parę gniadoszy. Siedzący na koźle tuż obok woźnicy Leopold, młodszy syn Andrzeja i Apolonii, mocno ściągawszy lejce, osadził konie tuż przed schodami wiodącymi na ganek. Choć był już mężczyzną w dojrzałym wieku, ojcem trójki dorastających dzieci, nie mógł sobie odmówić przyjemności powożenia końmi jak za młodych lat, gdy jeszcze mieszkał w Porętowie. Poganiane batem, drogę ze stacji kolejowej z Charsznicy do dworu pokonały bez mała w pół godziny, ku ucieście podrostków siedzących wraz z matką w głębokich saniach.

– No, w końcu przyjechali! – Katarzyna odetchnęła z ulgą i pomknęła do kuchni sprawdzić, czy Antosiowa nie spóźni się z wieczerzą.

Na ganek, zwabiony hałasami, wyszedł ojciec, teść i dziadek w jednej osobie, czyli stary Andrzej Jaxa-Rawecki. Na szerokie plecy, nieco pochylone pod ciężarem siedemdziesięciu trzech lat, narzucił barani kozuszek. Podpierając się laską, zszedł ostrożnie po szerokich schodach, aby jako pierwszy uściskać dawno niewidzianego syna i jego rodzinę, przybyłych aż z Kielc, gdzie Leopold piastował urząd komisarza do spraw włościańskich. Wysoki jak ojciec, choć nie tak barczysty, zgrabnie zeskoczył z kozła i padł starszemu panu w objęcia. Z atencją ucałował jego zwiędłą, pokrytą starczymi plamami, lecz nadal silną dłoń o długich, kościstych palcach. Już po chwili z troską rzucającą się w oczy pomógł swojej małżonce Elżbiecie wygramolić się spod sterty ciepłych derek, którymi woźnica, gdy ruszali w drogę, okrył swych pasażerów, aby nie przemarzli.

– Dziadek Andrzej! – Dwóch wyrostków ubranych w zimowe płaszcze gimnazjalnych mundurów, okutanych szalikami po czubki nosów, nie kryjąc radości, rzuciło się w objęcia ukochanego dziadka.

Ich starsza siostra, szesnastoletnia Daria, na którą rodzice wciąż wołali Daszeńka, z godnością przynależną pannie z dobrego domu, czując respekt przed surowym spojrzeniem szarych oczu swego dziadka, dygnęła grzecznie i spiekła raczka, czego nikt nawet nie zauważył, bo i tak miała policzki do czerwoności wyszczypane przez mróz. Nie można tego było powiedzieć o jej matce, której twarz pozostała blada, a sińce pod oczyma jakby się pogłębiły od jej ostatniej bytności w Porętowie. Dokuczający jej całą drogę kaszel tłumiała, kryjąc twarz w futrzanej mufce, aby mąż nie zauważył. To z mrozu, to tylko z mrozu, uspokajała samą siebie, starając się nie dopuszczać strasznej myśli, że ten kaszel mógł być zwiastunem znacznie poważniejszej choroby.

Jeszcze woźnica nie zdążył pozdejmować z sań wszystkich bagaży, gdy nagle skryte w głębi ganku drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i na spotkanie swych młodszych kuzynów wybiegli Wiktor i Albin. Wiktor, aby nie drażnić dziadka rosyjskim mundurem, wdział na siebie barani kozuszek i futrzaną czapkę. Natomiast Albin, podobnie jak kuzyni, ubrany był w mundur ucznia gimnazjum. Cała czwórka natychmiast przystąpiła do zacieklej bitwy na kule ze śniegu. Oberwało się nawet dziadkowi i Darii, która chichocząc, skryła twarz w dłoniach.

– Kawalerka! – donośny głos starego Raweckiego, kiedy już przywitał się z synową, a woźnica zabrał się do wnoszenia bagaży do dworu, przywołał młodych do porządku. – Marsz do środka, bo się pochorujecie! Babcia Pola i ciotka Agnieszka już na was czekają w salonie!

– Cioteczki Lali, to jest siostry Benedykty, nie ma? – nie kryjąc zawodu w głosie, spytała Daria.

Z natury cicha i zamknięta w sobie Lala już jako dziecko z zapalem uczestniczyła w obrzędach religijnych, a częste wizyty zaprzyjaźnionego z rodziną księdza proboszcza tylko ten jej rys charakteru pogłębiały. Wiodła z nim długie dysputy na temat żywotów świętych

i razem czytali Biblię. Nikogo zatem z najbliższych nie dziwiła silna więź i porozumienie łączące Daszę z jej ciotką Urszulą, siostrą zakonną u krakowskich albertynek. Jedynie Leopold Rawecki był pełen obaw, czy jego ukochana córeczka, zamiast wyjść za mąż i urodzić dzieci, które będą stanowiły dla niego podporę na stare lata, czasem nie zapragnie poświęcić się służbie Bogu i ubogim jak jego siostra. Ale Lala od dziecka była brzydka, a moja Daszeńka jest piękna niczym róża, pomyślał, przypomniawszy sobie pokrytą śladami po ospie twarz siostry i jej kanciaste ruchy.

– Przykro mi, Daszeńko, ale, jak to mówią, obowiązki nie pozwoliły jej spotkać się z nami. – Dziadek z czułością spojrział na wnuczkę, która nie wiadomo kiedy zdążyła się przedzierzgnąć z dziecka w dorodną pannę, i podawszy jej ramię, wspierając się na lasce, ruszył w stronę domu.

Głośno tupiąc, wśród śmiechu i przekomarzania się Raweccy otrzepywali śnieg z butów i płaszczy na rozłożone w obszernej sieni chodniki. Na powitanie stryjostwa i kuzynów wybiegła z kuchni Katarzyna, na chwilę oderwawszy się od swoich myśli. Momentalnie ten stary dwór, tak cichy i senny na co dzień, wypełnił się gwarem głośnych rozmów, szczebiotem dziewczęcych głosów, dźwiękiem potracanych od niechcenia klawiszy pianina stojącego w salonie i szybkimi krokami służącej, roznoszącej w emaliowanych dzbanach ciepłą wodę do pokoi, aby przybyli z Kielc goście mogli się doprowadzić do porządku przed uroczystą kolacją.

Do wieczery wigilijnej rodzina Raweckich zasiadła jak zawsze przy długim stole rozstawionym pośrodku jadalni, przykrytym śnieżnobiałym obrusem, pod którym ułożono pachnące siano. Zgodnie z tradycją ustawiono dodatkowe nakrycie – dla zbłąkanego wędrowca, dla którego w tym gościnnym domu z pewnością miejsca by nie zabrakło. Zwłaszcza że w tym roku pustych krzeseł przy stole było wyjątkowo dużo. Na wigilii nie pojawił się Cezary, który od jakiegoś już czasu przebywał w Krakowie z zakazem wjazdu na tereny Królestwa. Nie mogła także do Porętowa przyjechać najmłodsza córka Andrzeja i Apolonii, Ewelina, której mąż, Seweryn Baranowski, właściciel majątku ziemskiego Raszkówka, w odległej guberni wołyńskiej, spadł z konia i złamał sobie nogę. Starszą zaś Urszulę, zakonnice u krakowskich albertynek, zatrzymały liczne obowiązki, związane z przygotowaniem wieczery dla najuboższych.

Z belki stropowej zwieszała się podłazniczka, choć zgodnie z nową modą w salonie postawiono także choinkę, przystrojoną orzechami, cukierkami i piernikami w kształcie serc oraz czerwonymi rajskimi jabłuszkami, których dwa drzewka rosły w sadzie. U jej stóp piętrzyły się gwiazdkowe prezenty, które jakoby podrzucił Aniołek, a ich rozdaniem zajął się, strojąc tajemnicze miny, Andrzej Jaxa-Rawecki, senior rodu.

Gdy nacieszyli się otrzymanymi drobiazgami, przyszedł czas na życzenia i przełamanie się opłatkiem. Apolonia jak zawsze ukradkiem ocierała łzy, Agnieszka wygłaszała nieco przydługie przemowy, przygotowane indywidualnie dla każdego, Liza życzyła wszystkim zdrowia, a Leopold i Paweł ograniczali się do kilku zdawkowych zdań, jednakowych w treści. Zapach grzybów, kapusty i drożdżowego ciasta, unoszący się po całym domu, nagle wszystkim uświadomił, że od postnego śniadania nic w ustach nie mieli. Z niecierpliwością czekali, aż pełniąca w domu Raweckich funkcję służącej i pokojówki tęga i krzepka Antosiowa, żona woźnicy, postawi na stole wazę pełną barszczu z uszkami. Powoli obszerna jadalnia wypełniła się gwarem rozmów i dzwonieniem łyżek o porcelanowe talerze, specjalnie z okazji świąt wyjęte z kredensu wraz ze srebrnymi sztucami.

Paweł i Agnieszka, siedząc obok siebie, z niepokojem zerkali na córkę. Zdawała się duchem nieobecna, a jednocześnie dziwnie podniecona. Zawsze tak rozbrykana i śmiejąca się bez powodu, nerwowo dziobała widelcem w talerzu, ledwie pokosztowawszy kolejno podawanych potraw, i raz po raz zerkała na zegar wiszący na ścianie.

– A ją co znowu ugryzło? – szeptem, nachylając się do żony, spytał Paweł. – Nic nie je i wierci się, jakby na rozżarzonych węglach siedziała. Może gorset jej zbyt mocno zasznurowałaś?

– Znowu moja wina! – syknęła Agnieszka i łypnęła na męża spojrzeniem pełnym przygany. – A kto to widział pannie na wydaniu dawać w prezencie gwiazdkowym modlitewnik? Co to ona do klasztoru się wybiera, jak nie przymierzając, twoja siostra, Urszula?

Choć niechętnie, Paweł musiał przyznać żonie rację. Ich córka w niczym Lali nie przypominała, a najmniej z charakteru. Jak tylko mogła, od pójścia do kościoła się wymigiwała, zrzucając winę jak nie na proboszcza, który zanudzał kazaniami, to na śmierdzące naftaliną odświętne ubrania parafian, od czego dostawała ponoć migreny. Agnieszka i Paweł obawiali się, aby czasem ich córka nie wdała się w swą babkę, Apolonię z Krzysztoforskich. A tej do klasztoru było daleko. Jak w Miechowie szeptano po kątach, do ołtarza z Andrzejem Jaxa-Raweckim szła już bez wianka. Jej brat, Józef, wikary w katedrze we Włocławku, wystarał się u biskupa o dyspensę, zwalniającą z obowiązku trzech zapowiedzi, aby owoc grzechu zanadto się nie uwypuklił pod ślubną suknią. Kto jak kto, ale Paweł doskonale pamiętał, że później to z jego powodu Urszulę wysłano do klasztoru. Nie miał jednak żadnych wyrzutów sumienia, gdyż siostra zdawała się pogodzona ze swym losem. Na zamążpójście i tak nie miała szans, z tymi śladami po ospie, uspokajał sam siebie.

– To co miałem jej podarować? – syczał żonie do ucha. – Przecież ta poezja to same bezceństwa. Mnie, staremu, było wstyd czytać, a co dopiero panience... – Umilkł speszony, czując na sobie ciężkie spojrzenie matki. Ta też ciągle o coś ma pretensje, pomyślał, przypominając sobie czasy swego dzieciństwa, kiedy kroku mu nie wolno było zrobić bez opieki jak nie niańki, to matki. Natomiast jego młodsze rodzeństwo było kompletnie puszczone samopas, czego mu zawsze zazdrościł.

Jak ten mój Pawełek się postarzał, pomyślała Apolonia, dostrzegłszy siwe włosy na skroniach u swego pierworodnego. Przypomniała sobie czasy, kiedy był dzieckiem. Niewiele brakowało, a byłby umarł. Najpierw zachorował na koklusz, później na ospę wietrzną. Niańki musiały mu wiązać rączki do boków, aby się nie drapał po buzi. Ślady po ospie potrafiły przecież oszpecić na całe życie, o czym miała się przekonać kilka lat później jego siostra, Lala. Najgorsze przyszło, gdy Pawełek skończył pięć lat i zachorował na odrę, która miała wyjątkowo ciężki przebieg. Andrzej i Apolonia całą noc leżeli krzyżem przed kościelnym ołtarzem, ślubując, że syna przeznaczą na służbę Bogu, jeśli On dziecko od śmierci wybawi. Pomyśl ten podsunął rodzicom ówczesny ksiądz proboszcz kościoła Grobu Bożego w Miechowie. I wówczas Pan Bóg widać się udobruchał, bo chłopczyk przestał chorować. Rósł zdrowo, będąc dla młodszego rodzeństwa wzorem grzeczności i pilności. Z gorliwością służył do mszy, w pokoju dziecięcym, zamiast bawić się żołnierzykami, budował z klocków zgrabne ołtarzyki, przed którymi się modlił nieustannie, i wszystko wskazywało, że wypełni wolę rodziców, wstępując do seminarium. Grom z jasnego nieba spadł, gdy podczas mszy ujrzał siedzące w pierwszej ławce śliczne dziewczę o jasnych kręconych włosach. Przy kolacji oświadczył kategorycznie, że nie czuje już powołania i nie ma najmniejszego zamiaru zostać klerykiem. I choć następnego dnia, aby grzeszne myśli wywietrzały mu z głowy, ojciec odwiózł syna do gimnazjum w Częstochowie prowadzonego przez krewnych, Paweł zdania nie zmienił i po skończeniu edukacji ożenił się z Agnieszką. Aby udobruchać Pana Boga, Andrzej i Apolonia pchnęli za furtę klasztorną jedną ze swoich córek, tę starszą, o imieniu Urszula, na którą wszyscy domownicy wołali Lala, choć w niczym lalki nie przypominała, wręcz przeciwnie. Dość wysoka i chuda, o kanciastych ruchach i surowym wyrazie twarzy, była ponoć podobna do babki Andrzeja, słynącej ze skąpstwa i złego traktowania służby. Naiwnie liczyli, że Pan Bóg się nie zorientuje.

– Dostaliśmy list od naszego Czarka z Krakowa – odezwała się Agnieszka, czując na

sobie świdrujący wzrok teściowej. Czyżby usłyszała naszą rozmowę, pomyślała z niepokojem. Na wszelki wypadek, gdyby nie o to chodziło, raz jeszcze otarła usta z resztek czerwonego barszczu, aby teściowa nie pomyślała, że się umalowała. – Pisze, że właśnie ukończył kurs wyższy, oficerski, i nie tylko awansował do stopnia podporucznika, ale także z rąk komendanta Józefa Piłsudskiego otrzymał wojskową odznakę „Parasol”. – Powiodła dumnym spojrzeniem brązowych oczu, otoczonych siateczką zmarszczek, po twarzach zebranej wokół stołu rodziny, zabierającej się do nakładania sobie na talerze porcji karpia po żydowsku, podanego ze słodką drożdżową chałką. – Te ich oddziały strzeleckie dostały już mundury i broń. Proszę, niech ojciec zobaczy, jak nasz Cezary pięknie się prezentuje...

Z uśmiechem na rozpromienionej matczyną dumą twarzy podała teściowi przez stół przyslaną przez syna fotografię, wykonaną w zakładzie fotograficznym w Krakowie przy ulicy Zwierzynieckiej, jak wynikało z pieczętki. Na zdjęciu widniał postawny młody mężczyzna, ubrany w szary mundur, zapinany na jeden rząd guzików, z wysokim kołnierzem o zaokrąglonych rogach, w sukiennej czapce o okrągłym denku i ze sztywnym daszkiem, powszechnie noszonej przez chłopów po wsiach, a zwanej maciejówką. Stroju dopełniały wysokie oficerskie buty. Lewą dłoń wspierał na rękojeści szabli wiszącej u boku. Twarz o regularnych rysach ozdabiał ciemny, nieco zaniedbany zarost i jasne, żywe oczy.

– Zuch chłopak! Jak to mówią, moja krew! – pokrzykiwał radośnie dziadek Andrzej, dostrzegając poprzez nałożone na nos binokle ogromne podobieństwo między sobą a wnukiem, i nie tylko to fizyczne, ale także ten sam zapał do walki w imię wolności ojczyzny, płonący w oczach Cezarego. Gdy już nasycił wzrok widokiem młodego wojaka, podał fotografię żonie.

– Skoro już ich Austriacy uzbroili i umundurowali – oznajmiła ze smutkiem babcia Pola, przez lorgnon spoglądając na widocznego na fotografii wnuka – to znaczy, że jednak dojdzie do wojny. Zawsze tak się dzieje, kiedy mężczyźni zaczynają się bawić szabelkami, urządzają musztry i parady. A pole bitwy to nie jest defilada wojskowa, tylko brutalna rzeź...

Momentalnie z dna jej pamięci wychylił się koszmar walk powstańczych o Miechów. W ich wyniku śmierć poniosło prawie dwustu powstańców, miasto Rosjanie ograbili i puścili z dymem, a mieszkańców w znacznej części wymordowali. Wciąż pamiętała swąd dymu docierający aż do Porętowa i łuny pożarów rozświetlających tamte lutowe noce. W następnych tygodniach dochodziło w bliższej i dalszej okolicy do kolejnych bitew i potyczek, przynoszących śmierć powstańcom, a miejscowej ludności represje. Dziesiątki dworów skonfiskowano lub splądrowano w poszukiwaniu ukrywających się rannych powstańców, a właściciele powleczeni na Sybir.

Do Pawła nagle dotarła straszna prawda, że w razie wybuchu wojny, o której coraz częściej mówiło się w niektórych kręgach, a nawet pisano w gazetach, jego synowie – Cezary i Wiktor – znajdą się po przeciwnych stronach frontu i lufy karabinów skierują przeciwko sobie. Poczuli lodowaty chłód na plecach i zawisł zatroskanym spojrzeniem na najmłodszym z synów, Albinie. Miał takie same jak jego matka i siostra, Katarzyna, brązowe oczy i jasne kręcone włosy. Krótko obcięte, ładnie układały się na karku i czyniły go podobnym do greckich posągów boga miłości Erosa. Jako poddany cara, gdy wybuchnie wojna, zostanie wcielony do armii, czy tego będzie chciał, czy nie, pomyślał z przerażeniem Paweł. Wojna powszechna, o którą sam nieraz się modlił w kościele, wojna, która miała przynieść wolność ojczyźnie, mogła zabrać jego ukochanych synów. Sam już nie wiedział, czy był gotów złożyć aż tak wielką ofiarę.

– Na razie nie będzie żadnej wojny – uspokajał Leopold przekonany do swych racji z uwagi na piastowany w aparacie władzy urząd. – Gdyby Rosja szykowała się do wojny, car już zarządziłby mobilizację, bo przecież ściągnięcie pułków i dywizji z dalekich krańców imperium trwa miesiące, wymaga ogromnego wysiłku ze strony taboru kolejowego oraz przygotowania

zapasów dla wojska, więc kto jak kto, ale ja bym coś na ten temat wiedział.

Jakby na dowód swych słów ze stoickim spokojem dołożył sobie porcję klusek z makiem, choć, jak lubił mawiać, „na pierwszych już siedział”. Zerknął na swoją żonę, Elżbietę, na którą mówiono Liza, od rosyjskiej wymowy jej imienia, Jelizawieta. Siedziała milcząca, z gracją wkładając sobie do ust niewielkie kawałki karpia. Panicznie się bała zadławienia ością. Jak opowiadano, w jej rodzinie już raz taki przypadek się zdarzył. Nie pamiętała jednak, kogo dotyczył. W dłoni kurczowo ścisnęła chusteczkę, którą przytykała do ust, jak tylko miała potrzebę kaszlnąć.

Daria, uspokojona słowami ojca, odetchnęła z ulgą i bezskutecznie usiłowała zainteresować Katarzynę opowieścią o ostatnich wydarzeniach na pensji, kiedy chłopcy zakradli się pod okno sali, gdzie dziewczęta miały akurat lekcję gimnastyki. Katarzyna jednak myślami była w zupełnie innym miejscu.

Słowa Leopolda wcale nie przekonały Poli. Zmarkotniała i posmutniała, dziobiąc widelcem w podanych właśnie pierogach z kapustą. Siedzący u szczytu stołu Andrzej Jaxa-Rawecki zatrzymał zatroskany wzrok na żonie, która mimo upływu czasu zachowała szczupłą sylwetkę i żywe spojrzenie jasnych oczu. Jedynie włosów, pszenicznych przed laty, teraz białych niczym mleko, nie splatała jak dawniej w warkocze, lecz upinała je w modny kok. Choć od chwili kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, minęło pół wieku, wciąż miał w pamięci tamten dzień, mroźny dzień powstania styczniowego.

– Wam, młodym, marzy się wojna – zaczął z pretensją w głosie, odsuwając od siebie talerz z pierogami. Nagle stracił cały apetyt. – Ale wy nawet nie wiecie, czym ona tak naprawdę jest, co to znaczy przelewać krew i patrzeć na śmierć swych towarzyszy... – Przerwał na moment, aby zaczerpnąć oddechu. Ostatnio coraz częściej miewał ataki duszności, jak tylko się czymś podekscytował. – Służycie w obcych armiach, zajmujecie posady w urzędach zaborcy, w szkołach mówicie po rosyjsku, przysięgacie na wierność carowi i zdaje się wam, że żyjecie normalnie. A nawet nie znacie smaku prawdziwego życia w wolnym kraju...

Katarzyna oblała się rumieńcem po czubki uszu. Choć była pewna, że dziadek jej tajemnicy nie znał, poczuła się winna. Leopold nie miał zamiaru wdawać się w jałowe dyskusje z niepoważnym romantykiem, za jakiego uważał swego ojca. Natomiast Albin i młodsi od niego kuzyni z Kielc – Mikołaj, na którego matka mówiła Kola, i Jerzy nazywany Jurą – nie spuszczała z dziadka ciekawskiego spojrzenia. Po raz pierwszy w ich młodym życiu mogli uczestniczyć w dyskusji dorosłych.

– Przecież dziadek też w żadnej wojnie nie brał udziału, więc skąd ma wiedzę? – Daria stanęła w obronie swego ojca i kuzynów z Miechowa, bo jak sądziła, to do nich pił stary Rawecki.

W jednym z nich, w Cezarym, kochała się skrycie zakazaną miłością. Nikt też nie wiedział o wymianie listów pomiędzy nimi ani nikt nie zauważył, jak Daria wykorzystała moment nieuwagi ciotki Agnieszki i fotografię Cezarego ukryła w kieszeni sukienki z granatowego aksamitu, którą miała na sobie.

Wiktor słowami dziadka poczuł się dotknięty do żywego. Dłużej już nie miał zamiaru znosić tych ciągłych wymówek i odłożywszy na bok widelec, oznajmił tonem pełnym pretensji:

– Przecież ja, dziadku, nie miałem innych możliwości. Czy to moja wina, że nie ma polskiego wojska? A ja bez munduru nie wyobrażam sobie życia...

– Ale Rosja to nasz wróg – stanowczym tonem tłumaczył dziadek. – Jeśli tak koniecznie chcesz paradować w mundurze, z szabelką u boku, to wyjedź do Galicji. Tam już tworzą się załążki polskiej armii. Otwiera się szansa, aby Polska stała się trzecim członem monarchii. Tam jest też twój brat – dodał na koniec koronny jego zdaniem argument. Nie wziął pod uwagę, że

Wiktor, jak wielu młodszych braci, był zazdrosny o pierworództwo Cezarego i zamiast go naśladować, postępował dokładnie odwrotnie.

– Ależ dziadku! – Wiktor machnął ręką i uśmiechnął się z odrobiną wyższości. – To przecież zbieranina amatorów! Nie mają kawalerii ani nawet przyzwoitych karabinów, tylko jednostrzałowe werndle. Dużo nimi nie zwojują. My na wyposażeniu mamy mosiny. Poza tym to są socjaliści! Ten cały Piłsudski jeszcze parę lat temu kierował bojówkami. Nawet na banki napadali. Ale jest jeszcze coś. Coś znacznie ważniejszego... – zniżył głos, jakby się obawiał, że ktoś postronny może usłyszeć ich rozmowę. – Tylko wojna między zaborcami, kiedy się rzucają sobie do gardeł, może przynieść Polsce niepodległość. Wówczas tacy jak ja, wyszkoleni i uzbrojeni, będą ojczyźnie potrzebni.

Przy stole zapadła cisza, zakłócana jedynie dyskretnym stukaniem widelców po talerzach podczas spożywania pierogów, którymi nagle wszyscy się zainteresowali. Słowa Wiktora zaskoczyły Andrzeja. Takiej dojrzałości u tego młodego chłopaka się nie spodziewał. Spojrzał na wnuka z podziwem i podkreślił wąsa.

– Wszystko przez to, że nie uczycie swoich dzieci historii – zwrócił się z wyrzutem do Leopolda i jego żony. – Naród, który nie zna swej historii, skazany jest na jej powtórne przeżycie. A tego dla swoich dzieci byćście chyba nie chcieli?

– Te całe powstania to romantyczne mrzonki! Przyniosły więcej strat niż pożytku. Nie pozwolę moim dzieciom mącić w głowach – obruszył się Leopold i aby ostudzić emocje, wypił duszkiem szklankę kompotu z suszonych owoców. Ojciec, choć stary, nadal budził w nim respekt. – Rosjanie to przecież Słowianie jak my – wyłuszczał podniesionym tonem swoje racje. – Jesteśmy częścią wielkiego mocarstwa. Jak będziemy lojalni, to car przywróci konstytucję i swobody. Bez powstań.

– Jakie powstania? – natychmiast zainteresował się Kola, a Jura za nim powtórzył:

– No właśnie. Jakie powstania? Dziadek brał w nich udział?

Katarzyna, Albin i Wiktor, choć o powstaniu styczniowym opowiadali im rodzice, nie wiedzieli, że dziadek Andrzej w nim walczył. Była to ściśle skrywana tajemnica rodzinna, o której wiedziała jedynie Apolonia. Jak twierdziła Agnieszka, to właśnie Andrzej, poprzez swoje opowieści o Napoleonie, o powstaniu listopadowym i tym ostatnim, styczniowym, przyczynił się do ukształtowania niepokornego charakteru jej pierworodnego syna, Cezarego, i tym samym wypchnął go z domu.

– Walczyłem, a jakże, walczyłem – odparł nie bez dumy i podkreślił zawadiacko wąsa. – Ale to było bardzo dawno temu. Jeszcze waszych rodziców nie było na świecie, a ja, jak to mówią, byłem gołowąsem.

– Przeciwko komu było to powstanie? – dopytywał się Jura.

Kola nie bardzo rozumiał, co to znaczy „powstanie”. Pierwszy raz słyszał taki wyraz, jednak nie miał śmiałości pytać, aby go brat nie wyśmiał.

– No, przecież wiadomo, że przeciwko Rosji. – Andrzej zapalił się do opowieści. Ostatnio coraz chętniej wracał pamięcią do lat swojej młodości. – Wieść o koncentracji oddziałów powstańczych w Ojcowie dotarła do naszego dworu w Grabowie pod Krakowem lotem błyskawicy i musicie mi uwierzyć, że nie było takiej siły, która by mnie zatrzymała w domu. Ojciec, oczywiście potajemnie, kupił dla mnie u Żyda rewolwer oraz podarował mi swój pałasz...

– Co to jest pałasz? – wtrącił wiecznie wszystkiego ciekaw Jura.

– To taki rodzaj białej broni – uprzedzając dziadka, wyjaśnił Wiktor. Jako oficer pełniący służbę w armii, uważał się za znawcę tematu. – Pałasz wywodzi się od miecza, posiada długą i prostą głownię, zdatną do zadawania pchnięć, a także do cięcia. Nasza kawaleria w znacznej



mierze posługuje się szaszka, takim rodzajem szabli, która jest trochę krótsza i lekko wybrzuszona, bo wywodzi się od długiego noża, powszechnej od wieków broni na Kaukazie. Spoczywa w pochwie ostrzem do góry, więc po wyjęciu od razu mogę ciąć przeciwnika. O, tak... – Zerwał się z krzesła i trzymając w dłoni widelec, zgrabnie zamarkował atak na wymyślonego wroga.

– Już nam tutaj tak nie wymachuj widelcami, bo jeszcze komuś oczy wylupisz – zganił go stryj Leopold, widząc malujący się na twarzach swych synów zachwyty. On nie planował dla nich kariery w wojsku.

Wiktor usiadł na swoim miejscu i naburmuszony zabrał się do jedzenia kolejnej porcji pierogów, tym razem z suszonymi śliwkami, polanych miodowym sosem. Jego bardziej niż przeszłość interesowała przyszłość, a stryja Leopolda jakoś nigdy nie potrafił polubić.

– Niech dziadek opowiada dalej – poprosili zgodnym chórem Kola i Jura i wsparli się łokciami o stół. Ich zdaniem Wiktor jak zwykle się popisował. O niczym z nim nie można było porozmawiać, jedynie o karabinach, szablach i armatach. A zamiast bawić się w berka, ciągle urządzał im podchody.

– Do Krakowa waliły tłumy ochotników, a na ulicach gawiedź o niczym innym nie rozprawiała, jak tylko o tym powstaniu – Andrzej, zachęcony przez wnuki, wrócił do opowieści. – Wprost z dworca młodzi kupą szli do kamienicy Pod Rakiem, gdzie na oczach austriackiej policji odbywała się rekrutacja. Na placach prowadzono sprzedaż wybrakowanej broni oraz licytację wojskowych koni, a chętnym, że tak powiem, bez środków do życia wypłacano nawet jakiś żołd. Dopiero po kilku dniach policja wkroczyła do biura, zaczęły się aresztowania i rewizje w prywatnych domach. Ale myśmy już zdążyli pod osłoną nocy przekroczyć granicę Królestwa, przez nikogo niezatrzymywani. Jak mówiono po wsiach, straż graniczną Rosjanie ściągnęli do okolicznych miasteczek i oczekiwali na rozwój wydarzeń... – Obliznął wyschnięte usta i uśmiechnął się wygodnie na krześle, opowiadał dalej: – Szliśmy w długim szeregu, ustawieni czwórkami, w milczeniu przemierzając zasypane śniegiem niekończące się pola. W naszych zapalonych głowach kołatała się tylko jedna myśl, że oto już niedługo staniemy oko w oko z wrogiem... – Rawecki umilkł, a jego wzrok podążył za okno, na pokryty śniegiem podjazd i rzędy drzew przed domem. Nagle oprzytomniał i z przepaszającym uśmiechem mówił dalej: – Noc miała się ku końcowi, gdy nagle gdzieś z krzaków dobiegł do nas gromki głos: „Stój! Kto idzie? Hasło!”, i wyskoczyły ku nam obozowe stráže. „Swoi idą! – odparł nasz dowódca. – Niech żyje Polska!” Radość ze spotkania naszych była nie do opisania. Już mniej się cieszyliśmy, kiedy resztę nocy przyszło nam spędzić w stodole. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak ja wówczas zmarłem! – Zaśmiał się, przypominając sobie, jak rankiem dzwonił zębami, kiedy ich postawiono przed obliczem oficerów.

– Pewno tak samo jak ja, kiedy wpadłem do przerębla – oświadczył całkiem poważnie Kola, zapatrzonego w dziadka jak w obrazek.

– No, może aż tak to nie, ale podobnie – odpowiedział rozbawiony Andrzej i poczochnął jasną czuprynę swego wnuka. – Dowodził nami Apolinary Kurowski – wrócił do opowieści, widząc, że wszyscy słuchali go z zainteresowaniem. – Nie miał na sobie munduru, tylko dość szeroką białą-czerwoną szarfę przewiązaną przez pierś.

– A dlaczego białą-czerwoną? – spytał Kola, wsparty łokciami o stół, czego zasłuchane w słowa Andrzeja matka i babka nie zauważyły.

– Bo to barwy narodowe państwa polskiego – odparł Andrzej i zerknął wymownie na Leopolda, a ten spuścił wzrok na pierogi, które właśnie żona nakładała mu na talerz. Ojciec ma rację, pomyślał ze wstydem, to moja wina. W szkole ich przecież o Polsce nie uczą. – Drugim oficerem, ku mojemu zaskoczeniu – stary Rawecki wrócił do wspomnień – był pułkownik

Franciszek Rochebrune, który w Krakowie prowadził lekcje fechtunku. Jak się okazało, właśnie ze swoich uczniów tworzył, na wzór francuskiej lekkiej piechoty, oddział żuawów śmierci. Oczywiście, przypomniał sobie mnie natychmiast i wraz z kilkoma innymi, jak to mówią, wziął pod swoją komendę. Może zdecydował też o tym fakt, że posiadaliśmy rewolwery i pałasze, bo pozostali za jedyną broń mieli trzymane w dłoniach wyłamane w lesie drągi? – spytał retorycznie i na moment się zamyślił.

– Przyzna dziadek, że rozsądne to nie było – wtrącił sceptycznie Wiktor. – Z kijami rzucać się na karabiny. Nawet spotkany po drodze pierwszy lepszy patrol rosyjski w try miga zrobiłby z wami porządek.

– Patrząc z dzisiejszej perspektywy – Andrzej spojrzał na wnuka szarymi oczyma, przepełnionymi smutkiem – zwłaszcza siedząc za suto zastawionym stołem, tak się może wydawać. Ale bywają w życiu człowieka takie chwile, kiedy kieruje się sercem, a nie rozumem. Obyś nigdy się nie znalazł w sytuacji, kiedy będziesz musiał dokonać takiego wyboru. Uwierz mi, że decyzja nie jest łatwa.

– Ale za to jakie to romantyczne! Jak z powieści! – zachwyciła się Liza, będąca świeżo po lekturze *Wiernej rzeki*. Nie знаła swego teścia z tej strony. Zawsze go miała za statecznego i prostolinijnego „hreczkosieja”, jak mówiło się u niej w domu na zasiedziałyach na roli gospodarzy. – Niech tato opowiada dalej – poprosiła z uśmiechem na swojej bladej twarzy.

– Okazało się, że żuawi śmierci to była, jak to mówią, elitarna jednostka. – Andrzej z uśmiechem podkreślił wąsa, dumny, że przyszło mu trafić właśnie tam. Przez cały okres powstania żuawi śmierci budzili w Rosjanach paniczny lęk. – Mieliliśmy osobną kwaterę i kuchnię. Nie wymagano od nas pełnienia służby obozowej i wartowniczej, ale za to całymi godzinami prowadziliśmy mordercze ćwiczenia. Strzelanie do tarczy, fechtunek i musztrę – wyjaśnił, uprzedzając pytanie Jury, który już otwierał usta. – Ale żebyście widzieli nasze mundury! – Zaśmiał się na samo wspomnienie. – Była to czarna kamizelka z naszytym przez środek dużym białym krzyżem, na to czarny surdut i do tego czarne bufiaste spodnie do kostek – opowiadał, żywo gestykulując rękoma. – Najdziwniejsze jednak były nasze czapki! – Parsknął śmiechem. – Zaraz wam pokażę! – Zerwał się z krzesła i wybiegł z jadalni.

Wrócił po chwili, niosąc w ręku czerwone nakrycie głowy w kształcie stożka, z kutasikiem na czubku, u dołu obszyte szarym barankiem. Nałożył Wiktorowi na głowę, a Kola i Jura, kryjąc twarz w rękawach, chichotali głośno.

– To jest fez – oznajmił Andrzej nie bez dumy. – Mnie też początkowo śmieszyło, ale wkrótce przywykłem. Szeregowi żołnierze mieli białe obszycia – dorzucił, widząc, jak Wiktor z zainteresowaniem obracał fez w palcach.

– A ten otwór to co to jest, dziadku? – spytał, zauważywszy niewielką dziurę w futrzanym obszyciu. Wsunął palec przeszedł na wylot.

– Pewno mole wygryzły – powiedziała Liza, krzywiąc usta z niesmakiem. – Skaranie boskie z tym robactwem. Musi mama bagno rozłożyć w bielizniarce albo lawendę...

– To nie żadne mole, tylko dziura po kuli karabinowej – oznajmiła stanowczym tonem milcząca do tej pory Pola i wzrokiem zganiła synową. No i wyszła z niej Rosjanka, pomyślała kąśliwie.

Zapanowała przykra cisza, przerywana jedynie dzwonieniem sztućców o porcelanę, a Liza zakasłała, przytykając chusteczkę do ust. Sytuację uratowała Antosiowa, która weszła do jadalni, niosąc na tacy drożdżowy przekładaniec, którego słodki zapach rozszedł się wokoło. Momentalnie wszyscy się zainteresowali ciastem, zapominając o gafie popełnionej przez Lizę. Pola każdemu nałożyła na talerzyk po kawałku i sama też z ochotą zabrała się do jedzenia.

– Delicje! – zachwycił się Leopold, który przepadał za dobrą kuchnią, lecz ku swemu

zmarłwieniu w Kielcach nie trafił na taką kucharkę jak Antosiowa.

Nawet Katarzyna poczuła napływającą do ust ślinę i z ochotą pałaszowała ciasto, a Kola i Jura zaczęli się spierać, z czego było zrobione nadzienie. Kiedy już zjedli po kawałku, Kola spojrział na dziadka.

– Miał nam dziadziś opowiedzieć o tym powstaniu, w którym brał udział – przypomniał Andrzejowi i wykorzystując okazję, że na starego Raweckiego skierowały się oczy całej rodziny, błyskawicznie porwał z patery kawałeczek ciasta. W domu matka ograniczała im słodycze, twierdząc, że są niezdrowe i psują się po nich zęby.

– No, przecież cały czas o nim opowiadam – odparł, uśmiechając się do wnuka. – Jak to mówią, czyniliśmy gorączkowe przygotowania do bitwy o Miechów. Dla tych, którzy karabinów ani pistoletów nie mieli, kosy trzeba było przekuć na sztorc, na furmanki prowiant załadować, konie podkuć, rozdzielić między powstańców amunicję, a mieliśmy jej tyle, co kot napłakał. Każdemu dali po garści prochu, po dwie garści ołowianych siekańców i kilkadziesiąt kapsli. Poupychałem to wszystko po kieszeniach, bo nawet ładownic dla wszystkich nie starczyło. A wielu nas przecież nie było. – Westchnął ciężko i zmarkotniał. – Ot, ośmiuset śmiałków gotowych złożyć swe młode życie w ofierze za wolność ojczyzny. Przeciw nam stanęły, o czym wówczas jeszcze nie mieliśmy pojęcia, skryte za murami miasta trzy roty strzelców, jedna rota piechoty i sotnia kozaków.

– To razem, lekko licząc, siedmiuset żołnierzy. Do tego dobrze wyćwiczonych i zapewne uzbrojonych już w nowoczesne dalekosiężne karabiny – wtrącił Wiktor, podziwiając w duchu dziadka za odwagę. Jeszcze wówczas nie wiedział, że kiedy sam stanie w obliczu przeważającej siły wroga, i jemu jej nie zabraknie.

– Co racja, to racja – zgodził się stary Raweki. – Ale o tym wszystkim ani nasz dowódca, Apolinary Kurowski, ani my nie mieliśmy pojęcia. Powiadano przecież po wsiach, że Moskale Miechów już opuścili, a my daliśmy tym pogłoskom wiarę.

– A nie przyszło wam do głowy, że mogli urządzić zasadzkę? – spytał Leopold, którego słowa ojca utwierdziły w przekonaniu, że powstanie było tragicznym w skutkach błędem. – Skoro nawet do was do dworu dotarły wieści, że Kurowski koło Ojcowa gromadzi wojsko, to Rosjanie też musieli o tym wiedzieć.

– Ano, synku drogi, nie przyszło nam do głowy – Andrzej rozłożył ramiona w geście bezradności – bośmy wszyscy byli cywilbanda, dla której walka o wolność ojczyzny była na pierwszym miejscu, i o własne życie żeśmy nie dbali, jak to teraz jest w zwyczajach. Pokładaliśmy nadzieję w naszych oficerach, że wiedzą, co czynią. Jakbyś wiedział, że upadniesz, tobyś usiadł, prawda?

Paweł ryknął głośnym śmiechem, Liza i Agnieszka chichotały rozbawione, a Kola i Jura pokładali się ze śmiechu. Jedyne Leopold chrząkał, udając, że uwagi nie dosłyszał, bo się właśnie zakrztusił okruszkami ciasta. Nawet Katarzyna oderwała się od swoich myśli i się uśmiechnęła. Jedyne stary Raweki pozostał śmiertelnie poważny. To, co chciał opowiedzieć, wcale nie było do śmiechu.

– Równie o świcie otrzymaliśmy rozkaz wymarszu – zaczął, gdy wszystkim wesołość przeszła. – Szliśmy dzień i noc, z krótkimi przerwami na odpoczynek. A zima była wówczas mroźna i śnieżna, jak dziś. Ręce grabiały nam z zimna, niejeden dzwonił zębami. O brzasku, zmęczeni do granic wytrzymałości, wyszliśmy z lasu i naszym oczom ukazał się Miechów, spowity poranną mgłą. Nas, żuawów, Kurowski posłał, jak to mówią, na pierwszy ogień. Szliśmy tyralierą w kompletnej ciszy. Jedyne śnieg skrzypiał nam pod nogami. Nawet wiatr zamarł. Przelatujące to w jedną, to w drugą stronę ptaszyska, jakby przeczuwając, co się święci, krakaniem zwoływały się na ucztę. Po krótkim czasie ujrzyliśmy wały otaczające miasteczko.

Wówczas Rochebrune, ten to był w gorącej wodzie kąpany, dobywszy rewolweru, zawołał: „Żuawi śmierci! Naprzód!”. I wbiegł na wał, a my za nim. Nie mieliśmy pojęcia, że po drugiej stronie znajdował się cmentarz, na którym skryli się Rosjanie. Przyczaili się pomiędzy mogiłami i nagrobkami. Jak tylko nas ujrzeli, z miejsca otworzyli ogień...

– Mówi ojciec o naszym cmentarzu? Tym przy wylocie z miasta? – upewnił się Leopold. Choć opowieść go interesowała, z uwagi na dzieci wołałby, aby Andrzej zmienił temat. Już z miny ojca się domyślał, że musiało dojść do krwawej jatki.

– O naszym, synu, o naszym. W Miechowie nie ma innego cmentarza. – Andrzej posłał mu piorunujące spojrzenie, domyślając się intencji, i opowiadał dalej: – Nie zważając na grad kul, które wielu z nas położyły trupem, rzuciliśmy się na Moskali jak huragan. Nawet nie zdążyli nabić broni do drugiego strzału. Praliliśmy, czym popadnie. Szablami, bagnietami, kolbami, nawet pięści poszły w ruch. Tumult uczynił się straszny. Tych krzyków rannych i jęków konających do końca życia nie zapomnę... – Głos uwiązł mu w gardle, a pod powiekami zapiekły go łzy. Wciąż miał przed oczyma, choć minęło tyle lat, martwe ciała przyjaciół z Krakowa, leżące w kałużach krwi pomiędzy nagrobkami. Wśród nich chorąży, cięty szabłą przez głowę, wciąż ściskający w dłoniach pułkowy sztandar.

– I to już był koniec, tak? – spytał zawiedziony Kola. Jakoś sobie to inaczej wyobrażał.

– Koniec? – prychnął Andrzej. – To dopiero był początek! Kiedy zbrakło mi naboii, dobyłem pałasza. Przeskakując nagrobki, rozdzielałem sztychy na lewo i na prawo. I ciach! I ciach! – Machał ręką uzbrojoną w widelec. – Prałem, jak popadło, po osłupiałych z przerażenia Moskalach! Ale się nie ustrzegłem nieszczęścia. Jeden z nich ugodził mnie bagnietem. O, tutaj... – Przytknął dłoń do piersi i oddychał ciężko, zmęczony opowieścią.

– Ma dziadek bliźnę? – zainteresował się Kola, który nigdy w życiu nie widział żadnej bliźny, poza tą, którą Jura miał na kolanie, gdy wywalił się, jadąc rowerem.

– Mam – odparł Andrzej, ale na pokazywanie bliźni się nie zdecydował. Nie uchodziło przy paniach. – Szczęściem ostrze natrafiło na krzyż, ten, który zawiesiła mi na szyi matka, jak wyruszałem do powstania, no i poszło bokiem. Zdołało jednak przeciąć grube sukno żakietu i ślizgając się po żebrach, rozpruło mi płat skóry. Ale w ferworze walki nawet nie poczułem bólu. – Machnął lekceważąco ręką. – Tym bardziej że Rosjanie już uciekali z cmentarza, a bitwa dobiegała końca. Za to nasze zwycięstwo słono zapłaciliśmy. Ze stu dwudziestu towarzyszy została nas tylko garstka. Reszta leżała martwa pomiędzy grobami... – Andrzej umilkł i przy stole zapanowała cisza.

Nikt z obecnych nie śmiał wyrzec ani słowa, bo każde zdawało się nie na miejscu, a w oczach Poli zaszklily się łzy. Nawet Katarzyna wołała już o nic nie pytać, rozumiejąc tragedię, którą przeżył jej dziadek.

– Już po chwili ze swoim sztabem pojawił się Kurowski... – stary Jaxa-Rawecki, kiedy chłodnym kompotem przeplukał wysuszone gardło, zdecydował się wrócić do opowieści. – Wydał rozkaz atakowania miasta, choć już wiadomo było, że stacjonowali w nim Moskale.

– Nie mógł mu dziadek wytłumaczyć, że to niedorzeczny rozkaz? – spytał Jura. On zawsze, widząc bezsens poleceń ojca, wdawał się z nim w słowne przepychanki.

– Co ty wygadujesz! – obruszył się Wiktor. – W wojsku z przełożonymi się nie dyskutuje! Otrzymujesz rozkaz i go wykonujesz.

Wiele lat później przyjdzie taki czas, kiedy Jura dostanie rozkaz zbyt trudny do wykonania. Dopiero wówczas dziadka zrozumie.

– Otóż to, Jureczku. Służba nie drużba, jak to mówią. – Andrzej uśmiechnął się z nostalgią. – Pułkownik Rochebrune starał się mu przemówić do rozsądku. Ale gdzie tam! – Machnął ręką. – Kurowski się uparł jak wół. „Ja tutaj dowodzę! – oświadczył wyniośle. –

Wykonać rozkaz!” Cóż było robić? – Bezradnie rozłożył ramiona. – Garstka naszych dotarła ulicą Krakowską do rynku, a tam! Jak nie hukną salwy z karabinów ustawionej w rynku piechoty! Jak nie posypie się grad kul z okien, dymników i dachów stojących wzdłuż ulicy kamienic, gdzie skryli się Moskale. Ci z pierwszych szeregów od razu padli martwi na bruk. Reszta usiłowała się wycofać, ale z tyłu za nami w tę ciasną uliczkę z okrzykiem na ustach: „Naprzód! Jezus i Maria!”, wpadła galopem nasza kawaleria, posłana przez Kurowskiego. Nie patrząc na ofiary, siekli pałaszami na lewo i prawo, aby wyrąbać sobie drogę pośród moskalskiej piechoty... – Przerwał na moment opowieść, czując, jak wzruszenie sznuruje mu gardło. Wciąż miał mu w uszach huk wystrzałów i rzenie koni oraz czuł zapach prochu i krwi, jakby to było wczoraj. – Choć mięsa nasiekli sporo – mówił po chwili dalej – słono płacili za swoją odwagę. Wielu z nich leżało martwych na bruku, inni rzęzili w przedśmiertnych konwulsjach, a pozbawione jeźdźców konie na oślep gnały przed siebie. Aby nas nie stratowały, ja wraz z kilkoma towarzyszami rzuciliśmy się co sił w nogach w stronę budynków dawnego klasztoru. Jednak zanim zdołałem przypaść do murów kościoła, otworzyli do nas ogień Moskale, ukryci po strychach i na dachach...

– Z wojskowego punktu widzenia... – wtrącił się Wiktor, gdy Andrzej na moment zaprzestał opowieści. Oddychał ciężko, wzruszony wspomnieniami, którymi z nikim nie dzielił się od lat. – Kurowski popełniał błąd za błędem. Po pierwsze, nie rozpoznał przeciwnika. Po drugie, nie posyła się kawalerii w ciasne uliczki miasta. Nikt go nie postawił przed sądem polowym?

– Nie ma się czemu dziwić, Wiktorze – odparł Andrzej, powoli dochodząc do siebie. – Kurowski nie posiadał, jak to mówią, wykształcenia wojskowego, jeśli nie liczyć roku służby w armii pruskiej. Ponieważ o tym uprzedzał, kiedy powierzono mu stanowisko wodza na województwo, sąd *summa summarum* wielkiej winy się nie dopatrył.

– Oj, Wiktor, przestań się wymądrzać – burknął Paweł, pierwszy raz słysząc o tych dramatycznych wydarzeniach. Rozpaliły jego wyobraźnię do żywego, lepiej niż powieści Sienkiewicza. – Niech ojciec opowiada, co było dalej.

– Ostrzeliwałem się z rewolweru w zasadzie na oślep, bo nie wiedziałem, gdzie czaił się wróg – Andrzej, choć już zmęczony, wrócił do opowieści, ciesząc się, że rodzina chciała go słuchać. – Wokoło kwiczały konające konie, zewsząd dobiegały krzyki walczących i jęki rannych. Miałem wrażenie, że ten nieprzerwany huk karabinowych salw zaraz rozerwie mi bębenki w uszach. Nagle pac! I coś z taką ogromną siłą uderzyło mnie w ramię, że rewolwer wypadł mi z ręki. Jeszcze nie zdążyłem na dobre zorientować się w sytuacji, gdy coś świsnęło mi tuż nad głową. Poczulem okropny ból i straciłem przytomność.

– To już wiemy, skąd ta dziura w fezie! – wykrzyknął podekscytowany Paweł. Nagle zdał sobie sprawę, że w ogóle nie znał swego ojca. Spojrzał na niego z czułością i podziwem zarazem.

– No, właśnie stąd. – Andrzej kiwnął głową i ciągnął dalej: – Ocknąłem się po chwili z twarzą zalaną krwią. Widać rosyjska kula, zerwawszy z głowy ów śmieszny fez, musnęła mi nieco czuprynę...

Oczy wszystkich skierowały się na szeroką bliznę widoczną tuż nad czołem, którą brali do tej pory za zwykłą łysinę.

– Gdy nieco doszedłem do siebie, podniosłem z ziemi rewolwer, a na głowę z powrotem nałożyłem fez – opowiadał dalej, poprawiwszy palcami włosy, aby ukryć szramę. – Podczołgałem się do drzwi skrytych we wnęce kościelnych murów. Oparłem się o nie plecami i nieporadnie, lewą ręką, bo prawą z bólu nie mogłem poruszyć, przygotowałem broń do strzału. Czekałem, aż któryś z Moskali znajdzie się bliżej. „Już ja wam pokażę, gdzie raki zimują – mamrotałem pod nosem, ostatnią kulę postanowiwszy zostawić dla siebie. – Żywego mnie, psie

syny, nie weźmiecie!” Dla dodania sobie odwagi nucilem pod nosem naszą pieśń. Szło to, zdaje się, tak: „Marsz, marsz, żuawy, na bój, na krwawy, święty, a prawy. Marsz żuawy, marsz!” – Andrzej Rawecki schrypniętym już głosem zaśpiewał refren, bo tylko tyle zapamiętał sprzed lat. – Jednak zanim Moskale zdołali wypatrzeć moją kryjówkę – opowiadał dalej – stało się coś, w co do dziś jest mi trudno uwierzyć. Gdyby mi ktoś to opowiedział, nie dałbym wiary. A jednak była to najprawdziwsza prawda...

– Ale co takiego, dziadku? – dopytywała się Katarzyna. Z wypiekami na twarzy słuchała opowieści, zapomniawszy o bożym świecie i skrytym za stanikiem drobiazgiem.

– Wyobraźcie sobie – stary Rawecki zaczął dość tajemniczym tonem, pochylając się w stronę stołu – że drzwi nagle się uchyliły i czyjeś silne ręce wciągnęły mnie do wnętrza kościoła. W półmroku panującym w świątyni ujrzałem mężczyznę w dojrzałym wieku, ubranego w czarny habit. Jego twarz ginęła w cieniu narzuconego na głowę kaptura. Jedyne oczy płonęły dziwnym blaskiem. Trzymając mnie za ramię jak w kleszczach, powiodł główną nawą aż do prezbiterium. Przesunął na bok okryty białym obrusem stół ofiarny, odsłaniając dość dużych rozmiarów kamienną klapę, obitą mosiężną blachą, na której widniał jakiś napis, ale w panujących ciemnościach nie zdołałem nic odczytać. Zresztą nie byłem ciekaw. Mój wybawca widać był mocarnym mężczyzną, gdyż z łatwością odsunął płytę na bok, jakby była z tektury. A moim oczom ukazał się zionący czernią otwór, jak się domyśliłem, wiodący do krypty. Pogrzebie mnie żywcem, przyszło mi na myśl i zadrzałem ze strachu. Lecz on wziął do ręki lampkę olejową płonąca przed tabernakulum i oznajmił: „Wchodźcie śmiało za mną, moi oficerze. Z krypty prowadzą korytarze na zewnątrz”. – Andrzej na moment przerwał swoją opowieść i sięgnął po szklanę z kompotem. Całkiem od opowiadania zaschło mu w gardle.

Kola i Jura wykorzystali moment zamieszania powstały przy stole i błyskawicznie chwycili po kawałku drożdżowego przekładańca. Leopold nałożył sobie na talerz zimne już pierogi z suszonymi śliwkami i spuściwszy nisko głowę, aby nikt nie dostrzegł łez wzruszenia w jego oczach, udawał, że je z apetytem. Kiedy Andrzej odstawił pustą już szklanę i różkiem serwety osuszył zwiędłe usta, opowiadał dalej:

– Zwinnie niczym młodzieniaszek mężczyzna ten wskoczył do środka, na wieko jednej z wielu trumien. Wyciągnął ku mnie rękę, aby pomóc mi zejść do podziemi. Byłem zbyt przerażony i obolały, aby dociekać, kim jest ów tajemniczy wybawiciel. Domyśliłem się tego znacznie później. Posłusznie zanurzyłem się w chłodną ciemność krypty. W mdłym świetle lampki ujrzałem zarysy spróchniałych trumien, pokrytych kurzem i pajęczynami. Z krypty wyszliśmy na korytarz, którego koniec tonął w ciemnościach. Otaczała nas, jak to mówią, grobowa cisza, jeśli nie liczyć głuchego odgłosu moich kroków. Jakimś cudem nieznanomy stąpał bezszelestnie. Nie pamiętam już, jak długo szliśmy korytarzem, gdy nagle mój przewodnik przystanął. „Tutaj korytarz się rozwidla – oznajmił. – Ten na lewo prowadzi do wyjścia przy ulicy Skalbmierskiej, a tamten opasuje rynek. Wyjście znajduje się przy Krakowskiej, w piwnicy budynku w oficynie”. Nie zdążyłem nawet otworzyć ust, gdy spod pachy wyjął zawiniątko, którego wcześniej nie zauważyłem, i rzekł: „Zdejmijcie z siebie, oficerze, ten mundur, bo każdy rozpozna w was powstańca, i odziejcie się w to...”. Podał mi czarny chałat, tańs z frędzlami oraz wysokie buty i czapkę obszytą lisim futrem, jakie wówczas nosili pobożni Żydzi. Potem dodał: „Inaczej złapią was Rosjanie albo okoliczni chłopci, zwabieni nagrodą, dostarczą was do cyrkułu. Żywego lub martwego. Moskale handlują z Żydami, więc pozwolą wam spokojnie opuścić miasto”. Zanim zniknął, jakby się rozplynął w powietrzu, wcisnął mi do ręki lamkę olejową. Zdążyłem wówczas zauważyć, że na habicie miał umieszczony wizerunek gryfa wspiętego na tylnych łapach...

– Jak to możliwe? Tak wygląda przecież nasz herb... – zaskoczony Paweł wpadł ojcu

w słowo. Był dumny z historii swego rodu wywodzącego się ponoć od Jaxy z Miechowa, krzyżowca, fundatora klasztoru Bożogrobców, który z Ziemi Świętej sprowadził do miasteczka zakonników. A w mieszkaniu przy Szpitalnej wisiało na ścianie pięknie przez Pawła rozrysowane drzewo genealogiczne.

– Gryf był identyczny jak nasz, choć nie na czerwonym polu, lecz widniał na czarnej materii habitu, w który człowiek ten był odziany – wyjaśnił Andrzej i ciągnął dalej: – Umościłem się na ziemi, tuż przy ścianie, i ściągnąwszy płócienną koszulę z grzbietu, podarłem ją na kawałki. Jednym owinąłem sobie ramię, drugim opatrzyłem ranę pod żebrami, a resztą powycierałem krew z twarzy i głowy. Gdy odpocząłem, nałożyłem na siebie chałat i całą resztę, a fez – uśmiechnął się przepraszająco, niczym figlarne dziecko – wcisnąłem do kieszeni, aby mieć pamiątkę. Zmówiłem pacierz i ruszyłem długim, ciasnym korytarzem przed siebie. Od czasu do czasu miałem wrażenie, jakby nad moją głową galopowały konie. Chwilami ziemia drżała i pył sypał się mi na łeb. Nie wiem, ile czasu trwało, zanim dotarłem do drewnianej klapy zasłaniającej wyjście. Chwilę się mocowałem z tym draństwem, ale w końcu dało się podnieść. Właściciel piwnicy przysypał go chrustem. Być może dla niepoznaki, być może zgromadzonym w tym miejscu na opał. Nieważne. Przez otwór w murze wyszedłem na podwórko, a stamtąd na ulicę. Serce mi zamarło, gdy ujrzałem, co wyprawiało się w miasteczku... – Ze wzruszenia nie mógł wydobyć z siebie głosu. Choć od tamtych wydarzeń upłynął szmat czasu, on wciąż nie mógł przeboleć śmierci tylu niewinnych ludzi. Do opowieści wrócił po chwili, gdy zapanował nad łzami cisnącymi się do oczu: – Pośród szalejących płomieni pijani żołdacy dobijali rannych powstańców, zdzierali z nich odzienie, a nagie zwłoki wrzucali do stojącej na środku rynku studni. Część mieszkańców Miechowa zdołała się skryć w zagajnikach na obrzeżach miasta lub rozpierzchła się po okolicy. Tych, którzy nie zdążyli zbiec ani się ukryć, kluto bagnetami, rąbano szablami i zabijano kolbami, a ich martwe ciała, bez różnicy wieku i płci, leżały pokotem pośród dogasających zgliszczy domostw. Rozochoceni wypitym alkoholem, upojeni zwycięstwem Moskale rabowali, co tylko się dało. Ich oficerowie, nie mogąc zapanować nad żądną krwią i łupów tłuszczą, czmychnęli jak szczury do koszar. Niezatrzymywany przez nikogo, bocznymi uliczkami, omijając trupy ludzi i zwierząt, wydostałem się z płonącego miasta. Minąłem cmentarz, gdzie jeszcze nie tak dawno wraz z towarzyszami pokonaliśmy Moskali, i drogą wijącą się między zaśnieżonymi polami, ledwie widoczną w zimnym blasku księżyca, zmierzałem przed siebie, nie znając, jak to mówią, ani celu swej wędrówki, ani swej przyszłości. Każdy krok był katuszą nie do wytrzymania. Powoli całe moje ciało stawało się ciężkie jak z ołowiu, trawiła mnie gorączką, a we łbie huczało jak w ulu. Byłem już u kresu sił i momentami nachodziła mnie ochota, aby zwalić się do rowu i więcej nie wstać. Nagle w oddali na tle rozgwieżdżonego nieba ujrzałem ubrane w śnieżne czapy wiejskie chałupy. Tak bardzo pragnąłem znaleźć się w ciepłym łóżku i usnąć, że zapomniałem o przestrodach człowieka w habicie. Jednak zanim dotarłem do opłotków, pociemniało mi w oczach i padłem jak martwy twarzą w śnieg.

### Rozdział 3

– Wystarczy, Andrzeju... – szepnęła Pola, kiedy ujrzała toczące się po twarzy swego męża łzy, i położyła drobną dłoń na jego ramieniu. Sama z trudem panowała nad szlochem, który usiłował się wyrwać z jej piersi. – Czas już do kościoła na pasterkę. Każ Antoniemu zaprzęgać do sań...

Zanim stary Jaxa-Rawecki uniósł się z krzesła, do jego kolan przypadły wnuczęta. Katarzyna i Daria nie kryły łez płynących im po policzkach. Chłopcy z czcią całowali dziadka po rękach. Wiktor po raz pierwszy zwątpił w słuszność podjętej przez siebie decyzji, aby swoje życie związać z armią carską, ale odwrotu już nie było. Leopold, otarłszy ukradkiem oczy, szybko doszedł do siebie i buszował po wigilijnym stole. Choć wzruszył się opowieścią, miał swoje zdanie na ten temat i nie był w nim odosobniony. Iluż to Polaków nosiło rosyjskie mundury, gdyż nauka w szkołach wojskowych była bezpłatna. Dzięki temu mogli uniknąć nie tylko biedy i głodu, ale zrobić karierę i dojść do wysokich zaszczytów. Na mocy carskich rozkazów synowie szlachty mieli do wyboru: albo kariera w aparacie urzędniczym, albo w armii. Leopolda do wojska nie ciągnęło. Został więc urzędnikiem w administracji rządowej, kończąc studia w Warszawie, gdzie poznał Lizę, córkę sędziego. Przez lata nauki w rosyjskich szkołach i lata pracy w rosyjskich urzędach ich sposób myślenia przyjął za własny. „Przecież Rosjanie to tacy sami Słowianie jak my” – zwykł mawiać.

– Gdyby kapani w gorącej wodzie młodzie nie spiskowali – odezwał się tonem pełnym pretensji, gdy odstawił wypitą do połowy kolejną już szklankę z kompotem, zbyt słodkim, jak pomyślał – Wielopolski mógłby dalej za zgodą cara wprowadzać reformy i do owej rzezi, jaką okazało się to całe powstanie, w ogóle by nie doszło. Tylko straciliśmy resztki wolności. Ale widać niektórzy nie wyciągnęli żadnych wniosków z przeszłości – perorował coraz bardziej rozsierdzony. – Znowu tworzą tajne organizacje i związki, pobrzękują szabelkami i do wojny się szykują. Liczą na Austriaków, choć to przecież tacy sami Niemcy jak Prusacy. Rosja to potęga i rację ma Dmowski, w carze szukając oparcia.

– Leo, synku... – Pola przerwała jego tyradę, widząc, że Paweł już otwiera usta, aby wtrącić swoje trzy grosze. Przez represyjną politykę władz rosyjskich Cezary, jego pierworodny, musiał opuścić rodzinne gniazdo. Tylko tego brakowało, aby te dwa koguty skoczyły sobie do oczu przy wigilijnym stole, pomyślała z niepokojem. – Wyprowadź konie ze stajni, bo wiesz, że Antoni rusza się jak mucha w smole i spóźnimy się na pasterkę.

Pół godziny później, pośród śmiechów i pokrzykiwań, młodzie Raweccy wskoczyli do sań, którymi miał powozić Leopold, a starsi wgramolili się do zaprzęgu, gdzie na koźle umościł się ubrany w barani kozuch Antoni, dający gwarancję jazdy statecznej i bezpiecznej. Miał już swoje lata, a za sobą osiem lat służby w 9. Wschodniosyberyjskim Pułku Piechoty i udział w wojnie z Japonią. W bitwie nad Yalu Jiang Japończycy sprawili im krwawą łaźnię, a Antoni został ranny. Choć od tego czasu utykał na lewą nogę, Andrzej Jaxa-Rawecki nie wahał się wziąć go do siebie na służbę, za co zyskał dozągonną wdzięczność i szacunek Antoniego i jego żony, a także gromadki dzieci, które rodziły się rok po roku w Porętowie.

Leopold, udobruchany perspektywą powożenia, wskoczył do sań, chwycił lejce w jedną rękę, drugą strzelił z bata i smagnał konie po zadach. Ruszyły z kopyta i oba zaprzęgi, dzwoniąc donośnie metalowymi bałabonami, brzęcząc kulistymi szeptunami i klekocząc drewnianymi kałatałami uwiązany do skórzanych pasów na końskich szyjach, pomknęły w mrok, drogą pomiędzy bezkresnymi polami, okrytymi śniegiem niczym puchową pierzyną. Ciemne niebo



skrzyło się milionem gwiazd, a wąski sierp księżycy rzucał srebrzysty blask na całą okolicę i twarze siedzących w saniach Raweckich, okrytych ciepłymi derkami i baraniami skórami. Choć noc była mroźna, humory im dopisywały. Jedynie Pola nie brała udziału w wesołej rozmowie, jaka toczyła się między siedzącymi w saniach. Perspektywa zbliżającej się wojny, której tak wielu oczekiwało, napełniała ją lękiem. Andrzej miał rację, myślała, młodzi nie wiedzą, jaką cenę przyjdzie im zapłacić za krótką chwilę radości, gdy ubiorą ich w mundur i wcisną karabin do ręki, a dziewczyna da buziaka na drogę.

Liza, także markotna, przytuliła się do boku swej teściowej, jakby chciała znaleźć w niej bezpieczną przystań. Wciąż w jej uszach brzmiały słowa opowieści teścia. Nie miała pojęcia, że Polacy mieli za sobą tak tragiczną i bolesną historię i że ta historia dotyczyła także jej teścia, którego bardzo szanowała i lubiła. Poczula coś na kształt wstydu za swego ojca, Rosjanina, który był sędzią i przez długi czas pełnił ten urząd także w Warszawie. Być może skazywał bohaterskich Polaków na śmierć lub zesłanie, pomyślała z bólem serca. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z przemocą czy wojną. A ta ponoć zbliżała się wielkimi krokami, choć jej mąż twierdził zgoła co innego. Co stanie się ze mną i dziećmi, gdy Niemcy zaatakują? – myślała przerażona. Ponoć będą używać gazu trującego...

– Czy mama może wie, kto uratował tatę, kiedy tak leżał bez czucia na drodze? Bo przecież nie umarł... – spytała, gdy wraz z pierwszym zaprzęgiem oddalił się gwar głośnych rozmów i donośny śmiech młodych Raweckich siedzących w saniach. Z ciemności dobiegał jedynie wesoły dźwięk dzwoneczków i z daleka migotał chybliwie płomień trzymanej przez Albina pochodni.

– Wiem – odparła po chwili Pola, nachyliwszy się w stronę synowej. Tętent końskich kopyt i głośnie rozmowa na tematy gospodarskie między Andrzejem a Pawłem zagłuszały jej słowa. – Tamtego roku późnym wieczorem do dworu w Porętowie przybiegł nasz stajenny Ignacy. Narobił rabanu, że jakiś Żyd martwy leży przy drodze. Wpadł w panikę, że jego oskarżą o zabicie i obrabowanie tego nieszczęśnika. Gospodarowałam wówczas sama. Mama mnie osierociła, gdy byłam dzieckiem. Ojciec zmarł tuż przed wybuchem powstania, jeden z braci po skończeniu seminarium duchownego otrzymał stanowisko wikarego w katedrze wrocławskiej, a drugi poszedł do powstania. W ten straszny czas zostałam sama jak palec, ze starą kucharką i głupekowatym stajennym. Kazałam zaprząć konia do sań i pojechałam sprawdzić. Z daleka w świetle księżycy dostrzegłam na drodze leżącego bez życia człowieka. Gdy podjechałam bliżej, od razu się przekonałam, że nie mam do czynienia z Żydem, lecz rannym, być może śmiertelnie, powstańcem. Z trudem wciągnęłam go do sań i przywiozłam do dworu. Ulokowałam w alkierzu, tym samym, gdzie teraz jest sypialnia waszych chłopców. Opatrzyłam rany, jak potrafiłam, i jeszcze tej samej nocy udałam się konno przez las do starej babki, która leczyła ziołami.

– A nie lepiej było przywieźć lekarza z Miechowa? – spytała naiwnie Liza.

– Ależ dziecko! – Pola zerknęła na synową z dezaprobatą. – Przecież miasteczko płonęło, Rosjanie rabowali i mordowali bez opamiętania. Bardziej ich się bałam niż wilków, które mogły na mnie napaść po drodze. Ale widać Pan Bóg czuwał nad moim losem, bo wróciłam z leczniczą maścią cała i zdrowa...

Pola nagle umilkła. Wzruszenie zasznurowało jej gardło. Wciąż miała w pamięci tamte dni, jakby to było wczoraj. Cierpiącego Andrzeja i rodzące się między nimi gorące uczucie oraz Rosjan, którzy w poszukiwaniu ukrywających się powstańców zagłądali do dworu, rabując przy okazji żywność i rekwirując konie. Dla rannego Raweckiego przy pomocy Ignacego urządziła w stodole zgrabną kryjówkę w stogu siana, gdzie mógł się schować, kiedy jakiś szwadron carskich dragonów zapędzał się do wsi. Pewnej nocy rozpętała się straszna burza i przełknięta Pola boso, w samej koszuli nocnej, pobiegła do alkierza, gdzie spał Andrzej. Pozostała z nim aż

do rana, wtulona w jego szerokie ramiona, obsypywana piśszczotami, jakich nigdy wcześniej nie zaznała.

– I co było dalej? – pytanie Lizy wyrwało Apolonię z jej słodkich wspomnień.

– Jak to bywa w życiu. – Pola posłała synowej porozumiewawczy uśmiech. – Andrzej się oświadczył i wzięliśmy ślub. Nikt o jego udziale w powstaniu nie wiedział, więc nie został aresztowany. Kiedy pewnego dnia opowiedziałam tę historię naszemu kuzynowi, pisarzowi, zainspirowała go do napisania pięknej powieści. Zresztą pisał ją tutaj u nas, w Porętowie. Oczywiście dla celów literackich, aby uwypuklić problemy społeczne z tamtych czasów, zmienił to i owo.

– Nie miałam o niczym pojęcia – oznajmiła Liza odrobinę zakłopotana swoją niewiedzą. – Ani o tych powstaniach, o represjach, ani o waszej wielkiej miłości. A tę książkę to czytałam. Chyba mi mama nie powie, że straciła wianek przed ślubem jak ta panna z powieści? – Zachichotała porozumiewawczo i po chwili zaniosła się kaszlem.

– Nie podoba mi się twój kaszel, Lizo – Pola wykorzystała sytuację i zmieniła temat. – Czy to aby nie tuberkuloza?

– O, już jesteśmy w Miechowie. – Liza także nie miała zamiaru być szczerą wobec swojej teściowej. Rozmowa na temat zdrowia napawała ją przerażeniem. Była przecież młoda, miała jeszcze dzieci do wychowania, chciała doczekać się wnuków, a nie umierać. – Ileż ludzi podąży na pasterkę! – zdziwiła się, widząc w blasku nielicznych latarni sunące ulicami sanie, wypełnione po brzegi pasażerami, oraz całe rodziny odświętnie odziane, maszerujące w kierunku kościoła Bożogrobców. Biorąc ślub z Leopoldem, z żalem musiała porzucić prawosławie, które uważała za bliższe Bożej prawdzie niż katolicyzm, choćby w kwestii więzi łączących małżonków.

Sanie z pozostałymi Raweckimi już były na miejscu, a Leopold wraz z resztą czekał na ulicy wiodącej do kościoła. Z policzkami zarumienionymi od siarczystego mrozu, z oczyma błyszczącymi z emocji, wciąż sprawiał wrażenie młodzieńca. Choć Paweł urodził się tylko dwa lata przed nim, ze swoimi zgarbionymi plecami i wiecznie zatroskanym wyrazem twarzy sprawiał wrażenie znacznie starszego. Wygramoliwszy się z sań przy pomocy Wiktora i Jerzego, Andrzej obrzucił spojrzeniem całą swoją rodzinę i ruszył w stronę widocznego z daleka kościoła. Im bliżej świątyni, tym tłum stawał się gęstszy, wzrastał się gwar rozmów, zewsząd rozlegało się rżenie koni i krzyki wyrostków, obrzucających się śnieżkami.

– Tatku! – nagle zawołała Katarzyna. – Zostawiłam w saniach mufkę. Zaraz wracam! – I nie czekając na zgodę ojca, odwróciwszy się na pięcie, pomknęła z powrotem w stronę rynku, gdzie został Antoni pilnujący obu zaprzęgów.

Gdy nabrała pewności, że zniknęła rodzicom z oczu, zwolniła kroku i z kieszonki obszytego futerkiem palta wyciągnęła małe lusterko. Z uwagą zerknęła na swoje odbicie. Policzki mam czerwone jak chłopka, pomyślała niezadowolona, i usta całkiem spieczone. Brązowe oczy wydawały się jeszcze większe i płonęły dziwnym blaskiem. Rozsypane na ramionach jasne włosy, całe w drobnych lokach, ładnie kontrastowały z czarną czapeczką obszytą puszystym futrem. Rozejrzała się uważnie w poszukiwaniu znanych sobie sylwetek lub twarzy, a nikogo znajomego nie zauważywszy, pobiegła w stronę tonącej w ciemnościach Wolbromskiej. Ulica zdążyła już całkiem się wyludnić, bo msza właśnie się rozpoczęła. Katarzyna zwolniła kroku, wpatrując się w mrok przed sobą. W panującej wokół ciszy słyszała mocne bicie własnego serca i przyspieszony oddech. Dopiero po chwili dostrzegła odcinającą się od bieli śniegu ciemną sylwetkę wysokiego mężczyzny stojącego pod drzewem. Już jest, pomyślała.

## Rozdział 4

Katarzyna z sercem trzepoczącym się jak ptak na uwięzi ruszyła w stronę niecierpliwie czekającego na nią mężczyzny. Rozpoznała go natychmiast, choć wszędzie panowały ciemności, rozświetlane jedynie przez blade sierp księżycy i śnieg leżący wokoło. Ubrany w dragoński zimowy mundur, w czapce obszytej karakułowym futerkiem, z wiszącą u boku szaszka o mosiężnej, lśniącej w blasku księżycy rękojeści, trzymał za uzdę karego konia. Drugą ręką delikatnie gładził jego aksamitne chrapy, chcąc uspokoić zwierzę, nerwowo przestępujące z nogi na nogę, prychające raz po raz, jakby nie mogło doczekać się jazdy.

– Katarzyno Pawłowna... – szepnął, gdy dziewczyna podeszła całkiem blisko, i ująwszy ją za rękę, czule przytknął wnętrze jej dłoni do swych ust. Ich żar zdawał się parzyć jej skórę. – Dziękuję, że pani przyszła. Tak bardzo tęskniłem. Brakowało mi pani obecności jak powietrza, jak słońca na niebie. A pani? Pani tęskniła choć odrobinę? – wypytywał, wciąż ściskając jej rękę.

– Tak, Igorze Piotrowiczu – odparła szeptem, nie mogąc oderwać od mężczyzny rozkochanego spojrzenia. – Bardzo tęskniłam. Jedynie wasze listy, tak czule, pozwoliły mi przetrwać czas rozłąki.

Poznali się przed miesiącem, na balu zorganizowanym przez burmistrza Miechowa z okazji imienin carowej Aleksandry, na który Paweł i Agnieszka Rawecy wraz z córką otrzymali zaproszenie. Dla rodziców było to wyróżnienie, świadczące o ich pozycji w społeczności miasteczka, a dla Katarzyny pierwszy wielki bal, wprowadzający ją w dorosłe życie. Z emocji nie jadła i nie spała przez dwa dni i dwie noce. W efekcie jej twarz pobladła, a pod oczyma pojawiły się cienie, co tylko dodało jej uroku i tajemniczości. Gdy orkiestra zagrała pierwszego walca, z niepokojem śledziła, jak siedzące po jej obu stronach wystrojone panny jedna po drugiej były proszone do tańca, a na nią nawet nikt nie spojrzał. Nikomu się nie podobam, pomyślała, to pewnie przez te loki, które znowu wymknęły się spod klamry. Wyglądam jak nieuczesa. I muszę przestać się uśmiechać, bo, jak mówi mama, mężczyznom podobają się dziewczęta stateczne, a nie trzpiotki chichoczące po kątach. Może jednak mama ma rację, że jestem za chuda i powinnam jeść więcej klusek, a mniej jeździć konno po polach? Może przez to wciąż mam drobne piersi? Czym będę karmić dzieci, które przyszlęmu mężowi urodzę? Opuściła wzrok na dekolt swojej wieczorowej sukni, uszytej z kremowej delikatnej tkaniny, spływającej prawie do samej podłogi. Obramowany koronką, odsłaniał dwie, co prawda niewielkie, ale kształtne półkule. Tuż nad nimi migotał w świetle lamp szmaragdowy wisiołek na złotym łańcuszku otrzymany w prezencie od babci Poli.

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Przez środek rzeźbionej oświetlonej sali balowej prosto w jej stronę zmierzał oficer w galowym mundurze dragona. Dopasowana kurtka, zapinana na jeden rząd guzików, podkreślała jego zgrabną sylwetkę i szerokie ramiona. Górował nad innymi mężczyznami wzrostem, a czarne jak skrzydła kruka, falujące włosy lśniły w świetle kryształowych lamp. Równie czarne wąsy, starannie przycięte, uwypuklały jego zmysłowe usta. Gdy skłonił się tuż przed Katarzyną, poczuła przyspieszone bicie serca i oblewający jej policzki niechciany rumieniec.

– Igor Piotrowicz Kaledin, porucznik dragonów – przedstawił się i prosząc Katarzynę do tańca, wyciągnął w jej stronę dłoń w nieskazitelnie białej rękawiczce.

Ledwie zdążyła wydusić z siebie, jak miała na imię, gdy silnym ramieniem objął jej szczupłą talię i w takt muzyki powiódł pomiędzy tańczących. Jego ramiona przysłoniły jej cały świat. Przed oczyma miała jedynie długi rząd guzików jego munduru, odznakę pułkową

w kształcie gwiazdy, przypiętą w miejscu, gdzie biło serce, i nieznany jej wiszący pod szyją order. Jednak gdy podniosła wzrok ku górze, napotkała parę oczu czarnych jak noc i równie jak noc głębokich. Miała wrażenie, że całkiem w nich utonęła. Wpatrywali się w siebie bez słów, które wydawały się im całkowicie zbędne. Spojrzenia mówiły więcej niż najbardziej wymyślne słowa, a upojna muzyka granych jeden po drugim walców dopowiadała reszty. Gdy bal dobiegł końca, Katarzyna była już zakochana po same uszy. Pierwszy raz w życiu.

Jednak jej szczęście nie trwało długo. Już w drodze do domu usłyszała od ojca, że tańcząc cały wieczór z carskim dragonem, zachowała się nieodpowiedzialnie. Cóż z tego, że oficer z szlacheckim tytułem, lecz Rosjanin, zaborca. Dziadek Andrzej na taki związek nigdy zgody nie wyrazi. Wystarczy, że Wiktor jest w rosyjskim wojsku. Syn aptekarza, Ksawery Drogosz, to dla niej odpowiednia partia. Rodzina zamożna, wywodząca się ze szlachty, o tradycjach powstańczych. Chłopak obejmie aptekę po ojcu, a po matce dostanie pięćdziesiąt morgów gruntu. I urody też mu odmówić nie można. Cóż z tego, że słabego zdrowia. Skrzypiące koło dłużej jedzie, odparł ojciec na zarzut Katarzyny, że nie ma zamiaru wcześniej owdowieć. Resztę nocy dziewczyna przepłakała, tuląc twarz w poduszkę. Rano wstała zapuchnięta, z oczyma czerwonymi od morza wylanych łez. Ale ojciec pozostał nieugięty. Nie wolno jej spotykać się z Kaledinem.

– Przecież stryj Leopold ożenił się z Rosjanką! – nie mając zamiaru się poddać, na drugi dzień podczas obiadu wróciła do sprawy. – I nikomu się krzywda nie stała, a dziadek Andrzej bardzo lubi ciocię Lizę!

– Ale jej matka była Polką! – odparł Paweł stanowczym tonem i odsunął od siebie talerz z kapuśniakiem. Już go paliła zgaga. Nie wiedział, czy po zupie, czy z nerwów. – A po ślubie Liza przeszła na łono Kościoła katolickiego i twoi kuzyni są wychowywani w naszej wierze.

Nie pomogły nawet słowa Agnieszki, która leżąc już w małżeńskim łóżku, wstawiła się za córką, przypominając Pawłowi, że on także nie był posłuszny woli rodziców i się ożenił, zamiast iść do seminarium duchownego. Ale ojciec pozostał nieugięty. Widząc jej rozpacz, Hana Rubinka, sprzedawczyni koronek w sklepie przy rynku, podjęła się pełnić funkcję posłańca, potajemnie nosząc listy zakochanych między jej sklepem a koszarami na Wolbromskiej. Wieczorna msza w Wigilię stwarzała szansę na ukradkowe spotkanie zakochanych pod osłoną nocy, z dala od czujnych spojrzeń rodziców.

Kaledin objął Katarzynę w pół i wolnym krokiem ruszyli w dół ulicy, zostawiając za sobą niewysokie domy o wygaszonych oknach. Trzymany za wodze koń grzecznie podążał tuż obok. Stukot jego kopyt zagłuszał czułe słowa, które Igor szeptał dziewczynie do ucha. Gdy domyślny księżyc skrył twarz za chmurą, Igor wypuścił z rąk wodze i biorąc Katarzynę w ramiona, obrócił ku sobie. Drżąc z emocji, zarzuciła mu ręce na szyję. Stała na palcach i przymykając oczy, wystawiła ku niemu spragnione pocałunków usta. Choć sobie wiele razy wyobrażała, jak będzie wyglądał ten pierwszy raz, rzeczywistość przerosła jej najśmielsze oczekiwania. Świat zawirował jak oszalały, a ona razem z nim. Pozbawiony kontroli koń, nie wiedząc, co zrobić z niespodziewanie odzyskaną wolnością, ruszył w stronę koszar, aby po chwili przystanąć niepewnie. Potrząsał łbem, spoglądając na swego jeźdźcę, który wciąż tulił dziewczynę w objęciach. Ogarnięci namiętnością nawet nie zauważyli, kiedy jej spadła czapka z głowy. On swoją sam cisnął w śnieg, aby nic mu nie przeszkadzało w całowaniu ukochanej. Odrywali się od swoich ust jedynie po to, aby spojrzeć sobie głęboko w oczy i upewnić się, że ta chwila nie była snem.

– *Wasze błagorodie...* – usłużny głos ordynansa porucznika, Wasyla, który niespodziewanie wynurzył się z ciemności, wyrwał Katarzynę z objęć Kaledina. – Już pora. Nabożeństwo dobiega końca.

Postawiony przez swego chlebodawcę na straży, miał pilnować czasu, który los przeznaczył dla zakochanych. Opuszczając usłużnie wzrok, pozbierał z ziemi obydwie czapki. Rękawem płaszcza starannie oczyścił ze śniegu, a Katarzyna, wciąż czując na ustach piekący żar pocałunków, usiłowała doprowadzić do porządku zburzoną przez dłonie Igora fryzurę.

– To dla was, Jekatierino, abyś zawsze miała mnie przy sobie – szepnął Kaledin, wręczając speszonej dziewczynie swoją fotografię, oprawioną w ramki.

– Ja też mam dla was prezent, Igorze Piotrowiczu – szepnęła nabrzmiałymi od pocałunków ustami.

Rozpięła palto i wyciągnęła zza stanika skrywany tam przez cały dzień srebrny medalion, wiszący na czerwonej wstążeczce. Podała go Igorowi z drżeniem serca. Wciąż miał w sobie ciepło jej ciała. Kaledin z czułością przytknął go do swych ust. Gdy po chwili otworzył medalion i ujrzał fotografię Katarzyny, chwycił ją w objęcia i raz jeszcze mocno pocałował.

– Dostałem urlop i muszę pojechać do rodziców na święta – oświadczył, z zalem wypuszczając ją z ramion. – Wrócę za trzy tygodnie.

– Za trzy tygodnie? – podniosła na niego szeroko otwarte, zdumione oczy, w których momentalnie zaszklili się łzy. – Dlaczego tak długo, Igorze Piotrowiczu? Ja tego nie przeżyję... Umrę z tęsknoty... – Z trudem panowała nad sobą, aby nie wybuchnąć szlochem.

– Mnie też będzie ciężko, kochana moja... – Nie patrząc na obecność ordynansa, stojącego z oczyma utkwionymi na czubkach swoich żołnierskich sięgających kolan butów, raz jeszcze mocno przygarnął Katarzynę do piersi. – Ojciec chce się ze mną zobaczyć. Zresztą ja też muszę z nim porozmawiać. O nas. Wrócę najszybciej, jak będę mógł. Miłuję cię nad życie – szepnął, patrząc Katarzynie głęboko w oczy. – A ty? Miłujesz mnie?

– Miłuję... – odparła przez łzy. – Nawet nie umiem powiedzieć, jak bardzo, bo nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale kocham cię tak, jak się kocha tylko raz w życiu. Nie wiem, jak mogłam do tej pory żyć bez ciebie...

Jeszcze jedno muśnięcie ust, jeszcze jeden uścisk dłoni, ostatnie spojrzenie i Katarzyna, tłumiąc szloch, puściła się biegiem poprzez mrok ulicy w stronę kościoła, z którego wierni już zaczęli się wysypywać po skończonej mszy.

## Rozdział 5

Kiedy Kaledin i objuczony walizkami Wasyl wysiedli z pociągu na stacji drogi żelaznej landwarowo-romeńskiej, przysłane z majątku rodziców sanie, zaprzężone w trójkę koni, już na nich czekały. Igor wskoczył ochoczo na przykryte futrem siedzenie, a Wasyl przymocował bagaże z tyłu sań i zajął miejsce obok ubranego w barani kozuch woźnicy. Ponaglone batem konie puściły się galopem po ubitym śniegu, grubą warstwą zalegającym na drodze wiodącej do Sołowiejki, majątku Kaledinów. Od czasu rezygnacji ze służby wojskowej Piotr Iwanowicz hrabia Kaledin, ojciec Igora, wraz z żoną i dwójką najmłodszych dzieci, bliźniakami Piotrem i Pawłem, przeprowadzili się z Warszawy właśnie tam, do swojego starego dworu. Siostra Igora wyszła za mąż i zamieszkała w majątku męża pod Moskwą. Dźwięk dzwoneczków, tętent kopyt i obłoki pary buchające z końskich nozdrzy oraz pokryte śniegiem niczym puchową pierzyną bezkresne pola, rozpościerające się po sam horyzont, aż do niedalekiego Dniepru skutego lodem, poprawiły Igorowi humor, zwarzony długą podróżą w towarzystwie dwóch kupców, zatroskanych o swoje interesy prowadzone z Niemcami i Austro-Węgrami.

– *Gospodin poruczik* – zagadywał jeden z nich, z trudem łapiąc oddech z powodu obfitej tuszy. Wydatny brzuch zmuszał go do siedzenia z szeroko rozsuniętymi nogami – czy to prawda, że zanosi się na nową wojnę na Bałkanach? Serbowie przecież nie spoczną, dopóki nie stworzą Wielkiej Serbii, skupiającej wszystkich Słowian południowych. Mają ambicje być nowym Piemontem. Szmuglują do Bośni i Hercegowiny materiały propagandowe, nawołujące do stosowania przemocy wobec Habsburgów. Jakkolwiek by patrzeć, to przecież okupanci.

– Byłem w Sarajewie nie dalej jak trzy miesiące temu – zaczął drugi kupiec, nieco młodszy i znacznie szczuplejszy od swego współnika w interesach. – Tam się gotuje jak w garnku z bigosem. Nie powiem, nowa część miasta, wybudowana przez Habsburgów po pożarze z ubiegłego wieku, cieszy się luksusowymi hotelami, kawiarniami i restauracjami na miarę europejską, jest teatr i kinematograf, sklepy z drogą odzieżą i deptaki. Ale panoszą się tam cesarsko-królewscy urzędnicy, nowe elity chadzą do kościołów katolickich, wszędzie słychać niemieckie szwargotanie. A tuż obok jest stara część Sarajewa, gdzie bida aż piszczy. Brak wody i kanalizacji, ludzie mieszkają w starych domach czynszowych, barakach lub zgoła ruderach. Kalekie dzieci żebrzą na ulicach. Prawosławni Serbowie chodzą do cerkwi, katolicy Chorwaci do kościołów, a muzułmańska większość do meczetów. Bośniaccy Serbowie nie pogodzili się i nigdy nie pogodzą, że ich etniczne ziemie zajęli Habsburgowie. Coraz częściej domagają się, aby Bośnię przyłączyć do Wielkiej Serbii. To musi kiedyś wybuchnąć. Jeśli dojdzie do wojny, to zacznie się właśnie tam, w Sarajewie – stukając palcem w blat niewielkiego stolika ustawionego pod oknem, zakończył swój wywód i chrząknął.

Rosja też bywa postrzegana przez niektóre ludy jako zaborca czy okupant, pomyślał Kaledin, ale uwagę zostawił dla siebie.

– Mości panowie. – Uśmiechnął się szeroko. – Imperator popiera dążenia Serbów. To zrozumiałe, bo przecież Serbowie to sojusznik przeciwko Turkom. Ale gdyby szło ku wojnie, car ogłosiłby mobilizację. Zebranie kilku milionów rezerwy wojskowej wymaga czasu, a jak widzicie, ja do domu na urlop jadę. Nasz car to mądry człowiek i nie da się wciągnąć do wojny – pocieszył ich na koniec i założywszy nogę na nogę, zapalił papierosa.

Jednak w głębi duszy Kaledin nie był przekonany do swoich słów. Niedawna wojna z Japonią odsłoniła brak należytego przygotowania armii rosyjskiej i wewnętrzne słabości państwa, co zaowocowało wybuchem rewolucji. Choć utopiono ją w morzu krwi, problemy nie

tylko nie zostały rozwiązane, ale nabrzmiewały z każdym rokiem jeszcze bardziej. Car jak zawsze unikał podejmowania jakichkolwiek decyzji czy reform. Zamiast rządzić państwem, spędzał beztrosko czas z rodziną w Carskim Siole. Jeśli wojna wybuchnie i przybierze niekorzystny dla Rosji obrót, w kraju dojdzie do nowej rewolucji, pomyślał Kaledin. Gdybym to ja miał w tym zakresie podejmować decyzje, za wszelką cenę bym unikał konfliktu zbrojnego. Brakuje nam nie tylko uzbrojenia, ale nawet butów dla żołnierzy.

Jednak decyzje nie od niego zależały, choć wojennym rzemiosłem nasiąkał od dziecka. Jego ojciec był generał-majorem i do czasu nieudanego zamachu na jego życie w 1909 roku pełnił funkcję dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego oraz był prawą ręką generała-gubernatora Gieorgija Skałona. Piotr Iwanowicz od dziecka wpajał synowi zamiłowanie do armii i wszystkiego, co rosyjskie. Nic zatem dziwnego, że Igor, podobnie jak jego ojciec, ukończył Korpus Kadetów, a dwa lata później Mikołajewską Szkołę Kawalerii w Sankt Petersburgu. W 1910 roku awansował na podporucznika, a przed dwoma laty objął dowództwo plutonu dragonów w Miechowie, awansując na porucznika. Kaledinowi przyszło na myśl, że system samowładny nie przetrzyma próby nowej wojny, a kolejna rewolucja zmiecie stary porządek z wielkim hukiem. Jaką cenę przyjdzie jemu zapłacić, jeszcze nie wiedział.

Z rozmyślań o wojnie wyrwał go widok rodzinnego domu, bardziej przypominającego pałac niż szlachecki dwór. Piętrowy, z wejściem ukrytym w środkowym ryzalicie fasady, posadowiony w otoczeniu zadbanego parku, z daleka lśnił bielą ścian. Okna od frontu jarzyły się ciepłym blaskiem naftowych lamp, a na powitanie młodszego hrabiego Kaledina wybiegła służba, kłaniając się w pas. Ojciec czekał na niego w gabinecie, czytając gazetę. Od czasu zamachu jakby bardziej się postarzał, a wyraz jego twarzy stał się bardziej zacięty. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w samochodzie, na który zamachowcy rzucili bomby, jego nie było. Jedynymi ofiarami stali się przypadkowi przechodnie, ale ich losem generał-major Kaledin nie zaprzętał sobie głowy. Jednak ten zamach, tak jak wszystkie poprzednie na urzędników carskiej administracji, zdołał wyrzucić na nim tak silne wrażenie, że złożył dymisję i zaszył się na wsi, z dala od wszelkich zamachowców i rewolucjonistów, jak sądził. Czas miał pokazać, że był w błędzie.

Gdy Igor wszedł do gabinetu, hrabia Kaledin wstał, aby uściskać swego pierworodnego. Poprawił poły obszernego jedwabnego szlafroka, w którym miał zwyczaj paradować do wieczora, i szeroko otworzył ramiona. Patrząc na syna, dostrzegał w nim siebie sprzed lat. Ten sam wzrost i barczyste ramiona, to samo dumne spojrzenie i prosty nos, rzymski, jak mówiły stare ciotki. Jedynie kruczoczarne włosy i ciemne głębokie oczy miał po matce Gruzince, Tamarze Tuaszwili. Po niej też odziedziczył gorącą krew i porywczosć, co w latach wczesnej młodości przysparzało rodzicom, a także nauczycielom sporo kłopotów. Ale hrabia Kaledin widział w synu także kontynuatora swojej wojskowej kariery, tak bezceremonialnie przerwanej przez bezduszny zamach przeprowadzony przez Polaków, w tym jedną kobietę, co stanowiło dla generał-majora szczególnie dotkliwą okoliczność. Zbrodniarka ta, jak o niej mawiał, zdołała ująć odpowiedzialności, popełniając samobójstwo. Stary hrabia Kaledin zaliczał się do konserwatystów, zwalczających kosmopolityzm, modernizm i sufrażystki. Jako gorący patriota, a za takiego się uważał, pochwalał samowładztwo, a Rosja, jego zdaniem, była krajem wyjątkowym, różniącym się zarówno od państw europejskich, jak i azjatyckich, kulturą i historią oraz niepowtarzalną tradycją. Był także typowym patriarchą, wokół którego kręciło się życie całej jego rodziny. Grał w niej pierwsze skrzypce, a wszyscy tańczyli w takt jego ulubionych melodii i nikt się nie ważył przeciwstawić jego decyzjom. O skrywanej głęboko tajemnicy, która kiedyś stanowiła dla niego przedmiot wstydu, zdążył ostatnio zapomnieć. Ale chwila, w której miano mu o tym przypomnieć, już stała za graniem.

– Ojcze! – Igor przypadł do ojcowskiej ręki, którą ucałował z szacunkiem i miłością. – Jak wasze zdrowie? Kolki wątrobowe ustąpiły?

– Bogu dziękować, wątroba ma się lepiej. Nasz lekarz przepisał mi jakieś cuda czyniące mikstury. – Stary hrabia z czułością pogładził odznakę pułkową przypiętą do munduru syna. – Jednakowoż, mój synu, momentami żółć mnie zalewa, kiedy słyszę takie bzdury, aby szerokie reformy przeprowadzić! Carat zlikwidować! Kto widział hołotę do rządów dopuszczać?! Toż to koniec świata byłby. Będą się spierać, klócić i nigdy żadnej decyzji nie podejmą. I jeszcze ci socjaliści w głowach chłopom mącą. Równość zapowiadają, czyli odebranie bogatym i rozdanie biednym! A oni to wszystko zmarnują, zatracą, wniwecz obrócą – zżymał się, drepcząc tam i z powrotem po obszernym gabinecie, którego ściany zajmowały wysokie pod sufit regały z książkami. Przyjdzie czas, że ci chłopci, o których mówił z taką pogardą, przerobią księgi na bibułę papierosową. – Czasami napotykam ukradkowe spojrzenia naszych kmiotków. Kiedyś pełne oddania i pokory, dziś są wrogie i żadne zemsty. Zastanawiam się, czy nadal jesteście bezpieczni w naszej Sołowiejce, czy rzucą się nas zarzynać, jak ci z grupy „Śmierć za Śmierć”? – spytał na koniec grobowym głosem i wzdygnął się, jakby ujrzał nadciągającą apokalipsę, której nikt i nic nie mogło zapobiec, a która miała Rosję utopić w morzu krwi.

– Mam nadzieję, że nasz car nie dopuści do wojny, bo wówczas masy mogą się całkiem zrewolucjonizować, a to będzie oznaczało koniec nas wszystkich. – Po raz pierwszy Igor zdał sobie sprawę, że wojna będzie dotyczyć nie tylko jego, bo na to był gotowy, a nawet w pewnym stopniu tego pragnął, ale także jego bliskich. W najczarniejszych snach nie wyśnił, co zgotował im los.

– Ależ co ty mówisz! – obruszył się stary hrabia i mocniej zawiązał pasek szlafroka. – Jak raz będzie odwrotnie. Zobaczysz. Lud rosyjski jest głęboko patriotyczny i religijny. Kiedy *Matuszka Rossija* zostanie zaatakowana, zjednoczy się wokół cara.

Z matką i dwoma młodszymi braćmi, podobnymi do siebie jak dwie krople wody, Igor spotkał się dopiero przy kolacji. Piotr i Paweł siedzieli tuż obok siebie za stołem nakrytym śnieżnobiałym obrusem, obaj w mundurach Korpusu Kadetów. Poszli w ślady ojca i starszego brata. Obaj smagli jak matka, o równie czarnych i mocno kręconych jak ona włosach, tylko szare oczy odziedziczyli po ojcu. Wpatrywali się w Igora jak w święty obrazek. Ileż to słów pochwały na jego temat słyszeli od rodziców! Jedyne niania, mająca w pamięci porywczy charakter Igora, który gniewem reagował, jeśli coś było nie po jego myśli, wołała głosu nie zabierać. Natomiast matka, ubrana w ciemną suknię ze stójką ozdobioną kremową koronką, z włosami przyprószonymi na skroniach delikatną siwizną, nie spuszczała z najstarszego syna zatroskanego spojrzenia. Piął się po szczeblach kariery wojskowej równie szybko jak jego ojciec. Na niego anarchiści czy bandyci także mogą dokonać zamachu, nawet w tym z pozoru spokojnym Miechowie, pomyślała. Dla nich nie ma znaczenia, gdzie i na kogo podnoszą rękę. Pamiętała rok 1906, kiedy jeszcze mieszkali w Warszawie. Nie było wówczas tygodnia, aby gdzieś nie wybuchła jakaś bomba lub nie dokonano napadu rabunkowego. Strach było wyjść na ulicę, robotnicy strajkowali, w sklepach brakowało towarów. Nie pomagały liczne patrole żandarmów, kozaków czy dragonów oraz rewizje w podejrzanych mieszkaniach. Jednego dnia z powodu eksplozji wyleciały szyby z okien w ich mieszkaniu przy Marszałkowskiej. Kawałki szkła niczym latające sztylety wbijały się w meble i pokaleczyły ją oraz służącą, podającą właśnie herbatę w salonie. Boże, zmiłuj się nad nami, modliła się w myślach. Miej w opiece moich synów i *caria chrani*.

Służba niczym nakręcane marionetki z wprawą podawała do stołu, stawiając przed domownikami pełne półmiski, wynosząc te opróżnione z potraw, nakładając na talerze, dolewając wina do kieliszków lub kompotu do szklanek. Poruszała się bezszelestnie, aby



w niczym swemu państwu nie przeszkadzać, nie śmiać nawet podnieść na nich wzroku.

– Muszę wam coś powiedzieć – oznajmił Igor, gdy na stole pojawiły się owoce na deser. Kilka par oczu zawisło na jego twarzy z uwagą i zapadła cisza. – Chciałbym się ożenić – dodał po chwili i rozpromienionym wzrokiem potoczył po najbliższych mu ludziach zebranych za stołem. Choć nigdy wcześniej z rodzicami nie rozmawiał na temat swego ewentualnego ożenku, domyślał się, że tego właśnie od niego oczekiwali. Miał już dwadzieścia sześć lat i jego kariera wojskowa rozwijała się prawidłowo. Brakowało tylko żony i dzieci.

Twarz hrabiego Kaledina pokraśniała z zadowolenia i dolał sobie wina do kieliszka. Wychylił duszkiem i oznajmił:

– Najwyższy czas ku temu, mój synu, najwyższy. Kim jest twoja wybranka?

– To Jekatierina Pawłowna Rawecka z Miechowa...

– Polka? – Stary hrabia zastygł z pustym kieliszkiem w dłoni, a w jego oczach pojawił się błysk niezadowolenia.

– Polka – odparł Igor. – Czy to ma jakieś znaczenie? – Spojrzał na ojca zaskoczony jego pytaniem. – Jest przecież poddaną cara jak my wszyscy.

Emerytowany generał-major nagle poczuł się zawiedziony. Od dziecka starał się wpoić synowi miłość do wszystkiego, co rosyjskie, a on okazał się odporny na ojcowskie nauki. Stary Kaledin był zagorzałym zwolennikiem rusyfikacji i popierał w tym zakresie działania gubernatora Skałona, który wyrugował język polski ze szkół i urzędów, zaostrzył cenzurę i zaciekle zwalczał wszelkie przejawy polskości. Przyczyną zamachu na generał-majora była jego represyjna polityka prowadzona wobec Polaków, a nade wszystko setki wyroków śmierci, które wydawał na uczestników strajków i manifestacji. Z całego serca nienawidził Polaków, a tu nagle jego syn chce się ożenić z Polką. To przekraczało jego cierpliwość.

– Z jakiej rodziny pochodzi? – Tamara Kaledina usiłowała sprowadzić rozmowę na właściwe tory. Ona przecież też nie była Rosjanką. Bywały momenty, że jej to wypominano.

– Oczywiście ze szlachty. Herbu Gryf. – Igor jeszcze niczego złego w tych pytaniach ojca nie dostrzegał, choć zaniepokoił go zacięty wyraz jego twarzy. – Jaxa-Raweccy pochodzą z bardzo starego rodu, wywodzącego się od rycerza, który walczył w Ziemi Świętej.

– Tym gorzej – syknął hrabia, nie panując już nad nerwami. – Ty nie wiesz, co to za naród, ci Polacy, a zwłaszcza szlachta! Polak i rebeliant znaczy to samo! – Dolał sobie wina i wypił duszkiem. – To wichrzyciele i buntownicy!

– Czy jest ładna? – Matka za wszelką cenę starała się nie dopuścić do rodzinnej awantury, ale hrabia nawet nie czekał na odpowiedź syna, który sięgnął do kieszonki na piersiach, gdzie nosił fotografię Katarzyny.

– Cóż z tego, że ładna?! – podniósł głos, nie bacząc na obecność najmłodszych synów siedzących przy stole.

Dla nich ojciec gromkim głosem wymuszający posłuszeństwo nie stanowił żadnej nowości. Na wszelki wypadek, aby i im się przy okazji nie oberwało, zainteresowali się gruszkami w miodzie, które nałożyli sobie na talerze i zabrali się do jedzenia.

– Czyżbyś nie pamiętał, że to Polacy chcieli mnie zabić, rzucając bombę na mój automobil?! Oni tylko spiskować potrafią! Jak się żonie narazisz, gotowa ci trucizny zadać, bo sobie przypomni, żeś zaborca. Mój syn nie poślubi Polki, choćby najpiękniejszej! A jeśli postąpi wbrew mej woli, to wydziedziczę! – wykrzyczał na koniec, wskazując wyciągniętą ręką drzwi, jakby dawał do zrozumienia, że było to równoznaczne z wyrzuceniem Igora z rodzinnego domu.

– Tak? – Oczy Tamary Kalediny zwięzły się w szparki. – Czy mam ci, Piotrze Iwanowiczu, przypomnieć pewien fakt, o którym chyba zdążyłeś zapomnieć?

Igor, który już miał zamiar wstać od stołu i opuścić ojcowski dom, być może na zawsze,

zastygł w bezruchu. Odkąd sięgał pamięcią, matka jeszcze nigdy mężowi się nie sprzeciwiła.

– O czym mówicie, Tamaro Grigoriewna? – ton Piotra Kaledina stał się oficjalny, a twarz wykrzywił mu grymas wściekłości.

Z niecierpliwością poruszył się na krześle i wbił w małżonkę twarde spojrzenie, ale ona tym razem się nie ulękła. Syna kochała nade wszystko i gotowa była walczyć o jego szczęście. Krew gruzińskich przodków, nieustraszonych wojowników, zawrzała w jej żyłach.

– O tym, że wasza matka była polską szlachcianką! Nazywała się Lamparska. Sama się do tego przyznała, a nawet, powiem więcej, była z tego dumna. Wiele mi o swojej rodzinie opowiadała i wierz mi, nie miała powodów do wstydu. Niech jej ziemia lekką będzie... – Trzema palcami nakreśliła na piersiach znak krzyża.

Hrabia Kaledin poczerwieniał na twarzy. Był święcie przekonany, że wiedza o tym wstydlivym fakcie zesła z tego świata wraz ze śmiercią jego rodziców. Bywały chwile w jego życiu, kiedy polską krew wypominali mu zwierzchnicy, nie mając do niego pełnego zaufania, a przecież takich jak on było wielu. Aby nikt mu nie mógł zarzucić, że w swym postępowaniu kieruje się sympatią do rodaków, starał się jak najgorliwiej zwalczać wszelkie objawy polskości. Zerwał się zza stołu i wybiegł z pokoju, tak mocno potrącając zmierzającą do jadalni służącą, że wypuściła z rąk tacę, na której stał dzbanek z kawą. Z hukiem roztrzaskał się o podłogę, ochlapując dziewczynę wrzątkiem.

## Rozdział 6

Nastała wiosna 1914 roku, ciepłymi promieniami słońca budząc do życia rozległe pola i łąki Wyżyny Miechowskiej. Na zbocza porośnięte soczystą murawą sypnęła żółtymi jaskrami i lnem złocistym, parowy i wąwozy zaróżowiła storczykami, pobielila zawilcami zacienione gaje, rozdzwoniła fioletowymi dzwoneczkami świetliste zarośla. Obudzone do życia owady bzywały i brzęczały pośród wysokich traw, szukając słodkiego nektaru. Bociany i czaple, brodząc dostojnie po mokradłach, z uwagą wypatrywały żab, zaskrońców, jaszczurek, a nawet rzadkich gniewoszów, węży z widniejącą na głowie brązową plamą w kształcie serca. Z głośnym świergotem powróciły w rodzinne strony pstrokate dudki, remizy i pliszki wraz z całą czeredą innego ptactwa, uwijając się w koronach drzew, buszując po zaroślach, aby wyszykować gniazda na powitanie przyszłego potomstwa.

Była to ulubiona pora roku Katarzyny. Odkąd nauczyła się dosiadać wierzchowca, kiedy przychodziła wiosna, niemal każdego dnia wkładała strój do konnej jazdy, wyprowadzała ze stajni ojca swoją ulubioną cisawą klacz o imieniu Ruda i puszczała się w stronę rozległych pól i łąk rozpościerających się tuż za szpitalem. Po kilku minutach galopu piaszczysta ścieżka zniknęła za wysokim wzgórzem o łagodnych zboczach, porośniętych ziołami i polnymi kwiatami, rozsiewającymi wokół upojną woń. Wymarzone miejsce na spotkania dla zakochanych, pragnących utrzymać w tajemnicy swój związek.

Kaledin powiadomiony liścikiem przyniesionym do koszar przez Hanę, skrywszy się w cieniu stepowych wiśni porastających wzgórze, z niecierpliwością czekał na Katarzynę. Jego wierzchowiec, prychając raz po raz, z apetytem skubał soczystą trawę rosnącą wokoło. Gdy tylko Katarzyna znalazła się blisko nich, zeskoczyła z siodła i z impetem przypadła do Igora.

– Tęskniłaś za mną? – wypytywał, tuląc ją w objęciach.

– Do utraty tchu – odparła szeptem, wpatrując się w jego oczy. – Cały mój świat to ty. Dopóki się nie pojawiłeś, nie było słońca ni gwiazd na niebie.

Zaspokoiwszy pierwszy głód tęsknoty, dosiedli wierzchowców i ciesząc się bliskością, swobodą i wiatrem smagającym ich po rozpalonych policzkach, galopowali przed siebie, byle dalej od Miechowa, gdzie mogły ich wyśledzić ciekawskie oczy zazdrośników. Nie zwrócili nawet uwagi na nadciągające od zachodu ciemne chmury. Powiał wiatr, początkowo niczym zefirek naginający wysokie trawy, aby po chwili przybrać na sile. Świszczał i zawodził, gnając po polach, targając konarami nielicznych drzew. Wraz z pierwszym grzmotem lunął rześisty deszcz.

– Włóż to, bo przemokniesz. – Igor osadził wierzchowca, zdjął kurtkę od munduru i podał Katarzynie. – Tam jest jakaś szopa... – Wskazał ręką przed siebie.

Smagnęli konie szpicrutami i pomknęli sieczeni deszczem, którego chłodne strugi spływały im po twarzach, wlewały się za kołnierze, ściekały po plecach. Zanim dotarli do opuszczonej szopy, służącej kiedyś za stodołę gospodarstwa, które popadło w ruinę w bliżej nieokreślonych okolicznościach, Kaledin był przemoczony do suchej nitki. Jego kurtka ochroniła Katarzynę, lecz z jej długich włosów, zwiniętych pod wpływem wilgoci w drobne pierścionki loczków, kapwały krople wody. Mokłą też miała spódnicę i to, co pod nią.

Igor, uwiązawszy konie do jednego ze słupów, rozejrzał się po ich tymczasowym gospodarstwie. Zebrał kilka garści starej słomy, oderwał od ściany trochę obluźwanych desek i połamał na kolanie na kawałki. W pobliżu otworu pozostałego po zaginionych nie wiadomo kiedy wrotach sprawnie sporządził stosowny stosik na ognisko. Szczęściem zapalki, które miał

w kieszeni spodni, nie ucierpiały. Niemiecka solidność, pomyślał, krzesząc ogień, który już po chwili lizał jęzorami wysuszone na wiór deski. Pomógł Katarzynie zdjąć nasiąkniętą wodą kurtkę mundurową i szeroką spódnicę. Wraz ze swoją koszulą wyjął z wody i rozwiesił przy ogniu. Katarzyna wpatrywała się jak urzeczona w jego nagi umięśniony tors, w szerokie ramiona i lśniącą kroplami deszczu smagłą skórę, wąskie biodra i płaski brzuch przecięty poprzeczną linią rysujących się pod skórą mięśni. Jeszcze nigdy nie widziała rozebranego mężczyzny. Nie sądziła, że mogą być tacy piękni, niczym greckie posągi, których fotografie oglądała w albumie. Lecz tamte były zimne i martwe, a przed nią stał żywy człowiek, emanujący ciepłem i czymś dla niej nieznanym, a jednocześnie rozkosznym, czymś, co wprawilo w szybki rytm jej serce, czymś, co spłynęło ciepłem od piersi aż do łona, zamieniając kolana w miękką watę, czymś, co kazało jej podejść do Igora i położyć dłonie na jego piersiach porośniętych czarnym włosiem. Pod palcami poczuła aksamit ciepłej skóry i równy rytm serca. Gładziła opuszkami palców jego drżące od tej pieszczoty mięśnie, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że mogą być twarde jak stal i delikatne jednocześnie. Gwałtownym ruchem rąk zdarła z siebie koszulę i bieliznę, aż oderwane od materiału guziki przysły na boki, i przyłgnęła do niego naga, czując coś nieznanego, coś, czego siłę i rozkosz miała za chwilę poznać. W jej uszach wciąż brzmiały słowa szeptane przez Igora: „jesteś moim oddechem, moim słodkim snem i całym moim światem”, a ona powtarzała je jak echo. Nie słyszała nic poza tymi słowami, ani szumu wiatru w koronach pobliskich drzew, ani grzmotów przetaczającej się nad ich głowami pierwszej wiosennej burzy, ani bębnienia deszczu po drewnianym dachu starej stodoły. Oddawała się ukochanemu mężczyźnie cała, bez reszty, do końca i umierała z rozkoszy, a łzy szczęścia płynęły jej po policzkach, mieszając się z kroplami deszczu, które jeszcze nie obeschły.

– Katiu, miła moja, jedyna... – Kaledin delikatnie opuszkami palców odgarnął niesforne włosy Katarzyny, które przyłgnęły jej do twarzy. – Czy zechcesz zostać moją żoną?

Zdjął z małego palca złotą, wysadzaną brylancikami obrączkę, którą dostał od matki, gdy opuszczał rodzinny dom. „To dla niej, dla twojej Jekatieriny. Masz moje i moich przodków błogosławieństwo” – powiedziała, żegnając syna znakiem krzyża. Miała w nocy sen, w którym ujrzała go w kałuży krwi, z oczyma nieruchomo wpatrującymi się w pochmurne niebo.

– Czy zechcę? – Katarzyna miała ochotę krzyczeć ze szczęścia, gdy Igor wsunął jej obrączkę na palec. – Niczego więcej nie pragnę! Ale ojciec... – Jej radość i bezmierne szczęście zgasły w jednej chwili. – On nigdy nie wyrazi zgody. Przecież nawet zabronił mi się z tobą spotykać.

===bwxtXW9eOAo5DzxePV5uXm5Zb1Y3VDcE

## Rozdział 7

– *Monsieur* Jaxa-Rawecki – zaczął Kaledin ubrany w wyjściowy mundur, stojąc sztywnym niczym kołek przed ojcem Katarzyny na środku salonu, do którego został zaproszony. – Mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki, Katarzyny. Kocham ją i wiem, że jestem kochany. Jestem w stanie zapewnić jej odpowiedni poziom życia. Moja pensja oficerska i majątek, który przeznaczyła dla mnie moja matka, wystarczą nam na wszystko. Uzyskałem także zgodę moich przełożonych na to małżeństwo.

– Hrabio Kaledin... – z miną pozornie świadcząca o spokoju odezwał się Paweł Rawecki. – W jakim obrzędku miałby ten ślub się odbyć, gdybym zgodził się oddać panu mą córkę? Należymy przecież do różnych wyznań.

Jednak w środku jestestwa Raweckiego wibrował każdy nerw. Szansa, aby Kaledin przeszedł na katolicyzm, była równa zero. Choć władze tolerowały w szeregach armii Polaków wyznania katolickiego, to przejście z prawosławia na katolicyzm oznaczałoby koniec kariery wojskowej. Jeśli zgodzę się na ślub, ojciec mnie wyklnie i gotów wydziedziczyć, bił się z myślami. Albo jego serce nie wytrzyma i umrze ze zgrzyoty. Jeśli odmówię, ten rosyjski oficer z pewnością uczyni wszystko, aby moja pozycja w mieście została sprowadzona do zera, a interesy szły coraz gorzej. Kto wie, może nawet mnie aresztują pod byle pretekstem. Rawecki zatem musiał grać na czas. Córka nie uprzedziła go o tej wizycie, wiedząc, że się na nią nie zgodzi.

– Oczywiście w obrzędku prawosławnym, w naszej cerkwi, *monsieur* Rawecki, z pełnym ceremoniałem przynależnym mojej pozycji – odparł Kaledin, mając wciąż w sercu nadzieję. – Tak nakazuje prawo.

– I dzieci wasze, panie hrabio Kaledin, też byłyby chrzczone w cerkwi?

– Tak, *monsieur* Rawecki – głos uwiązał Kaledinowi w gardle. Instynktownie czuł, że sprawy nie toczą się w dobrym kierunku.

Już odgadł, do czego zmierzał ojciec Katarzyny. Odpowiedź ujrzał na dnie jego oczu. Powoła się na religię ojców, na różnice w tradycji i kulturze, na rolę, jaką odgrywam tutaj, w Miechowie, wyliczał w myślach. Może nie nazwie mnie wprost zaborcą, z uwagi na możliwość przykrych konsekwencji, ale ogródkami da mi do zrozumienia.

– Ależ *monsieur* Rawecki! – Kaledin starał się trzymać nerwy na wodzy, lecz mimo to głos mu zdrzął. – To przecież nie ma istotnego znaczenia. I wasz Kościół, i nasz są chrześcijańskie. Służymy temu samemu Bogu!

– Z całym szacunkiem, hrabio Kaledin... – Paweł Rawecki przeciągał rozmowę, licząc, że jego rozmówca uniesie się honorem i sam zrezygnuje – ale wy, Rosjanie, nie służycie, jak my, Polacy, Bogu i ojczyźnie, lecz carowi. A on nas gnębi od lat.

Na moment zapadła grobowa cisza, zakłócana jedynie stukaniem kół beczkowitzu ciągniętego przez konie w stronę rynku, gdzie już zebrała się spora grupka ludzi czekających z wiadrami na wodę.

– Nie spyta pan córki o jej zdanie? – głos Kaledina stał się chłodny. Zacisnął szczęki do bólu, aby się nie unieść gniewem.

– Nie muszę – odparł z pełnym przekonaniem Rawecki. – Ja córkę wychowałem, jak się należy. Będzie posłuszna woli ojca.

– Nie liczy się jej szczęście, tylko wasza wola, *gospodin* Rawecki?

– Jakie szczęście wy możecie jej dać, hrabio? – Na twarzy Pawła Raweckiego pojawił się

grymas niedowierzania. – Na słodkich chwilach romantycznych uniesień szczęścia się nie zbuduje. Zbyt szybko się ulatniają. Do trwałego szczęścia potrzeba czegoś więcej. Jednakich poglądów, wiary w te same ideały, przeszłości i tradycji, które człowieka ukształtowały, i sfery, w której się obraca... – perorował, przechadzając się po pokoju z rękoma założonymi do tyłu.

– Zaręczam oficerskim słowem honoru, że się nigdy nie przeciwstawię ideałom i poglądom Katarzyny. – Kaledin nie miał zamiaru się poddać. – Już zdążyłem je poznać i wiele od moich się nie różnią. A sfera... – Umilkł na chwilę, aby nie palnąć słów, których później nie dałoby się już cofnąć. – Cóż, nie będziemy się licytować, czyj ród jest bardziej starożytny, czyi przodkowie mają więcej błękitnej krwi czy bielsze kości.

– Skoro tak... – oznajmił Rawecki, obmyśliwszy naprędce chytry plan. – Wyrażę zgodę na ten ślub, ale proszę, aby to pański ojciec w waszym imieniu poprosił o rękę Katarzyny. Zgodnie z naszymi obyczajami... – dostrzegł doskonałą okazję, aby wyjść z opresji cało. Przecież każdy zrozumie, pomyślał, że bez narażenia całej rodziny na represje nie mogłem odmówić tak ważnej osobie jak generał-major, zaprzyjaźniony z generałem-gubernatorem *Priwislinskowo Kraju*.

– Tego warunku spełnić nie mogę... – Kaledin odparł grobowym głosem. Już wiedział, że tę batalię przegrał. – Mój ojciec nie wyraził zgody na to małżeństwo, z tych samych powodów co pan, *gospodin* Rawecki. Pobłogosławi nas moja matka. Jest Gruzinką, jeśli ma to dla pana jakiegokolwiek znaczenie.

– Wobec tego i mojej zgody nie ma. Żegnaj, panie hrabio – lodowatym tonem oświadczył Rawecki i skinąwszy lekko głową, skierował się ku drzwiom, dając tym samym wyraźnie do zrozumienia, że dalsza rozmowa stawała się bezprzedmiotowa. Słowa Kaledina odebrał jak zniewagę.

A to bezczelny Moskał, pomyślał, gdy za oficerem zamknęły się drzwi. Moją córkę, moją śliczną Kasieńkę, uznać za niegodną poślubienia, zżymał się z bezsilnej złości. Przecież wielu Rosjan, zajmujących nawet wysokie stanowiska, żeniło się z Polkami. Poczynając od wielkiego księcia Konstantego, który pojął za żonę Joannę Grudzińską, a na generale Aleksieju Brusilowie, którego matka była Polką, kończąc, wylizwał w pamięci, wciąż pełen oburzenia.

## Rozdział 8

Lipcowa niedziela, słoneczna i upalna, z niechęcią zbliżała się ku końcowi. Pałace promienie słońca, nadal dość wysoko wiszącego na niebie, z trudem przeświecały przez korony dorodnych drzew owocowych, rosnących w sadzie rozciągającym się z tyłu porętowskiego dworu. Pszczoły i osy brzęczały leniwie w poszukiwaniu kwiatów, które już dawno zawiązały się w owoce wiśni, jabłoni i gruszy. Jaskółki, mające swe gniazda pod dachem obszernej stajni, krążyły hałaśliwie po okolicy, wyłapując owady na posiłek dla piskląt, które już zdążyły się wykluć i gromkimi głosami żądały kolacji. Z oddali dolatywało dzwonienie skowronków wiszących nad polami i donośny rechot żab w sadzawce za drogą, zapowiadając deszcz w najbliższych dniach. Stado koni należące do Andrzeja Raweckiego, tętniąc kopytami, poganiane przez fernali okrzykami i pogwizdywaniem, wracało znad rzeczki do stajni. Mokra i gładka sierść ogierów i klaczy lśniła w promieniach słońca niczym najprzedniejszy aksamit.

Na stole ustawionym pod rozłożystą jabłonią, nakrytym do podwieczorku białym obrusem, Antosiowa ustawiała filiżanki, talerzyki, paterę z szarlotką i kompot porzeczkowy. Zanim zdążyła przynieść z kuchni dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą i śmietankę, ze spaceru po polach wrócili Andrzej z Polą, Paweł z Agnieszką oraz Stefan Kobierski, lekarz z Częstochowy, od lat zaprzyjaźniony z Raweckimi, bawiący w Porętowie z kilkudniową wizytą. Znużeni drogą oraz upałem rozsiedli się w wiklinowych fotelach ustawionych wokół stołu, ciesząc się chłodem cienia i przedwieczornym zefirkiem, który nadleciał od strony pól. Panie odstawiły na bok ozdobione falbankami parasolki, które miały za zadanie chronić ich białą skórę przez promieniami słońca, a panowie dyskretnie obtarli chusteczkami spocone pod słomkowymi kapeluszami czoła. Chwilę później spędzający lato u dziadków Albin, Koła i Jura oraz Daria i Katarzyna, śmiejąc się i pokrzykując, wrócili z konnej przejażdżki do Raclawic, miejsca pamiętającego powstanie kościuszkowskie, cieszącego się cichym kultem wśród okolicznych mieszkańców. Z pozoru czuwać nad tą rozbrykaną młodzieżą miała Katarzyna, najlepszy jeździec w tym towarzystwie. Lecz tak naprawdę był to chytry pomysł Pawła, aby nie zostawiać córki samej w Miechowie nawet na krótki czas niedzielnej wizyty u rodziców. Obawiał się, aby Kaledin nie wykorzystał okazji do spotkania się z Katarzyną potajemnie. Nie przyszło mu jednak na myśl, że córka po nocy opuszczała swój pokój przez okno i biegła na spotkanie z ukochanym. Czekał na nią nieopodal szpitala, sadzał przed sobą na końskim grzbiecie i poganiając wierzchowca, zmierzała wprost do starej szopy. Zanim na niebie zajaśniała jutrzienka, wracali z powrotem, wciąż niesyści pieszczot.

Kiedy młodzi zaprowadzili konie do stajni i doprowadzili ubrania do porządku, dołączyli do starszych Raweckich i Kobierskiego delektujących się kawą. Rzucili się wygłodniali na ciasto, które z patery zniknęło w zastraszającym tempie. Jedyne Katarzyna grymasiła:

– Nie ma Antosiowa czegoś bardziej konkretnego w kredensie? Głodna jestem jak wilk.

– A juści, panienko. – Stara służąca z siwymi włosami skrytymi pod kwiecistą chustką uśmiechnęła się zadowolona, że jej pupilka ma taki apetyt, a jej blade do tej pory policzki zarumieniły się od słońca i wiatru. – Kucharka już wyjęła z pieca pasztet z zająca, co to panicz Albin pozawczoraj ustrzelił. Zaraz podam kawałek... – Szeleszcząc wykrochmalonym fartuchem, okrywającym szeroką spódnicę, pomaszerowała w stronę domu.

– I niech Antosiowa da trochę chrzanu ze śmietanką! – zawołała za nią Katarzyna i wławszy sobie do szklanki kompotu, wypila duszkiem. – Co tam, panie Stefanie, w wielkim mieście słychać? – spytała, widząc wlepione w siebie oczy Kobierskiego.

Był to dojrzały, dość przystojny, choć niewysokiego wzrostu mężczyzna, o gęstych, lekko szpakowatych włosach zaczesanych do góry i szarych oczach, z których wyzierał bezgraniczny smutek. Być może za sprawą śmierci żony, która niedawno zmarła na suchoty, zostawiwszy go samego na świecie, gdyż Kobierscy dzieci się nie doczekali. Katarzyna jednak podejrzewała, że Kobierski przyjął jej śmierć z głęboką ulgą, a smutek udawał, aby zyskać liczne grono pocieszycielek. W Częstochowie słynął nie tylko ze swoich umiejętności jako chirurga, ale także z posiadanego majątku i wesołego usposobienia. Pani Kobierska zaś za życia była osobą zgryźliwą i zimną w obejściu, choć urody jej nie można było odmówić. Brak potomstwa uznała za karę boską za grzechy, bliżej nikomu nieznane, i coraz więcej czasu spędzała w kościele zamiast w małżeńskim łóżu, co żadną miarą nie mogło się przyczynić do splodzenia choćby jednego potomka. Zadawała sobie liczne pokuty w postaci długotrwałych postów, nocnego czuwania, leżenia krzyżem w kościele, co w końcu podkopało jej i tak słabowite zdrowie.

– Piszą w gazetach, że kilka dni temu zamordowano w Sarajewie Franciszka Ferdynanda... – zaczął Kobierski, odstawiając w połowie opróżnioną filiżankę z kawą na stół.

– A któż to taki ten Franciszek Ferdynand? – Jura wpadł mu w słowo.

– Nie mów z pełnymi ustami – dyskretnym szeptem zgaśniła go babcia. – Ile razy trzeba ci powtarzać?

– To następca tronu Austro-Węgier, bratanek cesarza – odparł Kobierski i sięgnął do kieszeni lnianej marynarki po warszawską gazetę, gdzie zamieszczono obszerny artykuł na temat wydarzeń z 28 czerwca.

– Kto go zamordował? Inni kandydaci do tronu? – dopytywał się Jura, zaprzestając na moment jedzenia szarlotki, aby babcia po raz drugi nie zwróciła mu uwagi.

Kola, jako młodszy, zaledwie trzynastoletni, za nic miał wszelkich następców tronu i zamachowców. Bardziej interesowała go osa, która usiłowała napić się kompotu z jego szklanki. Czekał na tę chwilę, gdy owad straci równowagę i wpadnie do środka. Wówczas będzie śmiesznie gmerał łapkami, usiłując wydostać się na powierzchnię.

– Piszą tutaj – chirurg rozłożył gazetę przed sobą – że zamachu dokonali spiskowcy z tajnej organizacji Młoda Bośnia, skupiającej gimnazjalistów, studentów i robotników, być może wspieranych finansowo i ideologicznie przez serbską diasporę w Ameryce. Ponoć przymierzali się do tego czynu od jakiegoś czasu. A teraz nadarzyła się okazja, bo arcyksiążę przyjechał do Sarajewa na manewry wojskowe, aby dać wyraz swej władzy nad Bośnią i Hercegowiną.

– A ja im się wcale nie dziwię – wtrącił Andrzej, dolewając sobie kawy do filiżanki – bo to wyjątkowo odrażający typek ten Franciszek Ferdynand. Wyobraźcie sobie, moi państwo – potoczył spojrzeniem po twarzach siedzących za stołem osób – że nazywał Serbię „krajem zbirów, głupców i śliwek” lub „krajem świniarzy”. Węgrzy też za nim nie przepadali, bo się przeciwstawiał ich niepodległościowym dążeniom i pogardzał węgierskimi elitami.

– Ponoć zaraz po zamachu krzyczeli: „Nareszcie nie żyje ta świnia!” – dorzucił Kobierski.

Zreflektował się dopiero po czasie, jakich słów użył, i zerknął z niepokojem na chłopców. Chichotali, chowając twarze w rękawach koszul.

– Do Polaków w Galicji też odnosił się z pogardą – dodał Andrzej. – Byłem nie tak dawno w Krakowie u rodziny, to się nasłuchałem opowieści.

– Ale ponoć najbardziej z jego śmierci cieszyli się Serbowie – ciągnął Kobierski, gdy wypił resztki kawy z filiżanki. – Natomiast Chorwaci i lojalni wobec władzy muzułmanie manifestowali poparcie dla Habsburgów. Czesi też mieli powody do żałoby...

– Czesi? – zainteresowała się Katarzyna, na moment odrywając wzrok od talerzyka



z pasztetem, który postawiła przed nią Antosiowa. – A to dlaczego?

– Jak napisano w gazecie, w zamachu razem z arcyksięciem zginęła jego żona, Liza, hrabianka von Chotek, a ona była Czeszką. Ach, cóż to była za miłość między nimi... – dorzucił rozmarzonym tonem, natarczywie zagładając w oczy Katarzynie.

Spiekła raczka i wróciła do pałaszowania porcji pasztetu, słuchając jednak z uwagą opowieści o perypetiach miłosnych zamordowanego arcyksięcia, który mimo oporu całej rodziny ożenił się z wybranką swego serca.

– Rzucił bombą w samochód? – Andrzej wrócił do tematu bardziej go interesującego niż kłopoty sercowe książąt i księżniczek. Przypomniawszy sobie serię zamachów przeprowadzonych w Warszawie na carskich dygnitarzy właśnie przy użyciu bomby, poczuł przyływ sympatii do tych dzielnych młodych ludzi, którym niepodległość ojczyzny leżała na sercu.

– I tak, i nie – odpowiedział Kobierski, z niechęcią odrywając wzrok od drobnego biustu rysującego się pod bluzką Katarzyny. – Najpierw ktoś rzucił bombę, ale trafił w inne auto, nie to, w którym jechał arcyksiążę. Franciszka Ferdynanda czyn ten tak bardzo zaskoczył, że krzyknął w stronę tłumu: „Przyjeżdżam tu z wizytą, a wy rzucacie we mnie bombami. To oburzające!”. – Stefan zgrabnie naśladował ton wypowiedzi i miny następcy tronu, jakby był świadkiem wydarzeń. – Mimo tego incydentu kawalkada samochodów ruszyła dalej. Kolejna okazja nadarzyła się, gdy samochód z jakiegoś powodu zwolnił akurat w pobliżu drugiego zamachowca. Ten, nie namyślając się wiele, wyciągnął zza pazuchy browninga i oddał dwa strzały, zabijając na miejscu arcyksiężnę i śmiertelnie raniąc arcyksięcia.

– Złapali go? – Poli nagle zrobiło się żal zamachowca, który z desperacją walczył za sprawę. Musiał być romantykiem, jak mój Andrzej przed laty, pomyślała.

– Nawet nie uciekał. Miał zamiar pozbawić się życia, ale trucizna, którą zażył, nie zadziałała – odparł Kobierski i w obawie, że dla niego zabraknie, położył na swym talerzyku jeden z ostatnich kawałków szarlotki.

– Napisali w gazecie, kim był ten dzielny młody człowiek? – dopytywała się Pola, bardziej zainteresowana wydarzeniem na skalę światową niż ciastem. Ściśnięta gorsetem zgodnie z modą, która już odchodziła do lamusa, niewiele mogła zjeść.

– Pochodził z biednej rodziny – opowiadał dalej Kobierski dopiero po chwili, gdy przełknął kęs ciasta. Pomyślał, że i jemu zwrócą uwagę, aby nie mówił z pełnymi ustami. – Bo musicie wiedzieć, moi mili, że nie tylko nasza Galicja pod rządami Habsburgów jest przysłowiową Golicją i Głodomerią, ale podobnie rzecz się ma na terenach Bośni i Hercegowiny, zaanektowanych przez Austrię. Zamachowiec nazywa się Gavrilo Princip. O, tu macie jego zdjęcie... – Podał Andrzejowi otwartą na właściwej stronie gazetę i korzystając z tego, że nikt już go o nic nie wypytywał, wrócił do spożywania jabłecznego placka.

Przez chwilę w kompletnej ciszy egzemplarz „Kuriera” krążył z rąk do rąk, zaspokajając ciekawość każdego z Raweckich, siedzących przy stole w słoneczne lipcowe popołudnie. Jeszcze nie zdawali sobie sprawy, że oto dotarła do nich pierwsza jaskółka zapowiadająca wydarzenia, które przewrócą ich życie do góry nogami, a niektórym z nich przyjdzie je złożyć w ofierze. Ale oni o tym jeszcze nie wiedzieli. Cieszyli się miłym letnim czasem i słodką ciszą panującą wokoło. Do Porętowa nie dotarł huk bomb, które wybuchły w Sarajewie, ani złowrogie okrzyki rzucone przez strony konfliktu. Zebrani przy rodzinnym stole nakrytym białym obrusem, spoglądali z zainteresowaniem na kiepskiej jakości fotografię, na której widniał niskiego wzrostu i wątłej budowy wymizerowany młody człowiek, otoczony przez jakichś mężczyzn w mundurach i trzymających go za ręce cywilach. Z tyłu za nimi kłębił się tłum ciekawskich mężczyzn i kobiet, żywo zainteresowanych dalszymi wydarzeniami.

– To chyba dojdzie do wojny... – grobowym głosem oświadczyła ni z tego, ni z owego Katarzyna, która nagle sobie uświadomiła, że jej ukochany był oficerem i z pewnością wyślą go na front. Nie tylko nie będzie mogła się z nim widywać, ale może go stracić już na zawsze. Zagryzła wargi, aby powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu.

– Jeśli nawet, moje dziecko – uspokajał ją ojciec – to nie u nas, tylko na Bałkanach. Przecież podczas ostatniej wojny w tamtym rejonie bywały gorsze momenty i dyplomacja potrafiła sprawę zażegnać. Tak będzie i tym razem.

– Myślisz, że Rosja nie stanie w obronie swojej sojuszniczki? – Andrzej miał inne zdanie. W odróżnieniu od swych synów, żywo interesował się wydarzeniami na świecie, a zwłaszcza polityką prowadzoną przez carat. Zapamiętywał każdy jego fałszywy krok, licząc na rychły upadek samodzierżawia. – To pocisk wycelowany w pierś Habsburgów i Rosja nie zawaha się go użyć. Będzie chciała odzyskać dobre imię utracone po klęsce w wojnie z Japonią.

– Andrzej – wtrąciła się Pola, kładąc dłoń na ramieniu męża. – Przestańcie z Pawłem straszyć dzieci wojną. Wiem, że to dla nas, Polaków, szansa na odzyskanie niepodległości, ale jeszcze teraz nie nadszedł ten właściwy moment. Popatrz, co piszą w tej gazecie. – Podąła mężowi otwarty na drugiej stronie dziennik. – Wszyscy ważni politycy porozjeżdżali się na wakacje, machnęli ręką na ten cały zamach. Poza tym nasz Leopold przecież by coś wiedział...

– Ma pani całkowitą słusność, droga pani Apolonio... – Kobierski z galanterią ucałował dłoń starszej pani. – Cesarz wystosował do Serbii ultimatum, na które ta na pewno wyrazi zgodę, i sprawa ucichnie. Przecież panujący w Europie są ze sobą spokrewnieni. Mówią do siebie *per* kuzynie Wilusiu, Nikusiu i Jureczku. Nie, moi państwo, Europa nie jest taka głupia, aby popełnić samobójstwo. Przecież teraz żyje się nam tak cudownie... – szepnął z rozmarzonym wyrazem twarzy. – Wymyślono automobil i samolot, telefon i kinematograf. Wojna naprawdę nikomu do niczego nie jest potrzebna...

– Wobec tego co moi panowie powiedzą na jednego roberka z dziadkiem, zanim Antosiowa poda kolację? – zaproponował Paweł, sięgając po ostatni kawałek szarlotki.

## Rozdział 9

Powoli zapadał ciepły zmierzch, gdy Katarzyna z wypiekami na twarzy po raz kolejny czytała liścik, który Kaledin zostawił dla niej u Hany. Będzie na nią czekał po zmierzchu na ulicy Skalbmierskiej, na skraju dawnego parku dworskiego. Postanowili już dłużej nie zwlekać i potajemnie wziąć ślub. Kaledin tylko sobie wiadomym sposobem przekonał proboszcza miechowskiej cerkwi, aby w nocy pobłogosławił ich związek, zrezygnowawszy z obowiązkowych zapowiedzi. Złożył też wniosek o przeniesienie do 14. Jamburgskiego Pułku Dragonów stacjonującego w Pińczowie, gdzie Kaledin jako już żonaty oficer otrzymałby mieszkanie. Do tego czasu ślub miał pozostać w tajemnicy. Katarzyna miała nadzieję, że z czasem rodzice zmienią zdanie i zaakceptują Igora, a nawet będą go darzyć uczuciem, kiedy poznają bliżej. Włożyła kremową jedwabną sukienkę, tę samą, w której poznała Igora na balu, a szyję ozdobiła złotym łańcuszkiem. Jeszcze raz zajrzała do lusterka i poprawiła włosy wymykające się spod kapelusika z piórkiem. Przyłożyła ucho do drzwi, ale z głębi mieszkania nie dobiegał nawet najmniejszy szmer. Chwilę stała bez ruchu, słysząc łomot własnego serca i swój szybki oddech. Gdy nabrała pewności, że wszyscy domownicy już posnęli, zgasiła lampę, po omacku, w kompletnych ciemnościach, podeszła do okna i rozsunęła story. Otworzyła okno ostrożnie, aby nie uczynić najmniejszego hałasu, i lekko popchnęła okiennice, ale nie ustąpiły. Naparła ręką mocniej. Siłowała się jakiś czas, ale bez rezultatu. Dopiero po chwili namacała ręką tkwiącą na skoblu kłódkę zamkniętą na klucz. Dalsze szarpanie się z okiennicą nie miało zatem sensu. Domyśliła się, że to ojciec, zaniepokojony taborem Cyganów, który pojawił się poprzedniego dnia pod miastem, dla bezpieczeństwa pozamykał wszystko na amen, a ona, zajęta grą na pianinie, nawet tego nie zauważyła. Ach, ten mój strachliwy tatko, pomyślała z czułością, już tęskniąc za rodziną, choć jeszcze z Miechowa nie wyjechała.

Zzuła lakierowane pantofelki i chwyciwszy je do ręki, skierowała się do wyjścia. Musiała zmienić plany: opuścić pokój tradycyjnie, czyli drzwiami, i zakraść się do tych frontowych. Chwyciła za klamkę i delikatnie nacisnęła. Drzwi jednak nie dały się otworzyć. Pociągnęła mocniej. Raz i drugi. Jednak drzwi ani drgnęły. Były zamknięte na klucz, i to od zewnątrz, bo w zamku klucza nie namacała. Tego się nie spodziewała. Poczuli się bezsilna jak zwierzę zamknięte w pułapce. Zbierało się jej na płacz. Nie miała pojęcia, co zrobić. Szarpnęła klamką raz jeszcze, szarpała coraz mocniej. Drzwi jednak nie ustąpiły. Odgadła, że rodzice zamknęli ją celowo. Ktoś musiał zdradzić im jej tajemnicę. To z pewnością ta wstrętna żydowica, Hana, pomyślała ze złością i wybuchnęła szlochem. Nie panując na emocjami, zaczęła z całych sił swych wątlých ramion tłuc w drzwi pięściami. Już jej było wszystko jedno. I tak nie mogła niepostrzeżenie wyjść z domu. Jak tylko ojciec otworzy drzwi, planowała w myślach, to się wyrwę z jego rąk i ucieknę. Jednak nikt nie przychodził. Ani ojciec, ani matka, nawet Gabrysia, służąca, mająca swój pokój tuż nad sypialnią Katarzyny. Szlochając w głos, kopała w drzwi, bo pięści już miała obolałe.

– Wypuście mnie! – krzyknęła w końcu rozpaczliwie. – Błagam, otwórzcie te drzwi! Dlaczego mnie zamknęliście?! Mamo! Mamusiu! Otwórzcie! Ja muszę wyjść! Tatku! Wypuść mnie!

Jej głośny szloch docierał jak z otchłani do sypialni Raweckich, znajdującej się na drugim końcu domu. Oboje nie spali. Paweł w szlafroku zarzuconym na piżamę chodził po pokoju z kąta w kąt, zaciskając pięści, aż mu stawy trzeszczały. Był blady, a po skroniach płynęły mu strużki potu. Serce waliło mu jak młotem i miał wrażenie, że za chwilę wyskoczy gardłem. Agnieszka,

siedząc na skraju małżeńskiego łóżka, z twarzą ukrytą w dłoniach, cichutko płakała. Była przeciwna temu, co zrobił Paweł. Po tym jak Gabrysia doniosła o nocnych eskapadach Katarzyny, gdy nadszedł wieczór, założył na okiennicę kłódkę. Dla pewności zamknął też drzwi na klucz. Gdyby poczekał z tym choć jeden dzień, losy jego ukochanej córki, Katarzyny, potoczyłyby się całkiem inaczej i być może oszczędziłby jej wiele cierpienia. Stało się jednak, co się stało.

– Tak nie można, Pawle – szepnęła Agnieszka przez łyzy. Nie miała nawet tyle sił, aby przebrać się do snu, i wciąż miała na sobie popołudniową suknię. – To przecież nasza córka. Czy ty nie widzisz, jak ona cierpi?

– Widzę i serce mi krwawi, ale tylko w ten sposób zapobiegniemy gorszemu nieszczęściu!

W jego głosie Agnieszka wyczuła bardziej zaciętrzewienie niż troskę o los dziecka.

– Może powinieneś się zgodzić na ten ślub? – spytała z nadzieją. – Przecież nie ona pierwsza i ostatnia poślubiłaby Rosjanina. Liza Leopolda też jest Rosjanką, a jakie to udane i kochające się małżeństwo.

Już chciała dorzucić „nie to, co nasze”, ale w porę ugryzła się w język. Wywlekanie w tym momencie mężowi jego niewierności tylko dolałoby oliwy do ognia.

– Jak to sobie wyobrażasz? – Paweł aż przystanął z oburzenia. – Jego ojciec nie wyraził zgody na małżeństwo z naszą córką! Ślub bez rodziców pana młodego! I jeszcze w cerkwi na dodatek! Jaki to byłby wstyd! A generał-major mógłby się odegrać na nas za nieposłuszeństwo syna. Jedno jego słowo, a wywiozą nas w kbitkach gdzieś za Ural.

Dalszą wymianę zdań między małżonkami przerwał kolejny szturm Katarzyny na drzwi. Chwyliła stojące przy toalecie krzesło i rzuciła z całych sił. Mebel rozpadł się z hukiem, ale solidne dębowe drzwi pozostały zamknięte.

– Wypuście mnie! Błagam, wypuście! – Tłukła pięściami w drzwi, nie czując z rozpaczny bólu. – Ja go tak kocham! Życ bez niego nie mogę! Mamusiu! Tatusiu! Dlaczego mi to robicie?!

Gdy jej błagania nie przyniosły rezultatu, rzuciła się na łóżko i zanosła szlochem. Z bezsilnej złości okładała pięściami poduszkę. Nagle poczuła, jak coś mocno ścisnęło ją za gardło, jakby ktoś zawiązał jej wokół szyi szalik. Nie mogła złapać tchu. Zerwała się z łóżka i dopadła okna, ale solidnie zamknięta okiennica nie wpuściła do pokoju ani odrobiny świeżego powietrza. Katarzyna usiłowała krzyczeć o pomoc, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Przed oczyma zwirowały jej czarne mroczki, a świat usunął się spod nóg. Straciła równowagę. Upadając, w desperacji chwyciła aksamitną zasłonę. Oderwany od ściany mosiężny karnisz z hukiem zwałił się na podłogę.

Rawecy spojrzeli na siebie z przerażeniem. Pierwszy z sypialni wybiegł Paweł, za nim Agnieszka, z lampą w ręce, powtarzając w myślach słowa modlitwy: „Matko Boża, łaski pełna, módl się za nami grzesznymi...”. Ze zdenerwowania Paweł nie mógł kluczem wyciągniętym z kieszeni szlafroka trafić do zamka. Gdy w końcu udało mu się otworzyć drzwi i razem z Agnieszką wpadli do pokoju, z przerażeniem ujrzeli córkę leżącą bez ruchu na podłodze, przykrytą zasłoną niczym pośmiertnym całunem, spod którego sączyła się cienka strużka krwi.

## Rozdział 10

Lipcowa noc była ciepła i księżycowa. Kaledin, puściwszy konia luzem pomiędzy drzewa, nerwowo spacerował skrajem dawnego dworskiego parku. W płynącej nieopodal Miechówce, zapowiadając deszcz, rechotały żaby. Wtórowały im świerszcze cykające pośród wysokich traw. Igor stawiał kroki rozważnie, aby nie wpaść do jednego z licznych dołów, pozostawionych przez poszukiwaczy skarbu. Ponoć został zakopany przy siódmym dębie widzianym z okien dworu, który spłonął podczas powstania styczniowego i nigdy nie został odbudowany. Ostatnio doły kopano już gdzie popadnie. Choć Igor przygotował precyzyjną niczym plan operacji wojskowej strategię działania, bił się z myślami. Obawiał się, czy Katarzyna będzie szczęśliwa z dala od rodziny, w obcym dla siebie miejscu. Jeśli do wojny nie dojdzie, wszystko się ułoży. Może nawet Rawecy zaakceptują ten ślub, aby nie stracić córki. Jeśli jednak wybuchnie wojna, Katarzyna nie powinna zostać w Pińczowie sama, narażona nie tylko na niedogodności, ale nawet na śmierć z rąk Niemców lub Austriaków. Służąc w wojsku kilka lat, zdawał sobie sprawę, że armia rosyjska, choć liczna, nie podoła walce z Austro-Węgrami będącymi w sojuszu z Niemcami i będzie musiała się wycofać na wschód, wydając na łup zwycięzców tereny Królestwa. Matka Igora, wbrew woli swego męża, zgodziła się otoczyć przyszłą synową opieką. Obie wyjadą do Gruzji. Tam będą mogły spokojnie przeczekać czas wojny, modląc się o szczęśliwy powrót syna i męża.

Gdy zapadł całkowity zmrok, a na wieży kościelnej zegar wybił godzinę dziesiątą, Kaledin wyszedł pomiędzy gęsto rosnących drzew i wbił wyczekujące spojrzenie w stronę ulicy Szpitalnej, którą miała nadejść Katarzyna. Ogromny księżyc srebrzył swoim blaskiem niewysokie kamieniczki, wyławiał z mroku daleką bryłę szpitala. Od czasu do czasu jakiś kot przemknął pod murem w pogoni za zdobyczą. Nocną ciszę zakłócały poszczekiwania psów uwiązanych na łańcuchach, niosące się po polach i łąkach od strony pobliskich wsi. Mijały długie minuty, a Katarzyna nie nadchodziła. Po godzinie oczekiwania Kaledin nabrał podejrzeń, że coś musiało się wydarzyć. Włożył dwa palce do ust i zagwizdał na spokojnie pasącego się nieopodal wierzchowca. Prychając i potrząsając łbem, posłusznie przytruchtał do swego jeźdźca. Prowadząc konia za uzdę, Igor zanurzył się w mrok ulicy. Wzbijając pył, końskie kopyta głucho stuknęły po gruntowej drodze, wysuszonej prażącym od wielu dni słońcem. Kilka minut później znalazł się przed domem Raweckich. W żadnym z okien nie dostrzegł nawet najmniejszego światelka, a dostęp do tych na parterze broniły pozamykane na głucho okiennice. Chwilę nasłuchiwał z uwagą, ale z wnętrza domu nie dobiegał nawet najmniejszy szmer. Podobnie jak sąsiednie domy, zdawał się pogrążony w głębokim śnie.

Strach ją ogarnął i zmieniła zdanie, pomyślał rozżalony. Nie kocha mnie tak mocno, jak mówiła. Jest taka sama jak wszystkie kobiety. Mówi jedno, robi drugie. Niech ją piekło pochłonie! Zacisnął pięści z bezsilnej złości i zagryzł wargi, aby nie zakląć głośno. Po chwili przyszło mu na myśl, że może Katarzyna w ogóle nie otrzymała jego listu. Wskoczył na siodło i poganiając wierzchowca szpicrutą, puścił się galopem w stronę rynku, gdzie Żydówka prowadziła swój sklep. Mieszkała tuż obok z mężem i gromadką dzieci. Gdy znalazł się pod oknem, przez które tyle razy wręczał jej listy do Katarzyny, w umówiony sposób zapukał w szybę. Czekał z niespokojnie bijącym sercem, mając wrażenie, że czas stanął w miejscu.

– Oddałaś pannie Raweckiej mój list? – spytał nerwowym szeptem, gdy okno się uchyliło i przez szparę dostrzegł zasnęłą twarz Hany. Reszta jej ciała ginęła w mroku.

– Oddałam, *wasze błagorodie*, a jakże, oddałam – odparła również szeptem, aby nie

pobudzić dzieci.

– Czy panna Rawecka nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości? – dopytywał, wciąż mając nadzieję, że Katarzyna chciała go poinformować o zmianie planów, tylko jej liścik do niego nie dotarł.

– Nie, wasza wielmożność, jaśnie panienska niczego nie napisała. – Rubinka zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy. – Wzięła wasze pismo i nawet niczego nie kupiwszy, wyszła ze sklepu.

Kaledin wyjął z kieszeni kopiejkę i położył na parapecie tuż przed Haną. Zagryzł wargi i wskoczył na siodło. Szarpiąc nerwowo wodzami, skierował konia w stronę ulicy Krakowskiej, gdzie mieszkała Rebeka Wesser, dentystka, z którą Igora łączył romans, zanim poznał Katarzynę. Zraniona w swych uczuciach Żydówka, znacznie starsza od Katarzyny, gdy Kaledin zrywał znajomość, przestrzegała go przed nowym związkiem. „Wrócisz do mnie prędzej, niż myślisz! To nie jest kobieta dla ciebie! Wszyscy ją w Miechowie znają. Trzpiotka i pusta jak lalka. Rodzice przeznaczili ją synowi aptekarza” – oznajmiła wówczas, z trudem tłumiąc łzy. Igor po chwili wahania zastukał do drzwi, jak kiedyś. Uchyliły się po kilku minutach i w szparze ujrzał piękną twarz Rebeki. Na dnie jej czarnych oczu dojrzał żar dawnego uczucia, którym go darzyła.

– Igor... – szepnęła czule, momentalnie wybacząc mu cierpienie, które jej nieustannie towarzyszyło przez ostatnie długie miesiące. – Wiedziałam, że wrócisz...

Otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając Kaledina do mieszkania. Zanim je zamknęła, rozejrzał się z uwagą po klatce schodowej, ale sprawiała wrażenie wymarłej. Nikt z sąsiadów nie zauważył tej nocnej wizyty.

– Daj mi wódki – oznajmił złamanym głosem, siadając za stołem.

Odwiesił na oparciu krzesła szaszkę i zdjął kurtkę od munduru. W pokoju było duszno mimo otwartego na oścież okna. Wychodziło na sąsiednią kamienicę, pogrążoną w ciemnościach. Z pozoru bezmyślnym wzrokiem wodził za krzątającą się po niewielkim saloniku Rebekę. Na nocną koszulę miała włożony atlasowy szlafrok, przewiązany paskiem, co podkreślało jej szczupłą kibić. Wyjęła z kredensu dwa kieliszki i butelkę białej wódki. Postawiła na stole przed Igorem i usiadła na krześle tuż obok niego. Nie spuszczała z jego ponurej twarzy zakochanego spojrzenia.

– Czy coś się stało? – spytała, gdy Kaledin w milczeniu wlał w siebie kilka kieliszków i sięgnął po papierosy do kieszeni spodni.

Ze złością cisnął papierośnicę na stół. Stuknęła głośno niczym strzał z karabinu.

– Wystawiła mnie do wiatru... – odparł zduszonym głosem, zagryzając sięgające warg wąsy. – Ośmieszyla wobec całego pułku. Niech ją piekło pochłonie!

Choć Rebeka poczuła coś na kształt satysfakcji, a słowa w rodzaju: „A nie mówiłam? Ostrzegałam, to mi nie wierzyłeś”, cisnęły się jej na usta, nie chciała być małostkowa. Doląła mu wódki do kieliszka i sama wypila jeden łyceczek.

– Dlaczego mi to zrobiła? – ciągnął dalej, nie oczekując odpowiedzi. – Mówiła, że mnie kocha nad życie. Ojciec miał rację – oznajmił z goryczą. – Polacy to kanalie! Należałoby ich wszystkich pozabijać! Co do nogi!

Igor sięgnął po butelkę wódki i kilkoma haustami opróżnił ją do dna. Otarł usta wierzchem dłoni i zapalił papierosa. Rebeka uniosła się z krzesła, aby przynieść popielniczkę stojącą na kredensie. Gdy wróciła, stanęła za plecami Kaledina i drobnymi, lecz silnymi dłońmi zaczęła masować jego mięśnie karku, twarde niczym kamień. Wsunęła dłonie pod rozpiętą pod szyją koszulę, aby dotrzeć do jego piersi. Z minuty na minutę napięcie ustępowało, a Kaledina ogarniało fizyczne podniecenie. Wypity alkohol i kobiece pieszczoty powoli wypierały z jego pamięci Katarzynę i ból szarpiący serce. Gdy poczuł na plecach twarde piersi Rebeki, westchnął

z rozkoszy i przymknął oczy. Czując przyzwolenie Igora, całowała jego szeroki kark, muskała językiem płatki uszu. Nagle zerwał się z krzesła i stanął twarzą do Rebeki. Gwałtownie zdarł z niej szlafrok wraz z koszulą i popchnął na stojącą pod ścianą niewielką kanapę, obitą zielonym pluszem i wymoszczoną haftowanymi poduszkami. Przed oczyma wciąż miał brązowe oczy Katarzyny, którą kochał i nienawidził jednocześnie. Oddałby życie, gdyby to ją mógł teraz wziąć w ramiona, a nie tę uległą mu, ale obojętną jego sercu kobietę. Brutalnymi pieszczotami, pocałunkami, od których puchły jej usta i zostawały ślady na ciele, mścił się na Rebecce za swoje cierpienie, zadane przez inną kobietę.

Godzinę później, czując do siebie i Rebeki wstręt, opuścił jej mieszkanie. Chłodny wiatr księżycowej nocy studził jego rozpalone policzki. Tętent kopyt konia galopującego wąskimi uliczkami w stronę koszar przy Wolbromskiej niósł się echem przez pogrążone w głębokim śnie miasto. Już z daleka dotarły do Igora odgłosy zamieszania, jakie miało miejsce w koszarach garnizonu, krzykliwe wydawane rozkazy, rżenie koni i tupot butów po bruku.

– Jak stoisz przed starszym?! – wrzasnął, zeskoczywszy z konia, gdy wjechał na teren koszar, i uderzył w twarz pałętającego się mu pod nogami żołnierza. – Co się tutaj wyprawia? – spytał, widząc stojące na dziedzińcu podwozy, na które ładowano w pośpiechu wynoszoną z budynku biurowego dokumentację, zapasy żywności, sorty mundurowe i tobołki nie wiadomo co zawierające.

– Zarządzono ewakuację, *wasze błagorodie* – zameldował szeregowy, wyprężając szeroką pierś obciążoną dragońskim mundurem. – Poza tym ja nic więcej nie wiem.

Kaledin oprzytomniał, jakby go oblano kubłem zimnej wody. Zanim zapukał do gabinetu pułkownika, dowodzącego garnizonem, obciągnął poły munduru i pozapinał starannie wszystkie guziki.

– *Gospodin pułkownik!* Porucznik Kaledin się melduje! – Stuknął obcasami oficerskich wysokich butów i przyłożył dłoń do czarnego skórzanego hełmu ozdobionego czarnym pióropuszem biegnącym od ucha do ucha oraz dwugłowym orłem carskim z przodu.

– Gdzie się włóczyysz po nocach, Kaledin?! – wrzasnął siedzący za biurkiem nad stosem dokumentów pułkownik i wbił przekrwione oczy w swego podkomendnego, którego nie znosił z uwagi na jego szlacheckie pochodzenie. – Hrabiowski tytuł nie upoważnia do niesubordynacji! Ma pan zadanie przygotować swój pluton do natychmiastowego wymarszu z koszar. Car ogłosił mobilizację pułków nadgranicznych.

## Rozdział 11

– Jezus Maria! Moje dziecko! – krzyknęła Agnieszka, rzucając się w stronę leżącej na podłodze Katarzyny.

Gdy błyskawicznie zdarła okrywającą ją zasłonę, serce zamarło jej w piersi. Z rozciętego mosiężnym karniszem czoła nieprzytomnej Katarzyny sączyła się krew. Agnieszka delikatnie klepała ją po policzkach, a Paweł wybiegł na korytarz, gromkim głosem wołając Gabrysię. Zjawiła się błyskawicznie, w samej koszuli nocnej sięgającej bosych stóp, zasznurowanej troczkiem pod samą szyją, z włosami splecionymi w dwa długie warkocze.

– Przynieś wodę w misce, ręczniki i opatrunki! Natychmiast! Panienska miała wypadek! – zaordynował i biegiem wrócił do pokoju.

Katarzyna już zdążyła odzyskać przytomność, a nawet usiłowała wyrwać się z matczynych objęć, aby biec na spotkanie z ukochanym.

– Puśćcie mnie! – szlochała. – Ja muszę! On na mnie czeka!

– Kasieńko... Uspokój się – prosiła matka. Klęcząc przy córce, różkiem batystowej chusteczki przecierała krwawiącą ranę. – Nie unoś się tak, bo rana się otwiera. Zostanie ci blizna nad okiem.

– Córko... – Ojciec przykucnął przy Katarzynie i usiłował ją objąć, ale ona gwałtownymi ruchami odpychała jego ręce. Przecież to on, jej własny, tak do tej pory kochany ojciec, zamknął okiennice i drzwi na klucz. – Ten cały hrabia nie jest odpowiednią dla ciebie partią. Jak nie chcesz wyjść za mąż za Ksawerego Drogosza, to my cię z matką nie zmuszamy. Jeszcze jesteś młoda i poznasz niejednego kawalera, w którym się zakochasz...

– W nikim się już nie zakocham! – krzyczała przez łzy. – On jest całym moim światem! Bez niego nawet oddychać nie potrafię!

– Teraz tak ci się wydaje – ciągnął dalej Rawecki uspokajającym tonem, pamiętając, że i on ożenił się ze swoją młodzieńczą miłością, która minęła wraz z przyjściem pierwszego dziecka na świat. Aby nie dawać sąsiadom powodów do plotek, cielesnych uciech szukał w łóżkach własnych służących, a nie na mieście, jak to czynili niektórzy. Ostatnio Gabrysia oddawała mu z zapalem wszystkie wdzięki swego młodego ciała. – Poznałeś go na pierwszym swoim balu i już zaraz wielka miłość. Pojedziesz do stryjostwa do Kielc. To duże miasto, a Leopold jest wysoko postawionym urzędnikiem. Będziesz bywała w najlepszym towarzystwie, gdzie nie brakuje przystojnych i wykształconych kawalerów. Albo pošlemy cię do Poznania, do wuja Maciejewskiego. Ma dwóch synów w odpowiednim wieku. Starszy, Anzelm, już kończy studiować w Berlinie inżynierię, a młodszy, Wojciech, dopiero wybiera się na studia. Poznań to dopiero wielki świat! Zobaczysz!

– Nigdzie nie pojadę! I nie będę chodzić na żadne bale!

Nagle zdała sobie sprawę, że musi rodzicom wyjawić skrywaną głęboko tajemnicę, bo i tak za niedługi czas wyjdzie na jaw, czy Katarzyna tego będzie chciała, czy nie.

– Mamusiu... – szepnęła, oblewając się rumieńcem. – Muszę mamusi coś powiedzieć, ale na osobności...

– Zanieś to do mojej sypialni – drżącym głosem Agnieszka poleciła Gabrysi, która właśnie weszła do pokoju z opatrunkami i miską wypełnioną wodą. Matczynym sercem odgadła, że to, co córka chciała jej powiedzieć, nie będzie radosną nowiną. – Ty się prześpij w gabinecie – pomagając Katarzynie podnieść się z podłogi, zwróciła się oschle do męża, winnego jej zdaniem całego zamieszania.



Gdy przy pomocy służącej opatrzyła rozciętą skórę na czole Katarzyny i odprawiła Gabrysię z powrotem do jej pokoju, usiadła na skraju łóżka i utkwiała zatroskane spojrzenie w córce. Bóg jednak nie wybaczył, że Paweł nie poświęcił swego życia Jemu, tylko mnie, pomyślała, i teraz karze nas za złamanie danego słowa. To nasza wina, nie Katarzyny.

– Mów, dziecko... – szepnęła i aby dodać córce odwagi, ujęła jej dłoń. Była lodowata i mokra od potu.

– Ja... ja... – bąkała dziewczyna niepewnym głosem. – Nie mam... moich dni...

– Od kiedy? – spytała Agnieszka, z trudem hamując krzyk, który chciał się wyrwać z jej piersi. Choć domyślała się, co córka chciała jej wyznać, gdzieś w głębi serca miała jednak nadzieję, że Bóg okaże się litościwy. Słowa Katarzyny tę nadzieję rozwiąły ostatecznie.

– Od dwóch miesięcy – wydusiła przez łzy. – Dziś w nocy mieliśmy potajemnie wziąć ślub w cerkwi. A wyście mnie zamknęli na klucz jak niewolnicę! – rzuciła matce w twarz słowa pełne żalu i goryczy i wyszarpnęła dłoń z jej ręki. Zanosząc się szlochem, opadła na poduszkę.

– Chryste Panie! – Agnieszka gestem rozpaczony zakryła twarz dłońmi. Nie podejrzewała, że jej córka aż tak bardzo się zakochała. Nie tylko oddała się mężczyźnie bez błogosławieństwa Kościoła, ale gotowa była nawet wziąć ślub wbrew woli rodziców. – On o tym wie? – spytała po chwili, gdy zapanowała nad łzami ciszącymi się jej do oczu.

– Nie... – pisnęła cichutko Katarzyna. – Nie wiedziałam, jak mam mu to powiedzieć...

\*

Rano gorączkowała i Paweł posłał Gabrysię po doktora urzędującego w szpitalu. Zanim przyszedł, Agnieszka poprosiła męża do salonu i zamknęła drzwi, aby nikt nie mógł usłyszeć tego, co miała zamiar mu zakomunikować. Posadziła Pawła w fotelu, a sama usiadła na kanapie.

– Musisz poznać prawdę... – zaczęła drewnianym głosem i utkwiała w mężu zaniepokojone spojrzenie. Ostatnio narzekał na serce. – Nasza córka spodziewa się dziecka.

– Co takiego?! – Paweł zerwał się na nogi i zbladł. Spojrzał na żonę, ale wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, że to, co usłyszał, było prawdą. – Skąd wiesz? – spytał, siadając ciężko z powrotem w fotelu, i rozpiął sztywny kołnierzyk koszuli. Zabrakło mu tchu i miał wrażenie, że za moment się udusi.

– Katarzyna mi to wyznała. Mieli z Kaledinem potajemnie wziąć ślub tej nocy...

Rozmowę małżonków przerwało nadejście lekarza. Był to starszej daty mężczyzna o korpulentnej sylwetce i dobronudszym wyrazie twarzy. Spoglądał podejrzliwie na Raweckich, gdy kłamiwie, jękając się i stękając, opowiadali wydarzenia, które rzekomo doprowadziły do wypadku Katarzyny. Zrzucili wszystko na upadek z konia.

– Znacie państwo najnowsze wieści? – spytał, gdy skończył badania i stwierdził, że Katarzyna jest cała i zdrowa, a do gorączki doprowadziły emocje związane z upadkiem.

– Niby jakie? – Paweł i Agnieszka wymienili między sobą załęcznione spojrzenia, nabierając podejrzeń, że już cały Miechów trąbił o grzechu ich córki.

– Dragoni opuścili miasto dzisiejszej nocy. Ponoć car ogłosił częściową mobilizację. Można powiedzieć, że jesteśmy wolni – dorzucił na koniec, widząc zrozpaczone z nieznanego mu przyczyn miny Raweckich. Przyszło mu na myśl, że ich ta wiadomość bardziej zmartwiła, niż ucieszyła. Kto by się spodziewał, że oni sympatyzowali z zaborcą, pomyślał zbity z tropu. Sądziłem, że to patrioci. – Uciekli jak tchórze, po nocy – ciągnął dalej, nie mogąc zapanować nad radością rozpierającą jego serce.

– Wszyscy? – spytał Paweł, mając cichą nadzieję, że Kaledin, jako człowiek honoru, został, aby ożenić się z jego córką, choć jeszcze nie tak dawno osobiście nakarmił go czarną polewką i wyrzucił za drzwi jak pierwszego lepszego chłystka.

– No, wiadomo, że wszyscy! – ekscytował się doktor. – Jakby został choć jeden, własnoręcznie bym go pałaszem załatwił! – dorzucił buńczucznie, kierując się do wyjścia. – Chodzą słuchy, że w urzędzie pakują kasę miejską i dokumenty, a to oznacza jedno: że Moskale się ewakuują.

– Boże... i co teraz? – zrozpaczonym głosem szepnęła Agnieszka, gdy za doktorem zamknęły się drzwi. Ciche łzy potoczyły się po jej bladych jak papier policzkach.

Kiedy Katarzyna dowiedziała się, że pułk Kaledina opuścił Miechów i nikt nie wiedział nawet dokąd, usiłowała targnąć się na swoje życie, wypijając wszystkie wyszperane w apteczce krople. Jednak na czas wywołano u niej wymioty, zmuszając do wypicia dwóch szklanek wody z solą. Obrażona przestała się do wszystkich odzywać, obarczając rodzinę odpowiedzialnością za swoje nieszczęście. Ten stan rzeczy nie trwał jednak długo. Kiedy przez okno ujrzała, jak rozlepiano na murach obwieszczenia, z zaciekawieniem wyszła, aby przeczytać.

– Mamo! Tatku! – z krzykiem wbiegła do domu. – Wojna! Wybuchła wojna! Niemcy wypowiedzieli nam wojnę!

**Część druga**

**Pod obcymi sztandarami za polską sprawę**

## Rozdział 12

Krótką sierpniową noc zbierała się do odejścia, gdy do przysiółka Baran nieopodal Kocmyrzowa od strony Krakowa dotarł tętent końskich kopyt. Już po chwili na drodze pojawiły się dwie bryczki. Kiedy zatrzymały się w sąsiedztwie dorodnych topoli, wyskoczyło z nich siedmiu młodych mężczyzn. Najstarszy miał dwadzieścia sześć lat i zawadiacko sterczące wąsy, a najmłodszy zaledwie osiemnaście i twarz całkowicie pozbawioną zarostu. W ciszy i panoszących się ciemnościach wyciągnęli z bryczek ciężkie tobołki. Mieli w nich ukryte mundury, broń i ładunki wybuchowe. Odprawili dorożkarzy z bryczkami i rozejrzeli się z uwagą po okolicy, sprawiającej wrażenie wymarłej. Nigdzie nie dostrzegli żywego ducha. Nawet żaden pies nie zaszczekał, jakby wszystkie uznały ich za swoich. Z tobołami w rękach skierowali się w stronę punktu granicznego w Kocmyrzowie. Jak im doniesiono, straż pilnująca kordonu granicznego już dwa dni temu dała nogę. Minęli opuszczony posterunek i bez przeszkód wkroczyli na terytorium wroga. Gdy dostrzegli porzucony przez Rosjan rozklekotany wózek, przywłaszczyli go sobie bez namysłu. Ostrożnie umieścili w nim jeden ze swoich pakunków, resztę tobołków cisnęli na wierzch. Ciemna, bezksiężycowa noc sprzyjała ich zamiarom. Po krótkim czasie minęli ostatnie zabudowania i doszedłszy do krzyżówki, przystanęli.

– Gryf – szepnął ten najstarszy, z wąsami, zwracając się do swego dobrze zbudowanego towarzysza o twarzy pokrytej gęstym rdzawym zarostem. – Która droga prowadzi do tego dworu w Goszycy?

– Tędy, w lewo – odparł szeptem zapytany, ruchem głowy wskazując kierunek. Przez moment zatrzymał wzrok na dalekiej linii horyzontu, która przybrała barwę purpury i złota. Boże, jak ja się za tą okolicą stęskniłem, pomyślał. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Ciągnąc na zmianę wózek, maszerowali w milczeniu, rozglądając się z uwagą na boki, aby nikt ich nie zaskoczył zniecacka. W końcu już trzeci dzień trwała wojna i wszystko mogło się zdarzyć. Nie minęła nawet godzina, gdy wychodząc na skraj lasu, z daleka, na tle jaśniejącego z każdą minutą nieba, dostrzegli zarys wiejskich chałup.

– Czekaście na mnie – szepnął Gryf i aby nie pobudzić miejscowych psów pilnujących podwórek, puścił się biegiem miedzą.

Przeskoczywszy drewniane ogrodzenie, znalazł się w sadzie. Pomiędzy drzewami, których gałęzie ugięły się pod ciężarem owoców, przemknął w stronę dworu pograżonego w ciemnościach. Zakradł się do znanego sobie okna i zastukał w szybę w umówiony sposób. Już po chwili okienko się uchyliło i ukazała się w nim uśmiechnięta twarz dziewczyny.

– Zachodźcie śmiało – szepnęła, być może na wszelki wypadek, aby nikt ich nie usłyszał, choć wieś jeszcze spała snem sprawiedliwych. – Już otwieram drzwi.

Po chwili cała siódemka, taszcząc tobołki wyjęte z wózka zostawionego pod płotem, jeden po drugim zanurzali się w mrok sieni, gdzie czekała na nich dziewczyna ze świeczką w ręce. Na sięgającą kostek nocną koszulę, którą miała na sobie, narzuciła chustę w kwiaty, ozdobioną frędzlami. Zerkając raz po raz na jej drobne białe stopy, z ulgą ciskali na posadzkę ciężkie tobołki.

– Z tym to ostrożnie – syknął ten z wąsami, gdy wnieśli do sieni ostatni pakunek. – Żebyśmy przedwcześnie nie wylecieli w powietrze.

– Pozwól, że ci przedstawię – przywitawszy dziewczynę, Gryf przystąpił do prezentacji swoich towarzyszy. – Belina, nasz dowódca.

Choć ubrani po cywilnemu, z przyzwyczajenia po wojskowemu stukali obcasami

oficerskich butów, szarmancko całowali dłoń swej gospodyni, a Gryf wymieniał ich pseudonimy. Z uwagi na konspirację, w której działali, każdy z nich zobowiązany był przyjąć pseudonim, którym posługiwali się w kontaktach między sobą. Również swoje stopnie oficerskie, uzyskane w wyniku szkoleń, zawiesili na kołkach. Będą mogli do nich wrócić dopiero, jak się zasłużą w boju. Taką decyzję podjął kierujący coraz liczejszymi oddziałami strzelców Komendant. Wszyscy znali jego nazwisko, ale mieli obowiązek zwracać się *per* Obywatelu Komendancie. Jedynie Belina dostąpił zaszczytu i mówił krótko: Komendancie. To właśnie on wyznaczył tej grupie bardzo ważne, lecz śmiertelnie niebezpieczne zadanie. Wszyscy zgłosili się na ochotnika. Gryf, jako że urodził się i wychował w tych okolicach, pełnił funkcję przewodnika.

– A to jest Anna, nasza informatorka i działaczka w mojej grupie konspiracyjnej – dokończył prezentacji. Anna także posługiwała się pseudonimem.

– Pewno jesteście głodni. – Obrzuciła zachwyconym spojrzeniem ich mundury, które wydobyli z tobołków. Też bym chciała taki włożyć, pomyślała z odrobiną zazdrości. – Zapraszam do jadalni.

Zanim zdążyli się rozgościć, wyrwana ze snu kucharka bez szemrania rozpałała pod kuchnią i pognała do spiżarni po jajka. Już po chwili skwierczały apetycznie na olbrzymiej patelni, a Anna stawiała na stole talerze, pajdy chleba w koszyku, pęta kiełbasy, osełkę masła i słój ze świeżo zakiszonymi ogórkami. Wyglodzeni goście nie mogli się doczekać, kiedy gospodyni zaprosi ich do stołu. Ostatni posiłek zjedli, a właściwie wypili, w restauracji Hawelka przy krakowskim Rynku, dokąd ich Belina zaprosił po skończonej odprawie. Gdy jajecznicą wjechała na stół, pałaszowali z apetytem, zerkając raz po raz na widoczny za oknami podjazd do dworu. Wychylające się zza horyzontu słońce budziło do życia margerytki i róże obficie kwitnące na klombie. W oddali widniała brama, zamknięta na noc żelazną sztabą.

– No to teraz mówcie – Anna zwróciła się do Beliny, gdy starannie powycierał chlebem talerz po jajecznicy. – W czym mam wam pomóc? Jakie macie plany?

– Mamy zbadać siłę przeciwnika na linii Miechów–Kielce i w miarę możliwości zahamować pobór do carskiej armii – zaczął i sięgnął do kieszeni po papierosy. – Najbliższy punkt, zdaje się, jest w Jędrzejowie.

– Nie spodziewają się ataku, więc kiedy ich obrzucimy ładunkami wybuchowymi, wpadną w panikę – wtrącił Grzmot. – A to ułatwi nam rozbicie całego oddziału.

– Taka akcja powinna też zachęcić naszych chłopaków, aby zamiast do armii carskiej przyłączyli się do nas – dorzucił Kmicic.

– Przy okazji rozpoznamy teren pod kątem większej akcji – oznajmił Belina i podkreślił wąsa.

– Musicie zachować ostrożność... – Anna także zapaliła papierosa. – Jeszcze wczoraj po okolicy kręciły się jeden czy dwa oddziały straży granicznej. Niestety, nie udało mi się wysledzić, w którą stronę się udali.

– Jak daleko stąd do Jędrzejowa? – wypytywał dalej Belina.

– Będzie z sześćdziesiąt wiorst – odparł Gryf równie dobrze jak Anna znający te okolice.

– Przydałby się jakiś transport – stropił się Belina i zawiesił na Annie wymowne spojrzenie. Wprost nie śmiał prosić. – Marsz na piechotę zajmie zbyt wiele czasu. Ktoś zdąży donieść Moskałom, że jest nas tylko siedmiu. Wyłapią nas co do sztuki.

– I żart Komendanta zamieni się w tragiczną rzeczywistość – zarechotał Grzmot.

– A co takiego powiedział Komendant? – zainteresowała się Anna.

– Choć będziecie wisieć, spełnicie pięknie żołnierski obowiązek, ale historia o was nie zapomni – ze śmiechem słowa Komendanta przypomniał Belina. – Tym razem wyjątkowo Komendant nas pochwali za niesubordynację, bo my powiesić się nie damy.

– Koni pod wierzch dać wam nie mogę – ze smutkiem oznajmiła Anna. – Rząd zarekwirował. Bryczki też, na podwozy dla wojska. Ale dam wam dwie furmanki i woźniców, którzy znają leśne ścieżki i drogi przez pola. Dowiozą was do Jędrzejowa na skrót. W drodze powrotnej oddacie.

Dochodziło południe, gdy pod wiązkami siana rzuconymi na spód furmanek zwiadowcy Beliny ukryli broń i mundury, pożegnali się ze swoją gospodynią, rozsiedli się wygodnie i ruszyli w dalszą drogę. Kiedy zniknęli za zakrętem drogi, Anna włożyła strój do konnej jazdy i z meldunkiem informującym Komendanta o bezpiecznym przekroczeniu granicy przez patrol Beliny pomknęła galopem w stronę Krakowa na jedynym wierzchowcu, który ostał się z rekwizycji.

W kolejno mijanych wsiach wśród miejscowej ludności zwiadowcy rozpuszczali fałszywe wieści o licznych polskich oddziałach strzeleckich, które jakoby wkroczyły na tereny Królestwa Polskiego.

– Będziecie wstępować w ich szeregi? – wypytywał Belina, udając poborowego, który dostał wezwanie do armii carskiej. – Bo my już się zapisali.

– Jak będzie trza, to pójdziem do polskiego wojska – odpowiadali po krótkim namyśle. – Pora już skończyć z tym moskalskim.

Plotka lotem błyskawicy dotarła do Jędrzejowa i kiedy patrol Beliny zbliżył się do miasteczka, Rosjanie zdążyli zrejterować, opuszczając punkt werbunkowy. Informację tę potwierdzali wracający gromadnie do domów rezerwiści, zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Nabrawszy śmiałości zwiadowcy, włożyli mundury i nie mając już nic do roboty w Jędrzejowie, ruszyli w drogę powrotną, nadal rozpowiadając o polskim wojsku, którego oni są tylko patroliem wywiadowczym. Rozochoceni tak łatwym wykonaniem zadania, postanowili rozbić oddział rosyjskiej straży granicznej w Słomnikach. W pobliżu dotarli pod wieczór i zatrzymali się na krótki odpoczynek na skraju wsi Prandocin. Bończa i Janusz, otrzymawszy od Beliny rozkaz dokonania rozpoznania, włożyli cywilne ubrania i udali się do miasteczka.

– Na rynku znajduje się sześć plutonów straży granicznej – meldował Bończa, kiedy z Januszem wrócili na miejsce postoju. – Jak nam powiedziano, przygotowują się do wymarszu. Tłum gapiów przygląda się, jakby to była jakaś świąteczna parada.

– To ponad setka żołnierzy – stropił się Belina. – W tej sytuacji plan ataku bierze w łeb – oświadczył po chwili, ładując się z powrotem do furmanki. – Zarządzam odwrót. Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce na nocleg, bo wszyscy jesteście śmiertelnie zmęczeni. Konie też.

Noc miała się ku końcowi, gdy stojący na warcie Gryf poprzez gęstą mgłę, która spowiła całą okolicę, usłyszał tętent końskich kopyt. Już po chwili kilkadziesiąt kroków od siebie ujrzał rosyjską czujkę. Błyskawicznie czmychnął w zboże i zaalarmował śpiących towarzyszy. Zerwali się na nogi i nawet nie czując przejmującego do szpiku kości chłodu poranka, chwycili za broń i uformowali szyk. Kiedy Rosjanie ich dostrzegli, wstrzymali konie. Dość głośno zastanawiali się nad podjęciem decyzji, co powinni zrobić. Ich podniesione głosy i rzenie koni niosły się po rosie.

– Bagnet na broń! – zadysponował Belina, wysuwając się do przodu. – Tyralierą w kierunku wroga marsz! Może nas nie powieszają, ale mają szansę powystrzelać – zarechotał z sarkazmem.

Jednak zanim uszli kilka kroków, rosyjski oddział, nie decydując się na podjęcie walki z wrogiem, którego liczebności nie zdołał rozpoznać, rozpląnął się we mgle. Siódemka Beliny wkroczyła do wsi, udając, jakoby mieli zamiar gonić rosyjski patrol. Wywarło to na miejscowej ludności tak duże wrażenie, że nawet ksiądz im pobłogosławił, stojąc z krzyżem w ręce, gdy opuszczali wieś.

– Wszyscy cali, ale, psiakość, nawet jednego naboju żeśmy nie wystrzelili – narzekał Gryf. – To się nazywa mieć pecha!

Nie mając już nic z prowiantu, w który na drogę zaopatrzyła ich Anna, zamiast śniadania zapalili po papierosie. Po raz kolejny zamienili mundury na cywilne ubrania, wyciągnięte spod słomy rozłożonej w furmankach. Ukryli broń i już mieli zamiar ruszać w drogę, gdy nagle Gryf zwrócił się do Beliny:

– Obywatelu dowódco. Zapraszam na śniadanie. A jak dobrze pójdzie, to wrócimy konno, jak przystało na ułanów, a nie furmanką.

– Masz w okolicy jeszcze jakiś znajomych oprócz Anny? – W oczach Beliny zalśniły iskierki nadziei. Cóż to za ułan bez konia?

– Godzinę drogi stąd znajduje się majątek mojego dziadka, Andrzeja Jaxa-Raweckiego. Ma całkiem zgrabne stadko koni pod wierzch. Więc i siodła się znajdą. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, może zastaniemy tam moją siostrę, Katarzynę. Niczego sobie dziewczyna. Z charakterem. Ale ty się możesz obejść smakiem – gruchnął śmiechem, widząc, jak jeden z kolegów zawadiacko podkręcał wąsa. – Ty już jesteś obabiony.

## Rozdział 13

Od czasu zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda na ulicach Kielc można było zauważyć narastające z każdym dniem ożywienie. Najpierw ogromnym popytem zaczęły się cieszyć sklepy kolonialne, skąd herbata, kawa i przyprawy znikwały jak kamfora. W ślad za nimi wzrosło zainteresowanie pospolitą mąką, cukrem, a nawet solą. Ze sklepu z tkaninami zapobiegliwi mieszczanie wynosili zarówno całe bele tanich szewiotów, jak i drogich jedwabii.

Pod koniec lipca pojawiły się na ulicach Kielc furgony zwożące nowe mundury z wojskowych magazynów wprost do koszar mieszczących się przy Bazarach i Prostej. Jak niosła wieść gminna, żołnierze mieli zamienić różnorodnie dotychczas mundury na jednolite w ochronnym zielonkawym kolorze. Ulicami miasta przepychały się zaprzężone w konie podwozy, samochody, kuchnie polowe, wozy aprowizacyjne i gromady rekrutów. Zamieszania dopełniały liczne konne patrole i wszechobecne żołdackie okrzyki.

Natychmiast wśród żydowskich kupców dało się zauważyć poruszenie i lęk przed Niemcami. Co bogatsi pakowali manatki do powozów i wyjeżdżali z miasta w sobie tylko znanym kierunku. Banki w obawie, że zabraknie im płynności finansowej, wypłacały dziennie niewielkie kwoty, ale i tak wszelki towar ze sklepów został wymieciony. Również zamożni Rosjanie niepostrzeżenie ulatniali się z miasta. Widać było gołym okiem, że nadchodziła burza. Rozpętała się 30 lipca i miała trwać aż do listopada 1918 roku. Nikt się nie spodziewał, że wystrzał z małego pistoletu dał sygnał do rozpoczęcia rzezi wielu milionów ludzi.

Leopold Rawecki mimo swych prawie pięćdziesięciu lat przeskakiwał po dwa stopnie, aby jak najszybciej dostać się do swego mieszkania mieszczącego się na pierwszym piętrze eleganckiej kamienicy stojącej na rogu Rynku i Bożęckiej. Już od progu wołał zdyszany, z trudem łapiąc oddech:

– Jelizawieto! Lizo! Gdzie jesteś?!

Z impetem wpadł do salonu, ale tam żony nie zastał. Wybiegł jak oparzony i zajrzał do sypialni z obawą, że znowu źle się poczuła. Zastał ją dopiero w jadalni, gdzie nieruchomo stała przy szeroko otwartych przeszklonych drzwiach wychodzących na balkon wiszący nad ulicą, wpatrując się w gęstniejący z minuty na minutę tłum ludzi, zebranych wokół słupa ogłoszeniowego. Ich podekscytowane głosy dolatywały do wnętrza mieszkania.

– Lizo... – Zamilkł w pół słowa, gdy żona odwróciła ku niemu twarz o podkrążonych oczach, z których po jej bladych policzkach toczyły się łzy. Jeszcze nigdy nie wydała mu się taka piękna jak w tej właśnie chwili. – Kochana moja... – szepnął przez ściśnięte rozpaczą gardło i przypadł do żony. Tulił ją w objęciach jak dziecko. – Car ogłosił mobilizację. Do rezerwistów rozesłano już karty mobilizacyjne.

– Tak myślałam – odparła szeptem, wtulona w jego ramiona. – Słyszałam, co ludzie mówili, czytając obwieszczenia. Co teraz będzie z nami? – Podniosła na męża przerażone spojrzenie.

– Wszystkie urzędy będą się ewakuować – z wypiekami na gładko ogolonej twarzy relacjonował wydarzenia z pracy, gdzie zapanowała panika i bałagan jeszcze gorszy niż zazwyczaj. – Naczelnik kazał nam spakować do skrzyń wszystkie dokumenty, załadować na podwozy i dostarczyć na dworzec. Lada dzień podstawią wagony i wszystko wywieżą do Moskwy albo Petersburga. Kasę też. Pułk także opuści Kielce. Zostawią nas na pastwę losu...

Zrozumiał po niewczasie, że na złego konia postawił. Tego się po Rosjanach nie spodziewał. Wierzył w zapowiedzi, że u boku Rosji czeka Polaków szczęście i dobrobyt. Od lat



wysłuchiwał opowieści o roli Słowian w budowaniu Wielkiej Rosji, a przecież Polacy to też Słowianie. Carat od ponad stu lat pobierał z tej ziemi rekruta, nakładał podatki, zwalczał wszelkie ruchy niepodległościowe. A teraz rzucił tę ziemię na pożarcie Niemcom, jakby nie miała dla niego żadnego znaczenia. Choć zawsze się z ojcem wyklócał, teraz przyznał mu rację. Car traktował Polaków i Polskę jak zdobycz wojenną – wykorzystać do cna, a jak przyjdzie czas, to porzucić.

– A my? Co będzie z nami? – Liza wbiła w męża oczy, w których czaił się ogromny lęk i niepewność jutra. – Nas też powinni ewakuować.

– A to z jakiej racji? – spytał zaskoczony jej opinią. – Ktoś przecież musi pracować, kierować urzędem, przyjmować podania, podejmować decyzje i tak dalej. Nie można wszystkiego zostawić ot tak sobie, z dnia na dzień. Poza tym my nie musimy uciekać. Jesteśmy tutaj u siebie.

– U siebie? – Liza wysunęła się z mężowskich ramion. – Co masz na myśli?

– Jak to co? – Podszedł do okna i zamknął je, aby hałasy dobiegające z ulicy nie przeszkadzały im w rozmowie. – Polskę mam na myśli.

– Polski nie ma. Nie istnieje – zaperzyła się, a niezdrowy rumieniec oblał jej policzki. – Jak Rosjanie się wycofają, do Kielc wejdą Austriacy albo, co gorsza, Niemcy i oni będą tutaj rządzić. Mnie mogą aresztować, a nawet oddać pod sąd polowy.

– Lizo... – Leopold z wrażenia wstrzymał oddech. Nigdy wcześniej żona nie wpadała w panikę i miał ją za osobę chłodną i opanowaną, aby nie powiedzieć: wyrachowaną. – Z jakiego powodu miałby cię aresztować?

– Przecież ja jestem Rosjanką! – Rzuciła mu w twarz fakt, który przez lata małżeństwa spoczywał zasypany niepamięcią. Nagle zatęskniła za swoim rodzinnym Sankt Petersburgiem, przy którym Kielce, choć miasto gubernialne, jawiły się jak zapyziała prowincja. – Mogą mnie uznać za szpiega. Ciebie także. Przecież zajmowałaś wysokie stanowisko.

Musiał przyznać jej rację. Mimo że miał ojca powstańca, sam był posłusznym i wiernym podanym cara, aby tylko się nie narazić na najmniejsze choćby szykany. Tłumaczenie miał zawsze jedno: że robi to dla dobra rodziny, ale tak naprawdę wysługiwał się dla kariery. Choć nigdy nie dopuścił się złego traktowania przychodzących do urzędu Polaków, przypomniał sobie złowrogie spojrzenia niektórych. Podobnie jak jego koledzy Rosjanie brał łapówki, aby żyć dostatniej. Być może teraz Polacy będą uważali go za sprzedawczyka. Ale perspektywa wyjazdu w głąb Rosji również napawała go lękiem.

– Przecież ja, jako szlachecki syn, nie miałem innego wyjścia! – tłumaczył się, jakby już stanął przed plutonem egzekucyjnym. – Miałem do wyboru służbę wojskową lub karierę w aparacie urzędniczym. Takie były przepisy. Takich jak ja są tysiące.

– Czy ty nie rozumiesz, że będzie wojna? Nikt się nie będzie pytał o przyczyny twoich decyzji. – Liza nerwowo spacerowała po pokoju, raz po raz wyglądając dłonią obrus rozłożony na owalnym stole lub przesuwając z miejsca na miejsce porcelanowe bibeloty stojące na kredensie. – Ludzie opowiadają o Niemcach straszne historie. Podobno będą używać gazów trujących i zrzucać na miasta bomby z tych swoich aeroplanów.

– Lizo! – Leopold nagle poczuł się bezradny wobec argumentów żony. Też słyszał te plotki. – Przecież wojna tak samo dotrze w głąb Rosji...

– Ależ co ty opowiadasz! – obruszyła się. – Rosja jest potężna i niezwyciężona. Nawet Napoleon nie dał nam rady. W Petersburgu będziemy bezpieczni.

– W Petersburgu? – spytał zaskoczony. – Dlaczego właśnie tam?

– Oj, Leo... – Liza spojrzała na męża z przyganą. Ale safandulę wzięłam sobie za męża, pomyślała zniecierpliwiona wiecznym tłumaczeniem mu wszystkiego. – Przecież tam mieszkają

moi rodzice. Z Warszawy wyjechali kilka lat temu, po rewolucji. Z pewnością u nich w domu starczy dla nas miejsca. A jak ojciec załatwi dla ciebie dobrą posadę, to i mieszkanie się dla nas znajdzie. Żebyś ty wiedział, jaki Petersburg jest piękny... – westchnęła z zachwytem. – Te liczne mosty i sama Newa w niczym nie ustępują Wenecji. Teatry, opera, balet Diagilewa, szerokie brukowane ulice oświetlone latarniami, eleganckie restauracje i kawiarnie. Nawet tramwaje elektryczne jeżdżą. Chłopcy pójdą do dobrych szkół, a Daszeńkę pošemy na naukę do Instytutu Smolnego. To przecież najlepsza szkoła dla takiej panny. Kto wie, może w końcu awansujesz na naczelnika wydziału... – Zarzuciła mężowi ramiona na szyję i z rozmarzonym wyrazem twarzy roztaczała przed nim wizję życia wspanialszego niż obecne. Nie wiedziała, że ten raj wkrótce zamieni się w piekło, z którego nie będzie drogi ucieczki.

Widząc niezdecydowaną minę swego męża, Liza sięgnęła po koronny argument, który, jak wytrawny dowódca armii, zostawiła sobie na sam koniec:

– W Petersburgu z pewnością są lekarze, którzy potrafią mnie wyleczyć z tego uporczywego kaszlu.

– Skoro tak mówisz... – westchnął z rezygnacją, widząc, że nie zdoła żony przekonać, aby zostali w Kielcach.

Odsunął ją delikatnie od siebie i podszedł do okna. Nagle zdał sobie sprawę, że bez tej piaszczystej, jałowej ziemi, bez tych skał wapiennych rozrzuconych dokoła, bez zapachu bzu i maciejki, bez piania kogutów nad ranem, bez dzwonów wzywających wiernych do kościoła nie będzie potrafił żyć. Jemu teatry i restauracje nie były potrzebne do szczęścia. Był szczęśliwy tutaj, w Kielcach, a najbardziej w Porętowie. Jednak żonie nigdy nie potrafił się sprzeciwić.

– Każ Gieni szykować kufry i pakować porcelanę – oznajmił zrezygnowanym tonem. – Mają dla urzędników podstawić na dniach wagony kolejowe – dodał po chwili i zamrugał powiekami, czując, jak go zapiekły łyzy.

Nazajutrz po mieście jak błyskawica rozeszła się jeszcze jedna wiadomość, której należało się spodziewać, a jednak liczone na cud. „Niemcy wypowiedziały nam wojnę!” – krzyczały tytuły gazet, roznoszonych przez miejscowych urwisów. O nieco innej treści gazetowe tytuły czytali Polacy w zaborze niemieckim: „Musieliśmy wypowiedzieć wojnę w obronie własnej!”. Nagle atmosfera w Kielcach, mieście co prawda gubernialnym, ale nieco zacofanym po długim okresie stagnacji, spowodowanym represjami i terrorem, zaczęła przypominać klimat innych miast europejskich. Młodzi ludzie bez szemrania, a niektórzy nawet z ochotą, stawiali się w punktach werbunkowych. Drogi do Kielc zapelnily się podwodami i pieszymi, a rząd rekwirował na potrzeby wojska konie i wozy. Dworzec w Kielcach pękał w szwach. Na peronach kłębiły się setki rekrutów i tłumy odprowadzających. Podrzucano czapki do góry i machano chusteczkami. Dziewczęta i matki płakały, ojcowie po męsku klepali po ramionach, być może ostatni już raz, swych dorosłych synów. Okrzyki na cześć wojska, dźwięki muzyki, rżenie koni, ładowanych do przystrojonych kwiatami wagonów towarowych, zagłuszały wszechobecny płacz i śmiech. Ale ruch był także w kościołach, niezależnie od wyznania. Młodzi spieszyli się ze zmianą stanu cywilnego, aby skosztować swoją miłość, zanim pójdą na front, z którego mogli już nigdy nie wrócić.

Dla Leopolda i Lizy Raweckich te dni przypominały dni sądu ostatecznego. Leo przez kilka dni bez przerwy pakował urzędowe dokumenty do skrzyń. Nie dając sobie rady z ich ilością, wrzucał jak popadło, a na koniec całą resztę cisnął w kąt. Liza z niezdrowymi wypiekami na twarzy usiłowała dokonać wyboru pomiędzy porcelaną, srebrami a pościelą. W żaden sposób gromadzony przez lata dobytek nie chciał się zmieścić w dwóch kufkach, choć do małych się nie zaliczały. Na domiar złego Dasza, Jura i Kola nie wracali z Porętowa. Przyszedł telegram, że wszystkie pociągi z powodu mobilizacji oddano do dyspozycji wojska. Dopiero po kilku dniach,

wieczorem, Antoni dotarł z dziećmi do Kielc bryczką, zaprzężoną w starą chabetę. Jadąc przez miasto, z przerażeniem spoglądał na opuszczone przez władze budynki o pootwieranych oknach i drzwiach, gdzie każdy wchodził i wychodził, kiedy chciał. Gdzieś tam poniewierały się porzucone w popłochu stopy dokumentów. Tylko widoczne na drzwiach tabliczki z carskim orłem i rosyjskie napisy świadczyły, że jeszcze nie tak dawno Rosjanie sprawowali tutaj władzę. Jednak już jest wojna, przyszło mu na myśl.

– Rząd nakazał panu dziedzicowi odstawić konie i bryczki do punktu werbunkowego, aby było czym odwozić rekruta na stację – z trudem łapiąc oddech, tłumaczył Leopoldowi i Lizie, gdy zajechał do rynku i targając bagaże, wdrapał się na piętro do ich mieszkania. – Urzędnik chciał łapówki sto rubli, aby dziedzic mogli część koni sobie zostawić, ale ja wyszykował w lesie zgrabny szalaz i kilka koni ukrył. Tudzież dwie bryczki. Do zimy musikiem wojna się skończy i ogiery wrócą z zesłania.

– Co wy, Antoni, wygadujecie! – obruszył się Leopold. – Mobilizacja potrwa kilka miesięcy, a gdzie działania wojenne? Idźcie lepiej do kuchni, kucharka da wam zupy, bo pewno głodni jesteście.

– To jak my teraz wydostaniemy się z Kielc? – dramatycznym tonem spytała Liza, gdy okazało się, że pociąg podstawiony dla urzędników zdążył odjechać poprzedniego dnia.

– Oj, Lizo! Nie zadawaj mi takich pytań! – Lawirując pomiędzy kuframi, walizkami i pakunkami ustawionymi w salonie i w przedpokoju, Leo odparł zniecierpliwionym tonem. On nie znał odpowiedzi na to pytanie. – Jeśli tak bardzo się obawiasz, że Kielce zostaną zajęte przez Niemców, to może przenieśmy się na czas wojny do Porętowa. Na wsi zawsze spokojniej.

– Jak ty, Leo, niczego nie rozumiesz! – odparła z pretensją w głosie. Kiedy Liza już raz coś postanowiła, nikt i nic nie było w stanie odwieść jej od powziętego zamiaru. – Tu nie chodzi o moje obawy, lecz o naszą przyszłość. Do Porętowa Austriacy wejdą lada dzień. Przecież to zaledwie kilka wiorst od granicy. A w Petersburgu nie tylko unikniemy bezpośrednich działań wojennych, ale mamy zapewniony dostatni byt. Dzieci wejdą do najlepszego towarzystwa. Ja mam szansę leczyć się u światowej sławy doktorów. A co nas czeka tutaj? – Dramatycznym gestem potoczyła po ścianach salonu, którego szeroko otwarte okna wychodziły na rynek.

Dolatywał przez nie tupot żołnierskich butów 6. Pułku Strzelców, który właśnie opuszczał miasto i maszerował w stronę ulicy Nowowarszawskiej. Wózki kulomiotów złowrogo dudniły, tocząc się po wybrukowanych kocimi łbami ulicach Kielc. W ślad za nimi podążały kuchnie polowe, których zapachy wdzierały się do okien mijanych kamienic. Pochód zamykały zaprzężone w czwórkę koni wyładowane wozy, obciążone płótnem, aby ukryć zawartość. Mimo gwaru i hałasu panujących na ulicach do uszu Raweckich dobiegały dźwięki rzewnego walca *Na stokach Mandżurii*, piosenki napisanej po klęsce w wojnie z Japonią, będącej swego rodzaju hymnem carskiej Rosji. W takt tej melodii się nie tańczyło, gdyż upamiętniała liczne ofiary poniesione w boju, i nawet car wstawał z miejsca podczas jej wykonania. Teraz tego walca na pożegnanie grała orkiestra strażacka kierowana przez Brzuchala-Sikorskiego. Nikt by się wówczas nie spodziewał, że nim miną dwa tygodnie, cała orkiestra wstąpi do 1. Pułku Piechoty utworzonego na bazie Strzelców i Drużyn Strzeleckich.

Stanęło na tym, że Rawecy zatrzymają bryczkę i konia dla siebie, a woźnica postara się dostać do Miechowa jakąś okazją lub pierwszym pociągiem, jak tylko zaczną normalnie kursować. Ani Rawecy, ani Antoni nie zdawali sobie sprawy, że na normalność świat będzie musiał czekać kilka lat i nie wszyscy jej dożyją.

Zmiana planów wytrąciła Lizę z równowagi. Mowy nie było, aby mogli zapakować do bryczki te wszystkie bagaże, które planowali wywieźć pociągiem, gdzie mieli zarezerwowany przedział dla siebie i część wagonu towarowego. Nie tak sobie wyobrażała wyjazd z Kielc.

Chciała przyjechać do domu rodziców jako zamożna pani komisarzowa, z porcelaną i srebrami, z kufrem atlasowej pościeli i futer. A zjawi się jako uciekinierka, z nędznym tobołkiem w ręku. Chodziła z kąta w kąt, pochlipując cichutko, aby służące nie widziały. Jeszcze sobie nie zdawała sprawy, że w życiu bywają ważniejsze sprawy niż porcelanowy serwis obiadowy na dwanaście osób. Kiedy to zrozumie, na wszystko będzie już za późno. Zapędziła służącą i kucharkę do przepakowania kufrów. Z czerwonymi od łez oczyma pomagała układać swoją porcelanową zastawę na powrót w kredensie. Srebra stołowe także musiały zostać. Do walizek zapakowano odzież i trochę pamiątkowych drobiazgów. Komplety bielizny pościelowej i stołowej, uszyte z najlepszych materiałów, ozdobione haftowanymi inicjałami Elżbiety i Leopolda, nigdzie się nie pomieściły i wróciły do bieliźniarki. Do aksamitnego woreczka Liza wrzuciła swoją biżuterię i ukryła go na piersiach, za stanikiem. Mąż w tym czasie chodził za nią krok w krok i zapewniał, że ona kupi sobie wszystko nowe, jak tylko dojadą do Petersburga.

– Ależ Lizo, moja najdroższa. Tak nie można. Znowu dostaniesz gorączki... – Zaniepokojony łzami żony Leopold dreptał za nią krok w krok. – Przecież nikt nas stąd nie wypędza. Jechać w twoim stanie taki świat drogi! Mnie nie zależy na tych awansach i teatrach. Przemyśl sprawę raz jeszcze...

– To na czym ci zależy? – Spojrzała na męża z furią w oczach.

– Na twoim szczęściu, Lizo. – Wziął żonę w ramiona i przytulił. Choć urodziła trójkę dzieci, ściśnięta gorsetem jej wąska talia wciąż budziła w nim pożądanie.

– To jedźmy do Petersburga. Tam mnie wyleczą... – szepnęła prosząco przez łzy i zakaszła. Cała złość momentalnie uszła z niej jak powietrze z przekłutego balonu. Miłość, jaką okazywał jej mąż przez wszystkie lata małżeństwa, zawsze ją rozbrajała. Żeby tak jeszcze był bardziej zaradny, jak inni na jego stanowisku, pomyślała.

Przedsmak wojennej zawieruchy Rawecy poczuli już kolejnego dnia. Niespodziewanie po bruku ulicy Leonarda zastukały dziesiątki końskich kopyt i już po chwili oddział rosyjskiej kawalerii wjechał galopem na rynek. Leopold błyskawicznie zamknął okno i poprzez ledwie uchyloną firankę obserwował, co wyczyniali żołnierze. Kilku zsiadło z koni i wpadło do najbliższego sklepu. Po chwili wynieśli stamtąd swoje pierwsze łupy wojenne pod postacią kilku bel materiału. W sąsiednim wzbogacili się o naręczę futer. Zanim właściciele odważyli się zareagować, żołnierze wskoczyli na koń i pomknęli dalej. Dla uciechy strzelali z karabinów po oknach i witrynach sklepowych. Leopold natychmiast odskoczył w głąb mieszkania i na wszelki wypadek przykucnął za kanapą, pociągając za sobą żonę.

W noc poprzedzającą wyjazd Liza nie zmrużyła oka. Była to pierwsza noc bez Rosjan w mieście. Początkowo zrobiło się cicho, jakby nie tylko Rosjanie wyjechali, ale razem z nimi wszyscy mieszkańcy Kielc. Nagle po północy zerwał się porywisty wiatr. Szarpał szeroko otwartymi oknami, wrywał na zewnątrz firanki, które zdawały się fruwać jak żagle pozbawione masztu. Pierwszy grzmot był tak głośny, że zerwał na nogi nawet Leopolda, który zwykle sypiał snem kamiennym i jak mawiał, nawet huk armat nie był w stanie go obudzić. Zaraz potem lunął rześisty deszcz. Leopold i Liza rzucili się zamykać wszystkie okna, aby woda nie wdarła się do mieszkania. Kolejny grzmot pobudził dzieci. Jura i Daria przybiegli w strachu do sypialni rodziców, a Kola zaniósł się płaczem. Za sprawą błyskawic, raz po raz rozdzierających niebo na kawałki, w mieszkaniu Raweckich zrobiło się jasno jak w dzień. Kolejny podmuch wiatru powalił stojący w oficynie olbrzymi jesion, który upadając, powybił szyby w oknach na parterze. Dopiero nad ranem, mrużąc i pojękując, burza odeszła na wschód. W ślad za Moskałami. Liza jednak już nie zmrużyła oka do świtu.

Nagle naszły ją wątpliwości. Czy damy radę dojechać do celu przez kraj ogarnięty wojną? – biła się z myślami. Może Leo nie jest taki głupi, za jakiego go uważam, i ma rację, że

wojna dotrze także do Petersburga? Jeśli potrwa dłużej, to najpierw Jura, a po nim Kola dostaną powołanie do armii. Ale jak zostaniemy w Kielcach, rozmyślała, to mogą trafić do niewoli austriackiej lub niemieckiej. Pomału docierała do niej straszna prawda, że przed przeznaczeniem nie było ucieczki. Boże, czym zgrzeszyłam, że tak mnie karzesz surowo? – zerknęła w zaciągnięte ciężkimi chmurami niebo, jakby spodziewała się ujrzeć Wszechmocnego. Opuść nam nasze winy i *caria chrani*, modliła się, splatając mocno dłonie.

Rano wstała jak z krzyża zdjeta i ledwie wyszła z sypialni, gdy służąca ją dopadła i oznajmiła dramatycznym tonem:

– Nie jest dobrze, proszę jaśnie pani... Panicz Mikołaj ma bardzo wysoką gorączkę. Już wczoraj kaszlał i skarżył się na ból gardła.

Zapominając o własnych strapieniach, wpadła jak wichur do sypialni synów. Kola leżał nieruchomo, z głową opartą na poduszkach, a mokre od potu włosy lepiły się do jego czoła. Powieki miał półprzymknięte, a na jego bladej jak kreda twarzy rzucały się w oczy wypukłe różowe plamy. Liza przysiadła na skraju łóżka i przyłożyła dłoń do czoła swego najmłodszego syna. Było mokre i gorące. Już wiedziała. To odra. W tej sytuacji wyjazd do Petersburga stanął pod znakiem zapytania.

## Rozdział 14

Dzień był słoneczny i upalny, jak to bywa w początkach sierpnia. W salonie Pawła i Agnieszki Raweckich, siedząc na pluszowej kanapie, relację z wydarzeń w Częstochowie zdawał doktor Stefan Kobierski. Ubrany był w jasny garnitur z alpaki, spod którego wystawała brązowa kamizelka, a pod wysokim kołnierzem białej koszuli miał zawiązany jedwabny krawat w tabaczkowym kolorze. Słomkowy kapelusz, przewiązany brązową wstążką, położył tuż obok siebie na kanapie. Wysoka temperatura dawała się mu we znaki, ale cel jego wizyty u Raweckich zobowiązywał do stosownego na tę okazję stroju. W ogorzałej od słońca twarzy błyszcząły jego niebieskie pogodne oczy. Raz na jakiś czas nerwowym gestem poprawiał kosmyk szpakowatych włosów niesfornie opadający mu na czoło i przecierał batystową chusteczką zroszone kroplami potu czoło.

– Jak tylko Rosjanie ogłosili mobilizację – wiercił się na kanapie, ze zdenerwowania nie mogąc sobie znaleźć miejsca – zaraz wydali rozkaz zniszczenia stacji telegraficznej i wyrąbania słupów telegraficznych. Zapakowali kasę miejską, dokumenty oraz swój dobytek i uciekli, porzucając mieszkańców na pastwę losu. Mówi się, że zostawili swoich szpiegów, aby mieli na wszystko oko i donieśli, jak urzędnicy wrócą z powrotem na nasze ziemie. Ja już jakiś czas temu przeniosłem się do Łodzi, gdzie kupiłem ładny dom, mieszczący się przy eleganckiej ulicy. Mam też propozycję pracy w tamtejszym szpitalu, choć nie ukrywam, że marzy mi się prywatna praktyka.

– U nas postąpili dokładnie tak samo – podjął rozmowę Paweł, myśli mając zajęte troską o losy swych synów, Wiktora i Cezarego, od których od czasu wybuchu wojny nie mieli żadnych wieści. Jeszcze mi się dzieci nawzajem na tej wojnie pozabijają, myślał z rozpaczą. – A przecież granica z Austrią jest tuż-tuż. Można powiedzieć, że za miedzą. Lada dzień mogą wejść ich wojska. Moskale łupili nas podatkami, pobierali rekruta, a jak przyszło co do czego, to wydali nas na łup najeźdźcy. Nasi obywatele próbują się jakoś zorganizować, wypełnić powstałą lukę, aby miasto mogło normalnie funkcjonować.

– Już 3 sierpnia do miasta dotarły pierwsze zagony wojsk niemieckich i od razu padły pierwsze ofiary z ich rąk – ciągnął dalej Kobierski, nie mogąc wciąż zdecydować się na poruszenie tematu, z którym przyjechał. – Upojeni alkoholem żołdacy reagowali tak nerwowo na każdy głośniejszy dźwięk, że sami do siebie strzelali. Oskarżyli Bogu ducha winnych cywilów i rozstrzelali kilkanaście osób. Za nic mając majestat śmierci, kazali ich pochować w płytkich dołach w parku pod Jasną Górą. Ale ja nie w tej sprawie do szanownych państwa... – Zmieszał się i opuścił wzrok na czubki swoich butów z jasnej skóry.

– Tak? – Paweł zawiesił na Kobierskim pytające spojrzenie, na moment zapominając o synach. – Proszę mówić – zachęcał z życzliwym uśmiechem, widząc zakłopotanie na twarzy Stefana.

Kobierski wilgotną już chusteczką po raz kolejny obtarł zroszone kropelkami potu czoło i podniósł się z kanapy. Zanim się odezwał, oblizał wysuszone usta.

– Chciałbym szanownych państwa prosić o rękę waszej córki, Katarzyny – wydusił z siebie i z ulgą, że ma już to za sobą, nabrał powietrza głęboko do płuc.

Gdy ujrzał, jak Raweccy błyskawicznie wymienili pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia, ogarnął go lęk, że podadzą mu czarną polewkę. Zdawał sobie sprawę, że był znacznie starszy od Katarzyny, w zasadzie tylko troszkę młodszy od jej ojca, co mogło rodzicom i samej panie się nie spodobać. Jednak za przyjęciem oświadczyn przemawiała jego pozycja społeczna

i posiadany majątek. Dotarli także do niego pogłoski, że planowany na męża Katarzyny Ksawery Drogosz został wysłany przez rodziców do Zakopanego, jakoby dla podratowania zdrowia, a być może chodziło o całkiem coś innego, czego Kobierski nie miał zamiaru dociekać. Stefan mógł też poszczycić się szlacheckim pochodzeniem, choć majątek ziemski został skonfiskowany przez zaborców podczas ostatniego powstania, a sygnet rodowy wciśnięty w łapę rosyjskiemu żołdakowi uratował życie jego ojcu.

– Ja rozumiem, że moja propozycja jest trochę nagła – zaczął się tłumaczyć, zaskoczony własną śmiałością – ale też i sytuacja jest wyjątkowa. Z powodu wybuchu wojny mogę zostać skierowany do pracy w szpitalu wojskowym, więc nie wiadomo, czy mógłbym częściej państwa wizytować, aby konwenansom stało się zadość. Pannę Katarzynę kocham od dawna i zaręczam, że niczego jej w życiu nie zabraknie. A wyjazd do miasta ważnego z gospodarczego punktu widzenia zapewni jej bezpieczeństwo. Do Łodzi Rosjanie z pewnością Niemców nie wpuszczą.

Paweł i Agnieszka zgodnie przywołali na swoje twarze życzliwe uśmiechy, zdając sobie sprawę, że ślub ich córki z Kobierskim dawał rodzinie szansę na uniknięcie skandalu. Widać Bóg wysłuchał ich żarliwych modlitw, zanoszonych co wieczór przed ołtarzem Marii Magdaleny, która grzech ich Katarzyny powinna doskonale zrozumieć. A wojna była czynnikiem, na który można będzie rzucić przedwczesne rozwiązanie.

– Drogi Stefanie, synu... – Paweł kordialnie ujął Kobierskiego za ramiona. – Ma pan naszą zgodę i rodzicielskie błogosławieństwo. To dla nas prawdziwy zaszczyt, że wejdzie pan do rodziny.

– To znaczy, że Katarzynie nie jestem obojętny? Coś państwu mówiła? – Kobierski nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Drżącymi palcami rozluźnił zbyt ciasno pod szyją zawiązany krawat.

– Na pewno nie jest pan jej obojętny. Bardzo pana szanuje i podziwia. Zaręczam. – Paweł promieniał radością. Już moja w tym głowa, aby Kaśka nie odmówiła, pomyślał, rozciągając usta w uśmiechu. – A miłość przecież zawsze przychodzi po ślubie, nieprawdaż? – Patrząc obłudnie swojej żonie w oczy, z szacunkiem ucałował jej spoconą dłoń.

Agnieszka, mimo upału ubrana na przyjęcie gościa w elegancką suknię z długim rękawem, ozdobioną licznymi falbankami na biuście, ściśnięta gorsetem, czuła się jak bohaterka powieści Prusa, Anielka, którą wsadzono do pieca chlebowego na trzy zdrowaśki.

– Oczywiście, panie Stefanie, jakże by inaczej... – Na wszelki wypadek, aby Kobierski nie zauważył w jej oczach wstydlivej prawdy, opuściła wzrok na czubki swoich pantofli z lakierowanej skóry. Piły ją niemiłosiernie, bo z tego upału nogi jej popuchły.

Rozmowa nie dobiegła jeszcze końca, gdy do salonu wpadł jak bomba Albin i nie patrząc, że rodzice mieli gościa, wrzasnął od progu:

– Wojsko idzie na Miechów!

## Rozdział 15

Cezary Jaxa-Rawecki, znany kolegom ze Strzelca jako Gryf, ciskał się na twardym sienniku, nie mogąc zmrużyć oka. Był zbyt podekscytowany, aby usnąć. W ostatnich dniach historia jakby przyspieszyła i przewidywania niektórych, że do wojny nie dojdzie, że międzynarodowe napięcie rozejdzie się po kościach, okazały się chybione. Pierwszy krok uczyniły Austro-Węgry 28 lipca, wypowiadając maleńkiej Serbii wojnę, co skłoniło Rosję do ogłoszenia w tym samym dniu częściowej mobilizacji, a dwa dni później powszechnej. Niemcy jakby tylko na to czekali, aby nikt ich nie oskarżył, że to oni zaczęli, w odpowiedzi wypowiedzieli wojnę Rosji 1 sierpnia, a trzeciego Francji, oskarżając ją jednocześnie o naruszenie niemieckiego terytorium, co było oczywistą nieprawdą. W tej sytuacji Anglia, jako sojuszniczka Francji i Rosji, choć wolałaby tego uniknąć, 4 sierpnia wypowiedziała wojnę Niemcom. Oczy wszystkich zwróciły się na Franciszka Józefa, cesarza Austro-Węgier, czy wypowie wojnę Rosji, do której jego armia, w przeciwieństwie do niemieckiej, nie była dobrze przygotowana, czy też nie wypowie.

Odtąd Cezary zaczął działać w ruchu socjalistycznym, a później, po wydaleniu go z Królestwa do Galicji, w Strzelcu, nie mógł się doczekać wojny między zaborcami. Jak mówił Dziadek – tak oni między sobą nazywali swego Komendanta – była to jedyna szansa, aby Polska wybiła się na niepodległość. Oby tylko tej szansy nie zmarnowali. Widocznie komendant Drużyn Strzeleckich i Związków Strzeleckich przeczuwał pismo nosem, bo nie tylko wszystkie podległe sobie oddziały połączył w całość, ale także skierował tych najlepszych do obozu mobilizacyjnego na krakowskich Oleandrach. Czarek wciąż miał przed oczyma to upalne popołudnie sprzed kilku dni, kiedy ich wszystkich, a było ich stu czterdziestu czterech, Dziadek zebrał na placu. Stali czwórkami, wpatrując się z uwagą w jego skupioną i poważną twarz, ozdobioną gęstymi, lecz obwisłymi wąsami. Ubrany był jak oni – w szary strzelca strój i maciejówkę.

– Odtąd nie ma ani strzelców, ani drużyniaków – Komendant zaczął wówczas cichym głosem, gdy umilkły wszelkie szmery. – Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne oznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech strzelcy przypną do czapek blachy drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najłżejszy nawet cień różnicy między wami. – Umilkł wymownie, czekając, aż wypełnią jego polecenie.

Kiedy zamieszanie związane z wymianą odznak się skończyło i zapanował ład w szeregach, Piłsudski ciągnął dalej:

– Żołnierze!... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie – zawiesił ze wzruszenia głos, widząc przed sobą młodych, a nawet bardzo młodych mężczyzn, chłopców w zasadzie, którym przyjdzie na ołtarzu ojczyzny złożyć swe życie, choć go jeszcze nawet nie pokosztowali. – Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzą na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was jako pierwszą kadrową kompanię.



Teraz ponoć miał nadejść ten dzień wymarszu. Z niecierpliwością oczekiwali na odczytanie rozkazu. Jedni leżeli bez ruchu z oczyma wbitymi w wysoki sufit ginący w ciemnościach nocy, inni przewracali się z boku na bok. Nie mogli się doczekać, kiedy ruszą na Moskali. Niektórzy rozdali cały swój niewielki dobytek, bo na froncie pieniądze do niczego przecież nie będą potrzebne. Noc była jasna, wygwieżdżona, jak to bywa w sierpniu, a księżyc zaglądał do okien, jakby chciał sprawdzić, czy oni nie prześpią tej ważnej sprawy, kiedy zabrzmi złoty róg.

Minęła trzecia nad ranem, gdy do sali dotarł dźwięk pobudki i zewsząd dały się słyszeć głośnie kroki. Czarek błyskawicznie zerwał się na nogi i razem z innymi wybiegł na skąpo oświetlony dziedziniec. Z czułością i dumą poprawił przypiętą na piersi odznakę, z uwagi na swój kształt potocznie zwaną „Parasolem”. W kilka minut, w pełnym rynsztunku bojowym, w nowych mundurach z szaroniebieskiego drelichu, z karabinami przewieszonymi przez ramię, z żołnierskimi tornistrami na plecach, do których przytroczyli menażki, oczekiwali na Komendanta. Wyszedł do nich po chwili i odebrawszy ostatni raport, przemaszzerował wzdłuż ustawionych w dwuszereg plutonów, z uwagą wpatrując się w młode twarze, z których biła chęć walki.

– Winszuję! – oznajmił krótko i padła komenda wymarszu.

Strzelcy wykonali w prawo zwrot i pomaszzerowali w nieznanym sobie kierunku i celu. Sprawa wyjaśniła się po chwili, gdy między nimi lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że Austro-Węgry właśnie wypowiedziały wojnę Rosji. „A więc idziemy walczyć” – szeptali rozgorączkowani. Aby nie wpaść w ręce jakiegoś nadgorliwego patrolu austriackiego, bocznymi ulicami szli w milczeniu. Nocną ciszę zakłócał jedynie głuchy stukot końskich kopyt o bruk i szuranie żołnierskich butów. Maszerującą kompanię ubezpieczał oddział strzelców jadących przodem i po bokach na rowerach i furmankach. Choć wywiad donosił, że tereny przygraniczne Rosjanie ogołocili ze swoich wojsk, nie mogli wykluczyć spotkania z jakimś zagubionym patrolem.

Cezary wraz z pozostałymi ułanami, nie czekając na piechurów, konno ruszyli na rekonesans w kierunku granicy z Królestwem, która już przestała być granicą, bo ci, co jej pilnowali, uciekli. Pierwsi dotarli do Michałowic. Długą drogą, z obydwu stron ocienioną dorodnymi topolami, podeszli pod opuszczony w dół szlaban zagrządzający wjazd. Gryf zeskoczył z końskiego grzbietu i kilkoma solidnymi kopniakami zwałił go na ziemię. Belina wystawił czujkę, aby ubezpieczała drogę do Słomnik. Pozostali puścili konie luzem, a sami rozłożyli się w cieniu wysokiej topoli. Słońce już dawno wstało i wisząc na niebie, przypiekało niemilosiernie. Zjedli po kawałku chleba i konserwie, które otrzymali przed wymarszem, i paląc papierosy, jeden przez drugiego snuli wspaniałe wizje, co będzie się działo, gdy wkroczą na ziemię zaboru rosyjskiego.

– Będą nas witać jak wyzwolicieli – rozmarzył się Gryf, leżąc na plecach, z rękoma pod głową. – Obsypią nas kwiatami, a dziewczęta nie będą nam żałowały swych wdzięków.

– Tobie tylko dziewczuchy w głowie – zarechotał leżący tuż obok, wsparty na swoim żołnierskim tornistrze, Dzik, przyjaciel Czarka. Podobnie jak on pochodził z terenów Królestwa Polskiego. – Jak królewicy chwycą za broń – ciągnął dalej – w try miga zrobimy z Moskalami porządek.

– Mam nadzieję, że tak szybko wojna się nie skończy – oznajmił Gryf z odrobiną niepokoju. – Chciałbym sobie trochę powojować, Moskali natłuc, pierś medalami przyozdobić...

Nagle do ich uszu z daleka dobiegły słowa nieznannej im piosenki:

*Raduje się serce, raduje się dusza,  
gdy Pierwsza Kadrowa na Moskala rusza.*

*Oj da, oj da dana, kompanio kochana,  
nie ma to jak Pierwsza, nie.*

Zerwali się na nogi i spojrzeli w kierunku drogi biegnącej od Krakowa. Po chwili ujrzeli dziarsko maszerujący oddział pierwszej kompanii. Tupiąc żołnierskimi buciorami, wzbijał w powietrze żółty pył, który na kształt chmury unosił się w powietrzu. Gdy dotarł do zwiadowców, dowodzący kompanią Kasprzycki wydał rozkaz przewrócenia słupów granicznych, co nie sprawiało żadnych trudności, gdyż przez dziesiątki lat zdążyły spróchnieć. Jednym uderzeniem kolby strącił na ziemię carskiego orła.

– Co to za piosenka, którą śpiewaliście? – zainteresował się Cezary, gdy już dowódca symbolicznie wypowiedział Rosji wojnę. Melodia była wesoła i skoczna, a słowa pełne młodzieńczej werwy i optymizmu.

– Ja napisałem – pochwalił się Tadeusz Ostrowski, znany kolegom jako Oster, ukazując zęby w szerokim uśmiechu.

Jak oni wszyscy, nie lękał się o przyszłość, choć była ona bardzo niepewna. Nie wiedział wówczas, bo i skąd, że nie doczeka końca wojny, która się dopiero rozpoczęła, i nie przyjdzie mu zginąć z rąk nieprzyjaciela, lecz otoczony przez nacierających z bagnietami kozaków, ostatnią kulą z pistoletu pozbawi się życia, woląc śmierć niż niewolę. Ale tego dnia jeszcze o tym nie wiedział i razem z towarzyszami broni po raz kolejny śpiewał napisaną przez siebie radosną piosenkę.

Chwilę później Belina wraz ze swoimi ułanami pogalopował w kierunku Księża Wielkiego. Niespodziewanie w pobliżu wsi natknęli się na jadący miedzą pośród pól dojrzewającej w słońcu pszenicy dość liczny oddział kozaków, którzy z miejsca otworzyli ogień w stronę ułanów.

– Z koni! – padła krótka komenda Beliny. – Cel! Pal!

Przypadli do ziemi i skryci w zbożu, odpowiedzieli ogniem. Nowiutkie powtarzalne karabiny, w które zostali wyposażeni, jednak nie uczyniły większej szkody wśród kozaków, którzy nie mając rozeznania co do liczby napotkanych żołnierzy, wycofali się z walki w sobie tylko znanym kierunku.

Nieświadoma zagrożenia kompania strzelców, nazwana przez ich Komendanta „pierwszą kadrową”, po krótkim odpoczynku pomaszerowała dalej. Z godziny na godzinę słońce przypiekało coraz niemiłosierniej. Kurz wzbijany końskimi kopytami i dziesiątkami żołnierskich nóg osiadał na mundurach, butach i sztylpach, drapał w gardle, lepił się do spoconych twarzy. Oblizywali spieczone usta, z trudem przelykali ślinę, lecz w żadnej z mijanych wiosek nikt się nie kwapił podać im choćby odrobiny wody. Kobiety z zaciekawieniem i lękiem jednocześnie wychodziły przed chałupy, a wystraszona dzieciarnia kurczowo trzymała się matczynych spódnic. Żniwiarze na polach, słysząc marszowy krok, zaprzestawali machać kosami i obcierając zdjętymi z głów czapkami spocone czoła, podejrzliwie spoglądali na kolumnę wojska w nieznanym im mundurach.

W jednej z mijanych po drodze wiosek oczom strzelców ukazały się zabite deskami okna i drzwi. Nigdzie ani jednej krowy czy kury. Nawet pies nie zaszczekał. Wieś sprawiała wrażenie wymarłej.

– Zaraza ich jakaś podusiła czy co? – spytał Kasprzycki, wstrzymawszy oddział. – Odwalcie deski, abyśmy mogli zajrzeć do środka – nakazał kilku piechurów, a sam czekał na koniu.

We wnętrzu chałupy za stołem w milczeniu siedziała cała i zdrowa rodzina. W ich oczach malował się paniczny strach. Jedynie kury niczym niezrażone chodziły po izbie, szukając na podłodze czegoś do zjedzenia.

– A wy co? – spytał jeden ze strzelców. – Ktoś wam celowo drzwi i okna deskami pozabijał?

– Nie, panie – odparł ojciec rodziny, co można było wnosić z jego posiwiałych włosów i szacunku, z jakim na niego spoglądała cała reszta. – My sami się zabarykadowali, ze strachu...

– Przed kim?

– Ano przed wami... Przecież wy nie nasi...

Cezary poczuł się zawiedziony. Nie takiego przywitania oczekiwał. Chłopi spoglądali na nich jak na bandytów. Ponoć taką opinię wystawili im na odchodnym Rosjanie. Dopiero gdy ułani zapłacili za chleb i mleko, atmosfera ulegała poprawie. Jednak o garnięciu się w szeregi kompanii nie było mowy. Plany Komendanta wzięły w łeb. Tym samym pozycja jego strzelców wobec rządu austriackiego znacznie osłabła, a los polskiego wojska stanął pod znakiem zapytania. Czarek miał jeszcze nadzieję, że chociaż w pozostałych mijanych po drodze miejscowościach mieszkańców ogarnie zapał do walki albo chociaż okażą sympatię i wsparcie w postaci wody i chleba, ale nic takiego nie miało miejsca.

Długi marsz w prażącym sierpniowym słońcu dawał się piechocie we znaki. Jednak wszędzie witał ich jedynie tłum ciekawskich gapiów, w ciszy obserwujących przemarsz wojska, które dla nich było obce. „To nie nasi” – szeptał między sobą. Wszak kilka dni temu ich ojców, synów i braci jak z dawien dawna wcielono do armii rosyjskiej. Nawykli mówić o niej „nasza armia”. Na noc strzelcy zatrzymali się w Słomnikach, gdzie z samego rana ogłosili manifest fikcyjnego Rządu Narodowego. Komendant wychodził jednak z założenia, że tego nikt nie był w stanie sprawdzić w odległych krańcach Królestwa. Zostawiwszy pięciu strzelców jako garnizon Wojska Polskiego, poprzedzana przez kawalerzystów kompania ruszyła w stronę Miechowa.

Słońce stało już wysoko na niebie, kolejny dzień dając się we znaki piechurów, gdy z daleka ujrzeli rozłożony na zboczach niewielkiego wzniesienia Miechów. Na tle czystego błękitu nieba w promieniach słońca lśniła wysoka wieża kościoła Grobu Bożego z charakterystyczną, cebulową, jak mówili mieszkańcy, wieżą. Zanim strzelcy weszli do miasta, doprowadzili do porządku mundury, otrzepali z kurzu żołnierskie trzewiki i z nowo poznaną pieśnią, nazwaną „Kadrówką”, dotarli do cmentarza otoczonego wysokim parkanem, obok którego biegła ulica wiodąca do centrum miasta. Dość liczna grupa miejscowych chłopaków, zwabionych skoczną melodią, zaprzestała zabawy i spoglądała na żołnierzy z zaciekawieniem. Niektórzy, ci młodszy, zawzięcie dłubali przy tym w nosach. Po chwili całą gromadką puścili się biegiem do centrum miasteczka, wrzeszcząc wniebogłose. Jeden z nich cisnął za cmentarny płot długi kij, który jeszcze kilka minut wcześniej służył mu za wierzchowca. Pech chciał, że trafił w plecy jakąś zażywną jejmość, pochyloną nad nagrobkiem, być może męża, który zawzięcie szorowała. Wybiegła za bramę szybciej, niż się można było spodziewać po jej tuszy i wieku.

– Który to rzucił we mnie kijem bez płot? – zawołała piskliwym głosem, rozglądając się wokoło, ale chłopak już był zbyt daleko, aby mogła go dogonić. – Poczkej, ty smarku! – Wygrażała pięścią. – Jak cię złapie, to skope ci dupsko!

I wówczas dotarł do niej śpiew wydobywający się z młodych męskich gardeł. W takt skocznej ludowej melodii śpiewali coś w rodzaju: „oj da, oj da dana, kompanio kochana”. Spojrzała w stronę, skąd dochodził śpiew. Nigdy wcześniej takich mundurów nie widziała. Nasi noszą insze mundury, pomyślała, poprawiając chustkę na głowie. Rany boskie, to pewnikiem Niemce!

Nie bacząc, że na cmentarzu zostawiła wiadro i ścierkę, pomknęła ulicą Krakowską w stronę rynku. Nie zdążyła jednak dobiec nawet do ulicy Bóżnickiej, gdy natknęła się na grupkę ludzi stojących na chodniku i z zaciekawieniem spoglądających na wkraczających do miasta

żołnierzy. Inni wychylali się z okien. Z minuty na minutę tłum gęstniał. Kobiety i mężczyźni stali w milczeniu i niektórym strzelcom zdawało się, że patrzyli na nich złowrogo. Już po chwili do gapiów dołączyli Paweł z Agnieszką wraz ze Stefanem Kobierskim, zaalarmowani przez Albina. Nie bacząc na swój błogosławiony stan, wyprzedziła ich Katarzyna, mając złudną nadzieję, że do Miechowa wrócił pułk dragonów, w którym służył Kaledin. Widząc nieznane mundury i setkę pokrytych kurzem piechurów eskortowanych przez kilku jeźdźców, poczuła się zawiedziona.

– Czarek! Nasz Czarek! – krzyknął nagle Albin i zdjawszy płócienny kaszkiet z głowy, machał zawzięcie na powitanie brata. – Mamo! Tato! – Odwrócił się uradowany w stronę rodziców. – Spójrzcie na tego jeźdźca z prawej strony! To przecież nasz Czarek! Ludzie! To przecież nasi! – krzyczał wniebogłósy i wypchnąwszy się przed szereg, machał zawzięcie czapką.

Jego radość już po chwili udzieliła się kolejnym gapiom. Jednak większość spoglądała na wkraczających do centrum Miechowa żołnierzy sceptycznie. Jak niosła plotka, uzbroili ich Austriacy i ponoć razem z armią austriacką i niemiecką będą walczyć przeciwko Rosji. Więc jacy to nasi? Zażarte dyskusje, pod czyim zaborem będzie Polakom lepiej, trwały już od czasu, gdy jasne się stało, że między zaborcami dojdzie do wojny. Jedynie garstka liczyła, naiwnie, jak mówiono, że Polaków stać, aby wybić się na niepodległość. Zaliczał się do nich Paweł Rawecki. Ta garstka, widząc szaroniebieski mundur i srebrne orzełki na czapkach, nieważne, że bez korony, wiwatowała zawzięcie. Kobiety, nie patrząc na barwy narodowe, rzucały z okien kwiaty.

## Rozdział 16

Strzelców zakwaterowano w budynku Monopolu Spirytusowego, a Cezary z oddziałem ułanów ruszył na rekonesans w kierunku Jędrzejowa. W planach Komendanta były Kielce, a jak donosił wywiad, w pobliżu mogli jeszcze kręcić się Rosjanie z oddziałów straży granicznej. Gryf miał tylko tyle czasu, aby uściskać rodziców, niewidzianych od roku. Ojcu zakręciła się łza w oku, gdy spoglądał na syna, który tak szybko wydorósł i zmężniał. Lat dodawała mu ciemna broda, mieniąca się brązem w promieniach słońca. Cienie pod szarymi, głęboko osadzonymi oczyma świadczyły o zmęczeniu i niewyspaniu, lecz on się na nic nie skarżył, szczęśliwy, że dostąpił zaszczytu walki o wolność ojczyzny. Gdy opuszczał rodzinny dom, matka nakreśliła na jego czole znak krzyża, a na szyi zawiesiła metalowy krzyżyk, podobny do tego, który uratował Andrzejowi życie podczas bitwy o Miechów. Miała nadzieję, że i jej syna uchroni od śmierci z rąk wroga. Wyszli za nim przed dom i jakiś czas jeszcze, potrącani przez przechodniów, stali na ulicy ze wzrokiem utkwionym w sylwetce swego pierworodnego, którego gniady koń, stukając kopytami, oddalał się, aby wkrótce zmieszać się z resztą patrolu. W myślach każde z nich zanosilo modły do Najwyższego o szczęśliwy powrót syna z wojny, która dopiero się rozpoczęła, a jej koniec nie był nikomu znany. „Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wygnańców i pielgrzymów polskich, wybaw nas, Panie” – szeptali z ufnością.

Paweł i Agnieszka nie pamiętali, kiedy to ostatni raz w mieście było takie zamieszanie. Nawet 1 sierpnia, gdy car ogłosił mobilizację, na ulicach nie było tak tłoczno. Gęsty tłum zgromadził się przed kamienicą na rogu rynku, na której murze widniało jakieś obwieszczenie. Wciąż trzymając się za ręce, jakby byli parą narzeczonych, a nie małżeństwem od ćwierć wieku, usiłowali precyzyjnie się pomiędzy ludźmi, aby przeczytać. Chwilę trwało, zanim dopchali się na tyle blisko, aby wysokiego wzrostu Paweł mógł przeczytać ponad głowami innych:

– „Z rozkazu Rządu Narodowego, utworzonego w Warszawie – czytał na głos – oddziały Wojska Polskiego zajęły miasto. – Po tych słowach głos uwiązał mu w gardle. Nie spodziewał się, że dożyje kiedyś tego dnia. – W miejsce władz rosyjskich zostaną utworzone władze polskie, które obejmą wszystkie czynności publiczne”. To mamy już Polskę, Agnieszko... – szepnął wzruszony do żony. Uczucie, którym kiedyś ją darzył, a które się skończyło, jak myślał, bezpowrotnie, nagle wróciło do niego ze zdwojoną siłą. Zdał sobie sprawę, że żona była przy nim zawsze i nigdy go nie zawiodła, nawet wówczas, gdy on nie potrafił podołać trudnościom. Dopiero teraz zrozumiał, co niektórzy mają na myśli, mówiąc o dwóch połówkach, które się w świecie odnalazły.

– I co jeszcze piszą? – dopytywała się, nie mogąc nic samej przeczytać, choć stanęła na palcach i wyciągała do góry głowę. – No, mów! – niecierpliwiła się.

– Proszę, by zachować spokój i z pełną serdecznością witać oddziały Wojska Polskiego, udzielając im wszelkiej pomocy – przekrzykując wszechobecny gwar, streścił pokrótce przeczytany tekst odezwy.

Na wszelki wypadek nie dodał, że kończył się on apelem, aby mieszkańcy Miechowa zaciągali się w szeregi sił narodowych. Miał nadzieję, że Albin tego obwieszczenia nie przeczyta. Był jednak w błędzie. Jeszcze tego samego dnia, gdy spóźniony wpadł do jadalni, gdzie zebrała się cała rodzina przy kolacji, trąkotał od progu:

– Zamieścili odezwę, aby wstępować do wojska! Zaciągnę się do ułanów, jak Cezary. Dasz mi, tatku, naszego Zucha, prawda? Bez konia do ułanów nie przyjmą...

Usiadł przy stole i nie czekając na odpowiedź ojca, zabrał się do jedzenia gołąbków

z soczewicą i grochem. Nawet nie zauważył przerażenia malującego się w oczach matki. Już zdążył zamówić u Icka Epsztajna, miejscowego krawca, mundur z szaroniebieskiego drelichu. Jeszcze tylko kupi na targu czapkę, bo orzełka dostał od Czarka. Wcisnął odznakę do kieszeni i co chwilę sprawdzał, czy nadal tam jest.

– O czym ty mówisz, synu? – Paweł odłożył widelec i utkwiał w Albinie surowe spojrzenie. – Jeszcze nie skończyłeś gimnazjum. Masz dopiero szesnaście lat.

– Prawie siedemnaście – poprawił go syn. – Szesnaście kończę za tydzień. Jest przecież wojna i szkoły na pewno będą nieczynne – obstawał przy swoim. – Zresztą jeszcze kilka dni wojsko będzie stacjonowało w Miechowie. Polski komisarz wojskowy, pan Stanisław Tor, organizuje kwatery dla żołnierzy i zaprowiantowanie, zakładają warsztaty...

– Jakie warsztaty? O czym ty mówisz? – wtrąciła się Katarzyna, która od chwili, gdy rodzice poinformowali ją o oświadczeniach Kobierskiego, chodziła z oczyma czerwonymi od łez. Postawili sprawę na ostrzu noża. Albo wyjdzie za niego za męża, albo odeślą ją do albertynek, do ciotki Lali. Wybrała to pierwsze, mając cichą nadzieję, że Stefan rychło zginie na wojnie, a ona będzie mogła odszukać Igora. – Po co wojsku warsztaty?

– Jak to po co? – Albin odpowiedział pytaniem, gdy przełknął ostatni kęs gołąbków i sięgnął po dokładkę. – Wojsko jest jak niezależny organizm. Ma własnych krawców, którzy naprawiają mundury, własnych rymarzy i szewców. Przecież podczas działań wojennych niszczą się buty, pasy, ładownice, pochwy do bagnietów. A na froncie sklepów nie ma. Powstała nawet Liga Kobiet Pogotowia Wojennego. Może się zapiszesz?

– A cóż ja bym tam mogła robić? – zainteresowała się, wciąż mieszając widelcem w faszerowanej kapuście. Nigdy za gołąbkami nie przepadała, a odkąd spodziewała się dziecka, jadłaby tylko pieczyście i kotlety, i nic więcej. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje, ale wolała nie manifestować swego odmiennego stanu, aby nie przypominać tego faktu rodzicom. Matka natychmiast zaczynała płakać, a ojciec robił się czerwony na twarzy, jakby miał zaraz dostać ataku apopleksji. – Szaliki na drutach mam dziergać czy zwijać szarpie? Bo chyba tak to się nazywa? – spytała nieco ironicznie, przypomniawszy sobie opowieści o powstaniach.

– Kobiety należące do Ligi mają udzielać czynnej pomocy w walce z Rosją o niepodległość. Opiekować się rannymi żołnierzami, kolportować ulotki i inne wydawnictwa, propagować ideę niepodległości... – Albin powtarzał zasłyszane słowa, łakomie przełykając jedzenie. On na brak apetytu nigdy nie narzekał, a nabiegawszy się dzisiaj po mieście od jednej kwatery żołnierskiej do drugiej, był w stanie zjeść całą brytfannę gołąbków.

Dalszych jego wywodów Katarzyna już nie słuchała. Zdała sobie sprawę, że jej bracia, Cezary i Albin, stali się śmiertelnymi wrogami Igora. Jeśli się spotkają na froncie, będą z nim walczyć na śmierć i życie. Nie wiedziała, komu powinna życzyć zwycięstwa. Braciom czy ukochanemu mężczyźnie, ojcu dziecka, które nosiła pod sercem? Te same myśli kołatały się w głowach Pawła i Agnieszki. Ich jednak nie martwił los Kaledina. Życzyli mu jak najgorzej za krzywdę, jaką wyrządził ich córce. Już zdążyli zapomnieć, że do ślubu nie doszło z ich woli. Sen z powiek spędzał im lęk o losy ich synów. Wiktor już został wysłany na front, a Cezary właśnie się wybierał. I nieważne było, na który, bo na każdym będą musieli strzelać do swoich. Brat Agnieszki mieszkał w Poznaniu. Jego synowie z pewnością dostali powołanie do armii i już ubrano ich w mundury, a na głowy wciśnięto pikielhauby. Radość z Polski, która do nich tak niespodziewanie zawitała, zgasła jak zdmuchnięty płomień świecy.

Przy stole zapadła cisza, którą zakłócały dobiegające z ulicy hałasy, jakie czynili przybywający do miasta wciąż nowi żołnierze, przywoływani na zbiórki gwizdkami oficerów.

– Ani Katarzyna nie wstąpi do żadnej ligi czy jak to się tam nazywa, ani ty nie zaciągniesz się do wojska – stwierdził stanowczym tonem Paweł i otarł usta serwetą. On też

stracił apetyt. Lęk o przyszłość ścisnęła mu gardło niczym sznur szyję wisielca. – Katarzyna już w sobotę bierze ślub ze Stefanem i na głowie będzie miała obowiązki matki i żony. Nie starczy jej czasu na noszenie ulotek i wygłaszanie prelekcji. Natomiast ty, synu... – głos Pawła drżał z emocji – zapominasz o jednym.

– O czym, tatusiu? – Albin utkwił w ojcu zaniepokojone spojrzenie swoich orzechowych oczu, identycznych jak u Katarzyny.

Mając zamiar zostać strzelcem, odwiedził już fryzjera, który przystrzygł mu jego kręcone włosy, aby nie wymykały się spod maciejówki. Koniokradki, jak usłyszał od najmłodszego syna aptekarza, mieszkającego po sąsiedzku i zaliczającego się do tych mieszkańców Miechowa, którzy swój los wiązali z Rosją. Byli też tacy, którym było wszystko jedno, byle wojna obesnęła się z nimi łaskawie, nie zabierając nikogo z rodziny ani niczego z dobytku.

– Twoi dwaj starsi bracia już poszli walczyć. Na dodatek każdy z innej strony frontu – z trudem panując nad łzami, które mu się cisnęły do oczu, tłumaczył Paweł. – Jeśli nie będzie im dane wrócić z wojny, kto zajmie się mną i matką na stare lata?

Agnieszka ukryła twarz w dłoniach i załkała, a Katarzyna zerwała się od stołu i pobiegła do swego pokoju. W ostatniej chwili dopadła porcelanowej miski stojącej na umywalni. Ponieważ niewiele jadła tego dnia, niewiele też wymiotowała. Gdy skończyła, otarła usta ręcznikiem i z czułością położyła dłoń na swoim brzuchu, który już zdążył się zaokrąglić, ale nie na tyle, aby osoby postronne odgadły odmienny stan dziewczyny. Przez chwilę spoglądała na swoje odbicie w lustrze. Ostre do tej pory rysy twarzy uległy zaokrągleniu i nabrały wyjątkowej łagodności. W połączeniu z bujnymi lokami rozpuszczonymi na ramiona stała się podobna do twarzy Wenus z obrazów Botticellego.

## Rozdział 17

Gdy Katarzyna i Stefan w towarzystwie najbliższej rodziny zmierzali do kościoła Grobu Bożego w celu zawarcia związku małżeńskiego, do Miechowa wraz ze swoim sztabem wjechał komendant główny strzelców, Józef Piłsudski. Okazało się to dla mieszkańców znacznie większą atrakcją niż ślub młodej pary, których w ostatnim tygodniu odbyło się bez liku, choć z pominięciem obowiązkowych w czas pokoju zapowiedzi. Ten ślub także odbywał się w pośpiechu. Jak mamrotał pod nosem zbulwersowany ksiądz proboszcz, małżeństwa zawierano taśmowo, ale on nie miał serca odmówić zakochanym, którzy jeszcze przed rozstaniem, być może ostatecznym, chcieli przypieczętować swoje uczucia. Na powitanie Piłsudskiego, którego nazwisko za sprawą wojska stacjonującego od wczoraj w Miechowie i okolicy stało się powszechnie znane, wylegli mieszkańcy miasta, nie zwracając uwagi na bryczkę z młodą parą zmierzającą do kościoła.

Nie wszystkim jednak plany polityczne Komendanta przypadły do gustu. Wielu uważało go za zdrajcę, który będzie razem z Niemcami walczył z ich synami, braćmi i mężami, którzy wstąpili do armii rosyjskiej. Jedni z przymusu, inni na ochotnika, w poczuciu obowiązku obrony rodzinnej ziemi przed germańską nawałnicą. Choć tylko nieliczni na cześć Piłsudskiego wiwatowali, wszyscy byli ciekawi, jak ten człowiek wygląda. Stojąc na ulicach lub wychylając się przez szeroko pootwierane okna, spoglądali z zaciekawieniem na liczny oddział jeźdźców. Komendant ubrany w szaroniebieski mundur strzelca, z maciejówką na głowie, jechał pierwszy, dosiadając drobnej klaczy z białą plamą na czole i białymi nadpęciami. Spoglądał na zebranych badawczym wzrokiem, jakby chciał odgadnąć ich myśli i zamiary wobec zbliżającej się wielkimi krokami wojny. Skryte pod sumiastymi wąsami zmysłowe usta od czasu do czasu, gdy napotykał wlepione w siebie spojrzenie ładnej kobiety, uśmiechały się dyskretnie. „Przystojny to on jest, ten cały Piłsudski” – szeptały niektóre, te łatwo ulegające czarowi mundur.

– Wiesz pan, panie Niepielski, że tego konia darował Komendantowi stary hrabia Romer z Czapli Małych? – do swego sąsiada zwrócił się starszy mężczyzna, wachlujący się dla ochłody słomkowym kapeluszem zdjętym z głowy. – Jak mówią, nosi imię Kasztanka, a jej ojciec był pełnej krwi ogierem.

– Tego bym się po Romerze nie spodziewał, panie Kowalski – odparł zagadnięty, poprawiając nerwowym ruchem płócienny kaszkiet na głowie. – Zawsze miałem go za patriotę.

– Otóż to, mój panie – pokiwał głową Kowalski. – Piłsudski to przecież też patriota. Będzie się bił za Polskę.

– Co pan za michałki opowiadasz! – parsknął śmiechem Niepielski. – Piłsudski to szkodnik! Najpierw dowodził bojówkami, które dokonywały rozbojów, napadały na pociągi i banki, a teraz jest najemnikiem Niemiec. Będzie z tymi swoimi, pożał się Boże, wojakami u ich boku naszych zabijał.

– Jakich naszych? – zaperzył się właściciel słomkowego kapelusza. – Moskali będzie gromił. Od kiedy Moskale to nasi?

– A pański syn to do którego wojska został zmobilizowany? Francuskiego? – Niepielski odciął się kpiącym tonem i wbił w Kowalskiego wzrok bazyliuszka.

– Jak pan wiesz, ja mam przecież same córki – z odrobiną zażenowania odparł zagadnięty i przełknął ślinę. Już mu obrzydły te współczujące spojrzenia i szeptane za plecami złośliwe komentarze o „damskim krawcu”.

– No tak. Faktycznie – skwitował z przekąsem Niepielski. – W tej sytuacji pan nie wiesz,



jak się sprawy mają. Moi dwaj synowie już są pod rozkazami młodego księcia Mikołaja Mikołajewicza, a ja parę lat temu walczyłem z Japończykami, gdy armią dowodził jego ojciec, też Mikołaj Mikołajewicz. I tak jest w każdej rodzinie. Od lat.

– To pan wolisz pod zaborem rosyjskim dokonać żywota? – zdenerwował się Kowalski i jeszcze energicznie zaczął wachlować się kapeluszem, choć słońko chwilowo skryło się za chmurami, jakby nie chciało robić konkurencji gwieździe, która przyświecała Komendantowi strzelców i drużyniaków, połączonych w Wojsko Polskie, jak widniało w obwieszczeniach. – Nie pamiętasz pan, co zrobili z Miechowem podczas powstania?

– A pan wolisz pod Niemcami? – z kpina spytał Niepielski, nie odpowiadając wprost na pytanie. – Ze szczętem nas zgermanizują i zdepczą swymi pruskimi buciarami. Kościoły i klasztory pozamykają, bo to przecież heretyki, luterany jedne. Car może zjednoczyć wszystkie polskie ziemie pod swoim panowaniem, koronować się na króla i nadać nam autonomię. A powstania nie pamiętam, bo byłem dzieckiem i urodziłem się w Pińczowie – dorzucił na koniec, nie mogąc sobie w tej chwili przypomnieć żadnych niegodziwości Niemców, poza tymi popełnianymi przez Krzyżaków.

– Ja, panie sąsiedzie – perorował Kowalski – mieszkam w Miechowie od urodzenia i wiem, do czego Moskale są zdolni. Niemcom też nie ufam, choć u nich szkoły dla wszystkich obowiązkowe, technika rozwinięta, maszyny wszędzie pracują, drogi mają brukowane. A u nas co? Jedna szosa tylko z Krakowa do Kielc wybrukowana, a reszta w błoto się zamienia, gdy lada jaki deszczyk spadnie. Ale ja, panie Niepielski, wolę, aby Polska była wolna od jednych i od drugich, ot co. – Kończąc dyskusję, ojciec czterech córek wzruszył ramionami.

Kawalkada wojska już zniknęła za zakrętem ulicy i tłum ciekawskich pomału rozchodził się do swoich domów.

– Tu mi kaktus na dłoni wyrośnie, jak Polska będzie wolna. – Niepielski z zaciętrzewieniem stuknął palcem w otwartą dłoń, wyciągniętą w kierunku Kowalskiego.

Gdy Polska już odzyska niepodległość, tej rozmowy nie będzie pamiętał, oplakując śmierć swoich obydwu synów, którzy polegną na wojnie. Starszy zostanie zagazowany pod Bolimowem, a młodszy zaginie bez wieści podczas bitwy o Łuck.

Zanim Kowalski i Niepielski, wciąż spierając się, który zaborca może okazać się łaskawszy dla Polaków, dotarli do rynku, uroczystość zaślubin Katarzyny i Stefana dobiegała końca. Agnieszka ukradkiem ocierała łzy, jak każda matka wydająca jedyną córkę za mąż. Nie były to jednak łzy wzruszenia. Znając wstydliwą tajemnicę, którą nosiła w sobie Katarzyna, żal ścisnął jej serce. Na to wszystko jeszcze ta wojna i lęk o losy synów, których już obleczono w mundury i wciśnięto im karabiny do rąk. Dlaczego nikt nie spytał matek, czy po to rodziły dzieci, aby teraz posyłać je na niechybną śmierć? – rozmyślała z goryczą. Paweł, bladej jak ściana, dyskretnie poluzował zbyt ciasny, jak mu się zdawało, guzik koszuli pod samą szyją. Patrząc na cierpienie malujące się na twarzy ukochanej córki, gorzko pożałował swego uporu.

Panna młoda w białej sukni ślubnej, w tej samej, w której przed laty przysięgę małżeńską składała jej matka, starannie przechowywanej na dnie szafy w tekturowym pudle, przesypanej lawendą i bagnem, aby nie dobrały się do niej mole, wyglądała nie tylko przesłicznie, ale także niewinnie. Ścisnięta gorsetem kibić udanie skrywała wstydliwą tajemnicę. Bładość jej cery podkreślały cienie pod oczyma, w których malował się bezgraniczny smutek. Mirtowy wianek przytrzymał muślinowy welon spływający aż do stóp. Powiewał na wietrze, gdy Kobierski z wyrazem niebańskiego szczęścia na twarzy prowadził Katarzynę z kościoła do swego powozu, zaprzęzonego w dwa konie, przystrojone białymi różami. Woźnica nie zdążył jeszcze trzasnąć z bata, gdy od strony ulicy Krakowskiej dał się słyszeć tętent setek końskich kopyt. Katarzyna przystanęła i z nadzieją na twarzy wypatrywała, jakich jeźdźców będą niosły końskie grzbiety.

Czy będą to dragoni w czarnych mundurach, w hełmach ozdobionych czarnym pióropuszem? Uchwyciła w dłonie końce długiej, sięgającej ziemi sukni, gotowa biec na spotkanie mężczyzny swego życia, z którym tak brutalnie rozłączył ją los. Raweccy zamarli, przerażeni samą myślą, że Kaledin mógłby właśnie teraz powrócić do Miechowa. Tylko tego brakowało, aby na oczach całego miasteczka chwycił wpół ich córkę i posadziwszy przed sobą na końskim grzbiecie, galopem pomknął w siną dal.

Tętent końskich kopyt narastał, a wraz z nim do uszu Raweckich oraz stojącej bez ruchu Katarzyny i trzymającego ją za łokieć Kobierskiego, jakby podejrzewał, że nowo poślubiona żona ma zamiar od niego uciec, dotarł gardłowy dźwięk wojskowych komend wydawanych w języku niemieckim.

– Jezusie Nazareński... Niemcy... – szepnęła Agnieszka i przycisnęła dłonie do ust, aby nie wyrwał się z nich krzyk przerażenia. – Prawdę ludzie gadali, że ten cały Piłsudski to niemiecki najemnik.

Cezary, dziecko moje, rozpaczła w myślach. Cóżes ty uczynił?! Komu zawierzyłeś swoje życie?!

Po chwili ujrzeli w całej okazałości pierwszy z kilku pułków należących do austro-węgierskiej 7. Dywizji Kawalerii, która przed dwoma dniami wkroczyła na przygraniczne tereny zaboru rosyjskiego, obejmując je we władanie. Zmierzali prosto do budynków, w których jeszcze nie tak dawno kwaterował pułk carskich dragonów. Czerwone spodnie i niebieskie kurtki kawalerzystów z daleka rzucały się w oczy. Dopiero kilka miesięcy później, kiedy rosyjskie karabiny, mając ich za łatwy cel, wystrzelały ich niczym kolorowe ptaki na łące, odziali się jak wszystkie inne formacje w maskujące szarozielone mundury.

– Ależ Agnieszko... – Paweł próbował żonę uspokoić. – To nie Niemcy, tylko Austriacy. Nic nam z ich strony nie grozi. Przecież nasi strzelcy są ich sojusznikami. Może zaprowadzą w końcu w tym mieście lada jaki porządek. Dałby Bóg, aby powstała monarchia austro-węgiersko-polska.

Zapewnienia męża jednak Agnieszki nie uspokoiły. W ostatnich dniach zbyt wiele się wydarzyło, aby mogła ze spokojem patrzeć w przyszłość. Nie dość, że wybuchła wojna i jej synowie znaleźli się po obydwu stronach frontu, to jedyna córka spodziewała się nieślubnego dziecka. Straszne słowo „bękart” raz po raz przelatywało jej przez myśl, chwyciło skurczem za serce, rumieńcem wstydu paliło policzki. Wydanie Katarzyny za mąż tylko pozornie rozwiązywało problem. Co będzie, jak się Kobierski domyśli? – myślała raz po raz. W końcu jest lekarzem i potrafi liczyć do dziewięciu. Ale najgorsze przyszło, gdy Paweł i Agnieszka już pożegnali młodą parę, udającą się powozem z kościoła wprost do Łodzi, i wrócili do swego mieszkania przy ulicy Szpitalnej. Zastali Gabrysię w kuchni, tonącą we łzach. Potrafiła z siebie wydusić tylko jedno:

– Panicz Albin! Co on narobił!

Paweł, przeskakując po dwa stopnie, pędził po schodach do pokoju syna. Agnieszka, unosząc do góry końce sukni, aby jej nie przydepnąć, usiłowała dotrzymać mu kroku. Gdy prawie równocześnie wpadli do pokoju, w oczy rzuciła się im biała koperta, oparta o stojący na stole flakon z kwiatami. Paweł błyskawicznie wyciągnął z niej kartkę papieru, na której ich syn, Albin, informował rodziców, że zaciągnął się do wojska i zabierając ze stajni Rudą, klacz Katarzyny, ruszył z oddziałem do Jędrzejowa. Agnieszka, usłyszawszy te słowa, zaniósła się szlochem i nieomal spadając ze schodów, pognała z powrotem do kuchni.

– Ty głupia dziewucho! – krzyknęła, wymierzając Gabrysi dwa siarczyste policzki. – Donieść na Kasienkę potrafiłaś, a dać nam znać, że Albin ma zamiar zaciągnąć się do wojska, nie umiałaś?!

– Co ty wyprawiasz?! – Paweł, który właśnie wszedł do kuchni, chwycił za rękę Agnieszki, w bezsilnej złości okładającą sługę pięściami po plecach, także za te wszystkie noce, które spędził u niej niewierny mąż. – Co ona winna, że nasz syn jest patriotą? To tylko powód do dumy – dodał drżącym głosem, a jego plecami wstrząsnął bezgłośny szloch.

## Rozdział 18

Gdy najęty przez Kobierskiego powóz ruszył spod kościoła i rodzice zniknęli jej z oczu, dziewczyna poczuła cisnące się pod powieki łzy. Siedzący na koźle woźnica, pociągając za lejce, sprawnie kierował parą koni i wkrótce minęli roгатki miasta, kierując się na Łódź. Na wyboistej drodze, zazwyczaj mało ruchliwej, napotykali liczne chłopskie furmanki, zmierzające nie wiadomo dokąd, wyładowane dobytkiem po brzegi, i człapiące za nimi łąciate i brązowe krowy, kołyszące na boki pełnymi brzuchami. Od czasu do czasu mijały ich eleganckie powozy, zaprzężone w czwórkę koni, objuczone bagażem po sam dach. Im dalej byli od Miechowa, tym częściej napotykali kolumny wojska maszerujące to w jedną, to w drugą stronę. Poprzedzały je oddziały kawalerii, artyleria ciągnąca na taczankach armaty i karabiny maszynowe, a pochód zamykały kuchnie polowe i oddziały sanitarne. Za każdym razem Katarzyna z nadzieją zaglądała w twarze jeźdźców, wypatrując tej jednej jedynej, o czarnych, głębokich jak noc oczach, należących do Igora. Kobierski, sądząc naiwnie, że jego dopiero co poślubiona małżonka interesuje się wojskowością, instruował ją, jakie rodzaje karabinów mieli żołnierze przewieszane przez plecy, po charakterystycznych czapkach uczył odróżniać dragonów od kozaków, bo mundury na czas wojny wszyscy dostali jednakie – w maskującym szarozielonym kolorze. Oficerowie nosili czapki z daszkiem, a szeregowcy tak zwane furażki, lecz na każdej widniało z przodu „carskie oko”. Tak mówiono na wytłaczane, lekko wypukłe kokardy elipsowatego kształtu, różne w zależności od stopnia i pułku. Różniły ich też bluzy od munduru. Te oficerskie, tak zwane frencze, zapinało się na osiem guzików i miały cztery kieszenie – dwie na piersiach i dwie poniżej pasa. Szeregowcy nosili zwykle rubaszki z kołnierzem w kształcie stójki i objuczeni byli dobytkiem niczym tragarze w Tatrach.

– Co oni mają w tych pasach na piersiach? – pozornie zainteresowała się Katarzyna, speszona obecnością sam na sam z obcym sobie mężczyzną, choć już mężem.

– To patrontasze, czyli pasy z amunicją – usłużnie wyjaśniał Kobierski, zadowolony, że świeżo poślubiona żona potrafiła znaleźć temat do rozmowy ciekawszy od pogody. – A to na drugim ramieniu to *zapasnaja patronnaja sumka*...

– Czyli co? – Katarzyna spojrzała na Stefana, zaskoczona jego znajomością rzeczy. Z tego, co pamiętała, służby wojskowej nigdy nie pełnił.

– Zapasowa torba na amunicję – odparł z uprzejmym uśmiechem, za którym starał się ukryć podekscytowanie bliskością ponętnego ciała Katarzyny. – Przez drugie ramię mają przewieszony zrolowany płaszcz i płachtę namiotową. Zimą noszą jeszcze baszłyk. Taki rodzaj kaptura z długimi szalikowymi uszami.

– A do czego służy ta torba, którą każdy ma przewieszoną przez ramię?

– To *wieszcznoj mieszok*. Mieści się w nim cały dobytek żołnierza. Koszula, bielizna – Kobierski zgrabnie uniknął słowa „kalesony”, którego nie wypadało używać przy damie – rękawice, onuce, kubek, ręcznik i przybory toaletowe oraz żelazna porcja jedzenia. Na wyposażeniu każdy żołnierz ma jeszcze kociołek do gotowania, łopatkę to okopywania się i składany drewniany maszt do płachty namiotowej. No i oczywiście karabin z bagnetem...

Kobierski, żwawo gestykułując, tłumaczył Katarzynie, jakiego rodzaju karabiny znalazły się na wyposażeniu rosyjskich żołnierzy, czym się różnił powtarzalny od jednostrzałowego, ile strzałów mógł oddać na minutę i do czego służyły bagnety. Dopiero po chwili się zorientował, że Katarzyna usnęła, znudzona jego wykładem.

Nastał już późny wieczór, gdy wjechali do Noworadomska, jak po klęsce powstania

styczniowego nazwano Radomsk. Na ulicach nie dostrzegli ani jednego patrolu żandarmów, co mogło świadczyć, że i stąd wojsko i władze rosyjskie uciekły. Katarzynę zaskoczył panujący tu błogi spokój. Jej rodzinne miasteczko, choć znacznie mniejsze od Noworadomska, przypominało ul, w którym wrzało. Być może działo się tak za sprawą strzelców, którzy na kilka dni uczynili z Miechowa stolicę niepodległej Polski. Katarzyna rozglądała się ciekawie po nieznanym jej mieście. Część ulic była wybrukowana, oświetlona latarniami. Z gmachu teatru wysypali się widzowie, jakby za nic mieli wojnę, która właśnie się rozpoczęła, ale do nich jeszcze nie dotarła. Stefan i Katarzyna, której z trudnością przychodziło mówić o sobie „Kobierska”, zatrzymali się na noc w jedynym w mieście hotelu. Z jego okien rozpościerał się widok na cerkiew, której budowę ukończono zaledwie przed dwoma laty, jak ich poinformował portier, wnosząc bagaże do pokoju. W ciemnościach zapadającej nocy zdawała się płakać po swoich wyznawcach, którzy w popłochu opuścili miasto.

Gdy przebrali się po podróży i zeszli do sali restauracyjnej na późny posiłek, niespodziewanie podszedł do nich mężczyzna w dojrzałym wieku, ubrany w elegancki garnitur, noszący jednak ślady dłuższego użytkowania bez stosownej konserwacji w postaci choćby szcztoki i żelazka.

– Czy pan doktor Kobierski? – spytał, przypatrując się z uwagą Stefanowi, który podsuwał właśnie Katarzynie krzesło, aby usiadła.

– Tak... – odparł Stefan, obrzuciwszy mężczyznę przelotnym spojrzeniem. – Czym mogę szanownemu panu służyć?

– Stefek! – Mężczyzna chwycił Kobierskiego za ramiona. – Nie poznajesz mnie? Czyżbym się aż tak postarzał?

– Władek? Władek Zawadzki? – Stefan zawisł spojrzeniem na twarzy swego rozmówcy. Niegolone od kilku dni, zapadnięte policzki pokrywał szpakowaty zarost. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby cały był pokryty kurzem, jedynie jego ciemne oczy płonęły żywym blaskiem. – Daj, bracie, pyska!

Przypadli do siebie, poklepując się po ramionach.

– Góra z górą, jak to mówią. – Kobierski udawał radość ze spotkania, które jednak było mu nie w smak. Wolałby spędzić ten wieczór sam na sam z żoną, której w zasadzie prawie nie znał. – Pozwól, Katarzyno, że ci przedstawię mego kolegę z czasów warszawskich. Razem pobieraliśmy nauki. A to jest moja żona. Właśnie wzięliśmy ślub – dorzucił na koniec, nie kryjąc dumy.

Zawadzki z atencją ucałował dłoń Katarzyny, zerkając z zachwytem na jej błyszczące brązowe oczy i drobną twarzyczkę w aureoli jasnych loczków. Kiedy na jej prośbę zajął miejsce przy ich stole, natychmiast zjawił się kelner, kładąc przed nimi menu.

– Mój Boże... Jaka tu drożyzna – wyrwało się Katarzynie, gdy ujrzała podane ceny, i z miejsca pożałowała swych słów.

Nie chciała wyjść na prowincjonalną gęś, która każdy grosz obraca w palcach, zanim go wyda. Jednak ceny wydawały się jej bardzo wygórowane, choć tak naprawdę nigdy w restauracji na kolacji nie była, a zakupami w ich domu zajmowały się Gabrysia i kucharka. Rachunki zaś sprawdzał ojciec. Ona kupowała jedynie niezbędne dla panny w jej wieku drobiazgi w postaci koronek, spinek czy sznurówek.

– Cóż, proszę szanownej pani – Zawadzki rozłożył ramiona w geście bezradności – jest wojna, a wówczas spekulanci podnoszą ceny.

– Nie kłopotz się tym, Kasieńko. – Stefan z czułym uśmiechem pogłaskał Katarzynę po rękę. No proszę, pomyślał z satysfakcją, dobrego dokonałem wyboru. Nie tylko śliczna, ale i gospodarna. – Jeszcze nas stać na taki wydatek.

– Co was sprowadza do Noworadomska w ten straszny czas? – Zawadzki zmienił temat. Rozmowa o pieniądzach nie uchodziła w eleganckim towarzystwie. – Z tego, co pamiętam, otrzymałeś posadę lekarza w szpitalu w Częstochowie, ale tam już chyba są Niemcy?

– Weszli do miasta 3 sierpnia, ale ja zdążyłem wyjechać – odparł Stefan. – Dostałem przeniesienie do Łodzi, to tamtejszego szpitala. Po drodze wstąpiłem do Miechowa po moją ukochaną. Wyobraź sobie, że Rosjanie i to miasteczko zostawili na pastwę losu, ewakuując wojsko i urzędników.

– Dokładnie to samo zrobili w Kaliszu – opowiadał zaaferowany Zawadzki, gdy kelner ustawiał przed nimi zamówione dania. – Już 2 sierpnia podpalili magazyny wojskowe, dworzec kolejowy i wagony towarowe, a następnie wycofali się z miasta bez jednego wystrzału.

– Mówił mi jeden z dowódców rosyjskiego garnizonu stacjonującego w Częstochowie, że na tym właśnie ma polegać ich strategia – wtrącił Kobierski. – Po przeprowadzeniu mobilizacji na terenie Królestwa, w ramach której tysiące Polaków trafiło do armii carskiej, ciężar obrony miał zostać przeniesiony na wschód.

– A to swołoczce – syknął Zawadzki. – Przepraszam panią, Katarzyno, za to słownictwo, ale nerwy człowieka ponoszą. Przez taką politykę w Kaliszu rozegrała się prawdziwa tragedia.

– Co ty powiesz? – zainteresował się Kobierski, nie zwracając uwagi na nagle pobladłą twarz Katarzyny. Na widok jedzenia dopadły ją mdłości. Na wszelki wypadek nie śmiała nic wziąć do ust.

– Już w niedzielę do miasta wkroczył oddział wojsk niemieckich, z majorem Preuskauerem na czele – rozpoczął relację Zawadzki. – Wszyscy na pięknych rumakach, ubrani jak spod igły, w żółtych butach sięgających powyżej kolan. Ach, żebyście widzieli, jak daleko niektórzy posunęli się w swej służalczości nowemu panu! – Skrzywił twarz z niesmakiem.

Kobierski poczuł się nieswojo. On też się wysługiwał zaborcy, pracując w szpitalu wojskowym. Ale w końcu Rosjanie to Słowianie, a Niemcy to odwieczny wróg. Zupełnie nie mógł zrozumieć, jak Polacy w zaborze austriackim mogli popierać Habsburgów. To przecież też Niemcy. Ale w sumie Rosjanie wystawili Polaków do wiatru, wydając ich na łup najeźdźcy. Sam już nie wiedział, pod czyją władzą Polakom żyłoby się lepiej, bo przecież sami nie będą potrafili się rządzić. Zgadzał się z Bismarckiem, który mawiał: „Dajcie Polakom rządzić, a sami się wykończą”.

– Zaraz wezwał do siebie kasjera gubernialnego, który nie zdecydował się na opuszczenie miasta, i zażądał wydania kluczy do kasy miejskiej – ciągnął dalej swoją opowieść Zawadzki. – Gdy ten odmówił, został aresztowany i natychmiast rozstrzelany.

– Jezus Maria... – jęknęła Katarzyna i z miejsca przypomniała sobie te wszystkie opowieści o okrucieństwie Niemców, zasłyszane na ulicach Miechowa.

Po raz pierwszy ucieszyła się, że stamtąd wyjechała. Musiała przecież myśleć o dziecku, które nosiła w sobie. Jak zapewniał Stefan, w Łodzi będzie bezpiecznie. O tym, że był w błędzie, oboje przekonają się już wkrótce.

– Jeszcze tego samego dnia wydano szereg rozporządzeń, w tym wprowadzono godzinę policyjną, a we wtorek doszło do strzelaniny – ciągnął dalej Zawadzki.

– Tak bez powodu? – zainteresowała się Katarzyna.

– W zasadzie bez powodu – opowiadał Zawadzki z pełnymi ustami, za nic mając konwenanse. Był okropnie głodny. Od trzech dni nic ciepłego nie miał w ustach. – Najpierw przez nieporozumienie zaczęli strzelać sami do siebie, a później, aby sprawa nie wyszła na jaw, ostrzelali ludność cywilną. A na drugi dzień zbombardowali miasto. Preuskauer wprowadził stan wojenny, nałożył na miasto kontrybucję i wziął zakładników. Ja już na nic więcej nie czekałem i uciekłem. Trochę trwało, zanim tutaj dotarłem, bo Rosjanie mosty za sobą wysadzili

w powietrze. Nie zgadniecie, czym podróżowałem! – Zaśmiał się na samo wspomnienie. – Nawet chłopską furmanką i trochę pieszo.

Katarzyna słuchała jego opowieści jednym uchem. Była śmiertelnie zmęczona i marzyła tylko o jednym: aby pójść już do sypialni i położyć się do łóżka. Jednego wszak nie wzięła pod uwagę, wyrażając zgodę na małżeństwo z Kobierskim. Że po dniu, nawet najdłuższym, zawsze przychodzi noc. Ta pierwsza zwana jest poślubną, kiedy to małżonek brał w posiadanie swoją oblubienicę, często otrzymawszy jeszcze od jej rodziców finansowy ekwiwalent zwany posagiem. Płacili, aby tylko ją ktoś z rodzicielskiego domu zabrał, jakby córka była ciężarem. Choć Kobierski posagu się nie domagał, Agnieszka nakazała do powozu załadować kufer z porcelanową zastawą stołową oraz kompletem srebrnych sztućców. Bieliznę stołową i pościelową, zamówione dopiero u szwaczki, oraz resztę odzieży Katarzyny, w tym futra, jedwabne sukienki i wytworne kapelusze, miano dosłać koleją, gdy sytuacja się unormuje.

Dopiero gdy Stefan wrócił z hotelowej łazienki pachnący wodą kolońską, którą spryskał sobie świeżo ogolone policzki, ubrany w jedwabny szlafrok, do Katarzyny dotarło, że i ona będzie musiała spełnić swój małżeński obowiązek. Z uwagi na utratę wianka przed ślubem matka już nie poczuwała się do obowiązku wyjaśnienia jej, na czym on polegał. A Katarzyna nie była na to gotowa. Wołałaby wyskoczyć oknem niż oddać się jakiemukolwiek, poza Igorem, mężczyźnie. Podciągnęła kołdrę pod szyję i wlepiła przerażony wzrok w Stefana. Biorąc jej zachowanie za panięńską skromność, Kobierski uśmiechnął się ze zrozumieniem i przysiadł na brzegu łóżka.

– Nie lękaj się, Kasieńko – szepnął czule. – Chyba mamusia wyjaśniła ci, jakie są obowiązki żony? To naprawdę nic strasznego. Wręcz przeciwnie. Ale jeśli tak bardzo się lękasz, możemy poczekać. Ja nie nalegam.

Wbrew swoim słownym deklaracjom wsunął rękę pod kołdrę i namacawszy pod nocną koszulą brzuch Katarzyny, położył na nim dłoń. Powoli, z wycuciem, sunął ręką ku górze. Oczy zasły mu mgłą pożądania, a oddech przyspieszył. Gdy jego dłoń dotarła do piersi, ujął jedną delikatnie niczym pąk cennego kwiatu. Katarzyna, nie mogąc zapanować nad obrzydzeniem, które wzbudzał w niej mąż, wzdrygnęła się i warknęła z nienawiścią:

– Daleś się oszukać jak młodzieniaszek. Wcisnięto ci wybrakowany towar...

Kobierski gwałtownie wyszarpnął rękę spod kołdry, jakby go ukąsiła żmija. Spojrzał na Katarzynę z uwagą. Przyszło mu na myśl, że się przesłyszał.

– O czym ty mówisz, Kasiu? Jaki wybrakowany towar? Masz na myśli swoją koszulkę nocną?

– Ja jestem wybrakowana – syknęła ze złością. Całą winą za swoje nieszczęście obarczyła Kobierskiego, jakby to on ponosił odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzyło. Nienawidziła go tak mocno, jak mocno kochała Igora. Już zdążyła zapomnieć argumenty rodziców, że Stefan był jej ostatnią deską ratunku. – Noszę pod sercem dziecko innego mężczyzny. Carskiego dragona.

## Rozdział 19

Po kilku dniach gorączka Koli spadła, przestał też kaszleć, lecz paskudna wysypka, która początkowo obejmowała tylko twarz, rozlała się na całe ciało i przybrała ceglastą barwę. Nic jednak nie wskazywało, aby doszło do jakichkolwiek powikłań, i Liza znowu zaczęła przebąkiwać o wyjeździe z Kielc. Za jej propozycją przemawiały piętrzące się trudności życia codziennego. Choć po ucieczce Rosjan dla zapewnienia porządku utworzono Milicję Obywatelską oraz Komitet Obywatelski, działający w magistracie, nie zapobiegło to powszechnemu chaosowi. Brakowało od kilku dni chleba i innych podstawowych artykułów spożywczych, które ewakuując się z Kielc, zarekwirowali Rosjanie. Na odchodnym zniszczyli zapasy alkoholu, co doprowadziło do prawdziwych polowań na te resztki, które jeszcze gdzieś się uchowały. Nastroje w mieście pogarszały się z dnia na dzień. Nikt nie wiedział, jak należy rozumieć zachowanie Rosjan. Czy wrócą do Kielc, czy uciekli już na stałe? Dziesiątki lat brutalnych rządów i represji po klęsce powstania styczniowego, rygorystyczne ograniczenia samorządów, szykany i restrykcyjne prawo zabiły w mieszkańcach Kielc zdolność samodzielnego myślenia. Przez lata żyli w nieustannym lęku przed aresztowaniem i zsyłką na Sybir. Na wszelki wypadek nie zrywano szyldów z napisami w języku rosyjskim. Sytuację pogarszały pogłoski o jakimś wojsku zbliżającym się od strony Krakowa.

Zajęta opieką nad ciężko chorym Kolą Liza nie zwracała uwagi, jak spędzają wolny czas starszy syn i córka. Brak czujnego spojrzenia matki pozwolił Darii na głębsze zaangażowanie się w ruch skautowski, do którego za listowną namową Cezarego przystąpiła jeszcze na wiosnę. Cała ich grupa już wkrótce wspomagała działalność gęstej sieci ognisk wywiadowczych zorganizowanych przez Sztab Główny oddziałów strzeleckich. Od dnia, w którym władze rosyjskie wraz z wojskiem opuściły miasto, do zadań Darii należało patrolowanie na rowerze peryferyjnych dzielnic Kielc. Z włosami splecionymi w dwa warkocze, z białym kołnierzykiem przy sukience, sprawiała wrażenie dziecka, na które nikt nie zwracał uwagi. Zdobyte informacje o grasujących po okolicy kozackich czujkach czy innych rosyjskich patrolach dostarczała stacji wywiadowczej, którą w Kielcach prowadziła Jadwiga, zaprawiona w bojach działaczka socjalistyczna i niepodległościowa, wielokrotnie aresztowana i skazywana przez carskie władze. Powrót Koli do zdrowia oznaczał wyjazd Raweckich z Kielc. Dla Darii byłby to koniec jej świata, świata romantycznej walki w konspiracji, o którą nikt nawet jej nie podejrzewał. Każdą nieobecność w domu tłumaczyła uczestnictwem w jutrzni, nieszpórach czy mszy w pobliskiej katedrze lub koniecznością udania się do spowiedzi.

– Czy ty nie za często chodzisz do kościoła, moje dziecko? – spytała z niepokojem Liza, gdy przestała dyżurować przy łóżku chorego Koli i zajęła się pozostałymi dziećmi. – Mam wrażenie, że wczoraj byłaś na nieszpórach.

– Idę do spowiedzi – odparła Daria, wkładając na głowę swój skautowski kapelusz z szarego flauszu, z miękkim rondem.

– Z czego ty się tak ciągle spowiadasz, córuchno? – obrzuciła córkę krytycznym wzrokiem, ale nie dostrzegła w jej wyglądzie niczego podejrzanego.

Miała na sobie skromnie zapiętą pod samą szyję szarą bluzę z jedną kieszenią na prawej piersi oraz z tego samego materiału zapinaną na guziki spódniczkę, może nieco zbyt krótką, bo odsłaniała kawałek łydki, ale przecież jej Daszeńka była jeszcze dzieckiem. Szeroki skórzany pasek w talii dopełniał całości.

– Oj, mam, wcale nie ciągle... – Daria opuściła skromnie powieki i zapłonęła



rumieńcem. – Poza tym tyle pokus wokół czyha, a można przecież zgrzeszyć myślą czy złym słowem, nie tylko czynkiem.

Liza westchnęła ciężko, przyznając w duchu rację Leopoldowi, że ich córka, choć taka ładna, zamiast wyjść za mąż, poświęci się Bogu. Ale od tego kroku nie wolno nam jej odwozić, pomyślała, aby nie spotkała nas kara boska, jak Pawła, którego najstarszy syn został socjalistą. Gdy Liza z zatroskaną miną poszła do kuchni wydać kucharce dyspozycje, co ma przygotować na obiad, Daria wybiegła z mieszkania. Wyciągnęła z komórki stojącej na podwórku rower i zawiązała pod brodą troczki kapelusza, aby wiatr nie zerwał go jej z głowy, popedałowała co sił w nogach w stronę drogi pińczowskiej.

Ledwie zdążyła minąć cmentarz, gdy do jej uszu dotarł głośny tętent końskich kopyt. Jezus Maria, kozacy! – pomyślała i natychmiast wjechała pomiędzy drzewa i krzewy gęsto rosnące tuż przy drodze. Błyskawicznie zsiadła z roweru i nie patrząc na parzące ją po rękach i twarzy pokrzywy, przypadła plackiem do ziemi. Już po chwili na drodze pojawił się nieliczny oddział jeźdźców. Daria sięgnęła do kieszeni spodnicy po notesik i ołówek, aby zapisać informacje, które powinna dostarczyć do swego ogniska wywiadowczego. Gdy otoczeni chmurą przydrożnego pyłu jeźdźcy znaleźli się bliżej, wstrzymała oddech. Dopiero po chwili rozpoznała mundury strzelców, znane jej z opowieści i ze zdjęcia Cezarego, które podkraffa ciotce Agnieszce. Serce zamarło jej z radości. Nasi. To nasi. Nareszcie! – myśli jak szalone kłębiły się jej w głowie. Zerwała się na nogi, aby im pomachać na powitanie, ale zanim wyciągnęła z krzaków rower i wyszła na drogę, ułani już pogalopowali w stronę miasta, zostawiając za sobą tumany kurzu.

Otrzeawszy spodniczkę z zielska i trawy, wskoczyła na siodełko. Pedalaowała co sił w nogach, aby kawalkada jeźdźców jej nie umknęła. Dogoniła ich dopiero, gdy wjechali do centrum i błyskawicznie obsadzili dawny pałac biskupów krakowskich, w którym ostatnimi czasy urzędowały władze gubernialne Kielc. Rosjanie opuścili gmach w panice, kiedy wybuchła wojna. Teraz urzędowali w nim polscy członkowie magistratu. Jeden z jeźdźców zeskoczył z konia i rzuciwszy wodze koledze, pomaszerował wprost do wejścia, skrytego w cieniu arkad. Bez słowa minął stojących przy drzwiach woźnych w białych rosyjskich mundurach, którzy służbiście wyprężyli sylwetki. Reszta ułanów pozostała na swoich posterunkach, starając się skryć przed palącymi promieniami słońca w cieniu rosnących w pobliżu budynku rachitycznych drzewek. Pozdejmowali karabiny z ramion, gotowi w każdej chwili ich użyć na wypadek niebezpieczeństwa. Natomiast konie zainteresowały się niestrzyżonym od jakiegoś czasu żywopłotem odgradzającym budynek od reszty placu, po którego drugiej stronie widniała w całej swojej barokowej krasie kielecka katedra i stojąca tuż obok wieża dzwonnicy. Z minuty na minutę, zwabieni hałasami, zaczęli się wokół placu gromadzić gapie, a po chwili pojawili się urzędnicy wraz z prezydentem miasta.

– Polacy! – dotarł do nich po chwili donośny głos komisarza wojsk polskich, Ignacego Boernera odczytującego rozporządzenie Piłsudskiego. – Wkroczyły do Królestwa forpocztę wojska polskiego w celu wyzwolenia ojczyzny spod ucisku moskiewskiego rządu. Wzywa się ludność do serdecznego przyjęcia żołnierzy polskich, do udzielenia im wszelkiej pomocy, do usunięcia wszelkich napisów rosyjskich z szyldów i urzędów, do zachowania powagi i spokoju...

Jeszcze komisarz nie skończył odczytywać odezwy, gdy jeden z jeźdźców w szaroniebieskim mundurze, siedzący na pięknym wierzchowcu, wydał się Darii znajomy. Z karabinem gotowym do strzału, toczył wokół czujnym spojrzeniem szarych oczu, wypatrując wroga. Prowadząc rower, Daria podeszła bliżej. Rozpoznała też ogiera. Z całą pewnością pochodził ze stadniny dziadka Andrzeja z Porętowa.

– Czarek, czy to ty? – spytała i zawstydzona własną śmiałością, zarumieniła się.

Cezary Rawecki spojrział na stojącą przed nim pannę. Choć miała na sobie skautowski mundurek, a włosy zaplecione w dwa warkocze, wyraźnie było widać, że już przestała być dzieckiem. Pod obcisłą bluzą mundurka rysowały się bujne piersi. Talię miała szczupłą, a biodra zaokrąglone. Ale nade wszystko zachwyciły go jej oczy – ogromne i fiołkowe, wpatrzone w niego jak w obraz.

– Daria? – odpowiedział pytaniem, bo nie miał pewności, czy naprawdę stała przed nim jego kuzynka, którą ostatni raz widział przed rokiem. Była wówczas chudą jak patyk, choć wysoką dziewczynką. Zeskoczył z siodła i poprawił maciejówkę, która nieco się przekrzywiła podczas galopu. – Jak ty wydorostałaś! Jechałaś z meldunkiem? – szybko zmienił temat, czując dziwne, nieznanne mu drżenie serca. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz stał tak blisko ładnej dziewczyny, że mógł nawet poczuć jej zapach. Nie wiedział, czy był to zapach mydła, czy perfum. Przypominał odurzającą woń konwalii, które rosły na łąkach w Porętowie.

– Jeszcze nie – odparła Daria, speszona natarczywym spojrzeniem Cezarego. – Dopiero chciałam zrobić rekonesans, gdy wjechał wasz oddział. Z trudem was dogoniłam. A wy, co tutaj robicie? – spytała, licząc, że nie było to tajemnicą wojskową.

– Mamy przygotować miasto na wkroczenie naszego wojska, z Komendantem i Sztabem Głównym na czele – wyjaśniał z dumą w głosie, że właśnie jemu przypadło w udziale to zadanie. – Właśnie zajęliśmy ten pałac. – Ruchem głowy wskazał widoczny za jego plecami budynek. – W sam raz nadaje się na kwaterę główną. Przybył z nami wyznaczony na komisarza wojskowego Kielc Ignacy Boerner. Właśnie ogłasza przejście władzy.

– To może masz dla mnie jakieś zadanie? – Głos Darii drżał z emocji. Tak bardzo chciałaby być pomocna. – Mogę pojechać z meldunkiem, jak rozkażesz.

– Chętnie bym wydał rozkaz, abyś poszła ze mną na spacer za miasto – odparł z figlarnym uśmiechem na swojej zarośniętej twarzy. Potarł dłonią zmierzwioną brodę, żalując, że jednak się nie ogolił przed wymarszem z Miechowa, jak go matka prosiła. – Dzisiaj jest taki piękny dzień. Pamiętasz, jak łapaliśmy motyle na łąkach w Porętowie? Rosły tam takie żółte kwiatki. Jednego dnia zrobiłaś sobie z nich wianek. Miałaś rozpuszczone włosy i wyglądałaś jak leśna nimfa...

– To len złocisty – odparła. Ona też pamiętała ten dzień. To wówczas pokochała Cezarego, choć sama jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. – Uczyłeś mnie strzelać z dubeltówki dziadka...

– Masz celne oko – pochwalił ją. – Gdybyś była chłopakiem, wziąłby cię do oddziału.

Zaglądając sobie raz po raz w oczy, wspominali szczęśliwe lata, jakże dla nich szczęśliwe, planując, że jak tylko wojna się skończy, spotkają się w Porętowie u dziadków i pójdą na spacer na pobliskie łąki i wzgórze porośnięte kaliną. Nawet nie zwrócili uwagi, że zebrani na placu urzędnicy oraz wydający im rozporządzenie nowych władz komisarz Ignacy Boerner mówili coraz bardziej podniesionymi głosami. Zanosilo się na awanturę, gdyż nastawieni prorosyjsko kieleccy notable, wśród których dopiero po chwili Daria rozpoznała głos swego ojca, oświadczyli, że będą lojalni wobec Rosji walczącej z germańskim najeźdźcą. Pozostali wyrazili wolę podporządkowania się nowej władzy. Klótnię przerwały odgłosy niedalekiej strzelaniny.

Cezary z żalem pożegnał się z Darią, kradnąc jej niespodziewanie całusa. Przyciskając sobie dłoń do ust, wpatrywała się w jego smukłą sylwetkę, jak sprawnie wskoczył na siodło i galopem ruszył wraz ze swoimi towarzyszami broni w kierunku, skąd dochodziły odgłosy strzelaniny. Już po paru minutach oddział Beliny dotarł na miejsce, gdzie toczył się pojedynek między patrolem rosyjskim a austriackim. Rozłożeni po obydwu stronach drogi na Radom, skryci za naturalnymi przeszkodami żołnierze strzelali do siebie z zapalem.

– Z koni! – wrzasnęła Belina, zeskakując z siodła. – Ogień paczkami!

Reszta ułanów posłusznie wykonała rozkaz. Pierwszy szereg przykłęknął i strzelał z kolan, drugi – stojąc. Rosyjskie kule, świszcząc nad głowami ułanów, nie czyniły jednak wśród nich żadnej szkody. Kozacy z tylko sobie znanych powodów zaprzestali walki i wskoczywszy na konie, czmychnęli za pobliskie wzgórze.

Gdy Cezary zniknął Darii z oczu, wsiadła na rower i już miała zamiar ruszyć raz jeszcze w kierunku krakowskich rogatek, gdy ujrzała swego brata Jerzego z kilkoma wyrostkami w jego wieku biegnących ulicą.

– Co się dzieje? – zapytała, podjeżdżając do nich na rowerze. – Dlaczego uciekacie? Ktoś was goni?

– Jakieś wojsko idzie prosto na nas! – odparł zdyszany Jura, przystając.

Reszta jego kolegów rozbiegła się po domach, niosąc nowinę. Jeszcze nie wiedzieli, czy była zła, czy dobra.

– Moskale?

– Raczej nie Moskale, ale też i nie Austryjaki. Śpiewają tę zakazaną pieśń o Dąbrowskim z ziemi włoskiej i Bonapartym, co to dał nam przykład...

– Chryste... – jęknęła Daria. – To nasi strzelcy. Czarek był tutaj przed chwilą. Mówił mi, że mają zamiar wkroczyć do Kielc, tylko nie powiedział, że to już dziś. – Rumieniec oblał jej policzki i zamilkła w pół słowa, gdyż do niej i do zebranych na placu mieszkańców Kielc dobiegł miarowy, równy krok setek żołnierskich nóg. – Pilnuj roweru! – Wcisnęła bratu do ręki kierownicę i nie czekając na jego reakcję, pobiegła w stronę domu.

Przeskakując po dwa stopnie, wpadła do mieszkania i z wazonu stojącego w salonie na stole wyjęła wszystkie róże, które rano wstawiła tam służąca.

– Co ty robisz, Daszo? Dokąd niesiesz te kwiaty? Znowu do kościoła? – wypytywała zaskoczona Liza. Najpierw jej mąż wybiegł z domu bez słowa, a teraz córka wpadła niczym przeciąg i zabierała wszystkie kwiaty. – Może mi ktoś w końcu powie, co się tutaj wyprawia?

– Nasi, mammo, nasi są już w Kielcach! – odparła Daria, będąc już w progach.

– Wrócił wielmożny Orest Michajłowicz Kobyleckij? Nasz gubernator? – spytała Liza z nadzieją w głosie. Nagle ogarnęła ją radość i wróciła jej chęć do życia.

Ale córka już jej pytania nie usłyszała. Z naręczem kwiatów zbiegła po schodach i pognęła w stronę ulicy, którą maszerowali żołnierze w szaroniebieskich, pokrytych przydrożnym pyłem mundurach. Wzdłuż ulicy zebrał się już tłum ludzi. Spoglądali na długi szpaler, na którego czele jechało na koniach trzech jeźdźców. Niektórzy, bardziej obcy z polityką, rozpoznali w jednym z nich Józefa Piłsudskiego. Dosiadał zgrabnej, choć drobnej kasztanowej klaczy z białą plamą na czole i lustrował bystrym wzrokiem stojących na chodnikach przechodniów. Pójdą za mną czy nie? – myślał z niepokojem. Od zachowania mieszkańców tych ziem zależało, czy jego plany wywołania powstania przeciwko Rosji odniosą skutek, czy wezmą w łeb.

Jedni dostrzegali w nim socjalistę, który mógł zburzyć ustalony od wieków ład, dający im uprzywilejowaną pozycję w społeczeństwie, i anarchistę podkładającego bomby. Drudzy widzieli w nim współpracownika Niemiec, które prowadziły bezwzględna germanizację nie tylko społeczeństwa, ale także ziem. Jeszcze inni przez lata niewoli przywykli do ustalonego przez Rosję porządku, w którym żyło się im dostatnio. Bali się, że zmiany nie wyjdą im na korzyść, a na dodatek Rosjanie mogą się mścić, jak tylko wrócą. Postaliby chwilkę i szybko wrócili do swoich domów. Pozamykali okna, aby nikt ich później nie mógł zadenuncjować, że sprzeniewierzyli się legalnej władzy, która jedynie na moment wycofała się na z góry upatrzone pozycje. A jeszcze inni nie wiedzieli, kim byli ci żołnierze w szarych, pokrytych białym pyłem

mundurach, pochyleni pod ciężarem broni i wojskowych tornistrów, ze spoconymi twarzami, z polskimi orzełkami na czapkach, którzy śpiewali jakże znamienne pieśń:

*Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały,  
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg.  
Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmiały strzały,  
A lotem kul kieruje Zbawca Bóg.*

Zgromadzeni na chodnikach mieszkańcy zastanawiali się, czy nieśli im wolność, jak szeptano, czy kolejną niewolę, jak mówili niektórzy. Z milczącego tłumu na środek ulicy nieśmiało wysunęła się Daria. W skautowskim mundurku, z naręczem kwiatów w ramionach, ze łzami w oczach czekała, aż żołnierze podejść bliżej.

– Witajcie! – zawołała cienkim ze wzruszenia głosem i rzuciła pod końskie kopyta i żołnierskie zakurzone buty pęk czerwonych róż.

Ciszę, która nagle zapadła, już po chwili rozdarł głośny kobiecy krzyk:

– Ludzie! Toć to nasi! To polskie wojsko!

Zachowanie Darii i tej kobiety, która stała w tłumie z narzuconą na plecy kraciatą chustą, ośmieliło pozostałych. Rozległy się wiwaty, czapki pofrunęły wysoko w powietrze, pootwieraly się okna, z których na kielecki bruk posypały się kwiaty. Niektórzy żołnierze ze wzruszeniem podnosili je z ziemi, inni je deptali, jako należny im hołd. Po chwili trąbka zagrała i schrypnięte głosy podjęły pieśń:

*Raduje się serce, raduje się dusza,  
Gdy Pierwsza Kadrowa na Moskala rusza,  
Oj, da, oj da dana, kompanio kochana  
Nie masz to jak Pierwsza, nie!*

Jednak nie wszyscy odważyli się głośno manifestować swoją radość i szczęście. Obarczeni rodzinami, wychowani w strachu przed represjami rosyjskimi, woleli zachować obojętność. Jak szeptano po kątach, Rosjanie zostawili w mieście swoich szpiegów. Doniosą, kto dopuścił się zdrady.

Kieleckie panny natomiast zerkały z zainteresowaniem na zgrabnych chłopaków w szaroniebieskich mundurach o wysokich kołnierzach, ściągniętych w tali skórzanymi paskami. Śmiało zaglądały im w oczy, podchodząc bliżej pod pretekstem wplecenia kwiatów w karabiny.

Józef Piłsudski wraz ze swoim sztabem zainstalował się w pałacu, który zaledwie przed paroma dniami opuścili rosyjscy urzędnicy. Chwilę później Komendant oraz komisarz Ignacy Boerner, zdając sobie sprawę, kto w Kielcach cieszy się najwyższym autorytetem wśród mieszkańców, złożyli wizytę biskupowi Augustynowi Łosińskiemu. Wyszedł przywitać swych gości ubrany oficjalnie, w amarantową sutannę, ozdobioną wiszącym na piersiach złotym pektorałem wysadzonym drogimi kamieniami. Rzadkie włosy zaczesane do góry skrywała również amarantowa piuska. Wbił w Boenera nieufne, aby nie powiedzieć: wrogie, spojrzenie swych oczu, ginących w fałdach powiek, a nalane, dość obwisłe policzki duchownego pokryły się niezdrowym rumieńcem. Pamiętał tego człowieka z okresu rewolucyjnych wydarzeń 1905 roku. Bezbożny socjalista i polityczny awanturnik, pomyślał z niechęcią.

– Witam pana, generale – oficjalnym tonem zwrócił się do Piłsudskiego, rozciągając usta w nieszczerym uśmiechu. – Proszę, niech panowie siadają. – Pulchną dłonią wskazał krzesła stojące wianuszkami wokół okrągłego stylowego stołu zajmującego środek obszernego pokoju.

W ciszy, która zapadła, brzęczenie kawaleryjskich ostróg i szuranie mebli po lśniących posadzkach wydawały się szczególnie głośne i jakby nie na miejscu. Speszony komisarz chrząknął ze dwa razy, a Komendant starał się zachować spokój. Zatrzymał wzrok na doniczkach z kwiatami stojącymi na parapecie okna.

– Piękne mam kwiaty, nieprawdaż? – spytał biskup, nie mając zamiaru swoim gościom ułatwiać zadania. On tych wygłupów nie pochwalał.

– W rzeczy samej, bardzo piękne – zgodził się Piłsudski i odruchowo podkreślił wąsa, gdy mowa była o pięknie. Z reguły dotyczyło ono kobiet.

– Może pan generał raczy zobaczyć, jakie mam róże w ogrodzie?

– Z przyjemnością. – Piłsudski wstał, licząc na rozmowę pośród ozdobnych krzewów, w chłodnym cieniu drzew, ale biskup podszedł jedynie do otwartego na oścież okna.

– Ta oto, biała, jest moim ulubionym kwiatem. – Wskazał dorodny krzak obsypany śnieżnobiałymi pąkami, pyszniący się na środku zadbanego klombu. – Ale też i pogodę mamy dzisiaj wyjątkowo piękną.

– Istotnie – odparł Piłsudski, zgadując, że kapłan skrywał wobec niego głęboką niechęć.

Kiedy umrze, już jako marszałek niepodległej Polski, biskup Łosiński będzie jednym z tych duchownych, którzy zbojkotują żałobę narodową. Nie wywiesi chorągwi żałobnych i nie pozwoli bić w dzwony.

Kwiaty piękne i pogoda ładna, ale memu sercu bliższa jest ojczyzna. Czy ten nadęty klecha nie rozumie, że zaczęła się wojna i sytuacja jest nader poważna? – pomyślał.

– Tu zgodzę się z panem, generale – oschłym tonem odezwał się biskup – że najdroższa człowiekowi ma być ojczyzna, bo jest jakby matka, co piersiami swymi karmi dzieci swoje. Jej ziemia żywi nas i okrywa. Jej językiem porozumiewamy się między sobą.

Na tym rozmowa się zakończyła.

\*

Zaniepokojona wydarzeniami Liza co chwilę wychodziła na balkon, z którego rozpościerał się widok na ulicę Bożęcą i cały rynek wypełniony przechodniami. W oddali widniały wieże katedry. Dobiegające gdzieś z oddali głośnie komendy, dźwięk oficerskich gwizdków, tupot butów po bruku, a nawet żołnierskie piosenki śpiewane w języku polskim świadczyły, że to nie Rosjanie wrócili do Kielc. Od balkonu podchodziła do zegara wiszącego w jadalni nad kredensem, aby przekonać się, że pora obiadu już minęła, a jej rodziny w domu nadal nie było. Towarzystwa dotrzymywał jej Kola, który jako rekonwalescent nie miał sił, aby opuścić łóżko i wybiec na miasto. Liza była akurat na balkonie, gdy nagle dotarł do niej warkot silnika i jakiś samochód wypełniony żołnierzami w rosyjskich mundurach przemknął ulicą Bożęcą, przejechał w poprzek rynku i skręciwszy w Ruską, ruszył w stronę dworca, skąd za moment rozległy się strzały karabinowe. Ulica Bożęcą i widoczny z okien plac natychmiast się wyludniły. Przechodnie pochowali się w bramach, sklepach albo we własnych domach. Kanonada trwała nieprzerwanie, choć Liza nie wiedziała, kto do kogo strzela, być może w okolicach dworca i na placu Katedralnym.

– Boże święty... – szepnęła, czyniąc na piersiach trzy razy znak krzyża. – Daszeńka jest w katedrze. Miej ją w swojej opiece i *caria chrani*. – Choć biorąc ślub z Leopoldem, zmieniła wyznanie, prawosławne nawyki jej pozostały.

Po chwili ujrzała, jak na rynku pojawiła się odziana w rosyjskie mundury kawaleria i piechota z karabinami w rękach. Kule ze świstem przecinały powietrze, nadlatując ze wszystkich stron, i nagle kilku żołnierzy upadło na bruk, a wokół nich rozlały się kałuże krwi. Reszta, nie oglądając się na swoich towarzyszy, pognęła gdzieś dalej. Liza z hukiem zamknęła drzwi balkonowe i uciekła w głąb mieszkania. Chwyciwszy się za serce, które usiłowało wyskoczyć jej z piersi, rzuciła się na sofę. Oddychała z trudem, kaszląc raz po raz, a w myślach, mieszając słowa polskie z rosyjskimi, zanosila modły do Najwyższego.

Pomału dochodziła do równowagi, gdy usłyszała tupot nóg po schodach, po czym do

mieszkania wpadła zdyszana Dasza, a za nią Jura.

– Moskale ostrzelali naszą piechotę! – krzyczał syn od progu. – Przyjechali automobilem, na którym mieli ustawione kulomioty. Ale nasi dali im bobu, więc zaczęli uciekać i strzelali na oślep po oknach i ludziach...

– Zabili jakiegoś pana, który siedział w kawiarni na wprost okna, i austriackiego żołnierza jadącego bryczką... – przerwała mu Daria, blada jak kreda. Czuła mdłości i miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła, jak zabito człowieka. Wcześniej widziała tylko zwłoki brata babci Poli, kiedy pojechali do Włocławka na pogrzeb. Leżał w trumnie i wyglądał, jakby spał.

– To w mieście są Austriacy? – jęknęła Liza i z przerażeniem zerknęła na okno, jakby sądziła, że ujrzy w nim wykrzywioną nienawiścią twarz wąsatego żołnierza w wysokiej czapce z daszkiem.

– Cezary mówił, że wkroczyła jakaś dywizja kawalerii...

– A co tutaj robi Cezary? – Liza miała wrażenie, że świat zwariował, a ona razem z nim. – Przecież wasz kuzyn ma zakaz wjazdu do Królestwa...

– Ależ mam – odparła Daria zniecierpliwiona niewiedzą matki, a Jura podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz, bo znowu zagrzecotały karabiny. Na balkon wolał nie wychodzić, aby go nie dosięgła zbłąkana kula. – Przecież do Kielc wkroczyło polskie wojsko, strzelcy z Krakowa, a Cezary jest ułanem. Mówił, że i Albin się zaciągnął, ale ja jego nie spotkałam.

– Spójrzcie! – zawołał nagle Jerzy. – Wraca ten automobil z kulomiotem! Nasi do niego strzelają!

Gdy Daria dopadła okna, zdołała jedynie z wysoka ujrzeć, jak dwaj pasażerowie samochodu osunęli się bezwładnie na podłogę, wypuszczając z rąk karabin maszynowy, a kierowca pognał dalej w sobie tylko znanym kierunku.

– Chcecie, żeby i was pozabijano? – fuknęła Liza. Energicznie odsunęła Darię i Jerzego, zamknęła okno i dla pewności zasunęła grube story. – Gdzie wasz ojciec się podziewa? – spytała po chwili z rozpaczą w głosie i wbiła niespokojne spojrzenie w blade twarzyczki swoich dzieci, jakby one znały odpowiedź. – Jezus Maria, czy i jego czasem nie zastrzelili? A mówiłam, żeby wyjechać! – Chodząc wokół stołu, załamywała ręce.

– Jaśnie pani, czy mam podawać obiad? – spytała służąca, zaglądając do jadalni. Była to młoda, dość tęga dziewczyna, która do Kielc przyjechała z pobliskiej Woli Kopcowej, kiedy żaden z wioskowych kawalerów nie zdecydował się jej poślubić z braku posagu.

– Przecież jeszcze pan nie wrócił do domu – odparła Liza, spojrzawszy ze złością na dziewczynę, jakby ona ponosiła odpowiedzialność za to całe zamieszanie. – Chyba wiesz, że w tym domu do stołu zasiada cała rodzina.

Jakby na zawołanie do uszu zebranych dotarł trzask zamykanych drzwi wejściowych i po chwili w progu jadalni stanął Leopold.

– Gdzieś ty się podziewał?! – Liza, szlochając, padła mu w ramiona. – Ja tu od zmysłów odchodzę, na ulicach strzelanina, jakieś obce wojska grasują po mieście, a ty, zamiast w takiej chwili być w domu, z rodziną, aby nas bronić, gdzieś się szwendasz!

– Już dobrze, Lizo... – Leopold kołysał żonę w ramionach, jakby była małym dzieckiem. – Przecież nadal jestem urzędnikiem w magistracie. Narzucony przez nowe władze komisarz wojskowy nas zebrał i przedstawił nam zadania do wykonania. Przybycie rosyjskiej kawalerii przerwało nasze zebranie. Jak tylko mogłem najszybciej, wróciłem do domu. Umieram w z głodu – oświadczył na koniec, a Liza wysunęła się z jego ramiona i pomaszerowała do kuchni, aby wydać dyspozycje kucharce.

Jeszcze nie zdążyli zasiąść za stołem, gdy rozległ się natarczywy dzwonek u drzwi

wejściowych i po chwili służąca wprowadziła do jadalni wysokiego mężczyznę, ubranego w szaroniebieski mundur strzelca, z szablą u boku. Karabin zostawił w przedpokoju. Skłonił się grzecznie i stuknął obcasami mocno zakurzonych oficerskich butów. Zdjął z głowy maciejówkę i przeczesał ręką jasne kręcone włosy.

– Czarek! – Daria zerwała się z krzesła i podbiegła do kuzyna. Chwyciła go za rękę i poprowadziła do stołu. – Siadaj, zjesz z nami obiad. Pewno jesteś głodny.

– Dziękuję za zaproszenie, ale z przykrością muszę odmówić. Chciałem się tylko ze stryjostwem przywitać i jednocześnie pożegnać...

– Jak to pożegnać? – Oczy Darii nabiegły łzami.

– Rosjanie szykują się do okrążenia miasta, więc musimy się wycofać – odparł Cezary, opuszczając wzrok. Tę decyzję odebrał jak cios w samo serce, ale zdawał sobie sprawę, że innej Komendant nie mógł podjąć. – Dywizja austriacka już się wycofała i my też musimy, aby nie dostać się w okrążenie. Wycofujemy się do Chęcín i będziemy czekać, jak dalej rozwinie się sytuacja.

– No proszę, proszę – kpiącym tonem zaczął Leopold, nie mając nawet zamiaru wstać od stołu, aby się przywitać z bratankiem. – Strzelcy galicyjscy weszli sobie do miasta, trochę się powygłupiali, a teraz dają nogę. Źle się bawisz, chłopcze. Ty i twoi strzelcy. – Pogroził Cezaremu palcem. – Jak tylko Rosjanie spuszczą manto Niemcom, to was złapią i wszystkich powywieszają. Co do jednego.

– Ależ tatusiu! – Daria spojrzała na ojca, jakby go pierwszy raz w życiu ujrzała. – Jak możesz tak do Czarka mówić?! Jak możesz mu tak źle życzyć?!

– Stryj jest w błędzie – odparł Cezary, a w jego szarych oczach zapaliły się nieznane Leopoldowi wcześniej ognie. Zawsze uważał bratanka za nieszkodliwego marzyciela, który swych planów nie będzie umiał przekuć w czyn. – To Niemcy będą bić Moskali, aż wybuchnie w Rosji rewolucja. My nie liczymy na pomoc Anglii czy Francji, lecz na własne siły, bo dla nas nie jest to wojna europejska, lecz wojna między Rosją a Niemcami. Tylko po rozbiciu caratu i zniszczeniu żołďactwa pruskiego możemy mieć wolną Polskę...

– Kto ci takich andronów naopowiadał? – prychnął Leopold i obrzucił Cezarego nienawistnym spojrzeniem. – Pewno ten cały Piłsudski, co Niemców wspiera przeciwko nam.

– Historia oceni, który z nas miał rację. Ja, walcząc z Rosjanami, czy stryj, im się wysługując – odparł spokojnym tonem, na którego dnie Leopold wyczuł głęboko skrywane emocje. – Nie będę już stryjostwu zabierał czasu. Do zobaczenia po wojnie, w wolnej Polsce.

Cezary uklonił się i zrobiwszy żołnierskie „w tył zwrot”, skierował się do wyjścia, a Daria pobiegła za nim. Już w przedpokoju przypadła mu do piersi i objęła ramionami w pasie. Za nic miała zaskoczone spojrzenie służącej, która akurat z wagą pełną kapuśniaku na żeberkach zmierzała do jadalni.

– Czarus... – chlipała. – Tak mi przykro. Przepraszam cię za nich...

– Czekaj na mnie, Daszeńko – szepnął jej do ucha i mocno przytulił. Poszukał jej ust i złożył na nich najbardziej namiętny pocałunek, jaki znał. A nie znał ich zbyt wiele. Praca konspiracyjna była całym jego życiem i nie miał czasu uganiać się za spódniczkami. Dopiero Daria, choć kuzynka, zburzyła spokój jego serca. Może dlatego, że wyczuwał w niej pokrewną duszę, dla której sprawa była ważniejsza niż wszystko inne.

Jednak dla Darii był to jej pierwszy pocałunek w życiu i jednocześnie najważniejszy. Gdy dziewięć gramów ołowiu przebije jej pierś, wciąż będzie czuła na swych ustach delikatne łaskotanie zarostu pokrywającego policzki chłopaka.

Cezary z żalem wypuścił ją z objęć i wybiegł z mieszkania. Jeszcze przez moment słyszała tupot jego nóg po schodach, po chwili dotarło do niej rżenie koni i tętent kopyt po bruku.

A potem nastala cisza.



## Rozdział 20

Cisza trwała do samego rana. Trwała także wówczas, gdy służąca podała w jadalni śniadanie, na które złożyła się jedynie kasza jaglana okraszona stopioną słoniną. Niczego innego nie udało się kupić.

– A gdzie to nasza Daszeńka? – zainteresowała się Liza, gdy usiadła do stołu i zauważyła brak córki. – Weronko – zwróciła się do służącej, krzątającej się po jadalni – panienska jeszcze nie wstała?

– Wstała, a jakże. Na mse święto do kościoła pewnikiem posła – odparła służąca, stawiając na stole miskę z kaszą.

– Skaranie boskie z tą pobożnością naszej córki – westchnął Leopold i podał Weronce swój talerz, aby mu nałożyła kaszy. Nie miał zamiaru czekać ze śniadaniem na powrót córki. Wyjątkowo nie znosił kaszy jaglanej, a zimnej to już szczególnie.

Jednak nie zdążył nawet podnieść łyżki do ust, a Liza nie zdążyła wypowiedzieć wszystkich swoich słów pretensji, które miała do męża o to, że nie wyjechali na czas, przez co ona i dzieci zostały narażone na niebezpieczeństwo, a kto wie, czy nie na śmierć, gdy nagle powietrzem wstrząsnął potężny wybuch, aż szyby z okien posypały się z brzękiem na podłogę. Po chwili nastąpił kolejny i jeszcze jeden, zamieniając się w regularną kanonadę. Kola z głośnym płaczem rzucił się w objęcia matki, Jura dopadł drzwi balkonowych, aby zorientować się w sytuacji, służąca z piskiem uciekła do kuchni, jakby sądziła, że w towarzystwie kucharki będzie bezpieczniejsza niż z jaśnie państwem, a Leopold zbladł jak kreda i zamarł ze strachu.

– Chryste Panie... – jęknęła Liza. – Daszeńka jest w katedrze.

Leopold natychmiast oprzytomniał i nie bacząc, że jest w domowych pantoflach i bez marynarki, wybiegł z mieszkania. Rynek był całkowicie wyludniony i pusty, jedynie ulicą Bożecką kilku przerażonych przechodniów biegło w przeciwnym kierunku niż odgłos kanonady. Rozglądając się na boki, zgięty wpół Leopold przemykał tuż przy murach kamienic, zdając sobie sprawę, że na otwartym placu stanowił doskonały cel, choć nie wiedział po co i dla kogo. Kiedy w końcu zdyszany dopadł wiodącej w stronę katedry ulicy, zabudowanej z obydwu stron kamienicami o kolorowych, całkiem niedawno pomalowanych fasadach, zwolnił kroku. Z trudem łapał oddech i nie pomogło nawet poluzowanie kołnierzyka pod szyją. Także tutaj docierały odgłosy kanonady i strzelaniny, jakby miały miejsce na sąsiednich ulicach. Na wszelki wypadek mieszkańcy kryli się po domach i szczelnie zamykali okna. Leopold rozglądał się wokoło w nadziei, że ujrzy córkę w jakiejś bramie, gdzie się schowała, wracając z kościoła, kiedy rozpoczął się ostrzał artyleryjski miasta. Ale nigdzie Darii nie było. Przyspieszył kroku i już po chwili znalazł się przed katedrą. Zanim po szerokich schodach dotarł do wejścia, oblał się potem. Drzwi zastał otwarte. Gdy wszedł do środka, z miejsca ogarnął go przyjemny chłód i charakterystyczny zapach kadzidła oraz świec, które płonęły w lichtarzach, a także głęboka cisza, szczególnie zwracająca uwagę w porównaniu z kanonadą dobiegającą z zewnątrz. Zanim oczy Leopolda przyzwyczyły się do panującego w świątyni półmroku, zanurzył dwa palce w kropielnicy stojącej zaraz przy wejściu i przyklękawszy na jedno kolano, nakreślił na piersiach znak krzyża. Nie zwracając uwagi na bogaty barokowy wystrój świątyni, do którego przez lata zdążył przywyknąć, na te wszystkie złożone ramy świętych obrazów, bogato zdobione ambony i pokryte malowidłami ściany i sklepienie, ruszył główną nawą przed siebie. W niektórych ławkach siedzieli wierni, zatopieni w żarliwych modlitwach, ale pomiędzy nimi Rawecki nie dostrzegł swojej córki. Gdy dotarł do ołtarza, zanurzył się w mrok naw bocznych.

Tam także klęczący przed ołtarzami wierni zanosili modły do Najwyższego, najpewniej w intencji zachowania przy życiu swych mężów, ojców i braci, a zesłania śmierci na tych, którzy do nich strzelali. Między nimi także Darii nie wypatrzył. Nie dostrzegł jej też przy żadnym z konfesjonałów, w których zresztą nie było ani jednego spowiednika. Wszak nie była to ku temu pora.

Czując ogarniającą go czarną rozpacz, opuścił kościół i mknąc wzdłuż murów, pośród huku wybuchających pocisków, grzechotu karabinów i jazgotu szrapneli, wrócił do domu. Jeszcze nie zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy z histerycznym płaczem przypadła do niego Liza. W rękach ścisnęła dwa warkocze splecione z płowych włosów ich córki.

– Weronka znalazła w pokoju Daszeńki! Pod poduszką! – krzyczała przez łyzy, tuląc warkocze do ust. – Obcięła włosy, tylko powiedz mi dlaczego. Uciekła do klasztoru? Przecież bym nie broniła!

– Mamusiu... – Z pokoju chłopców wysunął się Jerzy. Był blady, a na jego policzkach znać było ślady łez. Jednak w obecności rodziców starał się być dzielny. – Daszka nie do klasztoru uciekła, ale do wojska.

Liza natychmiast umilkła, a Leopold, któremu znowu zabrakło tchu, nerwowym ruchem sięgnął do guzika koszuli pod szyją, choć ten był już rozpięty.

– O czym ty mówisz? – Matka spojrzała na syna, jakby bredził w gorączce. – Do jakiego wojska? Przecież do wojska dziewczynek nikt nie przyjmuje, nawet ten socjalista Piłsudski.

– Dlatego obcięła warkocze – tłumaczył Jerzy. – Musiała wziąć moje spodnie do konnej jazdy, bo ich nigdzie nie ma. I... i...

– Co: i? – spytał zniecierpliwiony Leopold. – Mów, pókim dobry!

– Wczoraj dostałem od jednego strzelca maciejówkę i też jej nie ma – dodał przestraszonym głosem. Wiedział, że ojciec nie pochwalał ruchu strzeleckiego, że był przeciwny planom Piłsudskiego, aby walczyć z Rosją. – Mój plecak też zniknął – dorzucił na koniec i opuścił nisko głowę, aby rodzice nie dostrzegli łez ciekących mu po policzkach. Ze strachu przed gniewem rodziców i z żalu za siostrą, która być może już zginęła.

Zapadła cisza, zagłuszana przez terkotanie karabinów i salwy armatnie dobiegające od strony dworca. Przez wybite okno do pokoju wdarł się swąd spalenizny, a na niebie pojawiły się kłęby czarnego dymu. Najwyraźniej gdzieś coś się paliło. Jeszcze nie zdążyli ochłonąć, gdy dał się słyszeć tętent końskich kopyt po bruku i liczny oddział kozaków przemknął przez rynek w sobie tylko wiadomym kierunku. Raz po raz do kogoś strzelali. Po chwili ktoś cichutko zapukał do drzwi.

– Daszeńka – pisnęła Liza i z lękiem spojrzała na Leopolda. Obawiała się, że zechce wymierzyć córce surową karę za jej nieodpowiedzialne zachowanie.

Jerzy pierwszy oprzytomniał i otworzył na oścież drzwi. W progu stał młody mężczyzna w szaroniebieskim mundurze strzelca, zakurzonym i poplamionym, noszącym ślady zażartej walki. Brudną ręką obtarł pot z twarzy, zostawiając ciemną smugę na policzku.

– Starszy strzelec Jan Orzechowski – przedstawił się, prostując sylwetkę mimo śmiertelnego zmęczenia malującego się na jego twarzy. – Zostałem odcięty od mojego oddziału, a w okolicy jest szwadron rosyjskiej kawalerii. Czy mogę u państwa przeczekać?

Leopold już otwierał usta, aby wyrzucić z siebie całą nagromadzoną w nim złość z powodu wydarzeń ostatniego dnia, gdy Liza go ubiegła.

– Wchodź, chłopcze – oznajmiła. Chwyciła go za rękę i wciągnęła do środka. Nasza Daszeńka też może u kogoś szukać pomocy, pomyślała. My, matki, musimy być solidarne. Zanim zamknęła za nim drzwi, obrzuciła czujnym spojrzeniem klatkę schodową, czy ktoś podejrzany się nie kręcił.

Gdy odgłosy strzelaniny się oddaliły, Liza oświadczyła kategorycznie:

– Leopoldzie, nie ma na co czekać. Idź szukać naszej córki. Żywej bądź umarłej.

Rawecki włożył uniform, w którym chadzał co dnia do pracy, gdy sprawował urząd komisarza do spraw włościańskich, do kieszeni wrzucił garść drobnych, gdyby trzeba było komuś za przysługę zapłacić, i ucałowawszy żonę i synów, jakby ruszał na front, wyszedł na ulicę. Początkowo nie wiedział, w którą stronę się udać. Rozglądał się po rynku, który jak nigdy przedtem świecił pustkami. W oczy rzucał się brak dorożek, które nie tak dawno stały rzędem wzdłuż północnej pierzei i czekały na klientów. Leopold ruszył w stronę dworca, gdzie, jak mówił Janek Orzechowski, garstka polskich strzelców broniła kolejowych budynków. Ponoć wśród uwijających się tam żołnierzy widział kogoś w portkach do konnej jazdy. Na ulicy Ruskiej natknął się na przemykających pod ścianami przechodniów, oglądających się za siebie z niepokojem.

– Co się dzieje? – zagadnął jegomościa targającego ciężką walizkę.

– Kozacy, proszę pana, Kozacy są już w mieście – relacjonował zaaferowany. – Pokonali naszych pod Karczówkiem i Białogonem, spalili Czarnów, gdzie Piłsudski stacjonował, i jego samego zastrzelili. Austriacy też poszli w rozsypkę. To już koniec.

– Jaki koniec?! – przechodzący obok starszy człowiek wtrącił się do rozmowy. – Ponoć z Pińczowa wyszła cała dywizja austriacka i zmierza na Kielce. Kawaleria i artyleria. Kamień na kamieniu z miasta nie zostanie.

Leopold wykorzystał wymianę zdań pomiędzy nieznanymi mu mężczyznami i ruszył w stronę dworca. Już z daleka dostrzegł zbudowaną w poprzek ulicy Ruskiej barykadę z fragmentów płotu, który jeszcze wczoraj okalał dworcowy budynek. Gdy podszedł bliżej, zapłakał. Dziecko, moje dziecko! – szeptał z rozpaczą w głosie. Okazały, trzykondygnacyjny budynek, będący chlubą miasta i symbolem nowoczesności, straszyl pustymi oczodołami okien, z których ostrzał artyleryjski powybił wszystkie szyby. Ściany od frontu i od strony torów były osmalone i podziurawione, a dach w jednym miejscu zawalił się do środka. Rawecki rzucił się pomiędzy gruzy, szukając wśród rozsypanych cegieł, szkła i kawałków metalowych konstrukcji ciała swej córki. Widząc bezsens tych poszukiwań, zawrócił do centrum miasta. Większość sklepów była pozamykana, a w innych właściciele ryglowali drzwi, wystawiając w oknach święte obrazki.

– A po co ta Matka Boska, panie Jagielski? – zagadnął znanego sobie sprzedawcę tytoniu, u którego stale zaopatrywał się w papierosy.

– Kozacy idą drogą pińczowską i rabują sklepy. Ponoć tylko żydowskie...

W tym samym momencie dotarły do nich donośne krzyki w języku rosyjskim i odgłos wybijanych szyb gdzieś na sąsiedniej ulicy. Jagielski błyskawicznie dokończył zakładanie metalowej sztaby na sklepie i bez słowa pożegnania pomknął w stronę swego domu, a Rawecki na wszelki wypadek wpadł do najbliższej bramy. Był ku temu czas najwyższy, gdyż w tym momencie zza rogu wypadli jeźdźcy. Leopold po czapkach rozpoznał kozaków. Było ich kilkudziesięciu. Zeskoczyli z koni i postrzelawszy w powietrze, a także po oknach, zaczęli wyważać drzwi do sklepów. Święty obrazek nie uratował trafiki pana Jagielskiego przed grabieżą. Została splądrowana do cna. Ofiarą pijanego żołdactwa padły prawie wszystkie sklepy, nad którymi zamieszczony szyld informował o żydowskiej narodowości właściciela.

Leopold poprzez podwórka przedostał się na ulicę Konstantego, ale tam wcale nie było spokojniej. Zanim czmychnął do kolejnej bramy, ujrzał z daleka na tle szarych murów kamienic stojących przy Ruskiej i Małej cukiernię Smoleńskiego. Wyróżniała się solidną fasadą, a wejście dla konsumentów wiodło ze ścignętego narożnika budynku. Tuż obok, na całej szerokości chodnika, urządzono ogródek, w którym ku uciesze gości orkiestra przygrywała modne walce.

Obszerne okna zasłaniały muślinowe firanki, strzegąc przed ciekawskim wzrokiem przechodniów siedzących przy kawiarnianych stolikach stałych bywalców, przedstawicieli elity władzy i śmietanki towarzyskiej, do której zaliczali się także Raweccy. Sala druga przeznaczona była dla warstwy średniej, a do trzeciej zaglądali drobni rzemieślnicy. Natomiast na piętrze urządzono salę do gry w bilard. Nad całością czuwała, siedząc za kasą, żona właściciela, Leokadia Smoleńska. Rawecki z przerażeniem ujrzał, jak z cukierni żołdacy wynosili szuflady pełne czekolad, cukierków, bombonierek i innych słodkości. A żebyście tak sraczkę dostali, pomyślał ze złością.

Leopold wykorzystał moment, kiedy kozacy zajęci byli wynoszeniem kielbas z jednego ze sklepów, i puścił się biegiem w stronę ulicy Krakowskiej, ale już po chwili pożałował swego kroku. Właśnie z bramy Moskale wyprowadzili dwóch mężczyzn. Z krzyków wyłowił wyjaśnienie ich zachowania. Ci dwaj nieszczęśnicy posiadali przy sobie odezwy wydane przez Rząd Narodowy, które na placu Katedralnym rozrzucali strzelcy. Kozacy postawili mężczyzn pod murem i po chwili oddali w ich kierunku kilka strzałów. Rawecki, oglądając egzekucję z okna klatki schodowej, nie zapanował nad ogarniającymi go mdłościami i wymiotował na podłogę. Otarł usta rękawem swego eleganckiego uniformu o złotych guzikach i usiadł na schodach. Rozpłakał się jak dziecko. Jednak to nie było wszystko, co przygotował dla niego los.

Gdy krzyki na ulicy ucichły, wyszedł ze swojej kryjówki i znanymi sobie podwórkami usiłował wrócić do domu. Niektóre kamienice nosiły ślady armatnich pocisków. Na Orlej ujrzał w murze dużą wyrwę, resztę znaczyły dziury po kulach karabinowych, a w oknach nie było ani jednej szyby. Szkło zaścielało ulicę na całej szerokości. Nagle do uszu Leopolda dotarły wołania jakiejś kobiety o pomoc. Rzucił się w tamtym kierunku, modląc się w duchu, aby nie był to głos jego Daszy. Na jednym z podwórek kilku kozaków złapało przekupkę, która nie zdążyła uciec do domu. Przewrócili ją na ziemię i gdy dwóch trzymało, trzeci, zadartszy jej kieckę na głowę, gwałcił z wyrazem rozkoszy na nieogolonej gębie. W tym momencie dostrzegli Raweckiego.

– Ej, ty! – zawołał jeden z nich, w rozchełstany pod szyją mundurze, w czapce przekrzywionej na bakier, i puściwszy rękę przekupki, ruszył w stronę Leopolda.

– *Malczat', swołocz!* – wrzasnął po rosyjsku Rawecki i podparł się pod boki. – Ja dla ciebie jaśnie pan jestem, a za swoje chamstwo pod sąd pójdiesz! Ty wiesz, kto ja jestem?! Ja z samym generałem-gubernatorem Orestem Michajłowiczem Kobyleckim wódkę pijam.

– *Izwinitie, wasze błagorodie* – kajał się żołdak, nawykły, że zwierzchność takim językiem do podwładnych się zwracała. – Po pysku dajcie, ale skargi nie zanoście – skomlał przestraszony.

– *Poszoł won od siuda!* – warknął Rawecki i czując pot ciekący mu ciurkiem po plecach, ręką wskazał szeroką bramę wiodącą na ulicę.

Gdy kozacy, szurając buciorami, czmychnęli w jej kierunku, Rawecki spojrzął na przekupkę. Była to młoda, dość tęga dziewczyna o rumianych policzkach. Już zdążyła się pozbierać na nogi i energicznie otrzepywała szeroką spódnicę z ulicznego kurzu. Zanim zdążył zaproponować jej jakąś pomoc, chwyciła do ręki swój pusty już kosz po warzywach i pomknęła w przeciwnym niż kozacy kierunku.

Leopold sztywnym krokiem, w obawie, że może ktoś go obserwuje, wszedł do najbliższej bramy. Tam dopiero usiadł na schodach i drżącymi palcami usiłował poluzować zbyt ciasno zawiązany krawat. Brakowało mu powietrza i miał wrażenie, że za moment się udusi.

Zanim dotarł do swego mieszkania przy Bożęckiej, natknął się jeszcze na kilka trupów, w tym dwóch miało na sobie szaroniebieskie mundury strzelców, ale żaden z nich nawet nie przypominał jego ślicznej córki. Widział też, jak z domów wywlekano aresztowanych, których wskazali palcem donosiciele jako tych, co radośnie witali wkraczające do Kielc oddziały wojska

polskiego lub pomagali strącać rosyjskie tablice. W duchu podziękował Bogu, że tych szpicli było jednak niewielu. Nikt też nie wyszedł witać wkraczających do Kielc rosyjskich dywizji, ale one chyba tego nawet nie oczekiwały.

Odgłosy strzelaniny utrzymywały się jeszcze kilka godzin. Rosjanie potraktowali miasto jak zdobytą szturmem twierdzę. Strzelając po oknach, domagali się wydania *miatieżników*, lecz nikt do wydania buntowników się nie kwapił, bo za takich strzelców nie uważano. Im więcej sklepów żołdactwo plądrowało, tym bardziej opór mieszkańców Kielc tężał. Najstraszniejsze przyszło jednak następnego dnia, gdy generał Nowikow, dowodzący 14. kompanią, która miasto z rąk polskich i austriackich odbiła, zażądał stu tysięcy rubli w srebrze jako zapłaty za poniesione szkody. W razie odmowy zagroził zbombardowaniem miasta swoimi armatami. Łapówka w wysokości pięciu tysięcy rubli, wręczona bezpośrednio do rąk generała, miała uchronić Kielce przed dalszą grabieżą przez kozaków. Kontrybucją obciążono wszystkich bez wyjątku mieszkańców.

Daria wróciła następnego dnia. Stała w progu w brudnej bluzie skautowskiego mundurka, w podartych spodniach swego brata, z twarzą umorusaną sadzą, kurzem i błotem, w którym ciekące po policzkach łzy wyżłobiły białe smugi.

– Mamusiu! – krzyknęła rozpaczliwie i rzuciła się Lizie w ramiona. – Wojna jest straszna! Uciekajmy stąd, bo oni nas wszystkich zabiją!

Liza wymownie spojrzała na swego męża, jakby to on, a nie choroba Koli, stanął na przeszkodzie, że do tej pory Kielc nie opuścili. Leopold opuścił wzrok, aby żona nie dostrzegła w jego oczach łez. Przecież tak się starał przez wszystkie lata małżeństwa, aby jego Liza była szczęśliwa, a ona zawsze miała o wszystko pretensje.

– Opowiadaj, dziecko – poprosiła Liza, gdy Daria już umyta i czysto ubrana usiadła za stołem, a Weronka postawiła przed nią talerz kaszy z wiśniowymi konfiturami, które Liza trzymała w spiżarni na specjalne okazje. – Dlaczego zachowałeś się tak nieodpowiedzialnie? Myśmy z ojcem od zmysłów odchodzili...

– Pół dnia szukałem cię po mieście – wtrącił Leopold, nie spuszczać z córki uważnego spojrzenia. Obawiał się, czy nie spotkało jej coś strasznego, czego nawet w myślach nie chciał nazwać, a czego był świadkiem poprzedniego dnia. – Kozacy plądrowali i ludzi zabijali.

– Wiem – chliphnęła, mieszając łyżką w kaszy. Choć nie jadła dwa dni, nic nie mogła przełknąć. – Wysłałam z domu o świcie, bo chciałam dołączyć do oddziału. Dlatego ścięłam włosy. – Dotknęła ręką sterczących na wszystkie strony krótkich kosmyków. – Cezary mówił, że wojsko będzie się wycofywać na Chęciny, że tam już jest Piłsudski, więc rowerem bocznymi uliczkami pojechałam w tamtą stronę. Jednak zanim dostałam się na szosę jędrzejowską, drogę zagrodziła mi rosyjska kawaleria. Pędziła na Białogon. A tam już byli nasi i zaczęła się strzelania. Ja sobie to całkiem inaczej wyobrażałam. Nie wiedziałam, że to jest takie straszne. – Zasłoniła twarz dłońmi i szlochała. – Rosjan było tyłu, jakby mrówki wyszły z mrowiska. Kozacy na koniach, pędząc, machali szablami, za nic mając świszczące im nad głowami kule. Ci, co szli na piechotę, poukrywali się gdzieś po rowach, postawili na ziemi kulomioty i tra-ta-ta, tra-ta-ta, tra-ta-ta... strzelali do naszych. To było okropne. Rzuciłam się do ucieczki, zapominając o rowerze. Zdażyłam dobiec do jakiegoś zagajnika, gdy Rosjanie zaczęli bić z armat. Miałam wrażenie, że to do mnie strzelają, więc upadłam na ziemię i zaczęłam się czołgać gdzieś przed siebie, byle dalej, tak jak nas uczyli na zbiórkach. Kiedy natknęłam się na jakiś dół, wlałam tam i się nie ruszałam. Słyszałam tylko tę straszną kanonadę, te wybuchy i terkot karabinów, to z jednej, to z drugiej strony. Kiedy się trochę uspokoiło, wylazłam z dołu i chciałam wrócić do domu, i wtedy... i wtedy... – głos jej się załamał.

– Czy ktoś ci zrobił krzywdę, córeńko? – drżącym głosem spytał Leopold i poczuł

okropny ból w klatce piersiowej, jakby ktoś przypalał go rozpalonym żelazem.

– Mnie nie – odparła Daria przez łyzy. – Zaraz za lasem pojawiła się sotnia kozacka i schwytała skauta jadącego rowerem z meldunkiem. To był Franek z naszej kieleckiej drużyny. Nie chciał zdradzić, skąd i dokąd jechał. Zarzucili sznur na gałąź, założyli Frankowi pętlę na szyję i postawili go na koniu. Wiedział, że to jego ostatnia minuta, a jeszcze miał siłę, aby ich zwymyślać. Kozak klepnął konia po zadzie i... – Reszta zdania nie mogła jej przejść przez gardło. – Ja bym nie potrafiła się tak dzielnie zachować. Wczołgałam się pomiędzy krzaki i nie śmiałam ruszyć do rana – zakończyła swoją opowieść, jeszcze wówczas nie wiedząc, że kiedy nadejdzie dla niej czas próby, zachowa się jak należy.

Jeszcze tego samego dnia Leopold i Liza udali się do sztabu generała Nowikowa. Przedstawili się jako lojalni poddani cara i poprosili o pomoc w dostaniu się do Sankt Petersburga, dokąd dwa tygodnie temu udał się cały zarząd guberni. Na dowód, że i oni mieli wówczas wyjechać, Leopold Rawecki przedstawił stosowne dokumenty. Mając przed sobą rodowitą Rosjankę i komisarza do spraw włościańskich urzędu gubernialnego w Kielcach, adiutant generała obiecał Raweckim udzielić daleko idącej pomocy. Spakowali się błyskawicznie. To, co nie zmieściło się w kufrach, Leopold spieniżył, mając przekonanie, że Żydzi wykorzystali jego trudną sytuację i kupili wszystko za bezcen, zasłaniając się brakiem gotówki, którą wydali, aby opłacić narzuconą na miasto kontrybucję. Reszta na czas wojny musiała pozostać w Kielcach. Leopold spoglądał na bezradne miny służącej i kucharki, które nagle miały zostać w domu swych państwa zupełnie same, zdane jedynie na siebie i zobowiązane do pilnowania resztek dobytku, choć wiele tego nie zostało. Przyszło mu na myśl, że one pierwsze dokonają rabunku, jak tylko za państwem zamkną się drzwi, ale innego wyjścia nie miał. Za zgodą generała Nowikowa Raweckim przydzielono podwodę wraz z eskortą w postaci dwóch kozaków, która odwiozła ich do Warszawy. A tam wraz z kuframi załadowano ich do pociągu jadącego do Sankt Petersburga, który jawił się Lizie jako oaza spokoju i szczęśliwości. Wkrótce miała się przekonać, jak duży popełniła błąd.

**Część trzecia**

**Ofiary są nieważne, liczy się tylko zwycięstwo**

## Rozdział 21

Sierpień tego roku, roku, w którym państwa europejskie, zarzekając się, że nie chcą wojny, wojnę ochoczo rozpoczęły, był wyjątkowo upalny. Jak zawsze, kiedy toczy się wojna, lata bywają upalne, a zimy mroźnie i śnieżne. Jakby ludziom mało było jednego nieszczęścia, Natura jeszcze im dokłada.

W pięknych promieniach słońca gruntowymi drogami, bo w zasadzie innych nie było, od strony Ostrołęki ku granicy z Prusami płynął szeroki strumień dziesiątek tysięcy rosyjskich żołnierzy. Zdawało się, że ta ludzka lawa nie miała końca. Szurając buciorami, wzbijali pył, który drapał ich w gardła, osiadał na mundurach w maskującym szarozielonym kolorze. Ledwo jedni zdążyli zniknąć za zakrętem, już wylewał się potok następnych, dźwigających na grzbiecie pełen ekwipunek w postaci toreb na rzeczy osobiste, karabinów, bagnatów, menażek, chlebaków czy przewieszonych przez ramię zwiniętych w rulon płaszczy i pałatek. Wraz z piechotą parły do przodu konie, ciągnąc na lawetach armaty, najdoskonalszą śmierć początku XX wieku, oraz taczanki, na których spoczywały karabiny maszynowe, potrafiące na odległość odebrać ludzkie życie. Głośny tętent tysięcy końskich kopyt towarzyszył oddziałom kawalerii – dragonom, ułanom i kozakom – zmierzającym w tym samym co reszta wojsk kierunku: ku Prusom Wschodnim. Mijała godzina za godziną, kilometr za kilometrem, a nikt nie zarządzał postoju, aby dać obolałym żołnierskim nogom odpocząć. Jak mówiono, czas ich naglił, aby mogli niespodziewanie wkroczyć na terytorium wroga. Tego domagała się sojusznicza Francja, usiłująca wraz z brytyjskim korpusem ekspedycyjnym powstrzymać pracę do przodu wojska niemieckie. Niespodziewany atak Rosjan na Prusy Wschodnie miał zmusić Niemców do podziału swych sił, co mogło uratować Paryż przed sromotną klęską.

Igor Piotrowicz Kaledin, podobnie jak reszta dragonów, wkrótce po dotarciu do koszar w Ostrołęce musiał się pozbyć swego pięknego munduru, z którego był tak dumny, a który wyraźnie odróżniał jego pułk od pozostałych dragońskich pułków, nie tylko kolorem, ale także krojem kurtki mundurowej i ilością guzików przy niej, kolorem pióropusza przy hełmie, kształtem zimowej czapki, a nawet kształtem i kolorem wypustek przy naramiennikach. W zamian żołnierze napływający do punktu mobilizacyjnego kompanii dostali umundurowanie w szarozielonym, maskującym, jak mówiono, kolorze, jednakowym dla wszystkich formacji. Różnice w umundurowaniu pomiędzy oficerami a podoficerami i szeregowcami były niewielkie i w zasadzie sprowadzały się do kroju kurtki mundurowej i ilości kieszeni oraz koloru naramienników. Pas z szelkami, kabura, pokrowiec na lornetkę, torba polowa, manierka, rękawiczki, szaszka oraz rewolwer ze smyczą pozostały dla oficerów bez zmian. Także karabin dragoński nadal był krótszy niż w piechocie, noszony przez lewe ramię w odróżnieniu od kozaków. Wraz ze zmianą munduru Kaledin starał się wyrzucić z pamięci Katarzynę. W życiu bywają chwile, kiedy trzeba zmusić serce do milczenia i słuchać głosu rozsądku, powtarzał w myślach jedną z zasad kodeksu carskiego oficera. Na nic jednak to się zdało. Ukryta w kieszonce na piersiach zamknięta w srebrnym medalionie fotografia Katarzyny parzyła niczym ogień, przypominając o istnieniu dziewczyny i jej zdradzie. Jednak na wyrzucenie zdjęcia się nie zdecydował. Nie było dnia, aby nie spojrzeć na nie choć raz. Miłość czyni mężczyznę bezbronnym, myślał za każdym razem.

Szwadron Kaledina został włączony do dywizji kawalerii XV Korpusu wchodzącego w skład 2. Armii, na której czele stanął generał Aleksander Samsonow. Igor swój nowy przydział wojskowy przyjął z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony generał był dobrym znajomym



starego Kaledina, którego po zamachu bombowym zastąpił na stanowisku szefa sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Stwarzało to dla Igora korzystną sytuację, bo mógł liczyć na szybki awans i szczególne traktowanie. To właśnie osobiste sympatie i rodzinne koligacje stanowiły w carskim aparacie władzy przepustkę do kariery. Zdolności, pracowitość czy zasługi zawsze były na drugim planie. Z drugiej jednak strony generał ostatnimi laty zajmował się robotą papierkową, a w całej swojej karierze dowodził najwyżej dywizją. Jakby tego było mało, chorował na serce i do koszar ściągnięto go wprost z sanatorium. Mimo to, kiedy czekano na przybycie generała Samsonowa, większość oficerów pewna była zwycięstwa. Zastanawiano się nawet nad spakowaniem galowych mundurów, w które będą mogli się ubrać podczas defilady zwycięstwa w Berlinie.

Kaledin także podzielał ich optymizm, chociaż czas płynął, a Samsonow się spóźniał. W oczekiwaniu na głównodowodzącego reszta oficerów skracala sobie czas grą w karty i pić alkoholu. Kiedy w końcu wszystkie dywizje 2. Armii otrzymały rozkazy wymarszu i wyruszyły w kierunku granicy z Niemcami, okazało się, że także służby kwatermistrzowskie się spóźniały, nie tylko generał, i dla żołnierzy po drodze zabrakło chleba, a dla koni owsa.

Gdy armia rosyjska przekroczyła granicę, sytuacja uległa pogorszeniu, choć nigdzie nie napotykali najmniejszego oporu. Żołnierze jednak znaleźli się w świecie odmiennym od tego, który znali. Solidne niemieckie tory nie nadawały się do użytku przez inny rozstaw osi wagonów. To, co niegdyś miało chronić Rosję przed inwazją wroga, teraz utrudniało atak. Wkrótce wyszło na jaw, że wycofująca się armia niemiecka opróżniła magazyny z żywnością, a także wywiozła w głąb Niemiec konie i bydło, aby nie wpadły w łapy najeźdźcy. Nawet zboże z pól zdążyli zebrać i wywieźć. Koła ciężkich armat grzęzły w sypkim piasku na drogach, których Niemcy celowo nie utwardzili z uwagi na rejon przygraniczny. Całkowicie obcy teren, pełen jezior, pagórków i rozległych lasów, przez który przemieszczały się korpusy, nadmiernie rozciągnięte, pozbawione łączności, stanowił dla Rosjan trudną do pokonania przeszkodę. W przeciwieństwie do oddziałów niemieckich, które stacjonowały na tych ziemiach na długo przed wojną. Oni byli u siebie. Wycofując się, spalili wszystkie drogowskazy, aby pozbawić najeźdźców orientacji w terenie i skazać na poruszanie się po omacku.

Mimo tych trudności do generała Samsonowa docierały same dobre wiadomości. Najpierw, że dowódca 1. Armii generał Rennenkampf odniósł wspaniałe zwycięstwo pod Gąbinem, zmuszając Niemców do ucieczki. Później nadeszła informacja o wycofaniu się Niemców z Nidzicy i okolic, co oznaczało, że oddadzą te tereny bez walki. Gdy tylko XV Korpus, dowodzony przez generała Martosa dotarł do rogatek miasteczka, oddział kozaków ruszył na rekonesans. Po drodze schwytali grupkę wieśniaków, których najpierw ograbili, później pobili, a na koniec ich domostwa puścili z dymem. Chwilę później wpadli na nidzicki rynek, pełen furmanek i straganów. Mieszkańcy z krzykiem rzucili się do ucieczki. Kozacy w biegu strzelali z pistoletów do okien i ludzi, pikami wybijali szyby. Gdy okrążyli plac i zabrali się do rozbierania torów kolejowych, niespodziewanie z bocznej uliczki wyjechał ku nim oddział uzbrojonych cyklistów. Wywiązała się strzelanina, której kozacy woleli nie kontynuować pomiędzy wąskimi uliczkami obcego sobie miasta. Nie znali także liczebności wroga. Wskoczyli na konie i uciekli.

Meldując o incydencie, zasugerowali, że w mieście może stacjonować wojsko, wspierane na dodatek przez wrogo nastawioną ludność cywilną. Dając wiarę ich mocno przesadzonym opowieściom, generał Martos wpadł we wściekłość.

– Spuścić na tę dziurę po sto granatów za każde nasze miasto ostrzelane przez Niemców! – rozkazał, mając na myśli Częstochowę, Kalisz i Janowo, które w pierwszych dniach wojny stały się ofiarami niemieckiej brutalności.

Gdy umilkł artyleryjski ostrzał i opadły chmury pyłu i kurzu, pluton dowodzony przez Kaledina wkroczył do miasta, a w zasadzie do tego, co z niego zostało. Już z daleka przywitał ich swąd spalenizny, a widok, jaki się ukazał oczom Igora, miał pozostać w jego pamięci do końca życia. Po raz pierwszy w czasie tej wojny ujrzał zniszczenia, których był autorem, chociaż nie bezpośrednio, i powoli zaczynało do niego docierać, jak naiwne było jego wyobrażenie o wojnie, gdy godzinami ćwiczył ze swoimi dragonami musztrę, fechtunek czy nawet walkę wręcz. Nie miała w sobie nic z romantyzmu. Już na peryferiach miasta żołnierze natknęli się na płonące trafione bombami budynki. W centrum niektóre pożary dogasały, ale od strony zburzonych domów snuł się po ziemi gęsty, gryzący w oczy dym. Kawalkada koni, stukając kopytami o kamienny bruk, wjechała na rynek. I tutaj znać było siłę rosyjskiej artylerii. Otaczające rozległy plac kamienice zionęły okopconymi otworami pustych już, pozbawionych szyb okien. Pękające pod wpływem wysokiej temperatury szkło zaścielało wszystko wokół, chrzęszcząc pod końskimi kopytami. Z niektórych budynków pozostały jedynie frontowe ściany i sterczące ku niebu kominy. W innych dachy zapadły się do środka. Choć już nigdzie nie było widać otwartego ognia, zewsząd buchał żar, potęgując spiekotę dnia. Dziwnym trafem zachował się stojący w samym centrum pomnik ku czci poległych w wojnie z Francją, przedstawiający dzielnego żołnierza pruskiego z karabinem w dłoni. Jedna z bomb unicestwiła wieżę ratusza i pozbawiła budynek szyb. Zamiast dorodnych lip, które przez lata ocieniały chodniki, sterczały jedynie dymiące kikuty.

Jakby celowo pociski i granaty oszczędziły także stojący w rynku tuż obok ratusza dwupiętrowy hotel Neureiter, z dachem ozdobionym dwoma kopułami na kształt hełmów. To w nim przygotowano kwaterę dla generała Samsonowa, który za dwa dni zajął ze swoim licznym sztabem, a wraz z nim dotarły wozy zawierające wszystko, co niezbędne do dowodzenia armią. Ledwo generał wygramolił się ze swego samochodu, a już jeden z oficerów przybiegł z meldunkiem.

– *Gospadin gieniera!* – Wyprężył sylwetkę. – Melduję uniżenie, że kwatera dla waszej ekscelencji już przygotowana, posiłek także. A pożary pomalutko dogaszamy.

Chwalił się nieco na wyrost, bo choć żołnierzy posłał, to wody do gaszenia ognia zabrakło. O fakcie, że podwozy z żywnością dla wojska gdzieś po drodze utknęły, wolał nie meldować, aby nie narazić się na gniew zwierzchnika.

– Melduję, że powierzone mi zadania zostały wykonane! – Przed wąsate oblicze Samsonowa wysunął się pułkownik Dovatour, którego generał mianował komendantem wojskowym Nidzicy jeszcze przed wkroczeniem wojska do miasteczka. – Urządzenia do telegrafu dowieziono i łączność już działa, policja zorganizowana, budynek szpitala na szczęście ocalał, więc został zarekwirowany... – meldował jednym tchem, aby się wykazać.

– A niemieccy ranni? – z nutką niepokoju w głosie spytał generał. Nie zaliczał się do osób mściwych czy bezwzględnych. Wojna to wojna, ale jakieś zasady muszą przecież obowiązywać, pomyślał.

– Przejeliśmy szpital wraz z rannymi i lekarzami – relacjonował dalej Dovatour. – Zarekwirowałem także środki transportu.

Na samym końcu, sapiąc ze strachu i przejęcia, zameldował się niemiecki burmistrz. Mieszkańcy, którzy wcześniej z miasteczka nie uciekli, na wszelki wypadek pozostali w ukryciu. Jeszcze Samsonow nie zdążył dojść do hotelu, gdy zauważył porucznika Kaledina, wydającego dyspozycje swoim dragonom.

– Igor! Pójdź w me ramiona, chłopcze! – zawołał ucieszony ze spotkania bliskiej sobie osoby. Z większością swych oficerów nigdy wcześniej się nie zetknął, a mieli razem prowadzić trudną kampanię wojenną. – No to opowiadaj. Jak tam podoba ci się wojowanie? Bo to chyba

twój chrzest bojowy, o ile się nie mylę? – wypytywał, wsparłszy się na ramieniu Kaledina, gdy wchodzili po schodkach do hotelu.

– Niestety, ekscelencjo. Mam wrażenie, że zanadto się nie nawojuję – odparł, puszczając generała przodem.

Z miejsca ogarnął ich przyjemny chłód, szczególnie pożądanym z uwagi na panujący na dworze skwar, który wszystkim dawał się we znaki. W sali na pierwszym piętrze na rozstawionych pośrodku stołach już przygotowano wystawny obiad. Zupy, pieczone i warzywa podano na srebrnych nakryciach, a wino lano do złotych pucharów ozdobionych herbami. Usługiwali hotelowi kelnerzy. Wcześniej na sobie musieli sprawdzić, czy do przygotowanych dla Rosjan potraw nikt nie dodał trucizny. Kosztowali z duszą na ramieniu. Generał zgodnie z tradycją, zanim zabrał się do jedzenia, najpierw trzema palcami nakreślił na piersiach znak krzyża, ale od swych podkomendnych takich oznak religijności nie wymagał. Na jego prośbę, będącą przecież rozkazem, Kaledin dostąpił zaszczytu i zajął miejsce po lewej ręce swego dowódcy. Był to wyraźny znak dla generała Martosa, że za kampanię wschodniopruską, choć jeszcze nie dobiegła końca, należy tego dzielnego młodego dragona awansować lub chociaż nagrodzić medalem. Chyba że zdąży polec chwalebnie, zanim działania dobiegną końca.

– Co miałeś, chłopcze, na myśli, mówiąc, że się nie nawojujesz? – Generał wrócił do swego pytania, zerkając na Kaledina spod oka. Przecież wojna dopiero się zaczęła.

– W tej wojnie kawaleria służy w zasadzie do zwiadu w terenie i rozpoznania przeciwnika – relacjonował swoje pierwsze zadania. – Ciężar walki spoczywa na artylerii i piechocie. Jak tak dalej pójdzie, wojna lada moment się skończy, a ja wrócę do koszar bez medali – dodał odrobinę żartobliwie.

Tę w pół służbową pogawędkę przerywali raz po raz oficerowie łącznikowi, składając generałowi niepokojące meldunki o kolejnych starciach. Choć Rosjanie posiadali znaczną przewagę liczebną, Niemcy radzili sobie nadzwyczaj dobrze.

– Lepiej wrócić żywym bez medali niż martwym z medalami – oznajmił z odrobiną sarkazmu generał, machnąwszy ręką na kelnera, aby dołożył mu pieczonego. – Jednak ja nie mam w sobie tyle optymizmu co ty, drogi Igorze. – Rzucił okiem na siedzące przy stole towarzystwo, ale wypity alkohol już zdążył niektórym zasumieć w głowach i gwar zagłuszał szczegóły rozmowy. – Z mojego punktu widzenia wszystko idzie jak po grudzie. Nikołasza, to jest książe Mikołaj Mikołajewicz – poprawił się natychmiast, choć wszyscy oficerowie w armii tak właśnie mówili na powszechnie lubianego carskiego stryja, który pełnił funkcję wodza naczelnego – rozkazał zacząć ofensywę, choć mobilizacja jeszcze nie dobiegła końca. Moi generałowie nie mają rozeznania w siłach, którymi na tym terenie dysponuje nieprzyjaciel. Nie mamy dobrej łączności między sobą, a także ze Sztabem Głównym. Zaszifrowane rozkazy Nikołaszy najpierw są przesyłane do Warszawy. Tam są rozszyfrowywane i przez kurierów dostarczane do dowódców armii. Droga powrotna taka sama, a czas leci. Jakby tego było mało, szyfranci raz po raz gubią szyfry i muszą pisać otwartym tekstem. Mam też pewne podejrzenia, że nie wszyscy kurierzy z rozkazami operacyjnymi docierają na miejsce. Może wpadają w ręce wroga wraz z meldunkami? Ale to nie wszystko. – Przerwał na moment i poprosił kelnera, aby dołał wina jemu i Kaledinowi. – Czy wiesz, z kim ten żywy trup, dowódca frontu generał Jakow Żyliński, kazał mi prowadzić tę kampanię? – spytał po chwili, wbijając pytające spojrzenie w Igora.

– *Konieczno*. Oczywiście, ekscelencjo, że wiem – odparł Igor, lekko unosząc się z krzesła, ale generał chwycił go za ramię i osadził na miejscu. – 1. Armia – Igor zdecydował się na szczerą odpowiedź – dowodzi generał Rennenkampf. Sądząc po nazwisku, jest z pochodzenia Niemcem. Ja nie miałbym zaufania. *Cziort jego znajet* – szepnął, nachylając się do ucha generała.

Kaledin nie był osamotniony w swej opinii. W armii carskiej służyło wielu oficerów mających niemieckie korzenie. Kiedy wybuchła wojna, na dworze zaczęto przebąkiwać, że nie będą przykładać się do walki ze swoimi. Zbyt głośno tematu nie poruszano, bo rodzina carska także miała w swych żyłach sporo germańskiej krwi. Z tego też powodu wkrótce przechrzczono Sankt Petersburg na rosyjsko brzmiący Piotrogród.

– Otóż to – potwierdził Samsonow i podkreśliwszy wąsa, spojrzał z uznaniem na Kaledina. Jeszcze będą z tego chłopca ludzie, pomyślał. – Tak, to Rennenkampf! Ta swołocz we własnej spasionej osobie, z tymi obwisłymi po pas wąsami, które zawsze macza w zupie! Ten tchórz, który pod Mukdenem nie przyszedł mi z pomocą i bitwę przegrałem. Ale za to dostał wówczas ode mnie po mordzie! – Samsonow zarechotał, przypominając sobie awanturę sprzed lat, o której było głośno nie tylko w sztabie. – On tylko potrafi wydawać rozkazy jeden za drugim, nie bacząc, że wykonywa się je krwią i trudem żołnierskim. I teraz, w tej operacji, mamy poprowadzić symultaniczne uderzenie. A co będzie, jeśli ten pomiot niemieckich junkrów znowu nie przyjdzie nam z pomocą? – spytał w zasadzie retorycznie, nie oczekując od Kaledina odpowiedzi. – Niepokoją mnie też te liczne jeziora. Nie dość, że rozdzielają moją armię od armii Rennenkampfa, przez co nie mamy ze sobą łączności, to w razie konieczności odwrotu przedostanie się pomiędzy nimi może być problematyczne – zakończył grobowym tonem. Nie wiedział, że tymi słowami wywołał wilka z lasu.

Po trwającym do wieczora obiedzie Kaledin wyszedł na zewnątrz, aby zapalić papierosa. Już po chwili z sąsiedniej uliczki dobiegły go podniesione głosy. Gdy dotarł na miejsce, jego oczom ukazał się długi szpaler kozaków stojących naprzeciwko siebie. Pomiędzy nimi obnażony do pasa, z rękoma związanymi za plecami, krok za krokiem szedł ich kolega. Na jego plecy spadały razy wymierzane nahajką.

– Co tak słabo bijesz, swołocz! – nadzorujący tę egzekucję wachmistrz wrzasnął do żołnierza, który z litości markował uderzenie. – Siły w rękach nie masz?! A może chcesz zająć jego miejsce?!

– Co się tutaj wyprawia? – spytał Igor, zaskoczony barbarzyńskim widokiem. Dopiero po chwili sobie uprzytomnił, że w armii wciąż obowiązywała kara chłosty, choć od wielu lat jej wymiar nie mógł przekraczać dwustu batów. Zbyt często kara kończyła się śmiercią skazanego.

– Melduję posłusznie, *wasze blagorodie* – wachmistrz wyprężył pierś i na moment przestał odliczać razy; był już przy dziesiątym – że karę chłosty wymierzam.

– *No ładno. A za chto?* – Kaledin w swojej karierze wojskowej ani razu nie posunął się do takiego sposobu dyscyplinowania swoich dragonów. Najwyżej dał od czasu do czasu w mordę, jak który podkomendny zasłużył.

– Ukradł butelkę wódki, wasza wielmożność – odparł krótko wachmistrz i wrócił do liczenia razów.

Rozlokowani na ulicach, pomiędzy gruzami czy na skwerach żołnierze siedzieli zmęczeni i markotni. Z dobiegających go fragmentów rozmów, które toczyli między sobą, Kaledin wywnioskował, że od rana nic nie jedli. Ponoć tabory wiozące mąkę na chleb gdzieś po drodze utknęły. Zarekwirowano więc mąkę z miejscowego młyna i kwatermistrz obiecał, że rano będzie chleb. Niemcy upieką. Poczul się nieswojo, przypomniawszy sobie, jak wiele godzin żołnierze maszerowali w słońcu i skwarze bez odpoczynku, jak w pocie czoła bombardowali miasto, a w zamian nie dostali nawet kawałka chleba. Spożyty dopiero co wystawny obiad podszedł mu do gardła. Kwatermistrza powinno się postawić pod sąd i rozstrzelać, pomyślał, zaciskając szczęki ze złości. Nie on jednak decydował.

## Rozdział 22

Wczesnym rankiem XV Korpus generała Martosa wznowił marsz w kierunku północno-zachodnim, choć żołnierze byli zbyt zmęczeni forsownym pochodem w ostatnich dniach, zbyt głodni z powodu braku chleba i zbyt mało zaprawieni w boju, bo większość z nich dopiero co powołano do armii. Ale rozkaz to rozkaz. Generał nie nawykł do odmawiania zwierzchności. Celem było zajęcie terytorium wroga, aby odciąć drogę ucieczki wycofującym się oddziałom niemieckim przed nacierającym, jak mniemał Samsonow, generałem Rennenkampffem. Niemcy wzięci w dwa ognie rosyjskiej artylerii, jazdy i piechoty powinni zostać pobici bez problemów. Teren zdawał się ku temu dogodny – płaski jak stół, mało zalesiony, o rozległych polach ciągnących się po sam horyzont, zamknięty dwoma niewielkimi wzgórzami. Jednego wszak generał nie wziął pod uwagę. Że do obrony tego terytorium, zdawałoby się: bez większego znaczenia militarnego, Niemcy wystawili co prawda mało liczne jednostki, ale za to doborowych strzelców – jegrów – wywodzących się z miejscowej ludności, znających te tereny jak własną kieszeń i kochających tę ziemię niczym własną matkę, gotowych walczyć o nią do ostatniej kropli krwi, jak Grecy pod Termopilami. Informacja o maszerującym wojsku rosyjskim lotem błyskawicy dotarła do mieszkańców okolicznych wsi, którzy w panice opuścili swoje domostwa, zaś jegrzy okopali się na z góry upatrzonych pozycjach.

Atak rozpoczął się godzinnym ostrzałem artyleryjskim, skierowanym na pozycje niemieckie. Huk armatnich salw niósł się echem poprzez pola, stanowiąc jedynie preludium do mającej się rozegrać bitwy, w której rolę orkiestry odegrały terkoczące karabiny maszynowe. Kruki i wrony ze strachu z głośnym krakaniem pofrunęły gdzieś w dal, aby spokojnie doczekać chwili, kiedy będą mogły powrócić na ucztę. Białe obłoki do tej pory leniwie płynące po niebie zdrząły przerażone i rozbiegły się na wszystkie strony, jakby chciały znaleźć dla siebie bezpieczną przystań gdzieś w przestworzach. Ich miejsce zajęły szrapnele, które z wyciem i świstem mknęły po niebie niczym chmury burzowe brzemienne w zabójczy metalowy grad. Kule karabinowe na kształt świergotliwego stada wróbla latały od jednej pozycji do drugiej, chciwie szukając dla siebie ofiar wśród obsługi baterii czy pociągowych artyleryjskich koni. Niektóre budynki już po chwili stanęły w ogniu, podsycanym przez żar lejący się z nieba. W powietrzu fruwały skrwawione fragmenty ludzkich ciał, rozrywanych przez pociski, dziurawionych jak sito przez szrapnele. Wokoło rozlegały się jęki rannych i głośne prośby o dobitcie, wołanie o ratunek i rżenie umierających, ale wszechobecna kanonada zagłuszała wszystko.

Ledwie umilkły armaty, dał się słyszeć głuchy tętent setek końskich kopyt i po chwili z lasu wypadła rosyjska kawaleria. Ścierniska i zielone łąki zaczęły się setkami dragonów i kozaków. Z miejsca otoczyła ich chmura pyłu i kurzu. Jedni z szabłami uniesionymi w górę, inni pochyleni w siodłach, zniżywszy lance w pół ucha końskiego, galopowali na stanowiska wroga, mając rozkaz wziąć je szturmem. Po chwili szereg od szeregu oddalił się o pięćdziesiąt metrów. Wydawało się niemożliwością, aby ktokolwiek żywy jeszcze w okopach się ostał. Ku zaskoczeniu jeźdźców, gdy znaleźli się odpowiednio blisko, rozległ się terkot niemieckich karabinów maszynowych. Zakotłowało się wśród jeźdźców. Pierwszą linią konnicy rozsypała się jak rozerwany sznur koralu. Rozległ się rozpaczliwy kwik trafionych wierzchowców, a z siodeł spadali, jeden po drugim, pierwsi zabici i ranni. Konie, które cudem uszły z życiem, uwolnione od ciężaru jeźdźców, siłą rozpędu gnały dalej przed siebie, inne zawracały, tratując leżące na ziemi ciała. Następny szereg jazdy jeszcze parł do przodu, jeszcze jeźdźcy liczyli, że leżąc na

końskich grzbietach i poganiając wierzchowce ostrogami, zdążą dopaść okopów, zanim osiągną ich niemieckie kule. Nie zdążyli. Terkoczące hałaśliwie karabiny maszynowe, zmiatały z pola walki jeźdźców wraz z ich wierzchowcami. Kolejne ciała zaścieliły zielone łąki, zamieniając je w czerwony dywan. Zdziesiątkowana kawaleria musiała wycofać się z pola walki.

Ale już z rosyjskich okopów dały się słyszeć werble. Uformowane w tyralierę mrowie piechurów z karabinami w rękach ruszyło szeroką na setki metrów ławą. Za nimi posuwały się kolumny wojska, gotowe w każdej chwili ruszyć do ataku na wroga. Trąbka zagrała sygnał: „Bagnet na broń! Do ataku!”. Skryci w okopach jeźdźcy potrafili liczyć. Wobec tej ogromnej masy armatniego mięsa ich szanse nie były zbyt wielkie. Musieli działać z rozwagą, aby drogo sprzedać swoją skórę. Bo na zwycięstwo nie liczyli. Czekali cierpliwie, aż tysiące rosyjskich piechurów podejść na tyle blisko, aby mogli pośród nich wyłowić oficerów, mózgi kierujące szarozieloną bezwolną masą, i powystrzelać ich niczym kaczki na polowaniu. Zanim szeregowcy się zorientowali, że już nikt nie wydaje im rozkazów, po raz kolejny rozległo się terkotanie karabinów maszynowych. Tra-ta-ta, tra-ta-ta, tra-ta-ta, tra-ta-ta. Ci, co nie padli, usiłowali uciekać z powrotem, ale już szli następni z karabinami gotowymi do strzału. Jak u smoka, któremu w miejsce jednej odciętej odrastają dwie głowy, tak na polu walki pojawiały się kolejne kolumny, zastępując poległych towarzyszy, jakby siły rosyjskie były niewyczerpane. Trąbka znowu grała sygnał: „Bagnet na broń!”. Soldaci okopywali się na przedpolu, ryjąc łopatkami w ziemi niczym krety, aby tylko mieć dla siebie jakiegokolwiek schronienie przed kulami przeciwnika. Nagle od strony niemieckich okopów nadleciały szrapnele. Wybuchając z hukiem, szatkowały pierwsze szeregi nacierających Rosjan, jednak nie były w stanie zatrzymać tej żywej lawy. Na polu jak okiem sięgnąć poniewierały się fragmenty ludzkich zwłok – a to noga czy ręka, to znowu tułów bez kończyn czy wypatroszone, zalane krwią, drgające jeszcze bólem ciała. Mdły zapach krwi unosił się nad kłębowiskiem, wciskał w nozdrza i dławił oddech. Krzyki rannych mieszały się z rżeniem umierających i złowrogim szczekaniem karabinów.

– Jezu! Matko Boska!

– Ludzie, ratujcie!

– Wody... Dajcie mi wody...

– Dobijcie mnie! Na litość boską, niech mnie ktoś dobije!

– Mamo, mamusiu, ratuj mnie... ja umieram...

Żywi z uporem posuwali się metr po metrze w stronę pozycji nieprzyjaciela. Dla dowódców cena, jaką płacili za każdą piędź zdobytej ziemi wroga, nie miała wielkiego znaczenia. Rezerwuar rekruta wydawał się nie mieć dna.

Żadna ze stron nie czuła zmęczenia, żadna ze stron nie miała zamiaru ustąpić. To był przecież dla nich dopiero początek wojny, choć od jej wypowiedzenia minęło już dwadzieścia trzy dni, i obydwie strony były żądne krwi i sukcesu. Ogień pożarów, trawiących okoliczne domostwa i stogi siana, dokładał się do żaru lejącego się z nieba. Dopiero nadejście ciemnej i parnej nocy, choć na krótko, rozdzieliło walczących nieprzyjaciół.

Lufy armatnie polewano wodą, aby je ostudzić, czyszczono z piasku karabiny, szykując się do ostatecznej rozprawy. W ciemnościach zbierano z pola rannych, głównie tych, którzy głośno jęczyli, prosząc o wodę, ratunek lub rychłą śmierć. Reszta konała w ciemnościach nocy. Kostucha z kosą jeszcze nie miała zamiaru opuścić pola bitwy, jeszcze zbierała swoje śmiertelne żniwo. Dopiero w jej objęciach zarówno obrońcy, jak i atakujący godzili się ze sobą na wieczne czasy.

Świt rozsnął nad polami welon gęstej jak mleko mgły, co wykorzystali Niemcy, aby wycofać z walki resztki swych żołnierzy. Lecz na jednym ze wzgórz pozostali ci, którzy postanowili walczyć do ostatniej kropli krwi. Przeciwno nim posłano szwadron Kaledina.

Dragoni błyskawicznie otoczyli wzgórze i przystąpili do ataku. Niemiecki karabin maszynowy nie był w stanie zatrzymać setki żołnierzy, którzy niczym robactwo rozbiegli się wokoło i parli pod górę. Już wkrótce wdarli się na sam szczyt i wrogowie stanęli naprzeciwko siebie. W ruch poszły szable, bagnety, kolby i pistolety. Zewsząd dochodził szczeł stali, głuchy dźwięk szabel, gdy natrafiły na kość, i krzyki rannych z obciętymi rękoma czy rozplatanymi brzuchami, a ciche słowa modlitwy szeptanej przez konających mieszały się z ordynarnymi przekleństwami nadal walczących. Gdzieniegdzie rozlegał się huk pojedynczego wystrzału. Na koniec skoczyli sobie do gardeł, mordując się gołymi rękoma. Czasami pośród walczących dał się słyszeć stłumiony jęk konającej piersi, charkot gardła, duszonego drapieżną dłonią, i krzyk przedśmiertnej trwogi. A nad nimi unosiły się setki rżących oddechów.

W pewnym momencie Kaledin, ocierając upapraną w krwi ręką pot zalewający mu oczy, ujrzał dziwny obrazek, nietypowy jak na pole walki. Otóż jeden z jego dragonów, sierżant Iwan Druto, dzieliwszy jakiegoś jegra kolbą w łeb tak mocno, że karabin złamał się na pół, nie mając już czym walczyć, drugiego chwycił za szyję. Ale zamiast swoimi mocarnymi łapskami, nawykłymi do takiej roboty, go udusić, puścił nagle i po chwili obaj z płaczem padli sobie w ramiona. Nie zastanawiając się nad przyczynami tego niezrozumiałego zachowania, Kaledin wziął zamach szaszka, aby rozplatać Niemcowi łeb. W tym momencie poczuł tępe uderzenie w pierś, potoczył się w tył, stracił równowagę i wpadł do płytkiego okopu. Po chwili coś okropnie ciężkiego i twardego spadło mu głowę. Zdążył jedynie pomyśleć: „*Gospodi spasi*”, i pomknął w głąb czarnej otchłani.

## Rozdział 23

Kiedy do świadomości Stefana Kobierskiego w pełni dotarło znaczenie słów wypowiedzianych przez Katarzynę, zerwał się jak oparzony i nie patrząc, że był w szlafroku i piżamie, wybiegł z pokoju. Katarzyna wtuliła twarz w poduszkę i zanosła się szlochem. Płakała prawie do rana, aż w końcu całkiem zabrakło jej łez. Wstała o świcie i spakowała swoje drobiazgi do podręcznej torby. Dalsza podróż ze Stefanem, po tym, co mu powiedziała, nie wchodziła w grę. Być może czekał gdzieś, aż ona opuści pokój hotelowy, nie mając zamiaru w ogóle z nią rozmawiać. Musiał nią gardzić i jednocześnie jej nienawidzić. Usiadła na brzegu łóżka i biła się z myślami. Trudno, wróć do Miechowa, przyszło jej do głowy w pierwszej chwili. Niech mnie ludzie wytykają palcami. Wytrzymam. Ale rodzice pewno mnie nie zechcą przyjąć z powrotem, zwątpiła po chwili. Może pojedę do dziadków do Porętowa. No tak, ale dziadek nie będzie chciał mieszkać pod jednym dachem z bękartem, i to rosyjskim. Pojadę do Kielc. Do cioci Lizy. Ona jest Rosjanką, spojrz na dziecko życzliwiej. Stryj też wypowiadał się o Rosjanach z sympatią. Tak, pojedę do nich, zdecydowała na koniec.

W drzwiach zderzyła się ze Stefanem. Był blady jak kreda, a oczy miał podkrążone. Znać było, że i on nie spał całą noc. Gdy ujrzał przed sobą Katarzynę, z zapuchniętymi od łez oczami, zbolała jak zbity pies, złamaną cierpieniem, zagryzł wargi.

– Musimy porozmawiać – oświadczył schrypniętym głosem. Choć początkowo planował inne rozwiązanie, widząc tę kupkę nieszczęścia, w którą się obróciła, zmienił zdanie. – Jeśli zechcesz odejść, odejdziesz, ale najpierw porozmawiajmy.

– A o czym tu rozmawiać? – odparła, wzruszając ramionami, ale bez oporu pozwoliła, aby Stefan wziął z jej rąk torbę podróżną. Było jej go żal i jednocześnie go nienawidziła, choć nawet się nie zastanawiała dlaczego. Było jej też żal samej siebie. Miała wrażenie, że cały świat zwrócił się przeciwko niej. Jakby ktoś celowo wywołał wojnę, aby ona nie mogła być razem z Igorem.

– Usiądź, proszę. – Stefan podsunął jej krzesło przy stole i sam usiadł naprzeciwko. – Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie.

– Tak? – Katarzyna spojrzała na niego zaciekawiona. Nie miała pojęcia, o co zechce ją zapytać mąż, którego tak haniebnie oszukali jej rodzice. Bo przecież nie ona. Ona nawet nie była z nim minuty sam na sam, aby wyznać mu prawdę. Ojciec o to zadbał, podejrzewając, że córka nie zechce żyć w kłamstwie.

– Dlaczego ojciec twojego dziecka, ten rosyjski dragon, nie chciał się z tobą ożenić? – spytał przez zaciśnięte gardło. – Za twoją krzywdę mogę go wyzwąć na pojedynek. Potrafię strzelać, i to dobrze.

– A kto ci powiedział, że nie chciał? – odparła zaskoczona jego pytaniem, a jeszcze bardziej propozycją zastrzelenia Igora w pojedynku. – Chciał, i to bardzo.

– Ty nie chciałaś? – Takiej odpowiedzi Stefan nie wziął pod uwagę.

– Ja chciałam i Igor chciał... – Głos uwiązł Katarzynie w gardle. Znowu zbierało się jej na płacz. – Rodzice nie dali zgody. Chcieliśmy wziąć ślub potajemnie, ale ojciec zamknął mnie na klucz i nie wypuścił z domu. Nie wiem, co sobie Igor o mnie pomyślał, kiedy nie przyszedł na spotkanie. Pewno zwątpił w moją miłość...

– Jak mógł zwątpić, kiedy nosisz jego dziecko – w głosie Stefana zabrzmiało oburzenie.

– Nie zdążyłam mu o tym powiedzieć. W nocy jego pułk opuścił Miechów i nawet nie wiem, dokąd ich posłali. Pewno na front. – Opuściła głowę na piersi, a łzy potoczyły się jej po



policzkach i kapały na popielatą materię płaszcz.

Każde słowo Katarzyny, świadczące o uczuciu łączącym ją i Igora, raniło serce Stefana. Początkowo myślał, że jakiś oficer zbałamucił naiwną młodą dziewczynę i uciekł przed odpowiedzialnością. Mógłby wówczas bardzo szybko zaskarbić sobie jej miłość. W tej sytuacji nie mógł na to liczyć.

– Skoro tak się sprawy mają – odezwał się po chwili namysłu – mam dla ciebie propozycję. Zaopiekuję się tobą i dzieckiem. Według prawa jestem twoim mężem, a tym samym ojcem dziecka, i nikt oprócz nas nie musi znać całej prawdy. Bywają przedwczesne porody. Pomogę ci wychowywać dziecko, jakby było moje, do czasu aż odnajdziemy Igora.

– Dlaczego chcesz to wszystko dla mnie zrobić? – Katarzyna podniosła na Stefana zapłakane oczy. Po raz pierwszy poczuła do niego coś na kształt sympatii.

– Bo cię kocham – odparł, uciekając spojrzeniem gdzieś w bok, aby Katarzyna nie dostrzegła w jego oczach cierpienia. Nie chciał od niej litości. – Miłość nie polega tylko na braniu, ale także na dawaniu. A ja chcę ci ofiarować swoją przyjaźń. W zamian niczego nie oczekuję. Kiedy uznasz, że poradzisz sobie beze mnie, odejdziesz.

Słowa Stefana zaskoczyły Katarzynę. Nie spodziewała się, że miłość może mieć też takie oblicze, pełne poświęcenia. Nie wiedziała, co powiedzieć, aby nie wyjść na prowincjonalną gęś.

– Dobrze – bąknęła po chwili, czując, że się rumieni. – Niech będzie, jak proponujesz. Pojadę z tobą do Łodzi.

\*

Zanim dotarli na miejsce, mijali po drodze uciekinierów z Kalisza, Częstochowy i innych miejscowości, ludzi, których strach wyganiał z domów. Oddziały niemieckie coraz śmielej zapuszczały się w głąb Królestwa, a żołnierze, nie napotykając mocniejszego oporu, niszczyli łączność, mosty i zwrotnice, rozbierali tory kolejowe i rabowali magazyny. Na drogach tłoczyły się chłopskie furmanki, wyładowane dobytkiem, z krową prowadzoną na sznurku, z psem biegnącym pod wozem, oraz pańskie bryczki i powozy, z kuframi wypełnionymi tym, co najcenniejsze. Sympatia, którą wcześniej wielu miało dla Niemców za ich rzekomą wysoką kulturę, wraz z napływającymi relacjami o barbarzyńskich bombardowaniach, rozstrzeliwaniach i rekwizycjach topniała jak śnieg na wiosnę. Nienawiść, jaką zaczęli wzbudzać, w pewnym stopniu zmniejszyła wrogość, którą do tej pory żywiono do rządu rosyjskiego i jego urzędników.

Katarzyna podróż zносиła fatalnie. Choć woźnica starał się jechać z wycuciem, powozem trzęsło na wyboistych drogach, w wielu miejscach zniszczonych przez ostrzał artyleryjski, i Katarzyna miała wrażenie, że lada moment wylecą z niej wszystkie wnętrzności. Upał wyciskał z niej ostatnie poty, a kurz zalepiał usta. Jeszcze nigdy tylu godzin nie spędziła w podróży. Stefan starał się zapewnić jej maksimum wygody, ale jego troskliwość tylko powodowała większe rozdrażnienie Katarzyny. Marzyła, aby ta podróż wreszcie dobiegła końca, a ona mogła choć na chwilę zamknąć się w czterech ścianach i wypłakać do woli. Na dnie torebki wciąż nosiła fotografię Kaledina, oprawioną w misterne ramki. Dojmującą tęsknotę za nim usiłowała tłumić, tuląc do policzka jego zdjęcie.

Łódź przywitała Kobierskich piękną słoneczną pogodą i zamieszaniem panującym na ulicach. Podobnie jak w Miechowie czy Kielcach, dwa dni po wybuchu wojny urzędnicy carscy zabrali, co się dało, i uciekli. Pierwszy uciekł prezydent Łodzi. Wraz z nimi miasto opuściła policja i carskie wojsko, ale dokąd, tego nikt nie wiedział. Urzędnikom wypłacono pensję za trzy miesiące z góry, rodzinom powołanych do wojska rezerwistów wysuplano z kasy skromny zasiłek, który wobec gwałtownie rosnących cen wystarczył zaledwie na miesiąc. Kasę miejską Rosjanie ponoć wywieźli aż do Moskwy, nie zastanawiając się, jak będzie funkcjonować miasto

pozbawione wszelkich funduszy. Biedota, wykorzystując panujące bezhołowie, rzuciła się na magazyny kolejowe, grabiąc, co popadło. Chaos zapanował również w komunikacji, gdyż wielu pracowników otrzymało karty powołania. Liczne fabryki sukcesywnie zamykały swoje podwoje, zostawiając ludzi bez możliwości zarobku. Kto miał rodzinę na wsi, mógł się czuć uprzywilejowany. Gdyby nie nowo powstały Komitet Obywatelski, w mieście zapanowałby zupełny bałagan. I na ten moment natrafili właśnie Kobierscy.

Mimo to Katarzyna, która poza Miechowem znała jedynie Kielce, z otwartymi ze zdziwienia ustami oglądała liczące prawie pół miliona mieszkańców przemysłowe miasto, zwane Manchesterem Wschodu. Wysokie, kilkupiętrowe kamienice i wspaniałe pałace fabrykantów w niczym nie przypominały niziutkich kamieniczek okalających rynek Miechowa. Główne ulica miasta były wybrukowane, więc powozem przestało kołysać na wszystkie strony, dając Katarzynie odpocząć od męczących ją mdłości. Gdy dzwoniąc przeraźliwie, minął ich elektryczny tramwaj, dziewczyna krzyknęła przerażona. Podobne wrażenie wywarły na niej omnibusy, jak nazwał Stefan olbrzymie wozy zaprzężone w dwa konie, do których wsiadała niezliczona liczba pasażerów. W zdumienie wprawił Katarzynę widok mrowia ludzi na chodnikach, w tym biedoty żydowskiej, ortodoksyjnej, jak mogła wnosić z ubiorów. Wszyscy gdzieś się spieszyli, jedni w tę, drudzy w tamtą stronę, każdy z pakunkami, a pomiędzy nimi biegła dzieciarnia, brudna i często bosa, bo to lato przecież, a buty należało oszczędzać.

– To nasi polscy Żydzi – Stefan objaśniał panujące w mieście stosunki. – Ciemni i niewykształceni, pogrążyli się w strachu przed wojną na równi z polskim drobnomieszczaństwem. Natomiast rosyjscy Żydzi głośno manifestują swoją przychylność wobec Rosji, choć moim zdaniem bardziej mają na myśli naród rosyjski niż rząd. Przecież to carat ograniczał od wieków prawa Żydów, choćby co do miejsca osiedlenia.

– A Niemcy? – zainteresowała się Katarzyna, widząc na licznych sklepowych i fabrycznych szyldach niemieckie nazwiska. – Co oni teraz zrobią? Przecież mamy z Niemcami wojnę.

– Część bogatych Niemców, zanim wybuchła wojna, uciekła do Niemiec – wyjaśniał Stefan, pilnując drogi, aby woźnica nie pobłądził w gąszczu ulic i pojazdów. – Ci, którzy zostali, będą się starali sprawiać wrażenie lojalnych poddanych cara, choć to lojalność mocno wątpliwa.

– Mam wrażenie, że w Miechowie w ogóle nie było Niemców. – Katarzyna myślami przeniosła się do swego rodzinnego miasta. – Żydów chyba nie było aż tak wielu jak tutaj, ale nie byli też tacy biedni i wynędzniali jak ci. – Ruchem głowy wskazała ludzi na chodniku. – Niektórzy byli bogaci i nawet posyłali swoje dzieci na naukę na uniwersytet w Krakowie. Odkąd sięgam pamięcią, w Miechowie mieszkały dwie dentystki Żydówki oraz doktor Stefan Lejman. Właścicielem młyna był Warszawski, wytwórni kozików Izrael Kupczyk, a sklep z łokciówką prowadził Goldsztajn. Pasmanterię kupowałam u Hany Rubinki. Niedaleko rynku swoje sklepy mieli Mojżesz Katzengold i Aron Sercarz. Dziadek Andrzej opowiadał, że prawo do osiedlenia się w Miechowie Żydzi otrzymali dopiero po powstaniu styczniowym. Brał udział w walkach z Moskalami o Miechów i został ciężko ranny. Babcia uratowała mu życie... A Polaków dużo mieszka w Łodzi? – szybko zmieniła temat, aby się nie popłakać. Nagle zdała sobie sprawę, że prędko ich wszystkich nie zobaczy, a już za nimi tęskniła.

– Dość dużo, choć nie tylu, ilu Niemców, Rosjan i Żydów razem wziętych – Stefan z ochotą odpowiadał na liczne pytania Katarzyny, zadowolony, że z jej twarzy zniknął wyraz apatii i piętno cierpienia. – Różnią się także pochodzeniem społecznym. Większość robotników to Polacy, ale także są fabrykanci, rzemieślnicy, kupcy i handlarze oraz urzędnicy.

– I co oni mówią na tę wojnę?

– Mam wrażenie, że nasza inteligencja przyjęła postawę wroga wobec Niemców, dając

wiarę mglistym obietnicom złożonym przez wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza w odezwie do Polaków. Zapewne czytałaś?

– Zdaje się, że u nas nic takiego nie było – skłamała na poczekaniu, zawstydzona, że niewiele się interesowała sprawami ważnymi dla kraju. Dla niej najważniejszy był Igor. Reszta w ogóle się nie liczyła. – Cóż to za odezwa?

– Zawierała same frazesy. – Stefan z lekceważeniem machnął ręką i nakazał woźnicy skręcić w boczną ulicę, gdzie mieścił się dom, w którym Kobierscy mieli razem zamieszkać. – Bezcelnie odwołali się do bitwy pod Grunwaldem, jakoby wspólnie wygranej, a wódz naczelny, bo nawet nie car, obiecał zjednoczenie ziem polskich pod berłem carów.

– A ty właściwie za kim jesteś? – Do świadomości Katarzyny dotarło, że jej rodacy nie zajęli jednolitego stanowiska wobec zaborców, którzy teraz wzięli się za łby. Stryj Leopold popierał Rosjan, ojciec był, przynajmniej ostatnio, za Austriakami, a dziadek nie cierpiał ani jednych, ani drugich, i tak było u wszystkich w Miechowie. Ona natomiast chciała tylko jednego: aby Igor wrócił z wojny, a kto będzie rządził, było jej obojętne.

Nawet nie zauważyła, że rozmowa o polityce i gospodarce, których tak nie znosiła, wciągnęła ją, a nawet zainteresowała. Dopiero później zda sobie sprawę, że była to zasługa Stefana, który potrafił ciekawie opowiadać i nigdy nie pouczał i nie prawił morałów, jak czynił to stary Jaxa-Rawecki.

Jeszcze Kobierscy nie zdążyli się na dobre zagospodarować w swoim domu przy ulicy Mikołajewskiej, gdy do Łodzi wkroczył oddział niemieckiej kawalerii. Ich dowódca zażądał przygotowania obiadu dla stu pięćdziesięciu żołnierzy, co zostało skwapliwie, choć nie bez pewnych problemów, wykonane przez urzędników magistratu. Lotem błyskawicy po mieście rozeszła się wieść, że znacznie większy oddział wkroczył do pobliskich Pabianic, gdzie niemiecka ludność, na czele z fabrykantem Kindlerem, przywitała swych rodaków owacyjnie. Jednak latające nad Łodzią aeroplany na chwilę odwróciły uwagę Katarzyny i innych mieszkańców miasta od tego, co wyprawiali Niemcy. Z zadartymi głowami obserwowali, jak maszyny niczym ptaki z furkotem śmigieł wzbijały się w powietrze i tam zataczały koła, jakby szukały dla siebie zdobyczy. Katarzynie przyszło na myśl, że zaraz zaczną zrzucać bomby na głowy mieszkańców. Tak przynajmniej opowiadał doktor Zawadzki.

– Niech się szanowna pani nie obawia – uspokajał ją jakiś zażywny jegomość ze wzrokiem utkwionym na niebie. Na wszelki wypadek, aby kapelusz nie spadł mu z głowy, trzymał go w rękach. – To aeroplan zwiadowczy – tłumaczył ze znajomością zagadnienia. – Wypatruje wojsk rosyjskich. Niemcy mówią na niego *Taube*.

– To znaczy? – wypytywała Katarzyna, przysłaniając oczy dłonią, aby nie raziły jej ostre promienie słońca.

– To znaczy „gołąb”...

– Gołąb? Też mi coś! – prychnęła. – Tylko Niemcy mogą być tak przewrotni, aby wojskowy samolot nazwać „gołębiem”. Ten ptak przecież symbolizuje pokój i miłość, a oni mają zamiar nas zaatakować, może nawet obrzucić bombami.

Jednak na razie do tego nie doszło, natomiast jednego dnia Stefan wrócił do domu rozpromieniony.

– Mam dobre wieści – oznajmił, siadając do stołu, na którym służąca już podała obiad. Z uwagi na brak towarów w sklepach musiały im wystarczyć ziemniaki i jajka, przywiezione przez kucharkę ze wsi od jej rodziny.

– Jakie? – Katarzyna ożywiła się i podniosła na męża oczy. Na ich dnie ujrzał nadzieję, że on odnalazł Kaledina. Choć rozpytywał o niego, kogo tylko się dało, nikt nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd wysłano pułk dragonów z Miechowa.

– Zaproponowałem panu Grohmanowi utworzenie nowego szpitala...

– To ten fabrykant? – Radość w oczach Katarzyny zgasła momentalnie. Wsunęła ziemniaka do ust i żuła bez apetytu.

– Tak, Kasiu – odparł, udając, że nie dostrzegł jej zawodu. Oboje starali się o Igorze nie rozmawiać, a przynajmniej nie wprost, zdając sobie sprawę, że sytuacja nie była w pełni normalna. – Kiedy Rosjanie uciekli, utworzył Komitet Obywatelski i milicję. I ja mu zaproponowałem, aby zorganizować kursy teoretyczno-praktyczne w celu przysposobienia ludzi do pracy w tym nowym szpitalu. Nie tylko stan higieniczny miasta pozostawia wiele do życzenia, bo przecież brakuje kanalizacji, stąd szerzą się choroby, ale zaczyna przybywać rannych. Potrzeba sanitariuszy...

– Czy kobiety też będą mogły się zapisać? – zaciekała się, a w jej głowie momentalnie zrodził się pewien pomysł.

– Oczywiście – potwierdził ochotczo Stefan, nie wiedząc, do czego Katarzyna zmierza. – Mężczyźni zdolni do pracy poszli do wojska, liczymy więc na kobiety. Jak zawsze... – dorzucił z westchnieniem, przypominając sobie czasy powstań, które znał tylko z opowieści ojca.

– To ja też chcę chodzić na ten kurs – zdecydowała i zacisnęła szczęki, gotowa walczyć o swoje. Jako sanitariuszka będzie mogła rannych przywożonych do szpitala wypytywać o Kaledina. Mógł go ktoś zapamiętać. W końcu był oficerem, a kawaleria zaliczała się do jednostek elitarnych. O tym, że i on może zostać ranny, nawet wolą nie myśleć.

– Ależ, Kasiu! – Stefan z wrażenia odłożył widelec. – W twoim stanie...

– W jakim stanie? – fuknęła i wydeła usta. – Ja nie jestem chora, tylko spodziewam się dziecka – oznajmiła stanowczo. – Włóścianki do ostatniej chwili chodzą w pole i często gęsto tam rodzą, to ja mogę zostać sanitariuszką. Do rozwiązania jeszcze pół roku. Nawet niewiele po mnie widać. – Spojrzała wymownie na niewielki zarys brzucha pod dość opiętą spódnicą, prostą w kroju.

Domyślając się intencji, którymi kierowała się Katarzyna, Stefan wyraził zgodę.

Pod koniec sierpnia Niemcy, jak niespodziewanie weszli, tak niespodziewanie wyszli z Łodzi, Pabianic, Sieradza i Łęczycy. W ślad za nimi przeciągały przez Łódź oddziały piechoty i artylerii rosyjskiej. Na koniec pojawiły się pułki dragonów.

## Rozdział 24

Gdy bitwa dobiegła końca i umilkły odgłosy walki, Rosjanie mogli odtrąbić zwycięstwo. Nie przyszło im na myśl, że była to tylko przygrywka do czekających ich krwawych zmagania. Po chwili na polu walki pojawili się sanitariusze, szukając rannych pomiędzy trupami. Żywych łądowali na nosze i zanosili na wozy, którymi mieli być dowiezieni do szpitala polowego urządnego w Nidzicy. W jednym z okopów znaleźli rannego Kaledina, przywalonego karabinem maszynowym. Był przytomny i bezskutecznie usiłował wygrzebać się spod kilogramów żelastwa, które na niego spadły. Choć miał krwawiącą ranę na piersiach i rozbitą głowę, cieszył się, że żył. Jego podkomendni aż tyle szczęścia nie mieli. Ze stanu osobowego plutonu, którym dowodził, bez szwanku wyszła tylko garstka. Pozostali polegli lub ciężko ranni, czekali na transport do szpitala. Ci lżej ranni zmierzali tam na własnych nogach lub końskich grzbietach. Wziętych do niewoli jeńców uformowano w szereg i popędzono wraz z rannymi. Koń Kaledina, podobnie jak setki innych, nie wyszedł z tej bitwy żywy i Igora umieszczono na wozie wraz z ciężko rannymi. Mijając po drodze niewielką kolumnę jeńców, dostrzegł swego sierżanta i jegra, z którym Druto wylewnie się ścisnął na polu walki, zamiast go ukatrupić.

– Sierżancie! – Kaledin przywołał go do siebie. – Co miało oznaczać wasze miłosierne zachowanie podczas bitwy? Co to za bratanie się z wrogiem?

– Melduję posłusznie, *wasze błagrodie*, że to nie jest żaden wróg, lecz mój brat stryjeczny, Franz Druto.

– Uciekł z naszej armii i wstąpił do pruskich jegrów? – Kaledin już miał zamiar sięgnąć po pistolet, aby dezertera rozstrzelać na miejscu, gdy Druto zamachał rozpaczliwie rękoma.

– Ależ nic z tych rzeczy, wasza wielmożność! – wrzasnął przerażony zamiarem oficera. – Nasi ojcowie byli rodzonymi braćmi, Polakami. Przed laty los ich rozdzielił i ja się urodziłem się w Chorzeli, jako poddany cara, a on urodził się w Działdowie, jako poddany cesarza niemieckiego.

– Prawda to? – Kaledin spytał Franza Druto, ale on tylko wybałuszył przerażone oczy i milczał.

– On nie zna rosyjskiego, wasza wielmożność – tłumaczył Iwan Druto – ale mówi po naszemu, znaczy się po polsku. No, powiedz panu oficerowi, żeś Polak! – Szturchnął swego stryjecznego brata, który z jednej strony cieszył się, że uszedł z życiem, ale z drugiej strony martwił tym, co go jeszcze czekało.

– Jam jest Polak, z dziada pradziada – zarzekał się żarliwie Franz i nakreślił na piersiach znak krzyża, jakby to miało być dowodem na jego narodowość i w pewnym sensie było. – A Janek to mój krewniak i on wziął mnie do niewoli. Ja się poddałem z ochotą. Byle być z nim – kiwnął głową w stronę Iwana – po jednej stronie...

Kaledin przypomniał sobie słowa matki o babce Polce, wydanej za mąż za Rosjanina, i opowieści Katarzyny o jej braciach, z których jeden służył w armii carskiej, a drugi wstąpił do oddziałów strzeleckich, tworzonych na terenie monarchii austro-węgierskiej. Jednak po chwili jego rozmyślenia na temat zawitych dziejów mieszkańców ziem polskich, których okrutny los rozdzielił kordonami granicznymi i ubrał w mundury obcych sobie państw, przerwał widok zabudowań Nidzicy, widocznych jak na dłoni. Na ulicach i w Rynku tłoczyły się wozy z rannymi zwożonymi z pola walki. Zabitych grzebano na miejscu – obrońców obok najeźdźców, wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że im już było wszystko jedno.

Liczba rannych, jakich zaczęto zwozić do miasta, zaczęła niepokoić generała Samsonowa,

gdyż z otrzymanych meldunków wynikało, że obydwa skrzydła jego armii zgodnie z planem posuwają się do przodu i zajmują wyznaczone im pozycje. W końcu opuścił hotelowy apartament i swoim zwyczajem wdał się w pogaduszki z rannymi. Z ich zwierzeń zaczął się wyłaniać mało optymistyczny obraz wojennych zmagania. Wśród nich, ku swemu zaskoczeniu, generał dostrzegł wracającego ze szpitala Kaledina, z obandażowaną piersią i opatrunkiem na głowie, z zarzuconą na ramiona kurtką od munduru, podartą i poplamioną krwią.

– Igor, mój chłopcze! – zawołał z radością w głosie i dziarskim krokiem podszedł bliżej. – Meldowali mi, że nie żyjesz!

– Jeszcze widać śmierć nie była mi pisana. – Kaledin machnął lekceważąco ręką. – To mnie uratowało. – Pokazał generałowi kawałek metalu, który ścisnął w dłoni.

– Cóż to jest? – zainteresował się Samsonow.

– To był srebrny medalion ze zdjęciem dziewczyny – odparł Kaledin. – Choć ona mnie nie chciała, prezent od niej uratował mi życie. Miałem w kieszeni na piersiach, gdy trafiła mnie kula. Uderzywszy w metal, straciła impet, zmieniła kierunek i tylko rozorała mi mięsień. Do wesela się zagoi. Tak powiedział nasz łapiduch. – Roześmiał się z goryczą na koniec. Zachował dla siebie informacje, że ze zdjęcia Katarzyny niewiele zostało. Bardziej ta strata go bolała niż rana na piersiach i rozbita głowa.

– Należy ci się awans – oznajmił niespodziewanie generał. – Twój szwadron dzielnie się spisał, czego nie mogę powiedzieć o innych. Dochodzą do mnie niepokojące wieści z frontu, i to nie od moich generałów, lecz od prostych żołnierzy. Pewno już wiesz, że generał Artamonow wycofał się spod Uzdowna, a Niemcy zajęli Biesowo, Zerbuń i Biskupiec. Moi generałowie okazali się ludźmi bez woli walki, bez krzty inicjatywy, nie potrafią nawet dokonać oceny położenia. I, co najgorsze, nie ma w nich poczucia odpowiedzialności za otrzymane zadanie. Ta swołocz Rennenkampf przechwalał się, że pokonał Niemców pod Gąbinem, a tymczasem meldunki, które składał Żylińskiemu, nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Wypoczynek sobie urządził, zamiast gnębić wroga – żołądkował się generał, aż mu oczy krwią nabiegły i musiał poluzować guzik od munduru pod szyją. – To przez niego wyrobiłem sobie błędne wyobrażenie o sytuacji. Jak się okazuje, moja armia ma przed sobą silnego przeciwnika, a nie uciekające niedobitki!

– Co nieco do mnie dotarło, kiedy byłem w szpitalu – zgodził się Kaledin, zostawiając dla siebie wniosek, że Samsonow też nie był bez winy. Nie wykorzystał swojej kawalerii do rozpoznania przeciwnika, o czym Igor wiedział najlepiej. Szeroko komentowano także nieszyfrowanie depech i rozkazów operacyjnych, co z pewnością ułatwiało Niemcom zadanie.

– Nic to. – Samsonow, wyrzuciwszy z siebie wszystko, co leżało mu na wątrobie, nieco ochłonął. – Mam nowy plan działania, który pozwoli nam wyjść z tej parszywej sytuacji. Już jutro przystępujemy do jego realizacji.

– Moje rany nie są specjalnie dokuczliwe – zaczął Kaledin, w skrytości ducha licząc na pomoc dowódcy armii. – Mam nadzieję, że generał Martos nie odeśle mnie na tyły, tylko pozwoli nadal walczyć. Mój wachmistrz już kompletuje konie i dragonów...

– Wybierz sobie z głowy – generał przerwał tonem nawykłym do wydawania rozkazów i wzięwszy Kaledina pod pachę, skierował się w stronę hotelu. – Biorę cię do swego sztabu. Zostaniesz moim adiutantem. Potrzebuję zaufanych ludzi – dorzucił konfidencjonalnie, nie pytając Igora o zdanie.

Nie była to dla Kaledina atrakcyjna propozycja. Miał za sobą dopiero kilka potyczek i pierwszą bitwę. Siedzenie w sztabie i podawanie map generałom nie było szczytem jego marzeń. Z szablą w dłoni, galopując na koniu, zapominał o Katarzynie.

Wczesnym rankiem następnego dnia przed hotel zajechały samochody i liczne furmanki,

na które zaczęto ładować wszystko to, co kilka dni temu przywieziono do Nidzicy, aby sztab generała Samsonowa mógł sprawnie funkcjonować. Do podróży przygotowano również taczankę, na której spoczywała, przymocowana do podłoża, armijna kasa wypełniona złotymi i srebrnymi rublami, medalami i odznaczeniami, przeznaczonymi na potrzeby sztabu. Na jedną z furmanek załadowano także rozebrany na części telegraf, co pozbawiło dowódcę 2. Armii łączności z Naczelnym Dowództwem, czyli Stawką, oraz podległymi korpusami. Zebrani w sali restauracyjnej oficerowie sztabowi nieśmiało starali się odwieść generała od pomysłu udania się wprost na pierwszą linię frontu, gdzie krwawe walki toczył XV Korpus generała Martosa. Przebąkiwali o możliwości okrążenia przez wroga, radzili wycofać armię z terenów Prus, póki nie było za późno, ale Samsonow postawił na swoim.

Jednak jego obecność nie mogła już zmienić losów bitwy toczącej się pod Nadrowem. Zmęczeni żołnierze, przerażeni huraganowym ogniem przeciwnika, uciekali z pola bitwy. Nawet osobista interwencja Samsonowa nie potrafiła rozbudzić w nich ducha walki. Rzucali karabiny i z marszu oddawali się w niewolę. Nie pomogła też bohaterska postawa jednego z pułkowników, który ze sztandarem w jednym ręku i pistoletem w drugim ruszył na czele oddziału do boju. Gdy padły pierwsze salwy, żołnierze w panice rozpierzchli się na wszystkie strony. Obserwujący ze wzgórza przebieg działań Samsonow ujrzał, jak osamotniony w polu pułkownik owinął się sztandarem i strzelił sobie w skroń.

Widząc beznadziejność sytuacji, zdesperowany i zagubiony generał nakazał odwrót do Nidzicy. Ta jednak już została zajęta przez Niemców, którzy znaleźli się na tyłach rosyjskich korpusów. Zdruzgotany klęską Samsonow wydał mocno spóźniony rozkaz odwrotu całej swojej armii, co także okazało się zadaniem karkołomnym wobec ogarniającego armię coraz większego chaosu. Tysiące żołnierzy, zmęczonych i głodnych, pozbawionych koniecznego do walki zapłału, poruszało się po wąskich mazurskich duktach, nie wiedząc, z której strony spodziewać się ataku. Zgodnie z przypuszczeniami Samsonowa, generał Rennenkampf nie przyszedł z pomocą, lecz wycofał się ze swoją armią na pozycje wyjściowe. Kaledin zdał sobie sprawę, że nie tylko nie wyjdzie z tej wojny z medalami na piersiach, ale może w ogóle z niej nie wyjść żywy. A w najlepszym razie trafi do niewoli.

## Rozdział 25

Spędziwszy noc w przydrożnej szopie, generał Samsonow wraz ze swoim sztabem i przyboczną eskortą w postaci sotni kozaków, dowodzonej przez pułkownika Wjałowa, oraz ciągniętą przez dwa konie taczanką z kasą sztabową wyruszył automobilem w kierunku Janowa. Liczył, że zdąży dojechać do granicy, zanim zamknie się wokół niego pierścień okrążenia. Jednak spotkany po drodze robotnik leśny poinformował o dużym niemieckim oddziale stacjonującym w okolicy wsi Muszaki. Po krótkiej, acz burzliwej naradzie sztab podjął decyzję, aby kierować się na Wielbark. Generał pokornie przytaknął. Źle się czuł. Od kilkunastu godzin był na nogach, nie licząc krótkiego i przerywanego snu w starej szopie. Stale brakowało mu powietrza, przez co nie mógł logicznie myśleć. Trwające cały miesiąc upały choremu na serce i astmę, mającemu sporą nadwagę generałowi dawały się we znaki. Marzył tylko o jednym: by położyć się do czystego łóżka i usnąć. Samochód, w którym odbywał podróż, kołysał się na wertepach, ciskał obolałym ciałem generała na wszystkie strony. O spaniu nie mogło być mowy. Gdy ekipa dotarła do wsi Sadek, okazało się, że mieszkańcy gdzieś uciekli, i sztabowcy generała nie mieli kogo zapytać o drogę. W pewnym momencie do ludzi Samsonowa dotarło dalekie terkotanie karabinów maszynowych. Spanikowani kozacy rozpierzchli się na boki, szukając schronienia w pobliskim lesie, nie patrząc, że zostawili swego generała bez obstawy. Tego dla Samsonowa było już za wiele. Wsiadł z samochodu i podpierając się pod boki, zawołał w stronę skrytych za drzewami jeźdźców:

– Kozacy! Czy wy naprawdę boicie się kulomiotów?

Zawstydzeni jeden po drugim wyjechali z lasu i ustawiali się po obydwu stronach generalskiego samochodu.

– Wiedziałem! – oświadczył z satysfakcją. – Moi kozacy nie boją się karabinów maszynowych! – pochwalił ich, wsiadając z powrotem do auta.

Ledwo zdążyli pokonać niewielki odcinek drogi, gdy z daleka dostrzegli na drodze niemiecki oddział, prowadzący liczną grupę rosyjskich jeńców. Swoją obecnością w tym miejscu zagroździ Rosjanom jedyną drogę ewakuacji.

– Ekscelencjo! – pułkownik Wjałow, stając przed przełożonym, wyprężył sylwetkę. – Proszę wydać rozkaz rozpędzenia tych maruderów. Innej możliwości przebiccia się na Wielbark nie mamy.

Ani pułkownik Wjałow, ani nikt z ich grona nie miał pojęcia, z kim mają do czynienia. A była to niemiecka grupa pościgowa dowodzona przez generała von Schmettau, rozbijająca niewielkie jednostki rosyjskie, z marszu biorąca tysiące żołnierzy do niewoli. Towarzyszyła jej wyborowa jednostka strzelców ze Szczytna.

– *Gospodin gieniera!* – Kaledin, nie czekając, aż jeźdźcy uformują szyk bojowy, stanął na baczność przed Samsonowem. – Pozwólcie i mnie dołączyć do szarży. W obecnej sytuacji liczy się każda szabla.

– Bierz się do roboty, chłopcze – generał zgodził się błyskawicznie. Czasu na zastanawianie się nie mieli.

Do sprawnie uformowanej do ataku sotni dotarł głośno wydany rozkaz: „Lance! Szable w dłoń! *Do ataku za mną!*”. Konnica ruszyła na wroga po spieczonym słońcem gruntowej drodze. Już po chwili konie z galopu przeszły w cwał. Spod końskich kopyt pryskały grudy skamieniałej ziemi, a w powietrze uniosła się chmura pyłu. Wymachując szablami, z okrzykiem „urrraaa” na ustach, zmierzali wprost na widocznych jak na dłoni wrogów. Gdy do Niemców dotarł tętent



końskich kopyt, gdy ujrzeli szable wzniesione nad głowami setki jeźdźców, momentalnie zdali sobie sprawę z powagi swego położenia. Mieli tylko jedno wyjście: użyć karabinów maszynowych. Jeśli nie zdążą ich rozstawić i skierować na pędzącą w ich kierunku kozacką sotnię, zostaną rozniesieni na szablach i pikach. Ta sama myśl kołatała się w głowie Kaledina: jeśli nie zdążymy dopaść Niemców, zanim oni rozstawią swoje kulomioty, wybiją nas co do nogi. *Gospodi chrani nas*. Cenne sekundy mijały, Niemcy zwijali się jak w ukropie, kozackie konie gnały co sił w kopytach. Nagle rozległ się głośny krzyk oberleutnanta: „Ogień ciągły! Ogień ciągły!”, i powietrze rozdarł terkot karabinów maszynowych: tra-ta-ta, tra-ta-ta, tra-ta-ta! Rosjanom brakowało do niemieckich pozycji zaledwie kilka metrów.

Pośród kawalerii się zakotłowało. Upiorne kwiki przewracających się koni dotarły aż na wzgórze, skąd generał Samsonow obserwował kozacką szarżę. Już wiedział, że była to jego ostatnia bitwa tej wojny. Jeśli i ją przegra, nie miał po co żyć. Szczekanie kulomiotów zagłuszało krzyki spadających z koni na łeb na szyję jeźdźców. Pierwszy szereg jazdy wylał się na drogę na kształt potoku złożonego z przemieszanych ze sobą jeźdźców i koni. Pędzący za nimi jak wichur drugi szereg nie był w stanie wstrzymać wierzchowców, które z impetem wpadły na leżące pokotem ciała. Niektórzy próbowali skierować konie w bok, na lewo lub prawo, lecz bez powodzenia. W asyście terkotu karabinów maszynowych, w potwornym chaosie przewalały się ciała ludzkie i zwierzęce. Jednym ruchem kosy, trzymanej w kościstej ręce, śmierć zebrała obfite żniwo. Wyszczrzyła zęby w upiornym uśmiechu.

Kaledin fiknął kozła, kiedy jego wierzchowiec zarył kopytami w ziemię przed stertą leżących pokotem zwłok. Już po chwili kule rozpruły brzuch zwierzęcia, a krew i fruwające w powietrzu wnętrzności ochlapały twarz i mundur Igora. Przypadł do ziemi, skryty za martwym już wierzchowcem jak za tarczą. Chwytał karabin do ręki i strzelał w kierunku czterech gniazd niemieckich karabinów maszynowych, rozstawionych w poprzek drogi, ale zanim wystrzelał wszystkie naboje, zdołał trafić tylko kilku strzelców, usiłujących skryć się za metalowymi osłonami kulomiotów. W tym momencie zdał sobie sprawę, że oto właśnie nadeszła jego ostatnia chwila. Przywołał w pamięci obraz Katarzyny, jej pszeniczne włosy, burzę drobnych loczków rozsypanych na ramionach, jej brązowe oczy pełne smutku i melancholii, zamglone pożądaniem, gdy tulił ją w ramionach. Dotknął palcami swych warg, jakby jeszcze pozostał na nich ciepło i smak ust Katarzyny, i przygotował się na śmierć.

## Rozdział 26

Szykując się na spotkanie z kostuchą, Kaledin nagle ujrzał biegnącego w jego stronę konia, z którego grzbietu przed chwilą spadł trafiony kulą jeździec, i zdał sobie sprawę, że oto los dawał mu jeszcze jedną szansę. Nie mógł jej zmarnować, jeśli chciał wyjść z opresji cało. Skok na grzbiet konia w galopie ćwiczył wielokrotnie na poligonie w Miechowie. Była to sztuczka stosowana przez kozaków i gruzińskich wojowników. Z reguły się udawało. Gdy zwierzę znalazło się odpowiednio blisko, błyskawicznie chwycił zwisające nisko wodze i odbiwszy się mocno od ziemi, wskoczył na siodło. Przyłgął do grzbietu i ponaglił zwierzę ostrogami. Wciąż słyszał ujadanie kulomiotu i śmiercionośny świst kul nad głową. Koń jakby zdawał sobie sprawę, że i jego życie znalazło się w opałach, wyrывая kopytami ziemię, gnał jak oszalały w stronę widocznego nieopodal lasu. Choć był już tak blisko, wciąż jednak za daleko, aby ocalić życie swoje i jeźdźca. Jednemu z nich przyszło zapłacić najwyższą cenę za decyzje podjęte w zaciszu gabinetów przez ludzi, którzy nigdy nie musieli stanąć na wprost ognia karabinu maszynowego, nie mając niczego na swoją obronę oprócz własną łopatą wykopanego na kształt grobu rowu w ziemi. Igor i jego koń nie mieli nawet tego.

Kiedy wpadli pomiędzy drzewa, kule zdołały ich dopaść. Rozorały koński zad. Wierzchołek zarżał przeraźliwie i zwałił się na ziemię wraz ze swoim jeźdźcem. Kaledin potoczył się po ziemi i zatrzymał na twardym pniu drzewa. Momentalnie zerwał się na nogi. Koń, kwicząc, oczyma pełnymi bólu i przerażenia wpatrywał się w niego, jakby błagał o pomoc. Igor wyszarpnął z kabury pistolet i dobił ranne zwierzę. Rozejrzał się wokoło, czy tym gestem litości nie zdradził swego miejsca pobytu, ale w pobliżu nic podejrzanego się nie działo. Nikt za nim nie ruszył w pościg. W oddali nadal terkotał kulomiot, odbierając życie tym, którym szczęścia tego dnia zabrakło.

Kuśtykając na poturbowanej podczas upadku nodze, Kaledin bacznie rozglądał się po okolicy, szukając jakiegoś znanego sobie punktu. Ból zmusił go do odpoczynku. Poprzez rozdartą nogawkę obejrzał łydkę, pokaleczoną o kamienie i korzenie wystające z ziemi. Ucieszył się, że noga nie była złamana, jedynie rana wciąż krwawiła. Założywszy prowizoryczny opatrunek z podartej na pasy koszuli, ruszył dalej na poszukiwanie generała Samsonowa i jego sztabu. Dłuższy czas przedzierał się przez gęste zarośla, zanim natrafił na jakąś leśną przecinkę. Prowadziła w kierunku, gdzie Igor spodziewał się natrafić na ślad generała i jego sztabu. Rozglądał się z uwagą, aby nikt go nie zaskoczył. Najlepszą stroną odwagi jest ostrożność, przypomniał sobie jedną z zasad kodeksu carskiego oficera. Już jakiś czas temu się przekonał, że ten dokument zawierał wiele przydatnych nie tylko w wojsku mądrości, a tak się z niego naśmiewali podczas nauki.

Nie miał ze sobą ani mapy, ani kompasu, który był w posiadaniu pułkownika Wjałowa. Musiał więc kierować się jedyną wskazówką, jaką dysponował: słońcem. A ono właśnie chyliło się ku zachodowi. Na wszelki wypadek przemieszczał się skrajem lasu, aby z nadto nie rzucać się w oczy. Dopiero teraz docenił maskujący kolor swego munduru, na który tak narzekał, gdy musiał rzucić swój dragoński. Zieleń i szarość lasu uczyniły go niewidocznym dla ludzkich oczu. Minęło pół godziny, gdy wyszedłszy na polną drogę, z daleka ujrzał znajome dachy wiejskich chałup. To ta wieś, gdzieśmy przez moment stacjonowali, zanim doszło do bitwy z Niemcami, domyślił się. Chyba nosiła nazwę Sadek. Po chwili zauważył porzucony generalski automobil, z czego można było wnosić, że sztab wraz z generałem postanowił dalszą drogę ku granicy przebyć pieszo, na skróty przez las.

Kaledin rozejrzał się uważnie w poszukiwaniu śladów, które mógł zostawić oddział niemały w końcu, bo liczący oprócz generała dziesięciu oficerów oraz zaprzęzoną w dwa konie taczankę ze sztabową kasą. Stu kozaków, wybitych do nogi, pozostało martwych na polnej drodze. Przecież tyle złota nie zostawili na pastwę Niemców, zgadywał, rozglądając się wokoło w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek. Chyba że gdzieś ukryli, pomyślał na koniec. Wkrótce natrafił na wijącą się między drzewami przecinkę, zapewne często wykorzystywaną przez miejscową ludność w celu skrócenia sobie drogi z jednej wsi do drugiej, w której wyraźnie widniały odcisnięte w miękkiej ziemi koleiny oraz ślady końskich kopyt.

Przypieszył kroku, na ile pozwalała mu pokaleczona noga. Już wkrótce dotarły do niego rosyjskie słowa wypowiedane podniesionym tonem, jednak rozmówców w gęstniejącej szarówce nigdzie nie mógł dostrzec. Dopiero gdy podszedł bliżej, ujrzał z daleka, pomiędzy drzewami, garstkę żołnierzy i sądząc po zdecydowanej postawie, jednego oficera. Ich zielonkawe mundury stanowiły doskonały kamuflaż. Już miał zamiar do nich dołączyć i ruszył przed siebie, gdy nagle do jego uszu dotarł strzał z karabinu. Kaledin przypadł do ziemi i sięgnąwszy po lornetkę, przyjrzał się sytuacji. Jeden z żołnierzy zaszedł oficera od tyłu i strzelił mu prosto w plecy. Pozostali trzej dla pewności dokończyli mord, kłując leżące już na ziemi ciało bagnietami. W tym momencie koń zaprzęzony do taczanki, wystraszony hałasem, ruszył galopem przed siebie. Żołnierze rzucili się w pogoń, a jeden z nich wypalił do zwierzęcia z karabinu. Koń zarżał przeraźliwie i ciężko zwałił się na ziemię, a wraz z nim przewróciła się taczanka. Huk poniósł się głośnym echem po lesie. Gdy żołnierze dobiegli do przewróconego wozu, na nowo między nimi rozgorzała kłótnia. Z urywków głośno rzucanych zdań Kaledin domyślił się, co zaszło. Dwóch oficerów i czterech szeregowych otrzymało rozkaz podążania za generałem i jego sztabem, transportując kasę sztabową, ustawioną na taczance. Ciężkie koła wozu grzęzły w piachu, co spowolniło marsz. Wkrótce ekipa generała zniknęła im z oczu. Na domiar złego padł jeden koń, a zabłąkana kula pozbawiła życia jednego z oficerów. Wówczas to w głowach żołnierzy zrodził się plan, aby zlikwidować drugiego, rozbić kasę i złotem się podzielić. Do granicy brakowało jedynie paru kilometrów, co rokowało nadzieję na wyjście cało z wojennej opresji. Już po chwili za pomocą żołnierskich łopatek dobrali się do kasy. Byli tak zaaferowani rabunkiem, że nie usłyszeli Kaledina, który z pistoletem gotowym do strzału skradał się w ich stronę.

– Stać, sobacze syny! – krzyknął, gdy znalazł się na tyle blisko, aby bez problemu ich powystrzelać jak kaczki na polowaniu. – Pod sąd pójdziecie za rabunek rządowego mienia!

Wówczas jeden z żołnierzy błyskawicznie chwycił karabin do ręki i strzelił. W tym samym momencie kula z pistoletu Kaledina trafiła go w pierś, kolejna odłupała kawałek głowy drugiemu, a trzeci, atakujący bagnietem, padł trupem, dostawszy w prosto w czoło. I wówczas pistolet Igora odmówił posłuszeństwa z braku nabojów. Wyszarpnął szaszkę i odparował cios, który zamierzał zadać mu łopatą ostatni już żołnierz. Kilka szybkich ruchów i cięty przez głowę, zarył twarzą w ściółkę leśną. Dopiero wówczas do Kaledina dotarł ostry ból lewego ramienia. Kula jednak go tylko drasnęła, nie wyrządzając większych szkód.

Podniósł z ziemi łopatkę, która każdemu piechurowi służyła do kopania rowów strzeleckich, i rozejrzał się po okolicy. Wkrótce znalazł odpowiednie miejsce, aby ukryć zawartość sztabowej kasy. Rozsypane po leśnej ściółce złote rublówki i medale lśniły blaskiem w promieniach zachodzącego słońca. Gdy zasypał ziemią i narzucił darń na schowek, słońce zdążyło skryć się za horyzontem. Jeszcze tylko w pniu dębu o charakterystycznym kształcie za pomocą bagnetu wyciął literę „K” i ruszył w dalszą drogę.

Z minuty na minutę zapadały coraz większe ciemności, aż nastąpiła głęboka noc, bez księżycy i gwiazd na niebie, utrudniając swobodny marsz i grożąc zgubieniem drogi. Igor doszedł do przekonania, że już nie ma żadnych szans, aby dołączyć do sztabu, i musi na własną rękę

ratować życie, cudem wyniesione z nieudanej szarży pod Sadkiem. Wypatrując ścieżki pod nogami, kątem oka zauważył na skraju drogi ciemny kształt, przypominający ludzką postać, jakby ktoś uciął sobie drzemkę pod jednym z drzew. Nie mógł wykluczyć, że był to trup jakiegoś zagubionego żołnierza. Jednak na wszelki wypadek, gdyby był w błędzie, ujął w dłoń rękojeść szabli. Zmroziło go, gdy podszedł całkiem blisko i zajrzał w twarz leżącego na murawie człowieka. Był to generał Samsonow. Oddychał miarowo, lecz ciężko i chrapliwie.

– Ekscelencjo... – szepnął Kaledin, przyklękawszy przy dowódcy armii. – *Gospodin gienierał*... Proszę się ocknąć... – Delikatnie, z szacunkiem poklepał Samsonowa po policzku, pokrytym gęstym zarostem, zmierzwionym i zakurzonym.

Generał otworzył oczy i obrzucił Kaledina zaskoczonym spojrzeniem.

– *Sława Bogu!* Przeżyłeś, mój chłopcze! – ucieszył się, chwytając Igora za rękę. – Choć muszę ci się przyznać, że w pierwszej chwili pomyślałem, że już umarłem i trafiłem do nieba. – Rechotał, zadowolony z obecności Kaledina. – Chyba jesteś w czepku urodzony. Ty i ten idiota Wjałow. Inni nie mieli tyle szczęścia. Wszystkich diabli wzięli – dorzucił zrezygnowanym tonem.

– Co pan generał robi sam w lesie po nocy? Gdzie się podział cały sztab? Jakim prawem porzucili ekscelencję na pastwę losu?! – denerwował się Kaledin.

Choć Samsonow nie zaliczał się do wybitnych dowódców, dbał o swoich podkomendnych, a Igor go po prostu lubił. Kiedy generał przed laty był w majątku Kaledinów, mówił do niego „wujku”.

– Pomóż mi wstać, chłopcze – stęknął generał, unosząc się na łokciu. – Na mój wyraźny rozkaz zostawili mnie samego – skłamał na oczekaniu, nie chcąc się przyznać, że zasnął, a kiedy się ocknął, leżał na skraju drogi kompletnie sam, porzucony niczym zbędny balast. Sądząc, że sztabowcy zaraz po niego wrócą, uciął sobie drzemkę. Czuł się śmiertelnie zmęczony.

– Przecież mieliśmy się kierować na południe, ku granicy – odparł Kaledin – a ekscelencja i sztab zmierzali na wschód. Ja szedłem po waszych śladach.

– Sam widziałeś, kto nam zagroził drogę. – Generał wzruszył ramionami i otrzepał mundur z listowia i gałązek, gdy już udało mu się przy pomocy Igora stanąć na nogi. – Wjałow stwierdził, że w tej sytuacji należy skrócić na wschód i szukać jakiejś luki pomiędzy Muszakami a Wielbarkiem. I ja się na to zgodziłem.

– Da radę wasza ekscelencja iść dalej? – zatroszczył się Kaledin i nie czekając na odpowiedź, podał generałowi ramię.

Samsonow przypomniał sobie, jakby to było wczoraj, gdy jako młody, zaledwie osiemnastoletni chłopak zaciągnął się do armii i od razu wziął udział w wojnie rosyjsko-tureckiej. Nie miał jeszcze czterdziestki, gdy dowodził kawalerią podczas tłumienia powstania bokserów w Chinach, a później walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej, gdzie zyskał opinię dzielnego dowódcy. Ani się obejrzał, a życie mu przeleciało. Nie miał sił, aby przejść pieszo kilku kilometrów przez las. Dyskretnie obtarł palcem łzę, która wymknęła się spod obrzękniętej powieki i potoczyła po jego zarosniętym policzku.

Chwilę szli w milczeniu, wypatrując ścieżki pod nogami. Krótka drzemka przywróciła nieco sił schorowanemu generałowi. Jednak już po kilkunastu metrach choroba na nowo dała o sobie znać. Oddech generała stał się świszczący i Kaledin przystawał co parę kroków. Problem się pogłębił, gdy dotarli do wysokiego nasypu, po którym biegła droga łącząca Nidzicę z Wielbarkiem.

– Nie dam rady, chłopcze – jęknął zbolalym głosem Samsonow, podchodząc dość blisko stromej skarpy. – Ratuj się sam. Mnie najwyżej Niemcy wezmą do niewoli.

– Proszę sobie pozwolić pomoc, ekscelencjo – odparł Kaledin, puszczając mimo uszu

słowa generała.

Uchwycił przełożonego pod pachę i dosłownie wciągnął na górę. Gdy przekroczyli drogę, trzymając Samsonowa pod ramię, pomógł mu zejść. Mimo to siły generała opuszczały z każdą minutą. Kaledin dał mu chwilę odpocząć, po czym ruszyli dalej. Dotarli do torów kolejowych, także biegnących po wysokim nasypie. Aby go pokonać, Samsonow zużył resztę swoich sił. Nie mógł złapać tchu, a twarz mu zsiniała. Osunął się bez sił na ziemię.

– Kaledin, chłopcze – szepnął zbolalym głosem. – Car zaufał mi. Jak ja stanę przed jego obliczem po takiej katastrofie? Pomóż mi umrzeć z honorem.

– Co wasza ekscelencja ma na myśli?

– Palnij mi w łeb, bo sam nie dam rady – poprosił, sięgając do kabury po swój pistolet. – Niech myślą, że zachowałem się jak trzeba i odebrałem sobie życie. To lepsze dla żołnierza niż umrzeć na serce.

Jeszcze czas jakiś Kaledin usiłował przekonać generała do zmiany decyzji, ale widząc ogromny ból i cierpienie malujące się na jego twarzy, wziął z jego rąk pistolet i przygotował do strzału. Chwilę czekał, aż generał skończy modlitwę i nakreśli na piersiach znak krzyża, po czym pociągnął za spust. Huk wystrzału poniósł się dalekim echem przez las i dotarł do sztabowców generała Samsonowa, którzy już zbliżali się do granicy. Domyślili się, że ich dowódca odebrał sobie życie, ale w zamian zachował honor. Jak wyglądały ostatnie chwile generała Samsonowa, nikt już nie miał się dowiedzieć. Kaledin prawdę o nich zachował dla siebie, pamiętając o starej zasadzie: „Tajemnica wyjawiona chociażby jednemu człowiekowi przestaje być tajemnicą”. Tego nauczył go kodeks carskiego oficera.

Odmówił modlitwę za zmarłych i zgodnie z prośbą generała zdarł z jego munduru oznaki generalskie, zostawiając przy nim jedynie drogocenną szablę, złoty zegarek i medalion z wizerunkiem żony i dzieci. Gdy wypełnił swój obowiązek wobec dowódcy, ruszył w dalszą drogę.

## Rozdział 27

Kiedy do Katarzyny dotarła wieść, że rosyjska kawaleria weszła do Łodzi, wybiegła z domu, zapominając włożyć kapelusz, i minawszy kościół, pomknęła przez Ogród Nikołajewski w stronę centrum. Dochodzący z daleka stukot setek kopyt i rzenie koni przywołały wspomnienia z Miechowa, gdy szwadron dragonów Kaledina, ubranych w czarne mundury, z lśniącymi w promieniach słońca pióropuszcami ozdabiającymi hełmy, przemierzał stępa wąskie uliczki miasteczka, udając się na pobliskie wzgórza na ćwiczenia. Główną ulicą Łodzi płynęła rzeka wozów wiozących furaz dla wojska. Poprzedzało je luzem pędzone stado mocno zbudowanych kuców syberyjskich. Kudłate, niewiele większe od psów, o jasnej maści, stawały dęba na widok nielicznych samochodów. Dopiero za nimi pojawili się kawalerzyści. Wszyscy ubrani w jednakowe zielonkawe mundury, zdawali się podobni do siebie jak krople wody. Ze ściśniętym sercem biegła wzdłuż niekończącej się kolumny, każdemu dragonowi z bliska zaglądając w twarz. Jednak Igora wśród nich nie znalazła. Spocona, w zakurzonej sukience, z włosami w nieładzie po kilku godzinach dotarła zrezygnowana do domu.

Wraz z rosyjskim wojskiem do Łodzi wrócili carscy urzędnicy, zaprowadzając porządek. Przywieźli ze sobą mąkę, węgiel i naftę. Wojsko rozprawiło się z rozbojami, pomogło zahamować spekulacje, niszczące normalny handel między miastem a wsią. Choć Polacy nigdy nie darzyli Rosjan sympatią, po doświadczeniach z Niemcami z ulgą przyjęli ich powrót.

Na Pabianice, za ich wyjątkowo gościnne przyjmowanie Niemców, nałożono kontrybucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy rubli. Przystąpiono także do wyłapywania podejrzanych o sprzyjanie Niemcom, lub wręcz o szpiegostwo, poddanych niemieckich i austriackich. Zorganizowany siłami mieszkańców szpital na tysiąc łóżek, gdzie pacjentów przyjmował Stefan, a Katarzyna uczęszczała na kurs sanitarny, oddano pod zarząd Rosyjskiego Czerwonego Krzyża.

– Aresztowali dzisiaj jednego z naszych lekarzy – zaczął Stefan, gdy któregoś dnia wrócił ze szpitala do domu i usiadł za stołem, czekając, aż służąca poda jemu i Katarzynie obiad. – Oskarżyli go o szpiegostwo na rzecz Niemiec.

– Może był szpiegiem? – spytała niezbyt zainteresowana przykrymi nowinami. Miała dość własnych zmartwień. Męczyły ją uporczywe mdłości, zwłaszcza rano. Co zjadła, zaraz zwracała. Brzuch stawał się coraz większy, przez co nie mieściła się w swoich rzeczach. Chcąc nie chcąc, zamówiła u krawcowej kilka sukienek rozkloszowanych od piersi w dół. Wyglądam jak kopa siana, pomyślała, widząc swoje odbicie w lustrze.

– No skąd! – obruszył się Stefan i założył sobie pod szyję serwetę, aby nie powalać tłustym krupnikiem ciemnopopielatego garnituru. – Znam go od lat. Aresztują wielu Niemców, ale także Polaków niemieckiego pochodzenia. Policjanci chodzą po domach i każą zabierać się całym rodzinom, z małymi dziećmi. Prowadzą ich do cyrkułu, a potem na dworzec i w wagonach towarowych wywożą w głąb Rosji...

– Ależ to nieludzkie. – Katarzynie zrobiło się żal tych dzieci, nawet jeśli rodzice byli Niemcami. Ostatnio stała się bardzo wrażliwa i z byle powodu płakała. – Co im zawiniły dzieci i żony?

– Sam jestem zszokowany – ciągnął dalej Stefan, nie zwracając nawet uwagi, że mówił z pełnymi ustami. W szpitalu nie odchodził od stołu operacyjnego i nie miał czasu, aby zamienić z kimś choć jedno słowo, które nie dotyczyło krwotoku, amputacji czy zaszywania rany. – Widziałem, jak na ulicy podeszli do małżeństwa i jego aresztowali, a ją zostawili na środku chodnika. Zaraz zbiegli się ludzie i opowiadali, że to żaden Niemiec. Ponoć także konfiskują

Niemcom majątki i za grosze wyprzedają na licytacji.

– Nic już nie rozumiem – westchnęła Katarzyna, mieszając łyżką w talerzu z zupą. – Przecież mieli tylu agentów. Tylu było donosicieli i oni nie wiedzą, kto jest szpiegiem, a kto nie?

Z każdym kolejnym dniem Stefan przynosił do domu coraz to bardziej niepokojące wieści. Walki toczyły się nie tylko w dalekiej Belgii czy Francji, ale także w Prusach Wschodnich, Galicji i w południowej części Królestwa, skąd tylko krok do Porętowna i Miechowa. Katarzyna nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy martwić, że Rosjanie odnieśli tam zwycięstwo, zmuszając armię austro-węgierską do wycofania się przez Karpaty. Ponoć zapłacili za sukces bardzo wysoką cenę. Bała się nawet pomyśleć jaką, aby nie wykrakać. Niemcy zaś, pokonawszy Rosjan pod Tannenbergiem i nad wielkimi jeziorami, ogromnymi siłami zaatakowali Warszawę i Iwanogród. Wieści z pola walki lotem błyskawicy docierały do Łodzi, budząc przerażenie mieszkańców i paniczny lęk Katarzyny o życie Igora.

– Źle robiłem, przywożąc cię do Łodzi – oznajmił któregoś dnia Stefan, gdy wyczytał w gazecie, że Niemcy nacierali na Kutno i Łęczycę i udało im się wyprzeć Rosjan, w których rękach zostały tylko dwa przyczółki. Klęska armii carskiej wydawała się nieunikniona. – Może odwożę cię z powrotem do Miechowa? – zaproponował z niepokojem w głosie.

– Tutaj nic mi nie grozi – odparła z pełnym przekonaniem, nie mając zamiaru wyrazić zgody na propozycje męża. Choć go nie kochała, rola pani doktorowej przypadła jej do gustu, a mieszkanie w dużym mieście wydawało się znacznie ciekawsze niż stagnacja w małym miasteczku, pod czujną kontrolą rodziców i dziadków. – Poza tym już kończę ten kurs i może się przydam, gdy w szpitalu pojawi się więcej rannych.

Nie chciała wprost powiedzieć, że wśród nich może się znaleźć Kaledin. Z jednej strony wolałaby, aby żadnej rany nie odniósł, z drugiej była to jedyna szansa na spotkanie z nim. Sama nie wiedziała, o jaką ewentualność się modlić. Jednak stałe przypominanie Stefanowi, że ona kochała innego, wydawało się Katarzynie okrucieństwem wobec męża, więc wprost o tym nie mówiła.

– Mogą zbombardować miasto – Kobierski sięgnął po ostatni argument, choć sam nie wierzył, aby Niemcy posunęli się do takiego barbarzyńskiego kroku. Przecież zbombardowanie Kalisza było ponoć dziełem przypadku.

– Miechów też mogą zbombardować – Katarzyna obstawała przy swoim. – Poza tym z tobą czuję się bezpieczniejsza niż z ojcem i matką – oświadczyła na koniec, chcąc przekonać Stefana, ale nagle zdała sobie sprawę, że jej słowa odpowiadały prawdzie.

Kobierski nie tylko otaczał ją troską, ale nigdy niczego nie wykorzystywał przeciwko niej, czego nie mogła powiedzieć o swym ojcu. Nie dość, że ją zamknął na klucz, to później wiele razy dawał wyraz swej niechęci, jaką żywił wobec dziecka, które ona nosiła w swym łonie.

Choć Stefan, słysząc słowa Katarzyny, poczuł ogromną radość, przyszło mu na myśl, że był to z jej strony taktyczny wybieg. Jednak sytuacja na froncie tak dalece uległa zmianie, że wkrótce pomysł wyjazdu do Miechowa okazał się nietrafiony. Rosjanie niespodziewanie przeszli do ofensywy i w ciągu kilku dni zażartych walk zagrozili okrążeniem armii niemieckiej, co zmusiło generała Hindenburga do wycofania się. Armia rosyjska, nie czekając na dalsze ruchy przeciwnika, ustawiła się na linii Uniejów–Przedbórz–Miechów–Koszyce, a to oznaczało, że i rodzinne miasto Katarzyny stanęło na drodze kroczącej maszyny wojennej. Gdyby Kobierski znał plany operacyjne obydwu walczących stron, wiedziałby, że pod Łodzią rozegra się krwawa bitwa, o której w szkołach będą się uczyć potomkowie tych, co wyjdą z niej cało. Reszta uśnie na wieki w trzystu rozsypanych po okolicy cmentarzach. Nie miał jednak pojęcia, że rosyjska Stawka rozpoczęła przygotowania do operacji pod nazwą „Walec Parowy”. Zakładała najpierw oskrzydlenie obydwu wrogich armii i uderzenie na zachód, aby zająć Śląsk i Morawy, a na

koniec Wiedeń i Berlin. Jednak te tajne plany zostały rozszyfrowane przez Niemców, którzy wraz z sprzymierzoną armią austro-węgierską natychmiast zreorganizowali swoje siły i przeszli do natarcia.

Naprzeciwko siebie stanęło niemal siedemset tysięcy żołnierzy, trzy i pół tysiąca karabinów maszynowych, trzy tysiące dział, niezliczona ilość bagnatów i szabel, a nawet trzy samochody pancerne i kilka aeroplanów. Każdego dnia prawie osiem tysięcy żołnierzy będzie składało swe życie w ofierze. To więcej niż w innych krwawych bitwach. Mając na kierunku uderzenia przewagę, Niemcy błyskawicznie parli do przodu, a generał Hindenburg nie miał zamiaru wypuścić z rąk inicjatywy strategicznej. Natomiast Rosjanie zachowywali się jak ta panna na wydaniu: i chciałabym, i boję się. To atakowali, to niespodziewanie się wycofywali lub zmieniali kierunki natarcia, co powodowało ogromne zmęczenie żołnierzy. Niektórzy dowódcy działali, jakby byli na manewrach, a nie na prawdziwej wojnie. Jeden z pułkowników, otrzymawszy rozkaz ataku od generała Rennenkampfa, który zdołał odbudować swoją armię po klęsce sierpniowej, odparł:

– Jakżeż mam atakować? Przecież jak zaatakujemy, Niemcy, nie daj Boże, strzelać zaczną i ludzi nazabijają!

Dywizja do ataku nie poszła. Być może niektórym życie to uratowało, ale innym odebrało. Inna dywizja, dywizja syberyjska, z Brzezin przez Stryków będzie musiała maszerować bez map, frontem rozciągniętym od Koluszek do Bedonia. O drogę będą pytać miejscowych, nie mając świadomości, że idą na niechybną śmierć. Toczące się walki w rejonie Torunia i Włocławska zaowocowały ustawieniem się korpusów rosyjskich na północ od Łodzi. A to oznaczało, że wojna dotknie także miasto i setki tysięcy jego mieszkańców.

Burza nadciągała powoli, lecz nieubłaganie. Jej pierwsze zwiastuny pojawiły się na początku listopada pod postacią uciekinierów z miejsc objętych walkami. Niektórzy zdołali zbiec jedynie z tobołkami na plecach. Inni do Łodzi dotarli na furmankach. Kolej nie funkcjonowała, tramwaje do Pabianic również. Ze sklepów zniknęły resztki żywności, której ceny i tak każdego dnia rosły w zastraszającym tempie. Kupno chleba graniczyło z cudem. Ponoć cały zapas mąki zarekwirowało wojsko. O ile dla Katarzyny w pierwszych miesiącach ciąży jedzenie mogło nie istnieć, o tyle od kiedy jej brzuch się zaokrąglił i każdego dnia się powiększał, była nieustająco głodna i mogła zjeść każdą ilość, nieważne czego. Stefan często, kłamiąc, że już obiad zjadł w szpitalu, odstępował jej swoją porcję mięsa.

Wkrótce w Łodzi dały się słyszeć odgłosy walk toczących się w pobliskich miejscowościach: Konstancynie, Aleksandrowie, Zgierzu i Strykowie. Kanonada artylerii, wybuchy bomb, terkot karabinów maszynowych, warkot aeroplanów nad głowami wzbudzały wśród łodzian ogromny niepokój. Z przerażeniem obserwowali łuny pożarów, które niespodziewanie rozkwitły na niebie, jakby cały świat wokół Łodzi zapłonął. Wciąż jednak mieli nadzieję, że ich ten armagedon ominie, że wojna przetoczy się tuż obok, zamiatając swoim ognistym i krwawym ogonem jedynie przedmieścia. Z dnia na dzień rosła liczba rannych zwożonych do miejskich szpitali. To już nie były setki, lecz tysiące osób. Wkrótce zabrakło łóżek i w szpitalu zaczęto zamieniać szkoły i budynki użyteczności publicznej, wszystkie, które choć trochę do tego celu się nadawały.

Katarzyna mimo sprzeciwów Stefana przywdziała fartuch oraz czepek oznaczone czerwonym krzyżem i starała się być pomocna, choć niewiele jeszcze umiała. Nagle do niej dotarło, że pośród żołnierzy rosyjskich na sali leżą także Niemcy, których Stefan na równi z innymi operuje i zakłada opatrunki.

– Dlaczego to robisz? – spytała ze świętym oburzeniem w głosie, kiedy ze szpitalnej kuchni przyniesiono im do lekarskiej dyżurki ciepły posiłek. Chodzenie do domu na obiady już



nie wchodziło w grę. Personel medyczny nocował w szpitalu. – Oni nas bombardują, strzelają do nas, a my mamy im życie ratować?!

– Zastanów się, co ty mówisz – odparł Stefan, nie podnosząc na Katarzynę wzroku, który miał utkwiony w talerzu zupy. Był zbyt zmęczony, aby bawić się w konwenanse.

Nie zastanowiła się. Była na Niemców wściekła, że chcą zabić jej Igora, i to wystarczyło, aby życzyć im wszystkiego najgorszego. Po chwili zrozumiała po swojemu, o co Stefanowi chodziło. Nawet nie musiał mówić, że rannego Kaledina też zawiozą do szpitala, może niemieckiego czy austriackiego. Co się z nim stanie, jeśli odmówią mu pomocy tylko dlatego, że był Rosjaninem? Poczciwy Stefan, pomyślała i spojrzała z czułością na Kobierskiego.

Choć zawsze był szczupły, w ostatnich dniach bardzo zmizerniał. Z braku czasu się nie golił i jego wychudzone policzki pokrywał szpakowaty zarost, a pod oczyma pojawiły się cienie, dodając mu lat. W poplamionym krwią fartuchu, z gęstymi włosami, które nerwowym gestem odgarniał z czoła, z ciąglym wyrazem troski na twarzy, wydał się nagle Katarzynie niezwykłym człowiekiem, który potrafił poświęcić się dla dobra innych. Sięgnęła przez stół i ujęła go za rękę. Chciała mu to powiedzieć, gdy do dyżurki wpadł jak bomba Władek Zawadzki.

– Przywieźli nowy transport rannych! – krzyknął w progu. – Jesteście potrzebni!

Kobierski bez namysłu odłożył łyżkę na stół i pobiegł za Zawadzkim. Katarzyna łakomie spojrzała na prawie pełen talerz zupy, westchnęła z żalem i podjąwszy decyzję, ruszyła za nimi. Przywieziono ciężko rannych żołnierzy z oddziałów syberyjskich, którzy po raz pierwszy w życiu, właśnie pod Łodzią, ujrzeni las, Las Gałkowski, gdzie walczyć nie potrafili. Pociski artyleryjskie i kule karabinowe odłupywały od pni długie i ostre drzazgi, które raniły ciało nie gorzej niż ołów. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy zostało w tym lesie już na zawsze.

Najgorsze jednak przyszło nazajutrz. Mieszkańców Łodzi obudziła potworna kanonada. Z okien sypały się szyby, a każdy wybuch poprzedzał koszmarny dźwięk, jakby wycie konającego zwierzęcia. Niemiecki ostrzał artyleryjski nie oszczędzał nawet centrum. Bomby spadały na kamienice, dworzec kolejowy, urzędy, a także na kościoły i parki. Przerazona Katarzyna wraz z kucharką i służącą schroniły się do piwnicy. Upadły na kolana przed obrazem przedstawiającym Chrystusa na krzyżu, który służąca porwała ze ściany w swojej sypialni. Ostrzał artyleryjski trwał do obiadu. Kiedy tylko nastała cisza, Katarzyna, za nic mając nakaz Stefana, aby z powodu zaawansowanej już ciąży do szpitala nie przychodziła, włożyła strój sanitariuszki, na ramiona narzuciła płaszcz i puściła się drobnym truchtem przez przyprószony śniegiem park w stronę szpitala. Z prerażeniem ujrzała zburzoną werandę cukierni, do której jeszcze nie tak dawno wstępowali ze Stefanem na kawę i kremówki. Niewiele też zostało z zegara słonecznego i terakotowych figurek zwierząt, zdobiących parkowe alejki. Zanim dotarła do szpitala, minęła po drodze gruzy kamienic i szczątki rozerwanych przez szrapnele koni. Bardziej odważni łodzianie, za nic mając obawę przed ponownym atakiem, już ćwiartowali zwierzę, ciesząc się, że będą mieli co jeść.

W szpitalu zastała istne piekło. Z uwagi na szkody, jakie czyniły pociski artyleryjskie, podjęto decyzję o przeniesieniu rannych z sal położonych na wyższych piętrach do piwnic i na parter. Jeszcze nie uporano się ze zniesieniem jednych, gdy już zwożono następnych, wymagających interwencji chirurgicznej lub przynajmniej założenia opatrunków. Sanitariuszki i sanitariusze uwijali się jak w ukropie, nie nadążając z niesieniem pomocy. Kobierski i Zawadzki nie wychodzili z sali operacyjnej, do której wnoszono wciąż nowych rannych, a wynoszono tych pozaszywanych lub zmarłych, bo na operację już było za późno. Minął dzień, a sznur jęczących i rżących mężczyzn przewijał się po szpitalnym korytarzu, nie mając końca i początku.

– *Siestriczka*, wody – dochodziło z każdego kąta, z każdego niemal łóżka.

- Zróbcie coś, ja umieram...
- Na litość boską, niech ktoś mi pomoże...
- Boże, ratuj, Boże, zmiłuj się nade mną!
- Dobijcie mnie. Na miłość boską, dobijcie!
- Pić, dajcie pić...

– Siostrzo, niech siostra napisze do mojej matki... – nagle tuż obok Katarzyna usłyszała polskie słowa z ust niemieckiego żołnierza. Otrzymał postrzał w klatkę piersiową.

– Napiszę – obiecała i przysiadła na brzegu łóżka. – Skąd znacie język polski? – spytała, wyjmując z kieszeni kawałek kartki i ołówek. Takich próśb zdarzały się setki, jeśli nie tysiące, więc wszystkie sanitariuszki były na takie sytuacje przygotowane.

– Jak to skąd? – spojrzał na nią nic nierozumiejącym wzrokiem. – Z domu...

– Z domu? – zastygła z ołówkiem w ręku.

– Pochodzę z Poznania – szeptał w wysiłkiem. Miał przestrzelone płuco. – Nazywam się Wincenty. Wincenty Władysiak.

Choć Katarzyna miała świadomość, że Polacy zostali wcieleni do trzech armii zaborczych, tak naprawdę nigdy o tym nie myślała ani nie zastanawiała się, jakie to niosło za sobą następstwa. Teraz dopiero w pełni zrozumiała całą tragedię tej sytuacji i poczuła lodowate ciarki na plecach. Przecież ona miała kuzynów w Poznaniu. Oni też poszli na front. A ona nie chciała opatrywać niemieckich żołnierzy! To miał na myśli Stefan, a nie Kaledina.

Nie miała jednak czasu na zastanawianie się nad własną naiwnością. Już wołali ją kolejni ranni. Biegała od jednego do drugiego, starając się ulżyć im w cierpieniu. Tych mówiących po polsku okazało się wyjątkowo dużo, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Nawet ci z dywizji syberyjskiej mówili po polsku, bo jej skład uzupełniono pod Warszawą. Wkrótce zabrakło łóżek i ranni leżeli na wiązkach słomy lub wprost na zimnej betonowej posadzce. W szpitalu, tak jak w całym mieście, od jakiegoś czasu zabrakło opału. Nie było węgla i drewna, a na dworze nastały mrozy. Wkrótce zabrakło też opatrunków. Nowi ranni leżeli po kilka dni bez bandaży, a stare opatrunki nie było czym zastąpić. Katarzyna podarła własną koszulę, aby zatamować krwotok jakiemuś młodemu żołnierzowi. Spojrzał na nią z wdzięcznością i skonał, kurczowo trzymając za rękę.

– Lekarza! – wołał ktoś na drugim końcu sali.

Katarzyna, uwolniwszy dłoń z ręki zmarłego, pobiegła w tamtym kierunku, lawirując pomiędzy leżącymi pokotem rannymi. Sanitariusze przynieśli żołnierza bez obydwu nóg i z raną klatki piersiowej. Nim Katarzyna podbiegła, zdążył skonać. Stefan wyszedł z sali operacyjnej dopiero nad ranem. Ujrzał Katarzynę w powalonym krwią fartuchu, uwijającą się pomiędzy rannymi, z twarzą bladą jak kreda, ze śladami łez na brudnych policzkach. Znalazł tylko tyle sił, aby do niej podejść i poprosić:

– Idź do domu i odpocznij, ja o niego popytam...

Usiadł na krześle pod oknem i natychmiast zasnął. Katarzyna pobiegła do dyżurki i przyniosła swój płaszcz, aby go okryć, bo koce były na wagę złota i brakowało ich nawet dla rannych. Wyjęła z kieszeni chusteczkę do nosa i zmoczywszy ją pod kranem, z którego ledwo kapłała woda, przetarła Stefanowi twarz z krwi i potu. Z przerażeniem spostrzegła wesz wędrującą mu po czole. Już wiedziała, dlaczego ją wszystko swędziało, że to nie nerwy ani brak kąpieli od kilku dni, lecz wszy. Ranni przywożeni masowo wprost z frontu byli nie tylko bardzo brudni, lecz także zapchleni i zawszeni. Bił od nich odór niemytych od wielu dni ciał i smród ropiejących ran. Walki toczyli, stojąc w prymitywnych okopach, gdzie często na dnie zalegało błoto, bo nie było dnia, aby nie padał deszcz lub śnieg. O wysuszeniu się lub ogrzaniu nie mieli co marzyć. Czasami przez wiele dni nie mogli zzuć niewygodnych butów, aby dać stopom

odpocząć. W miejscu ucisku wdawała się martwica. Zjawisko było na tyle powszednie, że nawet otrzymało własną nazwę – stopa okopowa. Jedyne ratunkiem była amputacja. Otwieranie okien w nieogrzewanym budynku nie wchodziło w grę z uwagi na panujący na dworze siarczasty mróz. Jedyne gorąca herbata, przynoszona przez Katarzynę ze szpitalnej kuchni, mogła dać rannym odrobinę ciepła.

Ze snu wyrwał Kobierskiego nowy transport rannych, w tym wielu w mundurach niemieckich, jak zaczęła o nich myśleć Katarzyna. Jakiś pułk został rozbity w drzazgi przez trzy rosyjskie samochody pancerne wyposażone w karabiny maszynowe. Niewielu niemieckich żołnierzy uszło z życiem. Z opowiadań uczestników tej walki wynikało, że Rosjanie uszkodzone w końcu samochody z pola bitwy wynieśli na własnych ramionach. Nad miastem pojawiły się też aeroplany. Jednak tym razem Rosjanie nie mieli zamiaru pozwolić, aby beztrudnie fruwały sobie jak ptaki po niebie. Skierowane ku nim lufy armat grzmiały raz po raz, ale chyba niecelnie. Pojawiające się na niebie obłoki przypominały Katarzynie monstrualnych rozmiarów pieczarki.

Jęki rannych, rżenie umierających i nawoływania cierpiących zagłuszały wszystko inne. Katarzyna nawet nie zwróciła uwagi, że ustała kanonada artylerii. Przypomniała sobie, jak dziadek Andrzej opowiadał o walkach powstańczych w Miechowie. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że tych wszystkich okropności, tego bólu, tych ran i cierpienia nie da się opowiedzieć, że trzeba to samemu przeżyć, ujrzeć na własne oczy, aby zrozumieć, jak straszna i niepotrzebna jest wojna. A ci, którzy tego nie doświadczą, będą przede do kolejnej.

Na koniec listopada przyszedł rozkaz ewakuacji szpitala, a to oznaczało tylko jedno. Że Rosjanie przegrywają i Łódź oddadzą Niemcom. Przez cztery dni sanitariusze znosili rannych do Grand Hotelu, gdzie stacjonował rosyjski sztab, a stamtąd wozami sanitarnymi transportowano ich do pociągów. W tym czasie walki toczyły się już w Łodzi. Rosjanie w poprzek Piotrkowskiej postawili barykady i ustawili stanowiska artyleryjskie. W wyniku walk do szpitala znoszono wciąż nowych rannych. Katarzyna uwijała się pomiędzy nimi jak w ukropie. Zakładając opatrunki, każdemu podsuwała przed oczy fotografię Igora i zadawała wciąż to samo pytanie:

– Widzieliście może tego żołnierza? To oficer dragonów...

W końcu jeden z nich, biorąc zdjęcie do rąk, szepnął spieczonymi gorączką ustami:

– Poznaję go. To porucznik Kaledin. Zginął w bitwie pod Tannenbergiem. Podczas szarży na gniazdo karabinów maszynowych.

## Rozdział 28

Paweł i Agnieszka Raweccy nie zdołali dogonić oddziału strzelców, z którym na wojnę wyruszył Albin. Pocieszali się, że Cezary, jako starszy i doświadczony, zaopiekuje się młodszym bratem i nie pozwoli mu zginąć podczas walk. Żarliwie modlili się o powrót wszystkich trzech synów z wojny. Jednak następujące szybko po sobie wydarzenia nie pozwoliły Raweckim pogрузić się w smutku i tęsknocie za dziećmi, które tak szybko jedno po drugim wyfrunęły z rodzinnego gniazda, a oni z dania na dzień zostali w czterech ścianach sami, zdani na łaskę i niełaskę przemieszczających się wojsk.

Miechów zaczął przypominać karczmę zajezdną narodów, w której żywił się, kto tylko chciał. Zmieniał się język urzędowy i władza. Wojska maszerowały raz w jedną, raz w drugą stronę, żadne na dłużej miejsca nie zagrzewając. Kolory mundurów zmieniały się jak w kalejdoskopie. Istna paleta barw: niebieskoszare płaszcze Austriaków, oliwkowe Prusaków, bure szynele Rosjan, czerwone portki huzarów czy czarne burki Czerkiesów. Łączyło ich jedno – każdego trzeba było nakarmić, każdemu dostarczyć koni, wozów, zboża czy bydła. A zapasy niewielkiego miasteczka topniały w oczach.

Najpierw Rosjan zastąpili strzelcy z polskim orzełkiem na czapkach. Tuż za nimi weszli Austriacy i na krótką chwilę objęli władzę. Raz jeszcze w mieście zagościli strzelcy, których już oficjalnie zwano legionistami. Zaraz za nimi do Miechowa weszli Niemcy, sojusznicy Austrii. Jednak i oni długo nie zabawili. Już 8 listopada na ulicach Miechowa pojawili się kozacy, a dzień później rozpoczął się przemarsz wojsk rosyjskich. Za nimi nadciągnęły dawne władze i żandarmi. Zaczęły się aresztowania i wywózki osób oskarżonych o sympatie dla legionistów. Nie minęło parę dni, gdy do miasta zaczęły docierać odgłosy toczących się walk – kanonada artylerii, wybuchy szrapneli, pocisków czy granatów, terkotanie karabinów maszynowych – a na niebie pojawił się austriacki dwupłatowiec. Odleciał jak niepyszny, gdy Rosjanie obrzucili go gradem ołowiu. Kilka dni później siedzący w niemieckim samolocie zwiadowczym piloci zauważyli startujący z miechowskich pól rosyjski aeroplan. Gdy wzbil się w powietrze, otworzyli do niego ogień z karabinów. Zapewne trafili, bo maszyna przechyliła się na bok i spadła, szczęściem nie czyniąc nikomu na ziemi żadnej szkody. Co ciekawsi mieszkańcy Miechowa wbiegali na strychy, aby z wysoka obserwować zmagania wojsk. Niektórzy zaopatrzyli się nawet w lornetki. Od czasu do czasu dostrzegli z daleka coś na kształt długiego rzędu ludzkich sylwetek, zgiętych w pół, biegnących przez pole zryte pociskami i bombami. Wyglądały jak miniaturowa armia ołowianych żołnierzyków, którymi lubią się bawić dzieci. Raz po raz tryskały czarne fontanny ziemi, dawał się słyszeć świst przelatujących pocisków artyleryjskich. Gdy zaczęły spadać w pobliżu miasta, wszyscy zbiegali do piwnic, taszcząc ze sobą kilofy i łopaty, aby w razie zasypania móc się przekopać na świat boży. Zabierali ze sobą chleb i wodę, nie wiedząc, ile czasu przyjdzie im spędzić w ciemnicy. Jedni żołnierze ścinali słupy telegraficzne i przewracali latarnie, drudzy stawiali je od nowa. Energia elektryczna raz była, to znowu jej nie było, i Miechów pogrążał się w egipskich ciemnościach rozświetlanych wojenną zorzą – łunami bliższych czy dalszych pożarów, które zdawały się nigdy nie gasnąć. Dochodzące raz z tej, raz z innej strony wieści były rozbieżne i nie nosiły pocieszenia.

Wraz z łunami pożarów do Miechowa nadciągnęły transporty rannych. Agnieszka i Paweł z niepokojem w sercach biegali wypytywać się o losy swych synów: Wiktora, Cezarego i Albina. Szczęściem żadnego z nich wśród rannych nie znaleźli, ale nie wiedzieli, czy był to powód do radości. Ponoć zmarłych grzebano na miejscu, często we wspólnych mogiłach, wróg obok wroga.

Gdy strzały karabinowe i kanonada artyleryjska umilkły, przez miasto przeciągnęła zdziękowana armia rosyjska, a władze wycofały się wraz z nią. Wówczas na Miechów spadły chmary maruderów i kozaczyzny, plądrując i rabując, co się dało. Ich łupem padło mieszkanie i zakład drukarsko-introligatorski Pawła Raweckiego.

W końcu w połowie grudnia kadryl w wykonaniu rozlicznych wojsk ustał, a Miechów we władanie objęli Austriacy, co mieszkańcy przyjęli z pewną ulgą. Okupanci nakazali dokonać wyboru burmistrza i członków rady miejskiej. Nowe władze miały za zadanie postawić raz jeszcze słupy telegraficzne, odbudować zniszczone podczas walk mosty, a nade wszystko zapewnić kwatery dla licznych żołnierzy przewijających się przez miasto. Z Krakowa Austriacy sprowadzili monterów, którzy naprawili jeden z dwóch młynów elektrycznych dostarczających prąd dla Miechowa, dzięki czemu światło rozbłysło już po kilku dniach, jeszcze silniej niż przed wojną, gdyż powiększono liczbę latarni stojących na ulicach. Jednak węgla i nafty dla mieszkańców wciąż brakowało. Chadzali więc spać z kurami, często o pustych brzuchach. W mieście ostało się tylko kilka sklepów, lecz towarów było tyle co kto napłakał. Wojska dokonywały rekwizycji chleba, mąki, zboża i trzody, a dowóz był ograniczony z powodu walk i braku koni, jedyne go środka transportu. Nastaly chłody, a wraz z nimi w oczy mieszkańców zaczął zaglądać głód.

Paweł Rawecki, jak co dnia przed wybuchem wojny, zaraz po śniadaniu wkładał garnitur, wiązał krawat pod szyją i wychodził do introligatorni. Jednak tam już nikt nie pracował. Robotnicy dostali karty powołania, ubrano ich w mundury i posłano na front. Ci, co się ostali, poszli ze strzelcami. Ostatnich pod broń powołali Austriacy, a maszyny i narzędzia rozkradziono. Rawecki chodził z kąta w kąt po pustych pomieszczeniach, nie mogąc sobie miejsca znaleźć. Siadał przy oknie i całymi godzinami gapił się na ulicę, po której przemierzali się przechodnie, usiłując nie powalać sobie obuwia w morzu błota, w które po opadach deszczu zamieniła się Szpitalna i pozostałe ulice. Niewielkie oszczędności szybko stopniały z powodu drożyzny, jaka zapanowała. Sprzedać nie było czego, bo kozacy zrabowali srebra i kosztowności. Wraz z nastaniem chłódów do pieca poszła część mebli. Zostawili sobie z Agnieszką tylko niezbędne sprzęty. Gabrysia pewnego dnia się ulotniła, bo nie starczało dla niej na pensję.

I wówczas Agnieszka wzięła sprawy w swoje ręce. Wysupłała z za stanika ostatni złoty wisiorek, zdjęła z palca obrączkę ślubną i bez słowa wyszła z domu. Wróciła po kilku godzinach, ale nie sama.

– Cóż się tutaj wyprawia? – spytał zdumiony Rawecki, widząc, jak jacyś dwaj mężczyźni zdejmowali z dwukołowego wózka i wnosili do pustej sali, będącej kiedyś jego introligatornią, stoliki i krzesła. Każde od innego kompletu.

– Nu, wielmożna pani Rawecka kazała nam tutaj dostarczyć, to przywieźlim – odparł jeden z nich, kulejący na prawą nogę. Drugi bez słowa, sapiąc z wysiłku, być może ponad jego wiek, targał z wózka kolejny stolik.

– Agnieszko – Paweł zwrócił się do żony, która właśnie nadeszła, lawirując pomiędzy błotnistymi kałużami, podczas nocnych przymrozków zamienionymi w miniaturowe lodowiska. Tuż za nią, ciągnąc niewielki wózek wypełniony pudłami o nieznanym Pawłowi zawartości, podążał jakiś pryszczaty wyrostek. – Czy możesz mi wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć?

– Nie możemy siedzieć beczynn timer – odparła i sięgnąwszy za stanik, wyjęła kilka kopiejek i wręczyła mężczyznom i chłopakowi. Skłoniwszy się z szacunkiem, podziękowali wylewnie, bo o jakakolwiek pracę było trudno, i pomknęli w stronę centrum. – Nie mamy maszyn introligatorskich, ale mamy lokal. Zakładamy jadłodajnię. Kupiłam jeszcze jeden samowar, herbatę, trochę marchwi i kaszy, a przede wszystkim kawałek świniaka, bo o mięso jeszcze jest najłatwiej. Będzie na początek. Później się zobaczy...

Paweł spoglądał na swoją żonę, jakby mu ją ktoś w nocy podmienił. Zawsze cicha, bez własnego zdania, całkowicie podporządkowana, nagle wzięła się do robienia interesów.

– Skąd wodę weźmiesz, aby statki zmywać? Przecież wiesz, że woziwoda już nie dowozi, bo konie zarekwirowało wojsko. Ja tylu wiader nie dam rady dźwigać – marudził, wciąż czując ból w krzyżu po przyniesieniu poprzedniego dnia dwóch wiader wody ze studni na przedmieściach. Przez ostatnie lata miechowskie studnie powysychały, a Rosjanie nowych nie pozwalali kopać, tłumacząc nadgranicznym położeniem miasta. Tę w rynku sami zasypali ciałami powstańców.

– Chłopaka najmę – machnęła ręką, ustawiając na półkach talerze i kubki. Niektóre były dość mocno sfatygowane.

– A kto będzie to wszystko gotował? Przecież ta bezczelna Gabrysia razem z kucharką się wyniosły Bóg wie dokąd. Może jak te markietanki za wojskiem poszły – dorzucił z pogardą. Przez Pawła przemawiała złość na niedawną kochankę, która jak się okazało, nie z miłości do jego nadwątlonej wiekiem męskości, ale dla prezentów, którymi ją obdarowywał, nie szczędziła mu swych wdzięków. Gdy prezentów zabrakło, ulotniła się jak kamfora.

– Ja będę gotować – odparła Agnieszka z mocnym postanowieniem. Nie miała zamiaru poddać się losowi. Musiała trwać na posterunku i czekać na powrót dzieci z wojny. – Zupę ugotować to żadna filozofia. I każdy chętnie zje, zwłaszcza te austriackie wojaki, bo ich ciągle ziemniakami karmią. Gorącą herbatą też nie pogardzą. Cukierni przecież już nie ma, bo wojsko w pocztę połową zamieniło. Już sobie wszystko wyliczyłam. Na samej zupie zarobię kilkanaście rubli dziennie. Ty wiesz, że za szklankę cieniutkiej herbaty z kawałkiem cukru baby w mieście wołają piętnaście kopiejek? – spytała stojącego niczym słup soli męża.

– Cóż ta wojna z ludzi porobiła... – Westchnął ciężko z żalu za czasem, który minął bezpowrotnie, i zasępiony wrócił do mieszkania.

\*

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Pierwsze podczas wojny. Wszyscy modlili się, aby też i ostatnie, choć nadchodzące z frontów wieści nie napawały nadzieją. Śnieg spadł już na koniec listopada, a w grudniu przyszły mrozy, ścinając rozmiękłe, błotniste drogi, co znacznie ułatwiło Agnieszce i Pawłowi dotarcie pieszo do Porętowa. Konie i bryczkę zdążyli sprzedać, zanim rozpoczęły się rekwizycje. Po drodze nie napotkali ani jednego dworskiego powozu czy sań, ani jednego chłopskiego wozu. Wszystkie konie poszły na wojnę. Wiele zginęło od kul, bomb i szrapneli, a na koniec zostały zjedzone przez wygłodzoną ludność.

Ze zdumieniem spoglądali na obsiane oziminą pola, częściowo rozdeptane, częściowo rozkopane. Długie łańcuchy rowów strzeleckich ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Niczym uliczki ryte w glebie, niektóre tworzyły główne arterie, od których rozgałęziały się przecznice. Te z kolei prowadziły do podziemnych schowków, mających dać zabezpieczenie przed ostrzałem wroga. Po kilku dniach walk i tak już wyboista droga została całkowicie zryta pociskami, po których pozostały głębokie na metr lub dwa leje. Częściowo wypełniły się wodą po opadach deszczu. Wiejskie chałupy rozrzucone po okolicy, jeszcze nie tak dawno cieszące oko zgrabnym kształtem czy murowanymi ścianami, zadbanym obejściem pełnym kwiatów latem, świadczące o dostatnim życiu właścicieli, teraz straszyły wypalonymi oczodołami pustych okien, zburzonymi dachami, poprzewracanymi płotami. Po mieszkańcach wszelki ślad zaginął.

Widok wszechobecnych ruin i zgłiszcz nappełnił Raweckich głębokim smutkiem. Tą samą drogą zaledwie przed rokiem jechali sańmi na pasterkę. Wokoło, choć trzaskał mróz, kwitło życie, w oknach jaśniało światło lamp naftowych, dymy z kominów ochoczo pięły się ku niebu. Teraz kraina wydawała się wymarła. Ani ludzi, ani zwierząt. Choć żadne głośno tego nie

wypowiedziało, w ich sercach zagnieździł się lęk o rodziców, od których ostatnio nie mieli żadnych wieści. Paweł przyspieszył kroku, mimo zadyszki, która mu stale dokuczała. Agnieszka dzielnie dotrzymywała mu tempa.

Toteż widok dworu, którego białe ściany błysnęły pomiędzy drzewami, wywołał na ich ustach uśmiech radości. Stał nienaruszony, a w oknach odbijały się promienie zachodzącego słońca. Jednak gdy podeszli bliżej, dostrzegli w znacznej mierze zrujnowane zabudowania gospodarcze. Z obory pozostały jedynie fragmenty murów, a dach stodoły zapadł się do wnętrza i częściowo spłonął. Otwarte na oścież drzwi ukazywały pustą stajnię. Po koniach nie pozostała nawet wiązka siana. Z sercami pełnymi niepokoju weszli na ganek i Paweł energicznie zastukał do drzwi. Uchyliły się po dłuższej chwili, a w szparze ukazała się załęczniona twarz Antosiowej.

– Mój Boże! Toż to młodsze państwo Raweccy, a nie kozaki! – krzyknęła w głąb domu i szeroko otworzyła skrzypiące ze starości drzwi. – Jaka radość! Co za niespodzianka! – Rogiem kwiecistej chusty, którą miała zawiązaną na głowie, ocierała łzy radości toczące się po jej zwiędłych policzkach.

Już po chwili powitać syna i synową wyszli z jadalni Apolonia i Andrzej. Sprawiali wrażenie znacznie starszych niż jeszcze kilka miesięcy temu. Posiwili i pogarbili się, jakby przysypał ich popiół okolicznych pożarów, a ciężar wojennych wydarzeń dźwigali na własnych grzbietach. Na widok syna i synowej twarze starych Raweckich zajaśniały szczęściem. Zасыpując Pawła i Agnieszkę pytaniami, poprowadzili ich do jadalni, gdzie już nakryto do kolacji wigilijnej. Jakże ona była różna od tej sprzed roku! Nie tylko zabrakło gwaru młodego pokolenia, przekomarzania się braci, szczebiotu Katarzyny i Darii, kolorowo przystrojonej choinki, ale także tej atmosfery rodzinnego szczęścia i magii, które zawsze w tym dniu wypełniały dwór Raweckich. Jedynie czerwony barszcz w porcelanowej wazie i siano pod białym obrusem przypominały, że oto nadeszły kolejne boże święta, te najważniejsze w roku, kiedy to cała rodzina dzieliła się opłatkiem. Agnieszka i Paweł w prezencie dla rodziców przynieśli głowę cukru, słusznie się domyślając, że tego towaru na wsi brakuje.

– Dziecko drogie! – zawołała uradowana Apolonia. Bez cukru żadną miarą nie mogła smażyć konfitur, za którymi przepadał Andrzej. – Skąd u was takie rarytasy? Mówią, że po miastach ludzie głodują...

– Moja żona prowadzi w Miechowie jadłodajnię – nie bez dumy oświadczył Paweł, który dość szybko pogodził się z utratą pozycji żywiciela rodziny. Jak kiedyś był przeciwny wszelkim hasłom głoszonym przez emancypantki, tak teraz w duchu przyznał im rację. Gdyby nie zaradność żony, przyszłoby im umrzeć z głodu lub żebrać po ulicach. – Weszła nawet w konszachty z austriackim kwatermistrzostwem i dzień po dniu wymienia ślubną wyprawę Katarzyny na niezbędne w kuchni produkty.

– I tak wysłać jej tej atłasowej pościeli nie dałam rady. Ocalała tylko dzięki temu, że jeszcze leżała u szwaczki, bo inaczej padłaby łupem jakiegoś kozaka – wtrąciła Agnieszka, serwetką ocierając usta powalane barszczem. – Grasowali przecież po mieście przez kilka dni. Rabowali, co im w łapy wpadło.

– Mój Boże – westchnął Andrzej. – To aż tak się tam wyprawia. – W pamięci mignął mu obraz powstańczych walk i rabunku, którego na bezbronny mieście dokonali rosyjscy żołdacy.

– Niewiele brakowało, a Paweł zostałby aresztowany i zesłany do Rosji – dorzuciła Agnieszka. W tym momencie poczuła dyskretne kopnięcie męża pod stołem. Widać nie chciał niepotrzebnie martwić rodziców. – Daliśmy oficerowi łapówkę, to odstąpił – dorzuciła szybko, widząc przerażenie malujące się na twarzy teściowej.

– Chryste Panie – jęknęła Apolonia. – A za co, synku, chcieli cię aresztować? Przecież ty się w politykę nie bawisz. Ty nawet byłeś przeciwny, aby Cezary wstąpił do strzelców.

– To prawda – odparł Paweł i sięgnął po polane masłem pierogi, których pełen półmisek postawiła na stole Antosiowa. – Ale jakiś Judasz doniósł, że Cezary i Albin poszli do batalionu strzelców.

– Albin?! Przecież to jeszcze dziecko! – jednym głosem krzyknęli Pola i Andrzej i błyskawicznie spojrzeli po sobie.

Pewnej nocy oboje śnili ten sam koszmar. Ich wnuk leżał zaplątany w druty kolczaste, rozstawiane przed liniami okopów, aby wróg się nie przedostał. Nad nim, na szeroko rozkraczonych nogach, stał żołnierz w brudnym szynelu i zamierzał się, aby kolbą karabinu roztrzaskać chłopcu głowę.

– Jak go znam, to nakłamał komisji werbunkowej – ciągnął dalej Paweł, nie zwróciwszy uwagi na nagle pobladłe twarze rodziców. – Myśmy nic nie zauważyli, bo głowy mieliśmy zaprzątnięte ślubem Kasi...

– No tak – westchnęła Pola, przypomniawszy sobie, w jakie kłopoty wpuściła rodzinę i siebie jej starsza wnuczka. – Co u niej słyhać? – spytała dość oględnie, ale chodziło tylko o jedno: czy Kobierski niczego się nie domyślał.

– Otrzymaliśmy zaledwie jeden list, kiedy był w Łodzi jeszcze spokój, a u nas stacjonowali Rosjanie. Wiktor ostatni list napisał w sierpniu. Podał nam adres poczty polowej, więc mu odpisałem, ale czy dostał list, tego nie wiemy. Teraz już poczta nie dochodzi. Front przecież. – Paweł zmarkotniał. Brak wieści od dzieci leżał mu kamieniem na sercu. – W gazetach piszą, że Łódź Niemcy zajęli. Od Cezarego i Albina też nie mamy żadnych wiadomości. Może teraz jakieś listy nadejdą, bo w Miechowie pocztę polową Austriacy założyli. Nie mamy też wody, bo wozowodom konie wojsko zarekwirowało. Ludzie sami muszą nosić wiadrami ze studni po wsiach. Nie ma węgla ani drewna na opał, a Austriacy wymyślają coraz to nowe utrudnienia...

– Niech sobie ojciec wyobrazi, że nie dalej jak wczoraj nowe rozporządzenie wydali. Dzwonienia w kościołach zabronili – Agnieszka wpadła mężowi w słowo. – A sklepy o siódmej trzeba zamykać.

– Nie wolno zebrań żadnych urządzać, ani w domu, ani na ulicy. Ani bez przepustek chodzić poza obręb miasta. I broń, nawet myśliwską, musieliśmy oddać. O obcych, którzy pojawią się w mieście, mamy władzy wojskowej meldować – wyliczał Paweł zbulwersowany polityką okupacyjną władz austriackich. Kowalski miał rację, że to taki sam zaborca jak inni, pomyślał srodze zawiedziony.

– Zabronili wódkę sprzedawać i pomyje wylewać na ulicę, ale to akurat dobrze, bo już taki smród i brud, jaki się panoszył, był nie do wytrzymania. Ulice też nakazali zamiatać... – dodała Agnieszka.

– U nas także wesoło nie było – westchnął Andrzej. – Przez trzy miesiące przeróżne wojska musieliśmy obsługiwać. Warsztaty naprawcze po wsiach pozakładali. Niszczyli narzędzia rolnicze, aby pozyskać żelazo potrzebne do naprawy armat, kucia podków, okuwania dyszli i tak dalej. Zużyli tysiąc pudów węgla, spalili drewno opałowe i budulcowe, skonfiskowali całą paszę dla bydła. Później skonfiskowali także i bydło. O koniach już nie wspominam. – Machnął z rezygnacją ręką i się zasępił. – A Niemcy to już pokazali szczyt bezczelności! – rozsierdził się na samo wspomnienie. – Wyobraźcie sobie, że za jajeczko czy papieroska to zapłacił te parę fenigów, ale za wozy, bryczki, konie, bydło czy świnię to kwity jedynie wystawili. Jak na razie nikt do płacenia się nie kwapi.

Na moment zapadła cisza, przerywana buzowaniem ognia w piecu. Z uwagi na święta napalono, choć węgla i w Porętowie brakowało.

– Lala od czasu do czasu do nas zagłąda – Andrzej przerwał panującą ciszę. – Klasztor



dysponuje bryczką i parą koni, starych, bo starych, ale te parę wiorst dają radę. W Krakowie to już prawie Polska – oznajmił z radością i wstał od stołu, aby przynieść plik krakowskich gazet leżących na kredensie. – Jest tutaj artykuł o Piłsudskim i jego strzelcach. Po ciężkich walkach w okolicach Kielc, o których pisał mi Leopold... Nawiasem mówiąc, Leopold i Liza zabrali dzieci i wyjechali do Petersburga. Tam z pewnością Niemcy nie dojdą. Nawet Napoleon nie dał rady. Od Eweliny żadnych wieści, niestety. A więc kiedy strzelcy po swym nieudanym wystąpieniu opuścili Kielce – siadając za stołem, wrócił do poprzedniego tematu – wydawało się, że Austriacy wcielą ich oddziały do swojej armii, a to oznaczałoby koniec marzeń o niepodległości. Ponoć Piłsudski nosił się z zamiarem popełnienia samobójstwa, ale go od tego odwiedli. Na szczęście polscy politycy w Galicji zdołali dojść do porozumienia z rządem jego cesarsko-królewskiej mości i zdecydowano na bazie batalionów strzeleckich powołać u boku armii austriackiej Legiony Polskie. Jeden w Krakowie, a drugi we Lwowie.

– W polskich mundurach czy austriackich? – zainteresował się Paweł. Odsunął pusty talerz po pierogach i sięgnął po szklankę z kompotem. Na wigilijnym stole zabrakło karpia i słodkiej chałki, a nawet klusek z makiem.

– W polskich, a jakżeż by inaczej? – zaperzył się Andrzej. – Z polskim dowództwem, z polską komendą i własnymi sztandarami. Jedynie opaskę w barwach austro-węgierskich mają nosić. No i ta przysięga... – Umilkł na chwilę, bo i jemu, podobnie jak tysiącom innym, tekst roty nie przypadł do smaku. – Przysięgę będą składali na wierność cesarzowi... – dorzucił z niesmakiem.

– A więc koncepcja monarchii trialistycznej – zauważył markotnie Paweł. Odkąd rządy w Miechowie objęli Austriacy, ta koncepcja przestała mu się podobać. Wprowadzili rekwizycje, głodowe przydziały żywności oraz przeróżne nakazy i zakazy. Za niesubordynację zagrozili karą śmierci. – I co jeszcze napisali w gazetach o tych Legionach? Jak ojciec sądzi, w ich szeregach walczą nasi chłopcy?

– Z pewnością. – Andrzej sięgnął po kolejną gazetę i chwilę ją wertował, zanim znalazł interesujące go informację. – 5 września, jeszcze w Kielcach, legionieści złożyli tę nieszczęsną przysięgę i zaraz ruszyli na front. Do końca września walczyli z Rosjanami w trójkącie Wisły, Nidy i Dunajca. Później kilka batalionów dowództwo austriackie skierowało do walk o Warszawę i Iwanogród. Ponoć ponieśli tam ciężkie straty. Ale naszego nazwiska w wykazie poległych nie znalazłem – dorzucił szybko, widząc przerażenie malujące się na twarzy Agnieszki. – Reszta batalionów walczyła nadal na południu Polski i w Galicji. Ostatnia informacja, którą zamieścili w gazecie, opisuje wejście Legionów do Nowego Sącza. Ponoć sformowano tam I Brygadę Legionów, a sam Piłsudski, otrzymawszy stopień brygadiera, objął nad nią dowództwo. Jeśli nasi chłopcy trafili pod jego komendę, to Bogu niech będą dzięki.

– Bardziej konkretnych informacji nie ma ojciec? – dopytywała się Agnieszka. Cóż ją obchodził ten cały Piłsudski, który skradł jej dwóch synów i posłał ich do walki z trzecim.

– Mieliśmy całkiem niedawno niewielkie spotkanie towarzyskie garstki ziemian, aby ustalić jakieś wzajemne formy pomocy sąsiedzkiej – Andrzej przypomniał sobie pewien szczegół. – No i chodziło też o zebranie kwot na to nasze wojsko, bo zwrócili się z apelem. Chodzą słuchy, że z braku żywności muszą dokonywać rekwizycji. Nie świadczy to dobrze o naszym społeczeństwie. Kto by pomyślał, że po tych wszystkich zsyłkach, aresztowaniach i innych rosyjskich represjach nie pospieszą z pomocą swojemu wojsku – oświadczył głosem pełnym pretensji i żalu do współobywateli. – Ja przecież konie i siodła dałem od razu, resztę zarekwirowali Rosjanie. Ostała się tylko stara Baśka, ale dobre i to... – Umilkł na chwilę i powiódł pytającym spojrzeniem po rodzinie. Na śmierć zapomniał, do czego zmierzał.

– Miał ojciec podać bardziej konkretne informacje o naszych synach – przypomniała mu

Agnieszka.

– Aha! A więc spotkałem pana Puślawskiego, który musiał opuścić swój majątek w Czakrach, bo Rosjanie puścili go z dymem. Ledwie z życiem uszedł. Jednak zanim do tego doszło, to gościł u siebie oddział ułanów z 1. Pułku. Jeden z oficerów miał na imię Cezary, ale o Albina nie pytałem, bo jeszcze wówczas nie miałem pojęcia, że wam chłopak nawiał.

Kiedy nastał późny wieczór, Antoni zaprzął klacz do sań i Raweccy, jak co roku od lat, ruszyli ośnieżonym traktem do Miechowa na pasterkę. Srebrna tarcza księżycy rzucała zimne światło na pokryte śniegiem pola i drogę. Ruiny i zgliszcza wiejskich chat czerniły się złowrogo w bliższej i dalszej odległości. Grobową ciszę zakłócał głuchy tętent końskich kopyt o zmrożony na lód śnieg. Wieszanie dzwoneczków na końskiej szyi miało się z celem. Lepiej, aby nikt nie wiedział, że ktoś po nocy zaprzęgiem podążał pustą drogą.

W kompletnej ciszy opatuleni w zimowe okrycia mieszkańcy Miechowa na kształt wąskich strumyczków zmierzali przysypanymi śniegiem ulicami w stronę kościoła Bożogrobców. Jeszcze na dobre nie zanurzyli się w mroku świątyni, z trudem rozpraszanym przez świece ustawione w lichtarzach, a już w swych myślach zwracali się do Najwyższego, mając w pamięci słowa wyryte na kamiennym krzyżu stojącym nieopodal wejścia: „Panie powstrzymaj gniew swój i nie karz nas. Odwróć od nas głód i zachowaj od krwawej wojny”. Choć wyryte sto dwa lata temu, znowu zyskały na aktualności.

Raweccy zajęli miejsca w ławach ustawionych bliżej ołtarza. Zbili się w ciasną gromadkę, aby choć trochę ogrzać się własnymi ciałami. Wygaszono świece i w ciemnościach, przy akompaniamencie organisty, w pełnej po brzegi świątyni poniosły się słowa kolędy:

*Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi:*

*Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi!*

*Czem prędzej się wybierajcie,*

*Do Betlejem pospieszajcie*

*Przywitać Pana.*

Jednak klimat nabożeństwa w niczym nie przypominał radosnej atmosfery narodzin Pańskich sprzed roku. Zarówno kazanie proboszcza, jak i myśli wiernych krążyły wokół toczącej się wojny, śmierci i zniszczenia, jakie ze sobą niosła. Z ambony padło wiele nazwisk miechowskich synów, którzy już zdążyli złożyć swe życie w ofierze, walcząc w obcych mundurach nie za swoją sprawę. W pewnym momencie Andrzej poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Obejrzał się za siebie i ujrzał twarz mężczyzny pokrytą ciemnym zarostem, skrytą w cieniu kaptura zarzuconego na głowę. Był to ten sam człowiek, który przed laty uratował mu życie podczas walk o Miechów. Miał nawet na sobie tę samą pelerynę zarzuconą na ramiona, z czerwonym gryfem na jednym ramieniu i krzyżem bożogrobców na drugim. Nie zaskoczyło go, że ów mężczyzna nic a nic nie posunął się w latach, choć minęło ich tak wiele. Andrzej w tym czasie całkiem zdążył się zestarzeć. Osiwiał, skurczył się w sobie i przygarbił.

– Andrzeju – szepnął mężczyzna, pochylając się do ucha starego Raweckiego. – Już nastał twój czas...

– Tak szybko? – zdziwił się i poczuł skurcz żalu w sercu. – Mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Trzeba z wiosną ziemię obsiać, moją Polą muszę się opiekować, bo słabowita jest na starość, planowałem stodołę odbudować... – wyliczał liczne obowiązki, mając nadzieję, że się wymiga.

– Apolonia sobie poradzi. Nie jest taka słaba, jak się wydaje. Stodołę Paweł odbuduje i pola obsieje – przekonywał go mężczyzna w czarnej pelerynie i wstał z ławy. – A ty wnukom bardziej będziesz potrzebny, gdy nastanie ich czas – dorzucił, kierując się do wyjścia.

Andrzej ze łzami w oczach obrzucił ostatnim spojrzeniem swą żonę, zatopioną w żarliwej

modlitwie, zapewne o zdrowie i życie wszystkich Jaxa-Raweckich, ostatni raz spojrzął na swego syna pierwородnego i ruszył w ślad za mężczyzną. Jeszcze tylko w progu się odwrócił i ujrzawszy siebie siedzącego w ławie ze zwieszoną na piersi głową, opuścił świątynię.

## Rozdział 29

Bitwa o Łódź zbliżała się ku końcowi. Choć strona rosyjska wciągnęła przeciwnika w pułapkę i zdołała go niemal okrążyć, generał Rennenkampf, ten sam, który przyczynił się do dwukrotnej klęski generała Samsonowa, także i w tej bitwie wykazał się brakiem decyzyjności i mizerną znajomością kunsztu wojkowego, pozwalając Niemcom wydostać się z kotła. Po kilkunastu dniach krwawych zmagani Niemcy i ich sprzymierzeńcy otoczyli Łódź z trzech stron, lecz zabrakło im sił, aby pierścień okrążenia zamknąć całkowicie. Wówczas dowódca rosyjskiego frontu, generał Ruzski, zdając sobie sprawę z wykrwawienia swojej armii, wydał rozkaz wycofania wojsk z miasta. Zgromadzone w Skierniewicach setki pociągów, które miały posłużyć do wywożenia w głąb Rosji wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich, teraz użyto do transportu własnych rannych.

Wraz z nimi miasto opuszczali niektórzy mieszkańcy Łodzi i okolicznych wsi. Ze strachu przed Niemcami. Nie tylko widzieli na własne oczy bestialskie bombardowanie miasta, ale ich wyobraźnię podsycali opowieści tych, którzy zdołali zbiec przed Niemcami z Włocławka, Konina, Kutna. Niektórzy z całym dobytkiem załadowanym na furmankę gnali na zachód, inni z tobołkami na plecach usiłowali wcisnąć się do pociągu. A to graniczyło z cudem. Towarzyszyła im kanonada armatnich salw, huk bomb zrzuconych przez niemieckie samoloty i grad pocisków spadających na miasto. Jeszcze spoglądali za siebie ze złudną nadzieją, ale widoczne na horyzoncie niebo żegnało ich krwawą łuną pożarów, nie pozostawiając żadnych złudzeń.

Kobierski i Zawadzki usadowili Katarzynę w przedziale zarezerwowanym dla lekarzy ze szpitala wojkowego. Siedziała sztywna jak manekin, nie zwracając uwagi na otaczający ją świat. Zastygła w swej rozpacz tak strasznej, że nie potrafiła nawet uronić jednej łzy. Nie odpowiadała na pytania i wpatrywała się w Stefana szeroko otwartymi oczyma, jakby spotkała go po raz pierwszy w życiu. Widząc, jak kurczowo ścisnęła w rękę fotografię Igora, domyślił się, że ktoś w końcu udzielił jej informacji o jego losie. I musiała być to informacja straszna. Kiedy pociąg w końcu ruszył, Stefan wyciągnął z torby lekarskiej strzykawkę i fiolkę ze środkiem uspokajającym. Katarzyna nawet nie zwróciła uwagi na delikatne ukłucie. Po chwili osunęła się na kolana Stefana i zasnęła. Obudziły ją dopiero hałasy na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie. Częściowo zamieniony na szpital dla rannych, pękał w szwach. Na placu przed dworcem kłębił się tłum ludzi, którzy z niepokojem oczekiwali przybycia krewnych z terenów objętych walkami. Gwar i hałas wszędzie. Wokoło słychać było podekscytowane głosy opowiadające o bombardowaniach, wysadzanych w powietrze mostach, spalonych wsiach, rekwizycjach, rozstrzeliwaniach podejrzanych o zdradę czy szpiegostwo.

Kiedy Katarzyna otworzyła oczy, wybuchnęła szlochem, któremu nikt się nie dziwił. Takich cierpiących po stracie najbliższych były setki tysięcy. Nie ona pierwsza i, co najgorsze, nie ostatnia miała oplakiwać śmierć ukochanej osoby. Ze współczuciem spoglądano na zarysowany pod zimowym płaszczem brzuch, świadczący o dziecku, które jeszcze nie przyszło świat, a już zdążyło stracić bliską sobie osobę, zanim ją poznało i pokochało.

– Nie płacz już, Kasiu. – Stefan tulił żonę w ramionach. – Masz jeszcze jego dziecko i o nim musisz teraz myśleć, nie o swoim bólu. Wiem, że to, co powiem, zabrzmi jak tanie pocieszenie, ale nikt nie może mieć pewności czyjejś śmierci, dopóki ciała nie zobaczy.

– Ten żołnierz się nie mylił! – Zaniósł się szlochem. – Powiedział, że porucznik Kaledin zginął w ataku na gniazdo karabinów maszynowych! A ja przecież wiem, co potrafi zrobić z człowieka plujący ołowiem kulomiot!

– Przecież nie wszyscy nasi pacjenci zmarli – usiłował ją pocieszyć, choć bez przekonania.

– No nie – zgodziła się. – Wielu żołnierzom uratowałeś życie. – Otarła łzy rękawem, rozmazując kurz i brud na twarzy. – Ale ty jesteś genialnym chirurgiem i pełnym poświęcenia lekarzem. Nie wiem, czy jest drugi taki na świecie. – Podniosła na Stefana zapłakane oczy, na których dnia dostrzegł iskierki sympatii.

Umknął spojrzeniem gdzieś w bok. Kiedy do niego dotarło, że śmierć Kaledina otwierała mu drogę do serca Katarzyny, poczuł do siebie obrzydzenie.

W Warszawie z każdym dniem rosła liczba uciekinierów z pobliskich, ale także dalszych miejscowości. Ulicami ciągnęły chłopskie furmanki zaprzężone w jedną lub dwie nędzne chabety, z krową na postronku. Niczym wezbrany potok przez miasto przetaczały się masy biedoty, szukające dla siebie schronienia przed jesienną słątą. Zewsząd nadchodziły niepokojące wieści, które miejscowości Niemcy już zajęli, które wsie puścili z dymem, które zbombardowali. Jednak wkrótce miejsce pułków i batalionów dziarsko maszerujących na zachód w takt wesółych melodii granych przez orkiestry wojskowe zajęły wozy wypełnione tysiącami rannych, których nie było już gdzie umieszczać. Stare szpitale pękały w szwach, wciąż zakładano nowe, gdzie tylko się dało. Wszyscy się zapewniali, że co jak co, ale Warszawy Niemcy nie wezmą. Widok niezliczonej ilości wojsk oraz uśmiechnięci oficerowie rosyjscy spacerujący po ulicach miasta upewniali ich w tym przekonaniu. Nawet zaczęli darzyć Rosjan sympatią. Im bardziej bali się Niemców, tym więcej serca okazywali carskim żołdatom. A to papierosa ktoś dał, a to kawałek kiełbasy. Panie oficerom kwiatki wręczały. Nie dziwiły zatem pogłoski, że jakiś Legion Polski może powstać u boku armii rosyjskiej. Nawet sam wódz naczelny wielki książę Mikołaj Mikołajewicz ponoć zapewnił, że z uwagi na przychylne i przykładne zachowanie się Polaków armia rosyjska ma moralny obowiązek utrzymać Warszawę w swych rękach.

Choć ceny na wszystko z dnia nadziei szybowwały w górę, brakowało węgla, nafty, cukru, a nawet chleba i mięsa, kawiarnie i restauracje pękały w szwach, komplety widowni zasiadały w teatrach. Tylko polskich kawalerów zabrakło, aby damy emablować. Chichotały po kątach, że komplementy prawią im teraz kozacy.

Toteż nagła kanonada i bomby spadające na miasto, huk pękających szrapneli, terkotanie karabinów maszynowych oraz warkot samolotów na niebie zaskoczyły mieszkańców Warszawy. Kobierski wówczas był w budynku Politechniki, który zamieniono na szpital. Z uwagi na brak fachowej siły właściwie z niego nie wychodził, przytłoczony obowiązkami. Brakowało rąk do niesienia pomocy rannym. Nie pomagały nawet kilkutygodniowe kursy pielęgniarskie, na które z chęcią zapisywali się wszyscy, poczynając od adwokatów, poprzez aktorki, a na szwaczkach kończąc. Rząd zdecydował się na zatrudnianie lekarzy z Ameryki, płacąc im znacznie więcej niż swoim. Katarzyna z uwagi na zaawansowaną ciążę jako sanitariuszka już pracować nie mogła. Zamieszkali u stryja Stefana, emerytowanego sędziego Henryka Kobierskiego, w jego mieszkaniu przy Nowym Świecie. Stryj był starym kawalerem i początkowo spoglądał na brzuch Katarzyny z niechęcią. Już sobie wyobrażał te płacze dziecka po nocach, wszędzie porozwieszane śmierdzące pieluchy, nieustanne gotowanie zupek i przecierów dla niemowlaka. On właśnie po to się nie ożenił, aby tego całego zamieszania uniknąć. A teraz, na stare lata, bratanek zwałił się mu z własnym dzieckiem na głowę. Ale odmówić w czas wojny nie wypadało.

Kiedy kolejna bomba wybuchła w pobliżu, Katarzyna z krzykiem zerwała się z łóżka na równe nogi. W tym samym momencie poczuła, jakby coś w jej wnętrzu pękło, a po udach pociekła jakaś ciepła ciecz. Gdy zadarła koszulę nocną, ujrzała pod swoimi stopami mokrą kałużę.

– Chryste – szepnęła do siebie. – Wody mi odeszły. Znaczą się będę rodzić.

Na kursie sanitarnym jeszcze w Łodzi przyuczono ją nie tylko do zakładania opatrunków i tamowania krwotoków, ale także asystowania położnej przy porodzie. Wiedziała, że dziecko należy po zawiązaniu pępowiny i jej odcięciu wykąpać. Zachowując zimną krew – w końcu poród to fizjologia, jak ją uczono – ruszyła w stronę służbówki, aby wydać służącej dyspozycje. Ta jednak już nie spała. W papilotach na głowie, w koszuli nocnej, klęczała przed świętym obrazem i odmawiała „Zdrowaś Mario”.

– Anielo – zaczęła Katarzyna, czując zaciskający się wokół jej bioder ból, jakby ktoś chwycił ją rozżarzonymi obcęgami. – W piecu pod kuchnią rozpal i wody nastaw. Poród się zaczął... – zdążyła wydusić z siebie i osunęła się na podłogę, nie mogąc złapać tchu.

W tym momencie bomba gruchnęła tuż obok i tynk posypał się z sufitu.

– Ło Matko Przenajświetszo! – krzyknęła służąca i nakreśliwszy na piersiach znak krzyża, zerwała się z klęczek. – Teraz?! Jak Niemce bombardują?! To nie mogła poczekać do jutra, jak się uspokoi?! A pan doktor gdzie?!

– W szpitalu... – odparła Katarzyna, próbując podnieść się z podłogi, ale ból jej nie pozwalał. Ogarnęło ją przerażenie. Nie tak sobie poród wyobrażała.

Zawodząc głośno, Aniela chwyciła Katarzynę pod pachy i pomogła jej wstać. Trzymając mocno w swych silnych chłopskich ramionach, zaprowadziła do sypialni i położyła do łóżka.

– Mamusiu, ratuj! – krzyknęła Katarzyna, gdy kolejny skurcz ścisnął ją swymi kleszczami. – Mamo! Mateńko! Jezu Nazareński! – krzyczała, usiłując bez rezultatu znaleźć dla siebie pozycję, w której ból byłby najmniej dokuczliwy. Z tego wszystkiego nawet nie zwracała uwagi na warkot samolotu krążącego nad kamienicami w centrum Warszawy.

– Cóż się tutaj wyprawia?! Ranny kto, nie daj Boże?! – Nie pukając, do sypialni Katarzyny wpadł stryj Henryk.

Choć i jego zerwała z łóżka kanonada niemieckich bombardowań, włożył na piżamę ciemnozieloną bonzurkę i starannie przewiązał się paskiem. Pokazanie się obcej kobiecie w stroju niekompletnym było nie do pomyślenia.

– Wielmożna pani zległa – odparła Aniela, zagarniając dłonią rozchełstaną pod szyją koszulę nocną.

– Zległa? – spojrzał na swoją służącą, jakby się szaleju napiła. – Aha, rodzić będzie – odgadł po chwili. – Boże, i co teraz? – mamrotał pod nosem, kręcąc się po pokoju. – Po starą Szymeczkową nam trzeba – podjął w końcu decyzję. – Tak. Leć, moja Anielciu, po Szymeczkową. Mieszka w oficynie na trzecim piętrze.

– No leć! – krzyknęła Katarzyna, nie mogąc zapanować nad bólem, który zdawał się rozsadzać ją od środka. – Co stoisz jak słup soli?!

Stara Szymeczkowa sprawiała wrażenie osoby pozbawionej wieku. Mogła mieć lat sześćdziesiąt, ale równie dobrze i czterdzieści. Z uwagi na obfitą tuszę policzki miała nalane i pozbawione zmarszczek, natomiast lat dodawały jej szpakowate włosy upięte w kok na czubku głowy i ciemny meszek nad górną wargą. Dla ochrony przed grudniowym chłodem włożyła podbity futrem płaszcz, który dodatkowo ją poszerzał. Zanim wdrapała się na drugie piętro, gdzie mieściło się mieszkanie Kobierskiego, zdążyła się całkiem zasapać i dyszała niczym parowóz stojący na stacji. Krzyki Katarzyny słychać było nawet na klatce schodowej, mimo ogłuszającej kanonady dobiegającej z dworu.

– Co tak się drzesz, gołąbeczko? – wysapała z trudem, wchodząc do sypialni, gdzie na łóżku leżała Katarzyna, krzycząc wniebogłosy za każdym razem, gdy spazm bólu zaciskał swe gorące macki na jej ciele. – Krzyk ci nie pomoże, tylko dziecku zaszkodzi – dodała, siadając na skraju łóżka.

Katarzyna natychmiast umilkła, zaciskając zęby na kawałku kołdry wsuniętym do ust. Przerazone i pełne bólu spojrzenie brązowych oczu zawiesiła na Szymeczkowej, mając nadzieję, że ta kobieta robi, co do niej należy, a nade wszystko ulży w cierpieniu.

– Zegnij nogi w kolanach i rozsuń szeroko – rozkazała położna, odrzucając na bok kołdrę.

– Po co? – Katarzyna chwyciła róg kołdry i usiłowała ją naciągnąć na siebie z powrotem.

– Muszę sprawdzić, jak ułożone jest w tobie dziecko – zachichotała, widząc rumieniec oblewający policzki Katarzyny aż po same białka oczu. – Nie ma co się wstydzić, już tam inny przede mną zaglądał.

Katarzyna zakryła twarz dłońmi i zagryzając wargi, aby nie krzyknąć, posłusznie rozsunęła nogi. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego upokorzenia. Nie wiedziała, czy bardziej cierpiała z bólu, czy ze wstydu, że obca kobieta brutalnie wkładała lodowate paluchy w najbardziej intymną część jej ciała. Miała wrażenie, że badanie trwało całą wieczność, zanim położna narzuciła na nią kołdrę i oznajmiła:

– Staraj się nie przeć, gołąbeczko. Musimy poczekać, aż dziecko się obróci. Nie ułożyło się, jak potrzeba. Zaraz pomasuję ci brzuch, może się odwróci – dodała bez przekonania.

Stępkając z wysiłku, rytmicznymi ruchami masowała twardy jak kamień brzuch Katarzyny, w którym dziecko utknęło pośladkami w drzwiach wejściowych na świat. Widać jemu się nie spieszyło, bo i nie było do czego. Nie mogło mieć przecież pewności, że i jemu, kiedy dorośnie, nie wcisną karabinu do ręki i nie każą zabijać w imię tej czy innej racji, nie pytając nawet o zdanie.

Kiedy Szymeczkowa uznała, że już nic więcej zrobić nie może, podniosła się z łóżka i wyszła z pokoju. Pan Henryk i Aniela stali za drzwiami, czekając z niecierpliwością, kiedy skończy się nie tylko poród Katarzyny, ale także bombardowanie.

– Proszę szanownego pana sędziego, nie jest dobrze – oznajmiła szeptem, choć możliwość, że Katarzyna ją usłyszy, była równa zeru z uwagi na wciąż trwającą kanonadę. – Trza po doktora posłać. Inaczej umrą oboje. Matka i dziecko.

– Ło Jezu... – pisnęła Aniela i przycisnęła obydwie dłonie do policzków.

– Ale kogóż ja mam posłać? – Sędzia spojrzał na służącą, lecz ona, odgadując jego zamiary, natychmiast oświadczyła z całą stanowczością, na jaką ją było stać wobec swego chlebodawcy:

– Ja nie znam miasta. Nie trafię.

Na moment w mieszkaniu zapadła cisza, którą zakłócały jęki Katarzyny dobiegające z sypialni i kanonada wybuchów z zewnątrz.

– Sam pójde wobec tego – oświadczył sędzia po chwili, nie mogąc dłużej znieść natarczywego spojrzenia obydwu kobiet. Skaranie boskie z tymi babami i ich odwiecznymi problemami, pomyślał, drepzcząc do swojej sypialni.

Kilka minut później, ubrany w elegancki płaszcz ozdobiony futrzanym kołnierzem, w karakułowej czapce na głowie, wyszedł przed dom. Nie dość, że zewsząd dobiegały strzały karabinowe i huk wybuchających pocisków, to jeszcze rozpętała się śnieżycą. Spojrzał w dół Nowego Światu. Ulica była w zasadzie opustoszała, jeśli nie liczyć garstki przechodniów, którzy z konieczności, tylko sobie znanej, gdzieś biegli. Sędzia także ruszył dziarskim truchtem, uważając wszak, aby się nie wykopyrtnąć na chodniku pokrytym świeżo spadłym śniegiem. Gdy mijał charakterystyczną bryłę kościoła Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży, bomba spadła gdzieś całkiem blisko. Ziemia zadrżała i sędzia odruchowo zakrył głowę rękoma, mając wrażenie, że zaraz kawałki kościelnych murów zwałą się na niego. Zwalczył ochotę ukrycia się we wnętrzu świątyni i mając poczucie ważnej misji do spełnienia, przyspieszył kroku. Znanymi sobie skrótami i poprzez podwórka dotarł w końcu do Koszykowej. Jeszcze tylko kilka minut

i z daleka ujrzał białą bryłę Politechniki, ledwie mającą pomiędzy wirującymi płatkami śniegu. Cały plac przed wejściem tarasowały ambulanse Czerwonego Krzyża oraz konne wozy zwożące rannych. Jak pisano w gazetach, nad Bzurą nadal toczyły się ciężkie walki z Niemcami. Zdyszany wbiegł do środka i zmarł. Wewnątrz panoszył się charakterystyczny zapach wojny, na który składał się smród niemytych od wielu dni ludzkich ciał, odór gnijących ran, drażniąca nos woń środków odkażających i słodki posmak krwi.

Stefan Kobierski, gdy ujrzał swego stryja bez czapki na głowie, z rozwianym włosom, całego przyprószonego śniegiem, w pierwszej chwili przeraził się, że jakaś bomba trafiła w kamienicę przy Nowym Świecie i Katarzyna została zabita. Poczuł, jak cała krew odpłynęła mu z serca.

– Zaczęło się. Kasięńka rodzi... – wyrzucił sędzia jednym tchem i osunął się na brudną, pokrytą błotem i krwią posadzkę.

Jak się wkrótce okazało, było to jedynie chwilowe omdlenie, spowodowane zbyt dużym wysiłkiem oraz zaduchem panującym w budynku szpitalnym, a sędzia ani do jednego, ani do drugiego nie był przyzwyczajony. Godzinę później obaj Kobierscy, stryj i bratanek, znaleźli się z powrotem w mieszkaniu przy Nowym Świecie. Bombardowanie też ustało. Jedynie niemieckie samoloty krążyły nad miastem. Jak Stefana poinformowali obeznani z techniką wojenną przechodnie, którzy wylegli z domów, aby obserwować wydarzenia, były to jedynie samoloty zwiadowcze.

– Przygotuj wrzątek – nakazał służącej, gdy tylko wbiegł do mieszkania.

Przez okno wychodzące na ulicę obserwowała tłumy ludzi, którzy z tobołkami, pakunkami i walizkami zmierzali w stronę dworca. Kolejni, którzy utracili wiarę, że Rosjanie Warszawy Niemcom nie oddadzą.

Zdjął płaszcz i starannie w łazience umył ręce. Z torbą lekarską wszedł do sypialni. Szymeczkowa podążyła za nim. Wiedziała, że bez niej się nie obędzie. Katarzyna zawiesiła na Stefanie błagalne spojrzenie i aby nie krzyczeć, zagryzła róg mokrej od potu poduszki. Miała wrażenie, że ktoś tęym nożem przeprowadzał na niej sekcję zwłok, choć ona jeszcze żyła.

– Muszę cię zbadać, Kasiu – oświadczył Stefan, podwijając rękawy koszuli, jakby miał zamiar zabrać się do fizycznej pracy, a nie przyjmować dziecko na świat.

Jak Katarzyna miała się wkrótce przekonać, był to wysiłek wyciskający z lekarza i pacjentki ostatnie poty. Z pacjentki także krew i łzy.

Stefan zbyt wiele w swym życiu przyjął porodów, aby natychmiast się nie zorientować w sytuacji. Okrutny los postawił go przed wyborem – aby uratować matkę, musi zabić dziecko. Ratując dziecko, skazuje na śmierć matkę. Jakąkolwiek by decyzję podjął, straci Katarzynę, bo ona śmierci dziecka mu nie daruje.



## Rozdział 30

Działania wojenne płynnie przekształciły się w wojnę pozycyjną, gdy rosyjska Stawka, aby skrócić rozciągnięty zbyt mocno na zachód front, podjęła decyzję o wycofaniu wykrwawionej armii z Łodzi nad Bzurę i Rawkę. To na linii tych dwóch rzek Rosjanie planowali zatrzymać wojska niemieckie, aby nie dotarły do leżącej ledwie sześćdziesiąt kilometrów dalej na wschód Warszawy. Choć na rozjeżdżonych drogach ciężkie armaty i wozy transportowe grzęzły w błocie, obydwie armie przystąpiły do budowy ciągnących się kilometrami tranzei, okopów, zasieków z drutu kolczastego oraz stanowisk dla artylerii. Stawiano częściowo zagłębione w gruncie ziemianki, zabezpieczone przed bezpośrednim trafieniem pociskiem artyleryjskim kilkoma warstwami solidnych bali i ziemi. Pełniły one przeróżne funkcje, od mieszkalnych poczynając, poprzez magazyny, kantyny, punkty opatrunkowe po funkcje sztabu łączności. Wszystkie jednak bez różnicy były ciemne, wilgotne, duszne, pełne dymu i wszelkiego robactwa. Potrzebny materiał budulcowy obydwie strony czerpały, rozbierając do fundamentów chałupy w okolicznych wsiach, których mieszkańców wysiedlono – albo w głąb Niemiec, albo w głąb Rosji. Gdy po kilku miesiącach niektórzy wrócą, w miejsce kwitnących łąk i pól ujrzą wszędzie jak okiem sięgnąć ziemianki, okopy, druty kolczaste i leje po pociskach, zrytą bombami ziemię, spalone lasy i zagajniki. Zamiast domów i zabudowań zastaną same gruzy. Zamiast śpiewu ptaków przywita ich wiatr świszczący nad tysiącami mogił, rozsianych po całej okolicy. Nazwiska rosyjskie będą się przeplatały z nazwiskami niemieckimi, a pomiędzy nimi przeczytają nazwiska polskie, choć Polski wówczas z trudem by szukać na mapach.

Jeszcze obydwie strony nie zdążyły na dobre oddzielić się kilometrami zasieków z drutu kolczastego, gdy rozpoczęły się lokalne potyczki. W twierdze zamieniały się chałupy, zabudowania folwarczne i dworskie. Jednak obie strony były już osłabione, brakowało amunicji, mundurów i żywności. Za drobne zwycięstwa w postaci przesunięcia linii frontu o kilka kilometrów płacono morzem przelanej krwi i tysiącami zabitych. Zdesperowani przeciwnicy nie zawahali się sięgnąć po metody swymi korzeniami sięgające starożytności i zeszli do walki pod ziemią. Żołnierze specjalnie w tym celu utworzonych pionierskich oddziałów, ubrani w gumowe stroje, kopali pod ziemią długie tunele, dochodząc aż do pozycji wroga, następnie umieszczali tam ładunek wybuchowy i odpalali. Druga strona jednak nie miała zamiarów zasypiać gruszek w popiele i pod osłoną nocy potrafiła zakraść się do wrogiego tunelu minowego i tam podłożyć własny ładunek zwany kamuflowcem. Mimo idących w setki tego rodzaju ataków żadna ze stron nie zdołała zdobyć przewagi. A czas mijał i marzenia o zwycięstwie lub chociaż rychłym końcu wojny oddalały się z każdym dniem.

Dywizja kawalerii, w której od początku wojny służył Wiktor Jaxa-Rawecki, została rozmieszczona nad Rawką, na jej wysokim i stromym brzegu, będącym naturalną przeszkodą dla atakujących Niemców. Pluton, którym dowodził, prowadził działania łącznikowe oraz rozpoznawcze. Ledwie skończyli jedno zadanie, już obarczono ich kolejnym. Kawalerzyści, kryjąc się to za chałupami, to za pagórkami, raz po raz wozili do dowództwa meldunki, jak przebiegała walka, która zdawała się nie mieć końca. Usadowieni w niemieckich okopach strzelcy wyborowi tylko czekali na taką okazję, kiedy pomiędzy drzewami czy na płaskiej jak stół łące albo drodze dostrzegli jeźdźca. Razili ogniem bez pardonu.

– Potrzebuję kilku odważnych na ochotnika, bo zadanie śmiertelnie niebezpieczne – oznajmił późnym wieczorem dowódca szwadronu kawalerii, rotmistrz Kowalów, gdy Rawecki ze swoim plutonem wrócił z rozpoznania. Nawet nie zdążyli chwili odpocząć. – Trzeba sprawdzić,

jak wygląda sytuacja w Mogiłach. – Zarechotał, widząc lęk malujący się w oczach niektórych żołnierzy. – Mam na myśli wieś Mogiły – dorzucił po chwili, a żołnierze odetchnęli z ulgą.

Wiktor Rawecki pierwszy wystąpił z szeregu. Po to przecież został żołnierzem, aby każdego dnia stawać oko w oko z wrogiem, a pokonując go, poczuć w ustach słodki smak zwycięstwa, który z niczym na świecie nie mógł się równać. Choć padał ze zmęczenia na twarz, czuł się w swoim żywiole. Zwiad to przecież nic innego jak zabawa w podchody. Ileż to razy podczas wakacji spędzanych w Porętowie wyprowadzał w pole rodzeństwo, choć wówczas z zasadzki mógł wyskoczyć najwyżej Albin czy Jura z patykiem w ręce. Teraz mógł się natknąć na zimną stal bagnetu lub mogli go poczęstować kilkoma gramami ołowiu. Zaraz za jego przykładem poszedł Misza Lebediew, jeden z niewielu Rosjan, z którymi Wiktor się dogadywał. Po chwili z szeregu wystąpił jeszcze jeden, reszta wyraźnie się ociągała.

– Trzech wystarczy – oznajmił kapitan, a pozostali z ulgą odetchnęli, choć niektórzy szeptali, że też w zasadzie chcieli, tylko nie zdążyli się zgłosić.

– Kto to widział, aby wieś nosiła taką nazwę. *Cziort wozmi!* – Splunął dla odpędzenia uroku Misza, kiedy ruszyli w stronę koni z apetytem spożywających obrok.

– W pobliżu są groby powstańców, pewno stąd – odparł Rawecki i podciągnął popręg przy siodle swego wierzchowca.

– No tak. – Misza zaśmiał się dobrodusznie. – Na śmierć zapomniałem, że wy, Polacy, jak rzadko który naród jesteście niepokorni, a na świat przychodzicie z szablą w dłoni.

– Od ponad stu lat nie mamy swojego państwa – tłumaczył Wiktor, nie czując urazy do Miszy. Znał go i wiedział, że Lebediew miał podobne poglądy na samodzielną co on. – Więc od czasu do czasu chwytny za broń. Jak na razie bez skutku.

– Zdaje się, że to przeciwko nam, Rosjanom, są te powstania.

– Nie tyle przeciw Rosjanom, ile przeciw caratowi. Jedno przecież toczyło się pod hasłem „Za naszą i waszą wolność”.

Misza chciał jeszcze coś dodać, przypomniawszy sobie powstanie dekabrystów, ale Rawecki wskoczył na siodło i ruszył klusem w stronę, gdzie powinny się znajdować wiejskie zabudowania. Noc była ciemna, w zasadzie bezksiężycowa, choć momentami, gdy powiał silniejszy wiatr, jego srebrna tarcza lekko prześwitywała przez chmury. Po kilku minutach jazdy dotarli do ostatniej linii własnych okopów, do miejsca, gdzie były rozstawione czujki. W jednym z lejów po pocisku z karabinem gotowym do strzału siedział jakiś zarośnięty kozak w futrzanej czapce nasuniętej nisko na czoło.

– Jak wygląda sytuacja? – spytał szeptem Rawecki, gdy zeskoczył z konia i zgięty wpół, podbiegł bliżej.

– *Wsie w poriadkie, wasze blagorodie. Razwiedczikow* wysyłają, sobacze syny – odparł kozak, czochojąc się po głowie. Wszy były wśród żołnierzy istnym przekleństwem i nie było na nie sposobu. W warunkach frontowych nie myli się i nie prali bielizny całymi dniami. – Próbowało podejść kilku przez pole, ale pomacałem ich ołowiem, to dali sobie spokój.

– Pilnujcie dalej, sierżancie – Rawecki pochwalił żołnierza za czujność i biegiem wrócił do swoich.

Jeszcze chwilę podążali konno, aż ich oczom, nawykłym do grobowych ciemności, ukazał się w oddali zarys wiejskich zabudowań.

– Z koni! – polecił Wiktor. – Ja i Misza pójdziemy zobaczyć, co jest za tymi, *nomen omen*, Mogiłami. – Zachichotał z sarkazmem, jakby przypuszczał, że już wkrótce dla wielu z nich ta ziemia stanie się zbiorowym grobem. – Gdyby coś się działo, to daj znak gwizdkiem – polecił trzeciemu zwiadowcy, którego zostawił przy koniach. – Noc ciemna, nie powinni nas wymacać, a może się uda schwytać jakiegoś *razwiedczika*.

Jeden za drugim, zgięci wół, puścili się błotnistym rowem, biegnącym wzdłuż drogi, wprost ku wsi. Sprawiała wrażenie wymarłej i opuszczonej. Świadczyły o tym nie tylko puste otwory po oknach, które ktoś przedsiębiorczy zabrał, aby zamontować w ziemiance, ale także głucha cisza panująca wokoło. Nie mogli jednak wykluczyć, że Niemcy zaczęli się gdzieś po chałupach lub przycupnęli w lejach po pociskach, których na polu niczym były setki, jeśli nie tysiące.

– Ty idziesz tamtą stroną wsi, ja tą – Rawecki szeptem rozdzielił zadania, gdy z Miszą dotarli do pierwszej z brzegu opuszczonej chałupy. – Spotykamy się na końcu wsi. W razie czego gwizdźmy pierwsze takty walca Szatrowa. Znasz?

– Kto by nie znał? – Misza wzruszył ramionami i rozpląnął się w mroku nocy.

Rawecki zgięty wół, ściskając w ręce karabin z wysuniętym bagnetem, kilkoma susami dopadł kolejnej chałupy. Przyłgął plecami do ściany i nasłuchiwał, niczym kot, który wybrał się na łowy. W lepkiej ciemności słyszał jedynie bicie własnego serca i swój szybki oddech, a przecież w bliskiej odległości biegły wrogie okopy wypełnione żołnierzami. Pewno się Niemiaszki pospały, pomyślał kpiąco. Wyteżając wzrok, ujrzał jasną plamę chałupy stojącej kilka metrów dalej. Puścił się biegiem w jej kierunku. Niewiele brakowało, a byłby się potknął o zagubione żelastwo leżące na drodze. Szczęściem wszechobecne błoto, zgęstniałe w niskiej temperaturze grudniowej nocy i lepkie na kształt smoły, tłumilo wszelkie dźwięki. Skrył się pod dachem jakiegoś kurnika i czekał, ale nic się nie działo. Jedynie wiatr się wzmógł. Skacząc od chałupy do chałupy, dotarł do końca wsi, o czym mógł świadczyć silniejszy powiew wiatru, który hulał po polu niczym.

Wyteżał wzrok, aby przebić się przez ciemność nocy, ale bez rezultatu. Nie miał pojęcia, w jakiej konkretnie odległości od Mogił biegły zasieki, niemieckie okopy oraz gniazda karabinów maszynowych i artylerii, a po te informacje tutaj przyszedł. Widać jednak szczęście mu sprzyjało, bo niespodziewanie z podmuchem wiatru księżyc odrobinę wychylił się zza chmury. Zimnym blaskiem dyskretnie oświetlił okolicę. Długa linia niemieckich okopów ciągnęła się tuż za wsią. Widać było wyraźnie ich ciemne i niewysokie przedpiersia z gniazdami kulomiotów. Kawałek dalej w długim szeregu majaczyły skierowane w niebo dziesiątki armatnich luf. Tuż przed nimi aż do linii rosyjskich tranzei rozciągało się pole niczyje. Było jak śmierć czyhająca pomiędzy okopami, w których toczyło się żołnierskie życie.

Nagle kilka kroków przed Wiktorem wyrosła ciemna sylwetka człowieka. Misza? – zdążył pomyśleć, gdy dotarli do niego cichutko zagwizdane takty jakiejś nieznanego mu melodii. Z pewnością nie był to walc. Raczej marsz. To chyba Niemiec, psiakrew, myśli jak szalone, jedna przez drugą, kotłowały się mu pod czaszką. Niedobrze. Albo ja jego, albo on mnie. Strzelanina nie wchodzi w grę. Zbyt wielu Niemców wokoło, a nas tylko troje. Niemca te obawy nie dotyczyły. On był wśród swoich. Zdumiony bezczelną obecnością wroga w paszczy lwa, leniwie sięgnął po wiszący na ramieniu karabin. Zanim zdążył się przymierzyć do strzału, Wiktor rzucił się w jego stronę z wysuniętym bagnetem. Natrafił na pustkę. Niewiele brakowało, a byłby poleciał na twarz prosto w błoto. Chyba zwiął, zgadywał. Wypatrując oczy w ciemnościach, usiłował wyłowić zarys ludzkiej postaci. Kłuł bagnetem gęstą ciemność to tu, to tam, ale na próżno. I wówczas jakaś kula świsnęła mu tuż koło nosa. Odwrócił się gwałtownie, aby dopaść Niemca bagnetem, zanim on zdąży wprowadzić kolejny nabój do komory. W nikłym blasku księżyca tuż przy otworze po drzwiach wiodących do chałupy błysnęła zimna stal lufy. Jeden skok i ostrze bagnetu miękko, prawie bez oporu zagłębiło się w ciele przeciwnika. Zdążył jedynie westchnąć ciężko. Zanim się obsunął na ziemię, od strony okopów dobiegł Wiktora trzask karabinów, a kule, świszcząc, zaczęły fruwać wokoło niczym pszczoły wokół ula. Niebo rozdarł zielony blask rakiety i oświetlił całą pozornie martwą okolicę. Rawecki nie czekał na nic więcej.

Przypadł do ziemi i taplając się w błocie, czołgał się mozolnie w stronę samotnej chałupy stojącej na początku wsi, gdzie zostawił wartownika z końmi. Misza już tam zdążył dotrzeć. Zawrócił, gdy tylko rozpętała się strzelanina. Czekając, aż Niemcom się znudzi strzelanie po omacku, zjedli po kawałku chleba ze słoniną, a Rawecki sporządził meldunek dla dowództwa. Za ten zwiad otrzymał swoje pierwsze wojenne odznaczenie – Krzyż Świętego Jerzego, wręczony osobiście przez cara, który tydzień później wizytował front nad Bzurą i Rawką.

\*

Od tamtych wydarzeń minęło kilka miesięcy. Nadeszła wiosna, nie niosąc jednak ze sobą upragnionego końca wojny. Linia frontu jak zaczarowana stała w miejscu, jeśli nie liczyć drobnych przesunięć to na zachód, to na wschód. Wojna trwała już prawie rok. W tym, zdawałoby się, krótkim czasie przez szwadron Wiktora Raweckiego przewinęło się kilkudziesięciu żołnierzy. Połowa z nich straciła życie lub zdolność do dalszej walki. On sam zdążył zużyć kilogramy amunicji, dokonując setek zwiadów, zapuszczając się nocą lub we mgle ze swoimi podkomendnymi na tereny zajęte przez wroga, zniszczył kilometry linii kolejowych, szarżował na nieprzyjaciela skrytego w okopach. W każdej chwili mógł się spodziewać najgorszego, lecz kiedy dzień się kończył, a on jeszcze żył, w myślach dziękował Bogu za łaskawość. Marzenia o wspaniałym zwycięstwie stopniowo bladły, aż całkiem się rozplynęły wraz z wiosennymi roztopami. Z uwagi na królestwo błota, w które zamieniła się cała okolica, z jakimikolwiek działaniami wojennymi obydwie strony musiały czekać, aż drogi obeschną.

Zbliżał się koniec maja, gdy Wiktor Jaxa-Rawecki, leżąc w jednej z ziemianek na ubitym na kamień sienniku, w mdłym blasku świeczki po raz nie wiadomo który czytał list, otrzymany od rodziców dawno temu, w drugim miesiącu wojny. Jego treść już znał na pamięć, ale była to jedyna nić łącząca go z rodziną i czasami, do których tęsknił, a które zdawały się bezpowrotnie stracone. Z zamyślenia wyrwał go głos Miszy Lebediewa, który nagle wpadł do ziemianki. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zdążyli się zaprzyjaźnić. Misza pochodził z Kronsztadu, studiował w Paryżu i Petersburgu, wiele podróżował po świecie i pisał wiersze. Był osobą wrażliwą i chorowitą, a mimo to, kiedy wybuchła wojna, zgłosił się na ochotnika do kawalerii. I to było to, co ich łączyło – miłość do koni i ułańska fantazja.

– Szwadron otrzymał rozkaz wymarszu – oznajmił głosem pełnym entuzjazmu. Jemu jeszcze wojna nie zbrzydła. Jako poeta spoglądał na nią innymi oczyma. – Mamy wspierać Pułk Strzelców Syberyjskich.

– Gdzie? – spytał Wiktor, przypinając rapciami szaszkę do pasa.

– Tartak Bolimowski, Białynin i coś tam jeszcze. Nie pamiętam. – Machnął ręką, zbierając się do wyjścia.

Pół godziny później pułk konny rozwinął szyk, przygotowując się do szarży, gdy tylko padnie taki rozkaz. Wiktor i Misza spoglądali z obojętnymi minami stałych bywalców na tryskające fontanny ziemi, na wybuchające nad głowami Niemców obłoczki szrapneli, z których wysypywał się rój śmiercionośnych pszczoł poszukujących krwawego miodu, jak pisał w swych wierszach Misza. Snuli marzenia, co będą robić po wojnie.

Nagle do ich uszu dotarł dziwny dźwięk, syk przypominający wypuszczanie pary z kotła stojącej na stacji lokomotywy. Po chwili od strony niemieckich okopów wraz z wiatrem nadleciały kłęby żółto-zielonego dymu. Gęstniał stopniowo i wznosząc się tuż nad ziemią, uformował długi wał, wysoki na kilka metrów. Chmura ta zbliżała się powoli, lecz nieuchronnie do okopów, w których z karabinami w rękach stali rosyjscy strzelcy i artylerzyści. Sądząc, że mają do czynienia z zasłoną dymną, puszczoną przez Niemców, wstrzymali atak, czekając na pojawienie się przeciwnika. Tymczasem lekki wiatr uniósł chmurę nad ziemią i przesunął nad

drugą linię, na pozycje rezerwowe, a tam ona spadła na żołnierzy.

Zanim do Wiktora i Miszy dotarła dziwna, drażniąca drogi oddechowe woń, na przedpolu już zdążyło się rozpętać prawdziwe piekło. Niemcy przekonani, że puszczone przez nich gaz zrobił swoje, ruszyli do ataku. Zaskoczonych przywitał grzechot karabinów maszynowych, huk granatów i pisk pękających szrapneli. Jeden za drugim, rżąc z bólu, padali na ziemię rozrywani na części, podziurawieni jak sito, zalani krwią. Jednak los, jaki zdążyli zgotować Rosjanom, okazał się o wiele straszniejszy. Zgromadzone w drugiej linii tysiące żołnierzy znalazło się w obszarze działania trującej chmury chloru. Nagle wszyscy oni poczuli w płucach palący do żywego ogień. Nie mogąc złapać tchu, w panice rzucili się do ucieczki. Na swoją zgubę wskakiwali do okopów i kryli się w ziemiankach. Gaz, jako cięższy od powietrza, podążał za nimi, palił płuca, zatruchiwał krew, odbierał oddech, wypalał oczy. Z sinymi, popuchniętymi twarzami, kaszląc, pluli krwią, wymiotowali i darli na sobie mundury, przesiąknięte trucizną. Z nosa i uszu niektórym sączyła się krew, a z ust wyciekała krwawa piana. Ci, co nie zdążyli uciec z zasięgu działania chmury, padali bez sił na ziemię i konali w męczarniach. Przez kilka godzin śmiertelna chmura, wylatując z „kaczyczych dziobów”, jak nazywano końcówkę ołowianego węża, z której wypływał gaz, przemieszczała się nad ziemią niczyją, wprost na pozycje Rosjan. Jednak w pewnym momencie doszło do rozszczelnienia nakrętki między węzłem a butlą i gaz zaczął truć obsługę. Żołnierze wpadli w panikę i cisnąwszy węże na ziemię, rzucili się do ucieczki. „Kacze dzioby” powpadały do transzei, trując swoich dotychczasowych panów. Śmierć kostucha z jadowitym uśmiechem na trupiej twarzy, przemieszczając się od jednych do drugich, zbierała tego dnia nad wyraz obfity plon.

– Jezu Chryste... – jęknął Wiktor, widząc, co działo się z żołnierzami, których owionęła owa tajemnicza chmura.

Jak okiem sięgnąć, całe przedpole było usłane ciałami żołnierzy wijących się w bolesnych konwulsjach, palcami rwących ziemię. Na klęczkach próbowali ratować się ucieczką. Drzewa na liściach skręcały się jak pod wpływem ognia i momentalnie usychały. Ptaki martwe spadały z drzew, a ziemia pokryła się czerwonorą powłoką.

– To gaz! W nogi! – krzyknął przerażony, gdy poczuł charakterystyczny słodko-cierpki zapach i mdły, metaliczny smak w ustach.

– Jaki gaz?! O czym ty mówisz?! – Misza ze zdziwieniem spojrzął na swego przyjaciela, a nie doczekawszy się odpowiedzi, spiął konia ostrogami i galopem ruszył za nim.

Inni poszli w ich ślady, lecz pchana siłą wiatru chmura już po chwili ich dopadła.

## Rozdział 31

Emerytowany sędzia Henryk Kobierski nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chodził po salonie od okna do drzwi, raz po raz wyglądając na ulicę. Z uwagi na późny wieczór i szalejącą śnieżycę już nic ciekawego tam się nie działo. Ostrzał artyleryjski miasta dobiegł końca i wszystko wróciło do normy. Od czasu do czasu jakiś zapóźniony przechodzień z głową skuloną w ramionach dla ochrony przed lodowatym wiatrem przemknął w tylko sobie znanym kierunku, to znowu ambulans Czerwonego Krzyża popędził zasypaną śniegiem ulicą w stronę jednego z wielu szpitali, wypełnionych rannymi, których co dnia zwożono z rozciągniętego na wiele kilometrów frontu. Z salonu sędzia wychodził do przedpokoju i skradając się na palcach, podchodził pod drzwi, za którymi jego bratanek, ponoć znamienity lekarz, czego by się nie spodziewał, znając go od dziecka, usiłował sprowadzić na świat kolejną istotkę, którą wielcy tego świata będą mogli posłać na śmierć, gdy takie będzie ich widzimisię, tłumacząc swe decyzje racją stanu i obowiązkiem patriotycznym. Jednak zza drzwi dobiegały sędziego tylko odgłosy nieznanego mu krzątania, że dwa razy Szymeczka z twarzą czerwoną z wysiłku, jakby to ona rodziła, pobiegła do kuchni, aby przynieść wygotowane narzędzia, i nic poza tym. Kiedy zajrzał do kuchni, ujrzał siedzącą przy stole Anielę, która pilnowała, aby w piecu nie wygasło. Obracając w palcach różaniec, klepała na głos modlitwy.

Było już dobrze po północy, gdy zza drzwi sypialni do uszu sędziego dobiegło cichutkie kwilenie niemowlęcia. Po chwili Szymeczka wypadła z pokoju i tupiąc jak stado słoń, pobiegła do kuchni. Za moment wróciła z powrotem, taszcząc balię, a krok w krok za nią podążała Aniela, niosąc wiadro wypełnione gorącą wodą. Do pokoju jednak służąca nie została wpuszczona, więc sędzia nadal pozostawał w głębokiej niewiedzy co do wydarzeń rozgrywających się w sypialni. Dopiero po półgodzinie drzwi po raz kolejny otworzyły się i wyszedł z nich Stefan, tuląc w ramionach owinięte w prześcieradło niemowlę.

– Mam córkę – oznajmił z wyrazem niebiańskiego szczęścia na spoconej twarzy i łzy potoczyły się po jego zapadniętych policzkach.

Sędzia nieśmiało podszedł bliżej i zajrzał do wnętrza zawiniątka, które trzymał w ramionach jego bratanek. Ujrzał małą niczym piastka, pomarszczoną twarzyczkę o zamkniętych oczach i śniadej cerze. Na jej okrągłej główce kłębiły się pierścionki czarnych jak heban loczków. Drobne czerwone usteczka w grymasie – nie wiedział, czy niezadowolonia, czy uśmiechu – odsłaniały bezzębne dziąsła. Gdy dotarła do niego świadomość, że ta mała istotka, kiedyś zawoła do niego: „dziadziu”, poczuł dziwną słabość w kolanach, przed oczyma zawirowały mu czarne mroczki i z hukiem gruchnął na podłogę.

– Anielciu! – zawołał Stefan, zmierzając z dzieckiem w stronę kuchni, gdzie spodziewał się zastać służącą. – Podaj panu sole trzeźwiące, bo zasłabł.

Widząc, jak Aniela doskonale sobie radziła z przywróceniem świadomości swemu chlebobawcy, który tego typu przypadłości miewał przynajmniej raz w tygodniu, wrócił do pokoju, gdzie zostawił Katarzynę i Szymeczkową. Położna właśnie zdążyła zmienić prześcieradło i przebrać Katarzynę w czystą koszulę nocną. Spoglądała na Stefana wzrokiem pełnym zachwytu i uwielbienia, jakby z nieba na ziemię zstąpił jeden z wielu świętych. W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, czy był choć jeden święty opiekujący się kobietami w połogu. Jeszcze nigdy w swoim długim życiu nie widziała, aby lekarz potrafił dokonać cudu i uratował życie dziecku i matce. A temu się udało.

– Kasiu, byłaś bardzo dzielna. – Stefan nachylił się ku żonie i ułożył tuż obok niej

niemowlę. – Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Dziękuję ci za córeczkę.

– To ja ci dziękuję. Zawdzięczamy ci życie – szepnęła z wysiłkiem Katarzyna i ujęła go za rękę. Z czułością przycisnęła ją do swych spieczonych ust.

– Nie mnie – odparł speszony i zaskoczony jednocześnie zachowaniem Katarzyny i tym, co ujrzał w jej oczach. – Widocznie Bóg tak chciał.

\*

Na chrzcie, który odbył się miesiąc później, kiedy Katarzyna na tyle odzyskała siły, aby móc na własnych nogach dotrzeć do kościoła, dziewczynka otrzymała na imię Tamara Wiktoria. Stefan z wrodzoną sobie delikatnością nie spytał żony, dlaczego takie właśnie pierwsze imię wybrała, domyślając się, że nosiła je matka Kaledina. W zupełności mu wystarczyło, że drugie imię dziewczynka otrzymała po jego matce.

Bombardowania Warszawy więcej się nie powtórzyły i w sercach mieszkańców zagościła nadzieja, że Niemcy zostaną odparci i wojna niedługo się skończy. Gdy nadeszły cieplejsze dni, Kobierscy z wózcikiem spacerowali po parku w Łazienkach, z dumą przyjmując zachwyty przechodniów nad niezwykłą urodą dziewczynki. Mając zaledwie kilka miesięcy, mogła się poszczycić sięgającymi ramion lokami, a jej ogromne czarne oczy z ciekawością spoglądały na świat. Choć w wojennej Warszawie brakowało wszystkiego, Stefan stawał na głowie, aby mała nie odczuwała żadnych niedostatków. Katarzyna całą miłość, którą czuła do Kaledina, przelała na córkę i choć nie było dnia, aby jego fotografii nie wyciągała z szuflady, aby ucałować, wyglądała na pogodzoną z losem. Od dnia porodu zdawała sobie sprawę, że los, choć zabrał jej ukochanego, postawił na jej drodze człowieka niezwykłego, który niczym miłosierny samarytanin nie szczędził siebie, aby innym ulżyć w cierpieniu. Widząc ogromną miłość, jaką darzył ją oraz nie swoje przecież dziecko, na swój sposób go pokochała. Nie była to szalona namiętność, jaką darzyła Igora, ale spokojne, pełne ufności uczucie, przypieczętowane wspólnie spędzoną nocą, gdy całkowicie wydobrzała.

Jednakże z wiosną zaczęły do Warszawy docierać zwiększone transporty rannych, a w gazetach pojawiały się artykuły opisujące krwawe zmagania, nie tylko na froncie przebiegającym zaledwie sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Warszawy, ale także i na tych dalszych. Wynikało z nich, że Miechów i Kielce dostały się pod panowanie Austro-Węgier, które toczyły ze zmiennym szczęściem boje z Rosją w Karpatach. Ponoć śnieg miejscami sięgał tam ponad dwóch metrów wysokości, temperatura spadała do minus trzydziestu stopni, a zabitych i rannych, leżących na ziemi niczyjej, pożerały wilki. Dopiero krwawe walki w pierwszych dniach maja tysiąc dziewięćset piętnastego roku zmusiły Rosjan do wycofania się za San i Dniestr.

Natomiast na froncie zachodnim, pod Ypres, Niemcy dokonali w kwietniu ataku za pomocą chloru, w wyniku czego sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy zostało ciężko poparzonych, a kilkuset zmarło. Lecz i tak ten morderczy atak nie przechylił szali zwycięstwa na ich stronę. Katarzyna pełna niepokoju o los rodziców i braci rzucała się na każdą gazetę, którą Stefan przynosił do domu, jakby tam spodziewała się znaleźć informacje o swoich najbliższych. Od rodziców nie było żadnych wieści z uwagi na rozdzielający ich front. Nieznany jej też był los braci. Nawet nie miała pojęcia, na którym froncie walczyli. Jedno wiedziała natomiast z pewnością: że walczyli po przeciwnych stronach. Co dzień modliła się żarliwie, aby nigdy nie musieli stanąć oko w oko.

Dochodziło południe, gdy na plac przed szpitalem, w którym pracował Stefan Kobierski, zaczęły zajeżdżać wozy wypełnione rannymi. Wnoszono ich do obszernego hallu i układano na posadzce, a kiedy miejsca zabrakło, z wozów kładziono wprost na chodniku przed wejściem. Powiadomiony przez pielęgniarkę Kobierski, przeskakując po dwa stopnie, zbiegł na dół. Widok,

jaki ujrzał w hallu, odebrał mu mowę. Nie wiedział, od czego zacząć. Chorzy mieli ciężki, rżący oddech, niektórzy kaszleli i pluli krwią, choć żadnej rany na ich ciałach nie mógł dojrzeć. Chwyтали Kobierskiego za ręce w niemym błaganu o ratunek. Po chwili dołączył do niego doktor Zawadzki.

– Chryste Panie, Jezusie miłosierny... – szeptał ze łzami w oczach, biegnąc od jednego konającego żołnierza do drugiego. – Co się stało? Co, do cholery, się stało?

– Gazu użyli, psiekrwie. Na ludzi gaz puścili, kanalie – odparł Stefan, pochylając się nad rannymi. Po raz pierwszy w swej długiej praktyce lekarskiej poczuł się bezradny jak dziecko, któremu dano do ręki skomplikowane urządzenie, a ono nie potrafiło go uruchomić.

– Jakiego gazu? Co ty mówisz? To niemożliwe, żeby posłać na ludzi gaz, jak na jakieś robactwo... – Zawadzki nie mógł uwierzyć, że obraz, który miał przed oczyma, był jawą.

– To chyba jakiś chlorowiec. – Stefan na gwałt szukał jakiegoś rozwiązania. – Spójrz na metalowe części. Są całkiem pokryte rdzą. Siostro! – zawołał do biegnącej z pomocą pielęgniarki, zabierając się energicznie do zdejmowania munduru z pierwszego z brzegu chorego. Zawadzki poszedł w jego ślady. – Trzeba natychmiast ich wszystkich rozebrać, bo mundury są przesiąknięte gazem. I myć ciała pod bieżącą wodą – wydawał dyspozycje, nie przerywając pracy. – I oczy proszę im przepłukiwać co najmniej przez piętnaście minut, bo oślepną. Nic poza tym nie możemy dla nich zrobić... – z rozpaczą w głosie przyznał się do porażki.

– Tak jest, doktorze – odparła bez zbędnych dyskusji i pobiegła po koleżanki.

Widząc, że ranni nie mogą zaczerpnąć oddechu, Kobierski próbował stosować im sztuczne oddychanie, ale bez powodzenia. Gaz poparzył im błony śluzowe i zniszczył delikatną tkankę płuc.

– Aparaty tlenowe! Siostro! Niech siostra każe przynieść wszystkie aparaty tlenowe! – zawołał na cały głos, licząc na cud. Jednak cud nie nastąpił.

Już po chwili z pomocą przybiegli wszyscy, którzy akurat nie byli potrzebni przy pozostałych rannych. Uwijali się jak w ukropie, zdejmując z zatrutych żołnierzy skażone gazem ubrania. Nie uskarżali się, gdy wkrótce sami zaczęli odczuwać pieczenie w gardle, szczypanie oczu i zanosili się kaszlem. Wykąpanych pod bieżącą wodą chorych, przebranych w czyste ubrania, wnoszono do i tak przepelnionych sali. Poza piciem oraz okładami na twarz i głowę niczego więcej nie potrafiono im zaaplikować.

Ci, którzy oprócz lekkich ran postrzałowych mieli także poparzone oczy, zmierzali do gabinetu Kobierskiego długim szeregiem, jeden za drugim, trzymając się kolegi idącego przed nim, niczym dzieci z ochronki wyprowadzone na spacer przez opiekunki. Jak ślepcy mieli na oczach założone opaski. Prowadził ich mający zdrowe oczy żołnierz z zakrwawioną ręką wiszącą na temblaku. Ale i tak uchodził za szczęśliwca, bo chloru nie nawdychał się za wiele.

– Siadajcie tutaj. – Kobierski wskazał leżankę stojącą pod ścianą, gdy żołnierz wszedł do jego gabinetu. – Wasze imię, *otczestwo* i nazwisko... – poprosił rutynowo, nie podnosząc wzorku znad stosu papierów. Chciał jak najszybciej uporać się z biurokracją, aby przystąpić do założenia opatrunków.

– Wiktor Pawłowicz Rawecki, porucznik dywizji kawalerii...

Kobierskiemu pióro wypadło z ręki i na moment wstrzymał oddech. Spojrzał natychmiast na siedzącego na leżance oficera. Choć miał poszarzałe, niegolone od wielu dni policzki, pokryte bitewnym kurzem włosy zdawały się nie mieć koloru, a na jego zmęczonej twarzy swoje piętno odcisnęło cierpienie, Kobierski poznał go od razu. Zgadzało się także nazwisko.

– Pan pochodzi z Miechowa? – spytał dla pewności i wstał z krzesła.

– Tak – odparł Rawecki. Nie spuszczając oczu z doktora, podniósł się z leżanki. Z dna jego pamięci wychyliły się szczęśliwe dni spędzane u dziadków w Porętowie. Miał wrażenie, że



od tamtego czasu upłynęła cała wieczność. Nie mógł też wykluczyć, że był to jedynie piękny sen, który pozostał mu w pamięci. – My się znamy? – spytał po chwili.

– Spotkaliśmy się przed laty w Porętowie, w majątku pańskiego dziadka, Andrzeja Jaxa-Raweckiego. Ale wówczas był pan chłopaczkiem uczęszczającym do szkół. No i jest pan podobny do Katarzyny, swej siostry – Stefanowi głos drżał ze wzruszenia. Kilka miesięcy wojny uświadomiło nie tylko jemu, co tak naprawdę jest w życiu ważne.

– Doktor Stefan Kobierski! – przypomniał sobie Wiktor i uśmiech rozjaśnił jego ponurą twarz. – Nie poznałem od razu przez tę siwiznę... – Pamiętał doktora jako mężczyznę dojrzałego, którego jednak ząb czasu zanadto nie podgryzał. Od ich ostatniego spotkania doktor schudł i posiwiiał, a jego twarz porały zmarszczki.

– W rękę dostałeś? – Kobierski nie miał czasu na wspominki. – Pokaż. Zobaczmy, co tam mamy.

– Głupstwo. – Rawecki wzruszył ramionami i wyciągnął rękę w stronę doktora.

Kobierski rozciął nożyczkami rękaw munduru i chwilę obmacywał ramię Wiktora.

– Chyba jesteś, chłopie, w czepku urodzony. – Stefan odetchnął z ulgą, że rana nie okazała się poważna. – Kula rozorała ci mięsień, ale kości nie naruszyła. Do wesela się zagoi – oświadczył z uśmiechem na swojej zmęczonej twarzy i sięgnął po opatrunki leżące na stoliku zabiegowym.

– Przez tę wojnę to nawet nie ma czasu na szukanie kandydatki na żonę, a co tu mówić o weselu – odparł Wiktor nieco speszony, bo do tej pory jeszcze ani razu się nie zakochał, choć jego koledzy mieli już wiele miłosnych podbojów na koncie. Może tylko tak się przechwalają, myślał czasami, słuchając ich niesamowitych wręcz opowieści.

– A ja się ożeniłem – Kobierski oznajmił z chytrym uśmiechem, przemywając starannie ranę. – I żebyś wiedział z kim! Z twoją siostrą! Jesteś zatem moim szwagrem i dlatego możemy sobie mówić po imieniu.

– Z Katarzyną?! – Wiktor nie mógł wyjść ze zdumienia. Zagryzł wargi, aby nie syczeć z bólu, gdy Kobierski zakładał mu szwy. Środków znieczulających jak zwykle zabrakło. – No, nigdy bym się nie spodziewał, że tak rozsądnie ulokuje swoje uczucia.

Pamiętał siostrę jako płochą dziewczynę, której w głowie były jedynie modne stroje i powieściowe romanse. Wpadała w złość, gdy rodzice przebąkiwali o ślubie z synem aptekarza. Marzyła o wielkiej miłości i narzeczonym na kształt księcia z bajki, który przyjedzie po nią na białym koniu. Kobierski żadną miarą do tego modelu nie pasował.

– Nawet Bóg już nam pobłogosławił. Mamy śliczną córeczkę – oznajmił Stefan z dumą, kończąc zakładać Wiktorowi opatrunek. Świadomość, że Tamara nie była jego biologicznym dzieckiem, z każdym dniem stawała się coraz bledsza i bywały momenty, kiedy Stefan dostrzegał łączące ich podobieństwa. Jego marzenie, aby zostać ojcem, nareszcie się ziściło. Miłość, jaką darzył Katarzynę, spływała także na jej dziecko.

Kilka dni później Wiktor Rawecki, siedząc za stołem w jadalni Kobierskich, ubrany w nowy mundur, z Krzyżem Świętego Jerzego przypiętym do piersi, z ręką przewieszoną na temblaku, opowiadał, jak wyglądało życie na froncie.

– Naiwnie sobie wyobrażałem, że wojsko to zabawa. Musztra, manewry, defilady, strzelanie do celu i nauka fechtunku. Piękne mundury, wspaniałe wierzchowce, zachwyty kobiet. Taka zabawa dla dużych chłopców. Z prawdziwą wojną nie ma to nic wspólnego – oznajmił z goryczą. – Dowództwo, planując działania, za nic ma, ilu z nas poniesie śmierć. Sto tysięcy czy dwieście, to dla nich tylko liczby – ciągnął dalej, czując gwałtowną potrzebę wyrzucenia z siebie żalu, który od jakiegoś czasu nosił w sercu. – Każą szturmować bez względu na straty, i nie chodzi tylko o masy szeregowców. My, oficerowie, ginimy razem z nimi. Doszło do tego, że na

stanowiska oficerskie mianuje się bardziej doświadczonych podoficerów, bo kadry się wykruszyły. Jakby tego było mało, nasi przełożeni są w większości tępi. Przez ich nieprzemyślane i głupie rozkazy niepotrzebnie przelewa się krew tysięcy żołnierzy. Brakuje nam wszystkiego, i to od pierwszego dnia tej przekłetej wojny. Jak ruszaliśmy na front, to dla tysięcy żołnierzy nie starczyło karabinów. I wiecie, co powiedział dowódca?

– Nie. – Stefan i Katarzyna zgodnie pokręcili głowami. Słowa Wiktora napawały ich przerażeniem. Wierzyli w buńczuczne zapewnienia rządu o sile rosyjskiej armii i przygotowaniu do wojny.

– Że mają wziąć karabiny po zabitych kolegach! – Ze złością trzepnął dłonią w udo. – I tak jest do dziś. Brakuje amunicji, sprzętu i jedzenia. My, oficerowie, głodni nie chodzimy, ale szeregowi... – Wzruszenie ścisnęło mu gardło. – Czasami cały dzień nie dostaną nawet kromki chleba. Godzinami siedzą w okopach, wypełnionych błotem czy wodą, gryzą ich wszy i inne robactwo. Jak rozpoczyna się ostrzał artyleryjski, nie mogą się poruszyć bez narażenia życia ani ognia rozpalić, aby się ogrzać... – ciągnął swoją opowieść, spoglądając to na Katarzynę, trzymającą na kolanach córeczkę, to na Stefana siedzącego tuż obok niej.

Mimo sporej różnicy wieku sprawiali wrażenie darzącego się nie tylko uczuciem, ale także wzajemnym szacunkiem i przywiązaniem małżeństwa. Jednak Katarzyna nie była już tą samą pełną życia dziewczyną, z którą Wiktor spędził lata swego dzieciństwa. Przygasła i spoważniała, a w jej brązowych oczach czaiło się cierpienie.

– Bywają dni, że wyliczają nam amunicję – dorzucił na koniec i umilkł. Chciało mu się płakać.

Przy stole zapadła cisza. Nawet mała Tamara przestała się wiercić na kolanach matki i wpatrując się w szare oczy Wiktora, przepełnione głębokim smutkiem, uśmiechała się do niego, ukazując ledwie widoczne dwa przednie ząbki przypominające ziarenka ryżu. Katarzyna myślami przeniosła się do okopów, czując niemal fizycznie ból i cierpienie, których doświadczył jej brat i pozostali żołnierze. Igora też z pewnością nie ominęły. Zagryzła wargi, aby nie wybuchnąć szlochem, gdy wyobraziła sobie swego ukochanego, jak z szablą uniesioną w dłoni, posłuszny głupim rozkazom, szarżuje na plujące ołowiem karabiny maszynowe. Poczowała w swej piersi ból, który jego dosięgnął, gdy kule przeszły go na wylot. Nie potrafiła jednak powstrzymać łez cisnących się jej do oczu. Ocierała je ukradkiem, aby nikt nie zauważył.

– Nie wiem, jak długo jeszcze będzie trwała ta rzeź – Wiktor ciągnął dalej. – Wiem natomiast jedno. Niemcy i Rosja to nasi wrogowie. To Cezary postawił na właściwego konia, a ja byłem skończonym durniem. Mam nadzieję, że nigdy nie staniemy sobie na drodze, bo wołałby sobie w łeb palnąć niż strzelić do brata.

– Nie wolno ci tak nawet myśleć – wtrąciła Katarzyna stanowczo. – Bóg do tego nie dopuści. Nie jest przecież okrutny.

– Nie wiem, czy Bóg jest okrutny, czy nie. Do wojny jednak dopuścił. – Wiktor zerknął na siostrę ze zdziwieniem. Jej słowa go zaskoczyły. Katarzyna nigdy nie zaliczała się do osób bogobojnych ani religijnych. On natomiast tracił wiarę z każdym dniem trwania wojny. Do okopów Bóg z pewnością nie zaglądał. – Jedno jest pewne – wrócił do tematu. – W niemieckich i austriackich mundurach walczą nasi. W wigilijny wieczór dostaliśmy chałkę i śledzie. Siedzieliśmy całym szwadronem w okopie i zaśpiewaliśmy: „Bóg się rodzi, moc truchleje...”. Ale już po chwili dołączyli do nas ci z niemieckich okopów i śpiewaliśmy razem: „Pan niebiosów obnażony, ogień krzepnie, blask ciemnieje...”. – Umilkł na chwilę, jakby zbierał siły na dalszą opowieść. – Na drugi dzień zaatakowali nasze pozycje. Pobudowali kładki i przystąpili do forsowania rzeki. Nie zdawali sobie sprawy, że dobrze zamaskowane gniazda naszych kulomiotów tylko na nich czekają. Wchodzili na kładki pojedynczo, zgięci w pół, z głowami

wciśniętymi w ramiona, jakby to mogło ich uczynić niewidzialnymi. Gdy ten pierwszy już miał zamiar postawić nogę na brzegu, a kładka zappełniła się jego kompanami, nasi otworzyli ogień. Mój szwadron stał w odwodzie, aby szarżować, gdyby jakimś cudem Niemcy zeszli na brzeg. Znajdujący się na kładce żołnierze jeden po drugim spadali do wody. Niektórzy od razu bez ruchu płynęli z nurtem rzeki, niczym śnięte ryby w stawie, inni podrygiwali chwilę w przedśmiertnych konwulsjach. Ich miejsce na kładkach zajmowali kolejni, pchani rozkazami swoich dowódców. Dali sobie spokój dopiero po godzinie. Czy wiecie, ilu ludzi może pozbawić życia strzelający bez przerwy jeden kulomiot?

Nie chcąc podnosić spojrzenia na Katarzynę i Stefana, aby nie dostrzegli w jego oczach łez, rozejrzał się z pozornym zainteresowaniem po salonie sędziego Kobierskiego. Urządzony był po starokawalersku, meblami pamiętającymi czasy młodości sędziego, a brak kobiecej ręki rzucał się w oczy. Nigdzie nie było żadnych bibelotów ani fotografii rodzinnych. Na ścianach wisiały przypadkowe obrazy, a na pianinie, stojącym w kącie, zamiast kryształu z kwiatami wałały się gazety i jakieś fachowe książki.

– Byłeś na froncie pod Bolimowem, tam gdzie Niemcy puścili gaz? – spytał Stefan po chwili, gdy zapanował nad wzruszeniem, które zasznurowało mu gardło. Był przekonany, że wojna już niczym nie zdoła go zaskoczyć, a jednak był w błędzie.

– Byłem. – Wiktor kiwnął głową i przeniósł wzrok na Tamarę. Wydawała radosne dźwięki, jakby chciała wtrącić się do rozmowy. Podał jej swój palec. Chwyciła łapczywie rączką i usiłowała wsunąć sobie do ust. – Stałem w drugiej linii. Kawaleria miała ruszyć dopiero po ostrzale artyleryjskim.

– Jakim więc cudem uniknąłeś zatrucia?

– Jak tylko się domyśliłem, czym jest ta ogromna chmura, którą początkowo wszyscy wzięli za zasłonę dymną puszczonej przez Niemców, wydałem swemu plutonowi rozkaz ucieczki. Miałem nadzieję, że damy radę, ale chmura nas dopadła, choć znaczna jej część już opadła na ziemię. Ponieważ jeszcze przed wojną w moim pułku mówiono o tej nowej broni, wiedziałem, że powinienem zasłonić sobie twarz szmatą nasączoną wodą. Przy sobie nie miałem ani jednego, ani drugiego. Poganiając konia, nasikałem więc na czapkę. Zasłoniłem sobie usta i nos i gnałem dalej. W pewnym momencie koń się przede mną obsunął na ziemię. W panice nie pomyślałem, że i on, biedaczek, może się zatruć. Pozbierałem się szybko i wdrapałem na czubek jakiegoś wysokiego drzewa, których kilka rosło w okolicy. Nie wiem, jakim cudem udało mi się to zrobić. Po chwili tę przeklętą chmurę gazu wiatr rozwiął po polach. I wówczas dosięgła mnie jakaś zabłąkana kula. Dobrze, że nie spadłem z drzewa, jak ten dojrzały owoc, bo nie byłoby co zbierać – usiłował żartować, lecz był to śmiech przez łzy.

– Nie sądziłem, że sytuacja na froncie wygląda aż tak źle – zasępił się Kobierski i z niepokojem spojrzał na Katarzynę i dziecko. Bolesna myśl, że nie będzie potrafił uchronić przed niebezpieczeństwem tych dwóch najdroższych istot, zmroziła mu serce. – Miałem złudną nadzieję, że Warszawa jest bezpieczna.

– Nie jest. – Wiktor pokręcił głową. – Chodzą słuchy, że mamy bronić miasta za wszelką cenę, a wiesz, co to oznacza dla mieszkańców?

– Nam nie musisz tego mówić – odparł Stefan i z niepokojem zerknął na Katarzynę. Zbladła, a jej oczy napęłniły się łzami. – Mieszkaliśmy w Łodzi podczas bitwy o miasto.

**Część czwarta**  
**Przez ocean łez i morze krwi**

## Rozdział 32

Pytanie, dokąd uciekać z Warszawy, nie dawało Stefanowi spać po nocach. Zdawał sobie sprawę, że Wiktor miał rację. Czym pachnie szturm wroga na miasto, przekonali się z Katarzyną już podczas bitwy o Łódź. Drugi raz tego samego nie mieli zamiaru przeżywać. Jednak podróż w nieznaną z maleńkim dzieckiem i starszym schorowanym mężczyzną była zbyt ryzykowna. Zwlekał zatem z podjęciem decyzji, czekając, co przyniesie los. Niespodziewanie dla Stefana pewnego czerwcowego poranka, zanim jeszcze słońce zaczęło mocno przypiekać, przed bramą kamienicy na Nowym Świecie, gdzie mieściło się mieszkanie Kobierskich, zatrzymał się elegancki, choć staroświecki powóz, lata świetności mający już za sobą. Z jego wnętrza wygramolił się po chwili sędzia Kobierski i kazawszy woźnicy czekać, wszedł na drugie piętro do swego mieszkania.

– No, Stefanku! – zawołał od progu, podając Anieli bambusową laseczkę i słomkowy kapelus. – Możemy się pakować. Wyjrzyj tylko przez okno jadalni, a coś zobaczysz – dodał, gdy bratanek wynurzył się z sypialni, ubrany już do wyjścia do szpitala.

Stefan podszedł do okna, a ujrawszy powóz, spojrzał pytająco na stryja.

– To mój stary powóz, jeszcze z czasów, gdy jeździło się to tu, to tam – objaśniał sędzia nie bez odrobiny dumy. Nie tylko z powodu powozu, ale także z racji własnej przedsiębiorczości. – Od jakiegoś czasu stał w wozowni hrabiego Piekosińskiego, mego przyjaciela. Wyobraź sobie – ciągnął z przejęciem – że hrabiostwo też się ewakuują. Zresztą cała śmietanka towarzyska Warszawy siedzi już na walizkach. Widać czują pismo nosem. Rację miał brat naszej Kasięki, że trzeba stąd uciekać.

– A tego perszerona skąd stryjek wytrzasnął? Przecież nie od hrabiego? – spytał Stefan, spoglądając ze zdziwieniem na potężnej budowy konia zaprzęgniętego do powozu. Stryj Henryk miał w rodzinie opinię nieudacznika, co to palcem do nosa trafić nie umie.

– Nie dasz wiary, mój drogi. – Sędzia zachichotał, podkreślając zawadiacko siwego wąsa. – Przypadkowo natknąłem się na wachmistrza kozaków, który zgrabnie stadko tych koni prowadził na stację. Za kilka złotych imperiałów odstąpił mi jednego.

– No tak. Wszystko ładnie pięknie – wtrąciła się Katarzyna, która zwabiona głośną rozmową wyszła z sypialni z dzieckiem na ręku. Miała podkrążone oczy i bladą twarz. Mała ząbkowała i nie dawała spać po nocach. – Tylko do Porętowa to się nie dostaniemy, bo front. Chyba że uda nam się dotrzeć do Raszówki na Wołyniu. Ciotka Ewelina ma tam majątek...

– Mam krewnych znacznie bliżej – sędzia wpadł jej w słowo. – Pięc, może sześć godzin drogi z Warszawy. W Halinówce ma majątek kuzyn szwagra Eugenii Danielskiej. Pamiętasz Eugenię? – zwrócił się do Stefana, a widząc przeczący ruch głowy, ciągnął dalej: – Otóż jej matka, Jadwiga ze Słomczyńskich, była cioteczną siostrą mojej...

– Stryju, proszę! – Stefan złożył błagalnie dłonie. – Ja do szpitala muszę. Już jestem spóźniony. Dokończy stryj innym razem ten wywód genealogiczny. Mnie interesuje tylko jedno: czy szwagier kuzyna czy kuzyn szwagra będzie gotów udzielić nam dachu nad głową?

– Oczywiście – potwierdził skwapliwie stryj. – Jakiś czas temu wysłałem do niego pismo i wczoraj przysłała odpowiedź. Możemy się pakować!

Kiedy pod wieczór następnego dnia staroświecki powóz sędziego Kobierskiego wjechał na polną drogę wiodącą do dworu w Halinówce, widziane przez okno bezkresne szachownice pól rozdzielone miedzą porośniętą rosochatymi wierzbami przypomniały Katarzynie beztrioskie lata spędzane w Porętowie u dziadków. Zatęskniła nagle za matką i ojcem. Już nie nosiła w sobie żalu

do nich. Nawet zaczęła ich w jakimś sensie rozumieć. Sama przecież też miała córkę i drżała o jej życie, pilnowała, aby nie spotkała jej żadna krzywda. Upływający czas zdawał się goić ranę w sercu, jaką zadała jej wiadomość o śmierci Igora. Jednak bywały noce, kiedy nie mogąc spać, przypominała sobie ich wspólne konne przejażdżki po miechowskich polach, pocałunki i pieśszoty, którymi ją obsypywał, i ten pierwszy raz, kiedy się kochali, a wokoło szalała wiosenna burza. Miała wrażenie, jakby od tamtego czasu upłynęła cała wieczność, a nie dopiero rok. To był tylko sen, piękny sen, myślała czasami, ukradkiem ocierając łzy.

Klemens Rybarski, daleki krewny Kobierskich, okazał się sympatycznym mężczyzną w kwiecie wieku, całym sercem oddanym prowadzeniu swego niewielkiego folwarku. Majątek Rybarskich w toku dziejów kurczył się i biedniał, a to z powodu hulaszczego trybu życia przodków, a to z powodu przeciwności losu, a to na skutek klęsk żywiołowych. Dopiero ostatni potomek Rybarskich, Klemens, zdołał zatrzymać ten proces, a nawet majątek powiększył, żeniąc się z panną posażną, choć nie pochodzącą ze szlachty, tylko z miejscowych chłopów. Jednak teraz przed Halinówką po raz kolejny stanęło widmo klęski. Po bezdeszczowej i ciepłej wiośnie lato 1915 roku nadeszło upalne i suche. Po wsiach szeptało, że takiej suszy nie pamiętali najstarsi ludzie, a byli wśród nich tacy, co liczyli sobie po osiemdziesiąt lat. Ziemia wysychała na popiół, kwiaty więdły na drzewach i krzewach. Wygłodniałe pszczoły nadaremno szukały nektaru, aby zamienić go w miód. Koniczyna i owies ledwie od ziemi odrosły, a warzywa całkiem nie wzeszły.

– Łąki ani razu nie skosiłem – opowiadał Klemens, gdy z Kobierskimi wieczorem zasiedli na obszernej werandzie z tyłu dworu, z widokiem na sad. – Nie będzie czym bydła karmić i ludzie głodem będą przymierać. Nie pomogły nawet procesje z krzyżami i świętymi obrazami. Deszczu jak nie było, tak nie ma.

Jeszcze nie wiedział, że na człowieka czyhają gorsze nieszczęścia niż susza i nieurodzaj. A nadeszły już wkrótce, przerywając beztroskie, jak myślała Katarzyna, życie na wsi. Tamara rosła zdrowo, mogła się już poszczycić czterema ząbkami i posadzona na kocyku, zabierała się do raczkowania. Świeże wiejskie powietrze zarumieniło policzki nie tylko dziecka, ale także Katarzyny, nawet Stefan nieco się zaokrąglił i chętnie razem z Rybarskim doglądał prac polowych. Wieczorami do dworu ustawiała się kolejka chorych, niemogących wyjść ze zdumienia, że do ich zapadłej wsi los sprowadził lekarza, i to takiego, który nie brał grosza za poradę.

Najpierw w gazetach pojawiły się dość oględne informacje, że Niemcy już zajęli Pułtusk i Łomżę i niebezpiecznie zbliżyli się do Warszawy, a także złamali opór Rosjan nad Narwią i na Lubelszczyźnie. Aby nie przyznać się do klęski, pisano o bohaterskim oporze i zażartych walkach. Nikt się nie odważył mówić o panicznej ucieczce, lecz co najwyżej o wycofywaniu się na z góry upatrzone pozycje. Pod koniec lipca zaczęły docierać do Halinówki informacje, że Rosjanie ewakuują się z Warszawy, a wkrótce we wsi pojawili się chłopci na rozkaz generała Mikołaja Januszkiewicza wypędzeni wraz z dobytkiem z okolic Pułtuska i Wyszkowa, aby nie zasilili szeregów wrogiej armii i nie dostarczyli wrogom żywności. Płakali, opowiadając, jak prawie dojrzałe zboże wojsko paliło na pniu. Nie minęło wiele dni, gdy nagle we wsi ktoś rozpuścił pogłoski, że Prusacy się zbliżają, mordując wszystkich, kto tylko im w łapy wpadnie. Jakby na potwierdzenie tych słów na drodze wiodącej od Wyszkowa pojawiły się pędzące furmanki oraz grupa pieszych, biegnących w pocie czoła z tobołkami na plecach. Wszyscy zgodnym chórem krzyczeli:

– Prusaki idą! Ludziska, ratujta się, kto może!

Katarzyna, słysząc podekscytowane głosy, oddała w ramiona kucharki córeczkę i osłaniając się parasolką przed żarem płynącym z nieba, wyszła na drogę, skąd jak na dłoni

widać było wiejskie chałupy dość luźno rozrzucone. Panował tam zgiełk nie do opisania. Baby, krzycząc wniebogłosy, przez okna wyrzucały pościel i ubrania, zwijając je w tobołki, inne w przypływie szału tarzały się po ziemi, wydając z siebie niezrozumiałe okrzyki, jeszcze inne padły krzyżem przed wioskową figurą Matki Bożej i głośno zawodziły litanie. Dopiero Klemens, wziąwszy do pomocy Stefana, udał się do wsi i zdołał nieco zapanować na sytuacji.

– Ludzie! – zaczął, jako osoba ciesząca się we wsi największym autorytetem poza proboszczem, który jednak, jak wyszło na jaw, wieś zdążył opuścić już kilka dni temu. – Przecież Niemcy nie będą mordować niewinnych ludzi! Może nawet do naszej wsi nie zajadą, bo nie leży na linii frontu! Zresztą tuż obok stacjonują jeszcze Rosjanie, na nich pójdzie uderzenie.

– Nieprawda! – zaperzył się jeden z uciekinierów, za nic mając słowa Klemensa. – Naszą wieś spalili, ludzi chwyтали i żywcem w ogień wrzucali!

– Kobiety łapali i piersi im obcinali! – dorzucił ktoś z tłumu.

– Dzieci nabijali na szable!

– Mężczyzn... kastrowali... – ktoś dodał, ścisząc ze wstydem głos.

– Szwagier na własne oczy widział – następny włączył się do dyskusji – jak Niemiec, choć ciężko ranny, że całe bebechy miał na wierzchu, chodził od chałupy do chałupy i ogień przykładał, aż zdechł na koniec.

Nasłuchawszy się rewelacji, Katarzyna z płaczem pobiegła do dworu. Tuląc w ramionach Tamarę, chodziła po salonie, szepcząc cicho modlitwy.

– Stefciu – zwróciła się do męża, gdy tylko z Klemensem wrócili do domu – może to jednak wszystko prawda? Pamiętasz, co wyprawiało się w Łodzi? Bombardowali przecież miasto, w którym oprócz wojska mieszkali Bogu ducha winni ludzie! Jeszcze w Miechowie ostrzegano nas przed Niemcami.

Jednak ciężar podjęcia decyzji zdjął z mieszkańców dworu jeden z generałów, dowodzący przyfrontowym oddziałem, stacjonującym w sąsiedniej wsi, który zawitał do dworu na kolację.

– Ja was, Klemensie Iwanowiczu – zwrócił się do Rybarskiego, gdy już sobie suto pojadł i tego popił – do niczego zmuszać nie będę. Chcecie sobie siedzieć, to siedźcie na wsi. Ale jak moje wojska odejdą i przyjdą kozacy, to oni z nikim cackać się nie będą. Dla nich nie ma znaczenia, żeście ziemianin, a nie chłop. Skonfiskują konie, a czego się nie da wywieźć, puszczą z dymem, a was pogonią na wschód. Taki mają rozkaz. – Na koniec bezradnie rozłożył ramiona.

– Ale dlaczego taki bezduszny, drogi Josipie Aleksandrowiczu? – sędzia Kobierski liczył, że może jakoś sprawę załatwi, jak nieraz bywało w Warszawie. Nawet ogródkami dawał do zrozumienia, że może się opłacić, aby folwark Rybarskiego, niewielki przecież, zostawiono w spokoju.

– Taktyka spalonej ziemi – odparł generał, dolewając sobie wina do kieliszka. – Sto lat temu w ten sposób pokonałszy Napoleona, to i teraz wykończymy głodem Niemców. Poza tym nie możemy im zostawić rekruta, a samych mężczyzn, bez bab, ewakuować nie możemy, bo krzyk się podniesie. Lepiej teraz się spakujcie, póki możecie zabrać ze sobą, co chcecie, i wyjeżdżajcie.

– Tylko dokąd mamy jechać? – spytała drżącym głosem Katarzyna i mocniej przytuliła do siebie Tamarę. Nadzieja, że wojnę spokojnie przeczekają na wsi, prysnęła jak bańka mydlana.

– W głąb Rosji... – Generał znów bezradnie rozłożył ramiona. – Tylko tyle mogę wam poradzić.

Sędzia Kobierski przybity jego słowami, zanim zasłabł, poprosił o sole trzeźwiące i rozłożył się na kanapce stojącej tuż pod oknem wychodzącym na zadbanej sad. Prześwietlony promieniami zachodzącego słońca zdawał się oazą spokoju i gwarancją bezpieczeństwa. A jednak tak nie było. Marzenie sędziego, że dokona swego żywota w cieniu jabłoni, siedząc

w wiklinowym fotelu z ulubioną książką w dłoni, legło w gruzach.

Nazajutrz najpierw od zachodu pojawiła się czerwona luna pożarów, skrywając swym krwawym blaskiem tarczę słoneczną. Chwilę później dał się słyszeć terkot karabinów maszynowych, gwizd szrapneli i huk wybuchających pocisków. Mieszkańcy Halinówki wylegli na drogę i zamarli z przerażenia. Nawet nie zdążyli skomentować wydarzeń, gdy ich oczom ukazał się biegnący drogą żołnierz w zielonkawych mundurach, objuczony karabinami i całym swoim żołnierskim ekwipunkiem. Minąwszy pierwsze zabudowania, rzucili się z łopatkami kopać rowy strzeleckie. Wkrótce niczym krecie kopczyki zwały ziemi pokryły całą okolicę. Inni usiłowali schwytać kury biegające po podwórku. Podniósł się krzyk i rwetes, wszędzie wokoło fruwało pierze, a w powietrzu dał się czuć swąd spalenizny. Czarne kłęby dymu napłynęły od strony zabudowań pod lasem.

– Stefan! Rany boskie! Gdzie jesteś?! – Katarzyna z krzykiem wybiegła przed ganek i w panice rozglądała się w poszukiwaniu męża.

Już po chwili ujrzała go, jak dosiadłszy na oklep jednego z koni pasących się na łące, galopem wracał do dworu. Z tyłu za nim płynęło morze ognia, nad którym czerniała się ogromna chmura dymu. To płonęła na polu pszenica, dopiero co zżęta i zebrana w snopki. Stefan z impetem wpadł na dziedziniec i zeskoczył z konia. Biegąc do wozowni, rzucił w stronę stojącej jak słup soli Katarzyny.

– Pakuj rzeczy! Musimy uciekać! Znaleźliśmy się na linii frontu!

Na nic więcej już nie czekając, puściła się biegiem do domu. Jak burza wpadła do sypialni, gdzie pod opieką służącej zostawiła Tamarę. Dziewczynka siedziała sama na podłodze i zanosila się płaczem.

– Gdzie Józia? – Katarzyna w panice rozglądała się wokoło, ale służącej nigdzie nie dostrzegła. Uciekła, suka jedna, zostawiając dziecko na pastwę losu, pomyślała ze złością, chwytając córkę w objęcia.

Jedną ręką trzymając dziecko, drugą otworzyła stojący w kącie kufer i wrzucała do jego przepastnego wnętrza wygarniane z szafy ubrania swoje, Stefana i dziecka. Na koniec wrzuciła dwie puchowe kołdry i wełniany pled. Z małą w ramionach pobiegła do kuchni. Jednak nie zastała tam żywego ducha, natomiast ze swego gabinetu wyszedł stryj Henryk. Tylko tego brakowało, aby mi zaraz zemdłał, pomyślała, widząc jego bladą jak kreda twarz.

– Podać stryjowi soli trzeźwiących? – spytała i nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do kredensu.

– Nie ma potrzeby, moje dziecko – odparł zdecydowanym głosem. Już wiedział od Klemensa, co się dzieje. – Sam sobie wziąłem. Chodźmy do spiżarni spakować prowiant. Służba uciekła do swoich. Musimy poradzić sobie sami. Rybarnicy też się pakują. Zabierają wszystko: krowy, konie, nawet psy. Tylko drób zostawili. Albo kury sobie same poradzą, albo wojsko się nimi zajmie – dodał na koniec z odrobiną czarnego humoru.

Zanim Katarzyna z Henrykiem powrzucali do koszy, co było pod ręką, Stefan zdążył zaprząć do powozu perszerona i zajechał przed front. Sam nie wiedział, skąd znalazł tyle siły, aby bez niczyjej pomocy ciężki kufer załadować na przeznaczone do tego celu miejsce z tyłu powozu. Biegiem wrócił do dworu po swoją torbę lekarską. Oby nie musiała być potrzebna, pomyślał, pakując do środka zabrane jeszcze ze szpitala medykamenty. Katarzyna wcisnęła dziecko w ramiona stryja i zносиła do powozu resztę pakunków.

– Niech stryj wsiada, prędzej – popędzała, widząc, jak od kolejnego pocisku zapaliła się stodoła.

Słup ognia wzbił się do góry, sięgając nieba zasnutego gęstym, gryzącym w oczy i odbierającym oddech dymem. Tamara, wyczuwając zdenerwowanie, zaniosiła się głośnym



płaczem.

– Ty też już wsiadaj, Kasieńko – nakazał Stefan schrypniętym głosem i spojrzał zonie głęboko w oczy, te jej brązowe, koloru kasztanów oczy, które pokochał od pierwszego wejrzenia.

Patrzyły teraz na niego z ufnością i nadzieją, że on ich wszystkich uratuje. Boże, daj mi siły, abym jej nie zawiódł, w myślach zwrócił się do Najwyższego, bo znikąd już nie mogli oczekiwać pomocy.

Zawinąwszy do łokci rękawy koszuli, która już przestała być biała za sprawą sypiącej się z nieba niczym czarny śnieg sadzy, zwinnie wskoczył na kozioł i chwycił lejce. Gdy cmoknął, koń z ochotą ruszył w stronę szeroko otwartej bramy. Ledwie zdążyli opuścić wieś, gdy na drodze, z tyłu za nimi, pojawił się oddział kozaków z pochodniami w rękach. Idąc od chałupy do chałupy, podkładali ogień.

Wobec przewidywanego ataku Niemców od północy na Łomżę i Pułtusk i od południa na Chełm i Lublin dowództwo rosyjskie zaczęło się liczyć z możliwością odcięcia armii carskiej drogi ewakuacyjnej na wschód, a to oznaczało realne zagrożenie okrążeniem na terenie Kraju Nadwiślańskiego. Mimo krwawych i zaciętych walk pod Pułtuskiem i Różanem Rosjanie zostali zmuszeni do wycofania się za Bug. Również rozpaczliwe wysiłki, aby powstrzymać przeciwnika na Lubelszczyźnie, zakończyły się fiaskiem, wobec czego w połowie lipca Niemcy wkroczyli do Krasnegostawu i zaczęli naciskać na odcinku Hrubieszów–Sokal. W zaistniałej sytuacji wielkiemu księciu Mikołajowi Mikołajewiczowi nie pozostawało nic innego, jak wydać rozkaz ogólnego odwrotu z terenów Królestwa Polskiego. Był to już czas najwyższy, ponieważ zaczynało brakować wszystkiego, a amunicję do karabinów liczono na sztuki. Zgodnie z rozkazem rankiem 4 sierpnia wojska rosyjskie opuściły forty Iwanogrodu, wysadzając w powietrze mosty na Wiśle i Wieprzu. Tego samego dnia ostatnie oddziały 2. Armii rosyjskiej ewakuowały się z Warszawy. Na odchodnym Rosjanie zniszczyli wszystko to, co zdołało ocaleć po wielomiesięcznych walkach. Wysadzali w powietrze mosty, wieże ciśnień i wodociągi, słupy telegraficzne i tory kolejowe. Podpalili dworce oraz zniszczyli wiele obiektów przemysłowych o znaczeniu strategicznym, przy okazji wywożąc do siebie ich wyposażenie. Ewakuowały się urzędy, archiwa, szkoły i uczelnie wraz z personelem. Wywieziono zbiory muzealne i biblioteczne, cenne dzieła sztuki, a nawet wyposażenie Zamku Królewskiego. W całej okolicy nie zostały się nawet dzwony kościelne. 5 sierpnia wojska niemieckie weszły do Warszawy i bez wytchnienia posuwały się krok w krok za cofającą się armią rosyjską.

## Rozdział 33

Na jedynej drodze wiodącej w stronę Brześcia nad Bugiem, gdzie ratunek przed nacierającą armią niemiecką spodziewali się znaleźć nie tylko Kobierscy, ale także mieszkańcy okolicznych wiosek, ciągnął się niemający początku ani końca sznur pojazdów. W większości były to chłopskie furmanki, wyładowane dobytkiem, często ponad możliwości szkapiny ciągnącej wóz. Z tyłu za nim przywiązana na sznurku maszerowała krowa, będąca podstawą wyżywienia całej rodziny, a zwłaszcza licznej gromadki dzieci. Te młodsze siedziały na wozie, starsze boso biegły tuż obok. Od czasu do czasu można było dostrzec kota śpiącego na samym czubku spiętrzonych na kształt piramidy pierzyn i poduch, a psy, wiedzione instynktem, same pilnowały swych gospodarzy w obawie, że się pogubią w tym tłumie. Do boku wozów poprzywiązywano garnki, wiadra i kociołki. Bardziej zapobiegliwi powiesili w kącie święty obrazek. Bogatsi ciągnęli za sobą świnię, chrumkające i kwiczące z niezadowoleniem, a w koszach ustawionych na furmankach gdakały kury, kwakały kaczkę i ze złością syczały gęsi. Niektórzy zdecydowali się zdać inwentarz wojsku, a inni zdążyli tylko siebie wynieść cało z zawieruchy. Teraz maszerowali, dźwigając na plecach tobołki, w których nieśli resztki swego skromnego dobytku. Jeśli już ktoś zdecydował się pozostać we wsi, byli to na ogół starcy, chcący umrzeć na własnych śmieciach i oszczędzić sobie trudów ucieczki w nieznane.

Z godziny na godzinę narastał upał i wszystkim dawał się we znaki, a mijane po drodze studnie zdążyły wyschnąć jeszcze w lipcu. Wzbijany w powietrze tysiącami kopyt i nóg przydrożny kurz zabierał oddech i drażnił gardła. Stefan, sprawnie manewrując powozem, starał się wyprzedzić posuwającą się w ślimaczym tempie rzekę uchodźców, lecz bez powodzenia. Kolumna zatarasowała całą szerokość gruntowej dość wąskiej drogi, a zabiedzone konie, ponad miarę wyładowane furmanki, inwentarz wlokący się noga za nogą spowalniały wędrówkę. Na domiar złego po drodze dołączali kolejni uciekinierzy z okolicznych puszczonej z dymem wiosek. Wszyscy opowiadali podobne do siebie historie. Za podpalenia odpowiedzialność ponosiły specjalne oddziały kierowane przez oficera. Niektórzy domagali się opłaty za pozostawienie domostwa w całości. Zdarzali się jednak i tacy, którzy wzięwszy opłatę, chałupę mimo to spalili. „Jednego spotkała za to surowa kara – opowiadał jeden z uciekinierów. – Baby, zdybawszy go wśród opłotków, widłami i kijami zatłukły”.

Rybarscy gdzieś się zagubili w tłumie wraz ze swoim stadem krów. Może wybrali znaną sobie, boczną drogę.

Zmierzchało, gdy siedzący na koźle Stefan z daleka ujrzał otoczone przez Bug i Muchawca, ślicznie pośród lasów położone miasto. Zazwyczaj drogę do niego zagradały szeroko rozlane obydwie rzeki. Jednak po kilku miesiącach suszy i letnich upałach skurczyły się w sobie i odsłoniły piaszczyste brzegi.

– Co to za miasto? – spytała Katarzyna, korzystając z chwili, że zmęczona podróżą Tamara w końcu usnęła i przestała marudzić.

– To jest Brześć – szeptem odparł sędzia, aby nie obudzić dziecka. Także był śmiertelnie zmęczony, lecz kołysanie powozu na wyboistych drogach nie pozwalało mu usnąć, mimo usilnych starań. – Jak głosi legenda, w pierwszych latach chrześcijaństwa na Rusi pewien pobożny kupiec w podziękowaniu Bogu za ocalenie życia, gdy pobłądził na trzęsawiskach puszczy brzostowej nad Muchawcem, wznosił w tym miejscu niewielki kościółek. Wkrótce przy nim powstała osada o nazwie Brzeście. Ponieważ leżała na styku rodzących się potęg politycznych: Rusi w Kijowie i Lachów w Krakowie, zaczęto ją sobie wzajem wrywać...

Opowieść Henryka przerwał tętent końskich kopyt po drewnianym moście przerzuconym przez Bug. Ze zdumieniem sędzieja ujrzał przez okno, jak żołnierze mocowali do barierek i słupów wiązki słomy. Mają zamiar puścić most z dymem, domyślił się natychmiast.

– Zdążyliśmy w ostatniej chwili – szepnął Katarzynie do ucha. – Przygotowują twierdzę do obrony.

– Twierdzę? – Spojrzała na stryjka z przerażeniem. Słowo „twierdza” kojarzyło się z zażartą walką na śmierć i życie, z wybuchami pocisków i płonącymi budynkami.

– W 1831 roku Rosjanie w miejscu starego Brześcia pobudowali pierwszorzędną twierdzę – wrócił do historii miasta. – Na prawym brzegu Muchawca w licznych budynkach klasztorów i kościołów zorganizowano korpus dla kadetów, koszary artylerii, rotę aresztancką, mieszkanie dla komendanta twierdzy, no i cerkiew, oczywiście. Twierdza miała trzymać w ryzach podbitą Polskę, a teraz, mam nadzieję, da radę zatrzymać Niemców.

– To znaczy, że będą się tutaj toczyły walki – jęknęła Katarzyna. Tego się nie spodziewała. – Drugi raz szturm na miasto nie wytrzymam... – Głos się jej załamał, a po bladych policzkach potoczyły się łzy.

– Ależ oczywiście, dziecinko, że nie zagościmy tutaj na dłużej – oznajmił pocieszającym tonem. – Stefcio planuje dostać się do Baranowicz. To niewielkie, ale ważne miasto, leżące w głębi Rosji, na drodze wiodącej do Sankt Petersburga. Ze dwa lata wstecz zjechało się tam kilkadziesiąt samochodów, gdyż przez Baranowicze wiodła trasa wyścigu samochodowego z Petersburga do Moskwy. Jak czytałem w gazetach tuż przed wybuchem wojny, właśnie tam rozlokowała się Stawka, czyli Sztab Generalny – wyjaśnił, zakładając, że Katarzyna jako kobieta nie orientowała się w terminologii wojskowej. – Do Baranowicz wraz ze swoimi generałami ściągnął wielki książę Mikołaj Mikołajewicz oraz część śmietanki towarzyskiej Petersburga. Gdzie jak gdzie, ale tam z pewnością spokojnie doczekamy końca wojny.

– Ale nie mamy przecież domu w tych Baranowiczach...

– Już ty sobie swojej ślicznej główki nie zwracaj takimi sprawami. – Sędzia uśmiechnął się z odrobiną pobłażliwości. Jego zdaniem kobiety powinny zajmować się domem i dziećmi, a resztę spraw tradycyjnie zostawić w rękach mężczyzn. Modne ostatnio, zwłaszcza w Anglii, ruchy sufrażystek do niczego dobrego nie mogły doprowadzić. – Stefan jako lekarz wszędzie jest potrzebny, a ja trochę złotych imperiałów mam w zanadrzu, więc o dach nad głową możesz być spokojna. Tamarce na niczym nie będzie zbywało. – Spojrzał rozanielonym wzrokiem na ciemną główkę dziecka, śpiącego z rozchylonymi usteczkami, kurczowo ściskającego w rączce matczynej palec. Nie znając prawdy o jego pochodzeniu, z każdym dniem dostrzegał coraz więcej rodzinnych podobieństw. Genealogia była jego ulubionym hobby i potrafił godzinami snuć opowieści, kto od kogo się wywodził i kto po kim dziedziczył.

Miasto sprawiało wrażenie oblężonej twierdzy. Jediną brukowaną drogą do centrum zmierzała trudna do ogarnięcia liczba wozów. Chłopskie furmanki tłoczyły się nawet w bocznych uliczkach, a w okolicach dworca już od kilku dni koczowali uciekinierzy, *bieżeńcy*, jak mówili o sobie, głównie ludność prawosławna z okolic Podlasia i Polesia, wygnana ze swoich domostw przez cofającą się armię rosyjską. Natomiast sprawujący urzędy Rosjanie pakowali dobytek i wywożąc, co się dało, wyjeżdżali z miasta w pośpiechu. W zabudowaniach twierdzy trwał ożywiony ruch, z czego można było wnosić, że mają zamiar właśnie w tym miejscu powstrzymać zwycięski marsz armii niemieckiej, co napełniło serca Kobierskich nadzieją, że wojna pozostanie daleko za nimi.

Po nocy spędzonej w jednym z mało wygodnych hoteli, podczas której ani Katarzyna, ani Stefan nie zmrúżyli oka z uwagi na harmider panujący na zewnątrz, skoro świt puścili się w dalszą drogę. Wraz z nimi miasto opuszczali nie tylko *bieżeńcy*, ale także mieszkańcy

Brześcia. Z każdą minutą droga stawała się coraz bardziej zatłoczona, a upał nieznośny. Z daleka, wraz z podmuchami gorącego wiatru, doleciały do uciekinierów głucho pomruki, jakby zbliżała się burza, a na niebie pojawiły się purpurowe chmury i słupy czarnego dymu.

– Wysadzają twierdzę w powietrze, dranie... – ze ściśniętym gardłem szepnął zaskoczony sędzia Kobierski. – Swoim zwyczajem i miasto puszcza z dymem.

– Dlaczego to robią? – spytała Katarzyna, kołysząc w ramionach Tamarę. – Dlaczego nie podejmują walki?

– Tego nie wiem, moje dziecko. – Sędzia pokręcił głową. – Podejrzewam jednak, że nie byli tak dobrze przygotowani do wojny jak Niemcy. Jak zwykle władza okłamywała swych poddanych.

Minęło południe, gdy wraz z ciągnącym się w nieskończoność sznurem furmanek powóz Kobierskich przystanął. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że przy wjeździe do Kobrynia, niewielkiego miasteczka leżącego nad rzeką Muchawiec, bieżeński zator ciągnie się daleko przed rogatkami, a przybysze są natychmiast ograbiani. Choć Stefan tym ostatnim rewelacjom nie dawał wiary, był już zmęczony zbyt powolną podróżą. Toteż ujrawszy polną drogę, bez wahania skierował na nią powóz. Zdażył w Brześciu zaopatrzyć się w kompas, płacąc suto jednemu z oficerów, więc zbłądzenie w obcym terenie stało się mało prawdopodobne. Wyboje i nierówności nie były gorsze niż na głównej drodze, ale resory powozu łagodziły wstrząsy i kołysania. Wkrótce szeroka miedza doprowadziła ich do leśnej przecinki, wiodącej w chłodnym cieniu buków i olch. W gęstwinie drzew uwijały się ptaki, wyłapując muchy i inne owady, w które tutejsza podmokła okolica obfitowała. Kobierski osadził konia, zeskoczył z kozła i otworzył szeroko drzwi powozu. Do Katarzyny dotarła przyjemna woń leśnych ziół rosnących obficie wokoło i chłodny zefirek szumiący liśćmi w koronach drzew.

– Zatrzymamy się w tym lesie na krótki popas – oznajmił z uśmiechem na poszarzałej ze zmęczenia twarzy i wziął od Katarzyny Tamarę, która z miejsca przestała marudzić i zainteresowała się zwisającymi nisko nad głową Stefana gałązkami wierzbowymi.

– Jak tutaj pięknie – zachwyciła się Katarzyna, wysiadając z powozu. Z ulgą rozprostowała nogi i zaczerpnęła głęboko do płuc rześkiego powietrza, wolnego do przydrożnego kurzu, pozbawionego woni zwierzęcych i ludzkich odchodów, które towarzyszyły im od dnia ucieczki z Halinówki.

Także stryj Henryk zachwycał się okolicą, drepcząc wzdłuż drogi, a nawet w przypiływie odwagi zapuszczając się dalej pomiędzy drzewa. Choć całe życie spędził w murach wielkiego miasta, kochał przyrodę i zawsze marzył o mieszkaniu na wsi, pośród pól i lasów, gdzie mógłby spacerować z psem u nogi.

Już po chwili Katarzyna wyjęła z koszyka chleb, pęto suchej kielbasy i kawałek sera. Zapasy nam się kończą, pomyślała z niepokojem. Jeśli po drodze nie będzie gdzie kupić chleba i mleka, stracę pokarm w piersiach. Usiadła na leżącym wzdłuż drogi zwalonym pniu drzewa, rozpięła bluzkę i nucąc piosenkę, podała Tamarze nabrzmiałą mlekiem pierś, do której dziecko przyssało się łapczywie. Stefan wyprzągnął konia i wypuścił na niewielką łąkę, na której w cieniu drzew rosła soczysta trawa. Zwierzę, prychając i oganiając się ogonem od dokuczliwych much, z ochotą zabrało się do jedzenia. Zaniepokojona obecnością konia i ludzi sójka, ten strażnik lasów, skrzeczała głośno „kreecz, kreecz, kszaach, kszaach”, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Spłoszone drozdy poderwały się do lotu i wydając z siebie piskliwe „tsip, tsip, tsip”, zniknęły w gęstych zaroślach. Ciszę leśną zakłócało głośne brzęczenie owadów, poszukujących dla siebie pokarmu czy to w postaci nektaru kwiatów, czy to gnijących części roślin, czy rozkładających się resztek padłych gryzoni.

Jeszcze Kobierscy nie zdążyli dobrze nacieszyć się spokojem miejsca, do którego wojna

z pozoru nie dotarła, gdy z daleka usłyszeli tętent kopyt i skrzypienie kół. Po chwili na drodze pojawił się zaprzężony w dwa konie wóz taborowy, będący w zasadzie dużą furmanką zaopatrzoną w specjalne kabłaki, na których, w razie potrzeby, naciągano płótno mające pełnić funkcję dachu. Z uwagi na słoneczną pogodę płótno leżało zwinięte. Kobierscy spoglądali z niepokojem, jak wóz zmierzał prosto w ich kierunku. Z uwagi na szybkość, z jaką się przemieszczał, i brak inwentarza nie mógł należeć do bieżeńców. Dopiero gdy znalazł się całkiem blisko, po strojach rozpoznali siedzące w nim trzy sanitariuszki. Na sobie miały szare suknie, ozdobione na piersiach czerwonym krzyżem, przepasane białymi fartuchami na szelkach. Białe płócienne chusty, włożone na głowy, na kształt zakonnych welonów spływały im na ramiona. Siedzący na koźle młody mężczyzna, o płomiennorudych włosach, ubrany był w biały lekarski kitel, zapinany na plecach, spod którego wystawały wysokie wojskowe buty. Wołając głośno: „prrrr, prrrr”, wstrzymał konie.

– Mam nadzieję, że nikogo rannego nie macie? – spytał donośnym głosem, zeskakując na ziemię. W promieniach słońca prześwitującego przez gęste gałęzie drzew jego twarz wydawała się bardziej piegowata, niż była w rzeczywistości.

– Bogu dziękować, wszyscy cali i zdrowi – odparł Stefan, podchodząc do człowieka w białym fartuchu. – Stefan Stefanowicz Kobierski – przedstawił się. – Jestem lekarzem, więc w razie nieszczęścia pomoc jest na miejscu – zażartował.

– Konstanty Aleksandrowicz Taraszkiewicz, sanitariusz. – Rudy mężczyzna uściśnął Stefanowi dłoń i uśmiechnął się, ukazując rząd nieco stłoczonych w szczęce zębów, przez co wydawało się, że jest ich więcej, niż powinno być. – Ja i moje sanitariuszki... – Ruchem głowy wskazał siedzące na wozie trzy młode kobiety. Gdyby nie wojna, każda z nich chodziłaby jeszcze na pensję, zaczytywała się w poematach Puszkina i marzyła, aby i dla niej ktoś kiedyś dał się zabić w pojedynku. – ... zbieramy rannych i odwozimy do przyfrontowych lazaretów lub szpitala, o ile jest takowy w okolicy.

– To front jest już tak blisko? – spytała z lękiem w głosie Katarzyna, podchodząc z dzieckiem na ręku do rozmawiających mężczyzn. – Armia nie zatrzymała Niemców na Bugu?

– Jeszcze wielki książe Mikołaj Mikołajewicz, kiedy był wodzem naczelnym, wydał rozkaz wycofania się, aby nie doszło do okrążenia...

– To kto go zastąpił na tym stanowisku? – Dla Stefana słowa sanitariusza były zaskoczeniem. Mieszkając w Halinówce, byli odcięci od wszelkich wiadomości dotyczących toczącej się wojny, a zwłaszcza sytuacji w rządzie carskim.

– Mówią, że car osobiście przejął dowodzenie...

No to wydał wyrok śmierci nie tylko na armię, ale także na dynastię, pomyślał Stefan. W Berlinie pewno strzelały korki od szampana. Lecz uwagę tę zostawił dla siebie, aby nie straszyć Katarzyny i stryja.

– A Baranowicze? Tam ponoć urzęduje Sztab Główny? – zapytał o rzecz dla nich znacznie ważniejszą niż los Romanowów, dynastii, której Polacy nie darzyli ani sympatią, ani szacunkiem.

– Stawka? Nie... – Taraszkiewicz zaprzeczył ruchem głowy. – Stawka znajduje się w Mohylewie. W okolicach Baranowicz toczą się w tej chwili zażarte walki. Jeśli państwo zamierzali tam właśnie się udać, to odradzam.

Katarzyna utkwiała w Stefanie zatroskane spojrzenie, a stryj Henryk, jakby jego ten problem nie dotyczył, podkrecając węża, podszedł do sanitariuszek i przedstawivszy się, zaczął wypytywać, co je skłoniło do takiego poświęcenia, jakim niewątpliwie była rola siostry miłosierdzia. Z uwagi na swój młodziutki wiek chichotały bez powodu, skromnie opuszczając oczy na czubki swoich sznurowanych trzewików, dość mocno zakurzonych. W swym

postępowaniu nie dostrzegały poświęcenia, lecz obowiązek ciążyący na siostrach, matkach i żonach tych, którzy poszli walczyć.

– Uciekajcie do Pińska. Tam z pewnością Niemcy nie dojdą – Taraszkiewicz, widząc zmartwione miny Kobierskich, starał się ich pocieszyć. Wolał nie mówić, że armia rosyjska wycofywała się w nieładzie, że brakowało chleba i amunicji, a żołnierze masowo oddawali się do niewoli.

Godzinę później wóz sanitarny i powóz Kobierskich ruszyły razem w dalszą podróż. Ledwie zdążyli ujechać kilka wiorst i wyjechać na bity trakt, gdy drogę zagroził im wojskowy posterunek. Wstrzymane gwałtownym ściąganiem lejców konie zarżały donośnie i nerwowo potrząsały łbami. Grzebały kopytami w piasku zalegającym rozjeżdżony trakt.

– Stać! Stać! – zawołał jeden z podoficerów, podchodząc do wozu sanitarnego. Na wszelki wypadek chwycił konia za uzdę, aby mu podróżni nie nawiali. Tuż za nim postępowali krok w krok dwaj żołnierze z karabinami gotowymi do strzału. – Widzicie tamte chałupy? – spytał, wskazując wyciągniętą ręką widoczne w bliskiej odległości domostwa i zabudowania gospodarcze. – Jest rozkaz wysłania do wsi sanitariuszy, bo koczuje tam wielu chorych bieżenców. A wy – zwrócił się do Kobierskiego – musicie jechać dalej. Tam nie ma dla was miejsca.

Katarzynie przyszło na myśl, że gdzie jak gdzie, ale na wsi z pewnością uda się kupić mleka i sera, a może nawet jakieś mięso. Wysiadła z powozu i oddawszy stryjowi Tamarę, podeszła do stojącego groźne miny podoficera i jego eskorty.

– *Gospoda oficery* – zagadnęła przymilnie. Mogła się pomylić, wszak jako kobieta nie rozróżniła oznaczeń na pagonach. Skąd mogła wiedzieć, że te oficerskie miały złote wypustki? – Mój mąż jest lekarzem, więc będzie mógł udzielić chorym pomocy, a my przy okazji odpoczniemy dzień, dwa. Jesteśmy z małym dzieckiem już tak długo w podróży...

– Skoro wasza wielmożność jest lekarzem – podoficer, zauważywszy szlachecki herb na drzwiach eleganckiego powozu, przybrał usługny wyraz twarzy – to proszę jechać. Droga wolna.

Gestem nakazał swoim żołnierzom odsunąć się na bok, aby wóz sanitarny i powóz Kobierskich mogły swobodnie skręcić w polną drogę wiodącą do wsi. Już po chwili spostrzegli skrytych w zaroślach pozostałych żołnierzy.

– Czyżby Niemcy byli już tak blisko i wojsko szykuje się do odparcia ataku? – spytała przestraszona Katarzyna i odruchowo mocniej przytuliła do siebie Tamarę.

– Nie sądzę – odparł sędzia i uważnie przypatrywał się okolicy. – Odnoszę wrażenie, jakby cała wieś została otoczona kordonem wojska. To mi się nie podoba... – wymamrotał pod nosem.

Gdy wjechali do wsi, wrażenie inności jeszcze się u sędziego pogłębiło, jednak wolał głośno swych obaw nie wyrażać, aby nie straszyć bez potrzeby Katarzyny. I tak sprawiała wrażenie przelęknionej ostatnimi wydarzeniami, a to udzielało się dziecku, które stale marudziło, nie chciało jeść ani spać. Sanitariuszy i Kobierskich zakwaterowano w budynku szkoły, jedynym murowanym, który z uwagi na czas wojny świecił pustkami. Prawdopodobnie przypadła im w udziale izba należąca do nauczyciela, sądząc po dwóch łózkach stojących w niewielkiej niży, stole z krzesłami na środku izby, szafie na ubranie i kredensie kuchennym, wypełnionym skromną zastawą stołową. Podczas gdy sanitariuszki zajęły się przystosowaniem na lazaret dość przestronnego pomieszczenia, będącego przed wybuchem wojny szkolną klasą, Katarzyna ruszyła na poszukiwanie wody, licząc, że może w pobliżu znajdzie studnię. Natomiast Taraszkiewicz i Stefan, napotkawszy jednego z nielicznych mieszkańców wsi, która wydawała się wyludniona, choć wzdłuż drogi znajdowało się przynajmniej kilkadziesiąt chałup, poprosili o wskazanie, gdzie są chorzy.

– W zasadzie, wasza wielmożność, w każdej chałupie ktoś niedomaga – odparł zmęczonym głosem. – A wielu już pomarło...

Stefan i Konstanty wymienili między sobą wiele mówiące spojrzenia. Epidemia czy co, pomyślał Stefan i poczuł na plecach nieprzyjemne ciarki. Straszna prawda wyszła na jaw, gdy weszli do pierwszej z brzegu chałupy. Obraz, jaki ujrzeli, wzbudził w nich przerażenie. W Konstantym z powodu wyglądu chorego, w Stefanie z powodu podejrzenia, czym była choroba, która zwała z nóg leżącego w łóżku mężczyznę. Całą twarz i ręce miał pokryte grudkową wysypką. Musiała trawić go wysoka gorączka, bo nawet nie zwrócił uwagi na obcych, którzy weszli do izby. Na drugim łóżku pod wspólną pierzyną leżało dwoje dzieci w wieku dziesięciu i dwunastu lat, po wyglądzie sądząc, o twarzach gęsto pokrytych wysypką. Pomiędzy nimi przemieszczała się drobna kobieta w płóciennej chustce na głowie, o trudnym do określenia wieku, z wyrazem bezradności na spalonej słońcem twarzy. Na widok przybyłych przystanąła w miejscu, wciąż trzymając w rękach garnuszek z mlekiem, którym poiła dzieci. Zawiesiła na Kobierskim spojrzenie pełne nadziei, jakby liczyła, że ten szczupły szpakowaty mężczyzna o dobrych oczach zna lekarstwo na chorobę, która już zabrała jej rodziców, a teraz chciała zabić dzieci i męża.

– Chryste Panie, *variola nigra* – szepnął Kobierski i raptownie zatrzymał się w progu. Natychmiast zdał sobie sprawę, że nie tylko wojna mogła ich zabić.

– Czyli co? – spytał Taraszkiewicz, mając za sobą jedynie przeszkolenie dotyczące zaopatrywania ran kłutych, ciętych i szarpanych. O innych przypadłościach nie miał najmniejszego pojęcia. Był przecież poetą. Kiedy wybuchła wojna, rzucił studia i został sanitariuszem.

– Czarna ospa – wyjaśnił Stefan i zerknął z niepokojem na Konstantego, którego twarz momentalnie zrobiła się blada jak kreda. Zaraz mi zemdleje, pomyślał i na wszelki wypadek ujął sanitariusza pod łokieć.

– Wojsko mogło nas uprzedzić – po chwili odezwał się Taraszkiewicz, gdy doszedł do siebie po pierwszym szoku. – Pojechałbym do Pińska po szczepionki. A tak skazali wszystkich na śmierć. Kto wie, czy i nie nas.

Kobierski odwrócił się na pięcie i wypadł z chałupy jak przeciąg. Puścił się biegiem do budynku szkoły, gdzie zostawił Katarzynę i stryja. Z impetem wpadł do izby, która miała stać się ich mieszkaniem na krótki czas, a okazała się więzieniem, w którym los miał zamiar wykonać na nich wyrok śmierci. Katarzyna i sędzia siedzieli przy stole i z apetytem zajadali świeży chleb i pijali mleko z kubków, a Tamara w końcu usnęła.

– Szybko do powozu – rzucił szeptem w ich stronę, aby nie obudzić dziecka. – Musicie uciekać.

– Jak to uciekać? – Katarzyna wstała zza stołu i zawiesiła na mężu bezradne spojrzenie. Ona nie miała już sił na dalszą ucieczkę. Tak bardzo chciała choć kilka dni spędzić w domu, a nie w kołyszającym się powozie. – Dlaczego? Niemcy zaatakowali?

– Gorzej – odparł Stefan i widząc, że Katarzyna stoi jak słup soli, zaczął upychać rzeczy do tobołków. Kufer na szczęście jeszcze nadal tkwił przymocowany do powozu. – We wsi panuje czarna ospa.

– Jezus Maria! – krzyknęła Katarzyna i zachwiała się. Gdyby nie szybka reakcja Stefana, upadłaby na podłogę.

Zasłoniła twarz dłońmi i zaniosła się szlochem. O tej strasznej chorobie nasłuchiwała się opowieści od nauczyciela historii, który zafascynowany był dziejami Inków. Z jego słów wynikało, że więcej ofiar pochłonęła choroba niż zbrodnie popełniane przez konkwistadorów.

Siedzący za stołem sędzia Kobierski wstał dopiero po chwili, gdy nabrał pewności, że nie

zemdleje. Podszedł do Stefana i wyjął z jego rąk tobolek.

– Daj spokój, Stefcu – oznajmił nad wyraz spokojnym głosem. Już zrozumiał, co mu się w zachowaniu żołnierzy i w wyglądzie wioski wydawało podejrzane. – Jesteśmy w pułapce. Cała wieś jest otoczona kordonem wojska. Ustawili kulomioty i będą strzelać do każdego, kto zechce wieś opuścić. Ja ich nawet rozumiem. Wojsku jeszcze tylko epidemii ospy brakuje, ale mogli nas zwyczajnie w świecie ostrzec i nie wpuścić do tej zapowietrzonej wsi.

– To moja wina – pisnęła przez łzy Katarzyna. – To ja się napierałam, aby się tutaj zatrzymać. To Bóg mnie karze za moje grzechy, ale dlaczego także was? I to dziecko niewinne.

– Nie opowiadaj takich niemądrych rzeczy. – Stefan wziął żonę w objęcia i kołysał z czułością. – Nie masz żadnych grzechów na sumieniu, za które Bóg chciałby cię tak surowo ukarać. – Poza tym nie jest przecież okrutny, lecz miłosierny, pomyślał bez przekonania. Tak mówi Biblia i musimy w to wierzyć.

Wypuścił Katarzynę z objęć i chwilę szperał w swojej torbie lekarskiej. Na samym dnie natrafił na metalowe pudełko, w którym trzymał szczepionki. Z uwagą spojrzął na szklaną fiolkę, w której znajdował się proszek do rozcieńczenia. Ilość szczepionki powinna wystarczyć dla trzech osób. Pierwszą zaszczepił Tamarę. Trzymana w ramionach Katarzyny, wyrwana ze snu, krzyczała rozpaczliwie, gdy specjalną rozdwojoną igłą, maczając w roztworze, nakłuwał raz za razem jej różowe i pulchne ramionko. Jak skończył, na ranę przylepił plasterk. Katarzyna, odsłoniwszy swoje ramię, z przerażeniem wpatrywała się w cieniutkie ostrza kaleczącej jej skórę aż do krwi.

– Jest tylko jeden problem, Kasiu – odezwał się, gdy skończył. – Nie będziesz już mogła karmić małej piersią. Ale widziałem, że Tamarcka chętnie sięga już po chlebek i mięsko. Mleka też powinno jej nie zabraknąć. Widziałem kilka kóz przy drodze. Zaraz jedną wam przyprowadzę do domu.

– Poradzimy sobie, Stefcu. – Westchnęła ciężko i zapięła bluzkę. – Byle nas choroba ominęła.

– Teraz ty, stryjku – Stefan zwrócił się do sędziego, który na wszelki wypadek odwrócił wzrok, aby nie patrzeć na poczynania bratanka. Widok krwi zawsze przyprawiał go o zawroty głowy.

– A ty? – spytał, widząc resztki na dnie fiolki. – Ja nikomu już nie jestem potrzebny. Mogę umierać, a ty masz żonę i córkę.

– Mnie zaszczepiono podczas wojny z Japonią – odparł, siadając tuż obok stryja przy stole. – Jeszcze jestem odporny. – Daj Boże, abym się nie mylił, boleśnie przemknęło mu przez myśl.

– Skoro tak mówisz... – Sędzia, ociągając się, rozpiął koszulę i obnażył ramię. Na wszelki wypadek odwrócił głowę i mocno zacisnął powieki, aby nawet przez przypadek nie ujrzeć ostrego jak skalpel narzędzia.

– Gotowe – oznajmił Stefan, gdy było już po wszystkim, i przylepił plasterk na delikatnym niczym u niemowlęcia, choć nie tak gładkim ramieniu stryja. – Szczepionka daje nam duże szanse na wyjście cało z tej opresji, ale nie oznacza, że możemy chorobę bagatelizować.

Oplukał dłonie spirytusem i obrzucił zatroskanym spojrzeniem swych najbliższych. Stryj starannie zapinał guziki koszuli, oddychając ciężko. Katarzyna chodziła po pokoju, kołysząc w ramionach wciąż cichutko popłakującą Tamarę.

– Musicie ograniczyć kontakty z ludźmi do niezbędnego minimum – zaczął, siadając z powrotem przy stole. – Niczego nie wolno wam dotykać ani nikomu podawać rąk. Po przyjściu z dworu ręce będziecie płukać w specjalnym roztworze z chloru. Sporządzimy razem z Konstantym stosowną ilość. Wychodząc z domu, zakładajcie na twarz chustki, choć to słabe



zabezpieczenie, ale lepsze niż żadne. Nic więcej nie możemy zrobić. I jeszcze jedno. – Przerwał na moment, zdając sobie sprawę, że i jemu będzie ciężko. – Nie będziemy się widywać, dopóki epidemia się nie skończy...

– Ale dlaczego? – Katarzyna przystanąła z wrażenia.

– Muszę zająć się chorymi, a zakażenie przenosi się drogą kropelkową...

– To znaczy? – schrypniętym ze strachu głosem spytał sędzia i zawiesił na swym bratanku przerażone spojrzenie. Słowo, którego użył, kojarzyło się z czymś groźnym.

– Inaczej mówiąc, wirusy fruują w powietrzu, osiadając, gdzie popadnie. Na twarzy, głowie, ubraniu. Do organizmu dostają się wraz z wdychanym powietrzem. Mając kontakt z chorymi, mogę przynieść je na siebie.

Stefan spakował torbę lekarską, a do podręcznej wrzucił trochę bielizny. Uściskał stryjka, któremu niespodziewanie zadrżała broda i łzy potoczyły po policzkach pokrytych kilkuniedniowym zarostem, co nadało mu wygląd staruszka, jakim przecież się nie czuł. Ucałował Tamarę i wziął w ramiona Katarzynę. Łkała jak małe dziecko, które musi się rozstać z matką na długi czas. Nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa i miała wrażenie, jakby jej ktoś na gardle zacisnął sznurek. Boże, Boże, modliła się w myślach, ochroń go, nie pozwól mu umrzeć.

Gryząc wargi do bólu, Stefan odsunął od siebie żonę i chwyciwszy torby do ręki, wybiegł z budynku. Na podwórku już czekał na niego Taraszkiewicz i sanitariuszki. Byli spokojni o swój los, bo na zakończenie kursu wszystkich zaszczepiono nie tylko przeciwko ospie. Podczas wojny na ogół panowała cholera, tyfus i co tylko przyroda wymyśliła na ludzkie utrapienie.

Każdego dnia pojawiały się nowe ogniska choroby, a oni byli bezradni. Poza morfiną i wodą do picia oraz słowami pociechy nie mogli chorym nic więcej zaofiarować. Zmarłych znoszono do kolejnych stodół i palono. O normalnych pogrzebach nie mogło być mowy. Umierali starzy i młodzi, zaraz po nich dzieci, bez różnicy. Jakby zachłannej śmierci nie wystarczały obfite żniwa zbierane na pobliskim froncie, kosiła życie także z dala od pól bitewnych.

– Gdybym zachorowała i umarła, nie pozwól mnie spalić w stodole – pewnego wieczoru oznajmiła Olga, jedna z sanitariuszek, narzeczona Taraszkiewicza, gdy na chwilę usiedli, aby zjeść przy płonącym ognisku kolację.

Kobierski położył dłoń na jej czole. Było rozpalone. Tydzień później zmarła. Pod osłoną nocy Stefan i Konstanty zakradli się ze zwłokami Olgi na wzgórze na skraju wsi i tam wykopali jej grób. Zawsze drobna i szczupła, po śmierci była lekka jak piórko. Na drugi dzień Kobierskiego rozboleła głowa i dostał torsji. Coś musiało mi zaszkodzić, pocieszał się. Ale już wieczorem rozłożyła go wysoka gorączka. Po trzech dniach jego twarz i kończyny pokryły się grudkową wysypką. Konstanty, nie pytając go o zgodę, poszedł do mieszkania Katarzyny. Zapukał do okna.

– Stefan zachorował – oświadczył łamiącym się głosem, gdy ujrzał twarz Katarzyny, i szybko się oddalił, aby nie dostrzegła łez płynących po jego piegowatej twarzy.

Katarzyna wybiegła z domu, nie patrząc, że nie ma na sobie żakietu ani kapelusza. Już dawno na takie drobiazgi jak niekompletny strój przestała zwracać uwagę. Wobec ogromu nieszczęść, które przetaczały się przez świat, dawne zasady, konwenanse, co wypada, a co nie, już dawno odeszły do lamusa wraz z gorsetami i sztywnym *savoir-vivre*'em. Teraz liczyło się tylko jedno: przeżyć, za wszelką cenę wynieść życie z tego piekła. Razem z Konstantym pielęgnowali Stefana, nic nie mogąc dla niego zrobić. Płakali z bezsilności, widząc, jak z każdym dniem choroba czyniła postępy.

– Stefciu, nie odchodź – szeptała błagalnie, siedząc na skraju łóżka. Nie mogła go nawet objąć i przytulić. – Cóż ja pocznę bez ciebie?

– Jedź do rodziców Igora – odezwał się ostatkiem sił. – Nie odmówią pomocy jego dziecku i tobie.

Dwa dni później Stefan zmarł.

Nocą razem z Taraszkiewiczem Katarzyna wykopała mu grób na wzgórzu, tuż obok sanitariuszki Olgi. Ukradkiem przynieśli zwłoki zawinięte w prześcieradła. Wzgórze położone z dala od drogi dawało nadzieję, że nie zostanie stratowane przez bydło i konie pędzone z miejsca na miejsce.

## Rozdział 34

Czarna ospa zbierała śmiertelne żniwa jeszcze przez dwa tygodnie, aż zmarli wszyscy mieszkańcy wsi. Ostatnią ofiarą zarazy została najmłodsza sanitariuszka, Nadia. Dopiero wówczas dowódca oddziału kordonem otaczającego wieś pozwolił pozostałym przy życiu opuścić to przeklęte miejsce. Gdy znaleźli się poza wsią, Katarzyna, siedząc na koźle, wstrzymała konia i spojrzała za siebie. Na horyzoncie falowało morze ognia, a niebo zasnuwały kłęby czarnego dymu. To płonęły domy i budynki gospodarcze, pod które wojsko podłożyło ogień, mający zniszczyć niebezpieczną zarazę, czyhającą na nowe ofiary w każdym zakątku niegdyś pięknej i ludnej wsi. Katarzyna przeniosła wzrok na widoczne z daleka wzgórze, na którym znajdował się grób Stefana.

– Żegnaj, najdroższy – szepnęła ze ściśniętym sercem, a gorące łzy potoczyły się po jej wychudzonych policzkach.

Chwilę jeszcze wpatrywała się w czerwoną lunę na horyzoncie i na odcinający się na jej tle ciemny zarys pagórka. Westchnąwszy ciężko, cmoknęła na konia i ruszyła z kopyta, aby dogonić wóz sanitarny. Samotna podróż drogą wiodącą przez las napawała ją przerażeniem. Jednak już wkrótce, gdy wjechali na główny trakt wiodący do Pińska, dogonili sznur chłopskich furmanek zmierzających w tym samym co sanitariusze oraz Katarzyna i sędzia kierunku. Jak twierdził Taraszkiewicz, z Pińska istniało połączenie kolejowe do Bobrujska, a stamtąd do Sołowiejki, posiadłości Kaledinów, było już niedaleko. Podróż w roli woźnicy powozu, nawet tak wygodnym jak ten sędziego Kobierskiego, była ponad siły fizyczne Katarzyny. Stryj Henryk, od zawsze kruchego zdrowia, mdlejący z byle powodu, po śmierci Stefana osłabł jeszcze bardziej. Z trudem przychodziło mu zajmować się Tamarą, gdy Katarzyna powoziła. Dziękowała Bogu, że dziadek Andrzej mimo sprzeciwów jej ojca nauczył ją tej trudnej sztuki. Od dziecka kochała konie i uwielbiała na nich jeździć. Jako mała dziewczynka dostała najpierw kucyka, a kiedy podrosła, dziadek sprezentował jej młodziutką klacz o kasztanowej sierści. Dała jej na imię Ruda. Razem dorastały. Pewno ją wojsko zarekwirowało, pomyślała ze smutkiem. Może już nawet nie żyje, trafiona kulą lub rozerwana pociskiem.

Z zamyślenia wyrwał Katarzynę widok bieżeniów, rozłożonych obozem na podmokłych polach pod miastem położonym na wzniesieniu, w miejscu gdzie Pina wpada do Prypeci. Palili ogniska, aby przygotować sobie posiłek. Wokoło rozchodziła się nieprzyjemna woń zwierzęcych i ludzkich odchodów, co wskazywało, że ci ludzie koczowali w tych prymitywnych warunkach już jakiś czas. Są jak szarańcza, pomyślała, widząc ogołocone do ostatniego źdźbła trawy pastwiska, rozkradzione siano ze stogów czy wycięte w pień okoliczne drzewa. Miejscowi po nocach wystawiali strażę z psami i widłami, aby pilnować swego dobytku. Nie byli w stanie pomóc tysiącom uciekinierów, nawet gdyby chcieli. To zjawisko wszystkich przerosło, a zwłaszcza urzędników państwowych, którym było prościej posłać sotnię kozaków, aby pilnowali szlacheckich majątków, niż zorganizować pomoc dla setek tysięcy wygłodniałych i wynędzniałych ludzi, wygnanych ze swych domostw. Idąc przez pińskie błota, z braku czystej wody będą pili tę z bagien. Wielu z nich przyplaci to życiem. Chore matki, czując zbliżającą się śmierć, a nie mogąc znaleźć nikogo chętnego do zajęcia się ich maleńkimi dziećmi, będą topiły je w bagnie. Aby nie skazywać na powolne konanie przy matczynym trupie.

Nie lepiej przedstawiała się sytuacja w Pińsku. Chłopskie furmanki tarasowały ciasne ulice biegnące pomiędzy niskimi drewnianymi domami. Tylko kilka, tych głównych, jakiś czas temu wybrukowano, pozostałe zamieniały się w grzęzawisko pod wpływem deszczu czy

nieczystości wylewanych wprost na ulicę. Drewniane trotuary zdążyły przez lata spróchnieć i groziły zawaleniem przy każdym nieostrożnym kroku. Wszędzie walały się końskie i bydłęce odchody, pozostawione po przemarszu wygnańców. Z przerażeniem Katarzyna dostrzegła, że bieżeńcy swoje potrzeby fizjologiczne także załatwiali po kątach. Prawdę mówiąc, wcale im się nie dziwię, pomyślała po chwili. Niby gdzie mają się załatwić? Jej też od jakiegoś czasu chciało się siusiać i rozpaczliwie rozglądała się w poszukiwaniu karczmy, zajazdu lub hotelu.

Z tych rozmyślań nad przyziemnymi, ale jakże ludzkimi sprawami wyrwał ją warkot samolotu. Zadarła głowę do góry i ujrzała dwa aeroplany. Identyczne jak te w Łodzi, z czarnymi krzyżami na skrzydłach. W tym momencie z hukiem spadły pierwsze bomby. Fontanny czarnej ziemi trysnęły w górę, a gdzieś w głębi ulicy zawalił się dom. Drugi stanął w płomieniach.

Wokoło rozpętało się piekło. Przerażeni ludzie rzucili się do ucieczki, zostawiając dobytek na pastwę spadających bomb. Jednak wszystkie drzwi, do których się dobijali, pozostawały zamknięte naглуcho. Niektórzy, nie wiedząc, co robić, gdzie szukać ratunku, zdecydowali się na desperacką ucieczkę furmanką z miasta. Poganiane batami konie rżały z przerażenia, stawały dęba, nie mając zamiaru nigdzie galopować pomiędzy wybuchającymi bombami. Inni w panice puścili się w kierunku wysokich drzew porastających brzeg rzeki, a jeszcze inni liczyli, że znajdą ratunek, kryjąc się pod furmankami. Psy, ujadając, rozbiegły się na wszystkie strony, kąsając każdego, kto stanął im na drodze. Wszędzie dał się słyszeć głośny płacz dzieci i histeryczne zawodzenie kobiet. Zaprzężony do powozu spokojny i opanowany do tej pory perszeron najpierw stanął dęba i zarżał przeraźliwie, wierzgając przednimi kopytami, a gdy wybuchła kolejna bomba, poniósł. Nie patrząc na leżące na drodze rozsypane bagaże uchodźców i biegające jak oszalałe kury i kaczki, tratował wszystko, co wpadło pod jego potężne kopyta. Mimo nadludzkich wysiłków Katarzyna nie potrafiła zapanować nad zwierzęciem. Powozem rzuciło niczym tekturowym pudełkiem. Stryj Henryk, tuląc Tamarę w ramionach, położył się plackiem na podłodze. Ze strachu nawet nie czuł, jak spadła mu na plecy jego ciężka torba podróżna, a z koszyka posypały się zapasy jedzenia.

W chwili gdy rozpędzony koń, ciągnąc za sobą pokaźny powóz, wpadł na zatłoczony rynek, pomiędzy furmanki i wozy, którymi posterunek miejscowej żandarmerii miał zamiar zawieźć na stację kolejową państwowe dokumenty i prywatny dobytek, z hukiem wybuchła kolejna bomba. Trafiony odłamkiem perszeron zakwicział boleśnie, natychmiast zwolnił biegu, po chwili nogi się pod nim załamały i upadł. Rany boskie, zdążyła tylko pomyśleć Katarzyna, gdy wyrzucona z kozła siłą odśrodkową, wylądowała miękko na rozdartym grzbiecie konającego zwierzęcia, zanurzając ręce i twarz w jego ciepłej krwi. Kolejna bomba wybuchła gdzieś dalej, obsypując Katarzynę i powóz grudkami ziemi. Samoloty, zrzucając cały swój śmiercionośny ładunek, odleciały na zachód i zniknęły za horyzontem.

W ciszy, która nastąpiła, do Katarzyny dotarł rozpaczliwy płacz jej dziecka. Boże, tylko nie to, tylko nie Tamara, modliła się w duszy, z obrzydzeniem zsuwając się z krwawej masy, jaka została z konia. W sekundę dopadła drzwi powozu. Stryj Henryk zdołał już podnieść się z podłogi i posadzić dziecko na kanapie. Gdy ujrzał całą zalaną krwią Katarzynę, zemdłał.

Już po chwili z piwnicy budynku wybiegło kilku żandarmów. Widząc nieznany sobie powóz z herbem na drzwiach, martwego konia z wnętrznościami na wierzchu i kobietę całą we krwi, tulącą w ramionach krzyczące wniebogłosy dziecko, stanęli jak wryci. Jeden z nich, otrzepawszy z kurzu i pajęczyn mundur, podszedł do Katarzyny.

– Wasza wielmożność. – Szurnął obcasami. – Czy mogę być w czymś pomocny?

– Stryj... – Dzwoniąc zębami, ruchem głowy wskazała szeroko otwarte drzwi powozu. – Stryj... – Nic więcej wydusić z siebie nie miała siły.

Gdy żandarm zajrzał do środka, sędzia Kobierski już pomału do siebie dochodził.

Ujrawszy wąsatą twarz rosyjskiego oficera, poczuł się bezpieczny. Przyjął jego pomocną dłoń i wysiadł z powozu. Bogu dzięki, nic się mojej gołębaczce nie stało, odetchnął z ulgą, widząc, że Katarzyna mimo krwi zalewającej jej twarz i ubranie sprawiała wrażenie całej i zdrowej.

– Porucznik Siergiej Iwanowicz Rybakow – przedstawił się żandarm. – Co wielmożnych państwa sprowadza do Pińska? – spytał zdaniem Katarzyny całkiem głupio. Przecież wszyscy uciekali przed Niemcami. On i jego posterunek też.

Tytuł sędziego zrobił jednak na poruczniku wrażenie, a informacja o świeżym wdowieństwie Katarzyny wywołała na jego twarzy wyraz prawdziwego współczucia. Nie tylko wydał polecenie, aby jego podkomendni zajęli się zwłokami zabitego konia, jedynej śmiertelnej ofiary niemieckiego bombardowania, ale także obiecał zapewnić miejsce dla Kobierskich w pociągu jadącym do Bobrujska. Otrzymaawszy rozkaz, dwóch żandarmów chwyciło ciężki kufer, a trzeci pozbierał rozsypaną zawartość koszyka i niosąc torbę podróżną sędziego, ruszyli z sędzią i Katarzyną w stronę stacji, gdzie już oczekiwał pociąg. Gdyby dziadek Andrzej widział, że przyjmując pomoc od rosyjskiego żandarma, miałabym się z pyszna, pomyślała z goryczą. Nagle zatęskniła za dziadkiem i babcią, za rodzicami i niewielkim Miechowem, gdzie знаła każdy kąt i gdzie czuła się bezpieczna. Dlaczego szczęście dostrzegamy dopiero wówczas, gdy je utracimy? – pomyślała, a gorące łzy potoczyły się po jej umazanych końską krwią policzkach.

I wówczas ujrzała stojącego bezradnie na drewnianym trotuarze kilkuletniego chłopca. Miał na sobie podarte spodnie, brudną jak święta ziemia koszulinę, wychodzącą zza paska, bosa stopy i płakał żałośnie. Przechodnie mijali go obojętnie, przyzwyczajeni do częstego widoku zagubionych dzieci.

– Co się stało? – spytała Katarzyna, podchodząc do dziecka. – Zgubiłeś mamę?

– Aaaha – wydusił z siebie i westchnął ciężko.

– Kiedy? Gdzie? Podczas bombardowania? – Rozejrzała się z uwagą, licząc, że ujrzy kobietę w panice poszukującą zagubionego synka. Ale nikt się chłopczykiem nie interesował.

Bieżeńcy zdążyli już powrócić do swoich furmanek, z których podczas ich nieobecności bardziej przedsiębiorczy rodacy rozkradli, co było cenniejszego. Wyłapywali kury, zbierali rozsypane po ulicy garnki i odjeżdżali. Niektórzy zmierzali wprost na dworzec, aby zabrać się w dalszą drogę koleją. Jeszcze nie wiedzieli, że będą musieli wyprzedać za bezcen cały swój dobytek, bo konia i krowy zabrać do pociągu bezduszne władze im nie pozwolą.

– Jakeśmy jechali przez las, poszłem zbierać jagody... – opowiadał chłopiec łamiącym się głosem. – I się zgubiłem... Jak wyszłem na drogę, to taty i rodzeństwa już nie było. Szłem za innymi, aż tutaj, ale ich nigdzie nie ma...

– A mama? – spytała Katarzyna, z trudem panując nad łzami cisnącymi się jej do oczu. – Gdzie mama?

– Mama pomarła... – odparł i zwiesił głowę na piersi.

– Katarzyno Pawłowna, na nas już czas – odezwał się niezadowolonym tonem żandarm. On widział już tysiące takich zagubionych dzieci. Biegały w panice, rozpytując o bliskich. Czasami błagały o pomoc albo siadały przy drodze, czekając nie wiadomo na co. Jeśli nikt z sąsiadów się nimi nie zajął, mogły mówić o szczęściu, jak trafiły za pośrednictwem organizacji samopomocowych do sierocińca.

– Pojedziesz ze mną – zdecydowała Katarzyna. Wzięła Tamarę na jedną rękę, a drugą podała chłopcu. Chwycił ją skwapliwie. – Dopóki nie znajdziemy twojego taty, ja się tobą zajmę, dobrze?

– Dobrze, psze pani – odparł drżącym głosem i zaczerpnął głęboko powietrza do płuc. Po raz pierwszy od dwóch dni poczuł się bezpieczny przy tej pani, która choć miała zakrwawioną sukienkę, i tak wyglądała jak dama w porównaniu z innymi.

– Jak masz na imię? – spytała, zaglądając mu w oczy, w których jeszcze szklily się łzy.

– Oleś – odparł i z ufnością uśmiechnął się do Katarzyny.

Zdawała sobie sprawę, że odnalezienie rodziny chłopca graniczyło z cudem. Był zbyt mały, aby znać swoje nazwisko, a tym bardziej nazwę wsi, z której pochodził. Gotowa jednak była wziąć na swoje barki ciężar wychowania dziecka, aby nie stało się jeszcze jedną niepotrzebną ofiarą wojny. Porucznik Rybakow pomógł Kobierskim załadować kufer do wagonu, który był przepełniony do granic, ale złote imperiały sprawiły, że jechali wagonem osobowym, a nie towarowym jak reszta tułaczy.

Zanim pociąg z Kobierskimi ruszył ku swemu przeznaczeniu, minęło kilka godzin. Pierwszeństwo miały transporty wojskowe. A wojsko nadal się wycofywało. Jak powiedział Rybakow, Pińsk także mieli oddać Niemcom. Katarzyna zmieniła poplamioną krwią spódnicę i bluzkę. Jezu, jak ja schudłam, pomyślała, zapinając paseczek na ostatnią już dziurkę. Najpierw w pociągu panował żar i zaduch nie do wytrzymania, a gdy słońce zaszło, zrobiło się chłodno. Był już początek września i zbliżała się jesień. Oleś dygotał na całym ciele, ubrany w cienką koszulinę i podarte portki. Stryj Henryk, pogłaskawszy go po jasnych jak len włosach, szepnął mu do ucha:

– Zaraz stryjcio kupi ci coś do ubrania.

Ku swemu zaskoczeniu sędzia zdał sobie sprawę, jak wiele w życiu stracił, rezygnując z posiadania żony i potomstwa. Okazało się, że był w błędzie, lękając się zamieszania i odpowiedzialności, jakie w życie człowieka wprowadza pojawienie się partnera i dzieci. Dobrze, że choć na stare lata Bóg zesłał mi wnuki, cieszył się w myślach. Wrócił po półgodzinie, niosąc niczym cenne trofeum wełniany kubraczek, długie spodenki oraz dwie płócienne koszule, a nawet trochę bielizny, sweterek i sznurowane trzewiki. Pomiędzy licznymi pasażerami znalazło się wielu chętnych, którzy widząc złote monety, sprzedali, co tylko mogli.

Katarzyna przytuliła dzieci do siebie i wpatrzyła się w widoczny za oknem krajobraz, w niebo jaśniejące czerwoną luną pożarów. Pociąg to zwalniał, to znowu przyspieszał, turkocząc po torach, dudniąc na mostach. Czarny dym z komina lokomotywy snuł się po polach, z których już zboża zebrano, a ziemię zaorano. Bity trakt, biegnący wzdłuż torów kolejowych, znaczyły świeże mogiły. Na niektórych widniały starannie wystrugane z drewna krzyże, na innych czyjeś troskliwe ręce położyły świerkowe gałęzie. Czasami trafił się pozieleniały ze starości bochenek chleba, gdzie indziej skorupy rozbitych garnków. Każdy w zgodzie ze swoimi obyczajami, wyniesionymi z rodzinnej wsi, na swój sposób starał się godnie pożegnać zmarłych. Czasami gdzieś w oddali błysnęły migocące w oknach wiejskich chałup światełka, przypominając Katarzynie Porętów.

Sędzia Kobierski, wtulony w kąt tuż przy drzwiach, kołysany równym rytmem, usnął w końcu, zmęczony tragicznymi przeżyciami ostatnich dni. Śniła mu się Warszawa. Stał w oknie swego mieszkania przy Nowym Świecie i ze łzami w oczach obserwował triumfalny przemarsz niemieckich wojsk. Zamek Ujazdowski zamienili w koszary, na Polach Mokotowskich ustawili halę dla sterowców, a na rosyjskim cmentarzu na Powązkach zaczęli grzebać swoich żołnierzy. Niespodziewanie ujrzał w swym śnie Józefa Piłsudskiego. Wychodził z Hotelu Francuskiego przy placu Dąbrowskiego, a w bramie naprzeciwko czał się niemiecki żołnierz. W ręku trzymał butlę z gazem. Odkręcił kurek i dyszę, z której z sykiem wydobywały się kłęby białego śmiercionośnego dymu, skierował wprost na Komendanta. Sędzia obudził się z krzykiem. Pociąg zatrzymał się na stacji i z głośnym sykiem wypuszczał parę z kotła.

– Homel – przeczytał nazwę stacji pasażer siedzący przy oknie. – Ciekawe, czy postój będzie długi? – spytał retorycznie.

– No właśnie – podchwyciła Katarzyna. – Nie mam już ani kropli mleka dla dzieci. Może

gdzieś dałoby się kupić?

– Zaraz się dowiem. – Sędzia Kobierski ochoczo zerwał się z ławki. Chciało mu się na gwałt do toalety, ale przecież głośno nie mógł tego oznajmić. Wojna wojną, a dobre wychowanie nadal obowiązuje, pomyślał, przepychając się do wyjścia.

Wrócił po chwili.

– Dłuższy postój się zapowiada. Musimy przepuścić transport wojskowy – oznajmił z zarumienioną od porannego chłodu twarzą. – Postaram się kupić trochę mleka dla dzieci. Daj pieluchy, to przepiorę – szepnął, pochylając się do ucha Katarzyny.

– Stryjku! – z troską w głosie zawołała Katarzyna w ślad za nim. – Nie oddalaj się zbyt!

Z niepokojem obserwowała, jak przepychał się pomiędzy ludźmi szturmującymi wejścia do wagonów. Po chwili zniknął w zgromadzonym na peronie tłumie. Z przerażeniem przyszło jej na myśl, że już nigdy więcej go nie ujrzy. Wzdrygnęła się i na wszelki wypadek nakreśliła na piersiach znak krzyża. Siedząca na kolanach Katarzyny Tamara gaworzyła, bawiąc się z Olesiem, który wstał, aby rozprostować nóżki. Okazał się dzieckiem wyjątkowo cichym i grzecznym. Może to dramatyczne przeżycia uczyniły go nad wiek dojrzałym? – pomyślała Katarzyna, z czułością obserwując dzieci. Przypomniała sobie, jak będąc dzieckiem, bawiła się ze starszymi braćmi. Nie mieli ani do niej, ani do najmłodszego, Albina, cierpliwości. Cezary i Wiktor, stale rywalizujący między sobą o względy ojca, a zwłaszcza dziadka Andrzeja, popisywali się umiejętnością konnej jazdy, strzelaniem z broni myśliwskiej czy fechtunkiem za pomocą drewnianych szaberek, bo już oceny na świadectwach szkolnych mieli mniej niż dobre. Kiedy chciała się do nich przyłączyć, zawsze odprawiali ją z kwitkiem, oznajmiając z wyższością, że ona ma się uczyć gry na fortepianie, haftu i prowadzenia domu. Albin, młodszy od niej o rok, ukradkiem przelękając łzy, że i jego do swej kompanii nie dopuszczali, obserwował starszych braci z ukrycia.

Ze wspomnień wyrwało Katarzynę szarpnięcie wagonu i przeraźliwy, bo niespodziewany, dźwięk gwizdka zawiadowcy stacji. Parowóz z sykiem wypuścił parę i pociąg ruszył z wolna.

– Mój Boże! – Katarzyna zerwała się z miejsca. – Niech ktoś zatrzyma pociąg! Mój stryj został na dworcu!

Nikt jednak nie ruszył się z miejsca. Wszyscy odwrócili od niej wzrok ku oknu, za którym rozpościerał się widok na niski budynek stacji, który po chwili ustąpił miejsca drewnianym magazynom i ulicy wiodącej do centrum miasta.

– Ja zapłacę! – krzyczała Katarzyna, wyciągnąwszy zza stanika ukryte tam ruble, które zostały jej po śmierci Stefana. – Ile trzeba, zapłacę! Niech ktoś wysiądzie i zaopiekuje się stryjkiem! On jest stary i chory!

## Rozdział 35

Chętny, aby wyskoczyć z pociągu i odszukać sędziego Kobierskiego, jednak się nie znalazł. Nikt nie miał pewności, że jeszcze jakiś pociąg z Homla odjedzie. Katarzyna ciężko usiadła z powrotem i ukryła twarz w dłoniach. Boże, miej go w swojej opiece, modliła się w myślach. Fakt, że została sama z dwójką małych dzieci, nie przerażał jej tak bardzo jak lęk o wrażliwego ponad miarę stryja. Został kompletnie sam w obcym mieście, bez swojej torby, w której woził zapas soli trzeźwiących.

Podczas postoju na kolejnej stacji doszło do większej tragedii. Jakaś zdesperowana młoda matka wysiadła i poprzez tory pobiegła do widocznej niedaleko wsi po jedzenie dla dzieci. Wracała tą samą drogą, wiodącą pod wagonem kolejowym. Wówczas pociąg ruszył. Straszny krzyk rozdarł powietrze i maszynista przystanął. Tłum gapiów wysypał się na peron. Ujrzeni kobietę z obciętymi powyżej kolan nogami, leżącą w kałuży krwi.

– Lekarza! Czy jest gdzieś doktor?! – rozległy się krzyki.

Katarzyna, podawszy Tamarę siedzącej obok siebie kobiecie, chwyciła torbę lekarską Stefana i wyskoczyła z pociągu. Zanim dobiegła, ranna kobieta zdążyła umrzeć.

Po chwili pociąg ruszył w dalszą podróż. Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy wjechał na stację w Bobrujsku. Widok, jaki ujrzała Katarzyna, wysiadając z wagonu, przeraził ją. Jak okiem sięgnąć, na polach wokół miasta koczowali wygnańcy. Nad nimi unosiły się kłęby szarego, gryzącego w oczy dymu, który wiatr roznosił po całej okolicy. Niektórzy, ci bardziej przedsiębiorczy, skonstruowali nad furmankami płócienne zadaszania, które jednak nie chroniły przed chłodnymi nocami. Inni z gałęzi i kawałków drewnianych płotków poustawiali coś na kształt szałasów, ale i tak wewnątrz hulał wiatr. Nie pomogło nawet narzucanie na wierzch przeróżnych szmat czy starej odzieży. Inni, już całkiem zrezygnowani, siedzieli pod drzewami lub rozłożeni tuż obok swoich furmanek, a na noc włązili pod spód. Wszędzie płonęły ogniska, będące nie tylko źródłem ciepła, ale także jedyną możliwością wysuszenia ubrań i ugotowania skromnego posiłku. Na ogół składały się na niego skradzione na pobliskich polach ziemniaki. Własne zapasy już były na wyczerpaniu. Z tego kłębowiska ludzi i zwierząt dobiegały odgłosy zwykłej codziennej krzątaniny – nawoływanie dzieci, czyjeś krzyki, szczekanie psów i rżenie koni.

Katarzyna, stojąc bezradnie na peronie, tuż obok ciężkiego kufra, który życzliwi ludzie pomogli jej wynieść z pociągu, dźwigając torby w jednej ręce i Tamarę w drugiej, z uczeponym do spódnicy Olesiem, nagle zdała sobie sprawę, w jakim tragicznym położeniu się znalazła. Nie miała na tyle pieniędzy, aby wynająć powóz i podawszy adres, kazać się zawieść do majątku Kaledinów, który ponoć gdzieś w pobliżu się znajdował. Nie stać jej też było na hotel, aby choć jedną noc przespać w ludzkich warunkach, w pościeli i pod dachem. Musiała oszczędzać pieniądze, aby mieć na chleb i mleko dla dzieci. Do tej pory zasobny portfel Stefana i złote imperiały stryja zapewniały mimo wojny w miarę normalną egzystencję. W tym oddalonym o setki wiorst od Warszawy, obcym dla siebie miejscu nie mogła od nikogo oczekiwać pomocy. Takich jak ona, liczących na darmowy nocleg i posiłek, były tysiące, setki tysięcy.

Nie zamierzała jednak się poddać. Mam przecież dwoje dzieci na utrzymaniu, pomyślała, przełykając łzy. Na rozłożonym wprost na ziemi kocyku posadziła Tamarę, nakazując Olesiewi nie spuszczać z niej oka. Otworzyła kufer i wyciągnęła na wierzch obydwie puchowe kołdry w atlasowych powłóczkach i dwie swoje sukienki. Cała garderoba Stefana, na którą być może byłoby więcej chętnych, poszła z dymem wraz z zarazkami czarnej ospy.



– Może pan kupi puchowe kołdry? – zaczęła przechodniów, rumieniąc się z zażenowania. – Są ciepłutkie. Z gęsiego puchu. W sam raz na zimę. Suknia z salonu madame Kozłowskiej z Warszawy. Tanio sprzedam! – zachęcała każdego, kto tylko zawiesił na niej wzrok.

Uchodźcy, tacy jak ona, mijali Katarzynę obojętnie. Nie mieli pieniędzy na puchowe kołdry, eleganckie suknie prosto z salonu mód i skórzane pantofelki, nadające się do deptania miejskiego bruku, a nie gruntowych dróg na prowincji, pełnych błota lub piasku. Już straciła nadzieję i bliska płaczu, zamknęła z rezygnacją kufer, gdy trafił się pierwszy kupiec. Był to miejscowy handlarz starzyzną, ubrany w jarmułkę i czarny chałat. Nabył kołdry za grosze, jak wszyscy miejscowi wykorzystujący tragiczną sytuację uciekinierów. Transakcja zainteresowała innych i w ciągu godziny Katarzyna wyprzedła wszystko, razem z kufrem, zostawiając dla siebie tylko to, w co była ubrana, oraz ciepły żakiet i wełnianą chustę, mogąca pełnić funkcję kocyka dla dziecka. Nawet kapelusze sprzedała, bo jakiejś miejscowej elegantce przypadły do gusty, gdy usłyszała, że pochodzą wprost od modystki z Warszawy. Katarzynie musiała wystarczyć kwiecista chustka, lepiej chroniąca od chłodu i wygodniejsza w użyciu, bo nie trzeba było przytrzymywać jej ręką, gdy zawaiał silny wiatr. Wzorem wieśniaczek z prześcieradła sporządziła tobołek, który wypełniła bielizną i ubrankami Tamary i Olesia. Pierwsze zażenowanie już po chwili ustąpiło miejsca satysfakcji z własnej zaradności, a zarobione kilka rubli stwarzało szansę na dotarcie do celu. Zarzuciwszy sobie tobołek na plecy, na jedną rękę wzięła Tamarę, drugą uchwyciła za rączkę Olesia i ruszyła pieszo do centrum miasta w poszukiwaniu noclegu i informacji, w jaki sposób mogłaby dotrzeć do Sołowiejki.

Tutaj także tłoczyli się bieżący. Nikt nigdzie nie chciał ich przyjąć. Ani miasta, a tym bardziej wsie nie były przygotowane na taką liczbę ludzi. Rozkazem wojskowym kazano im opuścić domy, ale nie wskazano miejsca, dokąd mogli się udać. Nikogo ich los nie obchodził. Nikomu nie byli potrzebni. Zewsząd ich wyganiano. Wzbudzali nienawiść, bo z głodu kradli, co popadło. Nie mogli też wrócić do swych wsi, bo z tyłu za sobą mieli postępującą armię niemiecką, ponoć okrutną i bezwzględną. Nocami docierały do nich dalekie odgłosy toczącej się wojny – wybuchy pocisków, strzały karabinowe i jaśniejące na niebie luny pożarów.

Przy rynku wojsko zorganizowało dla nich kuchnię polową. Z uwagi na zapadający mrok rozmieszczono wokoło pochodnie. W ich mdłym blasku gęstniejący z minuty na minutę tłum sprawiał wrażenie wygłodniałych dzikich zwierząt. Gdyby nie kordon żołnierzy otaczający kotły, w których gotowała się zupa, zjedliby ją na wpół surową.

Katarzyna podeszła bliżej i wmieszała się w tłum. Miała nadzieję, że także dla niej i jej dzieci znajdzie się talerz gorącej zupy. Mogła nawet zapłacić. Z przerażeniem stwierdziła, że niczym się nie różniła od wynędzniałych kobiet, które podobnie jak ona, z tobołkami, z dziećmi uczepionymi spódnic, w brudnym ubraniu, myślały tylko o jednym: aby móc nakarmić dzieci. Tamara marudziła i usiłowała wydostać się z matczynych objęć. Była głodna i śpiąca.

Nagle rozległ się histeryczny krzyk: „Puuuszczaaaj!”, i tłum ruszył na kotły. Ktoś popchnął Katarzynę, mało nie upadła. Odruchowo puściła rączkę Olesia, aby mocniej przytrzymać Tamarę, i w tym momencie tłum porwał chłopca ze sobą. Chwilę starał się utrzymać równowagę, lecz po chwili potknął się i upadł pod nogi setek ludzi, którzy pchali się do kotłów.

– Stójcie! – krzyknęła Katarzyna. – Stratujecie moje dziecko! Ludzie! Co wy robicie!

Rzuciła się w tłum, aby ratować chłopca, lecz oszalała z głodu tłuszczka nie miała zamiaru się rozstąpić. Niewiele brakowało, aby Katarzyna także upadła. W tym momencie tuż za swoimi plecami usłyszała huk wystrzału. Trzymając z całych sił Tamarę w ramionach, odwróciła głowę. Ujrzała piegowatą twarz sanitariusza Konstantego Taraszkiewicza, który skierowawszy lufę pistoletu w niebo, strzelał raz za razem, aż wyczerpał cały magazynek. Tłum zamarł momentalnie

i w ciszy rozstąpił się na boki.

Oleś leżał bez ruchu, z jasnymi włosami oblepionymi błotem zalegającym rynek. Na jego białej jak kartka papieru, martwej już twarzyczce widniały ślady świeżych łez. W piątce wciąż ścisnął otrzymany od sędziego Kobierskiego wystrugany z drewna gwizdek w kształcie ptaszka.

## Rozdział 36

– Gdzie się podziewa szanowny sędzia Kobierski? – spytał Taraszkiewicz, gdy ksiądz, wzięwszy od Katarzyny trzy ruble, pokropił maleńką mogiłę Olesia, wykopaną na polu, gdzie wyrósł cmentarz dla wygnańców, zmarłych z chorób i wyczerpania.

Oddalił się pospiesznie, unosząc w palcach sutannę, aby się nie powalała błotem. Miał w tym dniu jeszcze kilka pogrzebów do odprawienia, choć nie na wszystkie miał zamiar się udać. Niektórzy nie chcieli płacić, zasłaniając się brakiem pieniędzy. Bezbożnicy, pomyślał z pogardą i westchnął nad swoim ciężkim losem.

– Wsiadł na stacji w Homlu, aby kupić mleka dla dzieci, i nie zdążył na czas wrócić do pociągu – opowiadała Katarzyna zrezygnowanym głosem i obtarła dłonią policzki mokre od łez. – Zostałam bez grosza przy duszy – ciągnęła dalej, czując potrzebę podzielenia się z kimś bliskim swoim nieszczęściem. – Gdybym się nie wyprzedała ze wszystkiego, nie miałabym za co pochować tej nieszczęsnej sieroty. Swoją drogą, nie rozumiem, gdzie ten ksiądz ma serce... – syknęła za odchodzącym proboszczem.

– Skarżyli się bieżący, że i nasi duchowni, prawosławni, też za nic mają ich trudną sytuację – opowiadał Taraszkiewicz, gdy dotarli do ulicy wiodącej do centrum, gdzie mieścił się lazaret. – W większości spakowali cały dobytek, wsiedli do swych powozów i uciekli razem z rodzinami. Tylko niektórzy zdecydowali się na wędrówkę ze swoimi parafianami. W mijanych po drodze wsiach czy miasteczkach miejscowy kler słono inkasuje za pogrzeby, a tych nie brakuje. Bywa, że bieżący grzebią zmarłych bez księdza. Bywa też, że porzucają zwłoki swych bliskich przy drodze, na pastwę dziczących psów wałęsających się po okolicy, bo nie stać ich na pochówek ani nie mają sił, aby wykopać dół w twardej ziemi.

– To straszne, co opowiadacie, Konstanty Siergiejewiczu. – Katarzyna pokręciła z niedowierzaniem głową. – Dlaczego władze nie zainteresują się losem tych nieszczęśników? Przecież to są setki tysięcy ludzi...

– Niedługo minie rok, odkąd jeżdżę po terenie przyfrontowym – zaczął Taraszkiewicz. – Napatrzyłem się na bezmiar ludzkiego nieszczęścia. Teraz i tak już jest lepiej. Różne organizacje samorządowe, związki miast, a nawet wojsko starają się przyjść z pomocą, ale skala zjawiska ich przerasta. Nawet wielka księżna Tatiana założyła specjalny komitet w celu niesienia pomocy, ale i on jest bezradny wobec rozmiarów tej tragedii. W lipcu rząd powołał dwie organizacje, ale jak to u nas – machnął ręką – zamiast zająć się realną pomocą, tworzą biurokrację. A ludzie mrą jak muchy. Mam wrażenie, że wy, Polacy, lepiej potraficie sobie radzić w tych trudnych czasach...

– Co macie na myśli?

– Wasze ziemiaństwo zawiązało komitet, który udziela uciekinierom Polakom zapomóg finansowych lub rzeczowych, organizuje ich w grupy, daje przewodników. Nieraz słyszałem, jak nasi chłopci się skarżyli, że ich szlachta nimi się w ogóle nie interesuje, nie troszczy o ich los. I mają rację. Nawet duchowieństwo prawosławne w większości zadbało o własne dobro. Mnisi pierwsi się ewakuowali. Choć spotkałem też takich, którzy prowadzili swoje stadko wiernych niczym Mojżesz Żydów przez pustynię, troszczyli się o żywność czy leki, wyklócali się o prawo zabrania do pociągu żywego inwentarza, jedyne majątku, jaki chłopci posiadali.

Dalej szli w milczeniu. Tamara marudziła i nieustannie się wierciła, jakby chciała się wyrwać z matczynych ramion. Katarzyna z każdym dniem z coraz większym trudem znosiła dźwiganie dziecka na rękę. Bolały ją ramiona i plecy, ale zdobycie dziecięcego wózka graniczyło z cudem. Uciekając z Halinówki, o zabraniu wózka nie pomyślała. Po chwili już z daleka ich

oczom ukazały się stojące rzędem furmanki, oznakowane czerwonym krzyżem, każda zaprzęzona w dwójkę koni. Na wiązках słomy rzuconej na deski siedziały dzieci w różnym wieku. Wszystkie w brudnych i obszarpanych ubrankach, niektóre boso, z usmarowanymi buziami, te mniejsze zapłakane.

– Co się dzieje? – spytała Katarzyna, gdy podeszli bliżej. – Czyje to dzieci?

– Wojsko przygotowuje sieroty do ewakuacji.

– Mój Boże – westchnęła ciężko, mocniej przygarniając do siebie Tamarę. – Tyle sierot, jaki bezmiar nieszczęścia.

– Katarzyno Pawłowna, to co teraz z wami będzie? – Taraszkiewicz zmienił temat, gdy dotarli do synagogi, gdzie zainstalował się razem z pozostałymi sanitariuszami.

– Zostało mi parę rubli. – Wzruszyła ramionami. – Może starczy na jakiś nocleg dla mnie i dziecka. Na wynajęcie powozu z woźnicą już nie. Bo kto zajmie się małą, gdybym ja musiała powozić? Ponoć z Mohylewa jeździ pociąg, który zatrzymuje się na stacji w pobliżu Sołowiejki

Taraszkiewicz obrzucił uważnym spojrzeniem Katarzynę. Jej drobna, wychudzona ponad miarę figurka oraz blada jak z porcelany twarz dobitnie świadczyły, że trudy podróży i dramatyczne przeżycia podkopały jej siły. Ledwie trzymała się na nogach. W takim stanie ta kobieta daleko nie zajędzie, pomyślał. Zaniepokoił go też wygląd dziecka. Tarło oczka piąstkami i kaszłało, a na policzkach kwitł niezdrowy rumieniec.

– Katarzyno Pawłowna... – Zamilkł na chwilę, bo nie wiedział, jak ma to Katarzynie oznajmić. Zdążył ją poznać jako matkę kochającą swe dziecko miłością bezgraniczną. – Jesteście bardzo wyczerpani, a Tamara wygląda mi na chorą. Może to nic groźnego, ale w tej sytuacji dalsza podróż nie jest wskazana.

– Jezus Maria – szepnęła Katarzyna, wpatrując się w córeczkę. Dłonią dotknęła jej czoła. Było rozpalone. – Co ja teraz pocznę? Nikt mnie z chorym dzieckiem pod dach nie przygarnie. – Załkała cichutko, opuściwszy głowę na piersi.

– Położę was obie w izolatce. Na razie mamy kilka wolnych. Będzie dobrze... – Zdjął z pleców Katarzyny ciężki tobołek i obejmując ramieniem, zaprowadził do lazaretu.

W nocy Tamara dostała wysokiej gorączki. Miała czerwone gardło i cały czas płakała. Katarzyna kołysała ją na rękach i poila ciepłym mlekiem. Nic więcej nie mogła zrobić. Rano z przerażeniem ujrzała na czole dziecka i za uszami zlewające się różowe plamki. Wszy nas pogryzły, pomyślała w pierwszej chwili i rozgrzebała pościel w łóżku w poszukiwaniu insektów, ale niczego podejrzanego nie znalazła. Do wieczora wysypka objęła całe ciało, a gorączka nadal rosła.

– Odra – oznajmił krótko wojskowy lekarz przyprowadzony przez Taraszkiewicza. – To już dwudziesty któryś przypadek w Bobrujsku. Mieliśmy już tyfus...

– Na wsi pod Kobryniem panowała czarna ospa – wtrąciła załamującym się głosem Katarzyna. – Zabrała mi męża... Był lekarzem... – Po jej umęczonej twarzy pociekły łzy. – Niech pan ratuje moje dziecko, doktorze. Jest całym moim światem...

– Na odrę w zasadzie nie ma lekarstwa. – Spojrzał na Katarzynę ze współczuciem. Nawet gdyby chciał, nie miał żadnych możliwości, żeby jej pomóc. – Miejmy nadzieję, że ma silny organizm, który sam zwalczy chorobę.

Gorączka jednak nadal nie spadała. Tamara leciała Katarzynie przez ręce i nie chciała nic jeść. Z trudem łyżeczką wlewała w nią ciepłe mleko z miodem, które przynosił Taraszkiewicz. Sama też nic nie jadła i nie spała. Nosząc dziecko na rękach, modliła się, błagając Boga o ratunek. Po dwóch dniach pojawił się silny kaszel. Tamara oddychała z trudem. Nie pomagało nawet trzymanie jej na rękach.

– Wdało się zapalenie płuc – oznajmił chłodno lekarz, kiedy osłuchiwał dziecko. – Proszę

nacierać terpentyną i owijać w prześcieradło. Powinno pomóc.

Nad ranem, zanim słońce zdążyło się wychylić zza horyzontu, Tamara umarła.

**IGOR**

**Część pierwsza**  
**Do ostatniej kropli krwi**

## Rozdział 1

Lato 1915 roku było szczególnie upalne, a oczekiwany przez wszystkich rychły koniec wojny wydawał się jeszcze bardziej odległy niż w dniu, w którym wybuchła. Machina wojenna dopiero zaczynała się rozkręcać, wprowadzając do walki coraz to wymyślniejsze i bardziej niezawodne metody zabijania. Druga strona odpowiadała pięknym za nadobne, wymyślając skuteczne metody obrony oraz wysyłając do walki kolejnych mężczyzn powoływanych pod broń. Kobiety nie miały zamiaru zaprzepaścić wyjątkowej okazji, jaką były zwolnione przez nich miejsca w życiu społecznym, i z ochotą maszerowały do fabryk, wojskowych szpitali, siadały za kierownicami samochodów, a niektóre, te odważniejsze, nawet chwyciły za broń. Nie było kobiety, która by nie wiedziała, że słynna laureatka Nagrody Nobla, Maria Skłodowska-Curie, zorganizowała specjalne samochody z aparaturą rentgenowska, zwane popularnie „małymi Curie”, i wyruszyła na front, aby nieść pomoc rannym żołnierzom.

Wysokie temperatury i palące promienie słońca mocno dawały się we znaki żołnierzom walczącym na południu Europy, gdzie naprzeciwko siebie stanęły dwa wrogie obozy, nie żałując amunicji, potu i krwi. Gdy na początku maja państwa centralne z Legionami Polskimi u swego boku rozpoczęły operację gorlicką, tylko podczas pierwszych czterech godzin ataku spadło siedemset tysięcy pocisków. W ogniu stanęły szyby naftowe, domostwa zostały zrównane z ziemią, a Rosjanie wycofywali się szybciej, niż wróg atakował. Nie mogło go powstrzymać nawet wysadzenie mostów na Wiśle i Sanie. W Berlinie strzelały korki od шамpana, a dzwony radośnie były na zwycięstwo. Żołnierze Niemiec i Austro-Węgier, jakby byli na ćwiczeniach, a nie na prawdziwej wojnie, maszerowali do przodu. Choć Rosjanie czynili wiele, aby tanio swojej skóry nie sprzedać, ich dywizje szybko się wykrwawiały, a żołnierzom zaczęło brakować amunicji. Nie mając czym walczyć, porzucali bezużyteczne karabiny i armaty, przecinali druty kolczaste rozdzielające wrogie sobie pozycje i masowo oddawali się do niewoli. Do niewoli dostał się także generał Ławr Kornilow. Rok później zbiegł i wrócił do Rosji. Skąd mógł wiedzieć, że najpierw aresztuje go Kiereński, a później spotka go śmierć z rąk bolszewików? Ot, wdzięczność za poświęcenie dla ojczyzny.

Cezary Jaxa-Rawecki, zwany przez kolegów Gryfem, wyczerpany po całej dobie spędzonej na linii, gdzie od kilku dni trwały próby zdobycia rosyjskich pozycji w rejonie wsi Rokitna, z ulgą zszedł z nóg oficerki i walnął się na pryczę. Przymknął powieki, pod którymi nadal tkwił bolesny obraz ułana, młodziutkiego chłopaka spod Tarnopola, z urwanymi przez rosyjski szrapnel obiema nogami. Zanim dotarli do niego sanitariusze, wyzionął ducha. Po raz pierwszy został wysłany do ataku i już nie wrócił. Choć wojna trwała prawie rok, Cezary nadal nie potrafił przyjmować ze spokojem śmierci ułanów ze swojego plutonu. Narzucone Legionom austriackie dowództwo, nie licząc się ze stratami w ludziach, posyłało ich w bój tam, gdzie nikt już sobie rady nie dawał. Szastają polską krwią rozrzutnie, pomyślał rozżalony Gryf. Za nic mają nasze życie. A chłopaka, który zginął, lubił szczególnie. Przypominał mu Albina, młodszego brata, któremu zamarzyła się wojaczka i bez zgody rodziców wstąpił do oddziałów konnych „Sokoła”, dowodzonych przez podporucznika Dunin-Wąsowicza. Chcąc mieć chłopaka na oku, Czarek opuścił oddział Beliny i zaciągnął się do szwadronu, który zorganizował Dunin. Miał nadzieję, że zdoła ochronić brata przed nieszczęściem. Już pod koniec września wraz z dwoma pułkami piechoty, szwadronem kawalerii oraz służbami pomocniczymi zostali skierowani na Węgry. Zmuszeni do ciągłej gonitwy, nauczyli się przemykać górskimi ścieżkami, przemierzać zawile karpackie szlaki, aby nagle spadać na wroga i go pokonywać. Choć żołnierze ci byli słabo



uzbrojeni, byle jak wyekwipowani, nie do końca wyszkoleni, zdołali wyprzeć Rosjan i wkroczyli do Galicji. Aby sforsować górską przełęcz, z okrągłaków na stromym zboczu zbudowali drogę o długości sześciu kilometrów. Nazwali ją „drogą Legionów”.

Dopiero w marcu 1915 roku odesłano ich na odpoczynek do Kołomyi, gdzie otrzymali nowoczesne uzbrojenie i kompletny ekwipunek. Miesiąc później zostali wysłani na front bukowińsko-besarabski. Stali się podstawą powołanej do życia w maju II Brygady Legionów, zwanej także Zakarpacką lub Żelazną. Awansowany na rotmistrza Dunin-Wąsowicz został dowódcą dywizjonu, w którego skład wchodziły dwa szwadrony ułanów.

Zaczął się czerwiec, a oni wciąż tkwili w jednym miejscu, na odcinku frontu Dobronowce i Toporowice, gdzie saperzy rosyjscy zbudowali system poczwórnych sieci okopów, obetonowanych i zabezpieczonych drutem kolczastym. Z innych odcinków frontu ściągnęli artylerię i karabiny maszynowe typu Maxim. Mimo zażartych walk prowadzonych przez oddziały austro-węgierskiej piechoty i artylerii, wspieranej polską II Brygadą, nie mieli zamiaru ustąpić.

Cezary sięgnął do kieszeni munduru i wyciągnął zapisaną starannym, kaligraficznym piśmem kartkę papieru. Był to pierwszy list od Darii i jak na razie jedyny, otrzymany pół roku temu. Choć jego treść znał na pamięć, kiedy tylko miał wolną chwilę i był sam, czytał kolejny raz:

*Drogi mój Czarku!*

*Nie wiem, czy ten list do Ciebie dotrze, bo rozdzielają nas długie linie frontu. Zaraz po Twoim wyjeździe z Kielc Papa załatwił dla nas zgodę na ewakuację do Sankt Petersburga. Dziś każą nam mówić Piotrogród, żeby nikt nie wypominał, że carowa jest Niemką, a przecież z Niemcami mamy wojnę. Mówią też, że wielu generałów to Niemcy i oni specjalnie przegrywają bitwy. Papa dostał posadę w ministerstwie i mamy piękne mieszkanie w centrum miasta, a Mamoczka mogła pojechać do Szwajcarii do sanatorium, bo minister dał nam na to pieniądze. Obiecała, że mój list do Ciebie wyśle z Saint Moritz, wystarawszy się uprzednio o numer Twojej poczty polowej.*

*Rodzice zapisali mnie do Instytutu Smolnego, do klasy pedagogicznej. Oprócz mnie w Instytucie jest tylko kilka dziewcząt polskiego pochodzenia, reszta to Rosjanki z dobrych domów. Lekcje religii mamy raz w tygodniu. Prowadzi je ksiądz w języku francuskim, ale kiedy nasza wychowawczyni jest nieobecna, wyklada po polsku. W przyszłym roku moja klasa będzie miała prawo pojechać na cały dzień do pałacu w Carskim Siole, abyśmy mogły zapoznać się nie tylko z wysokim poziomem carskiej kuchni i jej wspaniałą złotą zastawą, ale także z nienagannymi manierami carskiej rodziny. Mamoczka sobie zamarzyła, że poznam tam odpowiedniego dla siebie kandydata na męża. Ale mnie do zamążpójścia się nie spieszy, zwłaszcza za jakiegoś rosyjskiego fircyka.*

*Tutaj wszyscy plotkują, głównie o tym, co dzieje się na dworze, a ponoć nie dzieje się dobrze. Rządzeniem nie zajmuje się car, który większość swego czasu spędza na łonie rodziny, z żoną i dziećmi, lecz o wszystkim decydują dworskie kliki. Na domiar złego do rządzenia wtrąca się „święty starzec”, jak mówią na mnicha Grigorija Rasputina. On zresztą nie jest zwykłym mnichem, tylko jasnowidzem i cudotwórcą. Zaczęło się od uzdrowienia żony radcy stanu, Łochtinej, a ona z kolei wprowadziła Rasputina do ekskluzywnego salonu hrabiny Ignatiewej, której goście ekscytują się okultyzmem. Zresztą tutejsza śmietanka towarzyska w ogóle jest daleka od prawdziwej pobożności, bardziej interesując się różnymi sektami religijnymi, mistycyzmem*

*i spirytyzmem. Ponoć sama carowa Aleksandra Fiodorowna jest pod wpływem tego mnicha. Papa mówi, że on jest hipnotyzerem. Raz udało mi się go zobaczyć. Wyglądał obrzydliwie, a mimo to wszystkie damy wpatrywały się w niego z niekłamanym podziwem. Na wszelki wypadek nie spojrzalam mu w oczy, aby i mnie nie zahipnotyzował.*

*W gazetach piszą o zaciętych walkach z Niemcami pod Łodzią, nad Bzurą i Rawką, o zwycięstwach Rosji nad armią austriacką w Galicji. Wieszczą rychły koniec wojny, której tutaj w ogóle się nie dostrzega. Odbywają się bale i spektakle teatralne, w restauracjach jest mnóstwo ludzi, jeżdżą automobile, a ja byłam nawet w kinematografie. U nas w Kielcach czegoś takiego nie widziałam. Wyobraź sobie, że za pomocą tego wymyślnego urządzenia wyświetla się na specjalnym białym ekranie wcześniej sfotografowane ruchome obrazy, zwane filmem. Nie umiem Ci wyjaśnić, na jakiej zasadzie to działa, ale jest wspaniale. Co chwila pojawiają się napisy, aby można było zrozumieć, co do siebie mówią widocznym na ekranie ludzkie. Grana na pianinie muzyka dodaje nastroju.*

*Mimo tego wszystkiego, tych wszystkich wspaniałych budynków, mostów i bulwarów nad Nową i tych białych nocy, nazwanych tak z uwagi na tarczę słoneczną, która dość płytko chowa się za horyzontem i niebo pozostaje jasne, tęsknię za naszymi Kielcami, za Porętowem, a najbardziej za Tobą. Wciąż mam w pamięci nasze spacerunki po łąkach, każde Twoje słowo i ten pożegnalny pocałunek. Mówiłeś, że na miłość przyjdzie czas po wojnie, kiedy Polska odzyska niepodległość. Ale ona do mnie przyszła już teraz. Nigdy bym się nie odważyła wyznać Ci wprost tego, co czuję, dlatego piszę. Kocham Cię od dawna i nigdy innego nie pokocham. Wiem, że Ty czujesz do mnie to samo.*

*Twoja na zawsze*

*Dasza*

– Witaj, braciszku! – Gdy do zatopionego w myślach Cezarego dotarł głos Albina, który wszedł do wiejskiej chałupy, gdzie kwaterowali niżsi rangą oficerowie, chłopak błyskawicznie wsunął list do kieszeni. – W moim plutonie dzisiaj znowu trzech zostało ciężko rannych. I straciłem Rudą... – wyjął dopiero po chwili, z czym tak naprawdę przyszedł. – Dostała w bok ekrazytówkę. Nie dało się jej uratować. Kaśka mi tego nie daruje, przecież klacz wzięłem bez zgody ojca...

– Nie czas żałować róż, kiedy płoną lasy – odparł Cezary cytatem ze Słowackiego, swego ulubionego poety z czasów, gdy jeszcze chodził do szkoły. Usiadł, potarł dłońmi nieogoloną twarz i wzdrygnął się. Nagle zrobiło mu się zimno, choć wieczór był ciepły. Nie wiedział, jak ma powiedzieć bratu o śmierci dziadka. – Kilka dni temu przyszedł list z domu...

– Tak? – ucieszył się Albin, siadając na sąsiedniej pryczy. Ściągnął z głowy czapkę i dłońmi przetarł spocone czoło. Zaciągając się do strzelców, nie zdawał sobie sprawy, że będzie tęsknił za rodzicami, a zwłaszcza za matką. Ale wstyd nie pozwalał mu na odwrot. Chyba tatko miał rację, że jeszcze nie dorosłem do wojaczki, pomyślał. – Co u nich? Wszyscy zdrowi?

– Jak by ci tu powiedzieć... – Gryf zaczął z trudem.

Choć już tyle śmierci widział, żadna jednak nie zabolala go tak jak śmierć dziadka Andrzeja. Jako dziecko więcej czasu spędzał w Porętowie niż w Miechowie. To dziadek nauczył

go jeździć konno i strzelać z dubeltówki, to dziadek opowiadał mu o zawilej i tragicznej historii Polski, w tym o powstaniu styczniowym. Tylko dziadek w pełni rozumiał i akceptował jego przynależność do konspiracji, za którą został relegowany ze szkoły z wilczym biletem. Nic zatem dziwnego, że kochał go bardziej niż ojca.

– No, mów... Co się tak certolisz? – Albin nagle wyobraził sobie matkę złożoną ciężką chorobą i poczuł lęk. O tym, że mogłaby umrzeć, wołał nie myśleć. Przecież nawet się z nią i ojcem nie pożegnał, kiedy wyruszał na wojnę.

– Dziadek Andrzej... nie żyje – wydusił w końcu Cezary i umknął spojrzeniem w bok, aby brat nie dostrzegł łez w jego oczach. – Zmarł w Wigilię, podczas pasterki. Masz, sam zobacz, co tatko pisze. – Podał bratu zmiętą od ciągłego czytania kartkę papieru, która przewędrowała pół Europy, zanim dotarła do zapadłej wsi nad Prutem.

– Boże święty – szepnął Albin i zagryzł wargi, aby się nie poryczeć jak dziecko. Ułani wszak nie płaczą. Chwilę trwała cisza, zakłócana dobiegającymi z zewnątrz odgłosami żołnierskiej krzątany, która zwykle następowała po skończonej bitwie. – To miał dziadzius piękna śmierć – pociągając nosem, rzekł po chwili, gdy nabrał pewności, że głos mu się nie załamał. – Chyba list szedł dość długo. Bo już czerwiec mamy – dorzucił i złożywszy kartkę, oddał ją bratu.

Cezary wstał z twardej pryczy i sięgnął do kieszeni spodni po papierosy. Poczęstował brata i sam zapalił. Wkrótce ziemianka wypełniła się duszącym dymem podłego tytoniu.

– Nic nie napisali, co u naszej Kasi – panującą kłopotliwą ciszę przerwał Cezary. Wołał nie ciągnąć tematu śmierci dziadka. Był dla niego zbyt bolesny. – Śniła mi się dzisiaj w nocy – opowiadała, chcąc wyrzucić z siebie straszne wspomnienie sennego koszmaru. – Ubrana w biały fartuch z czerwonym krzyżem na piersiach, usiłowała powkładać mi do brzucha flaki, które wypadły, gdy oberwałem granatem. Tfu – splunął na ziemię i na piersiach nakreślił znak krzyża. – Sen mara, Bóg wiara – mruknął pod nosem, nie pamiętając już, że to ludowe porzekadło często powtarzała Antosiowa, kiedy Cezary jako dziecko budził się po nocach z krzykiem.

– To ty nic nie wiesz? – Albin strzepnął popiół na polepę, na której już wałało się pełno różnorakich śmieci. – Spotykała się ukradkiem z jakimś oficerem, ale nasz tatko nie dał na to zgody. W tym dniu, kiedy opuszczaliśmy Miechów, miała wyjść za męża za doktora Kobińskiego, tego z Częstochowy, aby uciąć krążące po Miechowie plotki, że była przy nadziei. Planowali zaraz po ślubie wyjechać do Łodzi. Ponoć tam miało być bezpiecznie...

– A ty skąd o tym wszystkim wiesz?

– Od naszej Gabrysi. Pamiętasz ją?

– No przecież! – Cezary uśmiechnął się pod nosem. – Trudno nie pamiętać. – Puścił do Albina porozumiewawcze oko, a on oblał się rumieńcem, domyślając się, co brat miał na myśli.

Choć od roku dzielnie walczył na froncie, stosunki damsko-męskie nadal wprawiały go w zażenowanie. Gdy w jego obecności koledzy pozwalali sobie na grube żarty lub niezbyt dyskretne przechwałki na temat swoich sercowych podbojów, twarz paliła go żywym ogniem. On jeszcze ani razu nie całował się z dziewczyną. Przynajmniej tak na poważnie, bo cmokanie kuzynek w policzki się nie liczyło. Koledzy z gimnazjum już się umawiali na spotkania, ale jemu żadna panna z pensji pani Kosińskiej się nie podobała. Chichotały bez powodu i nieustannie jedna drugiej coś szeptała do ucha. Z pewnością opowiadały sobie, co wyprawiają, gdy zostają sam na sam z chłopakiem.

– Miejmy nadzieję, że tak jest, choć mówi się, że Łódź Niemcy zbombardowali... – westchnął Cezary.

– Nawet czytałem w jakiejś gazecie – potwierdził Albin. – Ładni mi sojusznicy, psiakrew...

– Nigdy nie przepadałem za szwabami. – Cezary wzruszył ramionami. – Ale jedno trzeba im przyznać: walczyć potrafią i mają świetnych dowódców. Nie to co te austriackie trepy z „cekamendy”.

– Ciekawe, kto wymyślił tę nazwę? – Albin zaśmiał się, słysząc pogardliwe określenie powszechnie używane na Cesarsko-Królewską Komendę Legionów.

– Nie mam pojęcia – Cezary też się do brata uśmiechnął – ale mnie się podoba.

– Mam wrażenie – Albin ciągnął dalej, niezadowolony z postawy austriackich żołnierzy na polu walki – że Austriacy są tylko po to, aby powstrzymać nieprzyjaciela, dopóki nie przyjdzie prawdziwe wojsko, czyli Niemcy. Dobrze, że Komendant nie każe nam ślepo się stosować do ich bzdurnych przepisów. – Spojrzał wymownie na gwiazdki przypięte do kołnierza kurtki mundurowej, którą Cezary miał na sobie. Zgodnie z rozkazem dowództwa austriackiego legionieści mieli nosić kościane romby. Trójkolorowe opaski zamiast sobie zakładali pułkowym psom.

– Powiem ci, że to skandal, aby na czele Komendy Legionów stała ta cała ekscelencja – Cezary zrobił minę naśladującą grymas twarzy emerytowanego generała Trzaski-Durskiego – która całe swe życie wysługiwała się Austriakom, a nasz Komendant musi się zadowolić stopniem brygadiera i dowodzeniem tylko I Brygadą.

– A naszą kto dowodzi? – W głosie Albina dało się słyszeć święte oburzenie. – Ferdinand Küttner! Austriak, który słowa po polsku nie potrafi wydukać i rozkazy wydaje nam po niemiecku. Dbaj tylko o swoich, aby czasem im włos z głowy nie spadł, a nami zapycha każdą dziurę. Nie wiem, czy był to dobry pomysł, aby Legiony tworzyć u boku Austriaków... – stwierdził na koniec.

Cezary rozejrzał się po chałupie, jakby spodziewał się ujrzeć skrytych po kątach donosicieli.

– Plany naszego Komendanta wybiegają nieco dalej niż najbliższa bitwa – szepnęła konfidencyjnie, nachylając się w stronę brata, któremu ufał bezgranicznie. – Jeszcze w kraju, zaraz po wybuchu wojny, utworzył tajną organizację...

– Jaką?

– Nie przerywaj, to się dowiesz – fuknął Cezary. – Polską Organizację Woskową. Ja też do niej należę. Nawet część swego żołdu oddaję na jej działalność.

– A po co ta organizacja? – spytał Albin, nie mogąc opanować ciekawości. Też chciałby się zapisać, ale nie śmiał zaproponować. Zawsze go zbywano niczym, zarzucając mu jego młody wiek.

– Organizacja prowadzi szkolenie wojskowe młodzieży – wyjaśniał Cezary zaaferowanym tonem – oraz działalność wywiadowczo-dywersyjną na tyłach wojsk rosyjskich. Ma na swoim koncie kilka udanych akcji zbrojnych.

– Jakiemu celowi ma to wszystko służyć? – Albin nie ogarniał dalekosiężnych planów brygadiera Piłsudskiego. Chyba jestem za głupi na politykę, pomyślał z żalem.

– Przecież naszym celem jest niepodległość. – Cezary spojrzał na swego młodszego brata z naganą. Jaki jeszcze z niego dzieciak, choć ułan znakomity, pomyślał z czułością. – Teraz wspieramy Austrię i Niemcy przeciwko Rosji – tłumaczył. – Jak ją pokonamy, musimy mieć jakieś karty przetargowe w rozmowach z państwami centralnymi, no nie?

– Niby tak... – bąknął Albin, uciekając spojrzeniem w bok, aby brat nie odgadł, że on niewiele z tego wywodu zrozumiał.

Dalszą rozmowę braci przerwało pojawienie się Koniecznego, Karasia i Chmury, ułanów, którzy razem z Gryfem i innymi kwaterowali w jednej chałupie.

– Kogo my tutaj widzimy! Spotkanie rodzinne! – zawołał wesoło wachmistrz Konieczny,

ujrzawszy młodego Raweckiego. – Należy to uczcić!

Wydobył z ukrycia flaszkę rumu i pięścią wybił korek. Karaś odwrócił się na pięcie i pognął do kuchni po posiłek, bo od rana jeszcze nic nie jedli, a Chmura, zdjawszy z głowy czapkę, rozpiął mundur i palcami przeczesał gęste włosy.

– Widzę, że listy od rodziny przyszły – zainteresował się, widząc, jak starszy Rawecki miętoli w palcach gęsto zapisaną kartkę papieru. Do niego od kilku miesięcy nikt nie napisał. Rodzice mieszkali w Skierniewicach, a tam ponoć toczyły się zaciekle walki.

– Dzisiaj nie było poczty – Cezary pozbawił go złudzeń. Też czekał na list, ale nie z Miechowa. Cekał na wiadomości od Darii. Nie miał jednak nadziei. Rozdzielał ich przecież front. – To list sprzed tygodnia. Zawiadomienie o śmierci dziadka.

– Na frasunek dobry trunek. – Konieczny nie dał się zbić z tropu. Na nim już żadna śmierć nie robiła wrażenia. Ani swoich, ani wrogów. Własnej spodziewał się każdego dnia. – Dawać garnuszki, to poleję.

Ponieważ zapowiadał się ciepły wieczór, przenieśli się z tym wszystkim do okopu, biegnącego nieopodal wiejskich chałup, z których ludność ewakuowali za linię frontu. Zapominając o trudach dnia spędzonego z karabinem w dłoni, śmiali się i dowcipkowali, jakby nie w okopach siedzieli, lecz na piaszczystej plaży pobliskiego Prutu. Wraz z nimi rozsiedli się na dnie głębokiej transzei koledzy z innych plutonów. Niektórzy, śliniąc raz po raz kłopotliwy ołówek, na rozłożonej na kolanie kartce papieru pisali listy do rodziny lub ukochanej. Piechurzy, zzuwszy buty, rozcierali obolałe stopy, inni porozbierali się do pasa i wyłapywali wszy skryte w szwach odzieży.

Jeszcze Rawecy i ich kompani nie zdążyli opróżnić butelki, gdy rozległ się huk granatu i brzęk szrapnela. Z umieszczonych nisko nad głowami drewnianych blindaży do menażek z obiadem posypał się deszcz piasku. Po chwili huk i brzęk się powtórzyły. Raz za razem. Metodycznie. Huk i brzęk. Huk i brzęk. Bez przerwy. Fontanny ziemi wylatywały w górę, aby po chwili niczym grad wraz z odłamkami granatów i kulkami szrapneli posypać się na blindażę chroniące skrytych w okopach żołnierzy. Minami nadrabiali lęk, który ich ogarnął. Choćby nie wiadomo jak głęboko wykopany rów nie dawał pewnej ochrony przed atakiem artyleryjskim. Często stawał się zbiorową mogiłą dla poległych, gdy wrogie wojska zajęły teren i trzeba było się wycofać w pośpiechu, nazywając ucieczkę zorganizowanym odwrotem. Nagle jeden z siedzących w okopie ułanów, Janowski, przez wszystkich zwany Jankiem, kolega Albina z kieleckiego gimnazjum, chwycił się za gardło. Obydwaj mieli zaledwie po siedemnaście lat, razem przeszli przeszkolenie i w tym samym szwadronie ramię w ramię walczyli już prawie rok. Razem chodzili na patrole, dzielili się każdą kromką chleba i garścią owsa dla swych koni. Bywało, że jeden drugiego ratował z opresji. Z gardła przebitego odłamkiem na wylot krew tryskała jak z fontanny wprost na siedzącego obok Albina. Ten rzucił się ratować kolegę. Palcami usiłował zasklepić rozszarpaną tętnicę. Janek próbował coś powiedzieć, jakby chciał prosić o pomoc. Z jego dużych niebieskoszarych oczu, identycznych jak kolor munduru, który miał na sobie, wзираł ogromny lęk i żal, że to już koniec, że jeszcze niczego nie osiągnął, życia nie posmakował, a już wszystko się skończyło. Że już nigdy nie pogłaszczą go po policzku matczyne dłonie ani orderu nie otrzyma. Mimo nadludzkich wysiłków Albina i Cezarego nie zdołali uratować mu życia. Chwilę później kulka szrapnelowa dosięgła kolejnego ułana. Z rozszarpanej piersi jasnoczerwona krew szeroką strugą spłynęła na piaszczyste dno okopu, i tak już przesiąknięte żołnierskim potem i krwią.

– Wiedziałem, że wojna jest straszna – szepnął pobladły Albin, gdy kanonada w końcu ucichła. Dłonią umazaną krwią przyjaciela obcierał lzy, które ciekły mu po policzkach. – Ale nie przypuszczałem, że okaże się aż tak okrutna.

Nie wiedział, że wojna tak naprawdę jeszcze nie pokazała, co potrafi.

## Rozdział 2

Sytuacja na froncie w kolejnym dniu mocno się skomplikowała. Już w godzinach porannych pozycjom austro-węgierskiej 42. Dywizji Piechoty zaczęły zagrażać nacierające oddziały rosyjskie. Zaniepokojony przebiegiem wydarzeń szef sztabu II Brygady Legionów, Węgier, kapitan Vagas, wezwał do siebie przebywającego z powodu choroby w szpitalu rotmistrza Dunin-Wąsowicza. Z twarzą ogorzałą od słońca, wciąż trawiony gorączką, zameldował się w wiejskiej chałupie, gdzie urzędował sztab. Kapitana Vagasa zastał pochylonego nad mapami, rozłożonymi na stole przysuniętym do okna. Przez niewielkie okienko do wnętrza, wypełnionego papierosowym dymem, wpadały palące promienie słońca, potęgując panującą w izbie duchotę. Rotmistrz ściągnął czapkę z głowy, dłonią przejechał po krótko obciętych, mocno przeredzonych jasnych włosach i zanim się zameldował, oblizał spieczone usta.

– Kapitanie Dunin – odezwał się po niemiecku Węgier. Wymówienie polskiego słowa „rotmistrz” w połączeniu z nazwiskiem „Wąsowicz” stanowiło dla niego barierę nie do pokonania. Wychodził z założenia, że przecież polscy oficerowie doskonale władali językiem niemieckim. W końcu większość z nich w armii austro-węgierskiej służyła ładnych parę lat. – Sytuacja nie wygląda dobrze – ciągnął dalej głosem wieszczącym nadejście apokalipsy. – Musimy zmienić strategię, bo inaczej Rosjanie zmuszą nas do odwrotu.

Obaj pochylili się nad mapą sztabową. Snując różne koncepcje, przesuwali pionkami i przestawiali chorągiewki z jednego krańca mapy w drugi, nie mogąc dojść do konsensusu.

– Więc tak – rzekł stanowczo Vagas, kończąc dyskusję, i chrząknął. Znowu mi się ten szlachetka wymądrza, pomyślał ze złością i zagryzł czarnego jak smoła wąsa. – Będzie, jak powiedziałem. Zaatakuje pan swoim dywizjonem ułanów, aby wesprzeć z lewej flanki piechotę. Zaraz pošlę im rozkaz do ataku. Moja dywizja musi odpocząć. Żołnierze są już dwanaście godzin w boju.

Przywołał ordynansa i napisawszy kilka słów na kartce papieru, wysłał go z rozkazem.

– Czy naprawdę pan sądzi, kapitanie, że nieco ponad setka kawalerzystów zdoła opanować umocnione pozycje Rosjan, na których połamała sobie zęby wasza 42. Dywizja? – upewnił się rotmistrz, gdy za ordynansem zamknęły się drzwi. Zawiesił spojrzenie swoich jasnych oczu na sztabowcu.

Vagas przezornie opuścił wzrok na leżącą przed nim mapę.

– Cóż to dla was, potomków szwoleżerów spod Samosierry?! – spytał z odrobiną ironii w głosie. – Wszystkie wróble ćwierkają, że rwiecie się do szarży, więc teraz będziecie mieli okazję. No! – Złożył mapę i wcisnął czapkę głębiej na czoło, dając do zrozumienia, że dalsza dyskusja jest zbędna. – Piechota gotowa, a więc kawaleria może ruszać.

Z chałupy Wąsowicz wyszedł błądy jak ściana i niewiele brakowało, aby trzasnął drzwiami. Wskoczył na grzbiet swojej dorodnej Chochli i czułym gestem pogładził klacz po gładkiej i mocnej szyi.

– Rozkaz to rozkaz, moja piękna – szepnął, nachylając się do końskiego ucha.

Klacz zastrzygła uszami, czując przez skórę zdenerwowanie swego jeźdźca.

Wąsowicz jeszcze raz spojrzął za siebie, czy Vagas nie posłał za nim ordynansa, aby wręczyć mu ten nedorzeczny rozkaz na piśmie, ale się nie doczekał. Taki sam trep jak oni wszyscy. *Nomen omen* Fagas, pomyślał kąśliwie.

Puścił się galopem w kierunku czekających na dalsze rozkazy ułanów. Poluzowawszy

koniom popręgi, dali im chwilę wytchnienia. Piękne słoneczne przedpołudnie bardziej nastrajało do pikniku niż do wojaczki. Konie z ochotą skubały soczystą trawę. Prychając i sapiąc, machały długimi ogonami, aby odegnąć dokuczliwe muchy, zwabione zapachem końskiego potu.

– Na koń! – rzucił ułanom krótki rozkaz i chwilę czekał, aż pozapinają mundury, dociągną popręgi, dosiądą koni i uformują szyk. – 3. szwadron zostaje w odwodzie. Włączy się do walki na mój rozkaz – dodał po krótkiej chwili zastanowienia i gestem dał znak do wymarszu. Przecież nie mogę ich wszystkich posłać na śmierć, pomyślał z bólem serca. Miał złe przeczucia.

Kłusem puścili się czwórkami w dół pochyłości ku Rokitniance, dość płytkiej rzeczce, oddzielającej Bukowinę od Besarabii. W jej szeroko rozlanych wodach, przywodzących na myśl podmokłe łąki, odbijały się promienie południowego słońca. Trzy kilometry dalej znajdowała się Rokitna, wieś, gdzie skryci w okopach, uzbrojeni po zęby, czekali na nich Rosjanie. Szwadron w mig dotarł do szeroko rozlanej rzeczki o bagnistych brzegach, na której widok konie odruchowo zwolniły bieg.

– Dla polskiego ułana nie ma przeszkód! – krzyknął Dunin i pierwszy wskoczył do wody.

Reszta ruszyła za nim jak w dym. Za swoim dowódcą poszliby w ogień, a nawet na śmierć. Że właśnie nadeszła ta chwila, mieli się już wkrótce przekonać.

– Szable w dłoń! Galopem marsz! Tyraliera, co trzy kroki za mną! – zakrzyknął rotmistrz, gdy rzeczkę zostawili za sobą. Dobył szabli i uniósł ją w górę, mocno zaciskając dłoń na rękojeści.

Ruszyli. Ziemia zadudniła pod końskimi kopytami. Niczym gnany wiatrem szarobłękitny obłok sunęli po szmaragdowej łące. W ostrych promieniach słońca zaśniły ostrza uniesionych w górę szabel. Konie z galopu przeszły w cwał. Rwały kopytami wilgotną ziemię. Już po chwili szwadron rozwinął się w jedną linię harcowników. Ktoś krzyknął:

– Naprzód, polskie ułany!

Ktoś inny zawtórował:

– Naprzód, stara wiara!

I nagle z sześćdziesięciu gardeł wydarł się krzyk straszny, mrozący krew w żyłach:

– Hurrraaa! Hurrraaa! Hurrraaa!

Poniósł się daleko i wraz z rzeniem koni dotarł do siedzącej w transzei piechoty legionowej, która zamiast w tym czasie atakować pozycje wroga skrytego w okopach, obserwowała szarżę ułańską, to piękne widowisko, niemające sobie równego w żadnym innym rodzaju wojsk. Wysłany z rozkazem ordynans, gdy dotarł na linię frontu, usłyszał rozmowę stojących w pobliżu ziemianek żołnierzy. „Piechota już idzie” – zrozumiał, choć nie znał zbyt dobrze języka polskiego. Zmęczony upałem, nie chcąc niepotrzebnie się narażać na spotkanie z zabłąkaną kulą, zawrócił, nie zdając sobie sprawy, że w tym momencie wydał wyrok śmierci na szykujących się do szarży ułanów.

Pierwszą linię dość krótkich rowów strzeleckich przeskoczyli, jakby brali udział w zawodach hippicznych. Rosjanie, przerażeni tym, co ujrzeli na przedpolu, zdążyli je opuścić. Po chwili ułani dotarli do drugiego rzędu okopów, także pustych. To już koniec z nami, pomyślał rotmistrz, odgadując, że Rosjanie wszystkie siły zgromadzili w ostatnim, najdłuższym rowie strzeleckim, umocnionym betonem, balami z drewna i ziemią, ogrodzonym drutem kolczastym. W pełni zdał sobie sprawę, że było ich za mało, aby pokonać wroga, i jednocześnie za późno, aby posłać do walki 3. szwadron stojący w odwodzie. Nie zrobił tego też obserwujący szarżę kapitan Vagas, w obawie, że na kolejnych żołnierzy wyda wyrok śmierci.

Kiedy oczom ułanów ukazały się lśniące w słońcu długie lufy armat oraz rozmieszczone po bokach okopów gniazda karabinów maszynowych z załogą skrytą za workami piasku, rozległa się kanonada artylerii austriackiej. Żle wstrzelona, raziła swoich. Zawtórowały jej rosyjskie



kulomioty. Szczekały zajadle, plując ołowiem. Kilku koniom rozorały brzuchy. Koziółkując, kwiczały głośno z bólu i przerażenia. Wyrzuceni z siodła ułani jeden po drugim spadali na ziemię wprost pod grad rosyjskich kul i austriackich pocisków. Reszta w szatańskim pędzie, wciąż krzycząc: „Hurraaa!”, gnała dalej, jakby to nie do nich strzelano. Za chwilę, trafiony w czoło, spadł z konia Karaś. Upadł na wznak i rozrzucił ręce na boki. Jego klacz instynktownie galopowała dalej w równej linii z pozostałymi. Zaraz po nim oberwał Chmura i jego koń. Obaj pokoziołkowali w przerażającym tańcu śmierci, aby na koniec zastygnać bez ruchu. Krew jeźdźca i konia, łącząc się w jedną strugę, wsiąkała w wilgotną ziemię Bukowiny. Po chwili rosyjskie kule dosięgły kolejnych. Bezpańskie konie, potrząsając łbami, zawracały, przystawiały zdeorientowane. Nie wiedząc, co począć ze sobą, błąkały się po pobojuwisku. Inne miały mniej szczęścia. Wybuchające z brzękiem szrapnele szatkowały na śmierć po równo – ludzi i konie. Przeróżliwe rzenie i krzyki rannych zagłuszał terkot karabinów maszynowych i huk wybuchających pocisków. Fontanny ziemi i szare obłoki dymu zasnuły pole niczyje, krainę śmierci. Szarżujący ułani w końcu dotarli do trzeciego rzędu tranzei.

– *Sdawajties!* Poddajcie się! – wrzasnął rotmistrz Wąsowicz do skrytych w okopie Rosjan.

Niektórzy, przerażeni widokiem, jakiego się nie spodziewali, widząc wiszące nad własnymi głowami końskie kopyta i ostrza szabel skierowane wprost na ich gardła, odrzucili karabiny i podnieśli ręce w górę. Opornych ułani wyrabali szablami. Chwilę później rotmistrz, trafiony w bok kulą, spadł z konia. Jeszcze się zerwał i wyszarpnął z kabury pistolet. Zanim się zachwiał i upadł, zdążył oddać kilka strzałów w stronę zmierzających wprost ku niemu Rosjan. Widząc to, Gryf odruchowo ściągnął cugle, ale w tym samym momencie ujrzał przed sobą głęboki okop i siedzących w nim Rosjan z bronią przygotowaną do walki wręcz. Chwycił pistolet wiszący na smyczy i wypalił jednemu prosto w twarz. W tym momencie jego koń zwał się do rowu, przygniatając swym ciałem przerażonych żołnierzy. Zaraz jednak się zerwał i wyskoczył, unosząc na grzbiecie poturbowanego Czarka wprost ku ostatniej linii okopów.

Zanim do nich dotarli, Cezary kątem oka dostrzegł, jak biegnący obok koń Albina zachwiał się i upadł, a brat fiknął kozła. Gryf osadził konia, aby ruszyć mu na pomoc, i wówczas dotarło do niego głośne klekotanie karabinu maszynowego. Nawet nie poczuł bólu, gdy kilka kul przeszło mu pierś na wylot. Za to siła uderzenia była tak wielka, że wyrzuciła go z siodła. Miętko, niczym ptasie piórko, wylądował na kwitnącej łące, przypominającej wzorzysty dywan, cały w żółciach i fioleciach.

Chciał zerwać się na nogi i z powrotem wskoczyć na konia, gdy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Moskał, psia go mać, pomyślał. Raptownie obejrzał się za siebie, jednocześnie macając ręką w poszukiwaniu szabli, która gdzieś się zagubiła.

– Spokojnie, Czarusiu, to tylko ja... – usłyszał głos dziadka i dopiero wówczas go zobaczył.

Siedział tuż obok z nogami skrzyżowanymi po turecku i pykał swoją ulubioną fajeczkę. Miał na sobie mundur żuawa śmierci z czasów, kiedy walczył w powstaniu styczniowym. Czerwony fez, który zawsze śmieszył Cezarego, gdy był dzieckiem, spoczywał na jego głowie zawiadacko przesunięty na bok.

– Skąd dziadek się tu wziął, u licha? – zapytał, rozglądając się wokoło, jakby spodziewał się ujrzeć bryczkę, a w niej siedzących rodziców i rodzeństwo, trzymających w rękach koszyki pełne piknikowych wiktuałów w postaci pasztetu, pieczonego drobiu i placka drożdżowego z kruszonką, jak to było w czasach jego dzieciństwa, kiedy jeździli na majówki do Porętowa.

– Przyszedłem po ciebie – z bladym uśmiechem na zwiędłych ustach odparł nestor rodu. Gdyby to od niego zależało, dałby Czarkowi doczekać końca wojny, aby mógł poznać smak zwycięstwa. Ale nie on podejmował decyzje.

Cezary obrzucił dziadka nic nierozumiejącym spojrzeniem i przeniósł wzrok na przedpole, skąd wciąż dobiegały charakterystyczne dla bitwy odgłosy: huk wybuchających pocisków, szczekanie karabinów maszynowych, tętent końskich kopyt, krzyki walczących, jęki rannych i rżenie konających. Ze zdziwieniem ujrzał, jak do czwartej, ostatniej już linii okopów, torując sobie drogę szablami, dotarły niedobitki szwadronu. Z tyłu za nimi pozostało pole zbroszone krwią, usiane trupami wierzchowców i ułanów, z błakającymi się końmi, które straciły swych jeźdźców.

– Sześciu przeciwko setkom? – szepnął Cezary, zwracając się do dziadka, jakby oczekiwał, że on może coś z tym zrobić. – Przecież to czyste szaleństwo...

I wówczas ułani, zdawałoby się: słysząc jego słowa, zawrócili. W ustach czuli gorzki smak straszliwej porażki. W tumanach bitewnego pyłu, skryci w obłokach armatniego dymu, przyglnęli do końskich grzbietów i licząc na wyniesienie życia z opresji, puścili się cwałem w stronę pozycji wyjściowych.

W tym samym kierunku zmierzał sztabowy adiutant, niosąc w ręku spóźniony rozkaz odwołujący tę szaleńczą szarżę. Ze zdziwieniem ujrzał pułkownika Zygmunta Zielińskiego, dowódcę 3. Pułku Piechoty, który płakał jak dziecko, a Austriak, pułkownik Ferdinand Küttner, dowódca II Brygady, rwał sobie siwe włosy z głowy.

– Takiej szalonej szarży austriacka kawaleria nie знаła do tej pory – z niekłamanym podziwem i zdziwieniem jednocześnie mamrotał pod nosem kapitan Vagas, który wraz z innymi obserwował trwający zaledwie piętnaście minut bezprzykładny popis męstwa polskiej kawalerii. – Co za brawura, co za odwaga...

– To szaleństwo mamy we krwi – dziadek Andrzej zwrócił się do Cezarego i spojrzał na niego z czułością. – Dzięki niemu Polska się odrodzi jak Feniks z popiołów. Byle następne pokolenia tego szaleństwa nie obróciły na naszą zgubę... – dodał ze smutkiem. – A teraz musimy już iść. Czas na nas...

– Dokąd pójdziemy? – spytał Cezary, posłusznie podnosząc się na nogi. Ze zdziwieniem zauważył, że choć przód munduru miał podziurawiony i cały zalany własną krwią, bólu nie czuł żadnego. Śmierć jednak nie jest tak straszna, jak ksiądz nam mówił, pomyślał, przypomniawszy sobie lekcje religii, na których straszono diabłami i ogniem piekielnym. Muszę koniecznie powiedzieć o tym Albinowi, aby się przestał bać.

– Tam. – Dziadek kiwnął głową w stronę widocznego na horyzoncie łańcucha strzelistych gór o szczytach pokrytych śniegiem, wyraźnie odcinających się na tle błękitnego nieba.

U ich stóp rozpościerała się kwiecista łąka, przecięta srebrzystą wstęgą wijącej się rzeki. Na jej brzegu pasły się dwa osiodłane konie. Cezary w jednym z nich rozpoznał swoją pierwszą klacz, otrzymaną od dziadka na czternaste urodziny, chlubę hodowli Andrzeja Jaxa-Raweckiego. Sapiąc i prychając, skubała z apetytem soczystą trawę. Tuż obok niej baraszkowały dwa wyżły, z którymi Cezary, jeszcze jako wyrastek, razem z dziadkiem chadzał na polowania.

### Rozdział 3

Z nastaniem nocy Rosjanie opuścili swoje pozycje w Rokitnej i wycofali się w kierunku Besarabii. Podczas szarży poległo piętnastu ułanów, a trzech zmarło później w wyniku odniesionych ran. Cało, na własnych koniach, wróciło tylko sześciu, siedmiu dostało się do niewoli. Reszta odniosła mniejsze lub większe rany. Ci lżej ranni po założeniu opatrunków wrócili do swojego szwadronu, ciężiej ranni, w tym Albin, wyłożonymi słomą furmankami, zostali przewiezieni do szpitala polowego w pobliskiej Sadagórze, gdzie miejscowy cadyk przeznaczył na ten cel należący do niego duży dom.

Mimo pozamykanych okien Albina obudziły hałasy dobiegające z zewnątrz. Rżały konie, ludzie biegali, ktoś głośno wydawał polecenia, ktoś inny kogoś wołał, warczały silniki samochodów. Choć rozpiekała go ciekawość, rany zadane przez odłamki pocisku artyleryjskiego nie pozwalały mu wstać z łóżka. Nie miałem w co oberwać, tylko w zadek, myślał ze złością i wstydem jednocześnie. Za każdym razem, gdy sobie przypomniał, jak leżał na brzuchu, a młodzieńka sanitariuszka zdejmowała z niego poszarpane portki i zawszone gacie, całe zalane krwią, oblewał się rumieńcem. Ze wstydu nie czuł nawet koszmarnego bólu, gdy czyściła i dezynfekowała mu rany na pośladkach i udzie. Srał to pies, i tak się nigdy więcej nie spotkamy, pomyślał z pełnym przekonaniem.

Już po chwili wyjaśniły się przyczyny panującego na zewnątrz harmideru. Do szpitala przywieziono kolejny transport rannych. Tych w stanie ciężkim od razu kładziono na stół operacyjny. Lżejszymi przypadkami zajmowały się sanitariuszki. Nie minęła godzina, gdy do sali, w której leżał Albin wraz z wieloma innymi rannymi, wszedł ubrany w spraną pasiastą piżamę wachmistrz Konieczny i niepewnie przystanął w progu. Miał obandażowaną głowę, a jego lewa ręka spoczywała na temblaku. Prawą ciągnął za sobą siennik. Same obce gęby i do tego bomberaki, pomyślał niezadowolony, widząc jedynie żołnierzy piechoty leżących na pryczach. Poupychali ich niczym śledzie w beczce.

– Są tutaj jacyś ułani? – spytał dla pewności. – No, cacygupki, meldować się – zażartował jak zawsze w każdych okolicznościach, za nic mając naderwane ucho i przestrelone ramię.

– Są, a kto pyta? – odezwał się Albin, leżąc na boku, tyłem do wejścia. Leżenie na plecach nie wchodziło w grę. Miał wrażenie, że ten głos nie był mu obcy.

Konieczny, zanim odpowiedział na pytanie, przecisnął się ze swoim siennikiem bliżej i zajrzał w twarz Albina. Z miejsca rozpoznał młodego Raweckiego.

– A, to nasz Dłubinosek – zarechotał na jego widok.

Tak starsi koledzy nazywali wszystkich niepełnoletnich, którzy z pomocą kłamstwa zaciągnęli się do wojska. Dopiero z czasem, wykazując się odwagą i męstwem, otrzymywali inne przydomki. Jednak wielu z nich nie doczekało takiego dnia, składając wcześniej swe młode życie w ofierze. Na Albina coraz częściej wołano Rawa. Nie omieszkał się upomnieć o swoje prawa:

– Żaden Dłubinosek – warknął, zerkając przez ramię. – Rawa jestem.

W tym momencie Konieczny przypomniał sobie szaleńczą szarżę sprzed kilku dni, w której stracił nie tylko dowódcę, ale także przyjaciół, a Albin brata, choć jeszcze o tym nie wiedział. Jak ja, u licha, mam mu to powiedzieć? Chłopak świata za Gryfem nie widział, pomyślał zbity z tropu.

– W co oberwałeś? – spytał, aby zyskać czas do namysłu, i cisnął swój siennik na podłogę obok pryczy Albina, bo łóżek już zaczynało brakować.

– W... plecy... w zasadzie trochę niżej... – Albinowi słowo „dupa”, powszechnie

używane przez wszystkich żołnierzy, bez względu na formację, nie mogło przejść przez gardło. Nie tylko dlatego, że dla kawalerzysty to najmniej odpowiednia część ciała, aby w nią oberwać, ale także z uwagi na wychowanie, jakie wyniósł z domu, i swój młody wiek.

– Bywa i tak. Mogło być gorzej, więc nie narzekaj – pocieszył go Konieczny. – Poległo piętnastu – dodał grobowym głosem.

Psia jucha, jak ja mam mu to powiedzieć? – myślał gorączkowo. Że też musiałem akurat do tej sali trafić.

– Gryf wyszedł cało, prawda? – spytał Albin i zawiesił na Koniecznym wyczekujące spojrzenie, ale ułan uciekł wzrokiem w bok.

Młodego Raweckiego ogarnął niepokój. Tembr głosu wachmistrza i wyraz jego nieogolonej twarzy mu się nie podobały. Tylko nie to, Boże, pomyślał, czując, jak serce zaczęło mu łomotać. Tylko nie Gryf, tylko nie on.

– Przykro mi, chłopcze – szepnął Konieczny i podniósł na Albina oczy pełne współczucia. – Twój brat... nie żyje. Dostał prosto w serce...

Albin ukrył twarz w poduszce i zagryzł wargi aż do bólu. Czarus, braciszku, coś ty narobił, pomyślał zrozpaczony. Mamie serce pęknie z rozpacz. Dobrze, że choć dziadek tego nie dożył.

– Ta przeklęta wojna chyba nigdy się nie skończy, a nas wybiją co do nogi – odezwał się po chwili i przelknął łzy. – Pozwolono wam zebrać poległych? – spytał, gdy zapanował nad żalem ściskającym mu serce.

– Jeszcze tej samej nocy Rosjanie się wynieśli – relacjonował Konieczny, wzdychając ciężko raz po raz. – A dwa dni później na cmentarzu w Rarańczy odbył się pogrzeb. Na trumnie rotmistrza Wąsowicza spoczywało jego ułańskie czako i złamana szabla. Pułkownik Zieliński płakał jak dziecko. Nie był w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. Chodząc od trumny do trumny, na każdą rzucał grudki ziemi...

– To nikt nie wygłosił mowy pogrzebowej? – pociągając nosem, spytał Albin i rękawem piżamy obcierał łzy płynące mu po policzkach.

– Mowę pogrzebową w zastępstwie pułkownika wygłosił wachmistrz Sokołowski, choć sam był ranny, szczęściem dość lekko – ciągnął Konieczny, z trudem panując nad ogarniającym go wzruszeniem. – Pięknie przemawiał. Wciąż słyszę jego słowa. „Oto nasi towarzysze, wysłani na śmierć – powiedział. – Jechali z całą tego świadomością, lecz ani jeden nie zawrócił konia. Odnowili tradycję polskiego ułana sprzed stu lat. Ponieśli śmierć bohaterską. Patrząc na nią, niech wszyscy, wszyscy wrogowie nasi wiedzą i pamiętają o tym, do czego Polak jest zdolny. Ufajmy, że przelana krew na marne nie pójdzie...”

\*

Kilka dni później lekarz pozwolił Albinowi wstać z łóżka.

– Goić się jak na pies – oznajmił łamaną polszczyzną, gdy sanitariuszka zdjęła opatrunek, aby założyć nowy. – Blizny zostać, ale to akurat mała problema, wszak dupa w schlüpfarach zawsze schowany! – Zarechotał głośno, za nic mając wrażliwe uszy Albina i obecność sanitariuszki.

– Pomogę panu wstać i pójdziemy na krótki spacer – oznajmiła sanitariuszka, gdy lekarz się oddalił. Miała przyjemny niski tembr głosu, który Albin rozpoznał od razu.

To była ta sama dziewczyna, która go opatrywała zaraz po bitwie. Młody Rawecki poczuł, jak policzki zapiekły go żywym ogniem. Boże, jaki wstyd, pomyślał, uciekając wzrokiem na podłogę. Ona widziała mój goły tyłek i całą resztę.

– Sam sobie poradzę – burknął, nie wiedząc, od czego zacząć, aby się podnieść z niskiej

pryczy i nie sprawić sobie bólu. Nawet nie zwrócił uwagi, że rozmawiała z nim po polsku.

– To może chociaż kule kawaler ode mnie weźmie – zaproponowała, uśmiechając się życzliwie.

Dopiero wówczas zauważył, że sanitariuszka trzymała coś w rękach. Pierwszy raz w życiu widział coś takiego. Nawet nie wiedział, jak się tego czegoś używa i w jaki sposób może mu to pomóc w poruszaniu się.

– A co mam z tym zrobić? – spytał i westchnąwszy z rezygnacją, podniósł na sanitariuszkę wzrok.

Nie mogła mieć więcej jak siedemnaście lat. Jezu, jaka ona jest śliczna, pomyślał, widząc jej szmaragdowe oczy i zadarty nosek, który zabawnie marszczyła, gdy się uśmiechała. Te kilka piegów jedynie dodawało jej urody.

Białe fartuch okrywający szarą sukienkę sięgającą kostek i zapiętą pod samą szyję zdawał się za duży na jej filigranową figurkę. Włożony na głowę biały czepek, spod którego wysuwały się dwa brązowe warkocze, dodawał jej powagi. Biała opaska z czerwonym krzyżem, którą nosiła na ramieniu, poświadczała jej status sanitariuszki.

Fachowo pomogła Albinowi wstać z łóżka i wsunęła mu kule pod pachy. Wytłumaczyła, jak się nimi posługiwać, aby odciążać mięśnie pośladków podczas chodzenia.

– Inaczej szwy popuszczają i rany się rozejdą – oświadczyła na koniec, zachowując powagę, choć gapowata mina Albina ją bawiła. Po kilku tygodniach pracy w szpitalu polowym nagie ciała mężczyzn jej nie szokowały. Z brudem, potem i wszami także zdążyła się oswoić.

Idąc tuż obok Albina, wyprowadziła go na zalany słońcem obszerny dziedziniec przed budynkiem szpitala. Ambulans, który niedawno przywiózł rannych, zdążył odjechać w stronę frontu po kolejnych nieszczęśników. Na widocznej z daleka ulicy panował codzienny ruch. Od czasu do czasu przejechała furmanka, a przechodnie zmięrzali to w jedną, to w drugą stronę, nie zwracając uwagi na lżej rannych i rekonwalescentów z nudów kręcących się wokół budynku szpitala. Już zdążyli do ich obecności przywyknąć.

– Skąd panienka zna język polski? – zainteresował się Albin, gdy po kilku krokach już na tyle opanował podpieranie się kulami, że mógł myśleć o czymś innym niż o dwóch drewnianych wspornikach wrzynających się mu pod pachy.

– No jak to skąd? – zdziwiła się i zerknęła na niego swymi szmaragdowymi oczyma, w których igrały promienie słońca. – Z domu przecież.

– Przyjechała panienka z Polski, aby pracować w szpitalu polowym?

– Skądże. – Zachichotała i ku uciesze Albina zmarszczyła nosek. – Ja się tutaj urodziłam.

– W Sadagórze? – nie mógł wyjść ze zdumienia.

Dla niego, urodzonego w Miechowie, prowincjonalnym miasteczku Królestwa Polskiego, Bukowina wydawała się krajem nieomal egzotycznym. A tak naprawdę usłyszał o niej dopiero całkiem niedawno, gdy II Brygadę wraz z dywizjonem kawalerii wysłano w te okolice.

– A cóż w tym dziwnego? – Sanitariuszka wydeła ponętne usta. – Nas, Polaków, na Bukowinie mieszka tysiące – ciągnęła, nie kryjąc dumy. – Mój dziadek, Antoni Kochanowski, opowiadał, że kiedyś te ziemie należały do Polski. Austriacy je zagarnęli po pierwszym rozbiore. Dziadunio był nie tylko burmistrzem w pobliskich Czerniowcach, ale także przez wiele lat radnym miasta. A mój ojciec ma tutaj, w Sadagórze, majątek ziemski. Moi starsi bracia także są w wojsku. Adam dostał powołanie jeszcze w sierpniu ubiegłego roku do armii austriackiej, a Zbyszek zaciągnął się do Legionów. Walczy w piechocie.

Albin po raz kolejny poczuł, że się rumieni. On nie znał tak dobrze historii. W kieleckim gimnazjum dziejów Polski nie uczono, a to, co opowiadali dziadek czy babcia, często wpuszczał jednym uchem, a drugim wypuszczał. Teraz pożałował własnej lekkomyślności.

– Panienska pozwoli, że się przedstawię – przezornie zmienił temat, aby jego ignorancja nie wyszła na jaw. – Starszy ułan Albin Jaxa-Rawecki. Dla przyjaciół Rawa. – Przystanął i skinął głową. Stukanie obcasami nie wchodziło w grę. Nie tylko bolało go siedzenie przy każdym gwałtownym ruchu, ale na nogach miał jakieś rozdeptane łapcie zamiast swoich kawalerskich wysokich butów.

– Maryla Kochanowska – odwzajemniła się dziewczyna i śmiało zajrzała Albinowi w oczy. – Jeśli można, kawalerze, to proszę mi mówić po imieniu – oświadczyła rezolutnie.

Ten krótki czas spaceru po obszernym placu, będącym jeszcze rok temu zadbanym podjazdem przed dworkiem sadagórskiego cadyka, wystarczył, aby do zatłoczonej szpitalnej sali, przepełnionej odorem krwi i potu, Albin wrócił z niechęcią. Mógłby tak spacerować z sanitariuszką do wieczora albo i dłużej. Leżąc na swojej pryczy, wciąż miał przed oczyma wilgotne czerwone usta dziewczyny, a w uszach brzmiał mu jej zmysłowy niski głos. Maryla, Marylka, Marynia, raz za razem powtarzał jej imię. Chyba się zakochałem, pomyślał z rozanielonym wyrazem twarzy. Leżący tuż obok wachmistrz Konieczny spoglądał na młodego Raweckiego ze zrozumieniem i z odrobiną zazdrości. On też się zakochał w sanitariuszce, kiedy został rany w bitwie pod Rafajłową. Aż dreszcz go przeszedł na samo wspomnienie temperamentu ognistej góralki.

Kilka dni później, podczas wieczornego spaceru nad rzeczką, Albin zdobył się na odwagę i objąwszy Marylę w pół, przygarnął ją do piersi.

– Kocham cię, Maryniu. Jesteś dla mnie całym światem i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie – szepnął jej do ucha. – Czy mogę cię pocałować?

Widząc, jak podniosła ku niemu twarz, złożył na jej ustach swój pierwszy w życiu pocałunek. Choć nikt nigdy mu nie powiedział, jak to się robi, matka natura przyszła z pomocą. Smak tego pocałunku i tego wszystkiego, co przyszło wraz z nim, zapamiętał na całe życie. Maryla z ufnością poddawała się jego pieszczotom, zapominając o matczynych przestrożach, że przyzwoita dziewczyna dopiero po ślubie może pozwolić swemu ukochanemu na całowanie jej ust. O rozpinaniu bluzki i dotykaniu piersi pani Kochanowska nawet nie wspomniała, bo te słowa nie przeszłyby jej przez gardło. W najczarniejszych myślach sobie nie wyobrażała, że jej jedyna córeczka, wychowana na pensji prowadzonej przez siostry zakonne, pozwoli zakochanemu w niej młodemu kawalerzyście nie tylko rozpiąć bluzkę i zdjąć z głowy czepeczek, ale także odebrać wianek.

– A czy ty mnie kochasz? – dopytywał się Albin, gdy doprowadziwszy swoją garderobę do porządku, ulokowali się z Marylą pod drzewem. Ze szczęścia brakowało mu tchu. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że to takie rozkoszne, pomyślał, wciąż mając w pamięci tę chwilę, gdy Maryla, ze wstydem opuszczając powieki, podciągnęła sukienkę do góry, błyskawicznie zsunęła majtki i wpuściła go w siebie.

– Kocham, i to bardzo – odparła szeptem, przytulając się mocno do jego boku. Zapadający szybko wieczór niósł od rzeki chłodny powiew wiatru i zapach zbliżającej się jesieni. – Nigdy wcześniej nikomu tego nie mówiłam ani nigdy z nikim się nie całowałam, ani... ani wiesz... – Nie potrafiła nazwać tego, co przed paroma minutami razem z Albinem zrobili. Nikt z nią w domu, ani tym bardziej na pensji, na ten temat nie rozmawiał. Starsze koleżanki, pytane o to, co robią małżonkowie w noc poślubną, albo nie znały odpowiedzi, albo zasłaniały się tajemnicą. Podejrzewała, że musi być to coś okropnego, skoro dorośli robili z tego takie wielkie halo. A okazało się niewyobrażalną rozkoszą. Nawet jeśli to grzech, to bardzo słodki, pomyślała.

– Ja też zrobiłem to pierwszy raz... Jestem szczęśliwy, że właśnie z tobą – muskając ustami skroń Maryli, wyznał Albin.

## Rozdział 4

Kiedy rany młodego Raweckiego się zagoiły, wraz z całą brygadą został wysłany na Wołyń. Aby się pożegnać z Marynią, miał zaledwie pięć minut. „Będę na ciebie czekała, choćby wojna miała trwać całe lata” – słowa zapłakanej Maryli wciąż brzmiały w uszach Albina, gdy bataliony II Brygady wywagonywały się na maleńkiej stacji Maniewiczze.

Tuż obok przebiegała linia frontu, który Rosjanie, pokonując wojska austro-węgierskie, zdolali przerwać. W powstałą wyrwę wdzierały się jeden za drugim rosyjskie bataliony. Zajęły Kostiuchnowkę, Wołczek i Wielką Miedwieżę.

– Zbierajcie dupy w troki – oznajmił wachmistrz Konieczny, wciskając się do ziemianki, gdzie już zdążył się rozlokować Albin i kilku innych ułanów z jego plutonu. – Nasza kompania otrzymała rozkaz odbicia Kostiuchnowki.

– Będziemy znowu szarżować? – z niepokojem spytał Albin. Jeszcze nie doszedł do równowagi psychicznej po tej ostatniej, kiedy poległ Cezary.

– Gorzej – odparł Konieczny i machnął ręką. – Rosjanie wykopali głębokie transeje, otoczyli je drutami kolczastymi i poustawiali karabiny maszynowe, a my będziemy szturmowali pieszo.

– Bez artylerii?! – wykrzyknął Albin, zapinając pas. Szablę musiał zostawić. Spieszony ułan szablę zostawiał przy koniu.

– Bez – mruknął Konieczny. – Zbiórka za pięć minut – oświadczył krótko i wyszedł z ziemianki. Wolał głośno decyzji dowództwa nie krytykować.

– Też pomysł. – Albin obrzucił spojrzeniem swych kolegów, szykujących się do wyjścia. – Szturm bez wsparcia artylerii. A to się moja klacz uśmieje, jak jej powiem.

Mimo oprotestowania tej szaleńczej decyzji dowództwo austriackie potwierdziło rozkaz. Była już głęboka noc, gdy żołnierze uformowani w długie szeregi, z karabinami w rękach, opuścili pozycje wyjściowe. Kiedy dotarli na przedpole, niebo zasnuwały ciężkie chmury, a w powietrzu czuło się lepka listopadową wilgoć. Pachniało butwiejącymi liśćmi, dymem wydobywającym się z piecyków wciśniętych do ziemianek i kartoflami pieczonymi przez żołnierzy w ogniskach. Od strony pobliskich mokradeł sunęła po ziemi gęsta mgła, otulając okolicę białym jak mleko welonem.

Świtało, gdy rozległy się oficerskie gwizdki, dające sygnał do ataku. Uformowawszy tyralierę, żołnierze biegiem ruszyli przed siebie, z trudem wypatrując czyhających pod nogami pułapek. Trwające od wielu dni walki przy użyciu artylerii uczyniły z pasa ziemi rozciągającej się między liniami okopów prawdziwy tor przeszkód. Wokoło czyhały odłamki i porzucone fragmenty uzbrojenia, wywleczone na wierzch siłą wybuchu polne kamienie czy powyrywane z korzeniami drzewa z pobliskiego lasu, ciśnięte, gdzie popadnie. Słabo widoczne głębokie leje po pociskach zamieniły się w wilcze doły, do których wpadając, żołnierz mógł sobie skrócić kark. Albin odruchowo zwolnił. Niczego nie widział, ani przed sobą, ani za sobą. Momentalnie poczuł znany już z poprzednich szturmów dreszcz na plecach. Pomieszanie podniecenia z lękiem, że może to właśnie za chwilę śmierć przetnie wątłą nić jego młodego życia. Odkąd poznał Marynię, wolałby, aby ten moment nigdy nie nadszedł.

Nagle od strony rosyjskich okopów zaszczekały kulomioty. Ich głośne i przerażające terr, terr, terr, terr niosło się po ziemi niczyjej, boleśnie świdrowało w uszach. Albin kątem oka widział, jak wokół niego padali zabici i ranni, trafieni zrządzeniem losu, bo przecież mgła ich skrywała przed celownikami – nie stanowiła jednak zasłony przed kulami. W rozciągniętej na

setki metrów tyralierze pojawiły się wyrwy jak w starym płocie, kiedy odpadną sztachety. Reszta żołnierzy biegła w ślepym zapamiętaniu na spotkanie z przeznaczeniem, które przybrało kształt ołowianego pocisku ważącego zaledwie kilka gramów. Pierwszy szereg wykruszył się dość szybko, choć Rosjanie z uwagi na mgłę strzelali na oślep. Albin nie wytrzymał napięcia i przypadł do ziemi. Inni poszli w jego ślady. Przerażony skrył głowę w ramionach.

Gdy terkot kulomiotów ucichł, gwizdki oficerów poderwały wszystkich do ataku.

– Hurrraaa! Hurrraaa! – wrzasnęli jak na komendę, aby dodać sobie odwagi, i rzucili się w kierunku niewidocznych dla oka pozycji wroga.

Albin biegł przed siebie, z trudem poprzez gęstą mgłę dostrzegając plecy swych towarzyszy broni, słysząc jednak ich głośnie oddechy i tupot nóg. Rozpaczliwe „hurrraaa!” niesło się po polu, powtarzało echem, odbite od ściany pobliskiego lasu. Wówczas Rosjanie znowu przywitani ich ogniem. Kule ze świstem latały wokół, przebijając piersi, rozłupując czaszki, raniąc nogi, ramiona, dziurawiąc brzuchy, z których wysypywały się na ziemię parujące wnętrzności. Terkotanie kulomiotów mieszało się z krzykami rannych i rżeniem umierających.

– Matko Boska! Dostałem!

– Jezu!

– Na pomoc! Niech ktoś mnie ratuje!

– Chryste, to koniec...

Inni umierali w milczeniu, ze stoickim spokojem obserwując, jak ich krew wsiąka w rozdeptaną buciorami ziemię. Więc to tak wygląda, myśleli z żalem, że to już ostatni raz, że więcej do ataku nie pobiegną, że odznaczą ich za odwagę najwyżej po śmierci.

Niespodziewanie mgła opadła i wówczas Albin i ocalała z pogromu reszta kompanii z przerażeniem ujrzeni sto pięćdziesiąt metrów przed sobą rosyjskie okopy osłonięte workami z piaskiem, najeżone lufami karabinów maszynowych. Legionistów nie chroniło nic. Bezdusznym rozkazem zwierzchników zostali wydani na pastwę przeciwnika.

– Padnij! Kryć się! – rozległy się krzyki z lewa i prawa.

Po raz kolejny przypadli do rozmięklej ziemi, zimnej i wilgotnej, a skryci za osłonami Rosjanie rozpoczęli metodyczny ostrzał. Teraz widzieli swych wrogów jak na dłoni. Albin wyszarpnął zza pasa krótką łopatkę i gwałtownymi ruchami usiłował wykopać dół, w którym mógłby się schronić. Machał nią zawzięcie, nie czując raniących dłonie kamieni i kawałków żelastwa wrytych w grunt. Inni poszli w jego ślady. Kto stracił łopatkę, własnymi pazurami wgryzał się w ziemię, dał bagnetem, usypując przed sobą wał, zanim dosięgnie go kula. Ci, którzy nie zdążyli, upadali twarzą w świeży kopczyk i zamierali bez ruchu. Dla niektórych własnymi rękoma wykopany dół stawał się grobem. Zewsząd rozlegały się krzyki trafionych, jęki rannych i ostatnie tchnienia konających. Albin, leżąc w swojej jamce, przytulony do ziemi jak do łona matki, z głową ukrytą w ramionach, z trudem hamował łzy, które cisnęły mu się do oczu. Nie chciał umierać właśnie teraz, kiedy pierwszy raz się zakochał, kiedy dane mu było poznać, jak smakuje miłość. Wrócę do ciebie, jedyna moja, wrócę na pewno, obiecywał w myślach, bardziej bojąc się, że już nigdy Maryni nie ujrzy, niż śmierci, która kroczyła po ziemi niczyjej i z szatańskim uśmiechem wyszczerzając zęby, odbierała żołnierzom życie.

Do zmroku nie śmiał się poruszyć, aby nie wypatrzył go rosyjski snajper. Nawet nie wiedział, czy ktoś jeszcze uszedł z życiem, czy tylko on miał tyle szczęścia. Dość głośnie początkowo jęki rannych dobiegające ze wszystkich stron z czasem ucichły, aby na koniec zamrzeć zupełnie. Albin skulił się w sobie, by zachować choć trochę ciepła, mimo to dygotał z zimna. Na domiar złego, sikając na leżące, zmoczył sobie mundur. Dopiero z nastaniem ciemności wychylił głowę. Tuż obok niego leżał bez ruchu młody żołnierz z twarzą wciśniętą w zrytą pociskami ziemię. Na plecach miał kilka dziur po kulach, a strugi krwi już zdążyły



skrzepnąć. Ten nie żyje, pomyślał z żalem i wyteżył wzrok, usiłując zorientować się w sytuacji. Miał wrażenie, jakby na polu coś się poruszało.

– Ranni są? – spytał niezbyt głośno, aby Rosjanie go nie usłyszeli.

– Tutaj... – usłyszał z prawej strony czyjś słaby, zmieniony bólem głos.

Zgięty wpół podbiegł do ledwie widocznego zarysu postaci.

– Dostałem po kulasach – wyjaśnił strzelec, znany Albinowi jako Sowa. – Sam nie dam rady zrobić ani kroku...

– Chwyć mnie za szyję – powiedział, pochylając się nad rannym. Mam nadzieję, że nie waży więcej ode mnie, pomyślał. – Pomogę ci.

Już po chwili pojawili się sanitariusze z noszami, zbierając ciężko rannych. Ci z lżejszymi obrażeniami o własnych siłach bądź wsparci na ramionach towarzyszy broni kuśtykali w dół wzgórza, do swoich. Pozostali przy życiu zbierali zabitych, wynosząc ich z pola walki na pozycje wyjściowe, aby pochować z szacunkiem za ich wielką ofiarę. Gołym okiem widzieli, że ponad połowa z nich poległa w bezsensownej walce. Wraz z nimi życie stracił dowodzący atakiem kapitan Zygmunt Czechny-Tarkowski.

Parę dni później, po awanturze, którą w Komendzie Legionów zrobił generał Trzaska-Durski, domagając się artylerii dla podległych mu brygad, kilka kompanii Legionów przy wsparciu stu dział i baterii moździerzy zmiażdżyło opór Rosjan, zdobywając Kostiuchnówkę i pobliskie wzgórza.

Padający śnieg przeplatany z deszczem, raz mróz, raz odwilż zamieniły rozległe obszary nad Garbachem w bagna i grzęzawiska. Prowadzenie działań manewrowych za pomocą ciężkiego sprzętu stało się niemożliwe, a obu walczącym stronom brakowało żołnierzy i amunicji. Front zamarł na kilka długich zimowych miesięcy. Armie, ryjąc w ziemi, okopały się kilometrami głębokich rowów strzeleckich, odgrodziły zasiekami z drutów kolczastych i utworzyły silną linię umocnień rozciągającą się od Rygi poprzez Dyneburg, Pińsk, Tarnopol po Nowosielce nad Dnieprem. Fabryki na zapleczu frontów dwoiły się i troiły, aby nie tylko wyprodukować stosowne ilości sprzętu, broni i amunicji, zdolnej odebrać życie milionom żołnierzy, ale także uszyć miliony par żołnierskich butów, których mimo to ciągle było za mało.

## Rozdział 5

Igor Piotrowicz Kaledin po opuszczeniu szpitala, w którym leczył rany odniesione podczas kampanii wschodniopruskiej, awansowany na rotmistrza dragonów, został przeniesiony do Samodzielnej Brygady Kawalerii Gwardii i skierowany pod rozkazy generała Aleksieja Aleksiejewicza Brusilowa, dowódcy 8. Armii. Znajomość z generałem datowała się od czasu, gdy Brusilow był wykładowcą, a później komendantem w Oficerskiej Szkole Kawalerii, w której nauki pobierał Kaledin. To wówczas ów generał, wywodzący się ze starej rosyjskiej szlachty o długiej tradycji służby wojskowej, stał się dla Igora wzorem oficera. Choć Brusilow był drobnym mężczyzną średniego wzrostu, o łagodnych rysach twarzy, jego władczy charakter wymuszał na otoczeniu respekt, a nawet budził lęk. Był przy tym całkowicie armii oddany i sprawy wojska stawiał ponad interesy rządzących. Podczas długich miesięcy oblężenia twierdzy Przemyśl dał się poznać jako dowódca wyróżniający się nie tylko wyobraźnią, ale także umiejętnością wyciągania wniosków, czego o innych generałach Kaledin raczej nie mógł powiedzieć.

Nieprzeciętna odwaga Igora, skrupulatne wypełnianie rozkazów, a zwłaszcza śmiała akcja, w której w przebraniu austriackiego oficera dostał się do wnętrza twierdzy i zdobył informacje o szykowanym wypadzie mającym przerwać pierścień okrążenia, dzięki czemu Rosjanie nie dali się zaskoczyć, zaowocowały zaufaniem, jakim go obdarzył generał. Kaledin poczytywał sobie ten fakt za ogromny zaszczyt, gdyż Brusilow znany był z nieufności wobec swych współpracowników. Przysporzyło mu to wrogów nawet na dworze carskim. Tam należało mówić o wszystkim, gdyż w otoczeniu cara nie mogło być zdrajców. Brusilow jednak na ten temat miał odmienne zdanie, a już szczególnie nie darzył zaufaniem carowej, która nie tylko wtrącała się do rządzenia, ale także zbyt ochoczo nadstawiała ucha na podszepty Rasputina. To właśnie tego „świętego starca” będący zagorzałym zwolennikiem monarchii Brusilow obarczał winą za błędne decyzje podejmowane przez cara Mikołaja II.

Choć zima wojskom rosyjskim upłynęła na kopaniu tranzei, rowów komunikacyjnych i budowaniu umocnień, ich pozycje obronne nie tylko pod względem uzbrojenia, ale także z uwagi na warunki bytowe żołnierzy znacząco ustępowały tym niemieckim i austriackim, powstającym po drugiej stronie ziemi niczyjej. Rosyjskie okopy były ciasne i płytkie, często wypełniało je błoto sięgające kolan, brakowało im otworów strzelniczych i blindaży, schronów było tyle co kot napłakał, a ziemianki w pełni zasługiwały na swoją nazwę, gdyż były zwykłymi dołami w ziemi z otworami zakrytymi płachtą. Z braku karabinów ktoś podsunął idiotyczny pomysł, aby wyposażyc żołnierzy w siekiery osadzone na drągach. Spadało morale armii rosyjskiej, a jej żołnierze z każdym dniem czuli się gorsi od swych wrogów i na widok niemieckich hełmów wpadali w panikę. Nadejście wiosny 1916 roku jedynie skomplikowało sytuację, a o końcu wojny przestano nawet myśleć. Z uwagi na odwilż i roztopy większość dróg stała się grząska i błotnista, utrudniając przegrupowanie wojsk i dowóz zaopatrzenia, gdyż ciężki sprzęt i ludzie tonęli w błocie. Mimo to na polecenie Naczelnego Dowództwa już w marcu wojska rosyjskie rozpoczęły działania na północnym odcinku frontu. Główną przyczyną były naciski sojuszników, aby odciążyc front we Francji, gdzie toczyły się zażarte walki pod Verdun, a także bliska odległość Niemców od Piotrogradu, zagrażająca bezpieczeństwu stolicy. Ofensywa ta załamała się po kilku dniach z powodu braków w uzbrojeniu, niewystarczającej ilości amunicji i wiosennych roztopów. Armia rosyjska utonęła w błocie i własnej krwi.

W tych okolicznościach dowództwo nad Frontem Południowo-Zachodnim powierzono

generałowi Aleksiejowi Brusilowowi. Udając się pod koniec marca na naradę do kwatery głównej Naczelnego Dowództwa w Mohylewie, właśnie Kaledina wziął ze sobą, chcąc mieć u swego boku zaufanego, a jednocześnie bystrego oficera. Naradzie miał przewodniczyć sam imperator, który od kilku miesięcy pełnił funkcję wodza naczelnego. Przyroda zdawała się jednak ignorować nie tylko jego obecność, ale także nadejście kalendarzowej wiosny. Tereny wokół budynków i namiotów, gdzie rozlokowała się Stawka, wciąż jeszcze przykrywały łachy śniegu, rozmiękłego pod wpływem promieni słonecznych. Odsłonięta gdzieś tam wilgotna ziemia przylepiała się do wyglansowanych na błysk oficerskich butów. Wysokie drzewa, wciąż nagie, pozbawione liści, skrzypiąc potężnymi konarami, chwiały się na silnym wietrze. Niósł ze sobą nie tylko zmianę pogody, ale również zapowiedź wznowienia krwawych walk.

Od pierwszego dnia narady rozmowy przebiegały dość burzliwie. Generałowie zgromadzeni za długim, przykrytym suknom stołem, pochyleni nad rozłożonymi przed sobą mapami sztabowymi, optowali za pozostawieniem w obronie.

– W mojej dywizji nie mam na tyle amunicji, aby nawet pomyśleć o ofensywie – bąkali jedni. Zbyt głośnym narzekaniem mogliby popaść w niełaskę u imperatora.

– Skąd ja mam wziąć tylu żołnierzy, aby atakować pozycje niemieckie? – dopytywał się inny. – Śmierć, rany odniesione w bojach, popadnięcia w niewolę, dezercje czy zaginięcia bez wieści – wyliczał, odginając pulchne paluchy – zmniejszyły stan osobowy naszej całej armii do niespełna ośmiuset tysięcy żołnierzy. A front, jak panowie wiedzą, rozciągnięty jest na tysiące kilometrów.

Z pozornym zaciekawieniem spoglądali na rozłożone na stole mapy, na których sztabowcy Brusilowa nanieśli proponowane przez niego główne kierunki uderzenia. W promieniach słońca lśniły ich złote pagony i przypięte do mundurów liczne medale i odznaczenia, otrzymane za zasługi wojenne, choć wielu z nich prochu nie powąchało od początku wojny, a walki swych żołnierzy oglądali przez lornetkę, stojąc na drabince będącej poza zasięgiem wrogiej artylerii. W końcu pod wpływem surowego spojrzenia Brusilowa, który miał zamiar zabrać głos, zaprzestano wszelkich uwag. Chrząknął i szczupłą dłonią, zbyt szczupłą jak na kawalerzystę, przeczesał krótkie, ostrzyżone na jeża, obficie poprządkane siwizną włosy.

– Wasza Imperatorska Wysokość – zwrócił się do cara Mikołaja II, który myślami dawał się przebywać w zupełnie innym miejscu, zapewne przy żonie, Aleksandrze Fiodorownie. Do Mohylewa miała przyjechać pociągiem dopiero, jak się ociepli, czyli w maju, a to stanowiło dla cara powód do zmartwienia. Dla niego rządzenie państwem i dowodzenie armią stanowiło przykry obowiązek, którego z chęcią by się zrzekł, gdyby tylko mógł. – W toczącej się wojnie liczy się nie kawaleria, jakkolwiek pięknie się prezentująca podczas szarży, lecz wielkokalibrowa artyleria, o wysokim stopniu mobilności, gęsta sieć kolejowa, transport samochodowy i łączność, aby dywizje, całe korpusy czy fronty mogły ze sobą współdziałać. Właśnie brak łączności i współdziałania legł u podstaw niepowodzeń w kampanii wschodniopruskiej. – Potoczył czujnym spojrzeniem po ozdobionych wąsami, bokobrodami czy brodami twarzach generałów. Sprawiali wrażenie zadowolonych z siebie, bo żaden z nich nie brał udziału w walkach pod Tannenbergiem. Odpowiedzialny za tę klęskę generał Samsonow zmarł w dość tajemniczych okolicznościach i nawet trupa nie odnaleziono, a współwinny generał Rennenkampf, doprowadziwszy do klęski pod Łodzią, został zdymisjonowany. Tylko osobista interwencja cara uchroniła go przed sądem polowym. – Przyczyn naszej porażki, także na froncie galicyjskim, należy upatrywać właśnie w różnicy w uzbrojeniu, wyszkoleniu i wyposażeniu technicznym na korzyść nieprzyjaciela – ciągnął dalej Brusilow. – Trzeba jednak zwrócić uwagę, że nasz odwrót w ubiegłym roku nie był paniczną ucieczką, armie nie zostały rozbite i zachowały zdolności bojowe.

Generał dla nabrania oddechu zamilkł na moment i potoczył po zebranych podejrzliwym spojrzeniem. Zapewne w ich sztabach wciąż siedzą niemieccy szpiegowie, wpuszczeni przez Suchomlinowa, pomyślał z przekonaniem. Wszystko przez tego świętego dziada, Rasputina. Odruchowo podkreślił długie wąsy, które mimo to pozostały nastroszone niczym dwie brzoźowe miotełki.

– Te słabości już częściowo zostały przeze mnie usunięte – wrócił do swego wyводу. – Jestem całkowicie przekonany, że możemy odzyskać nasze utracone ziemie, przystępując do ataku, o co przecież zaapelowali na konferencji w Chantilly nasi sojusznicy. Nie podejmuję się mówić o innych frontach, bo ich nie znam, ale Front Południowo-Zachodni, według mojego przekonania, nie tylko może, ale powinien atakować, i przypuszczam, że mamy szansę na sukces, o którym ja osobiście jestem przekonany. Może nie dziś, ale za miesiąc czy dwa, kiedy warunki pogodowe na to pozwolą.

Siedzący po prawej stronie cara generał Michaił Aleksiejew, na którym spoczywało faktyczne dowodzenie wszystkimi operacjami, z zadowoleniem wsłuchiwał się w słowa swego ulubieńca. Całkowicie się z nim zgadzał. Uważał go za najzdolniejszego rosyjskiego generała, swego rodzaju wizjonera, który potrafił analizować i wyciągać wnioski. Nie może tak być, aby Rosja była jedynym krajem na świecie, w którym to terytorium broni armii, a nie armia terytorium, pomyślał Aleksiejew, ale uwagę zachował dla siebie. Zgoła odmiennego zdania o Brusilowie byli nieudolni generałowie skupieni wokół cara i ci kierujący pozostałymi frontami. Kiedy przyjdzie czas ofensywy, będą sabotować wezwania do ataku bądź pozorować działania, co zaprzepaści tak starannie zaplanowaną ofensywę i zepchnie Rosję w otchłań rewolucji.

– *Izwinitie*, Aleksieju Aleksiejewiczu – car przerwał bezceremonialnie generalski monolog i obrzucił Brusilowa spojrzeniem pełnym nagany. Kolejny, co obiecuje gruszki na wierzbie, a jak weźmiemy baty od Niemców, to wina spadnie na mnie, pomyślał zaniepokojony ambitnymi planami swego generała. Ze strachu przed porażką będzie przekładał rozpoczęcie operacji z dnia na dzień. – Czy możemy poznać nieco więcej szczegółów? Co zrobiono do tej pory, aby poprawić naszą sytuację?

– Już wyjaśniam, Wasza Imperatorska Wysokość. – Brusilow chrząknął nieco speszony tym, co ujrzał w oczach cara. Nie od dziś znana mu była niechęć, którą czuł do niego imperator, a która wynikała z nieufności okazywanej przez generała otoczeniu, a zwłaszcza dworskiej klice. I nie zmienił tego fakt odwołania ze stanowiska ministra wojny generała Suchomlinowa. – Wydałem polecenie budowy makiet austriackich pozycji, na których prowadzone są szkolenia naszych żołnierzy – przystąpił ochoczo do udzielania wyjaśnień. – Zaangażowałem lotnictwo do rozpoznania celów po stronie nieprzyjaciela, dzięki czemu uzyskałem pierwszorzędne informacje o strukturze i wyposażeniu jego okopów. Moim zdaniem – ciągnął z pełnym przekonaniem co do słuszności swojej koncepcji – współdziałanie artylerii i piechoty odgrywa kluczową rolę na polu bitwy i z tego powodu prowadzone są intensywne ćwiczenia. Nakazałem kopać głębsze okopy niż zazwyczaj i dobrze je zamaskować...

– To znaczy? – dopytał się generał Szczerkanow, którego jedynym sukcesem było krwawe stłumienie demonstracji w Petersburgu i Kronsztadzie. – Jak chcecie, Aleksieju Aleksiejewiczu, zamaskować kilometry tranzei? – spytał z przekąsem.

– Wystarczy rozpylić zieloną farbę na rozkopaną ziemię i rozrzucić trochę jedliny, aby z aeroplanów *razwiedcziki* nie wypatrzyli – odparł Brusilow i niezrażony sceptyczną postawą generałów ciągnął dalej: – Poleciałem drążyć tunele szturmowe pod austriackimi drutami kolczastymi. W momencie ataku nasi żołnierze znajdą się w odległości osiemdziesięciu metrów od ich pozycji. A atak rozpoczniemy od bardzo silnego ognia, który powinien zmieść zasieki i unicestwić nieprzyjacielskie umocnienia wraz z obrońcami. Po czymś takim atak piechoty

wsparty ogniem artylerii powinien niezawodnie zakończyć się przerwaniem frontu, a później poszerzeniem przerwanej odcinka...

– *Nu ładno* – do dyskusji wtrącił się generał Bułajew, wsławiony odblokowaniem twierdzy Osowiec. Podczas walk w Prusach Wschodnich, w bitwie nad jeziorem Narocz, wziął do niewoli tysiąc trzystu żołnierzy niemieckich. – W obecnej sytuacji, przy tych wszystkich środkach wywiadowczych, którymi dysponuje nieprzyjaciół, zachowanie w tajemnicy przygotowań jest w zasadzie niemożliwe. Austriacy i Niemcy zdążą zgromadzić siły i środki odpowiednie do odparcia uderzenia.

– I na to jest sposób. – Brusilow rzadko kiedy pozwalał zbić się z tropu. – Na przykład system pozorowanych uderzeń punktowych, z założeniem wszakże ścisłego zachowania w tajemnicy planowanej operacji. Dlatego, jeśli Wasza Imperatorska Wysokość pozwoli – Brusilow z chytrym uśmiechem na twarzy zwrócił się w stronę cara – pewne szczegóły ujawnię w odpowiednim momencie.

Zaskoczenie to klucz do sukcesu, pomyślał, obrzucając podejrzliwym spojrzeniem zgromadzonych za stołem generałów.

Po kilku godzinach słownych uszczypliwości, wzajemnego wytykania sobie błędów car, znużony obowiązkami państwowymi, zaprosił swych generałów do sali biesiadnej.

– Drogi Aleksieju Aleksiejewiczu – dość protekcyjnie podczas przerwy obiadowej zwrócił się do Brusilowa generał Kuropatkin, który miał za sobą nie tylko klęskę pod Mukdenem w wojnie z Japonią, ale także nieudolne operacje w obecnej wojnie jako dowódca Frontu Północnego – skąd u pana taka ochota narażać się na wielkie nieprzyjemności, może nawet zdjęcie ze stanowiska, i utratę wojennego nimbu, na który udało się panu dotychczas zasłużyć? Ja na pana miejscu – ciągnął dalej, przybierając ojcowski ton głosu – wszystkimi siłami odżegnywałbym się od jakichkolwiek ofensywnych operacji, które w aktualnej sytuacji mogą panu tylko złamać kark, a korzyści osobistej nie przynieść.

– Szczęściem dla pana, generale Kuropatkin – odparł Brusilow, mrużąc oczy ze złości – nie jest pan na moim miejscu. Myślę, że to także szczęście dla Rosji i rosyjskich żołnierzy. Ja będę robić, co powinienem, a będzie, co ma być. – Skinąwszy głową, odwrócił się na pięcie i dziarsko pomaszzerował w stronę jadalni, skąd dolatywały smakowite zapachy pieczystego.

## Rozdział 6

Kilka dni później generał Brusilow otrzymał dyrektywę wydaną przez Naczelne Dowództwo, a podpisaną przez generała Aleksiejewa. Zaczynała się od słów:

*Car Imperator, po zatwierdzeniu w kwietniu tego roku protokołu z narady, która 1 kwietnia odbyła się pod osobistym przewodnictwem Jego Imperatorskiej Mości, rozkazał:*

*1. Ogólny cel przyszłych działań naszych armii: przejście do ofensywy i atak na wojska austro-niemieckie...*

– A więc kości zostały rzucone – Brusilow, skończywszy czytać cały dokument, zwrócił się do Kaledina, który mu towarzyszył w drodze na odprawę podległych mu generałów.

Oczywiście wyobraźni ujrzał długie szeregi rosyjskich armat ostrzeliwujących pozycje wroga oraz dziesiątki tysięcy piechurów z karabinami gotowymi do strzału, z przypominającym ryk burzy „urrraaa!” na ustach, biegnących wprost na austriackie i niemieckie okopy najeżone drutami kolczastymi. Miał wrażenie, że słyszy huk wybuchających pocisków, gwizd lecących szrapneli i terkot kulomiotów. W jego marzeniu na jawie zabrakło miejsca dla tych setek tysięcy anonimowych dla niego żołnierzy, zarówno po jednej, jak i drugiej stronie pola niczyjego, którzy zapłacą swym młodym życiem za zrealizowanie politycznych mrzonek i ambicji możliwych tego świata. Ich marzeń i dążeń nikt nie brał pod uwagę, traktując jak szarą bezwolną masę, mięso armatnie, które dało się prowadzić na rzeź.

– Zanim ruszysz na front, odwiedź rodziców, bo zdaje się, że gdzieś niedaleko stąd mają majątek ziemski. Przy okazji pozdrowisz ich ode mnie. Możesz skorzystać z mojego samochodu, jeśli potrafisz kierować – zezwolił wspaniałomyślnie. Przecież znał osobiście starego hrabiego Kaledina, którego zastąpił na stanowisku dowódcy Okręgu Warszawskiego.

Igorowi dwa razy nie trzeba było tego powtarzać. Taka okazja mogła się prędko nie zdarzyć, toteż skwapliwie skorzystał z propozycji generała. Nim, trzęsąc się na siedzeniu generalskiego samochodu, przemierzającego wyboistą drogę gruntową wiodącą do Sołowiejki, dotarł do dworu rodziców, zdał sobie sprawę, że żal i złość na ojca zdążyły się już dawno ulotnić, a tęsknota za domem rodzinnym zepchnęła w cień przykre wspomnienia. Kiedy zajechał przed frontowy ganek dworu Kaledinów i zatrąbił klaksonem, służba licznie wybiegła na zewnątrz. W odległej od dużych ośrodków miejskich, aby nie powiedzieć: zapadłej, wsi rzadko mogli oglądać nowinki techniczne. Do drogi żelaznej, której stacja znajdowała się w pobliżu, już zdążyli przywyknąć, choć nadal wielu podejrzewało, że tocząca się właśnie wojna była skutkiem tej nowoczesności. Z wysokości ganku, nie mając śmiałości podejść bliżej, z nabożnym lękiem spoglądali na duże reflektory umieszczone z przodu, na gumowe koła oraz ochlapaną błotem karoserię, przypominającą wyglądem karetę pana hrabiego. Tylko koni brakowało, a mimo to pojazd się przemieszczał, i to z dużą prędkością.

Kaledin radośnie wbiegł po szerokich stopniach wiodących do wnętrza dworu. W holu już czekał lokaj, który skłoniwszy się nisko, odebrał z rąk Igora długi zimowy płaszcz z baszłykiem, pas oraz czapkę i oznajmił:

– Wielmożny pan hrabia jest w bibliotece, a wielmożna pani hrabina odpoczywa w błękitnym saloniku.

– Dziękuję, Mikołaju. – Igor obrzucił lokaja uważnym spojrzeniem. Znał go w zasadzie od dziecka, ale nigdy nie zamienił z nim ani słowa. Nie było zwyczaju, aby spoufalać się ze

służbą. Posunął się w latach, pomyślał. Osiwiał całkiem, a plecy ma zgarbione, jakby dźwigał na nich jakiś ciężar. – Ile już lat u nas służysz? – spytał, obciążając poły munduru.

– Tyle, ile lat liczy sobie wasza wielmożność – odparł usłużnie. – Nastałem zaraz po przyjściu waszej wielmożności na świat.

– A ty masz dzieci? – zainteresował się i sięgnął do kieszeni kurtki mundurowej po papierosy. Miał ochotę zapalić, a nie chciał tego robić w obecności matki. Wciąż czuł się przy niej małym chłopczykiem.

– Miałem... – odparł lokaj, a w jego oczach zaszklily się łzy. – Trzech synów. Wszyscy zginęli na wojnie.

Igor poczuł się nieswojo, jakby to on ponosił winę za ich śmierć. Choć już tylu śmierciom na polu bitwy się napatrzył, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tylko z pozoru były one anonimowe. Za każdą stali ojciec i matka, oplakujący stratę swych synów. Chciał jeszcze coś powiedzieć, jakoś pocieszyć starego służącego, ale z gabinetu wysunął się Piotr Kaledin, zwabiony toczącą się w holu rozmową. Jak zawsze miał na sobie swój ulubiony jedwabny szlafrok, a z uwagi na chłody na nogi wzuł ciepłe pantofle. I on przez ostatni rok posunął się w latach. Policzki mu obwisły, a pod oczyma pojawiły się worki. Gęste przed laty włosy nie tylko się przeredziły, ale także pokryły srebrem siwizny.

– Ojcze! – Igor przypadł do ojcowskiej ręki i przycisnął ją mocno do ust. – Jak dobrze was znowu widzieć! Wybaczcie mi moje zachowanie. Byłem zaślepiony i głupi. Mieliście, ojcze, rację, że Polacy to podły naród.

Stary Kaledin nie potrafił ukryć satysfakcji, która malowała się na jego twarzy, ozdobionej sumiastym wąsem i bokobrodami zasłaniającymi połowę policzków. Nie przyszło mu na myśl zapytać, co wpłynęło na zmianę zdania. Liczyło się tylko to, aby wszyscy myśleli tak jak on, stary hrabia Kaledin. Koszty nie grały roli.

– Nie mówmy już o tym, synu. – Z czułością poklepał Igora po ramieniu i obrzucił czujnym spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy pierworodny nie odniósł wojennych obrażeń. Dostrzegł nie tylko Order Świętego Jerzego, ale także dystynkcje rotmistrza. Zuch chłopak, pomyślał z dumą i aż pokraśniał na twarzy. – Pewno jesteś zdżony i głodny. Mikołaju! – zwrócił się do stojącego posłusznie lokaja, czekającego na polecenia swego chlebobawcy. – Każ nakryć w jadalni i niech kucharka poda, co tam ma najlepszego, tylko migiem. Aha! – zawołał za odchodzącym w stronę pomieszczeń dla służby lokajem. – I powiadom jaśnie panią, że młody hrabia przyjechał.

Tamara Kaledina wpadła do jadalni jak burza. Ciemna suknia, ozdobiona pod szyją białym żabotem, opinała jej szczupłą i mimo wieku wciąż zgrabną sylwetkę. Ciemne, upięte w kok włosy na skroniach srebrzyły się siwizną, a czarne oczy jarzyły się blaskiem. Ostatni rok upłynął jej na ciągłej obawie o życie najstarszego syna. Od dnia wybuchu wojny ani razu ich nie odwiedził i pisał sporadycznie, wciąż obrażony na ojca za jego brak akceptacji wybranki swego serca. Już na pierwszy rzut oka poznała, że jej syn się zmienił. Nie tylko dostrzegła na jego skroniach pierwsze siwe włosy, ale zmieniło się też jego spojrzenie. Kiedyś żywe i beztróskie, pełne wesołych iskier, teraz stało się chmurne i śmiertelnie poważne. Na dzień jego czarnych oczu skryło się cierpienie, którego przyczyn nie знаła, lecz mogła się jedynie domyślać. Szczęściem nigdzie nie dostrzegła żadnych blizn. Że był ranny w pierś, nie wiedziała.

– Synku mój... – Głos uwiązł jej w gardle i łzy radości pociekły po policzkach. – Jak dobrze, że jesteś...

– Mamo... – szepnął drżącym ze wzruszenia głosem, całując matczyne dłonie. – Jak wasze zdrowie?

– Dobrze, dzięki Bogu. – Uśmiechnęła się radośnie, chusteczką susząc wilgotne oczy.

Usiadła za stołem. Nie spuszczać z syna rozmiłowanego spojrzenia, z radością obserwowała, jak z apetytem zjadał kurczaka na zimno, pasztet z zająca i ciasto drożdżowe na deser. Ma apetyt, więc nie jest tak źle, jak początkowo sądziłam, pomyślała.

– To teraz opowiadaj – poprosił stary hrabia, kiedy Igor najadł się do syta. Rozpierała go ciekawość wiadomości z pierwszej ręki. Przecież w gazetach prawdy nigdy nie pisali. – Jakie nastroje w armii po tych wszystkich klęskach? Jak sądzisz, kto ponosi za nie odpowiedzialność?

– Jako zawodowy oficer wiesz najlepiej – odparł Igor i spojrzał na ojca wymownie. – Przede wszystkim kadra. Większość nie dorosła do powierzonych jej zadań.

– Wiem, co masz na myśli. – Hrabia pokiwał smętnie głową. – Odkąd sięgam pamięcią, wyżsi dowódcy oceniali wojska na podstawie defilad, dziarskiego wyglądu żołnierzy oraz barwności umundurowania. Przy obsadzaniu stanowisk od lat liczyły się tylko koterie i znajomości, a nie wiedza i umiejętności. Stąd wielu generałów nie ma nawet mglistego pojęcia o strategii, a ich kwalifikacje wojskowe są mierne... – Machnął z rezygnacją ręką. On osobiście nigdy nie wykorzystywał swej pozycji, aby synowi zapewnić stanowisko czy awans. Dlatego Igor wylądował w prowincjonalnym Miechowie, zamiast zostać w Warszawie.

– Nie potrafią ze sobą współpracować – zżymał się młody Kaledin. – Jeden drugiemu nie przyjdzie z pomocą, a car i Naczelne Dowództwo to tolerują. Ale musisz też wiedzieć, że rząd nie jest bez winy. Kompletnie zaniedbano sprawę uzbrojenia. Setki tysięcy żołnierzy znalazło się na polu bitwy bez karabinu w rękach. Artylerzystom pociski wydzielano na sztuki – ciągnął dalej, wiedząc, że w rodzinnym domu może sobie pozwolić na szczerość. – Na własne oczy widziałem rozkaz, aby dowódcę kompanii, który wystrzelił więcej niż pięć pocisków na lufę, postawić przed sądem polowym. Niemcy i Austriacy z tym nie mają problemu, dlatego naszych wybijają co do nogi.

– A carska klika znalazła na to świetne wytłumaczenie – westchnął hrabia. On od początku wojny twierdził, że rozpoczynanie działań bez zakończenia pełnej mobilizacji to fatalny błąd. Ale przecież nikt nie będzie słuchał emerytowanego generała, pomyślał z żalem. – Twierdzą, że doszło do zdrady, i ciemne masy w to uwierzyły.

– A wiesz, ojcze, że ja nawet się tym masom nie dziwię. – Igor przypomniał sobie działania Rennenkampfa. – Przecież niektórzy generałowie opuszczają stanowiska bez podejmowania walki. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, czy to z tchórzostwa i troski o własny życie, czy aby nie na skutek zdrady.

– Władze wolą to tłumaczyć zdradą, aby tylko nie przyznać się do nieudolności. – Stary hrabia aż poczerwieniał na twarzy z ekscytacji. – A na kozła ofiarnego upatrzyli sobie pułkownika Miasojedowa, który miał być głową spisku...

– Dlaczego akurat jego?

– Widać miał pecha. – Hrabia wzruszył ramionami. – Może dlatego, że wpłatał się w interesy z Żydami. Koniec końców, postawiono go przed sądem jeszcze w ubiegłym roku, zanim oddaliśmy Warszawę Niemcom, i na stokach Cytadeli został powieszony, a w kraju zapanowała histeria. Teraz wszędzie wietrzy się szpiegowskie spiski, każdy jest podejrzany. W Dumie nawołują, aby ukarać zdrajców odpowiedzialnych za klęski na froncie. Oskarżenia w końcu dotknęły ministra wojny, Suchomlinowa. Został zdymisjonowany i utworzono specjalne biuro śledcze do zbadania przyczyn braków w uzbrojeniu – stary hrabia opowiadał zaaferowanym tonem. – W ślad za tym poszły aresztowania i wyroki śmierci. Dopiero interwencja tego mnicha, Rasputina, któremu zapewne słono za ową interwencję zapłacono, skłoniła cara do anulowania wyroków.

– Cóż to za persona ten cały Rasputin? – Igor zawiesił na ojcu pytające spojrzenie. – Już gdzieś o tym „świętym starcu” słyszałem.



– To bardzo podejrzane indywiduum – odparł stary hrabia po chwili, najpierw przepłukawszy usta paroma łykami wina, którego butelkę podano do posiłku. – Zwyczajny muzyk, półanalfabeta z zapadłej wsi w guberni tobolskiej. – Skrzywił usta z pogardą. – Od prostaka z nizin społecznych za pomocą kłamstw i kuglarskich sztuczek wdrapał się na sam szczyt władzy i dostojęstwa. Prawdę mówiąc, skąd się wziął w Petersburgu, to dokładnie nie wiem – ciągnął powieść zadowolony, że znalazł wiernych słuchaczy. – Po raz pierwszy do stolicy przybył w 1903 roku. Gościł u biskupa Teofana, spowiednika rodziny carskiej. W Petersburgu poznał także mnicha Iliodora, kapłana carowej. Sam Rasputin twierdził, że jako czternastoletni chłystek miał usłyszeć jakieś głosy i ponoć ukazała mu się Matka Boska! – Hrabia parsknął śmiechem, a żona rzuciła mu karcące spojrzenie. – Nakazała zostać misjonarzem i szerzyć nauki chrześcijańskie. Jednak po krótkim czasie znormalniał i nawet się ożenił. Ale głosy powróciły po dwudziestu latach i na powrót Rasputin stał się pątnikiem...

– Znudziło się muzykowi harować na rodzinę, ot co – wtrącił Igor z uśmiechem. Po raz pierwszy od wybuchu wojny poczuł się szczęśliwy i choć na moment zapomniał o zranionym sercu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo stęsknił się za rodzinnym domem.

– Też bym tej wersji nie wykluczał – zgodził się hrabia i opowiadał dalej: – Udał się z pielgrzymką do Grecji, do klasztoru na Athos, gdzie zapoznał się z Pismem Świętym. Tak przynajmniej on sam rozповіда. Po powrocie do Rosji, poszcząc, przemierzał tysiące kilometrów, odwiedzał miejsca związane ze świętymi relikwiami, przepowiadał chłopom przyszłość. Głosił odkupienie win poprzez grzech...

– Czy ja dobrze rozumiem? Przez grzech? – Igor gruchnął śmiechem. – Taka religia pewno miałyby dużo wyznawców.

– No i ma – potwierdził stary hrabia z oburzeniem w głosie. Sam zaliczał się do osób wiernie oddanych prawosławiu, uważając je za jedyną prawdziwą wiarę. – Jak zgrzeszysz, to później cierpisz. Potem następuje skrucha i w końcu oczyszczenie. A jak się tak dobrze nagrzeszysz, to przechodzi ci na wszystko ochota – zakończył, głośno rechocząc. Jakoś jemu nigdy nie przeszła ochota na grzech, zwłaszcza z młodymi pokojówkami, które przewijały się przez dom.

– Mówią, że ma dar prorokowania – wtrąciła się Kaledina. – Przepowiedział, że po jego śmierci upadnie dynastia Romanowów, a wraz z nią cała Rosja. Jak zabraknie cara, to naród ucierpi, tak mówi.

– Pewno ze strachu, aby car nie kazał go najpierw dobrze wybatożyć, a później skrócić o głowę – skwitował Igor.

– I tutaj dochodzimy do sedna sprawy – stary hrabia zniżył głos, jakby szpiegów obawiał się także we własnym domu. – On na dworze zajmuje szczególną pozycję. Ponoć jest jedynym człowiekiem, który potrafi leczyć carewicza Aleksego...

– To następca tronu jest chory? – zdziwił się Igor. Nigdy wcześniej nie interesował się plotkami dworskimi, więc nie miał rozeznanie. – Na co?

– Tego to ja nie wiem. – Ojciec skrzywił się z niesmakiem. Hrabia nie lubił przyznawać się do własnej niewiedzy. – Nawet nie wiem, czy to prawda z tą chorobą, czy tylko plotki przeciwników monarchii, choć pamiętam, że któregoś roku dwór podawał komunikat o chorobie następcy tronu. To ponoć wówczas uzdrowił go Rasputin. Ale to pół biedy... – Sięgnął po kieliszek z winem i umoczył usta. – Rasputin wykorzystuje nieobecność monarchy i stale przebywa na dworze. Do pokoi carowej, Aleksandry Fiodorowny, wchodzi, kiedy tylko zechce, a ona, ta głupia Niemka, jego prosi o porady, kogo awansować, a kogo usunąć ze stanowiska. I zgodnie z jej sugestiami postępuje nasz car! Jak zwykły pantoflarz! – Hrabia trzepnęła ręką w stół, aż kieliszki zabrzczały, a żona spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Czy chcesz, ojcze, przez to powiedzieć, że za usunięciem wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza z funkcji wodza naczelnego stoi ten znachor, to diabelskie nasienie? – Na twarzy Igora malowało się bezgraniczne zdziwienie. Nie spodziewał się, że demoralizacja mogła zajść tak daleko.

– W rzeczy samej – potwierdził hrabia i opowiadał dalej: – Ponoć jednego razu mnich miał zamiar zawitać na front, a Nikołasza wysłał mu telegram następującej treści: „przyjeżdżaj, a ja cię tutaj powieszę”. Ale to nie wszystko – oblizawszy usta, ciągnął dalej. – Większość awansów czy decyzji politycznych pochodzi od niego. Ostatnio zaczął naciskać na cara, aby wycofał się z wojny.

– Ciekawi mnie, czym się w swoich poradach kieruje ten ciemny muzyk? – Igor był zaskoczony słowami swego ojca, ale nie miał podstaw mu nie wierzyć. Stary hrabia, choć był apodyktyczny, do kłamstwa nigdy się nie zniżał. Najwyżej coś przemilczał, jak historię pochodzenia swej matki, z domu Lamparskiej.

– Jak to czym? – Hrabia aż gotował się ze złości. – Obsypują go kosztownymi podarkami, a najwytworniejsze damy... tfu! – splunął z obrzydzeniem – odwiedzają go w jego sypialni i bardzo sobie te wizyty chwalą. Ponoć został przez naturę sowicie wyposażony – dodał szeptem, aby jego słowa nie dotarły do żony, i zachichotał lubieżnie.

– Toż to Sodoma z Gomorą! – zawołała ze świętym oburzeniem Kaledina, która mimo wszystko jego słowa usłyszała. – To są nędzne pomówienia zazdrośników! – zreflektowała się po chwili.

– A jednak jest to sama prawda, moja droga duszko – stary hrabia zwrócił się do żony. Tamara zaliczała się do osób bardzo religijnych i wszelka krytyka osób duchownych sprawiała jej przykrość. – Ten muzyk śmiał nawet wchodzić na pokoje carskich córek, ale guwernantki go przegnały.

– Co na to ochrana? – Igor był zbulwersowany słowami ojca. – Powinni go aresztować...

A najlepiej byłoby po prostu go zastrzelić, pomyślał.

Stary hrabia raz jeszcze rozejrzał się po kątach, a upewniwszy się, że żaden służący w pobliżu się nie kręcił, oznajmił szeptem:

– W zaufanych kręgach, między prawdziwymi Rosjanami, mówi się, że carowa tańczy, jak jej ten mnich zagra. To za jego namową car objął dowództwo nad armią, w wyniku czego stale jest poza domem, a Rasputin nie opuszcza carowej na krok, jakby chciał zająć jego miejsce.

– To są, moim zdaniem, Piotrze Iwanowiczu, jakieś nikczemne plotki rozsiewane przez przeciwników cara. – Tamara nie mogła uwierzyć, że wywodząca się ze starej arystokratycznej rodziny, w dodatku głęboko religijna Aleksandra Fiodorowna byłaby zdolna do takiej nikczemności. I to dla kogo. Dla prostego chłopca.

– Sam czytałem kopie listów, jakie pisuje do tego świętego czarta! – zachnął się hrabia i już miał zamiar trzasnąć pięścią w stół, ale się opanował. Wizyta syna wprawiła go w wścymienity humor. – Są pełne czułości i oddania – dorzucił na koniec.

Dopiero przed samym powrotem do jednostki Igor został na chwilę sam na sam z matką. Usiedli w błękitnym saloniku na kanapie i chwilę milczeli, wpatrując się w ogień buzujący we wnętrzu kominka. Pozwolił, aby matka przytuliła go do piersi jak w czasach, kiedy był dzieckiem.

– Co się stało, synku? Jakie nieszczęście cię spotkało? – spytała, głaszcząc go po policzku. – Opowiedz swojej matce, bo jest niespokojna. Nie ma nic gorszego niż domysły.

– Zostawiła mnie – szepnął, zaciskając szczęki. Ból i zraniona duma wróciły z nową siłą, choć sądził, że zdołał już zapomnieć. – Mieliśmy wziąć ślub, wszystko było umówione, a ona nie przyszła. – Zerwał się z kanapy i przemierzał pokój wzdłuż i wszerz. – Okłamywała mnie.

Bawiła się mną! Ojciec ma rację! Polacy to podły naród!

– Twój ojciec nie ma racji – zaprzeczyła kategorycznie. – Znałam twoją babkę i wielu innych Polaków. Są podobni do nas, Gruzinów, waleczni i szlachetni. Może zaszły jakieś istotne przyczyny? Jak to wyjaśniła? – spytała, wodząc za synem zatroskanym spojrzeniem.

– Niczego nie wyjaśniła. – Igor przystanął na środku pokoju i bezradnie rozłożył ramiona. – Nigdy już jej nie spotkałem. Tej samej nocy mój pułk opuścił Miechów.

– Jeszcze nie jeden raz się zakochasz – usiłowała syna pocieszyć, cierpiąc razem z nim. – Jesteś wciąż młody i całe życie przed tobą.

Jednak sama w te oklepane frazesy nie wierzyła. Ona do dzisiejszego dnia nosiła w sercu niezabliźnioną ranę po stracie ukochanego, który zginął podczas wojny z Turcją. Był synem polskiego szlachcica, zesłańca. Jej małżeństwo z o wiele lat starszym hrabią Kaledinem zaaranżowali rodzice, nie pytając córki o zdanie. Liczył się jedynie majątek, szlacheckie pochodzenie i zajmowane stanowisko, odpowiednie dla pozycji społecznej panny wywodzącej się z arystokratycznej rodziny, lecz podbitego narodu. Jeśli Igor ma moją naturę, to żadnej innej już nie pokocha, pomyślała ze smutkiem.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – żegnając w progu syna, nakreśliła na jego czole znak krzyża. Miała bolesne przeświadczenie, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

## Rozdział 7

Śmierć Cezarego, miłość do Maryli Kochanowskiej oraz listopadowy szturm na Kostiuchnowkę, po którym otrzymał awans na kaprała, uczyniły Albina mężczyzną. Nie omieszczał w liście pochwalić się rodzicom, choć zdawał sobie sprawę, że ich serca krwawiły po stracie pierworodnego. Nie tylko wydorósł psychicznie, ale także zmienił się fizycznie. Musiał już golić się brzytwą, gdyż policzki zaczynała mu porastać rdzawa broda, czyniąc go podobnym do poległego brata. Od kopania rowów i noszenia ciężkich pni drzew przy budowie umocnień nabral muskulatury. Ku zdziwieniu kolegów z plutonu urósł o kilka centymetrów i musiał wyfasować nowy mundur i buty, aby wyglądem nie przypominał ofermę batalionowej w przykrótkich porteczkach. Liczył już wyłącznie na siebie, choć czas wspólnie spędzony w szpitalu z wachmistrem Koniecznym zaowocował męską przyjaźnią. Jednak nie mogła ona zastąpić braterskiej miłości. Jak większość żołnierzy wszystkich trzech brygad legionowych, także Albin chętnie nadstawiał uszu na płynące ze strony wyższych oficerów informacje na temat konfliktu Piłsudskiego z Naczelnym Dowództwem Armii i Komendą Legionów, wciąż zwaną pogardliwie „cekamendą”. Do pierwszej poważnej konfrontacji doszło jeszcze latem 1915 roku pomiędzy Piłsudskim a generałem Karolem Trzaską-Durskim, komendantem Legionów z ramienia Austrii, a potem było już tylko gorzej. Sytuacji nie poprawiło nawet usunięcie Trzaski-Durskiego ze stanowiska i zastąpienie go generałem Puchalskim, a powołana przez Piłsudskiego Rada Pułkowników dolewała oliwy do ognia. Im więcej Piłsudski się przeciwstawiał narzuconej przez Austriaków generalicji, tym większym cieszył się wśród swych Legionów uznaniem i poparciem.

Legionom Polskim, rozmieszczonym nad Styrem, wzdłuż którego biegła linia frontu, zima upłynęła na rozbudowie umocnień. Składały się na nie schrony, okopy, zasieki z drutu kolczastego oraz stopy zwalonych pni i gałęzi drzew. Pierwszą linię stanowiły oszalowane drewnem głębokie rowy strzeleckie. W przedpiersiu wmontowano stalowe tarcze z odsuwającymi otworami dla strzelców. Wykopano także głębokie, umocnione drewnem i pokryte grubą warstwą ziemi schrony. Również liczne rzeczki, trudne do przebycia mokradła, wzgórza i lasy wykorzystywano do ochrony swoich pozycji. Na przedpolu czekały na przeciwnika zamaskowane miny. Za pozycjami obronnymi, w miejscu opustoszałych wsi, zorganizowano miasteczko, któremu nadano nazwę Legionowo. Żołnierze pobudowali dla siebie wygodne kwatery, warsztaty, sale odpraw, szpital polowy, a nawet kapliczki. Pośród drewnianych domków, o żartobliwych nazwach typu „Chata pod grantem”, wytyczono ścieżki i poustawiano ławeczki. Chciano w ten sposób nie tylko przygotować się do czekającej legionistów na wiosnę batalii o te ziemie, ale także stworzyć sobie namiastkę normalnego życia, za którym wszyscy tęsknili.

Siedmiokilometrowy odcinek frontu nad rzeczką Garbach w rejonie Kostiuchnowki, Optowej i Wołczecka obsadzono żołnierzami polskich brygad, w sumie siedem tysięcy piechurów i ułanów. Z uwagi na ukształtowanie terenu kluczową pozycję zajmowała najbliższej pozycji rosyjskich wysunięta Reduta Piłsudskiego. Było to podłużne piaskowe wzgórze wbite klinem w bagna i mokradła szeroko rozlanego Garbachu, co praktycznie uniemożliwiało zaatakowanie Reduty z dwóch stron. Budowa wzgórze w sposób naturalny stwarzała wiele miejsc osłoniętych przed frontalnym atakiem przeciwnika. Jedyne zagrożenie istniało od strony wąskiego pasa ziemi biegnącego wprost do rosyjskiego Orlego Gniazda. Dzięki takiemu położeniu Reduta zabezpieczała dość duży odcinek frontu. Podczas mroźnej i śnieżnej zimy

żołnierze II Brygady przygotowali cały system okopów i solidnych schronów, w tym jeden największy o nazwie „Lisia Jama”, które były w stanie wytrzymać huraganowy ogień artyleryjski. W miejscach najbardziej zagrożonych ostrzałem urządzili daszki przeciwszrapnelowe. Przekopano nawet specjalny tunel w celu zapewnienia skrytego dojścia na placówkę oraz owalne tunele z blachy obsypane grubą warstwą ubitej ziemi, dodatkowo przykryte ułożonymi na krzyż potężnymi pniami drzew. Z uwagi na swoją funkcję żołnierze zwali je granatnikami. Wśród załogi Reduty znaleźli się spieszeni ułani z 1. szwadronu, a wśród nich Albin i Konieczny. Na prawym skrzydle znajdowała się Polska Góra, obsadzona przez węgierskich honwedów.

Żołnierze otrzymali rozkaz utrzymania pozycji za wszelką cenę. Tędy wszak wiodła droga na Kowel, jeden z kierunków uderzenia planowanej ofensywy Brusilowa. Że przeciwko nim Rosjanie wyślą dwie dywizje piechoty i dywizję kawalerii, w sumie trzydzieści tysięcy żołnierzy, a więc czterech na jednego, tego nie wiedzieli. Ale nawet gdyby, w niczym by to nie zmieniło ich determinacji utrzymania placówki.

Pod koniec maja dni stawały się coraz cieplejsze i żołnierze po nocnej służbie z ochotą zrzucali mundury i wystawiali grzbiety do słońca, a zzuwszy buty, zmęczone nogi moczyli w chłodnej wodzie Garbachu. Dni mijały spokojnie. Bywało, że grywali w piłkę nożną. Czasami nadleciał od strony rosyjskich pozycji jakiś granat i wybuchając w bagnie, zachlapał błotem wokoło, czasami jakaś kula karabinowa zabyczała nad głowami jak pszczoła w poszukiwaniu jakiegoś pechowca. Bywały dni, że załogi Reduty i Orlego Gniazda prowadziły ze sobą rozmowy, możliwe z uwagi na niewielką odległość, która ich dzieliła. Na ogół kończyły się rzucaniem przekleństw i krótką wymianą ognia. Czasami dochodziło do spotkań w celach handlowych, aby wymienić tytoń, rum, chleb i konserwy.

Sielanka skończyła się w pierwszych dniach czerwca, kiedy to Rosjanie, wykorzystując sprzyjający im wiatr, podpalili ściółkę, aby wywołać pożar gałęzi zgromadzonych na przedpolu, w pobliżu zasieków, a następnie przystąpili do ostrzału artyleryjskiego. Prowadzili go jednak dość niemrawo, jakby od niechcenia, nie czyniąc większych szkód w polskich pozycjach. Od czasu do czasu bombardowali minami. Legioniści odpowiadali pięknym za nadobne, ale nikomu krzywda się nie działa, jakby to nie prawdziwa wojna się toczyła, tylko manewry zaprzyjaźnionych wojsk.

Jednak pewnej nocy Albin, wychodząc na patrol, zauważył na ciemnym niebie błyski wystrzałów artyleryjskich. W ciszy dały się słyszeć dalekie pomruki, jakby nadchodziła burzowa nawałnica. Z każdym dniem odgłosy kanonady zdawały się coraz bliżej polskich pozycji obronnych, ale nikt nie wiedział, gdzie konkretnie toczyły się walki.

– Słuchajcie! – wrzasnął jednego dnia Konieczny, wpadając do ziemianki, gdzie na pryczy wylegiwał się Albin i kilku innych strzelców, odpoczywających po pracy przy budowaniu kładki wiodącej przez bagna. – Rosjanie rozbili armię austriacką pod Łuckiem i zajęli miasto! Uderzenie zostało poprzedzone ogniem artyleryjskim na tak ogromną skalę, jakiej jeszcze front wschodni nie widział. A dowódca, arcyksiążę Józef Ferdynand, akurat hucznie fetował swoje urodziny i armia, praktycznie będąc bez wodza, poszła w rozsypkę – podekscytowanym głosem przekazywał zasłyszane od kapitana Olszyny wieści. – Rosjanie prą do przodu niczym walec parowy. Skierowali się na Polesie i Besarabię. Całe bataliony poddają się mochom niemal bez walki...

– Jakim mochom? O czym tym mówisz? – Albin przerwał mu w pół słowa, czując, jak niepokój wśliznął się mu do serca.

– No, Moskałom... Rosjanom, przecież mówię wyraźnie... – odparł Konieczny z pretensją w głosie, że mu przerwano. – Oddają sprzęt i pełne magazyny – ciągnął dalej

zbulwersowany postawą sojuszników.

– I co?! Austriacy nie mają zamiaru ich powstrzymać?! – wrzasnął Albin, zrywając się z pryczy na równe nogi. Przecież w Sadagórze mieszka Marynia, pomyślał zrozpaczony.

– Nie są w stanie – stwierdził krótko Konieczny, kręcąc głową. – Ichni dowódcy zostali kompletnie zaskoczeni. Byli przekonani, że armia rosyjska nie jest już zdolna do ataku, więc zimą z frontu wycofali część swych sił i skierowali je przeciwko Włochom...

– Włochom? – zdziwił się Franek, od niedawna w plutonie Koniecznego. – Niby dlaczego?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – uniósł się wachmistrz. – Przecież rządzący nas o zdanie się nie pytają. Wydają nam rozkazy, i basta. Widocznie Włosi to już nie są nasi przyjaciele, tylko wrogowie.

– Skoro tak się sprawy mają, to bez wsparcia Niemiec Austriacy Rosjan nie zatrzymają! – Albin przybity wieściami z frontu sięgnął po papierosa. Chciało mu się płakać. Oczyma wyobraźni ujrzał Marylę leżącą martwą pod zwałami gruzów, w jakie obrócił się szpital polowy w Sadagórze.

– Jeszcze my mamy tutaj coś do powiedzenia – z przekonaniem oświadczył wachmistrz i poklepał Albina po ramieniu. Pokładał olbrzymie nadzieje nie tylko w bohaterstwie własnym i legionistów, ale także w solidności zbudowanych przez nich umocnień.

Kiedy następnego dnia o szóstej rano Albina zbudził rozrywający bębenki w uszach huk wybuchu pocisków artyleryjskich, nakrył głowę kocem przekonany, że Rosjanom jak zawsze znudzi się po godzinie. Jednak z minuty na minutę kanonada narastała. Chyba prawdziwa wojna się zaczęła, pomyślał, wyskakując spod koca.

– Franek! Kostek! Pobudka! – wrzasnął, wkładając mundur. – Mochy atakują!

Chwycili za broń i wyskoczyli z ziemianki, zdając sobie sprawę, że nie była w stanie ich ochronić przed huraganowym ogniem artylerii. Wokoło rozpętało się prawdziwe piekło. Słupy dymu i kurzu, fontanny ziemi wyrwane pociskami mieszały się ze sobą, zasłaniając pole widzenia. Ku swojemu przerażeniu ujrzeni, jak pociski zmiotły z powierzchni ziemi kilka ziemianek, szczęściem już opuszczonych przez legionistów, jak zasypywały zwałami ziemi z takim trudem wykopane i umocnione transeje. Padające w bagna pociski i granaty wyrzucały w powietrze wysokie na dwadzieścia metrów fontanny błota i wody. Już po chwili przerwana została łączność. Niestrudzeni telefoniści, za nic mając koszmarny ogień, wyszukiwali i naprawiali uszkodzenia, aby po chwili czynność swą powtarzać. Albin i jego towarzysze zgięci w pół puścili się biegiem w stronę granatnika, gdzie już czekał wachmistrz Konieczny. Zebrał swój pluton i na rozkaz dowódcy kompanii wycofali się z placówki na czoło Reduty. Aby nie popaść w panikę, Albin zaczął liczyć wybuchy. W ciągu jednej godziny ostrzału naliczył siedemset sześćdziesiąt dwa wybuchy granatów oraz dwieście osiemdziesiąt dwa szrapneli. Potem musiał dać sobie spokój z liczeniem, bo jego pluton został skierowany do walki.

W tragicznej sytuacji znaleźli się żołnierze na sąsiednich pozycjach. Skryci w okopach, padali ofiarą własnoręcznie pobudowanych umocnień. Wybuchy pocisków artyleryjskich porywały ścięte uprzednio pnie drzew, które wpadając do okopów, ciężko raniły lub zabijały żołnierzy. Kilka pocisków trafiło w cmentarz, wyrzucając na zewnątrz pochowanych tam wcześniej towarzyszy broni. Odór rozkładających się ciał przykrył zapach prochu i palącego się drewna.

Po kilku godzinach ostrzału silnym ogniem zaporowym Reduta została odcięta od pozostałych pozycji. Zawalił się także podziemny tunel łączący ją z placówką wysuniętą w pobliżu Orlego Gniazda. Rosjanie usiłowali zająć opuszczone przez legionistów pozycje, ale łatwo nie mieli. Zaczajeni w granatnikach obrońcy wyskakiwali raz po raz i razili ich ogniem

karabinów maszynowych i ręcznych. Z godziny na godzinę przybywało rannych i zabitych. Leżeli w kałużach własnej krwi. Jednemu pocisk urwał nogę, innemu rękę, jeszcze innemu obydwie nogi lub obydwie ręce, a niektórym wszystkie kończyny. Pozbawieni pomocy, powoli, bez słowa skargi umierali z upływu krwi.

Nagle, około południa, po wielu godzinach nieprzerwanego ognia, zapadła cisza. Rosyjskie armaty umilkły. Sanitariusze biegiem rzucili się zbierać rannych i zabitych. Uwijali się jak w ukropie, nie wiedząc, czy przerwa w wymianie ognia potrwa chwilę, czy dłużej.

– Lufy im się przegrzały – oznajmił Albin, wycierając spoconą twarz rękawem, i rozsiadł się wygodnie na stopniu tranzei. – Mogliby już nas zmienić, bo całkiem z sił opadłem. Kiszki mi marsza grają – dorzucił po chwili, słysząc burczenie w brzuchu.

– Ten sakramencki karabin nie dość, że parzy w ręce, to jeszcze ze dwa razy się zaciął – marudził Franek, majstrując przy zamku. – Upał sakramencki przecież od rana...

– Rany boskie! Chłopaki! – zawołał siedzący tuż obok Konieczny i zerwał się na nogi. – Czy ja mam omamy wzrokowe, czy to nasz Komendant do nas idzie?

Reszta strzelców także zaczęła wyciągać szyje w kierunku, skąd dochodziły znajome głosy. Nerwowo otrzepywali mundury z pyłu i ziemi, poprawiali czapki na głowach, aby zrobić dobre wrażenie na swoim ukochanym dowódcy. Już po chwili zza bariery wyłoniła się charakterystyczna sylwetka Piłsudskiego. Jak zwykle był bez pasa, tylko ze szpicrutą w rękę. Bluzę munduru miał rozpiętą pod szyją. Za nim postępował major Satyr-Fleszar oraz porucznik Wieniawa-Długoszowski, błądy jak papier, zapewne z lęku o życie Komendanta. Błyskawicznie powiadomiony kapitan Olszyna wysunął się do przodu i zameldował batalion w trakcie obrony Reduty.

– Widzę, widzę, moje dzieci. Dajcie choć szklankę wody, jak macie, bo umieram z pragnienia – dobrodusznie przerwał Komendant. Zdjął bluzę, wierzchem dłoni obtarł pot z czoła i usiadł na belce, która wystawała ze ściany jednej z ocalałych ziemianek. – No to mówcie, jak idzie – nakazał, wypiwszy wodę, którą błyskawicznie przyniósł Albin.

Będę miał co wnukom opowiadać, cieszył się w myślach młody Rawecki, wpatrując się w zmęczoną twarz Komendanta. Dla nikogo nie było tajemnicą, że osobiście dowodził obroną na sąsiednim odcinku.

– Natłuki naszych, psubraty – markotnym głosem relacjonował Olszyna. – Kierowali ostrzałem z balonów obserwacyjnych, stąd byli dość celni. Pociski porozbijaly ziemianki i schrony, grzebiąc żołnierzy, którzy nie zdążyli uciec. Zniszczyli punkt dowodzenia podpułkownika Berbeckiego i punkt sanitarny, pełen rannych...

– Podziękujcie waszym chłopcom, że wytrzymali w tym piekle. – Piłsudski po przyjacielsku poklepał Olszynę po ramieniu. – Toż to ładnych parę godzin, jak trwa ostrzał. To dla wielu pierwszy chrzest okopu, prawda? – Puścił oko do młodziutkiego szeregowego, który z uwielbieniem wpatrywał się w Komendanta. To właśnie dla niego młodzi garneli się w szeregi Legionów.

– Na ogół dają radę – meldował kapitan. Zostawił dla siebie wiedzę o kilku przypadkach załamań nerwowych, jednym pomieszaniu zmysłów i śmierci młodego chłopaka na atak serca. Po co Dziadek ma się martwić? – pomyślał.

– Dumny jestem z waszego zachowania – oznajmił Piłsudski, podnosząc się na nogi. – Chcę wierzyć, że każdy z was, jak to prawemu żołnierzowi przystoi, wyniesie z tych dni dużo doświadczenia i nauki, gdy tyle dla siebie nowych rzeczy widzi, w tylu nowych formach boju bierze udział – zwrócił się do otaczających go wianuszkami żołnierzy. – W kilka dni takiego boju rekrut staje się starym wiarusem, który ma co wspominać i czego uczyć drugich. – Poklepał po ramieniu stojącego tuż obok żołnierza, najmłodszego w plutonie. – Prowadźcie mnie na prawy

okop Reduty, chcę zobaczyć skutki nawały armatniej i obserwacje na flance. Pilnujcie tego kierunku – dorzucił na koniec.

Ledwie Piłsudski zdążył opuścić Redutę, gdy Rosjanie wznowili ostrzał.

– A nie mówiłem, że moc jakaś czarodziejska strzeże naszego Komendanta – oznajmił Konieczny, zмирzając biegiem do granatnika wraz ze swoim plutonem.

Zdążyli wskoczyć w ostatniej chwili.

Grad pocisków znowu posypał się na Redutę Piłsudskiego i Polską Górę. Kolejne szanice zostały obrócone w gruzy, przygniatając belkami żołnierzy. Celnie wystrzelone pociski niszczyły zasieki z drutów i zrywały połączenia telefoniczne, a ziemianki waliły się jak domki z kart. Wokoło zaroilo się od rannych. Albin wciśnięty w kąt głębokiego okopu, chroniąc ramionami głowę, na którą co rusz spadały gruzy ziemi i sypał się piach, pomału obojętniał na wszystko i ogarniała go apatia. Już mu było wszystko jedno, czy przeżyje ten atak, czy nie. Niechby to się już raz skończyło, pomyślał zrezygnowany. Nawet przestał zatykać uszy dłońmi, kiedy ze świstem leciał granat czy z hukiem wybuchał pocisk. Tuż obok niego na stanowiskach wciąż trwały obsady karabinów maszynowych, gotowe do otwarcia ognia. Czekwały na sygnał obserwatorów, którzy na przedpolu przez peryskopy wypatrywali przeciwnika. Rosjanie pojawili się dopiero wieczorem.

– Jezusie Nazareński... – szepnął Albin, widząc nieprzebrane masy żołnierzy, które na kształt szarańczy wychynęły od strony Kostiuchnówki i rozwinięte w tyraliery jedna za drugą z mrozącym krew w żyłach okrzykiem „*uraaa!*”, z karabinami gotowymi do strzału, ruszyły biegiem w kierunku Reduty. Perspektywa walki wyrwała go z marazmu. Załadował karabin i przymierzył się do strzału.

– Nie strzelać, czekać, aż podejda pod druty – instruował opanowanym głosem Konieczny. – Cel! Pal! – wydał po chwili rozkaz.

Terkot karabinów maszynowych i ręcznych zagłuszył bojowe okrzyki Rosjan. W pierwszych szeregach atakujących padli zabici i ranni. Reszta biegła dalej niezrażona. Niespodziewanie dla siebie wpadli w przygotowane przez saperów wilcze doły, a ukryte w zwalonych drzewach miny rozrywały ich na strzępy. Dopiero po chwili, gdy pole już było usłane trupami i zaczerwieniło się od przelanej krwi, w popłochu rzucili się do ucieczki. Po jakimś czasie atak wznowili. Jednak sforsowanie gęsto porozrzucanych gałęzi po wyciętym lesie i przedarcie się przez zasieki, których artyleria nie uszkodziła, nie było sprawą łatwą. Ci, którzy zaplątali się w druty kolczaste, przewracali się, stając się łatwym łupem dla karabinów maszynowych. Kiedy tylko wzmagął się huraganowy ogień artylerii, obsada Reduty migiem kryła się w granatnikach, aby po chwili wyskoczyć i ostrzelać szturmujących Rosjan. I tak godzina za godziną, bez odpoczynku, bez kropli wody. Nawałnica artyleryjska i lejący się z nieba żar niczym żywy ogień dawały się walczącym we znaki. Męczyło ich pragnienie, a niektórych także głód. Albin nic nie jadł od rana, inni załapali się na posiłek, który przywiozła kuchnia polowa podczas wizyty Komendanta. Ważniejsza rozmowa z Dziadkiem niż jakaś zupa, pomyślał wówczas, zostając w okopach.

Rosjanie atakowali z zaciekłością i determinacją. Ci, którzy zdołali dobiec do drutów, cieli je nożycami. Inni rzucali na druty płaszcze i koce, po czym kładli się, a reszta przechodziła po ich grzbietach jak po mostach. Jakby za nic mieli ciągły ogień karabinów maszynowych, które siały wśród nich śmierć. Żywi traktowali ciała poległych towarzyszy niczym barykady. Co chwilę na skutek wybuchu pocisku armatniego z tej ludzkiej barykady wylatywały w górę strzępy ciał, krew sikała jak z fontanny, ochlapując twarze pozostających jeszcze przy życiu towarzyszy.

Pod wieczór przed zasiekami osłaniającymi polską linię obrony leżały zwaly rosyjskich trupów i rannych, ledwie widoczne wśród gęstego szarego dymu, który zasnuł nie tylko



przedpole, okopy i zasieki, ale także ludzi. Drażnił oczy i odbierał oddech. Powietrze stało się ciężkie i smrodliwe, zdawało się parzyć skórę. Sytuację pogorszył pożar trawiący gałęzie pozostałe po wyрубie lasu. Wał żywego ognia utworzył drugą linię obrony, trudną do przebycia dla Rosjan. Zaplątani w druty palili się żywcem. Śwąd przypiekanych ciał i rozpaczliwe krzyki pozbawionych możliwości ucieczki Rosjan doprowadziły Albina do płaczu. Przykucnął i ukrywając twarz w dłoniach, szlochał głośno. Nagle jakby z dna piekła poprzez bitewny zgiełk dotarł do niego rozkaz kapitana Olszyny:

– Wycofywać się na Polski Lasek! Na drugą linię!

– Co się dzieje? Dlaczego? – wypytywał Koniecznego, ładując parzący w dłonie karabin.

– Te sakramenckie dziady madziarskie, trepy zarośnięte z węgierskiego honwedu nie wytrzymały nerwowo i opuściły swoje pozycje na Polskiej Górze – zżymał się ze złości i splunął z pogardą na ziemię – i mochy już wchodzą nam na dupy.

Z Reduty wycofywał się cały batalion. W sumie kilkuset żołnierzy. Jedyna droga odwrotu wiodła przez kładkę przerzuconą przez grząskie bagna. Tam już na nich czekali Rosjanie. W zapadającym zmierzchu pośród snujących się dymów legionieści z krzykiem rzucili się na wroga. Prali kolbami na oślep, dźgali bagnetami, strącali w bagno, aby tylko utorować sobie drogę odwrotu. Jednak już kolejni przeciwnicy wybiegli z krzaków Kostiuchnówki, wychodzili z kryjówek w zbożu. Jak okiem sięgnąć, wszędzie zieleniły się rosyjskie mundury. Albin w biegu celował w czerwone, rozgrzane upałem i wysiłkiem gęby i prał ogniem. W odpowiedzi Rosjanie obrzucili ich granatami ręcznymi. Kilku legunów padło rannych lub może zabitych. Reszta niezrążona biegła dalej. Albin razem z nimi. Już doszło do zwarcia. W ruch poszły bagnety. To jacyś Tatarzy, pomyślał, widząc tuż przed sobą płaską jak talerz, oblepioną błotem twarz o skośnych oczach. Jednak nie miał czasu na rozmyślanie nad narodowością żołnierzy wchodzących w skład armii rosyjskiej, bo były ich dziesiątki. Albo ja, albo on, pomyślał i zadał cios nałożonym na karabin bagnetem. Skośnooki jęknął i chwycił się rękoma za brzuch. Spomiędzy palców na wszystkie strony tryskała krew. Po chwili miękko zwałił się na ziemię. Albin kątem oka dostrzegł, jak Franek macha zawzięcie łopatką, skutecznie oganiając się od Rosjanina z nożem w ręce. Jednak drugi zaszedł go od tyłu i dźgnął bagnetem w plecy. Franek zdążył jedynie cicho jęknąć: „Boże mój”, i upadł twarzą wprost pod nogi walczących żołnierzy. Albin, wydając z siebie dziki okrzyk wściekłości, dzielił Moskala kolbą przez łeb, aż karabin rozpadł się na dwie części. Kolejnemu wskoczył na plecy i bebutem wyszarpniętym z pochwy poderżnął gardło. Razem upadli na ziemię. Albin zerwał się i widząc, jak ku niemu zmierza kolejny skośnooki, nerwowo rozglądał się w poszukiwaniu czegoś zdatnego do obrony. Bebut gdzieś mu się zapodział w błocie, karabin roztrzaskał na łbie Moskala, a szablę spieszony ułan zostawiał przy koniu. To już koniec ze mną, zdążył pomyśleć.

## Rozdział 8

Kolejny dzień wstał równie upalny jak ten poprzedni. Na niebie ani jednej chmurki, tylko słońce niczym ogromna kula ognia prażyło z wysoka. Wiatru ani na lekarstwo. Powietrze przesycone dymem i zapachem prochu po zażartych walkach z poprzedniego dnia i nocy zdawało się stać nieruchomo. Równo o godzinie szóstej rano ciężka artyleria należąca do dwóch dywizji piechoty zgodnie z wytycznymi generała Brusilowa, zawartymi w tajnych dyrektywach, rozpoczęła ostrzał ogniem zaporowym pozycji zajmowanych przez armię austro-węgierską nad Garbaczem. Huk wybuchów i drażniący oczy dym niósł się po okolicy, docierając do jedenastu szwadronów rosyjskiej kawalerii szykujących się do szturm, jak tylko artyleria wykona swoje zadania i piechota wyjdzie w pole.

Wraz ze swoim szwadronem dragonów, siedząc na koniu, na rozkaz ataku czekał także rotmistrz Kaledin. Przez lornetkę przytkniętą do oczu obserwował spustoszenie, jakie czyniła artyleria w umocnieniach wrogich pozycji. Najcięższy ostrzał został skierowany na Polski Lasek i drugą linię umocnień, gdzie okopali się żołnierze brygad legionowych. Ich zażartą obronę Kostiuchnówki i wysuniętej ku przodowi Reduty sprzed kilku godzin Kaledin wciąż miał w pamięci. Jako zawodowy żołnierz potrafił docenić nie tylko bohaterstwo i poświęcenie żołnierzy, bo i jego dragoni nie tchórzeli w polu i krew przelewali ofiarnie, ale także sztukę dowodzenia, dzięki któremu ta garstka ustąpiła za ledwie o krok kilkakrotnie liczniejszemu przeciwnikowi. Niewielki las, położony u podnóża tego, co zostało ze wsi Kostiuchnówka, zwany w niemieckich meldunkach Polskim Lasem, zamienił się na skutek ostrzału w zięjący ogniem i dymem wulkan. Wybuchy pocisków wyrzucały w górę słupy ziemi, wyrwały drzewa z korzeniami, a zburzone ziemianki i okopy grzebały ludzi pod zwałami piachu. Zmęczenie żołnierzy walką było widoczne jak na dłoni. Nie mieli też tak dobrych umocnień jak te na Reducie. Padali pod ogniem artylerii jeden po drugim.

Był to odpowiedni moment, aby zaatakować. Przez szkła lornetki Kaledin ujrzał nieprzebrane masy piechoty ruszające do szturm. Nagle dotarły do niego głośnie krzyki dowódców stojących na czele swych kompani:

– *Do ataka za мной! Wpieriod!*

Odpowiedział im ryk wydobywający się z tysięcy gardel:

– *Urrraaa! Urrraaa! Urrraaa!*

Niczym burzowa nawałnica przetoczył się po polach i dotarł do skrytego w okopach przeciwnika, a przedpole zazieleniło się od rosyjskich mundurów. Żołnierze biegli tyralierą, jeden szereg za drugim, później trzeci, czwarty i piąty. I tak bez końca.

– Jak zawsze dowództwo zastosowało starą metodę. *Szapkami nakidajem* – z nieco szyderczym uśmiechem Kaledin zwrócił się do siedzącego na koniu tuż obok niego porucznika Iwana Suchorukowa. – Ilością żołnierzy chcą przykryć braki w uzbrojeniu oraz brak umiejętności w dowodzeniu i planowaniu. Za nic mają naszą krew. A kiedyś przecież może jej zabraknąć.

– Raz mamy atakować, to znowu na drugi dzień przychodzi rozkaz, że jednak mamy być w defensywie. – Suchorukow całkowicie podzielał zdanie Kaledina. – Jak jest czas, to mamy kopać transzeje, jak czasu mało, to każą zasypywać. Ci u góry widać sami nie wiedzą dobrze, o co im w tej wojnie chodzi.

Dalsze utyskiwania oficerów przerwało nagłe ujadanie kulomiotów dobiegające od strony wrogich okopów, choć wydawało się to niemożliwe, aby ktoś przeżył tę nawałnicę ognia. Natychmiast rozpętało się piekło. Nad szeregami atakujących żołdatów wybuchały szrapnele,

rozrywając na strzępy wszystko wokół. Pierwszy szereg tyraliery załamał się niczym zboże ścięte ręką wprawnego żniwiarza. Bez życia padali jeden po drugim dowódcy, tak bohaterstwo prowadzący do ataku swych podkomendnych. Natychmiast zastąpili ich młodszy oficerowie. Z jeszcze większym zapamiętaniem parli do przodu, aby jak najszybciej dobiec do wrogich okopów. Za nimi karnie, tłumiąc ogarniający ich strach, jakby za nic mieli złowrogo ryczące działa i przeraźliwie ujadające karabiny maszynowe, plujące w ich stronę gradem ołowiu, biegli żołnierze. Za sobą zostawili pole usłane trupami i rannymi, ale nikt na ich rozpaczliwe, pełne bólu krzyki i jęki nie zwracał uwagi. Już po chwili z wrogich okopów poleciały w stronę atakujących granaty ręczne. Przy każdym wybuchu żołnierze padali na ziemię, aby po chwili się zerwać i biec dalej przed siebie. Wciąż w ich uszach brzmiały rozkazy: „Naprzód! Naprzód! Żwawo, ruszać się!”.

– *Draguny i kazaki, poszli!* – do Kaledina i Suchorukowa dotarł rozkaz dowódcy korpusu kawalerii.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – szepnął Kaledin i wyciągnąwszy szaszkę z pochwy, zwrócił się do swych dragonów: – Szable w dłoń! Tyralierą do ataku, galopem marsz!

Z okrzykiem: „*Wpieriod!*”, skierował konia na rozciągające się przed nim szerokie pole zasłane trupami piechoty. Galop po chwili przeszedł w cwał. Ziemia zadrżała pod setkami kopyt, rozległo się rżenie poganianych ostrogami koni, a za nimi uniosły się w górę tumany pyłu. Błysnęły szable, szeregi pochyliły się nad wysuniętymi wprzód lancami. Połowe działa, wyciągnięte na przedpole, posłały pociski w stronę baterii karabinów maszynowych wciąż plujących ołowiem na atakujących. Z gwizdem nad głowami kawalerii leciały pociski, aby za moment z hukiem wyrzucić w górę fontannę ziemi wraz z kawałkami ludzkich ciał. Jednak nie dały rady unicestwić zacieklej obrony. Już po chwili rosyjskie szwadrony wpadły między jakieś zagajniki, a tam przywitało ich zajadłe szczekanie kulomiotów. W szeregach kawalerii się zakotłowało. Z końskich grzbietów spadali zabici i ranni, wierzchowce z przeraźliwym kwiczeniem koziołkowały, przygniatając żywych i martwych. Inne luzem pogalopowały dalej. Pękła spójność i oddzielne grupy jeźdźców rozbiegły się po polu, szukając wyjścia z opresji. I wówczas zaplątali się w zasieki z drutu kolczastego, których artyleria nie zdołała zniszczyć. Wystawione na łatwy łup karabiny maszynowe siły kawalerzystów topniały w oczach. Nagle z okopów, z których niewiele zostało, wyskoczyli obrońcy. W ruch poszły szable, bagnety i noże szturmowe. Nikt nie szczędził krwi, wszyscy mieli śmierć w pogardzie. Gdy pod Kaledinem padł koń, młody rotmistrz z szaszką w dłoni rzucił się w wir walki. Nawet nie poczuł, jak ktoś drasnął go nożem w policzek.

Mimo posiłków przysłanych obrońcom ich siły zaczynały jednak słabnąć. Pierwsi ulegli Madziarzy i uciekli przez Polski Mostek. Legioniści, zalewani przez Rosjan, zaczęli wycofywać się przez płycizny Garbachu. Miejscami odwrót zmieniał się w paniczną ucieczkę. I wówczas Kaledin ujrzał wycofującego się wraz ze swoimi pułkownika Leona Berbeckiego, którego pamiętał jeszcze sprzed wojny, kiedy razem służyli w armii carskiej. Było o nim głośno, gdy podczas wojny z Japonią zabił japońskiego oficera, członka rodziny panującej. W oczach Kaledina, przechodząc do obozu Austriaków, jawił się zdrajcą. Powinien stanąć przed sądem polowym, pomyślał z wściekłością.

– *Łowi komandira! Dierzi Berbeckogo!* – krzyknął do szeregowych i zacisnąwszy dłoń na rękojeści szaszki, rzucił się w kierunku pułkownika, który z szablą w dłoni kierował odwrotem garstki swoich ludzi.

Posłuszni rozkazom Kaledina piechurzy usiłowali go otoczyć, ale bezskutecznie. Plany Kaledina pokrzyżowała 8. kompania, która przysłała Legionom z odsieczą. Walka rozgorzała ze zdwojoną siłą, a Berbecki zdołał ująć z okrażenia wraz z kancelarią pułku i telefonami. Kosztem

wielu ofiar po obydwu stronach walczących o Kostiuchnowkę, Redutę Piłsudskiego, Polski Las i Polską Górę Rosjanie osiągnęli kolejne sukcesy. Dopiero nadchodząca noc rozdzieliła walczących.

## Rozdział 9

Pozycje, do których w wyniku walk wycofywali się polscy obrońcy frontu nad Sytrem, rozciągały się na długości sześciu kilometrów, lecz zostały słabo przygotowane do obrony. Okopy, w zasadzie pozbawione zasieków z drutu kolczastego, przygotowano za płytkie, a żołnierzy gotowych do walki było zaledwie tysiąc czterystu.

– Zrozumcie, aby stawić skuteczny opór, potrzebujemy poważnej pomocy, bo wojsko nasze jest wyczerpane – argumentował do słuchawki Piłsudski, rozpinając jednocześnie kurtkę mundurową pod szyją, co i tak nie przyniosło mu ochłody. – Żołnierze, którzy wytrzymali ogień huraganowy, z braku snu w trzech dobach są prawie nieprzytomni ze zmęczenia. – Przerzucił słuchawkę do drugiej ręki i ciągnął dalej, coraz bardziej zdenerwowany: – Karabiny mają zanieczyszczone, więc źle strzelają, a nie ma żadnej możliwości, aby broń doprowadzić do porządku. Muszę otrzymać posiłki, aby przynajmniej część ludzi zluzować – stwierdził stanowczym tonem na koniec.

Słyszając odpowiedź, bez słowa cisnął słuchawkę na widelki i burknął pod nosem:

– Cholerna „cekamenda”. Jak zawsze tylko o własne dupy dbają.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Dowództwo Legionów obiecało przysłać z pomocą dywizjon huzarów. Kropla w morzu potrzeb, pomyślał, głośno wypuszczając nosem dym z papierosa. Usiadł za stołem i skreśliwszy kilka słów na kartce papieru, posłał gońca z rozkazem do 5. Pułku Piechoty, aby zabezpieczył prawe skrzydło. Ku uciechu Komendanta z własnej woli przybył batalion piechoty z Bawarii, aby zluzować polskich ułanów.

Rozkaz opuszczenia placówki ucieszył Albina. Padał ze zmęczenia. Miał za sobą tylko godzinę snu i nie jadł już od dwóch dni. Dokuczało mu pragnienie. Nigdzie też nie mógł odnaleźć wachmistrza Koniecznego ani Kostka.

– Konieczny zginął – poinformował go krótko kapral Walczak, bezskutecznie usiłujący wyczyścić z piasku zacinający się zamek karabinu. – Mochy odcięły go od naszych z garstką żołnierzy – dorzucił po chwili. – Haratanina trwała jakiś czas, po czym wszystko ucichło. Gdyby nie szaleńczy kontratak kapitana Sław-Zwierzynskiego, straty byłyby jeszcze większe.

– Kapitan też poległ – pustym głosem oznajmił Albin. Chciało mu się płakać. W ciągu dwóch lat walk stracił nie tylko brata, ale także wszystkich, których zdołał polubić i z którymi się zaprzyjaźnił. Umarł dziadek, Katarzynę gdzieś porwała zawierucha wojenna. Szczęściem rodzice zdrowi, pomyślał, przełykając łzy. – Większość zginęła... – Pociągnął nosem i rękawem otarł pot z czoła. – Nie wiem, jakim cudem ja się uratowałem. Uduśiłem mocha gołymi rękoma. – Wyciągnął przed siebie dłonie i spoglądał na nie z niedowierzaniem. Nie spodziewał się, że ma w sobie tyle siły.

– Pewno ktoś się żarliwie modli, abyś cały wrócił z tej rzezi – powiedział Walczak, wciąż majstrując przy swoim karabinie. Chciał wierzyć w to, co mówił. Miał pewność, że jego żona, którą poślubił tuż przed wybuchem wojny, także się modliła o jego szczęśliwy powrót. Jeszcze nie wiedział, że zmarła podczas porodu, kiedy cała wieś uciekała przed nacierającym Niemcami.

W południe, po krótkim przygotowaniu artyleryjskim, Rosjanie posłali piechotę do ataku. Żołnierze biegli tyralierą. Szereg za szeregiem. Z karabinami gotowymi do strzału, w obszarpanych mundurach, ale posłuszni rozkazom swych dowódców. Za nic mieli terkotanie karabinów maszynowych, a śmierć towarzyszy jakby nie robiła na nich żadnego wrażenia. Padali jeden za drugim na zrytą pociskami ziemię zroszoną krwią.

Przysłani na pomoc Austriacy i Węgrzy nie zdołali utrzymać pozycji i przystąpili do

odwrotu. Legioniści, nie chcąc wpaść w okrążenie, musieli zrobić to samo. Widząc to, dowództwo rosyjskie posłało do boju dziesięć szwadronów jazdy, nie bacząc na wciąż grające karabiny maszynowe przeciwnika. Konie i jeźdźcy wpadli wprost pod grad ołowiu. Tylko garstka spośród nich zdołała się przebić i pognała w las, pośród drzew szukając kryjówki. Reszta zaścieliła łąkę kobiercem trupów ludzi i koni. Mimo to szala zwycięstwa przechylała się na stronę Rosjan i Komenda Legionów przysłała mało precyzyjny rozkaz odwrotu. Pod osłoną zapadającej nocy z rosyjską kawalerią na karku brygady polskie opuszczały swoje placówki, wycofując się przez Polski Mostek na zachód, ku rzece Stochód. Przodem jechały tabory i kuchnie polowe, dopiero za nimi, ślaniając się na nogach ze zmęczenia, podążała piechota. Zabezpieczenie tyłów przypadło ułanom.

Albin i jego towarzysze broni powoli i z uwagą prowadzili swoje konie po grobli z okrągłaków, jedynej drodze biegnącej przez bagna. Po przeciwnej stronie rozciągał się las, za którym leżała Trojanówka, a za nią Stochód. Gdy stanęli na twardym gruncie, z ochotą wskoczyli na siodła.

– Można się było spodziewać, że te fireyki austriacko-węgierskie na nas zwałą cały ciężar osłony ewakuacji brygady – z pretensją w głosie odezwał się kapral Walczak, jadący tuż obok Albina. Miał złe przeczucia i co chwilę oglądał się za siebie, czy nie ujrzy zaczajonych w ciemnościach rosyjskich dragonów.

– Szkoda nawet słów na tę „cekamendę” i te austriackie trepy. – Albin machnął ręką. – Ja marzę tylko o jednym: żeby się najeść do syta i uwalić do wyra, a potem spać, spać i spać...

– Szanse na dobre żarcie właśnie spadają do zera – oznajmił Kazek, ułan na ślicznej klaczy o imieniu Stasia, i wyciągniętą ręką wskazał widoczną na tle ciemnego nieba czerwoną łunę pożaru.

– Ki diabeł? – Albin poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. – Mochy palą Maniewiczze?

– Tym razem to nasze dzieło – do rozmowy wtrącił się Walczak. – Płoną magazyny na stacji kolejowej. Właśnie z dymem idzie jęczmień, chleb, siano, buty, a także rum i koszule.

– Jak prosiłem o nową, bo stara mnie pije pod pachami, to mi nie dali, a teraz palą – Albin z żalem w głosie skomentował decyzję dowództwa.

– Ech, wy, żółtodzioby – zarechotał wachmistrz Orzechowski, gdy podjechał bliżej i usłyszał rozmowę swoich podkomendnych. Miał dla nich zadanie, z którego nie będą zadowoleni. – Tak zawsze się dzieje, kiedy trzeba się cofać, aby dobro nie dostało się w łapy wroga. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile żarcia i butów w ten sposób się marnuje. Ale ja do was w innej sprawie...

Walczak, Kazek i Albin spojrzeli na wachmistrza bez entuzjazmu. Już przeczuwali pismo nosem.

– Mamy rozkaz spatrolować tamten las, ten za torami. – Ruchem głowy wskazał kierunek za swoimi plecami, gdzie na tle czerwonej łuny pożaru czerniły się drzewa. – Zdaje się, że gdzieś tam pobłądził ze swoimi pułkownik Berbecki. Trza go zawrócić.

– Rozkaz to rozkaz, nic nie poradysz – mruknął Albin, zawracając gniadosza. Z uwagi na narowisty charakter koń nosił imię Nerwus. – No to dymajmy. Droga prosta jak w pysk strzelił...

Ruszyli naprzód galopem. Patrol prowadził wachmistrz Orzechowski, za nim jechał kapral Walczak, a na końcu Albin i Kazek. Wkrótce wjechali w las i z miejsca ogarnęły ich grobowe ciemności. Zwolnili tempo. Albin poczuł nieprzyjemne ciarki na grzbiecie. Z miejsca przypomniały mu się opowieści Antosiowej o duchach i diabłach, które lubią w takich miejscach grasować. Ukradkiem, aby nie dawać kolegom powodu do kpin, ręką nakreślił na piersi znak krzyża.

– Stój, kto tam? – spytał nagle Orzechowski, gdy przed sobą w ciemnościach ujrzął

majające jakieś postaci ludzi i usłyszał cichutkie prychnanie koni.

Stasia i Nerwus zarżały niezadowolone, gdy poczuły szarpnięcie uzdy. Berbecki czy Moskale? – pomyślał Albin i sięgnął po karabin.

– A wy kto? – padła z ciemności odpowiedź.

Psiakrew, że też ruski i polski są tak do siebie podobne, pomyślał Albin i zdjąwszy karabin z ramion, wycelował wprost przed siebie, ale Orzechowski był szybszy. Huknął strzał, zaraz potem drugi. W ciemnościach się zakotłowało i tamci jeźdźcy, trzymający konie za uzdy, odpowiedzieli ogniem. Pluton wachmistrza Orzechowskiego momentalnie skręcił w bok i ułani rzucili się do ucieczki. Poprzez noc poniósł się tętent kopyt. Musieli zrezygnować z poszukiwań, przynajmniej na razie, i wracać do swoich.

Gdy nastał świt, ułani zatrzymali się nad szerokim stawem, w który rozlewała się rzeczka Czerewacha. Musieli poczekać, aż zmordowana do ostatnich granic piechota 5. Pułku przejdzie przez mosty na Stochodzie. Kierunek na północ osłaniały 3. i 4. szwadron, kierunek południowy miały osłaniać błota, ponoć trudne do przebycia, jak powiedziano na odprawie. 1. szwadron, w którym służył Albin, rozwinięty w linię na skraju lasu – lasu, w którym już kiedyś walczyli i dostali bity, miał za zadanie osłaniać od wschodu. Ułani, nie zsiadając z koni, z karabinami w rękach gotowymi do strzału obserwowali okolicę. Moskale mogli pojawić się w każdej chwili. Mieli ich powstrzymać możliwie jak najdłużej. Co znaczy „jak najdłużej”? – zżymał się Albin. Godzina czy cały dzień? Czy dowódcy nie mogą określić precyzyjnie? Mijały minuty i kwadransy, żar z nieba lał się coraz większy. Konie nerwowo przestępowały z nogi na nogę i rżały niezadowolone z bezczynności.

Najpierw usłyszeli głuchy tętent końskich kopyt. Po chwili dał się słyszeć trzask karabinów i jeźdźcy pojawili się za zakrętem. Z miejsca otworzyli ogień.

– Z koni! – porucznik Grzmot, dowodzący szwadronem, rozdarł się na całą okolicę. – Do ręki broń! Cel, pa! Cel! Pa! Cel! Pa! W tył zwrot!

Na rozkaz, słysząc świst kul nad głowami, puścili się biegiem, w stronę czekających na koniach kolegów z karabinami gotowymi do strzału.

– Cel! Pa! – padła komenda, rozległ się huk i z dziesiątek luf błysnął ogień.

Ułani na koniach na przemian ze spieszonymi nie dali Moskalom żadnych szans podejść bliżej. Przy tym strat własnych także nie ponieśli. Sprawdziła się zastosowana przez Grzmota taktyka, aby ostrzeliwać się na polankach, a wycofywać pomiędzy drzewami. Rosjanie zostali gdzieś w tyle, jakby zapadli się pod ziemię, a szwadron dotarł na skraj lasu. Za nim już tylko Stochód, rzeka trudna do sforsowania, a przed nią okopana piechota z bronią gotową do strzału.

– No, tym razem las nie okazał się dla nas pechowy – odetchnąwszy z ulgą, oznajmił Albin.

Humor mu się nawet poprawił, choć bardzo mu brakowało Koniecznego i Franka. Kostek w końcu się odnalazł i razem z 1. plutonem osłaniał bagna, co to ponoć nigdy nie wysychają, a teraz wyschły jak na złość. Nawet Nerwus zdawał się zadowolony i prychnął radośnie raz po raz.

– Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz – złowieszco odezwał się Kazek. – Przekłety lasek jeszcze się nie skończył. – Wciąż miał w pamięci swych towarzyszy, którzy właśnie w tym lesie ponieśli śmierć.

Mijali właśnie ostatnie, z rzadka rosnące drzewa i mieli zamiar wjechać na wiodącą przez bagna wąską groblę, umoszczoną na piasku i okrągłakach, gdy z boku pojawiła się rosyjska kawaleria. W galopie strzelali na oślep, gdzie popadło. Po nogach, po koniach, byle przeciwnik oberwał. Konie zarżały przerażone, niektóre stanęły dęba, lekceważąc nakaz jeźdźców, aby puściły się przez groblę. Zbyt wąska dla koni w galopie, jawiła się jako niebezpieczeństwo. Nie rozumiały, że stanowiła jedyną drogę ucieczki. Nie wszystkie jednak wierzchowce miały

podobne dylematy. Te posłuszne woli jeźdźców pędziły wąską groblą, tętniąc kopytami. Miały tylko jeden cel przed sobą: byle na drugą stronę, byle jak najszybciej opuścić to wąskie gardło, wystawione na łatwy łup Moskali, którzy posiadawszy z koni, celowali skutecznie.

Ledwie Albin na swoim Nerwusie wypadł z lasu, koń oberwał po nogach i zwałił się razem z jeźdźcem. Przekoziółkowali kilka metrów. Albin pozbierał się błyskawicznie i na oślepie rzucił do ucieczki. Nagle poczuł chlupotanie błota pod stopami. Odwrócił się. W jego kierunku szeroką ławą zmierzała ciemna masa zarośniętych żołdatów w brudnych i podartych mundurach. Znalazł się w pułapce.

Tym razem już się śmierci nie wywinę, pomyślał. Już nigdy nie zobaczę mojej Maryni. Poczł ogromny żal ściskający mu serce. Przypomniał sobie dzieciństwo spędzane w Porętowie. Dziadka uczącego go trudnej sztuki dosiadanania konia, babcię wiecznie napominającą, aby nie mówić z pełnymi ustami, ojca surowo nakazującego przystępować co tydzień do spowiedzi, przepytującego z katechizmu, i matkę... Mamo, mamusiu, pomyślał, nagle za nią zatęskniwszy jak nigdy dotąd. Tak bardzo chciałby się przytulić do jej miękkiej piersi, poczuć zapach jej perfum, przywodzących na myśl słodkie pierniki.

– Nie dostaniecie mnie darmo, mochy sakramenckie – warknął i pociągnąwszy głośno nosem, wyszarpnął z pochwy szablę.

Moskale załadowali broń i wycelowali prosto w pierś Albina.



## Rozdział 10

– *Stoj! Nie strielat'!* Żywcem brać! Nie strzelać! – do Albina stojącego z szablą w dłoniach, gotowego stanąć do walki, dotarły słowa kategorycznego rozkazu.

Odruchowo spojrzął w stronę, skąd dochodził głos.

Ujrzał rotmistrza dumnie siedzącego na koniu. Wymienili między sobą krótkie, nienawistne spojrzenia. Oficer wyraźnie się odróżniał od otaczającej go czerni. Nie tylko staranną dbałością o stan munduru, który miał na sobie, lecz także niepospolitą urodą. Musiał być bardzo wysokiego wzrostu, bo jego koń, choć dużych rozmiarów, wydawał się pod jeźdźcem drobny i niepozorny. Pod daszkiem czapki nasuniętej na czoło mocnym blaskiem płonęły czarne jak noc oczy. Cienki, prosty nos oraz regularne rysy twarzy świadczyły o arystokratycznym pochodzeniu oficera. Szpeciła go świeża rana na policzku, zadana cięciem noża lub szabli. Sącząca się z niej krew spływała wprost na gęsty czarny zarost pokrywający brodę oficera, nadając mu upiorny wygląd. Rosjanin zeskoczył z konia i gestem odgonił żołnierzy. Wykonali rozkaz bez szemrania.

– *Sdawajsia* – oznajmił kategorycznym tonem i wyciągnął w stronę Albina rękę. – Oddaj szablę.

– Nie lubię się z nią rozstawać. Przywiązany jestem – warknął Albin, gotowy na wszystko, i przyjął pozycję wyjściową do walki.

– Zginiesz, chłystku – rzucił w jego stronę oficer i wymownym gestem położył dłoń na rękojeści szabli spoczywającej w pochwie.

– Od losu nie uciekniesz – prychnął Albin. Przypomniał sobie opowieść dziadka Andrzeja, jak ten walczył z Moskalami o Miechów podczas powstania styczniowego. Wierny przysiędze składanej przez żuawów śmierci, wolał zginąć niż oddać się do niewoli. Wnuk postanowił pójść w jego ślady. – Żywcem mnie nie weźmiesz – dorzucił z determinacją w głosie.

– *Nu ładno*. Aaaa! – nagle rotmistrz z przeraźliwym krzykiem wyszarpnął z pochwy szablę i zaatakował, nie mając zamiaru wdawać się z młokosem, który miał jeszcze mleko pod wąsem, w filozoficzne dywagacje, zbędne na polu walki. Chcesz umrzeć, to proszę bardzo, pomyślał z odrobiną żalu. Miał już serdecznie dość zabijania.

Albin zgrabnie odparował cios. Stał zabrzęczała złowrogo. Kolejny cios także został odparowany. Uderzali ostrzami raz za razem, kręcąc się wkoło. Po chwili weszli w bagno. Zabułgotało ostrzegawczo, ale oni nawet tego nie zauważyli. Jak w powieści Sienkiewicza, pomyślał Albin, zdając sobie sprawę z przewagi, jaką miał nad nim dragon. Doszło do zwania i spojrzeli sobie w oczy z bliska. Rotmistrz nagle pobladł, tak bardzo, że czerwień krwi na jego policzku wydała się jeszcze bardziej jaskrawa. Chryste, te oczy, pomyślał. To oczy mojej Jekatieriny. Brązowe, pełne melancholii. Wbił uważne spojrzenie w twarz Albina i dostrzegł inne podobieństwa – owal twarzy, pełne usta, dołeczki w policzkach, jasne loki oblepiające spoczone czoło. Błyskawicznie podjął decyzję. Jednym sprawnym ciosem szabli wytrącił Albinowi broń z ręki. Szabla pofrunęła w górę, zakreśliła się i z głuchym pluskiem utonęła w bagnie. Czekający na wynik pojedynku żołdaci niczym sekundanci podczas pojedynku ryknęli gromko:

– *Wiwat, rotmistrz Kaledin! Wiwat, wasze błagorodie!*

Rotmistrz uciszył ich wzrokiem i ręką wskazał Albinowi kierunek marszu. Sam wskoczył na konia i jechał tuż obok, nie spuszczać wzroku ze swego jeńca. Po chwili dotarli do polany, gdzie czekali na rozkazy oficera pozostali dragoni oraz grupka wziętych do niewoli legunów. Wśród nich Albin rozpoznał Kostka. Musiał być ranny, gdyż rękaw bluzy wisiał mu w strzypach.

– *Kak was zawut?* – spytał Kaledin po chwili, gdy cała kolumna ruszyła w sobie tylko wiadomym kierunku. – Jak się nazywasz?

– Albin Pawłowicz Rawecki – odparł hardo. Wolałby zginąć niż dostać się do niewoli, ale widok Kostka dodał mu otuchy. We dwóch damy radę, pomyślał pełen nadziei.

– Z Miechowa? – dopytał się rotmistrz i utkwiał w twarzy Albina wyczekujące spojrzenie.

– Z Miechowa – odparł, zerkając na Kaledina spość łba.

O co temu mochowi chodzi? – zastanawiał się. Niechby już mnie dołączył do naszych.

– Kim dla ciebie jest Katarzyna Pawłowna Rawecka? – nienaganną polszczyzną spytał rotmistrz. Mieszkając w Priwislinskom Kraje, a także romansując z Katarzyną, nauczył się biegle mówić po polsku. Chciał także poznać język babki Lamparskiej. Historię jej rodziny opowiedziała mu matka.

– To moja siostra – odparł Albin. Nagle w głowie zaświtała mu straszna myśl: to z nim Kaśka miała romans, a ojciec nie dał im zgody na ślub. Teraz on na mnie się zemści za swoje upokorzenie.

Kaledin, obawiając się, że nie zapanuje nad wzruszeniem, odesłał Albina do grupy jeńców i puścił się galopem przez wąski trakt wiodący pomiędzy drzewami. Nie zwracał uwagi na gałęzie chłoszczące go po twarzy. Wrócił, gdy zdołał ochłonąć i na zimno przemyślał sprawę. Po wieczornej odprawie nakazał swemu ordynansowi przyprowadzić jeńca o nazwisku Rawecki. Czekał na niego przy taborach rozlokowanych z tyłu za pułkiem kawalerii.

– Jesteś głodny? – spytał, gdy tylko ułan stanął przed nim pełen lęku o swój los.

Albin dzielnie nadrabiał miną, choć z powodu poobrywanych guzików i braku pasa sprawiał wrażenie ofiary losu. Bił się z myślami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Umierał z głodu, ale gardził pomocą z rąk wroga.

– Tak – poddał się po chwili, czując za te słowa do siebie pogardę. – Poproszę o wodę – dorzucił po chwili i opuścił głowę. W ustach miał sucho jak na pustyni, a język przypominał drewniany kołek.

Posłany do kuchni polowej ordynans wrócił po chwili z menażką pełną zawieszistej zupy, chlebem i czarną kawą w dzbanku. Postawił wszystko na siedzisku jednego z wozów taborowych, ustawionych jeden za drugim.

– Możesz odejść – nakazał mu Kaledin. – No, jedz – zwrócił się do Albina. – To z oficerskiej kuchni. Dobre.

Czując na policzkach rumieniec wstydu, młody Rawecki rzucił się łakomie na jedzenie. Nie śmiał podnieść oczu na Kaledina, choć cały czas czuł na sobie jego wzrok.

– Dziękuję – szepnął, gdy wymiotł wszystko do czysta i ukradkiem schował dla Kostka pajdę chleba do kieszeni. Czuł się upokorzony i zawstydzony, jednak uporczywe ssanie w żołądku ustąpiło. Czego ten Moskał ode mnie chce? – pomyślał. Bo przecież nie darował mi życia i nie nakarmił z czystej miłości bliźniego. Coś zapewne knuje.

– Może nie wiesz – zaczął Igor, jakby odgadł myśli Albina – ale mieliśmy zamiar z twoją siostrą się pobrać. Nic z tego nie wyszło. Zmieniła plany – ciągnął dalej zgorzkniałym tonem. Poczęstował Albina papierosem i sam zapalił. – Mówią, że serce nie sługa, nie zna, co to pany. – Machnął ręką, jakby chciał dać do zrozumienia, że już mu było wszystko jedno, ale wiedział, że to nieprawda. Miłość do Katarzyny nadal żarzyła się w jego sercu.

Takich słów Albin się nie spodziewał. Luźno porzrucane w pamięci fragmenty wypowiedzi, które wpadły mu w ucho, kiedy rodzice się sprzeczali, opowieści Gabrysi, roznoszącej plotki nie tylko po rodzinie, zapłakana twarz siostry, próba popełnienia samobójstwa, to wszystko ułożyło się teraz w jedną spójną całość. Przed nim stał Igor, wielka miłość Katarzyny, carski dragon, któremu ojciec nie chciał oddać swej córki. Aby nie uciekła z domu,

zamknął ją na klucz. To on był ojcem dziecka, które przychodząc na świat, miało okryć hańbą całą rodzinę. Stąd pospieszny ślub z Kobierskim.

Gdy o tym wszystkim opowiadał Kaledinowi, twarz dragona bladła z minuty na minutę, aż zaczęła przypominać kartkę papieru. Kiedy padły słowa „była przy nadziei”, Kaledin ukrył twarz w dłoniach, aby Albin nie dostrzegł łez w jego oczach. Jakim ja byłem żalnym durniem, pomyślał. Zostawiłem ją samą w takiej chwili! Jestem zwykłym bydlakiem!

– Co się urodziło? – spytał, gdy zapanował nad sobą. Jestem ojcem, mam dziecko, kołatało mu w głowie. – Syn czy córka?

– Tego nie wiem. – Albin pokręcił głową. – Zaraz po ślubie wyjechali do Łodzi. Kiedy miasto zajęli Niemcy, kontakt się urwał.

Gdyby w tym momencie jakimś cudem napatoczył się generał Rennenkampf, odpowiedzialny za oddanie Łodzi Niemcom, Igor byłby go własnoręcznie za to udusił. Przez tę kanałą być może moje dziecko zabiła niemiecka bomba, pomyślał z rozpaczą.

– Nie wiedziałem, jak mi Bóg miły, o niczym nie wiedziałem – mówił bardziej do siebie niż do Albina. – Fałszywie ją oceniłem. *Durak ze mnie.*

Albin nie miał pojęcia, co ma powiedzieć i jak się zachować. Z jednej strony żał mu było tego oficera, ale z drugiej był to jego wróg. Wróg śmiertelny. Jednak czy na pewno? Sam już zwątpił. Przecież i tego Kaledina nikt o zdanie nie pytał, kiedy zapadała decyzja o wojnie. Spokrewnieni ze sobą władcy Europy, mówiący do siebie zdrobniale po imieniu, za nic mieli życie swych poddanych, realizowali swoje osobiste plany, kierowali się własnymi ambicjami. Jedynie my, Polacy, mamy w tej wojnie szczytny cel: odzyskać utraconą ojczyznę – pomyślał nie bez dumy.

– Odnajdę ją, przysięgam, że odnajdę – przeciągając się ciszę przerwał Igor. – I wynagrodzę krzywdę, jaka ją przeze mnie spotkała – obiecał schrypniętym ze wzruszenia głosem. – Ale teraz musimy pomyśleć, co z tobą – oznajmił po chwili, jakby oprzytomniał i zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej znalazł się brat jego ukochanej.

– Ze mną? – zdziwił się Albin i wzruszył ramionami. – Jestem przecież jeńcem. Chyba jeńców nie zabijacie? – Zerknął jednak na Kaledina podejrzliwie. Czort ich wie, pomyślał. A jak zabijają?

Igor nie potrafił na tak postawione pytanie dać jednoznacznej odpowiedzi. Los jeńców zależał od ich pozycji społecznej. Oficerowie przebywali w obozach, otrzymując kieszonkowe na własne utrzymanie. Były to jednak sumy symboliczne, których wartość drastycznie malała wraz z inflacją. Szeregowcy trafiali do kopania rowów lub kopalń, gdzie ich żywot był krótki. Marli z głodu i wycieńczenia. Nieco odmienny los oczekiwał Polaków, będących poddanymi cara, którzy różnymi drogami trafili do wrogich armii. Traktowano ich jak zdrajców. Jednak Albin nie był oficerem i dopiero kilka miesięcy temu osiągnął wiek poborowy. To przemawiało na jego korzyść i na to liczył Igor.

– Możesz stanąć przed sądem – oznajmił po chwili, nie chcąc niczego przed chłopakiem ukrywać. – Wstępując do wrogiej armii, dopuściłeś się zdrady. Za to grozi stryczek.

Pod Albinem ugięły się kolana. Dlaczego nie zginąłem w walce? – pomyślał z żalem.

– Jeśli powiesz, że zostałeś zmuszony i że z chęcią wstąpisz do armii rosyjskiej, wyroku śmierci możesz uniknąć...

– Nigdy – głos Albina zabrzmiał stanowczo. – Wolę odwalić kitę niż złamać przysięgę, którą biorąc Boga za świadka, złożyłem na sztandar.

Kaledin ze zdziwieniem spojrział na tego młodziutkiego, bo zaledwie osiemnastoletniego, żołnierza, z taką łatwością, w imię honoru i miłości do ojczyzny, rezygnującego z życia, którego w zasadzie jeszcze nie pokosztował. Widocznie trzeba najpierw ojczyznę stracić, aby później

życie dla jej odzyskania poświęcać, pomyślał. Nasi żołnierze zbyt chętnie oddają się do niewoli, ale też nasza *Matuszka Rossija* jest raczej macochą, za nic mającą swe dzieci.

– Skoro tak sprawę stawiasz, nic więcej dla ciebie nie mogę zrobić – oznajmił ze smutkiem, nie chcąc chłopaka do niczego przymuszać. – Będzie, co ma być.

**Część druga**  
**Wszyscy mają krew na rękach**

## Rozdział 11

Kaledin miał cichą nadzieję, że Albin przed sąd nie trafi. Kiedy jednak po kilku dniach trafił, nie czekając, jaki będzie wyrok, bo z góry był do przewidzenia, młody rotmistrz zameldował się w sztabie generała Michaiła Sokownina, dowódcy 8. Armii, w której skład wchodziła 4. Dywizja Kawalerii, macierzysta jednostka Igora. Z uwagi na trwające od kilku dni ulewy dalsza ofensywa utknęła w martwym punkcie. W błocie, w które zamieniły się drogi, grzęzły tabory, sprzęt i piechota. Musieli czekać, aż przestanie lać i drogi trochę obeschną. Pułkownicy i generałowie znaleźli wygodne kwatery w pałacu miejscowego ziemianina, niżsi rangą oficerowie kwatrowali po chałupach, a szeregowi gdzie popadło, czyli po stodołach, szopach, a nawet oborach, byle skryć się przed deszczem. Wielu siedziało pod drzewami w kucki, z pałatkami narzuconymi na grzbiety. Z daleka przywodzili na myśl stado zmokłych kur.

Generał właśnie zdążył się zapoznać z korespondencją ze sztabu Frontu, wprost od generała Brusilowa. Zawierała szereg krytycznych uwag na temat działań podejmowanych przez jednostki wchodzące w skład 8. Armii. A to, że ataki rozpoczynano bez dokładnego rozpoznania pozycji nieprzyjacielskich, przez co piechota grzęzła w zasiekach. A to, że łączność była niedostateczna, że artyleria nie potrafiła zniszczyć umocnień wroga, choć pocisków zużyła ponad miarę, że jednostki nie potrafią ze sobą współpracować, że się wojsk nieprzyjaciela nie ściga do skutku, że się ataku nie doprowadza do końca pod pretekstem dużych strat, a korpusom wydaje się nieokreślone ściśle rozkazy, co owocuje oglądaniem się na siebie i biernością. Ta krzywdząca jego zdaniem ocena doprowadziła generała do białej gorączki. Właśnie wysmażył odpowiedź, w której w swoim mniemaniu obalił wszystkie argumenty zwierzchnika, całą odpowiedzialność za zaistniałe błędy zrzucając na „trudności obiektywne” i brak zdecydowania Naczelnego Dowództwa, zmieniającego rozkazy z dnia na dzień.

– Rotmistrz dragonów 4. Dywizji Kawalerii, Igor Piotrowicz Kaledin – zameldował się młody oficer, gdy po długim czasie oczekiwania został w końcu dopuszczony przed oblicze generała.

– Co was do mnie sprowadza, rotmistrzu? – spytał, nie podnosząc nawet oczu znad rozłożonych na stoliku papierzysek. Kaledin, Kaledin, kołatało mu w głowie. Gdzieś już to nazwisko słyszałem.

– *Gospodin gienierał!* – Igor zaczął bez owijania w bawełnę. Służąc w armii nie nauczył się tych wszystkich kruczków, kłamstw i pochlebstw, którymi posługiwano się w urzędach i na dworze. – Proszę o ułaskawienie skazanego na karę śmierci jeńca, Albina Pawłowicza Raweckiego!

– *Wy s uma soszli!* – warknął generał, wstając z mało wygodnego krzesła w stylu rokoko. Ledwie się w nim mieścił jego spasiony tyłek. – Zwariowaliście czy co? Mamy wojnę, a sąd polowy to nie przelewki.

– To młody chłopak, zaledwie osiemnastoletni – ciągnął niezrażony obelgą Igor. Policzę się z tobą przy innej okazji, kanalio, pomyślał, trzymając język na wodzy. – Zbałamucili go, jak wybuchła wojna, i wstąpił do tych strzelców Piłsudskiego...

– Do strzelców Piłsudskiego, powiadacie. – Generał zacisnął ze złości szczękę, aż mu zęby zazgrzytały, i odniósł przykre wrażenie, że ten jeden, mocno już spróchniały, się ukruszył. Ale w obecności podkomendnego nie wypadało grzebać paluchami w gębie, aby się upewnić. Poszukał właściwego miejsca językiem. – To zapewne wiecie, rotmistrzu Kaledin, że te tysiące

naszych, którzy polegli pod Kostiuchnowką, to jego robota! – generał podniósł głos. Ząb jednak się ukruszył, a to zapowiadało problemy. – A ja mam takiemu darować życie?! Wybijcie to sobie z głowy! – Generał cisnął się z powrotem na fotel, aż mebel zajęczał pod jego ciężarem.

– Z jego siostrą mamy zamiar się pobrać – Igor sięgnął po nieco kłamliwy argument, ale zakładał, że Katarzynę odnajdzie i doprowadzi do rozwodu z Kobierskim. – Więc to prawie szwagier, rodzina...

– Macie zamiar ożenić się z Polką?! – warknął generał, który za tą nacją nie przepadał. Buntownicy, i tyle, mawiał zawsze. Chciał jeszcze coś dodać, ale w porę sobie przypomniał, że matka generała Brusilowa, dowódcy Frontu, także była Polką. Nie uchodziło obrzucać błotem rodzicielki zwierzchnika. Gdy spojrzął po raz drugi na Kaledina, z miejsca sobie przypomniał, gdzie już to nazwisko słyszał. Podczas narady Naczelnego Dowództwa w Mohylewie. Generał Brusilow miał go wówczas u swego boku. – Zresztą mnie nic do tego – ciągnął dalej, spuszczać jednak z tonu, aby zatrzeć pierwsze przykre wrażenie. Gotów polecieć do generała na skargę, pomyślał zaniepokojony. – Ale zgody na ułaskawienie dać nie mogę. – Rozłożył bezradnie ramiona. – To miałyby zły wpływ na morale armii. Dezercja zaczyna przybierać katastrofalne rozmiary i nawet wyroki śmierci nie są w stanie zmienić tego stanu rzeczy.

Igor już miał zamiar się odmeldować, gdy generał niespodziewanie oświadczył:

– Ale mam pewien pomysł. – Spojrzął z chytrym uśmiechem na Kaledina i poskrobał się po ryżawych bokobrodach porastających generalskie nalane policzki. Jak dobrze pójdzie, upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu, przemknęło mu przez myśl.

– *Tak toczno, gospodin gienierał...*

– Poślę was z pismem do generała Brusilowa, a wy przedłożycie jego ekscelencji waszą prośbę – oświadczył, sięgając do kieszeni generalskiej kurtki po chusteczkę. Aż się spocił z emocji. – Głównodowodzący frontem może ułaskawić, kogo zechce, i wam z pewnością nie odmówi.

A moje wyjaśnienia, dotyczące błędów w prowadzeniu kampanii, przyjmie życzliwej, pomyślał zadowolony ze swego planu.

Wraz z nastaniem nocy rotmistrz Kaledin zakradł się do zamienionej na areszt dla skazańców szopy, stojącej na skraju wsi, w której kwaterował pułk. W tej chwili przetrzymywano w niej Albina i jeszcze paru innych nieszczęśników, których sąd połowy skazał na śmierć. Kim byli tamci, Kaledina nie interesowało. Noc była deszczowa i ciemna choć oko wykol i w sam raz nadawała się do realizacji jego planów. Zbyt długo służył w wojsku, aby nie wiedzieć, że z wykonaniem kary śmierci nie czeka się nawet paru dniu. Ci z szopy mieli być powieszani nazajutrz. Dotarcie do Brusilowa mogło zająć nawet dwa tygodnie.

– Stój, kto idzie? – Nagle drogę Kaledinowi zagroził żołnierz pełniący wartę.

Tego się nie spodziewał. Widać razem z Albinem skazali kogoś ważniejszego, domyślił się.

– Rotmistrz Kaledin, durniu. Stopni nie rozróżniasz? – warknął ze złością.

– *Izwinitie, wasze błagorodie.* – Wartownik wyprężył pierś obciążoną przemoczoną mundurem. – Ciemności takie, że rozróżnić *nie wozmożno*.

– *Nu ładno, ładno...* – uspokajającym tonem odezwał się Kaledin i sięgnął do kieszeni spodni po paczkę papierosów. Jednego wsunął sobie do ust, a resztę dał wartownikowi. – Masz zapalki? – spytał, macając się po kieszeniach, aby dać do zrozumienia, że on ich nie miał.

– *Nikak niet* – żołnierz odparł z żalem. Pewno każe mi oddać te papierosy, pomyślał zawiedziony. – Ale mogę zaraz przynieść – zaproponował błyskawicznie, choć opuszczenie posterunku było karane chłostą.

Gdy wartownik się oddalił, Kaledin nożem wyłamał dwie liche deski w jednej ze ścian

starej szopy.

– Uciekajcie – rzucił w ciemność, która panowała w środku.



## Rozdział 12

Jakiś czas później Kaledin zameldował się w sztabie generała Brusilowa, który czasowo znajdował się w pałacu Moszyńskiego w Wołoczyskach, mieście leżącym na Wyżynie Wołyńskiej. Podróż koleją z oddalonych o niemal trzysta wiorst Maniewicz zajęła mu sporo czasu. Były momenty, że lokomotywa jechała tak wolno, jakby maszynista po drodze wysiadał zrywać kwiatki rosnące na nasypie kolejowym. Jak w takim tempie będą nam dowozili uzupełnienia na front, to i tę kampanię przegramy, pomyślał rozdrażniony wszechobecną w Rosji niemożnością. Cudem spotkana przy stacji dorożka dowiozła rotmistrza wprost pod drzwi wiodące do wnętrza lśniącego biłą, niewysokiego, choć rozłożystego pałacu. Wartownicy pełniący służbę uniżenie oddali honory przybyłemu, a jeden z nich zaprowadził Kaledina do niewielkiego pokoju na parterze, który pełnił funkcję poczekalni. Niezbyt duże okna wychodziły na otoczony z trzech stron dziedzińca, co pozwoliło zachować we wnętrzu odrobinę chłodu. Sierpień 1916 roku był wyjątkowo upalny i wszystkim dawał się we znaki. Igor usiadł na wygodnym krześle stojącym pod ścianą, naprzeciwko drzwi wiodących do kolejnego pomieszczenia, i zdjął z głowy czapkę. Dłonią obtarł pot z czoła. Widząc stojącą na stoliku popielniczkę, sięgnął po papierosy i zapalił.

Czas płynął mu leniwie. Spoglądając przez okno na ruch panujący na dziedzińcu, gdzie żołnierze różnych stopni, stukając butami o bruk, wędrowali w sobie tylko wiadomym kierunku, układał w myślach słowa, którymi poprosi generała o pomoc. Na nikogo innego liczyć nie mógł.

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich adiutant generała w mundurze jak spod igły.

– Jego ekscelencja prosi – oznajmił chłodno, obrzuciwszy Kaledina krytycznym spojrzeniem. Jego mundur pozostawiał wiele do życzenia, choć przed wyjazdem ordynans poprzyszywał guziki, które oberwały się podczas pościgu za wycofującymi się Austriakami, oraz usunął plamy krwi.

Jednak generał zdawał się na takie drobiazgi nie zwracać uwagi. Wygląd Kaledina, a zwłaszcza świeża blizna biegnąca w poprzek policzka, świadczyły dobitnie, że rotmistrz nie żałował potu i krwi na linii frontu, a takich oficerów Brusilow kochał najbardziej. Przywitał swego ulubieńca serdecznie i posadził na kanapce o wygiętych nóżkach stojącej pod oknem. Sam usiadł tuż obok i utkwiał w swym gościu badawcze spojrzenie.

– Więc co was sprowadza, Igorze Piotrowiczu? – spytał po chwili.

– Generał Sokownin przysłała pisma. – Kaledin wyjął z wewnętrznej kieszeni frencza listy otrzymane od swego dowódcy.

– To Sokownin już nie dysponuje kurierami, tylko tak bitnego rotmistrza wycofuje z pola walki, aby słać z listami? – spytał zaskoczony Brusilow.

Odebrał pisma z rąk Igora i zaniósł na biurko mieszczące się po przeciwnej stronie niezbyt obszernego pokoju. Generał jednak nie narzekał na ciasnotę, wręcz przeciwnie, nie przepadał za przepychem. Całe życie spędził jak nie w koszarach, to na froncie, a tam luksusów nie ma. Jedynie krew, pot oraz smród i brud, o wszach nie wspominając.

– Proszę wybaczyć, generale, ale sam się zobowiązałem, aby móc dostać się przed pańskie oblicze – oświadczył Kaledin, wstając.

– Tak? – odpowiedź Kaledina zdumiała generała. – Nie wstawajcie, Igorze Piotrowiczu, bo wówczas czuję się przy was jak Dawid przed Goliatem – dorzucił żartobliwie.

– Mam do pana, generale, prywatną prośbę... – zaczął Igor nieśmiało i usiadł zgodnie z życzeniem generała. Czuł się fatalnie w roli proszącego, ale dla Katarzyny gotów był na

wszystko. – Muszę uzyskać informacje o losie bardzo mi bliskiej osoby. Zdaje się, że przebywa na terenach zajętych przez Niemców. Chciałbym tam pojechać.

– Któż to taki? – zainteresował się generał. Założywszy nogę na nogę, zamienił się w słuch.

To było dla Kaledina najtrudniejsze pytanie. Jak mam wytłumaczyć, że szukam żony jakiegoś nic nieznaczącego doktora Kobierskiego, pochodzącego na dodatek z Priwislinskiego Kraja? – pomyślał. Generał gotów mnie posądzić o romans z mężatką.

– Tuż przed wybuchem wojny pokochałem pewną dziewczynę... – zaczął po chwili namysłu, decydując się na szczerość.

W skrócie, aby nie zabierać cennego czasu generałowi, opowiedział, jak utracił ukochaną, noszącą pod sercem jego dziecko, jak została zmuszona do małżeństwa i jak nieroztropnie mąż wywiózł ją do Łodzi, która wkrótce padła łupem Niemców.

Generał słuchał wyjaśnień Kaledina ze zrozumieniem, a nawet z pewną dozą wzruszenia. On już zdążył zapomnieć, co to znaczy kochać kobietę. Dla niego najwspanialszą kochanką była armia, więc zamiar swego podkomendnego uznał za zbyt szalony. Jego zdaniem żadna niewiasta nie zasługiwała na takie poświęcenie ze strony dzielnego i doświadczonego oficera. Zwłaszcza Polka. Brusilow nie przepadał za tą nacją, choć w jego żyłach płynęła polska krew. Już dawno zdążył o tym zapomnieć, wszak jego ojciec nie ożenił się z Polką, tylko poddaną cara Rosji.

– Jestem wam, Igorze Piotrowiczu, winien wdzięczność za przelaną krew i poświęcenie w ciągu tych dwóch lat wojny... – zaczął generał i zawiesił głos. – Ale zgody na taką szaleńczą eskapadę dać nie mogę – dodał po chwili, jakby już wszystko sobie rozważył.

Gdy Kaledin usłyszał te słowa, serce mu zamarło. Odmówi mi, tak przypuszczałem, pomyślał ze smutkiem. Już miał zamiar wstać, gdy Brusilow wstrzymał go gestem ręki.

– Ale mam inny pomysł. Wydaje mi się, że znacznie lepszy – oświadczył, uśmiechając się pod wąsem, jak zawsze nastroszonym na kształt dwóch wierzbowych miotełek. – Nie tak dawno otrzymałem pismo z Petersburga... – Generał zerwał się z kanapki i szybkim krokiem podszedł do biurka. Z szuflady wyjął zapisaną kartkę papieru, z którą wrócił na miejsce. – Generał Biezobrazow zapytuje, czy nie mógłbym mu podesłać jakiegoś doświadczonego w boju kawalerzysty, który podszkoliłby wstępujących do Gwardyjskiego Pułku Konnego młokosów. Wszak to same maminsynki. Strach im dać broń do ręki, żeby sobie oczu nie powybijali, a dobrych nauczycieli jak na lekarstwo – tłumaczył, nie spuszczać z Kaledina swego przenikliwego spojrzenia. – Załatwię wam przeniesienie. Wasze doświadczenie w bezpośrednich działaniach wojennych może się okazać bezcenne w kształceniu nowych kadr. Sami wiecie najlepiej, jak wielu oficerów armia rosyjska straciła w ciągu dwóch lat wojny. A na jej koniec się nie zanosz, patrząc, co wyprawia generał Ewert oraz Naczelne Dowództwo – stwierdził na koniec.

– Jestem, ekscelencjo, niezmiernie wdzięczny. – Nie tak Kaledin wyobrażał sobie pomoc generała. – Pokornie dziękuję. Ale będąc w Petersburgu, nie mam żadnych szans na odszukanie Jekatieriny. Proszę jedynie o miesiąc urlopu...

– Nie macie racji, Igorze Piotrowiczu. – Brusilow pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się życzliwie. – Dam wam list polecający do ambasadora Wielkiej Brytanii w Petersburgu, sir Georga Buchanana – ciągnął dalej, niezrażony zawiedzioną miną Kaledina. Doskonale go rozumiał. Sam też był człowiekiem czynu. Ale wiedział również, jak się w Rosji sprawy załatwiają. – On zna w Petersburgu wszystkich, którzy w obecnym świecie pociągają za sznurki, czego nie można powiedzieć o mnie. Szukaniem waszej Jekatieriny zajmą się specjalne służby, bez narażania waszego życia na szwank. Jeśli rola instruktora nie przypadnie wam do gustu, wróćcie na front. Macie moje słowo.

## Rozdział 13

Piotrogród, jak od roku zwano Sankt Petersburg, przywitał Kaledina słoneczną pogodą, choć w powietrzu czuło się chłód nadchodzącej szybkimi krokami jesieni. Od Zatoki Fińskiej ciągnął wilgotny wiatr, a na horyzoncie gromadziły się chmury. Kaledina zaskoczyła panująca w stolicy imperium dziwnie duszna atmosfera. Ulicami jak kiedyś sunęły wypełnione pasażerami elektryczne tramwaje, pomiędzy którymi przemykały niezliczone ilości dorożek. Nawet automobile, na prowincji rzadkość niezmierna, w stolicy już nikogo nie dziwiły i nie wzbudzały sensacji. Miasto sprawiało wrażenie, jakby żadna wojna się nie toczyła, lecz były to tylko pozory. Mieszkańcy, podświadomie czując nadciągającą burzę, która miała ich zmieść z powierzchni ziemi, chcieli do syta, do dna najeść się życia, jakie im zostało, aby niczego później, gdy nadejdzie koniec, nie żałować. Lokale rozrywkowe pełne były rozbawionej klienteli, kwitły romanse i małżeńskie zdrady, niepokój uśmierzano za pomocą alkoholu i narkotyków. Choć stolica Rosji słynęła z przepięknych cerkwi, fasadowa religijność nie dawała mieszkańcom odpowiedzi na najistotniejsze pytania. Nic zatem dziwnego, że popularnością cieszyli się różnego rodzaju mistycy, fałszywi prorocy oraz okultyzm i wieczorki spirytystyczne.

Choć wojna do stolicy imperium nie dotarła, to na ulicach roiło się od poubieranych w mundury mężczyzn. Wynikało to z faktu, że Sankt Petersburg z dawien dawna był miastem wojskowych. Oficerowie gwardyjskich pułków należeli do śmietanki towarzyskiej, a liczni krewni rodziny carskiej, wszyscy kuzyni, stryjowie czy bracia piastowali w armii najważniejsze stanowiska: komendantów okręgów wojskowych, inspektorów artylerii, inspektorów uczelni wojskowych, zwierzchnika carskiej floty, dowódców elitarnych pułków i tak dalej. Nic więc dziwnego, że na ulicach z rzadka można było spotkać mężczyzn ubranych w surduty czy marynarki, w melonikach, cylindrach czy słomkowych kapeluszach na głowach. Na ogół mężczyźni paradujący po szerokich trotuarach i nadrzecznych bulwarach, zajmujący miejsca w restauracjach czy kawiarniach, siedzący w dorożkach czy tramwajach, a nawet prowadzący automobile mieli na sobie mundury ozdobione złotymi lub srebrnymi akselbantami, obwieszone orderami, a wielu z nich pobrzękiwało szabelkami i ostrogami.

Ale dotyczyło to centrum. Natomiast na peryferiach po bramach siedzieli kalecy żołnierze, bez rąk czy bez nóg, czekając na wsparcie litościwych przechodniów. Po ulicach biegały bose dzieci w obszarpanych ubraniach, szukając czegokolwiek do jedzenia, wałęsali się bezrobotni, zbyt starzy lub zbyt młodzi, aby ich zaciągnąć w szeregi armii i posłać na front. Ci, którzy dostali karty powołania, pozostawili na pastwę losu swe żony i dzieci. Młode i zdrowe kobiety mogły liczyć na pracę w fabrykach, ale wiele zakładów przestało funkcjonować, a te, które jeszcze działały, płaciły grosze. W sklepach zaczynało brakować towarów, a to, co było, drożało z dnia na dzień. Jednak takie przyziemne problemy nie dotyczyły zamożnych mieszkańców Sankt Petersburga, ze względów propagandowych zwanego Piotrogradem, ani rodziny cara, która większość czasu spędzała w pełnym przepychu pałacu w Carskim Siole, odizolowana nie tylko od reszty rodziny, ale także od swych poddanych.

Prosto z dworca Kaledin kazał się zawieźć do budynku, w którym mieściła się ambasada Wielkiej Brytanii. Siedząc rozparty w dorożce, która mknęła nabrzeżem Mojki, z sentymentem, jak na dawno niewidzianego przyjaciela, spoglądał na miasto rozrzucone na kilkudziesięciu wyspach, spiętych prawie czterema setkami mostów. W swej krótkiej historii zostało zabudowane wspaniałymi pałacami książąt, kamienicami burżuazji, licznymi teatrami, w typowym dla Rosji stylu imperialnym – były to dzieła wybitnych architektów, którzy potrafili

monumentalnym budowlom nadać koronkową lekkość. Przepyszne fasady budynków, bogato dekorowane długimi rzędami kolumn, posągami i płaskorzeźbami, świadczyły o zamożności mieszkańców. Pomiędzy nimi wyrastały zbudowane w starym rosyjskim stylu cerkwie i sobory o złożonych i emaliowanych cebulastych kopułach, bogato dekorowane mozaikami, płytkami ceramicznymi, szkliwionymi ceglami oraz różnorodnymi detalami architektonicznymi. Obszerne place, pomniki, fontanny, parki ozdobione kwietnymi dywanami, rzeźbami i sadzawkami, w których pływały złote karpie, musiały oczarować każdego obcego przybysza. Po dwóch latach spędzonych w okopach wypełnionych błotem i krwią, kiedy jedyne towarzystwo stanowili brudni, zawszeni i zarośnięci żołnierze oraz konie, Kaledin nie mógł się napatrzeć na stołeczne elegantki, mogące konkurować z tymi z Paryża, stolicy światowej mody. W sukniach i kostiumach według najnowszych trendów stuknęły obcasikami po kamiennych trotuarach. Oczyma wyobraźni widział siebie, jak razem z Katarzyną, ubraną jak one, w wąską spódnicę, odsłaniającą kostki jej szczupłych nóg, w żakiecie, dłuższym z tyłu na kształt fracza, ściągniętym w talii szerokim paskiem, spacerują szerokim bulwarem nad Fontanką, jak Katarzyna ze śmiechem przytrzymuje ręką ozdobiony kokardami i woalką kapelusz, aby nie porwał go wiatr wiejący do Newy, jak razem tańczą walca na balu u tego czy innego księcia, jak pływają łódką po parkowym stawie, a Katarzyna parasolką osłania swoją twarzyczkę przed prążącymi promieniami słońca, jak po powrocie do domu kochają się całą noc, która tu, w Petersburgu, zdaje się dniem...

– Jesteśmy na miejscu – z otchłani słodkich marzeń wyrwał Kaledina chrapliwy głos siedzącego na kozle woźnicy.

Igor wręczył mu kilka kopiejek i wzięwszy swoją torbę podróżną, wyskoczył na chodnik. Odruchowo czujnie rozejrzał się wokoło, czy czasem gdzieś w pobliżu nie czaiły się wrogie pułki. Lecz po drugiej stronie niezbyt szerokiej rzeczki ciągnął się długi budynek, będący zapewne stacją, jak mógł wywnioskować z wydobywających się przez liczne okna odgłosów w postaci rżenia koni i tupotu setek kopyt. Przed nim i za nim widniały w oddali wspaniałe budynki o bogatej architekturze. Kaledin poprawił na sobie mundur i wszedł do budynku ambasady.

Sir George Buchanan, dość wysoki i szczupły mężczyzna o orlim nosie i przylizanych włosach, przyjął Kaledina w niewielkim, lecz bardzo gustownie urządzonej gabinecie, którego okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, dzięki czemu do środka nie wpadał uliczny gwar. Siedzący za mahoniowym biurkiem ambasador kościstą dłonią o tak delikatnej i przejrzystej skórze, że można było dostrzec pod nią sieć błękitnych żyłek, w których płynęła równie błękitna krew barona, wskazał przybyłemu krzesło. Obrzucił zaciekawionym spojrzeniem swych zimnych oczu mundur Kaledina, noszący wyraźne ślady frontowej przeszłości, przyozdobiony po lewej stronie piersi Orderem Świętego Jerzego, ale powstrzymał się od zadawania jakichkolwiek pytań. W końcu mamy wojnę, pomyślał. Widać jednak, że nie wszyscy Rosjanie grzeją tyłki przy piecach.

– Igor Piotrowicz hrabia Kaledin. Rotmistrz Gwardyjskiego Pułku Konnego – przedstawił się młody oficer w języku francuskim, bo angielskiego nie znał, a zakładał, że Buchanan nie mówił po rosyjsku, i usiadł na wygodnym krześle, stojącym *vis-à-vis* ambasadorskiego biurka zawalonego przyborami do pisania, pieczętkami i stosem dokumentów. – Przywożę pismo od generała Aleksieja Aleksiejewicza Brusilowa – oznajmił, wręczając kopertę.

Nie spuszczał z ambasadora czujnego spojrzenia, gdy Buchanan srebrnym nożykiem rozciął kopertę, nałożył na nos binokle i zagłębił się w treść listu. Daj Boże, aby ten Anglik rzeczywiście był taki wszechmocny, modlił się w duchu Igor.

– Więc tak, młody człowieku – zaczął Buchanan z wolna, gdy skończył czytać

i złożywszy starannie pismo, wsunął je do szuflady biurka. – Jestem niezmiernie rad, że mogę osobiście poznać tak dzielnego i oddanego naszej sprawie oficera. Musimy zrobić wszystko, aby wspólnymi siłami pokonać Niemców. Co do pańskiego problemu, hrabio... – ciągnął po chwili dalej, ważąc dokładnie każde słowo, zanim opuściło jego wąskie jak szparki usta. – Chyba nie będę mógł udzielić stosownej pomocy. Moje koneksje tak daleko nie sięgają. Otóż poprzedni minister spraw wewnętrznych, Aleksiej Chwostow, z którym byłem zaprzyjaźniony, został właśnie zwolniony ze stanowiska. Natomiast obecny, Aleksander Protopopow, nie należy do mojego kręgu towarzyskiego. Oględnie mówiąc, jest to indywiduum mocno niezrównoważone psychicznie z uwagi na postępujący syfilis.

Byłem skończonym durniem, wierząc w dobre intencje Brusilowa, pomyślał Kaledin z wściekłością i zerwał się z krzesła. Niewiele brakowało, a byłby je przewrócił.

– Mogę jednak wskazać człowieka, który jednym słowem otworzy panu drzwi, do których chce pan zapukać – oznajmił bardzo tajemniczo Buchanan. – Proszę spocząć, hrabio. – Dystyngowanym gestem wskazał krzesło.

– Będę panu niezmiernie zobowiązany. – Kaledin usiadł z powrotem i utkwił w ambasadorze podejrzliwe spojrzenie. Dopiero teraz zauważył, że Buchanan uczesany był nieco staromodnie, z przedziałkiem pośrodku głowy. Podobnie jego wąsy rozdzielał przedziałek tuż nad górną wargą.

Ambasador sięgnął do szuflady biurka i wyjął stamtąd karteczkę, na której skreślił tylko kilka słów i podał ją Kaledinowi.

– To adres mieszkania Grigorija Jefimowicza Rasputina... – Ambasador zawiesił głos, jakby szukał odpowiednich słów, które najtrafniej określiłyby rolę, jaką w imperium odgrywał ów człowiek. – To szara eminencja na carskim dworze. On z pewnością zaproteguje pana u Protopopowa, bo sam go na to stanowisko wepchnął. – Z każdym wyrazem głos ambasadora przybierał na sile, a na jego bladych do tej pory policzkach pojawiły się niezdrowe rumieńce.

– Już mi opowiadano o tym człowieku. – Kaledin przypomniał sobie słowa swego ojca. – Ale nie przypuszczałem, że sprawy zaszły tak daleko. To po prostu skandal i kompromitacja. Dlaczego nikt go do tej pory nie usunął? Rozumie pan, co mam na myśli?

– Próbował Chwostow – odparł ambasador, rozkładając ręce. – Fakt, że robił to bardzo nieudolnie i sprawa ujrzała światło dzienne. Wówczas Rasputin poskarżył się carowej, a ona wymogła na carze usunięcie ministra oraz jego zastępcy i zesłanie ich obu do odległej guberni. Nie jego pierwszego i nie ostatniego, nawiasem mówiąc – dorzucił cierpko.

– Więc to wszystko prawda... – szepnął Kaledin zdruzgotany słowami Anglika. Rosja pogrąża się w bagnie, pomyślał, ale uwagę zostawił dla siebie.

– Prawda. – Buchanan kiwnął głową. – Ten prosty syberyjski chłop panoszy się na cesarskim dworze niczym udzielny książę. Bierze łąpówki, pije na umór, oddaje się rozpuście. Ponoć sama carowa z nim sypia. Po mieście krążą kopie jej listów do męża, w których wyrazy czułości przeplatają się z wezwaniem, aby Dumę rozwiązał, a przeciwników zesłał na Syberię. A tę kreaturę, Rasputina, nazywa „Naszym Przyjacielem”! – Wzniósł oczy na sufit, jakby oczekiwał, że Bóg go usłyszy i zagrzmie. – Zresztą ma on grono swoich zagorzałych wielbicielek, rozhisteryzowanych bab, zarówno tych prostych, jak i szlachetnie urodzonych... – Ambasador z rezygnacją machnął ręką. – Wśród nich prym wiedzie Anna Wyrubowa, najserdeczniejsza przyjaciółka carowej... – dodał konfidencjonalnie, choć nie zdradzał żadnej tajemnicy. Cały Piotrogród o tym trąbił.

Chciał jeszcze dorzucić parę słów na temat tej przyjaźni, mocno podejrzanej pod względem moralnym, ale postanowił ten argument pozostawić na później, jak sprawy posuną się do przodu.

- Jaka jest przyczyna jego popularności?
- Ponoć ma dar prorokowania i uzdrawiania – odrzekł Buchanan. – Ale ten fałszywy prorok ma więcej na sumieniu, niż się wszystkim wydaje...
- Chryste, czyż może być coś jeszcze? – głosem pełnym oburzenia spytał Kaledin.
- Porozmawiamy o tym przy okazji. – Buchanan uznał, że przynęta została połknięta, a na pociągnięcie za linkę było jeszcze za wcześnie. – Zapraszam pana na bankiet, który ambasada będzie wydawała za dwa tygodnie – oświadczył z oficjalnym uśmiechem na pociągłej twarzy. Ten chłopak spadł mi z nieba, pomyślał, podnosząc się z krzesła, co oznaczało koniec rozmowy.

## Rozdział 14

Żołd, który Kaledin otrzymał, kiedy już załatwił wszelkie formalności z przeniesieniem do Pułku Konnego, nie porażał wielkością wobec szalejącej inflacji. Mimo to Igor był zobowiązany do wynajęcia drogiego, choć niewielkiego mieszkania na pierwszym piętrze w eleganckiej kamienicy przy Newskim Prospekcie. Oficer gwardii nie mógł mieszkać w złej dzielnicy ani oszczędzać na wydatkach. Musiał odpowiednio się nosić, na kawę i ciastka chodzić do cukierni Iwanowa przy Teatrze Maryjskim, a piwo pić u Leinera na przecięciu Newskiego Prospektu z nabrzeżem Mojki. Jeśli się nie dostosował, czekał go towarzyski ostracyzm lub przeniesienie do innego pułku.

Po wojnie ceny się unormują, ja awansuję na pułkownika, z czasem na generała i mojej Jekatierinie nie zabraknie niczego, marzył sobie, pałac papierosa na balkonie, z którego miał widok na stojący po drugiej stronie ulicy kościół katolicki pod wezwaniem Świętej Katarzyny. To z tego powodu właśnie na to mieszkanie się zdecydował. Spoglądając na rozpiętą między budynkiem klasztornym a parafią niewielką świątynię, wybudowaną w stylu klasycystycznym, do której wiodły szerokie schody, a dach zwieńczała ogromna kopuła, miał wrażenie, jakby był bliżej swojej Katarzyny.

Kiedy tylko Kaledinowi dostarczono nowy mundur, prosto spod igły, wybrał się spacerkiem na ulicę Grochową, gdzie pod numerem sześćdziesiątym czwartym mieszkał Rasputin. Pod pachą niósł zapakowany w eleganckie pudełko kupiony u jubilera misternej roboty srebrny krzyżyk na łańcuszku, którym miał zamiar obdarować „świętego starca”, jak powszechnie mówiono o Rasputinie. Nawet zatrudniona przez Kaledina służąca, Anuszka Iwanowna, nie mogła wyjść z zachwytu nad świętością ponoć od mnicha emanującą. Przemierzając ulicę Wielką Morską, która stanowiła, obok Fontanki, tradycyjną trasę spacerową śmietanki towarzyskiej Piotrogradu, w myślach układał treść rozmowy. Jak mam się do niego zwracać, aby nie urazić? „Ojczy”, „święty starcze”, a może wystarczy „Grigoriju Jefimowiczu”? – bił się z myślami. Moim szeregowym dragonom wydawałem po prostu rozkazy, a jak nie docierało, to jeden z drugim dostawał po mordzie. Temu też z chęcią bym przyłożył parę nahajek, to od razu by wiedział, gdzie jest jego miejsce.

Zatopiony we własnych myślach, nie zwracał uwagi na ubrane w wykwintne toalety damy przechadzające się pod rękę z równie elegancko ubranymi kawalerami lub odzianymi w paradne mundury oficerami, którzy dziarsko pobrzękiwali ostrogami. Rozmawiając ze sobą po francusku lub angielsku, pozdrawiali się skinieniem głowy, taksując krytycznie toalety dam. Ani się spostrzegł, jak znalazł się na moście nad Fontanką. Przy szerokich nadbrzeżnych bulwarach w długich rzędach stały pałace i kąpiące bogactwem kamienice zbudowane we włoskim stylu. Minąwszy kolejną przecnicę, wszedł do bramy wiodącej do mieszkania Rasputina. Furtian, nawykły do licznych gości odwiedzających „świętego starca”, wskazał mu schody prowadzące na drugie piętro, wprost do frontowych drzwi.

Otworzyła je przysadzista służąca opasana fartuchem i nie pytając o przyczynę wizyty, zaprowadziła do pokoju, który zapewne pełnił funkcję poczekalni. Na krzesłach tuż przy drzwiach siedziało dwóch prostych chłopów, którzy w spracowanych dłoniach trzymali jakieś podania, licząc na wstawiennictwo świętego. Obok nich rozsiadł się w fotelu generał, mający nadzieję na przeniesienie na inne stanowisko, bardziej intratne i z dala od frontu. Przy piecu przycupnęła młoda kobieta z prowincji, okutana w kraciastą chustę. W ramionach tuliła wątle i blade niemowlę, które cichutko kwiliło. Miała wewnętrzne przekonanie, że świątobliwy mąż je

uzdrowi. Przecież już tysiące ludzi wyrwał ze szponów śmierci. W pobliżu drzwi, za którymi mieściła się pracownia Rasputina, czyli pokój, gdzie przyjmował swoich interesantów, siedział elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku, zapewne urzędnik marzący o podwyżce i awansie. Obok niego usiadła na stołeczku dziewczyna o bladej cerze, zniszczonej grzesznym trybem życia, który prowadziła, pragnąca odmiany swego losu lub chociaż błogosławieństwa przynoszącego szczęście. Ona właśnie najdłużej zabawiła u Rasputina.

Kiedy w końcu do pokoju wszedł Kaledin, jego oczom ukazało się przede wszystkim najwyklesze żelazne łóżko okryte futrzaną kapą. Tuż obok stała umywalnia, a jedną ze ścian zajmowały przyozdobione wstęgami obrazy przedstawiające świętych. Rasputin siedział za okrągłym stołem nakrytym wzorzystym obrusem. Na widok Kaledina, który musiał schylić głowę, aby nie stuknąć czołem o nadproże, wstał z krzesła. Ubrany był w aksamitną błękitną rubaszkę, wyszywaną w kwiaty, i szerokie aksamitne spodnie, wpuszczone w cholewki wysokich, rozczłapanych butów. Jednak uwagę Kaledina przykuła jego twarz – prostacka w rysach, grubo ciosana, o wydatnym nosie, okolona zmierzwioną, długą brodą, ze spływającymi na ramiona przetłuszczonymi włosami, rozdzielonymi pośrodku głowy szerokim przedziałkiem. Na dnie jego dziwnie przeźroczystych jasnych oczu czaiła się nieufność. Cały sprawiał wrażenie zwierzęcia gotującego się do ataku lub ucieczki. Natychmiast zawiesił na swym gościu świdrujące, przenikliwe spojrzenie. Chyba chce mnie zahipnotyzować, pomyślał Igor z odrobiną niepokojem i na wszelki wypadek umknął spojrzeniem w bok.

– Co cię do mnie sprowadza, drogi przyjacielu? – spytał ojcowskim tonem Rasputin i wskazał Kaledinowi krzesło. Jaki ładny chłopiec, pewno niejedną dziewczuchę zbałamucił, pomyślał z odrobiną zazdrości.

– Grigoriju Jefimowiczu – zaczął Igor nieco zakłopotany, kładąc na stole pakunek. Nigdy nikomu nie wręczał łapówki. – Przyniosłem wam drobny podarek na pamiątkę naszego spotkania.

Rasputin, nie mając podobnych obiekcji, przyzwyczajony do brania prezentów, łakomie wziął do rąk pudełko, odwinął papier i wydobył ze środka jubilerskie cacuszko. Oczy rozbłyły mu niezdrowym blaskiem. Nie dość, że przystojny ten żołnierzyk, to jeszcze hojny, pomyślał, wieszając krzyżyk na piersiach.

– Opowiadaj, co u ciebie. Rany już się zagoiły?

– Tak... – odparł Kaledin, zaskoczony pytaniem, i zerknął na Rasputina ze zdziwieniem. Pomyślał, że może jednak on jest bożym człowiekiem. – Zagoiły się jak na psie – odparł po chwili. – Ale mam sprawę do Aleksandra Dmitrijewicza Protopopowa, ministra spraw wewnętrznych...

– A jakąż to? – spytał Grigorij i wyczekująco spojrzął na młodego oficera.

Tego się Kaledin nie spodziewał. Cóż cię to obchodzi, chamie jeden, pomyślał ze złością, ale zapanował nad emocjami.

– Szukam mojej ukochanej – odparł po chwili. – Gdzieś się zawieruszyła po niemieckiej stronie frontu. Powiła mi dziecko. Nawet nie wiem, czy to syn, czy córka. Muszę ich odnaleźć, a ekscelencja Protopopow dysponuje całą armią szpiegów...

– Masz jej fotografię?

– Mam. – Kaledin kiwnął głową i sięgnął do kieszeni frena po zdjęcie, a właściwie to, co z niego zostało. – Jest zniszczona, bo w medalion trafiła kula – wytłumaczył, widząc zdziwienie malujące się na twarzy Grigorija Jefimowicza.

– Bardzo ciekawa historia – zainteresował się i z uwagą spojrzął na zdjęcie. – Opowiedz coś o tej dziewczynie.

Chcąc nie chcąc, Kaledin raz jeszcze opowiedział dzieje swego romansu z Katarzyną,



opuszczając wątek o jej ślubie z Kobierskim. Nie musi ten muzyk znać całej prawdy, pomyślał, obawiając się, że święty starzec potępi go za szukanie mężatki i w konsekwencji nie zaproteguje u ministra.

Rasputin ukląkł przed jednym z wielu świętych obrazów ozdabiających ściany pokoju i raz po raz, kreśląc na piersiach znak krzyża, modlił się żarliwie. Gdy skończył, usiadł za stołem i oddał Igorowi fotografię Katarzyny.

– Dziewuszka żyje – oznajmił, obcierając rękawem spocone czoło. Widać było, że włożył w modlitwę sporo energii. – Ale dzieciątko zmarło. – Zerknął na Kaledina ciekaw jego reakcji. – Minister to mój serdeczny przyjaciel – ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na niedowierzanie malujące się w oczach Igora. – Jest u mnie stałym gościem, aby zasięgać porad w różnych sprawach. Ostatnio ostrzegał mnie przed zamachem na moje życie. Dam wam do niego list polecający, aby waszą Jekatierinę odszukał.

Sięgnął po jedną z wielu karteczek walających się po stole i umoczywszy stalówkę w atramencie, postawił na niej kilka niezdatnych kulfonów, trudnych do odczytania.

– Czasami może sprawiać wrażenie szalonego – ostrzegł Rasputin, wręczając Kaledinowi karteczkę – ale to naprawdę dobry i bogobojny człowiek.

Na pożegnanie uściśnął go serdecznie i ucałował w oba policzki.

\*

Protopopow obiecał sprawę wyjaśnić bez zbędnej zwłoki. Zajęło mu to bite cztery tygodnie. Widać szybciej się nie dało, myślał Kaledin, siedząc w poczekalni przed gabinetem ministra. Z emocji słyszał bicie własnego serca. Nie mógł się doczekać, kiedy minister wręczy mu karteczkę z adresem. Miał wewnętrzne przekonanie, że Protopopow Kobierskich odnalazł i że niedługo będzie mógł się zobaczyć z Katarzyną. Nie zastanawiał się nawet minuty, co na takie spotkanie powie jej mąż, doktor Kobierski, jak zareaguje, gdy próg ich domu przekroczy biologiczny ojciec dziecka. Fakt jego istnienia Igor wyparł ze świadomości. Liczyła się tylko Katarzyna i dziecko, bo słowa Rasputina o jego śmierci włożył między bajki. Cóż ten ciemny chłop może wiedzieć, powtarzał w myślach. Szarlatan i oszust, żerujący na ludzkiej głupocie i naiwności.

Rozmyślenia Kaledina przerwał głos sekretarza, zapraszający go przed oblicze jego ekscelencji ministra Aleksandra Protopopowa. Minister zerwał się z biurka, gdy tylko Igor wszedł i stuknąwszy obcasami, przypomniał swoje imię i nazwisko oraz sprawę, z którą przyszedł. W końcu od jego pierwszej wizyty minął szmat czasu. Protopopow nerwowo przeczesywał szczupłymi palcami rzadkie włosy nijakiego koloru, zaczesane do góry, przez co odsłaniały jego wysokie, poszerzone o łysinę czoło.

– Siadajcie, Igorze Piotrowiczu. – Wskazał krzesło. – Wyobraźcie sobie, mój drogi, że znowu jakieś kanale szykują zamach na naszego drogiego świętego starca – oznajmił rozedrganym, nieco bełkotliwym głosem. Trząsł się na całym ciele, a po skroniach płynęły mu grube krople potu. – Podwoilem liczbę agentów przed jego domem, ale jestem pełen obaw. Gdy jego zabraknie, nastąpi i nasz koniec – wyznał płaczącym tonem.

W tej sprawie minister Protopopow miał całkowitą rację. Już kilka miesięcy po śmierci Rasputina zostanie aresztowany i osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej, a w październiku 1918 roku rozstrzelany przez bolszewików. Ale takich szczegółów nawet Rasputin nie przewidywał.

Kaledin spoglądał z mieszanymi uczuciami na miotającego się po gabinecie ministra. Rację miał staruch, że minister sprawia wrażenie szalonego, pomyślał, nie wiedząc, czy powinien wyjść, czy zostać i czekać na rozwój wydarzeń. Gdy minister w końcu wyrzucił z siebie cały żal,

jaki nosił w sercu wobec przeciwników Mikołaja II, nieco się uspokoił i usiadł na swoim krześle za biurkiem. Otworzył leżącą przed nim teczkę i wyjął z niej gęsto zapisaną kartkę papieru.

– Mam już informację w waszej sprawie, Igorze Piotrowiczu – oznajmił beznamiętnym tonem. Jedynie upiorna bladeść jego twarzy świadczyła, że przed paroma minutami był bardzo wzburzony. – I nie są to dobre informacje – dorzucił po chwili, gdy zapoznał się z treścią raportu.

– To znaczy? – spytał Kaledin, czując suchość w gardle.

– Rodzina Kobierskich – czytał minister – opuściła Łódź, zanim miasto zostało poddane Niemcom, i przeniosła się do Warszawy. Tam na świat przyszła córka, której dano na imię Tamara. Przed kapitulacją Warszawy doktor Kobierski wraz z rodziną wyjechał na wieś, a później uciekali do Pińska. Z informacji zebranych przez moich agentów wynika – podniósł na Kaledina wzrok. Zaraz mi ten oficerek zemdleje, pomyślał, widząc trupio bladą twarz swego rozmówcy – że tam jednak nie dojechali. Zmarli wszyscy w Kobryniu na czarną ospę.

Drogi do swego mieszkania przy Newskim Prospeckie Kaledin nie pamiętał. Usiadł przy stole i wlepił wzrok w kopułę na dachu kościoła pod wezwaniem Świętej Katarzyny. Odcinała się ciemną barwą na tle czerwonej łuny zachodzącego słońca. W dole rozbrzmiewały okrzyki woźniców, tętent końskich kopyt po bruku i turkot tramwaju po szynach. Zapadła noc, a on wciąż siedział bez ruchu, nie mogąc uronić nawet jednej łzy. Czuł się martwy. Przed oczyma wciąż miał obraz Katarzyny, gdy stała przed nim naga, z mokrymi od deszczu włosami, które kaskadą złotych fal spadały jej na piersi, zasłaniały twarz, zalaną łzami szczęścia. Nadal miał w pamięci jej słowa: „Cały mój świat to ty. Dopóki się nie pojawiłeś, nie było słońca ni gwiazd na niebie”. Świadomość, że stracił ją bezpowrotnie, że już nigdy nie weźmie jej w ramiona, że nigdy więcej nie zazna jej słodkich pocałunków, paliła go niczym żywy ogień. Katiu, moja Katiu kochana, jedyna, szczęście ty moje...

Świt zastał go w tym samym miejscu. Gdy pierwsze promienie słońca wpadły przez okno do pokoju i zakłuły Igora w oczy, ciężkim krokiem poszedł do sypialni i do miski stojącej na umywalni nalał z dzbanka wody. Była lodowato zimna. Opłukał twarz i odruchowo spojrzął w lustro. Na lewej skroni niczym skrzydło gołębia srebrzyła się siwizna. Palcami dotknął blizny na lewym policzku. Pozostałość po bitwie pod Kostiuchnowką. Ranił go nożem jakiś żołnierz w niebieskim mundurze legionisty. Sięgnął po pas przewieszony przez oparcie krzesła i wyciągnął z kabury pistolet. Usiadł przy stole i sprawdził magazynek. Był pełen. Odbezpieczył broń. Zbyt cierpiał, aby pomyśleć, jaki ból zada matce i ojcu, odbierając sobie życie. Chciał jak najszybciej znaleźć się tam, gdzie poszła Katarzyna i ich córeczka. Nawet gdyby to miało być najgorętsze z piekieł.

## Rozdział 15

Dawno minęła północ, gdy w oknach rezydencji Feliksa Feliksowicza Jusupowa, dorównującego bogactwem samemu carowi i będącego z carem spowinowaconym poprzez swoją żonę Irinę Aleksandrownę, siostrzenicę cara, w końcu zgasły wszystkie światła, co mogło świadczyć, że ostatni już goście opuścili ociekający przepycham pałac nad Mojką. Jednakże były to tylko pozory. Nikt z domowników ani ze służby, poza paroma zaufanymi osobami, nie wiedział o istnieniu w piwnicach pałacu, tuż pod gabinetem księcia, luksusowego apartamentu, składającego się z dwóch pomieszczeń. Jednym z nich była jadalnia z kominkiem, o oknach ubranych w suto marszczone firany i ciężkie aksamitne zasłony, zazdrośnie strzegące tego, co działo się we wnętrzu. Środek pomieszczenia zajmował okrągły stół obstawiony wianuszkami wygodnych krzeseł, a pod jedną ze ścian stała misternej roboty przeszklona serwantka. Drugie pomieszczenie odgrywało rolę czegoś w rodzaju buduaru, w którym stały wygodne fotele i sofa obita aksamitem, a na kamiennej posadzce leżała biała skóra z niedźwiedzia polarnego. Ściany ozdabiały liczne obrazy światowej sławy mistrzów, a na stolikach i pomocnikach piętrzyły się cenne bibeloty. Do tego apartamentu można było dostać się stromymi schodami wprost z przedpokoju pułapki, znajdującego się przed gabinetem Jusupowa. Pomieszczenie to wyposażono nie tylko w drzwi, ale także w liczne lustra, które miały zmylić nieproszonego gościa. Drugie wejście, pełniące także funkcję wyjścia, znajdowało się w jadalni apartamentu, skąd strome i wąskie schodki wiodły wprost do drzwi prowadzących na boczny dziedziniec. Ten niewielki apartament stanowił ściśle strzeżoną tajemnicę księcia Jusupowa. To tutaj mógł się przebierać w kobiece fatałaszki, to stąd mógł niepostrzeżenie wymykać się do nocnych klubów dla homoseksualistów i to tutaj w końcu mógł przyjmować swych nieoficjalnych gości czy kochanków.

Tej nocy w sekretnej jadalni czekał na Jusupowa Oswald Rayner. Był to niewysoki i szczupłej budowy blondyn o bladej cerze i rzadkich, zaczesanych na bok włosach odsłaniających wysokie czoło, ubrany w nienagannie skrojony przez angielskich krawców ciemny garnitur. Znudzony czekaniem, z kieszeni marynarki wyjął srebrną papierośnicę ozdobioną swoimi inicjałami i zapalił papierosa. Po chwili podszedł do okna, aby je otworzyć. Moment szamotał się pomiędzy suto marszczonymi firankami, zanim się to udało. Z zewnątrz dotarło do niego chłodne i wilgotne powietrze. Trochę ukoilo jego rozedrgane nerwy. Sprawa, z którą przyszedł do księcia, była wagi państwowej i mogła przesądzić o być lub nie być Wielkiej Brytanii.

– Już jesteśmy sami, Oswaldzie – usłyszał dźwięczny głos księcia Jusupowa, który pożegnawszy gości, dotarł do biblioteki z butelką madery i dwoma kieliszkami. – Tutaj będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Rayner odwrócił się od okna i momentalnie jego ponurą twarz rozjaśnił sprośny uśmiech. Jusupow, który cały wieczór zabawiał się ze swoimi gośćmi ubrany w paradny gwardyjski mundur, przystrojony złotymi akselbantami i epoletami, teraz stał w progu biblioteki, mając na sobie czerwoną suknię wieczorową i sznur pereł owinięty wokół smukłej szyi. Krótко obcięte ciemnopopielate włosy skrył pod loczkami blond peruki. Wciąż tak samo czarujący jak w Oksfordzie, pomyślał Rayner, przypominając sobie czasy, kiedy razem z księciem studiowali. To wówczas zrodziła się między nimi przyjaźń, trwająca całe życie, ale Rayner sądził, że było to nawet coś więcej.

– Do twarzy ci w tej czerwieni – powiedział, podchodząc bliżej. – Wziąłeś tę suknię

z szafy żony?

– Mam własną garderobę. – Książę delikatnym ruchem ręki pogładził pozbawiony zarostu policzek Raynera. – Nie krępujemy się wzajemnie drobnomieszczańskimi konwenansami. Każde z nas wie swoje życie – oznajmił z odrobiną kokieterii. Cały Petersburg trąbił, że ten ślub miał jedynie odwrócić uwagę od jego licznych romansów z oficerami gwardyjskich pułków, w których roilo się od zniewieściałych mężczyzn.

Jusupow nalał wina do kieliszków. Z czarującym uśmiechem jeden podał swemu przyjacielowi. Choć dzieliła ich pozycja społeczna, łączyły jednakowe upodobania i zamiłowanie do życia pełnego mocnych wrażeń. Kiedy wybuchła wojna, Rayner dzięki znajomości kilku języków, w tym rosyjskiego, zamiast do wojska trafił do służby wywiadowczej i został skierowany pod rozkazy sir Samuela Hoare, pułkownika kierującego brytyjskim wywiadem w Piotrogradzie. Ale o tym rosyjski książę, prowadzący hulaszczę i beztroskie życie, pełne ekscentrycznych rozrywek, typowe dla rosyjskiego zblazowanego arystokraty, nie miał najmniejszego pojęcia.

– Czytałeś to? – spytał Rayner, wręczając Feliksowi kopię ostatniego listu, który carowa napisała do swego męża.

Dziesiątki takich krążyło po mieście, doprowadzając wielu Rosjan do białej gorączki. Czuli się w jakiś sposób oszukani i okradzeni. To przecież im się należały te wszystkie zaszczyty, które stały się udziałem prostego chłopca, chama, jak mówili, z zapadłej wsi gdzieś na Syberii. Również Jusupow, widząc, jak Rasputin obściskuje i całuje w usta pierwsze damy Petersburga, nieraz miał ochotę go zabić. Wziął kartkę do ręki i zerknął na treść. Aleksandra Fiodorowna, podpisująca się jako Alix, naciskała na cara, aby odstąpił od wojny. „Tak radzi Nasz Przyjaciel” – pisała, mając na myśli Rasputina.

– Niech to diabli wezmą! – wrzasnął książę. Z wściekłością zmiął kartkę w kulkę i cisnął nią o ścianę. – Kto w tym kraju rządzi? Imperator czy jego żona? – spytał retorycznie.

W zasadzie polityką się nie interesował. Nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Był młody, niebywale przystojny, nieprzyzwoicie wręcz bogaty, pojął za żonę śliczną księżniczkę, miał możnych i pięknych przyjaciół, stanowił ozdobę śmietanki towarzyskiej Petersburga, każdą jego zachciankę, każde jego życzenie w mig spełniał cały sztab służby. Był tak już tym wszystkim znudzony, że nic i nikt nie potrafił wyzwolić w nim najmniejszych nawet emocji. Poza Rasputinem.

Dobra nasza, pomyślał Rayner, widząc błyski w oczach księcia. Nie odwiedził Jusupowa z sympatii, lecz z powodu konkretnego zadania, zleconego przez pułkownika Samuela Hoare’a.

– Rządzi wami ciemny chłop, półanalfabeta, pijak i hochsztapler – stwierdził bez ogródek. – Za pośrednictwem carowej przesuwa urzędników, ministrów i generałów ze stanowiska na stanowisko, wybitnych ludzi wysyła na prowincję, w ich miejsce osadzając miernoty, od których wziął łapówkę. A teraz żąda wycofania się Rosji z wojny.

– To straszne, co ty mówisz. – Jusupow był zbulwersowany. Zerwał się zza stołu i krążył nerwowo po pokoju. – Nie sądziłem, że ten syberyjski chłop sięgnął już cesarskich apartamentów, choć miałem pewne podejrzenia. – Cisnął się na krzesło i sięgnął po swój kieliszek z winem. Wypił duszkiem.

– A jak ci się to podoba? – Rayner podał księciu jeden z wielu rysunków satyrycznych krążących pomiędzy mieszkańcami Petersburga. Przedstawiał Rasputina z monstrualnych rozmiarów członkiem na wierzchu. Pod spodem widniał napis: „Ster Rosji”.

Jusupow, widząc rysunek, roześmiał się lubieżnie.

– Poważnie ma taką dużą kuśkę? – spytał, przenosząc wzrok na Raynera.

– Tak mówią – odparł, wzruszając ramionami. Dla niego nie rozmiar członka Rasputina

miął znaczenie, lecz rola, jaką mnich odgrywał w polityce Rosji. – Ale to nie wszystko – ciągnął dalej, kując żelazo, póki gorące. – Choć nasz ambasador Buchanan nie ma jeszcze dowodów w ręce, jest przekonany, że za tym „świętym starcem” stoi niemiecki wywiad, wysoce zainteresowany, aby Rosja odstąpiła od wojny. A cesarzowa może być nieświadomym narzędziem w ich rękach.

– Znam Nikiego dość dobrze – z pełnym przekonaniem odparł Jusupow, odstawiając na blat stolika pusty już kieliszek. On jako jeden z niewielu miał prawo zwracać się do Mikołaja II *per* „Niki”. – Dla niego dotrzymanie sojuszniczych zobowiązań jest sprawą honoru.

– Oczywiście – dyplomatycznie zgodził się Rayner. – Ale wpływ Aleksandry Fiodorowny na męża jest ogromny. Z czasem może jej ulec...

– I wówczas Niemcy będą mogli przerzucić wszystkie swoje siły na front zachodni. – Jusupow domyślił się, czego obawiała się Wielka Brytania. – A to będzie oznaczało klęskę Francji i Anglii – dorzucił beznamiętnie, bardziej zainteresowany członkiem Rasputina, który działał na jego wyobraźnię, niż losami państw ententy.

– Nie tylko – zaprzeczył Rayner, sięgając po koronny argument, mający rozpalić księcia do czerwoności. Poczęstował go papierosem i sam zapalił. Na chwilę w gabinecie zapadła cisza. – Istnieją poważne poszlaki – Rayner wrócił do swej wypowiedzi – aby przypuszczać, że Aleksandra Fiodorowna ma zamiar swego męża pozbawić życia, syna Aleksa posadzić na tronie i samej sprawować rządy jako regentka, mając za pomocnika Rasputina.

Nie było to całkiem zgodne z prawdą. Jako oficer brytyjskiego wywiadu Rayner miał wiedzę, że do pałacowego przewrotu przygotowywali się niektórzy generałowie i członkowie rodziny cesarskiej, ale nie cesarzowa. Jednak najpierw ktoś musiał ukrócić panoszenie się „świętego starca”, ale jak dotąd nikt nie chciał się podjąć tego niewdzięcznego i wysoce ryzykownego zadania.

Słyszając te słowa, zapowiadające koniec świata, który znał i w którym czuł się jak ryba w wodzie, Jusupow zdecydowanym gestem ściągnął z głowy blond perukę i rzucił ją w kąt pokoju.

– Dlaczego nikt nie ukatrupi tego antychrysta, podającego się za świętego?! – wrzasnął, zrywając się z krzesła, a oczyma wyobraźni ujrzał siebie, jak podrzyna gardło mnichowi, którego chłopska krew tryska wokoło, płamiąc posadzkę i zielonkawy mundur zabójcy.

– Próbowano, i to wiele razy, ale bezskutecznie. Zawsze się wywinął – odparł Rayner. – Wasz minister spraw wewnętrznych otoczył go kordonem agentów ochrony. Pilnują go w dzień i w nocy, chodzą za nim krok w krok. Nikt nie ma na tyle odwagi, aby w ich obecności podnieść rękę na carskiego ulubieńca. Tym czynem wydałby na siebie wyrok śmierci.

Ciekawe, czy da się złapać na haczyk teraz, kiedy jest wstawiony, czy dopiero jutro, jak wytrzeźwieje, zastanawiał się, nie spuszczać z księcia swych wyblakłych oczy.

– Więc co? Ma nami rządzić Niemka pospołu z antychrystem? – W oczach Jusupowa zaszklily się łzy bezsilności. – Może powinno się tę babę porwać i zamknąć w klasztorze?

– Jest inne wyjście z tej sytuacji... – Rayner przeszedł do meritum sprawy.

– Tak? – zainteresował się Jusupow i dołał wina do kieliszków.

– W tej właśnie sprawie do ciebie przyszedłem. Obserwujemy sytuację w Rosji od dłuższego czasu...

– Wy, czyli kto? – Jusupow poczuł na plecach przyjemny dreszcz emocji. Nareszcie coś się działo.

– Król Wielkiej Brytanii Jerzy V i brytyjski wywiad, którego jestem pracownikiem – wyznał bez ogródek. – I mamy dla was pewną propozycję – ciągnął dalej, nie dając księciu czasu do namysłu.

– Dla nas? Czyli dla kogo? – spytał Jusupow. Robi się coraz ciekawiej, pomyślał, wpatrując się z uwagą w twarz swego przyjaciela, o którym nigdy by nie pomyślał, że może być agentem obcego wywiadu.

– Wczoraj rozmowę o podobnej treści z wielkim księciem Dymitrem Pawłowiczem prowadził pułkownik Samuel Hoare, szef brytyjskiego wywiadu w Piotrogradzie...

– Więc jaka to propozycja? – spytał z niecierpliwością Jusupow, choć już się domyślał, do czego zmierzali Anglicy, i nawet ten pomysł uznał za korzystny dla siebie. Fakt panoszenia się w Rosji agentów obcego wywiadu nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia.

– Należy aresztować Mikołaja i jego żonę, a następnie pozbawić władzy – Rayner odkrywał swoje karty jedną po drugiej. – Powołać liberalny rząd, następnie osadzić na tronie małoletniego Aleksa, w imieniu którego władzę będzie sprawował regent...

– Kto miałby nim być? – zaintrygowany Jusupow wpadł mu w słowo, nie mając jednak cienia nadziei na to stanowisko. Choć wywodził się z krwi proroka Mahometa, nie miał żadnych szans, aby zasiąść na rosyjskim tronie.

– Propozycji jest kilka – bąknął Rayner. On aż tak szczegółowej wiedzy nie miał. – Nie wykluczamy księcia Dymitra Pawłowicza, ciszącego się sympatią społeczeństwa. Ale najpierw trzeba się pozbyć Rasputina, tego złego ducha, który zagnieździł się w Piotrogradzie – wyjawiał to, z czym tak naprawdę przyszedł.

– Co na waszą propozycję odpowiedział Dymitr?

– Wyraził zgodę.

– Skoro tak, to i ja się zgadzam – bez zastanowienia oznajmił książe. – A nawet powiem więcej. Osobiście zabiję Rasputina, tego „świętego czarta”. Czyż może być większe szczęście dla Rosjanina niż uratować *Matuszkę Rossiję* przed antychrystem? – zawołał buńczucznie i zadzierając suknię do góry, aby nie plątała mu się między nogami, podszedł do stojaka w kącie pokoju i sięgnął po laskę. Z jej wnętrza wysunął długie ostrze, które wymierzył w swego gościa, jakby to jego miał zamiar ukatrupić, a nie syberyjskiego chłopca podającego się za świętego.

– Prawdę mówiąc, drogi Feliksie – Rayner uśmiechnął się szeroko i na wszelki wypadek odsunął się z krzesłem nieco w tył – znając twoje poglądy polityczne, innej odpowiedzi się nie spodziewałem. Wypijmy zatem za powodzenie naszych planów – zaproponował, sięgając po butelkę, w której czerwieniło się jeszcze trochę wina.

– Zostaw mi całą sprawę. – Jusupow zapalił się do przedsięwzięcia. – Zanim nadejdzie Boże Narodzenie, będzie po Rasputinie. Masz moje słowo.

Oswald Rayner, oficer brytyjskiego wywiadu, działającego w Piotrogradzie pod przykrywką szpitala mieszczącego się w jednym z książęcych pałaców, nie był w stanie ukryć uśmiechu satysfakcji, który wypełził na jego bladą twarz. Nie spodziewał się, że tak szybko uda mu się sprowokować jednego z najbardziej popularnych młodych arystokratów Petersburga, aby zrealizował tajne plany Londynu. Jednego wszak nie przewidział: że na wszelkie reformy było już za późno, a zamordowanie Rasputina tylko umocni w społeczeństwie pogląd, że zdrajcy byli nie tylko w armii, ale także na cesarskim dworze. Rosja zmierzała najkrótszą drogą do chaosu, który zmiecie z areny dziejów samodzierżawie, rodzinę carską, arystokrację, a kraj utopi w morzu bestialstwa i krwi. Przypominała pociąg, który wypadł z szyn i z zawrotną szybkością zmierzał wprost na dno urwiska.

– Nie obawiasz się podnieść ręki na pupilka cesarskiej pary? – Wolał się upewnić, czy Jusupow nie wycofa się w decydującym momencie, kiedy do niego dotrze, na co się ważył. – Car ci tego nie daruje i wyda na ciebie wyrok śmierci.

– Na męża swojej siostrzenicy? – Feliks zaśmiał się z sarkazmem. – Znam Nikiego jak własną kieszeń. Nie odważy się. Musiałby także powiesić Dymitra, a to jego krewny. W jego

żyłach płynie cesarska krew. I to on zostanie wkrótce nowym carem, kiedy odsuniemy od władzy Nikię i Alix, tego anioła śmierci gnijącej Rosji.

– Skoro tak sądzisz, to bierz się do pracy – oświadczył Rayner, zbierając się do wyjścia. – Tutaj masz adres pułkownika Hoare’a. – Wyjął z kieszeni karteczkę i wręczył ją księciu. – On jak nikt zna się na tej robocie. Udzieli ci niezbędnych wskazówek.

Kiedy Rayner opuszczał pałac Jusupowów, już dniało. Ogromna pomarańczowa kula słońca zdawała się wynurzać z nurtów Mojki płynącej ku Newie. Nałożył na głowę melonik i uśmiechając się pod nosem, spacerkiem ruszył w stronę ambasady brytyjskiej, która mieściła się przy tej samej ulicy, tylko u drugiego jej końca. Szeroki nabrzeżny bulwar świecił jeszcze pustkami, jedynie okutane w chusty służące ruszyły z koszykami na zakupy dla swoich chlebobawców. Nie minie nawet rok, a będą podrzynać im gardła i rabować dobytek. Maszerując dziarskim krokiem przed siebie, Rayner w myślach układał swoje dalsze działania. Przede wszystkim napiszę raport dla pułkownika Samuela Hoare’a z przebiegu rozmowy z księciem Jusupowem. Szef się ucieszy, że wszystko poszło zgodnie z planem. Powinien zaprosić na obiad Włodzimierza Puryszkiewicza, tego posła do Dumy, i przekonać go, aby wygłosił odpowiedniej treści przemówienie. Coś o mrocznych siłach, które zawładnęły Rosją i które należy usunąć. To powinno podgrzać nastroje wrogie Mikołajowi i jego żonie. Dobrze byłoby rozrzucić ulotki, opisujące hulaszczy tryb życia Rasputina, tego diabła wcielonego. Nie powinno też zabraknąć informacji o fatalnej sytuacji na froncie.

Zajęty swoimi myślami Rayner ani się spostrzegł, jak dotarł do Newskiego Prospektu. Jak pamiętał, to tutaj mieszkał Igor Piotrowicz Kaledin, rotmistrz kawalerii, którego poznał na bankiecie w ambasadzie. Buchanan zapewniał, że to oficer o niezwyklej wręcz odwadze i całym sercem oddany armii. Rayner sięgnął do kieszonki po zegarek z dewizką. Minęła siódma. Zjrzą do niego, pomyślał. Przecież nie mogę polegać na Feliksie, który nie potrafi się nawet zdecydować, czy jest kobietą, czy mężczyzną, ani na tym gruźliku Dymitrze. Gotowi w decydującym momencie schlać się jak świnię i spaprać całą robotę. A wówczas to diabelskie nasienie ujdzie z życiem i nasz udział w tej sprawie może wyjść na jaw.

Brama wejściowa była już otwarta, więc Rayner bez przeszkód po szerokich schodach wyłożonych puszystym chodnikiem tłumiącym kroki wbiegł na pierwsze piętro. Podeszedł do drzwi, na których widniał mosiężny numer „3” i pociągnął za sznurek od dzwonka. W tym samym momencie, kiedy rozległ się jego brzęczący dźwięk, wewnątrz mieszkania coś huknęło, jakby ktoś strzelił z pistoletu. Co, u diabła, tam się wyprawia? – pomyślał i kilka razy zdecydowanym ruchem szarpnął sznurek. Dzwonek brzęczał rozpaczliwie. Minęła chwila, zanim drzwi się otworzyły i stanęła w nich przerażona służąca, Anuszka Iwanowna.

– Czy coś się stało, że wielmożny pan tak dzwoni jak na alarm? – spytała, wlepiając okrągłe oczy w niecierpliwie czekającego Oswalda Raynera.

– No przecież ktoś u was strzelił przed chwilą! – odparł podniesionym głosem. Miał ochotę sprawdzić, kto to zrobił, ale Anuszka wciąż swoją masywną postacią blokowała wejście.

– Nie wiem, kto strzelał, bo musiałam sprawdzić, kto się dobija do drzwi – fuknęła z pretensją w głosie. Po wyglądzie poznała, że przed nią stał obcokrajowiec. Żaden Rosjanin nie mógł być taki blady i mieć wyblakłych jak u karpia oczu. Może to jakiś niemiecki szpieg, pomyślała. – Pan do kogo? – spytała wojowniczo.

– Zamelduj mnie swemu panu – polecił oschłym tonem.

Jego rosyjski nie wzbudził w Anuszcze żadnych zastrzeżeń. W tym kraju nawet służba zrobiła się bezczelna, stwierdził, podając dziewczynie swoją wizytówkę. Jeszcze chwila i odmówią wypełniania swoich obowiązków, pomyślał proroczo.

Zdażyła tylko odsunąć się od drzwi i wpuścić do mieszkania oficera brytyjskiego

wywiadu, gdy ze swej sypialni wyszedł Kaledin. Na jego bladej jak kreda twarzy rysowała się rozpacz. W ręce wciąż trzymał pistolet, z którego przed kilkoma sekundami padł strzał. Niecelny. Gdy Igor miał zamiar przyłożyć sobie pistolet do skroni, w korytarzu rozległo się donośne brzęczenie dzwonka. Było tak niespodziewane, że ręka Kaledina zdrząła i kula przeszła bokiem, wbijając się w ścianę.

– Igorze Piotrowiczu, to pan strzelał? – wypytywał Rayner, zmierzając w stronę Kaledina.  
– Nic się panu nie stało?

– Mysz harcowała po pokoju – głos Igora zabrzmiał śmiertelnie poważnie. – Zapraszam do salonu. Anuszko! – zwrócił się do służącej, która wciąż stała przy drzwiach, nie mogąc pojąć, jakim cudem mysz znalazła się w sypialni pana, gdzie panował wzorowy porządek. – Nastaw samowar na herbatę.

– Co was sprowadza, *gospodin* Rayner? – spytał Anglika, gdy już usiedli w wygodnych fotelach obitych bordowym aksamitem, ustawionych przy okrągłym stoliku o marmurowym blacie. Z okna salonu widać było kopułę kościoła, który stał po drugiej stronie Newskiego Prospektu, i to tam co chwilę wędrowało udręczone spojrzenie Kaledina.

– Mam do pana, rotmistrzu, sprawę wagi międzynarodowej, że się tak wyrażę – zaczął Rayner, przechodząc od razu do rzeczy. Jeśli ten cały Kaledin okaże się innym człowiekiem, niż Buchanan sądzi, nasz misterny plan diabli wezmą, pomyślał.



## Rozdział 16

Grudzień zaczął się w Piotrogradzie silnymi mrozami i brakiem chleba. Ze sklepowych półek zniknęły także inne towary. Kupno mąki, kaszy czy cukru granoczyło z cudem. Zabrakło także węgla do palenia w piecach. W wielu domach w ogień trafiły meble, bez których można się było obejść. Transport kolejowy okazał się kompletnie niewydolny. Większość taboru oddano na potrzeby wojska, a to, co zostało, nie było w stanie na czas dostarczyć towarów zgromadzonych na wschodzie i południu do zachodnich części Imperium. W magazynach zalegały tony żywności, a w miastach ludność zaczęła przymierać głodem. W zakładach pracy robotnicy coraz częściej podejmowali strajki, a żołnierze na froncie odmawiali dalszej walki. Nie widzieli już sensu tej wojny i domagali się jej końca. Winą za taki stan rzeczy obwiniano cara i jego kamarylę. Oliwy do ognia dolewało panoszenie się Rasputina, który często bez ogródek przechwalał się publicznie, w jak zażyłych stosunkach pozostaje z cesarską parą. Mieszkańcy Piotrogradu życzyli mu śmierci, licząc, że wraz z nią coś się zmieni.

Był późny wieczór 16 grudnia, gdy Kaledin opuścił swoje mieszkanie przy Newskim Prospekcie. Ujrawszy jasną bryłę kościoła pod wezwaniem Świętej Katarzyny, poczuł w sercu bolesne ukłucie. Pragnienie śmierci nadal go nie opuszczało, miał jednak zamiar poświęcić życie dla dobra ojczyzny, aby rodzice zamiast rozpaczyci poczuli dumę ze swego syna. Śnieg grubą warstwą pokrywający ulice Piotrogradu skrzypiał pod nogami i skrzył się w blasku ulicznych latarni. Kaledin, zatopiony we własnych myślach, nie zwracał uwagi na mknące szerokim bulwarem sanie i siedzących w środku pasażerów opatulonych futrami. Nie czuł też mrozu szczypiącego w policzki. Na głowę narzucił uszyty z grubego sukna baszłyk, a jego długimi końcami niczym szalikiem owinął szyję. Zimowy płaszcz oficerski sięgający kostek doskonale chronił go przed zimnem. Nabrzeżem skutej lodem Mojki zmierzał w stronę pałacu księcia Feliksa Jusupowa, który stanął na czele spisku, mającego na celu zabicie „świętego diabła”. Za namową Oswalda Raynera do sprawy przystąpił też Kaledin. „Gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, mogę na pana liczyć, rotmistrzu?” – spytał wówczas na koniec rozmowy z nutą niepokoju w głosie. „Ma pan moje oficerskie słowo honoru, że Rasputin żywy pałacu nie opuści” – obiecał Igor.

Nie tylko jako Rosjanin, arystokrata i oficer pragnął śmierci tego chłopca, który stał za przyczynami klęsk, jakie ponosiła Rosja na froncie. Nie mając najmniejszego pojęcia o sztuce wojennej, wymuszał na Mikołaju II rozszady personalne w armii zgodne z własnym widzimisię. W miejsce doświadczonych generałów wprowadzał karierowiczów i nieudaczników. Namawiał do wycofania się Rosji z wojny, a to oznaczało jej upokorzenie przed Niemcami. Kaledin miał też osobisty żal do Rasputina. Swoją kłamliwą przepowiednię rozbudził w nim nadzieję na odzyskanie Katarzyny. Byłem głupi jak te durne baby, które całują go po rękach, myślał ze złością, i dałem wiarę słowom prostego chłopca.

Do spisku Jusupow wciągnął także lekarza wojskowego Stanisława Łazawerta, z pochodzenia Polaka, a Polacy, jak mówił Rayner, z mlekiem matki wysysają nienawiść do Niemców. Doktor miał przygotować truciznę, którą zamierzano podać Rasputinowi. Użycie broni palnej, jak początkowo proponował Jusupow, nie wchodziło w grę z uwagi na bliskość posterunku policji. Stójkowi mogliby się zainteresować, kto i do kogo strzelał.

Przez ostatnie dwa tygodnie trwały intensywne przygotowania, którymi dyskretnie, za pośrednictwem Raynera, kierował pułkownik Hoare. Za jego to sugestią Jusupow nawiązał serdeczniejsze stosunki z Rasputinem, aby móc go w odpowiednim momencie zwabić do pałacu

nad Mojką pod pretekstem uzdrowienia swej żony Iriny, jakoby opanowanej przez grzeszne żądze. Metoda leczenia polegała w takich wypadkach na orgii z udziałem pacjentki i znachora.

Zatopiony w myślach Kaledin nawet się nie spostrzegł, jak dotarł do pałacu księcia. Skierował się na tyły budynku, przeciął niewielki dziedziniec i otworzywszy niepozorne drzwi, wszedł do środka. Krętymi schodami dostał się wprost do gabinetu księcia. Jusupow siedział za stołem zajmującym środek pokoju i sączył z kieliszka czerwone wino. Na sobie miał gwardyjski mundur, jakby chciał zaznaczyć, że pozbawienie życia Rasputina to nie pospolite morderstwo, lecz wyrok sądu polowego. Obok niego rozparł się na krześle wielki książę Dymitr, młody mężczyzna o delikatnej, kobiecej urodzie i głębokich cieniach pod oczyma. Jak niosła wszędobylska plotka, był kochankiem Jusupowa, co nie przeszkadzało mu ubiegać się o rękę jednej z córek cara, czemu na przeszkodzie stanęła carowa. On także wdział na siebie mundur pułku gwardyjskiego. Podobnie jak Jusupow sączył z kieliszka wino. Sądząc po pustej butelce stojącej na stole, wypili już dość sporo. Obydwaj mieli w oczach niepewność, choć nadrabiali minami i głośnym zachowaniem. Kaledin ich rozumiał. On i jego dragoni przed każdą bitwą czuli się podobnie. Igor skłonił się z szacunkiem i zajął miejsce obok Jusupowa.

– Wina, panie hrabio? – spytał książę.

– Dziękuję bardzo, ale wolę zachować trzeźwość umysłu – Kaledin odmówił. On dla dodania sobie odwagi nie musiał pić. Po dwóch latach wojny zabicie człowieka nie stanowiło dla niego żadnej trudności. Tyle co splunąć. Ale o przyjemności także nie mogło być mowy. Wręcz przeciwnie. Z każdym dniem dostrzegał coraz większy bezsens tej rzezi.

Po chwili zjawił się Włodzimierz Mitrofanowicz Puryszkiewicz, poseł do Dumy, mężczyzna pod pięćdziesiątkę, w binoklach na nosie, o głowie łysej jak kolano, a twarzy ozdobionej gęstym ciemnym zarostem. On także na spotkanie przyszedł ubrany w mundur. Na wszelki wypadek, gdyby zbrodnia wyszła na jaw, miał zamiar już następnego dnia udać się do swojej macierzystej jednostki wojskowej. Wszak Duma z powodu okresu przedświątecznego zawiesiła obrady.

– Jestem przygotowany na każdą okoliczność – oświadczył z dumą, wyjmując z kabury pistolet.

– Przecież ustaliliśmy, że żadnej strzelaniny nie będzie z uwagi na posterunek policji. Z pewnością huk wystrzałów tam dotrze i zaraz się zlecą stójkowi – zganił go Dymitr Pawłowicz.

– Ależ wasza cesarska wysokość – Puryszkiewicz posłusznie wsunął pistolet z powrotem do kabury, nie mając odwagi sprzeciwić się wielkiemu księciu, który w najbliższej przyszłości mógł zostać carem – to tak na wszelki wypadek, gdyby coś się wymknęło spod kontroli. W końcu to jasnowidz – szydził. – Może odgadnąć nasze zamiary.

Jako ostatni do drzwi książęcego gabinetu zapukał doktor Stanisław Łazawert. On także przybył w mundurze. W końcu był lekarzem wojskowym, miał więc prawo. Nie czuł żadnych oporów, aby przystąpić do spisku, którego celem było pozbawienie życia znenawidzonego Rasputina.

Godzinę później książę Jusupow włożył obszerne, sięgające kostek futro, przykleił sobie wąsy, aby nikt go nie rozpoznał po drodze, i głęboko na oczy nacisnął futrzaną czapkę. Razem z Kaledinem wyszli na dziedziniec, gdzie stał zaparkowany samochód. Młody oficer wsiadł za kierownicę, a Jusupow umościł się na tylnym siedzeniu. Mimo ciepłego futra drżał na całym ciele. Sama myśl, że już za chwilę znajdzie się oko w oko ze swoją przyszłą ofiarą, przyprawiała go o rozkoszne dreszcze. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był czymś tak podekscytowany.

Kiedy zajechali na Grochową, przed kamienicę, w której mieszkał Rasputin, Kaledin zatrzymał samochód i Jusupow wysiadł. Brama wejściowa była już zamknięta i musiał zastukać do stróżówki. Chyba mnie nie rozpoznał, pomyślał uradowany, gdy furtian wskazał mu schody

wiodące ma drugie piętro. Słyszając bicie własnego serca, pokonał je błyskawicznie. Jak było umówione, pociągnął za dzwonek u drzwi kuchennych, aby nie pobudzić domowników. Wizyta księcia w tym domu powinna zostać tajemnicą. Otworzył mu Rasputin ubrany w obszerne spodnie i białą koszulę haftowaną w chabry. Może to ta sama, którą mu Alix wyhaftowała, pomyślał Jusupow, zaciskając ze złością szczęki. Niewiele brakowało, a byłby spoliczkował Rasputina. Zdołał się jednak opanować.

– Samochód czeka, Grigoriju Jefimowiczu – oświadczył szeptem.

Mnich sięgnął po szubę leżącą na kanapie i stąpając na palcach, aby nie pobudzić córek, które zaraz zadałyby mnóstwo niepotrzebnych pytań, razem z Jusupowem opuścił mieszkanie. Po kilku minutach byli już nad Mojką, na tyłach pałacu, gdzie znajdowały się niepozorne drzwi wiodące do tajnego apartamentu księcia Feliksa.

– Wchodźcie, drogi Grigoriju Jefimowiczu – zapraszał wylewnie, otwierając drzwi do niewielkiej jadalni mieszczącej się w tajnym apartamencie.

W kominku wesoło buzował ogień, na stole kipiał już samowar i stała patera z ciastkami, do których wcześniej doktor Łazawert pokruszył cyjanek, a zasunięte na okna aksamitne story dodawały wnętrzu niezwyklej przytulności. Z górnych pomieszczeń dobiegały dźwięki muzyki i głośne rozmowy, sugerujące, że bawili się tam jeszcze jacyś goście. Jednak to księżę Dymitr, Puryszkiewicz, Łazawert i Kaledin udawali rozbawione towarzystwo.

– A gdzież to nasza droga Irina Aleksandrowna? – spytał Rasputin, rozglądając się po kątach, jakby sądził, że targana sprośnymi żądzami księżna zabawia się w chowanego.

– Zaraz do nas zejdzie – obiecywał kłamliwie Jusupow, gdyż jego żona w tym czasie bawiła na Krymie. – Może, Grigoriju Jefimowiczu, napijecie się wina? – zaproponował, sięgając po kieliszek. Wziął ten, na którego dnie nie było trucizny.

– Może odrobinę – zgodził się Rasputin, czując na sobie natarczywy wzrok księcia, „małego”, jak go nazywał. Mówią, że oddaje się grzesznym rozkoszom z mężczyznami, pomyślał i przeszedł go ciarki.

Wygląda jak krew, pomyślał Jusupow na widok ciemnoczerwonego płynu wpływającego z butelki i poczuł przyspieszone bicie swego serca.

– Co się mieści za tymi drzwiami? – spytał Rasputin, zmierzając w stronę buduaru.

– Taki niewielki salonik – odparł księżę, podchodząc z kieliszkiem w ręce do swego gościa. – Zapraszam – oznajmił z uśmiechem i otworzył drzwi.

W pokoju światła były wygaszone, jedynie blask podający z jadalni odrobinę rozświetlał przytulne wnętrza. W oczy rzucała się biała skóra z niedźwiedzia leżąca na posadzce.

Rasputin jedynie wsunął głowę do środka, jakby się obawiał pułapki, i szybko wrócił na swoje miejsce za stołem.

– Wyborne – oznajmił, mlasnąwszy językiem, kiedy upił niewielki łyżeczek wina.

Znawca się znalazł, pomyślał szyderczo Jusupow, nalewając wina do swego kieliszka.

– Mamy tego całą piwniczkę – oznajmił, siadając naprzeciwko Rasputina. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Księżę pierwszy opuścił wzrok. Jeszcze mniej ten czart zahipnotyzuje, pomyślał z odrobiną niepokoju, choć zawsze twierdził, że mnich jest zbyt prymitywny, aby znać się na wyrafinowanych sztuczkach. – Dam wam do domu kilka butelek.

– To miło z twojej strony, drogi przyjacielu. Możesz mi dolać. – Podsunął księciu opróżniony kieliszek.

Na moment zapadła cisza, w której dało się słyszeć bulgotanie wina wpływającego z butelki, trzaskanie ognia w kominku oraz fragmenty głośnych rozmów na górze.

– Czy możecie, Grigoriju Jefimowiczu, zdradzić mi, na czym będzie polegało wypędzanie z mojej żony złych mocy? – zainteresował się Jusupow. Tyle na ten temat nasłuchiwał się

sprzecznych relacji, więc skręcała go ciekawość.

– Na modlitwie – odparł Rasputin i zanurzył usta wraz z wąsami w kieliszku z winem, którego barwa przypominała krew.

– Goście chyba już wychodzą – odezwał się Jusupow. Łzesz, kanalio, pomyślał. – Pójdę sprawdzić, co z żoną. – I nie czekając na zgodę swego gościa, zniknął za drzwiami prowadzącymi na górę.

Rasputin wstał z za stołu i podszedł do okna. Czas mu się dłużył, ale perspektywa „wypędzania” złych mocy z tak pięknej kobiety jak Irina Jusupowa, krewna samego cara, działała na niego niczym narkotyk. Wprost nie mógł się doczekać. Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła szczupła kobieta w krwistoczerwonej sukni. Jej smukłą szyję oplatał sznur pereł, a twarz zasłaniała gęsta woalka, spływająca z misternej roboty kapelusika, który miała na głowie. Wymykały się spod niego czarne loki. Wokół siebie rozsiewała intensywną woń perfum.

– Irino Aleksandrowna – wymamrotał Rasputin, czując przyspieszone bicie serca i ogarniające go pożądanie.

Kobieta bez słowa wzięła kieliszek z serwantki, nalała sobie i Rasputinowi wina, po czym usiadła za stołem. Mnich wychylił kieliszek duszkiem i podszedł do kobiety.

– Będziemy się modlić, moja droga – oznajmił stanowczo i chwyciwszy kobietę swą mocarną dłońią za ramię, wciągnął ją do buduaru.

Przystanął przed misternej roboty krucyfiksem wiszącym na ścianie, nakreślił na piersiach znak krzyża i bijąc pokłony, mamrotał tylko sobie znane modlitwy. Kobieta stała zaskoczona, jakby nie takiego zachowania się spodziewała. Nagle „święty starzec” zaprzestał modlitw, chwycił kobietę w pół i odrzucając woalkę, wpił się łakomie w jej usta. Początkowo się wzbraniała, usiłując odepchnąć starca od siebie, ale po chwili poddała się jego brutalnym pieścizotom. Co za bezwstydną kobita, pomyślał, gdy poczuł, jak chwyciła w dłoń jego nabrzmiąły pożądaniem członek. Popchnął ją w stronę kanapy. Uklękła, jakby miała zamiar się modlić, lecz natychmiast zadarła suknię do góry, wypinając nagie pośladki. Kto by pomyślał, że księżniczki chodzą bez gaci, pomyślał Rasputin, klękając z tyłu za kobietą. Z podniecenia nie potrafił wejść swym członkiem do książęcej pochwy. Dopiero kiedy mu pomogła ręką, poczuł ogarniającą go rozkosz. Uchwycił mocno jej wąskie biodra i rozpychał się w niej coraz głębiej. Sięgnął ręką do płaskiego brzucha, aby jeszcze mocniej ją do siebie docisnąć. I wówczas pod palcami namacał członek, sztywny niczym kołek. Podniecenie momentalnie opadło, aby po chwili wybuchnąć z nową siłą. To „mały”, domyślił się Rasputin.

– Feliks, Feliks, mój mały – szeptał mu do ucha, nie wypuszczając z ręki książęcego członka.

Z jednej strony czuł ogromną rozkosz, z drugiej zaś wzbierała w nim złość, że dał się podejść. Jednak ciało kobiece, pulchne i jedwabiście gładkie, z krągłymi piersiami, bardziej mu odpowiadało niż chłopięce wdzięki Feliksa. Gdy skończył, ciężko zwałił się na dywan.

Jusupow nie czekał, aż mnich oprzytomnieje. Nie tak miało to wszystko wyglądać. Chciał się jedynie dowiedzieć, ile jest prawdy w pogłoskach o nadnaturalnej wielkości członka Rasputina oraz jego wyjątkowej sprawności i dopiero wówczas nakarmić go trucizną. Ale stało się inaczej. Dałem się ponieść zwierzęcej żądzy, pomyślał z niesmakiem, zrywając się na nogi. Gotów jeszcze mnie zamordować. Unosząc końce sukni, aby się nie potknąć, pomknął na górę, do przedpokoju z lustrami. On wiedział, jak wejść do sekretnej przebieralni. Błyskawicznie włożył swój mundur, przycesał włosy i przetaił twarz ręcznikiem zmoczonym w wodzie.

– Trucizna nie działa! – oświadczył z rozpaczą w głosie, wpadając do gabinetu. Przecież nie mógł im powiedzieć, co tak naprawdę zaszło w piwnicy.

– Jak to nie działa? – spytał Kaledin, wstając z krzesła. Łazawert zdradził, pomyślał

w pierwszej chwili, ale uwagę zostawił dla siebie. On w tym towarzystwie znaczył najmniej, choć stała za nim protekcja Raynera.

– Zwyczajnie, nie działa – odparł piskliwym głosem Jusupow. Sprawiał wrażenie dziecka, któremu nagle zepsuła się ulubiona zabawka. – Zeżarł trochę ciastek, wypił kilka kieliszków wina z cyjankiem – kłamał bez zająknięcia – i wciąż żyje. Chyba zaczyna coś podejrzewać.

– Zastrzelę go – zaproponował Kaledin, sięgając do kabury.

– Nie, hrabio! – stanowczo zaprotestował Puryszkiewicz i błyskawicznie wyciągnął swój pistolet. – To mój obowiązek. Ja go zastrzelę.

– Ani ty, ani Igor. Ja to zrobię – zdecydował Jusupow, wrywając pistolet z rąk Puryszkiewicza. Nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek pozbawił go przyjemności zabicia człowieka. Tego jeszcze w swym życiu nie posmakował.

Nie czekając na reakcję swych towarzyszy, wyskoczył z gabinetu i bezszelestnie zbiegł po schodach do piwnicy. Gdy otworzył drzwi, ujrzał Rasputina stojącego pod ścianą, na której wisiał misternej roboty krucyfiks. Sprawiał wrażenie osoby zatopionej w modlitwie. Jusupowa ogarnęło obrzydzenia na samą myśl, że przed paroma minutami wił się w lubieżnych uściskach z tym prostakiem, udającym świętego, a będącym zepsutym do gruntu oszustem.

– Módl się, módl. Teraz będzie ci to bardzo potrzebne – oznajmił przez ściśnięte emocjami gardło.

Rasputin błyskawicznie się obejrzał i zanim huknął strzał, zdążył ujrzeć wycelowaną w swoją pierś lufę pistoletu i zwężone nienawiścią oczy księcia Faliksa, „małego”, który przed chwilą dostarczył mu cielesnej rozkoszy. Więc jednak Protopopow miał rację, że dzisiaj mnie zabijają, zdążył pomyśleć, zanim bez czucia padł na podłogę. Już po chwili, tupiąc po schodach, reszta spiskowców zbiegła do piwnicy. Doktor Łazawert, jak przystało na fachowca od życia i śmierci, sprawdził puls.

– Nie żyje – oświadczył z przekonaniem, wstając z klęczek. – Nareszcie Rosja pozbyła się tego antychrysta.

– Wobec tego możemy pójść na górę i uczcić zwycięstwo – oznajmił wielki książę Dymitr, czując już na swej głowie ciężką koronę, z górą trzysta lat ozdabiającą skronie władców Rosji, w których żyłach od czasu panowania Katarzyny II nie płynęła już ani jedna kropla krwi Romanowów.

– *Gospoda oficery* – odezwał się Kaledin. Po jakiego czarta dałem się wciągnąć w tę parszywą rozgrywkę, pomyślał. – Proponuję najpierw owinąć zwłoki w zasłonę, obwiązać łańcuchem i przytroczyć ciężarki, aby nie wypłynęło przed czasem, i wrzucić do rzeki. Dopiero później świętować.

– Oczywiście, Kaledin, ma pan rację – oświadczył Jusupow, przypominając sobie słowa Raynera, że rotmistrz jest jego człowiekiem i książę powinien przyjmować jego rady – ale proponuję poczekać ze dwie godzinki, aby mieć pewność, że żadnego spóźnionego przechodnia po drodze nie spotkamy. Chodźmy do gabinetu napić się wina. Przygotowałem na tę okazję doskonałą maderę – zaproponował z uśmiechem. Już zdążył dojsć do siebie.

Godzinę później dość mocno podchmielony, mający niedosyt obcowania z własnoręcznie pozbawionym życia nieboszczykiem, oświadczył nieco żartobliwie:

– Pójdę na dół sprawdzić, czy czasem ten antychryst nie zmartwychwstał – i mimo protestów swych towarzyszy zbiegł po schodach do piwnicy.

Rasputin wciąż leżał w tym samym miejscu, gdzie go zostawili. Na jasnej koszuli widniała czerwona plama, ale Jusupow odniósł wrażenie, jakby krew nadal się sączyła i kropelka po kropelce ściekała na posadzkę. Przyklęknął przy zwłokach i sprawdził puls. Nie żyje, tylko dlaczego wciąż jest taki ciepły? – pomyślał, wpatrując się z uwagą w twarz „świętego starca”.

Odniósł wrażenie, że drgnęła jedna powieka, a po chwili druga. Niemożliwe, pomyślał. On przecież nie żyje.

W tym momencie Rasputin otworzył oczy i spojrzał w twarz swego kochanka i oprawcy w jednej osobie. Jusupow zamarł z przerażenia. Mnich chwycił go za ramiona jak w kleszcze i szarpał.

– Feliks! – krzyczał chrapliwie. – Feliks!

Jusupow oprzytomniał. Usiłował się wyrwać, ale bezskutecznie. Zdesperowany z całych sił szarpnął Rasputina za ucho. Buchnęła krew i chwyt zelżał. Książę zerwał się na nogi, mnich także. Już w progu chwycił Feliksa za ramiona. Jusupow walczył desperacko, aby wyrwać się z żelaznego uścisku „świętego czarta”, którego strzał z pistoletu nie zabił, lecz jedynie rozjuszył niczym dzika postrzelonego podczas polowania. W końcu książę się wyswobodził, lecz mnich zdołał go chwycić za złote epolety ozdabiające mundur. Jusupow się szarpnął, usłyszał trzask rozdieranego materiału, ale zdołał się wyrwać z rąk Rasputina. Rzucił się schodami na górę, krzycząc wniebogłosy:

– On ożył! Próbował mnie udusić!

Zdyszany wpadł do gabinetu, gdzie nadal pozostali spiskowcy wesoło się bawili, z wyjątkiem Kaledina, który cały czas z ponurą miną stał przy oknie. Słyszając słowa Jusupowa, zamarł z zaskoczenia. Chyba nie jest aż tak pijany, aby podrzeć na sobie własny mundur, pomyślał Kaledin i poczuł nieprzyjemne ciarki na plecach. Czyżby naprawdę Rasputin był bożym człowiekiem, którego zwykły śmiertelnik nie może pozbawić życia?

– Co tak siedzicie jak kukły?! – krzyczał przerażony książę. – On żyje! To diabeł wcielony! – Wyciągniętą ręką wskazywał widniejące za nim drzwi.

Pierwszy do wyjścia rzucił się Puryszkiewicz i pędząc po schodach, wyszarpnął pistolet z kabury. Drzwi na dziedziniec zastał szeroko otwarte. W świetle padającym z pobliskich latarni ujrzeli ślaniającego się na nogach Rasputina, który upadając raz po raz, zmierzał w stronę bramy wychodzącej na ulicę. Poseł do Dumy wycelował i strzelił. Mnich jedynie się zachwiał i dalej brnął przez śnieg wprost przed siebie. Puryszkiewicz strzelił po raz drugi. „Święty czart” przystanął i po chwili osunął się na śnieg. Zanim spiskowcy do niego podbiegli, próbował podnieść się na nogi. I wówczas wielki książę Dymitr sięgnął do kabury po pistolet.

– Nie, wasza cesarska mość. – Kaledin zdecydowanym gestem chwycił go za rękę. – Przyszły car Rosji nie może sobie kalać rąk chłopską krwią. Ja to zrobię.

Muszę dotrzymać słowa danego Raynerowi, pomyślał z niezadowolaniem. Wyciągnął z kabury rewolwer i podszedł do próbującego wstać z ziemi Rasputina. Wycelował prosto w środek jego czoła i nacisnął spust. Rozległ się ogłuszający huk, a „święty starzec” bez życia padł na wznak. *Bog s tobój*, pomyślał Igor i schował broń do kabury.

– Niech wasza cesarska mość już jedzie do siebie – zwrócił się do wielkiego księcia. – Tak będzie lepiej. Sprawy nie uda się zachować w tajemnicy.

Zagubiony i zmęczony wydarzeniami nocy Dymitr Pawłowicz posłusznie jak dziecko wykonał polecenie Kaledina. Natomiast wściekły z powodu swoich niecelnych strzałów Puryszkiewicz dopadł nieboszczyka i założywszy na rękę kastet, zaczął pastwić się na trupem. Jusupow, jakby mu jeszcze mało było krwi, okładał stygnące ciało laską, którą chwycił, wybiegając z domu, i kopał gdzie popadnie. Najwięcej w krocze.

– On już nie żyje, *gospoda* – studził ich zapal doktor Łazawert.

Nie musiał sprawdzać tętna. Kula, która przebiła czoło Rasputina, ugrzęzła w jego mózgu, a tego jeszcze nikt nie przeżył. Przynajmniej Łazawert o takim przypadku nie słyszał w swojej długiej karierze lekarza wojskowego. Gdy Jusupow i Puryszkiewicz w końcu nasycili swą żądzę zemsty, wnieśli zwłoki do sekretnego apartamentu, owinęli w zasłonę, ręce i nogi

skrepowali sznurami i łańcuchami. Na wszelki wypadek Jusupow zadzierzgnął sznur na szyi mnicha. Tak przygotowany „pakunek”, jak powiedział, wrzucili do samochodu. Kaledin usiadł za kierownicą, bo w tym towarzystwie jedynie on prowadził, i ruszyli w stronę Małej Newki poprzez zasypany śniegiem Piotrogród. Jego mieszkańcy jeszcze nie wiedzieli, że właśnie zaczął się nowy rozdział w historii Rosji, który zapisze się krwawymi zgłoskami.

Kiedy samochód zatrzymał się na moście przerzuconym przez Małą Newkę, Łazawert z Puryszkiewiczem przytroczyli do zwłok Rasputina ciężarki, a Kaledin, najsilniejszy ze wszystkich spiskowców, chwycił zimne już ciało „świętego diabła” dla jednych, „bożego człowieka” dla drugich i wrzucił je do szerokiego przerębla. Natychmiast zniknęło w czarnych odmętach lodowatej wody. Żaden z nich nie zwrócił uwagi, że na śniegu pozostał jeden ze śniegowców „świętego starca”, który zsunął się mu z nogi.

**Część trzecia**  
**Za bramami piekła**



## Rozdział 17

Zbliżała się Wigilia Bożego Narodzenia, gdy Leopold Jaxa-Rawecki wrócił z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wcześniej niż zwykle. Posadę w tym niezwykle ważnym urzędzie carskiej Rosji załatwił mu teść, emerytowany tajny radca stanu, mający koneksje i znajomości pośród śmietanki towarzyskiej Petersburga. Jako urzędnik ósmego stopnia w randze asesora kolegiatnego Rawecki otrzymał piękne mieszkanie w najlepszej dzielnicy miasta. Jego pensja początkowo wystarczała na wszystkie zachcianki, lecz z czasem rodzina zaczęła dostrzegać niedogodności wynikające z toczącej się wojny. Ceny żywności rosły, działalność wzmogła ochrona, krzywym okiem patrzono na Rosjan o niemieckobrzmiących nazwiskach, a było ich dość dużo, zwłaszcza wśród generalicji. Wszędzie dopatrywano się szpiegów i zdrajców. Problemy zaczęła sprawiać Daria, która pewnej nocy miała widzenie, jak podczas szarży wrogie kule przebiły pierś Cezarego. Nie pomogły perswazje matki i ojca, że to był z pewnością tylko sen. Popadła w melancholię, nosiła się na czarno i więcej czasu spędzała w pobliskim kościele Świętej Katarzyny niż w domu. Dzień zaczynała od modlitwy i modlitwą kończyła. Nawet podjęta praca nauczycielki nie przyniosła jej pocieszenia. Nie mam już córki, tylko zakonnicę, myślała Liza. Jednak w głębi duszy życzyłaby sobie śmierci bratanka. Podobnie jak Leopold, obwiniała Cezarego o wydarzenia w Kielcach, a to one popchnęły rodzinę do wyjazdu z miasta. Rawecki dziękował Bogu, że przynajmniej chłopcy nie sprawiali kłopotów. Jura został przyjęty do Korpusu Kadetów, a Kola do gimnazjum.

Ledwie Leopold przekroczył próg, podając szubę służącej, zawołał do żony siedzącej w bawialni z książką w ręce:

– Lizo, czy ty wiesz, co się stało?!

– Skąd niby mam wiedzieć?! – prychnęła oburzona. – Przecież przez te moje tuberkulozy cały dzień siedzę w domu. Doktor Winkler zabronił mi wychodzić na dwór przy takich mrozach.

– Wyobraź sobie, moja gołąbeczko – relacjonował podekscytowanym tonem, zdejmując śniegowce. – Zabili w końcu tego antychrysta, tego diabła wcielonego, Rasputina.

– Jezu Chryste! – wrzasnęła służąca, chwytając się oburącz za głowę. – Zabili naszego ojczulka przenaświętszego! – zawodziła z płaczem.

Widząc jednak krytyczne spojrzenie swego chlebobdawcy, czmychnęła do kuchni. Już po chwili do Raweckich dotarło trzaśnięcie drzwi wejściowych i tupot nóg służącej po schodach.

– A gdzie to Ksenię poniosło? Przecież obiad trzeba podawać... – Liza nadstawiła mężowi policzek do ucałowania. – Kogo, mówisz, zamordowali? – Dopiero teraz dotarły do niej słowa męża.

– Rasputina, tego fałszywego mnicha, który się szarogęsił na cesarskim dworze...

– Kto go zabił? – zainteresowała się. Odłożyła książkę i utkwiała w mężu zaciekawione spojrzenie.

– Na razie nie wiadomo – odparł Leopold i usiadł obok żony. Bardzo lubił takie chwile, kiedy siadywali blisko siebie i rozmawiali o różnych sprawach. – Na moście Pietrowskim znaleziono najpierw but i szubę. Przeszukano Newkę, która w tym miejscu nie jest całkiem zamarnięta, i wyłowiono ciało Rasputina.

– Może się po pijanemu poślizgnął i sam wpadł do wody – wzruszyła ramionami. – Przecież to pijak i hulaka.

– Ależ, Lizeczko! Co ty mówisz?! – Leopold spojrzał na żonę z pretensją. Zawsze neguje moje słowa, cokolwiek bym powiedział, pomyślał rozżalony. – Wiem od naczelnika wydziału.

Przecież już prowadzą śledztwo. Podczas sekcji zwłok w ciele znaleziono kilka kul, w tym jedną w głowie, ręce i nogi miał związane sznurem, a całe ciało obwiązane łańcuchem. Wszystko wskazuje na to, że to któryś z przeciwników cara się odważył.

Obiad musiała podać kucharka, bo Ksenia wróciła dopiero po kilku godzinach. W rękach ścisnęła butelkę po lemoniadowi z mętą wodą w środku.

– A co to Ksenia przyniosła? – zdziwiła się Liza, wychodząc do przedpokoju, aby ją zbesztać za samowolne opuszczenie mieszkania.

– To święta woda, proszę wielmożnej pani – odparła, przyciskając butelkę do swojej obfitej piersi. Ksenia była tęgą, starzejącą się panną, którą posłano na służbę do miasta, bo na wsi nie było dla niej zajęcia.

– Święta? – Liza sądziła, że coś źle zrozumiała. – Chyba święcona. Ale ty przecież nie jesteś katoliczką.

– Nie, proszę wielmożnej pani – Ksenia obstawała przy swoim. – To jest święta woda. Nabrałam jej z tego miejsca, w którym utonął „święty starzec”. Wszyscy tak zrobili. Bo kto teraz będzie nam pomagał, jak naszego ojczulka zabrakło?

Liza już otwierała usta, aby służącej wytłumaczyć, kim tak naprawdę był Rasputin, ale zaniósł ją kaszlem. Machnęła więc tylko ręką i poszła do sypialni, aby zażyć kropli od doktora Winklera. Może ona ma rację z tym Rasputinem? – pomyślała. Przypomniała sobie krążące po Piotrogradzie plotki, że uratował życie carewicza Aleksego. Może źle zrobiłam, że sama do niego nie poszłam?

Choć śmierć „świętego starca” dała satysfakcję jego przeciwnikom, a było ich więcej niż wielbicieli, nie przyniosła poprawy sytuacji politycznej, ekonomicznej ani militarnej. Świetnie zapowiadająca się ofensywa Brusilowa nie osiągnęła zakładanych celów. Brakowało koordynacji między poszczególnymi armiami rosyjskimi. Ocierające się o zdradę zachowanie generała Ewerta, który nie zdecydował się na związanie na większą skalę wojsk niemieckich, pozwoliło generałowi Hindenburgowi, który wówczas pełnił już funkcję naczelnego dowódcy, na wysłanie przeciwko Brusilowowi części swoich wojsk. Z tych powodów rosyjskiemu generałowi nie udało się ani zająć Lwowa, ani wkroczyć na Węgry, by wyeliminować monarchię habsburską z gry. Jedynie ją osłabił. Za wątpliwy sukces Rosja zapłaciła milionem utraconych żołnierzy. Na rozkaz Brusilowa wycofywano się z terenów z takim trudem zdobytych, okupionych śmiercią i kalectwem setek tysięcy, co budziło wśród żołnierzy rozgorzyczenie.

Sroga zima i obfite opady śniegu pogorszyły i tak kulejący transport. Pociągi jeździły coraz wolniej, w miastach zaczynało brakować węgla, co z kolei owocowało brakiem energii elektrycznej i zatrzymaniem produkcji. Nie lepiej przedstawiała się sytuacja na prowincji. Na wsi brakowało rąk do pracy z uwagi na pobór do armii milionów zdolnych do noszenia broni mężczyzn. Brakowało paszy dla bydła oraz koni do zaprzęgów, gdyż wszystko rekwirowała armia. Plony zatem były mizerne, a ceny na wszystko rosły w tempie zastraszającym. Odpowiedzialnością za taki stan rzeczy obarczono nie tylko rząd, ale także cara i jego kamarylę. Powszechne stało się mniemanie, że cały wysiłek wojenny i armię zmarnowali wysoko postawieni zdrajcy. Z tygodnia na tydzień pogarszały się nastroje społeczne. Kryzys się pogłębił, gdy w lutym także w Piotrogradzie zaczęło brakować chleba i rozeszły się pogłoski, że rząd ma zamiar wprowadzić kartki na żywność. Przed piekarniami ludzie już w nocy ustawiali się w kilometrowych kolejkach. Zdesperowani płądrowali sklepy z żywnością. W wielu zakładach przemysłowych wrzało. Robotnicy odmawiali pracy i organizowali zebrania, podczas których agitatorzy nawoływali do buntu przeciwko rządowi, a nawet carowi. Domagano się chleba i pokoju. Ministrowie, nie mogąc zapanować nad wymykającą się spod ich kontroli sytuacją, rozwiązali rząd i każdy z nich ratował własną skórę ucieczką.

Leopold Jaxa-Rawecki nie miał już dokąd uciekać. On przecież już raz uciekł, z Kielc do Sankt Petersburga, gdzie ponoć mieli być bezpieczni. Powrotu już nie było, bo Kielce i Miechów znajdowały się po drugiej stronie linii frontu, pod okupacją austriacką. Siostra Ewelina, mająca wraz z mężem majątek ziemski na Wołyniu, pisała straszne rzeczy. Chłopi stali się butni i aroganccy, odmawiali pracy, a służba porzuciła swe obowiązki. Ten oszalały naród za kilka kopiejek, za przyzwolenie na rabunek, pisała, przehandlował duszę, a nawet Boga.

– Może nie idź dziś do ministerstwa – poprosiła któregoś lutowego ranka Liza, słysząc mimo szczelnie zamkniętych okien, jak maszerujący pobliskim Newskim Prospektem tłum śpiewał przetłumaczoną na język rosyjski *Marsylianke*. Jej słowa wiały grozą:

*I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci,  
Bo nadszedł chwały naszej dzień.  
To tyran przeciw nam zawiesił  
Zbroczony krwawo sztandar ten.  
Zbroczony krwawo sztandar ten.  
Słyszycie z bitew pól niesiony.  
Żołnierzy przeokrutnych ryk?  
Już idą wam zaciągnąć stryk,  
By zarznąć wasze syny, żony.  
Do broni, bracia, dziś!  
Zewrzyjcie szyki wraz!  
I marsz, i marsz!  
By ziemię krwią  
napoić, przyszedł czas!\**

Liza zatkała uszy dłońmi i wybuchnęła głośnym płaczem. Pobiegła do sypialni i rzuciła się na łóżko.

– Ależ Lizo. – Leopold podreptał za nią i przysiadł obok. Niezdarnie gładził żonę po drobnych plecach, którymi wstrząsał szloch. – Zrozum, że upadek samodzierżawia przyniesie wreszcie wybawienie i Rosja stanie się wielka. Tak sądzi wielu światłych Rosjan. Spójrz na Amerykę czy Anglię. Tam inaczej się ludzie rządzą.

– Co ty wygadujesz! – Liza usiadła na łóżku i wbiła w męża rozsierdzone spojrzenie. Twarz miała zapuchniętą od płaczu, lecz mimo to nadal piękną. Sińce pod oczami i bladeść cery dodawały jej tajemniczości. – Nad tą tłuszcą już nikt nie zapanuje, żaden rząd! – ciągnęła zrozpaczonym głosem. – Bolszewicy im w głowach poprzewracali, że teraz prości ludzie będą rządzić. Ale najpierw nas muszą pozabijać. Sama słyszałam, jak jeden z nich mówił, że upadającą klasę należy dobić. Że takie jest prawo. A to my jesteśmy tą upadającą klasą...

– Przecież nie bolszewicy będą rządzić, tylko liberalni „kadeci” – Leo starał się żonę uspokoić. – W ministerstwie się mówi, że na czele rządu stanie książę Lwow, a on przecież nie jest bolszewikiem.

– Leo, mój drogi... – Przytuliła się do męża. – Mam złe przeczucia. Dlaczego myśmy wyjechali z Kielc? Co prawda rządzą tam Austriacy, ale za to nie ma wojny.

Leopold zagryzł wargi, aby nie zakląć siarczyście. Sama chciałaś tutaj przyjechać, głupia babo, to teraz masz, pomyślał z gorzką satysfakcją. Głośno jednak swych myśli nie ważył się wypowiedzieć. Liza gotowa dostać gorączki.

– Wszyscy na tej rewolucji skorzystamy, zobaczysz – zapewniał żarliwie, choć w głębi duszy miał wątpliwości. Powtarzał jedynie słowa zasłyszane w ministerstwie. – Wróć na obiad – oznajmił po chwili, wychodząc z sypialni.

Włożył urzędniczy uniform oraz płaszcz zamiast futra, gdyż nastąpiła odwilż i powiało

cieplejszym powietrzem. Gdy wyszedł przed dom, rozejrzał się, czy czasem nie natknie się na manifestujący tłum. Nie widząc nikogo w pobliżu, na wszelki wypadek bocznymi uliczkami skierował się w stronę budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mieszczącego się w bliskim sąsiedztwie soboru Świętego Izaaka. Aby tam się dostać, musiał przejść przez most na Mojce. Bał się spotkania z rozwścieczonym tłumem. Przecież to nie moja wina, że wybuchła ta przekłeta wojna, powtarzał w myślach. Kilka łez potoczyło się po jego wymizerowanych policzkach, docierając do wąsów, które dawno powinny widzieć się z fryzjerem, lecz wszystkie przyzwoite zakłady pozamykano już w styczniu. Czuł się zagubiony i głodny. Nie dość, że wyszedł z domu bez śniadania, to jeszcze te rozwrzeszczane tłumy na ulicach. Gdy z Kazańskiej skręcił w Grochową, nagle znalazł się oko w oko z maszerującym tłumem, który zajmował całą szerokość jezdni. Na przedzie kroczyli robotnicy pod rękę z marynarzami, którzy przyłączyli się do buntu. Wielu z nich niosło czerwone – jakby zbroszone krwią – sztandary i transparenty, na których widniały napisy domagające się chleba i pokoju. Na innych żądano ziemi dla chłopów, a na jeszcze innych wypisano: „Wolność, równość, braterstwo”. Uczestnicy marszu ozdobili swe ubrania czerwonymi kokardami, jakby chcieli się odróżnić od reszty społeczności Piotrogradu, tej gorszej, tej, która doprowadziła Rosję do katastrofy. Wśród nich wielu było takich, którzy ze strachu przyłączyli się do silniejszych. Wielu wierzyło im na słowo, że teraz nastaną czasy demokracji i to oni będą rządzić, a winni zostaną surowo ukarani.

Leopold Rawecki błyskawicznie pokonał całą szerokość jezdni i ciasnymi zaułkami bezpiecznie dotarł do mostu. Już z daleka rzucała się w oczy olbrzymia, pokryta setką kilogramów złota kopuła największego w Piotrogradzie soboru pod wezwaniem Świętego Izaaka. Otaczały go liczne kolumny wyciosane z czerwonego granitu. Katolickim zwyczajem Leopold nakreślił na piersiach znak krzyża. Boże litościwy, zmiłuj się nad nami grzesznymi, pomodlił się krótko i stawiając ostrożnie kroki, aby nie zamoczyć obuwia w szeroko rozlanych błotnistych kałużach, zmierzał wąską uliczką wiodącą na tyły budynku ministerstwa, gdzie pełnił funkcję urzędnika ósmej kategorii. Ale wobec stanowiska komisarza do spraw rolnictwa w prowincjonalnych Kielcach był to szczyt jego marzeń i zwieńczenie kariery urzędniczej. Odetchnął z ulgą, gdy chwycił za klamkę. Jednak w drzwiach nie natknął się na portierów, którzy zawsze uniżenie witali wchodzących i zegnali wychodzących. Stchórzyli i nie przyszedli do pracy albo przyłączyli się do strajkujących, pomyślał. Wbiegł po schodach na piętro. Większość pomieszczeń świeciła pustkami, gdyż urzędnicy także nie przyszedli do pracy. Reszta pracowników, tych bardziej odpowiedzialnych, usiłowała poupychać po szafach najważniejsze dokumenty, aby nie dostały się w łapy tłuszczy. Liczyli, że rząd przyśle wojsko, które rychło zaprowadzi porządek. Przecież zawsze tak się działo. Jeszcze nie wiedzieli, że pięć regimentów piechoty piotrogradzkiego garnizonu odmówiło rozkazu strzelania do bezbronnego tłumu i przyłączyło się do strajkujących. Teraz robotnicy już nie byli bezbronni i wznosząc bojowe okrzyki, zmierzali w stronę centrum, gdzie mieściły się urzędy i ministerstwa. Po drodze rozbili arsenał, zdobywając tysiące karabinów, i wypuścili więźniów z Twierdzy Pietropawłowskiej. W jednym ze splądrowanych magazynów natknęli się na skrzynie z wódką, której sprzedaży car zabronił. Rozgrzała nie tylko ich zmarznięte ciała, ale także nastroje.

Jeszcze Leopold nie zdążył zabrać się do pracy, gdy z parteru do jego uszu dobiegły jakieś krzyki. Wyszedł na korytarz i wychylił się przez barierkę. Ujrzał, jak hol błyskawicznie wypełniał się rozwrzeszczanymi ludźmi. Rozbiegli się po pokojach, w większości pustych, co tylko ich rozjuszyło. W jednym natknęli się na kasjera. Zażądali otwarcia kasy. Gdy odmówił, dostał kolbą po głowie i upadł na posadzkę, a krew na kształt aureoli rozlała się wokoło. Reszta tłuszczy wbiegła schodami na piętro. Otwierali po kolei wszystkie drzwi i wyrzucali na korytarz przerażonych urzędników, którzy bezradnie tłoczyli się koło schodów, poprawiając na nosach

binokle i obcierając chusteczkami kroplisty pot na czołach. Manifestanci wyciągali z szaf teczki z dokumentami i wyrzucali przez okna. Już po chwili albo płonęły na stosie, albo wiatr rozwiewał je na wszystkie strony i topił w błocie. Jeden z buntowników, ubrany w prostą robotniczą kapotę, ujrzał stojącego przy balustradzie Leopolda. Natychmiast obaj się rozpoznali. Był to jeden z donosicieli, których akta osobowe Rawecki trzymał w swojej szafie.

– *Wot swołocz!* – wrzasnął donosiciel i wyciągniętą ręką wskazał swym towarzyszom stojącego niczym słupek soli Leopolda. – To przez niego nie mamy chleba! Zdrajca i sprzedawczyk!

– Ależ *grażdanie...* Ja jestem tylko zwykłym urzędnikiem – Rawecki usiłował się wytłumaczyć, czując, jak ze strachu ugięły się pod nim kolana. Boże, ratuj, modlił się w myślach, cofając się krok po kroku.

– Łżesz! – wrzasnął jeden z marynarzy i doskoczywszy do Leopolda, zadał mu cios pięścią w twarz.

Rawecki zatoczył się w tył i chwycił barierki, aby nie upaść. Chryste Panie, zmiłuj się nad nami, modlił się, czując, jak ogarnia go śmiertelne przerażenie. Widząc, że to nie przelewki, że żadne tłumaczenia i rozmowy nie mają sensu, że tych rozwścieczonych ludzi nic i nikt nie przekona, rzucił się do ucieczki. Schodami wbiegł na drugie piętro. Ale oni już tam byli. Wpadł do pierwszego z brzegu pokoju, licząc, że w nim znajdzie schronienie, ale nie zdążył zamknąć za sobą drzwi. Goniąca go tłuszcza wpadła za nim do środka.

– Za okno ze ścierwem! – w stronę tłumu wrzasnął donosiciel, sam nie mając odwagi.

Dwa razy nie trzeba było im powtarzać. Chwycili Leopolda za nogi i ręce. Ktoś szeroko otworzył okno. Powiało wiosennym ciepłym powietrzem. Żegnaj, Lizo, moja kochana, zdążył pomyśleć, zanim spotkał śmierć czekającą na niego na pokrytym błotem bruku. Po chwili tuż obok niego skończyło swój żywot jeszcze kilku urzędników. Pozostałych postawiono pod mur i rozstrzelano.

Kilka minut później cała zawartość szafy Raweckiego znalazła się na chodniku, tuż obok niego i jak on unurzana w błocie. Już nikomu do niczego nie była niezbędna.

\* Tłum. Edward Porębowicz.

## Rozdział 18

Rozruchy w mieście trwały jeszcze kilka dni. Oficerowie policji i armii bali się wychodzić z domów. Oszałały tłum z miejsca robił z nimi porządek. Podobny los spotykał zamożnych mieszczan i arystokrację. Niektórzy jednak z egzaltacją przypinali sobie czerwone kokardki do ubrań i razem z robotnikami i żołnierzami maszerowali pod czerwonymi sztandarami z *Marsylianką* na ustach. Mimo wszystko to zbratanie się z ludem, którym w głębi serca gardzili, nie uchroniło ich przed śmiercią z proletariackich rąk już kilka miesięcy później. Wbrew szczytnym hasłom wypisanym na sztandarach: „Wolność, równość, braterstwo”, przez Rosję przetaczała się fala nienawiści i zbrodni. Rabowano nie tylko sklepy, ale i mieszkania, zabijano każdego, kto wydawał się wrogiem ludu, gwałcono kobiety.

Liza na próżno czekała z obiadem, a później z kolacją. Minęło kilka dni, a Leopold nie wracał do domu. Na koniec ulotniły się Ksenia i kucharka Nadia. Z zewnątrz dochodziły odgłosy strzelaniny, raz bliżej, to znowu dalej od domu, jacyś ludzie wznosili okrzyki, inni śpiewali *Marsyliankę*. Gdy w końcu fala zamieszek zaczęła opadać, Liza zebrała się na odwagę i podeszła do okna. Uchyliwszy firankę, wyjrzała na ulicę. Szyby w oknach sklepów mieszczących się w kamienicy naprzeciwko były powybijane, a wnętrza splądrowane. Jakiś człowiek z rozbitą głową leżał pod ścianą, nie dając żadnych oznak życia. Częściowo zdążył go przysypać śnieg, który zaczął padać już w nocy. Po chwili duża grupa ludzi z czerwonymi sztandarami w rękach przebiegła chodnikiem w stronę Newskiego Prospektu. Wszyscy mieli płaszcze ozdobione czerwonymi kokardami. Zaraz za nimi ulicą przejechał wojskowy automobil, a siedzący w jego wnętrzu żołnierze wystawili przez okno pojazdu czerwony sztandar. Łopotał złowrogo na wietrze. Towarzyszyła im ciężarówka wypełniona robotnikami i żołnierzami, dzierżącymi ogromnych rozmiarów czerwony transparent. Liza nie zdążyła przeczytać, jakie hasło na nim widniało. Zresztą niewiele ją to interesowało. I tak im nie wierzyła.

Z każdym dniem nabierała coraz większych podejrzeń, że z jej mężem musiało się stać coś strasznego, czego nawet nazwać nie miała odwagi. To moja wina, powtarzała w kółko. To ja się uparłam, aby wyjechać z Kielc. Teatrów i kawiarni mi się zachciało. Boże, wybac mi moją próżność i chociaż dzieci uratuj. One niczemu nie są winne. Na dnie jej duszy tkwił lęk, jak ona sobie bez męża poradzi. Nie mieli żadnych oszczędności, bo wszystkie poszły na jej pobyt w Szwajcarii, gdzie i tak jej nie wyleczyli. To tuberkuloza, oznajmili lekarze, bezradnie rozkładając ręce. Trzeba się dobrze odżywiać i dużo wypoczywać na świeżym powietrzu. Jak mam się dobrze odżywiać, kiedy nawet chleba brakuje? – pytała samą siebie. Rodzice zmarli w zeszłym roku, jedno po drugim, zostawiając w spadku tylko długi. Prowadzili życie ponad stan, w myśl zasady, że jakoś to będzie. Liza odeszła od okna i kręciła się po kuchni, nie wiedząc, co podać Darii i Koli na śniadanie. W końcu ugotowała kaszę, bo chleba w domu nie znalazła ani kawałka. Nadia i Ksenia zabrały, pomyślała ze złością. Wytrzaskam po tych chamskich pyskach, jak tylko się pojawią.

– Daszeńko! Kola! Śniadanie gotowe – zawołała z jadalni.

Usiadła za stołem i zawzięcie mieszkała łyżką w talerzu, aby kasza choć trochę ostygła.

Kola, jak tylko wstał, chodził po mieszkaniu z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Szkoły pozamykano, co Liza przyjęła z ulgą, więc trochę się nudził. Jura przebywał w koszarach Korpusu Kadetów. Dasza nie wstawiała z kolan, modląc się przed świętym obrazem wiszącym w jej sypialni.

– Nie jestem głodna – oświadczyła ze śladami łez na policzkach, wchodząc do jadalni. –

Wolę prosić Boga, aby papa wrócił do domu.

– Musisz coś zjeść, aby mieć siłę się modlić – oświadczyła Liza stanowczym tonem.

Kola usiadł bez szemrania i zabrał się do jedzenia.

– Za słone! – Odłożył łyżkę i spojrzał na matkę z pretensją. Choć martwił się o ojca, był głodny, a kasza była obrzydliwa. – Czy nasza Nadia nie ma smaku? Zakochała się czy co?

– Jak zwykle musisz grymasić! – fuknęła na niego Daria, siadając przy stole. Argument Lizy, że nie będzie miała sił na modlitwy, ją przekonał. O matko, jakie słone, pomyślała, nabierając kaszy do ust. – Kucharka i służąca porzuciły służbę – wyjaśniła bratu – dlatego *mamoczka* musiała stanąć przy kuchni, a przecież nigdy wcześniej niczego nie gotowała.

Ja też nie umiem gotować, pomyślała. Oni mają rację, jesteśmy pasożytami, nie żyjemy z pracy własnych rąk – przypomniała sobie słowa rzucane przez manifestujący tłum.

– Rzeczywiście, może nieco przesoliłam – załamany głosem przyznała się Liza, kiedy przełknęła pierwszą porcję kaszy i odłożyła łyżkę. Tego się nie da zjeść, pomyślała ze wstydem. – Całe życie miałam kucharkę – dodała ze łzami w oczach, jakby chciała się przed dziećmi wytłumaczyć. Najchętniej wybuchnęłaby szlochem, ale nie było w pobliżu Leopolda, który zawsze ją w takich okolicznościach pocieszał.

Uzmysłowiła sobie, że nauczono ją zarządzać służbą, układać kwiaty w wazonie, grać walce na fortepianie, prowadzić konwersację w języku francuskim, a nie pokazano, jak ugotować zwykłą kaszę czy zupę. Co będzie, jeśli służba nie wróci? Przyjdzie nam umrzeć z głodu, pomyślała, zanim ja nauczę się gotować.

– Nie musicie tego jeść, aby mi zrobić przyjemność – powiedziała do dzieci, wstając od stołu. – Pójdę poszukać waszego ojca. Może musiał zostać w ministerstwie, aby zabezpieczyć przed tą hołotą dokumenty.

Wolała nie dopuszczać do siebie myśli, że Leopold leżał gdzieś pod murem, pobity, na próżno oczekując pomocy.

– Pójdę z tobą. – Dasza zerwała się z miejsca.

– Nie, córuchno. – Liza gwałtownie pokręciła głową. Jest młoda i ładna, jeszcze mi ją zgwałcą, pomyślała. – Zostań z Kolą w domu. Tak będzie bezpieczniej – oznajmiła stanowczo i poszła do sypialni.

Wyjęła z szafy czarny płaszcz, w którym przyjechała z Kielc. Był już niemodny, trochę znoszony i w odróżnieniu od garderoby kupionej w Piotrogradzie wyglądała w nim jak żona urzędnika najniższego szczebla. Miała zamiar ofiarować go Nadii lub Kseni, ale obie były zbyt tęgie i nie mogły się dopiąć. Dobrze, że nie wyrzuciłam, pomyślała, wkładając płaszcz na prosty w kroju kostium. W bieliźniarce wyszukała czerwoną atlasową wstążkę, którą zawiązała w kokardkę i agrafką przypięła do płaszcza. Dobrą chwilę przekładała pudła z kapeluszami, ale każdy wydawał się jej zbyt strojny i mógłby zwrócić uwagę kogoś z tłumu. W końcu owinęła głowę ciepłym szalem.

– Nikomu nie otwierajcie – nakazała. Może nie powinnam ich zostawiać samych? – pomyślała przez moment. – A najlepiej będzie, jak zabarykadujecie drzwi kredensem z jadalni. Ja trzy razy pociągnę za dzwonek – powiedziała na odchodnym, tuląc dzieci do piersi.

Jeszcze chwilę stała na schodach, nasłuchując, jak z trudem pchali kredens po parkiecie. Podłoga się porysuje, pomyślała z troską, zanim trzymając się poręczy, zeszła na parter. Furtiana także nie było na swoim miejscu.

Na ulicy owionęło ją mroźne powietrze, które natychmiast odebrało jej oddech. Zaniósł się kaszlem. Rozejrzała się bezradnie, spoglądając w twarze nielicznych przechodniów. Mocno ściskając w ręce torebkę, dotarła do Fontanki. Kiedyś tą ulicą spacerowali razem z Leopoldem wśród elegancko ubranych kobiet i mężczyzn. Jeździły nią dorożki, a zimą sanki, dzwoniąc

dzwoneczkami. Teraz wypełniał ją groźnie wyglądający tłum ludzi w wojskowych szynelach, marynarskich mundurach albo roboczych kurtkach. Kobiety w chustach na głowach, w szerokich spódnicach sięgających kostek, choć moda pozwalała na krótsze, maszerowały razem z mężczyznami. Były to robotnice z Zakładów Putiłowskich. One nie myślały o tym, co modne, a co nie, tylko o tym, co do garnka włożyć, a ich mężowie na wojnie także cierpieli głód. Gromkimi głosami domagały się chleba i zaprzestania wojny. Wbrew jej woli tłum zagarnął Lizę ze sobą. Popychano ją na wszystkie strony, szturchano, coś do niej mówiono. Uśmiechała się z zażenowaniem i usiłowała dotrzymać kroku demonstrantom.

Nagle ktoś z przodu zaintonował *Marsyliankę*. Idąca tuż obok robotnica uchwyciła Lizę pod pachę i zaczęła śpiewać z przejęciem:

*Do broni, bracia, dziś!*

*Zewrzyjcie szyki wraz!*

*I marsz, i marsz!*

*By ziemię krwią*

*napoić, przyszedł czas!*

Tłum maszerował w stronę centrum. Gruba warstwa śniegu tłumiła kroki. Gdy Liza z daleka ujrzała lśniąca złotem kopułę soboru Świętego Izaaka, wyswobodziła rękę z uścisku robotnicy i zniknęła w bocznej uliczce. Była pusta. Liza brnęła przez śnieg w stronę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ileż to razy szłam tędy z Leopoldem, pomyślała, a jej serce ścisnął bolesny skurcz. Nagle z jednej z bram wyskoczyła grupa mężczyzn obciążonych zdobyczą zrabowaną w cudzym mieszkaniu. Liza przyłgnęła plecami do ściany i wstrzymała oddech. Mężczyźni, zamroczeni wódką, nawet jej nie zauważyli. Przeszli kilka kroków i weszli do następnej bramy. Już po chwili dały się słyszeć stamtąd krzyki kobiet i płacz dzieci. Liza rzuciła się do ucieczki. Na rany Chrystusa, co tych ludzi opętało? – myślała przerażona, biegnąc w stronę soboru. Kilka razy się poślizgnęła i niewiele brakowało, aby wylądowała na rozdeptanym przez ludzi śniegu pokrywającym chodnik.

W pewnym momencie z daleka ujrzała ustawione w poprzek ulicy jakieś dziwaczne pojazdy na olbrzymich kołach. Boże, to chyba armaty, domyśliła się. Obok nich leniwie kręciło się kilku żołnierzy z czerwonymi wstążkami przy szynelach, z karabinami wiszącymi na ramionach. Przytupywali nogami z zimna. Drogę zagradzały także jakieś zdezelowane wozy i trudne do zidentyfikowania graty, przysypane padającym bez przerwy śniegiem.

– A wy, *grazdanka*, dokąd zmierzacie? – spytał jeden z żołnierzy z nosem zaczerwienionym od mrozu.

– Do domu – skłamała na poczekaniu. – Tam mieszkam. – Wskazała wyciągniętą ręką kamienicę widoczną za ich plecami, gdzie na parterze mieściła się herbaciarnia, do której przychodziła z Leopoldem. – Na Siergiejewskiej.

Kiedy pozwolili jej przejść, wskoczyła do najbliższej bramy. Na schodach wiodących na piętro leżał nieruchomo twarzą do podłogi jakiś człowiek ubrany w ciemny płaszcz. Leopold? – pomyślała z przerażeniem, a serce podskoczyło jej do gardła.

Podeszła bliżej. Pochyliła się, aby zająrzeć mu w twarz. Jego oczy patrzyły nieruchomo gdzieś w dal, tam gdzie ręką kiwała na niego śmierć. Liza odetchnęła z ulgą, nie rozpoznawszy w nim swego męża. Wychyliła się ostrożnie z bramy, aby rozeznać się w sytuacji. Żołnierze pilnujący barykady gdzieś ulotnili. Wybiegła z kamienicy. Nawet nie zauważyła, że szal spadł jej z głowy, a z samodzielnie upiętego koka wypadły szpilki i je długie ciemne włosy rozsypały się na ramionach. Po chwili musiała zwolnić kroku, gdyż męczący kaszel nie pozwalał jej złapać tchu. Była już u kresu sił, gdy w końcu z daleka ujrzała niewysoki budynek ministerstwa. Przy wejściu stało kilka wojskowych samochodów oraz kręciło się mnóstwo ludzi, w tym żołnierze,



wszyscy z czerwonymi kokardami przypiętymi do płaszczy. Zebrawszy się na odwagę, Liza podeszła bliżej.

– *Izwinitie, gospoda oficery* – z nieśmiałym uśmiechem na spieczonych ustach zwróciła się do dwóch żołnierzy pilnujących wejścia. – Szukam męża. Pracuje tutaj. Już od kilku dni nie wraca do domu – głos jej zadrżał, a pod powiekami poczuła łzy.

– My nie jesteśmy oficerami, *grazhdanka* – odparł jeden z nich i obrzucił Lizę ciekawskim spojrzeniem. Z rozwianymi wiatrem włosami, w płaszczu ochlapanym błotem, z podkrążonymi oczyma nie sprawiała wrażenia żony kogoś znaczącego.

– Oficerowie już nie są nam do niczego potrzebni – dorzucił pewnym siebie tonem ten drugi. – Sami sobie damy radę. I z Niemcami, i carem oraz jego kliką.

– *Konieczno* – na wszelki wypadek przyznała mu rację. Wołała się z nimi nie wdawać w dyskusję. Ona nie знаła żadnych argumentów przemawiających za kierowaniem wojskiem przez oficerów, choć samo przez się wydawało się to oczywistością. – Czy mogę wejść, aby odszukać męża? – spytała i zanosła się kaszlem. Przytknęła chusteczkę do ust. Po chwili pojawiła się na niej krew. Czerwona jak robotniczy sztandar.

– Wchodźcie, *grazhdanka* – oznajmił ten pierwszy i odsunął się na bok. Widok krwi na ustach tej jeszcze młodej i do tego ładnej kobiety wywołał w nim współczucie.

W budynku panowało ogromne ożywienie. Liza stanęła bezradnie pośrodku olbrzymiego holu. Pewno Leo jest w swoim gabinecie, pomyślała i niezatrzymywana przez nikogo weszła na piętro. Z mocno bijącym sercem szybkim krokiem pokonała długi korytarz, na którego końcu urzędował jej mąż, asesor kolegialny Leopold Andriejewicz Rawecki, jak widniało na tabliczce umieszczonej na drzwiach. Podeszła bliżej i pełna złych przeczuć zapukała. Gdy usłyszała: „*Wojti*”, serce jej zamarło. To nie jest głos Leopolda, pomyślała. Mimo to nacisnęła klamkę i popchnęła drzwi.

Za solidnym biurkiem jej męża siedział barczysty, dość jeszcze młody mężczyzna w binoklach skrywających szare oczy o melancholijnym spojrzeniu. W odróżnieniu od mężczyzn kręcących się po korytarzu ubrany był w surdut i nienagannie białą koszulę z wysokim kołnierzykiem, pod którym miał zawiązany ciemny krawat. Na widok Lizy wstał z krzesła. Zbladł, jakby ujrzał zjawę nie z tego świata. Prędzej śmierci by się spodziewał niż tej kobiety tutaj.

Mieszkał w Piotrogradzie zupełnie sam. Ojciec i macocha mieszkali na prowincji, nie miał też żony. Najpierw pochłaniały go studia, później praca naukowa. Jak wybuchła wojna, zainteresował się polityką. Na miłość już nie starczało czasu. Zresztą on unikał kobiet, a te zbyt śmiało swym natarczywym zachowaniem go zniechęcały. Kiedy wynajął pokój w eleganckiej kamienicy, w której mieszkali Raweccy, Liza była jedyną kobietą, na którą lubił patrzeć przez okno swego pokoju, jak wychodziła elegancko ubrana, w sukni ozdobionej koronkami, ściągnięta w talii gorsetem, w gustownym kapeluszu na głowie, z parasolką w ręce, aby słońce nie spiekło jej delikatnej białej cery. Czasami widywał ją w parku, jak z synkiem karmiła złote karpie pływające w sadzawce. Ponoć liczyły sobie po sto lat. Kiedy wczoraj wracał do domu, ujrzał, jak kilku marynarzy przetakiem wyciągnęło z wody dwie ryby i na miejscu je ukatrupiło.

– Jestem żoną asesora kolegialnego Leopolda Raweckiego – oznajmiła drżącym głosem. – Chciałam się widzieć z mężem. Od kilku dni nie wraca na noc do domu. – Zagryzła wargi, aby nie wybuchnąć szlochem.

– Pozwólcie, Jelizawieto Aleksiejewna, że się przedstawię. – Mężczyzna wyszedł zza biurka i podszedł do Raweckiej. Dopiero wówczas przekonała się, że był wysoki i dość dobrze zbudowany. Nawet przystojny, pomyślała. – Jestem Borys Wasiljewicz Sorokin – oświadczył uprzejmie, nie spuszczać z niej uważnego spojrzenia.

Jak mam jej to powiedzieć? – pomyślał. Przed oczyma wciąż miał stertę trupów, którą zastał wraz z grupą członków partii eserowców, kiedy z samego rana zajęli budynek na potrzeby nowo powstającego rządu.

– Wy mnie znacie? – spytała zaskoczona i z miejsca poczuła się nieswojo. To jednak prawda, że w kraju roi się od szpiegów, pomyślała. – Nie przypominam sobie, abym miała kiedykolwiek przyjemność...

– Mieszkam po sąsiedzku – wyjaśnił krótko. Powoli wracał do równowagi. – Proszę, może pani spocznie.

Wskazał dwa fotele stojące po przeciwnej stronie gabinetu, tuż obok szafy, niestety, już całkowicie oczyszczonej z dokumentów, które także dla nowej władzy mogły okazać się przydatne.

– Niezmiernie mi przykro... – zaczął z trudem, gdy Liza przycupnęła na brzegu fotela. – Wasz mąż... nie żyje. Został zabity wraz z kilkoma innymi urzędnikami.

Choć się spodziewała, że Leopold już nie żyje, poczuła, jakby jej serce pękło. Zaszumiało jej w uszach i nagle wszystko się skończyło. Tracąc przytomność, osunęła się na puszysty dywan wyściełający podłogę gabinetu. W takiej sytuacji Sorokin znalazł się pierwszy raz w życiu. Koleżanki działające w partii nigdy nie mdlały. Spoglądał z przerażeniem i jednocześnie zachwytem na bladą jak kreda twarz Lizy, na jej długie ciemne włosy rozrzucone wokół głowy, na szczupłe nogi, które odsłoniła podciągnięta do góry spódnica. Serce biło mu jak młotem. Przykłęknął obok i delikatnie opuszkami palców odgarnął kosmyk włosów, który opadł jej na twarz. Jaka ona piękna, pomyślał. Lizo, serce ty moje, powtarzał w myślach. Nie mogąc nad sobą zapanować, delikatnie pocałował ją w usta. Na moment przytulił twarz do jej chłodnego policzka i z rozkoszą zamknął oczy. Wyobraził sobie Lizę nagą w swoich ramionach. Dopiero po chwili drżącymi ze zdenerwowania palcami rozpiął wysoki kołnierzyk jej bluzki, aby mogła zaczerpnąć oddechu, i poklepał ją po policzku.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała tuż nad sobą zatroskaną twarz Sorokina. Natychmiast przypomniała sobie jego słowa.

## Rozdział 19

Do Katarzyny stojącej przy oknie szpitala w Sławucie, w którym jeszcze nie tak dawno wiele chorób, w tym gruźlicę, leczono kumysem, czyli sfermentowanym mlekiem klaczy, pochodzącym z hodowli koni księcia Sanguszki, docierały odgłosy walki toczącej się gdzieś na dalekim froncie. Nawet nie wiedziała, gdzie konkretnie, i niewiele ją to interesowało. Zdołała przywyknąć, że toczy się wojna, nawet przestała się zastanawiać, kiedy ona się skończy, jak to wielu czyniło. Wojna stała się dla niej tak powszednia jak chleb, a może nawet bardziej, bo bywały momenty, że tego chleba brakowało, wojna zaś była zawsze i wszędzie, o każdej porze dnia i nocy. Nawiedzała ją nawet we śnie, choć częściej Katarzyna miewała bezsenne noce. Leżała wówczas w ciemnościach, z szeroko otwartymi oczyma, z których wypłakała już wszystkie łzy, mając wciąż w pamięci tych, których kochała, a którzy odeszli: Tamarę, Igora i Stefana. O śmierci dziadka Andrzeja i Cezarego jeszcze nie wiedziała.

Po śmierci córki ciężko zachorowała. Przeżyła wyłącznie dzięki opiece Taraszkiewicza, który umieścił ją w szpitalu polowym w Bobrujsku i sam doglądał. Kiedy wydobrzała, zaproponował jej pracę sanitariuszki w jego ambulansie sanitarnym. Może i mnie w końcu zabije jakaś zabłąkana kula i przestanę się męczyć na tym parszywym świecie, pomyślała, nie mając dość odwagi, aby po raz drugi targnąć się na swoje życie. Jeździli z Taraszkiewiczem po terenach objętych wojną i zbierali rannych. Jednych opatrywali na miejscu, innych odwozili do szpitali polowych, rozsianych wzdłuż całej linii frontu. Sytuacja uległa zmianie, gdy latem 1916 roku generał Brusilow przystąpił do ofensywy na całej długości frontu południowo-zachodniego. Żaźarte walki toczyły się od Pińska poprzez Brody, Tarnopol, aż do Czerniowców. W szpitalach brakowało nie tylko rąk do opatrywania rannych, ale także łóżek, materaców i środków opatrunkowych. Kiedy wóz sanitarny Taraszkiewicza dotarł z transportem ciężko rannych żołnierzy do Sławuty, niewielkiego miasteczka leżącego na Wołyniu, gdzie tworzono właśnie szpital polowy, Katarzyna postanowiła tam zostać. Była już zmęczona tłuczeniem się po bezdrożach Rosji, ogarniętej wojenną zawieruchą.

Zebrała się na odwagę i weszła do gabinetu doktora Lwa Matwiejewicza Fingera. Był to słusznej postury mężczyzna w kwiecie wieku, o wyraźnie zaznaczonym brzuchu. Jego nalaną twarz, z workami pod oczyma, zdobił szpakowaty zarost, mocno zaniedbany, ale lekarz nie miał czasu na wizyty u miejscowego balwierza. A jeśli już ten czas znalazł, to wołał go poświęcić na samotne picie wódki w swojej sypialni. Nikt go na tej czynności nigdy nie przyłapał, nikt też zatem nie wiedział, że oprócz butelki stawiał wówczas przed sobą zdjęcie młodej kobiety w kapeluszu z szerokim rondem na głowie, ubranej w długą suknię jasnego koloru. Stary zalewa robaka, kwitowano krótko. Z jakiego powodu go ten robak toczył, nikt nie wiedział. Czasami w owych alkoholowych libacjach towarzyszył doktorowi Osip Osipowicz Jemilianow, rotmistrz oddziału kozaków pozostających na służbie u księcia Sanguszki. Był to dość wysoki mężczyzna, liczący nie więcej niż trzydzieści parę lat. Jego pociągłą twarz ozdabiał ciemny zarost, a spod krzaczastych brwi wesołymi iskierkami błyskały piwne oczy.

– Czy nie potrzebujecie, doktorze Finger, doświadczonej sanitariuszki? – spytała, utkwivszy w nim spojrzenie brązowych oczu, na których dnie lekarz dostrzegł starannie skrywane cierpienie.

Też ją gryzie jakiś robak, pomyślał ze współczuciem.

– Mam odpowiednie kwalifikacje. Ukończyłam kurs, pracowałam w szpitalu w Łodzi, a od roku jeżdżę w wozie sanitarnym razem z pielęgniarką Taraszkiewiczem. Widok krwi

i śmierci to dla mnie codzienność – zapewniła na koniec i oblizwała wyschnięte usta.

– Spadacie mi z nieba, *siestriczka!* – ucieszył się Finger.

Zerwał się zza stołu i uścisnął obydwie dłonie Katarzyny.

On już był u kresu wytrzymałości, a do pomocy miał tylko panny z okolicznych folwarków, które mdlały na widok krwi, a założone przez nie opatrunki sam musiał później poprawiać. Do Katarzyny dotarła bijąca od doktora woń alkoholu. Jak mamy wygrać tę wojnę, kiedy wszyscy piją na umór? – pomyślała ze smutkiem. Z drugiej strony, życie jest zbyt ciężkie, aby je przeżyć na trzeźwo. Sama bym się z chęcią upiła.

Kiedy żegnany serdecznie Taraszkiewicz ruszył swoim wozem w stronę frontu, odniosła wrażenie, jakby zabrał ze sobą cały bagaż jej poprzedniego życia. Gdy sanitariusza zabrakło, nikt jej nie przypominał Kobrynia, czarnej ospy, śmierci Stefana i dziecka. Nie miała z kim wspominać tych strasznych przeżyć. Czas, najlepszy z lekarzy, powoli zablizniał ciężkie rany, które odniosła, choć w boju udziału nie brała. Wojna kaleczyła tych, co walczyli na froncie, i tych, co w walkach nie uczestniczyli. Pochłonięta opatrywaniem rannych, nie miała czasu na rozmyślanie. Zwożono ich każdego dnia, aż w końcu i tutaj zaczynało brakować miejsc. Wielu umierało, nie doczekawszy pomocy medycznej, i składano ich w przyszpitalnej trupiarni. Inni umierali z powodu komplikacji, a jeszcze inni z powodu wycieńczenia. Bywało, że jedyny chirurg w tej placówce, doktor Finger, nie spał całą dobę, aby wyjmować kule z ciał, obcinać zmiżdżone kończyny i zszywać tych, których pociski podziurawiły. Ratował się wódką, która jak mówił, stawiała go na nogi, choć Katarzyna twierdziła, że było wręcz przeciwnie.

Gdy ofensywa generała Brusilowa wyhamowała pod koniec lata, wojna nabrała charakteru pozycyjnego. Wraz z nastaniem chłodnej i deszczowej jesieni, która zamieniła okopy i drogi w błotniste grzęzawiska, walki prawie całkowicie zamarły. Dopiero nadejście siarczystych mrozów, które skuły ziemię na kamień, umożliwiło używanie ciężkiego sprzętu do ostrzeliwania pozycji wroga. Te sporadyczne ataki nie zmieniały jednak układu sił ani nie przechylały szali zwycięstwa na żadną ze stron. Coraz częściej zamiast rannych do szpitala przywożono chorych. Wśród zgromadzonych w jednym miejscu setek tysięcy żołnierzy, wygłodzonych i zmarzniętych, szerzyły się choroby. Skarżyli się na odmrożenia, ciągły kaszel, uporczywe biegunki i niegojące się rany na stopach, które często doktor Finger musiał amputować. Już sam nie wiedział, czy więcej nóg zniszczyły miny i pociski, czy „stopa okopowa”. Stanowiło to kolejny pretekst, aby zalewać robaka. Bywało, że operował rannych żołnierzy, chwiejąc się na nogach jak witka na wietrze.

Aż pewnego dnia niewiele brakowało, a doszłoby do nieszczęścia. Przywieziono rannego, w którego piersi tkwiła kula. Doktor Finger wytoczył się ze swego pokoju, mając trudności w zachowaniu pozycji pionowej. Katarzyna, trzymając go pod pachę, zaprowadziła do sali operacyjnej, gdzie z żołnierza leżącego na stole wraz z krwią wyciekało jego młode życie. Finger nieprzytomnym wzrokiem spojrzał na niego oraz na leżące tuż obok narzędzia i sięgnął po piłkę do amputacji kończyn.

– Lwie Matwiejewiczu – szepnęła Katarzyna. – On ma kulę w piersi, a nie w nodze.

– Co ty powiesz, moja droga? – Zachichotał i gruchnął jak długi na podłogę. Nie było takiej siły, która mogłaby go postawić na nogi i zmusić do pracy.

Chcąc nie chcąc, Katarzyna musiała go zastąpić. Szczęściem wiele razy mu asystowała, przyglądając się, jak wyjmował kule z ciał albo zszywał rany po cięciu szabłą, a robił to bardzo sprawnie. Pod warunkiem że był trzeźwy. Gdy skończyła szycie, musiała pójść się przebrać. Suknię miała mokrą od potu.

– Katarzyno Pawłowna, a cóż ja tak to dziwacznie pozszywał? – spytał na drugi dzień, kiedy oglądał ranę na ciele pacjenta. – Chyba zaczynam tracić wzrok – oznajmił całkiem

poważnie i zerknął z niepokojem na sanitariuszkę.

Uśmiechała się niepewnie, a w jej policzkach ukazały się dwa dołeczki. Po raz pierwszy widzę, aby ta dziewczyna się uśmiechnęła, pomyślał. Może w końcu i jej rany się zabliznią, nie tak jak moje.

– Ależ skąd, Lwie Matwiejewiczu. Z waszym wzrokiem *wsie w poriadkie* – odparła, nadal uśmiechnięta. Była z siebie dumna. – To ja wyjęłam kulę i zaszyłam rany, by wy... Bo wy zasłabliście z przepracowania – dokończyła dyplomatycznie. Przecież nie powiem przy pacjentach, że się uchłał jak świnia, pomyślała, chichocząc.

– No tak – mruknął Finger i chrząknął kilka razy. – Serce już u mnie słabowite – dorzucił głośno, aby pacjenci usłyszeli.

Muszę przestać tyle pić, pomyślał, przechodząc do kolejnego łóżka.

Skończyło się na obietnicy, a Katarzyna coraz częściej wyręczała go w jego lekarskich obowiązkach. Mogłam śmiało studiować medycynę, myślała momentami, stojąc przy stole operacyjnym.

Miało się ku wiosnie, gdy pewnego ranka do szpitala przyjechał konno rotmistrz Osip Osipowicz Jemilianow, dowodzący oddziałem kozaków będących na usługach księcia Sanguszki. Przywiązał wierzchowca do barierki i co sił w nogach pobiegł w stronę budynku szpitalnego. Już z jego zaaferowanej miny można było wnosić, że wydarzyło się coś ważnego. Tak ważnego, że zasługiwało na kieliszek wódki albo nawet dwa.

– Doktorze Finger! – wołał od progu. – Lwie Matwiejewiczu! Ludzie! Car abdykował!

Do holu wybiegł nie tylko Finger, ale także Katarzyna i pozostałe sanitariuszki, Olga i Nina. Sanitariusz Wasyl, nieco głuchawy z powodu upadku z konia, widać nie usłyszał krzyków rotmistrza, bo pozostał przy chorych.

– Co wy wygadujecie?! – zdziwił się doktor i założył na nos binokle, aby dobrze się przyjrzeć oficerowi. Upił się od rana, i to beze mnie, pomyślał z pretensją.

– W Piotrogradzie wybuchła rewolucja – Jemilianow opowiadał z przejęciem. Zdjął z głowy barankową czapkę i otarł pot z czoła. – Tysiące ludzi się zbuntowało, a wysłani przez cara żołnierze, zamiast zrobić z nimi porządek, przyłączyli się do buntowników.

– Zaraz, zaraz, nie wszystko naraz, Osipie Osipowiczu – stopował go Finger. – Chodźmy do mojego pokoju, gdzie na spokojnie, przy kieliszeczku czegoś mocniejszego, wszystko nam opowiecie. *Siestriczki* też zapraszam – zwrócił się do sanitariuszek, stojących nieruchomo z wyrazem przerażenia na twarzach.

Wszystkie trzy miały na sobie białe fartuchy z czerwonym krzyżem na piersiach, a na głowach długie białe chusty skrywające włosy. Wyglądają jak mniszki, pomyślał i niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem. Kiedy zasiedli przy stole, doktor wyciągnął z zakamarków szafy butelkę z koniakiem. Tych młodych kobiet nie wypada częstować wódką, której smaku i tak nie potrafią docenić, pomyślał, nalewając bursztynowego płynu do szklanek. Kieliszki wytłukły się już dawno.

– No, to teraz mówcie, Osipie Osipowiczu, co się właściwie stało – poprosił, gdy on i rotmistrz wychylili duszkiem swoje porcje, a twarze sanitariuszek, które zaledwie umoczyły usta w alkoholu, wykrzywił grymas niesmaku.

– Wszystko zaczęło się od zamordowania „świętego starca”, Rasputina...

– Na rany Chrystusa... – pisnęła Nina, bogobojna panienska, córka właściciela niewielkiego majątku, której brat służył w artylerii w stopniu kapitana. *Chrani nas, Gospod!* – pomodliła się w myślach i szybkoitko nakreśliła na piersiach znak krzyża. – Któż się odważył podnieść rękę na świętego ojczulka? – spytała i zaskoczona własną śmiałością upiła kilka kropel alkoholu.

Pałac przełyk, dotarł do żołądka, skąd przyjemnym ciepłem rozszedł się po całym ciele. Ten alkohol nie jest nawet taki zły, jak mama mówiła, pomyślała i ośmieliła się wypić kolejny łyżeczek. Rozsmakowawszy się w tego rodzaju napitku, zanim wojna dobiegnie końca, często będzie Fingerowi towarzyszyła w jego alkoholowych libacjach. Z czasem fotografia kobiety w długiej sukni przestanie się pojawiać tuż obok butelki z wódką.

– *Czort ich znajet.* – Osip Osipowicz machnął ręką. – Piszą w gazetach, że do zamachu przyznał się niejaki książę Feliks Jusupow. – Zerknął na sanitariuszki, ale z ich min wywnioskował, że podobnie jak on one też nigdy o takim księciu nie słyszały. – Miał, oczywiście, pomagierów – ciągnął dalej, zadowolony z zainteresowania, jakie mu okazywały siostrzyczki, zwłaszcza Katarzyna, najładniejsza spośród nich. – Najpierw podali mnichowi truciznę, ale, jak twierdzą w swoich zeznaniach, nie zadziałała. Później kilka razy do niego strzelali. W serce, w plecy i w głowę. Ciało skrępowali sznurami, owinęli w dywan i wrzucili do przerębla. Po kilku dniach wypłynęło. Ludzie gadają, że przyczyną śmierci jednak nie okazały się rany postrzałowe ani trucizna, lecz woda, która wdarła się do płuc.

– To wszystko potwierdza, że był jednak bożym człowiekiem – oświadczyła ze łzami w oczach Nina, przerywając ciszę, która nagle zapadła. – To już koniec z nami – dorzuciła złowieszczo. – „Święty starzec” tak przepowiedział.

– Kto wie, czy nie macie racji, *siestriczka* – zgodził się Jemilianow i podsunął Fingerowi szklanekę, aby nalał mu nową porcję koniaku. – Już kilka dni później nastąpiły okrutne mrozy i spadło tyle śniegu, że do Petersburga nie dowożono mąki ani węgla. W związku z tym zabrakło chleba i prądu. Stały fabryki. Robotnicy zaczęli się buntować i wyszli na ulicę – ciągnął dalej, zdejmując ciepły zimowy płaszcz, gdyż rozgrzały go nie tylko emocje, ale także solidna porcja alkoholu. – Próby tłumienia strajków przy użyciu siły jedynie dołwały oliwy do ognia. Gdy do protestujących przyłączyli się żołnierze, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Po kilku dniach krwawych zamieszek został powołany Komitet Tymczasowy Dumy, złożony z przedstawicieli wszystkich partii politycznych, i przejął rząd w Rosji.

– No, a car? – spytał podekscytowany Finger, dolewając sobie i Osipowi koniaku. Sanitariuszki swoich porcji jeszcze nie wypily. – Mówcie, Osipie Osipowiczu. Car powinien zareagować...

– No właśnie – kontynuował Jemilianow. – Car nadal nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Zdecydował się opuścić Stawkę i z Mohylewa wrócić do Carskiego Sioła, gdzie czekała na niego żona i dzieci. Jednak przejazd jego pociągu zablokowali rewolucjoniści. Nie mając innego wyjścia, abdykował na rzecz swego młodszego brata Michała Aleksandrowicza, lecz ten, widząc beznadziejną sytuację kraju, zrzekł się korony, przekazując całą władzę Tymczasowemu Komitetowi Dumy...

– Patrzcie państwo. – Finger pokręcił głową z wyrazem bezgranicznego zdumienia na swojej dawno niegolonej twarzy. – Kto by pomyślał, że po trzystu latach sprawowania rządów dynastia Romanowów zrzeknie się władzy w wagonie kolejowym, pisząc abdykację na świstku papieru. Że też nikt nie wystąpił w obronie cara – zdziwił się na koniec.

– A kto miał wystąpić? – zachnął się rotmistrz. – Carowi już nawet chłopci nie ufali, a jeszcze nie tak dawno rzucali się na kolana, gdy przejeżdżał przez wieś.

– Może ta nowa forma władzy będzie mniejszym złem niż nieudolne rządy cara? – spytał retorycznie Finger.

Nikt z siedzących przy stole ani nawet wielcy tego świata w najczarniejszych myślach nie przypuszczali, że odbywająca się właśnie na ich oczach rewolucja, klęska Rosji w wojnie, głód i rozgoryczenie ludu doprowadzą do wojny domowej, która zmiecie z powierzchni ziemi ich dotychczasowy świat i utopi Rosję w morzu krwi.

Na moment zapadła cisza, przerywana jedynie świergotem ptaków, wpadającym do wnętrza przez nieszczelne okna. Idzie wiosna, pomyślała bezwiednie Katarzyna i zerknęła za okno, jakby chciała ujrzeć młode listki na drzewach, lecz szpital otaczały same sosny.

– To co, Osipie Osipowiczu, nastąpi wreszcie koniec wojny? Jak myślicie? – spytała, utkwivszy w rotmistrzu niespokojne spojrzenie.

Dla niej koniec wojny oznaczał niewiadomą. Co będzie ze mną? – pytała się w myślach. Czy powinnam wrócić do Miechowa, czy zostać w Rosji? Jak ja teraz będę żyć, po tym wszystkim, co przeszłam?

– Tego nie wiem – odparł. – Ja jestem na służbie u wielmożnego księcia Sanguszkki. My, kozaki, zostaniemy z nim aż do śmierci. Reszta mnie nie interesuje.

Zanim rozmowa z Jemilianowem dobiegła końca, ukazało się dno w butelce.

Więść o abdykacji cara, choć lotem błyskawicy obiegała całe imperium, na prowincji nie wywołała żadnych reakcji i życie toczyło się własnym rytmem. Początkowo chłopcy jakby nie zdawali sobie sprawy, do czego doszło. Do ich świadomości znaczenie abdykacji docierało stopniowo, a kiedy dotarło, nabrali przeświadczenia, że szlachta celowo trzyma ich w niewiedzy i dla swoich korzyści wypacza znaczenie zaistniałej rewolucji.

\*

W końcu nastala wiosna. Katarzyna coraz częściej zaglądała do książęcych stajni, zwabiona rzeniem koni przyprowadzanych przez stajennych chłopców nad Horyń. Wypielęgowane araby, wśród nich zarodowe ogiery, stały przy żłobach, na każdy głośniejszy dźwięk dobiegający z zewnątrz nerwowo przebierając kopytami. Charakterystyczny zapach stajni przypominał Katarzynie szczęśliwe lata dzieciństwa spędzane u dziadków w Porętowie. W kieszeni fartucha czasami przynosiła koniom kawałki jabłka lub marchewki, jeśli dostała od kucharki w szpitalnej kuchni.

– *Siestriczka*, a wy potraficie jeździć konno? – usłyszała któregoś dnia za plecami, gdy zakradła się do stajni.

Odwróciła się gwałtownie. Z tyłu za nią stał Jemilianow. Słonko już dość mocno grzało, więc pozbył się swego długiego zimowego płaszcza, a charakterystyczną dla oddziałów kozackich futrzaną czapkę zawadiacko przesunął na bok głowy. Utkwił w Katarzynie spojrzenie pełne zachwytu i pożądania.

– Dziadek mnie nauczył – odparła i poprawiła chustkę na głowie, która nieco się obsunęła, gdy biegła do stajni przez las. – Nie tylko jeździć konno, ale także miłości do tych pięknych zwierząt. A te są wyjątkowej urody – dodała, tuląc policzek go końskiej grzywy, jedwabiście gładkiej.

– Nic dziwnego. To czystej krwi araby. – Jemilianow przystanął tuż obok Katarzyny i ze znanstwem poklepał konia po jego smukłej szyi. – Ród książąt Sanguszków, można rzec, od zawsze darzył konie miłością.

– Tak? – zainteresowała się Katarzyna. Doktor Finger niezbyt pochlebnie wyrażał się o księciu. Że to sknera i despota. Jej zdaniem ktoś, kto kocha konie, nie może być złym człowiekiem.

– Pierwsze konie do książęcej stadniny trafiały po bitwach z Turkami i Tatarami – ze znanstwem opowiadał Osip Osipowicz, a na jego brodatej twarzy malowało się głębokie przywiązanie do swych chlebobawców. – Później książę Eustachy już zawsze wysyłał swoich koniuszych na Wschód po zakup koni.

– Ponoć książę Eustachy w bitwie pod Szczekocinami uratował życie Kościuszcze, odbijając go z rąk rosyjskiej husarii – wtrąciła Katarzyna zasłyszana od Fingera opowieść. –

Później został nawet adiutantem Napoleona i przeszedł z nim całą kampanię rosyjską.

– A ten Kościuszko to kto? – Jemilianow spojrzał na Katarzynę, jakby jakieś duby smolone prawifa. Kim był Napoleon, wiedział z opowiadań dziadka.

– Polski generał – odparła zbita z tropu. Dopiero po chwili sobie uświadomiła, że żaden kozak doński czy astrachański nie mógł znać historii Polski. – Był wodzem naczelnym powstania w obronie niepodległości Polski.

– Polski? – Na twarzy kozaka malowało się coraz większe zdziwienie. Nigdy o takim kraju nie słyszał.

– Wy mówicie na Polskę Priwislinskij Kraj – wyrzuciła z siebie z żalem, że o jej ojczyźnie nikt już nie pamiętał. – Ja jestem Polką – dodała z dumą. – Rosja, Prusy i Austria dokonały trzech rozbiorów, dzieląc Polskę pomiędzy siebie. A mój dziadek walczył w powstaniu przeciwko Rosji, pod dowództwem pułkownika Rochebrune w oddziale żuawów śmierci – rozgadała się na dobre. Rozmowy z Niną i Olgą już dawno ją znudziły. Olga wciąż wałkowała temat swego zamążpójścia, na które się nie zanosilo z braku chętnych, a Nina w kółko rozprawiała na tematy religijne i bardziej ją interesowały żywoty świętych niż życie doczesne. – Po klęsce powstania car nie tylko zniósł Królestwo Polskie, ale także język polski w urzędach i szkołach oraz zlikwidował polskie instytucje i uczelnie. Ale Polska jeszcze odzyska niepodległość, zobaczycie.

– A to ja nic nie wiedział. – Uśmiechnął się przepraszająco. Jak dla niego ta miła dziewczyna знаła zbyt dużą liczbę faktów historycznych, a historia nic a nic go nie interesowała. Interesowała go tylko ona. Na wszelki wypadek, aby nie wróciła do opowieści o swych bohaterskich przodkach, zmienił temat. – Jeśli *barysznia* będzie miała ochotę, to możemy razem wybrać się na konną przejażdżkę – zaproponował i jakby niechcący położył dłoń na ręce Katarzyny, wciąż głaszczącej końską grzywę.

– Ja nie jestem już panienką. – Katarzyna wyszarpnęła rękę i rzuciła kozakowi wściekle spojrzenie. Jak śmie się do mnie zalecać ten zarośnięty żołdak, pomyślała bliska płaczu. – Jestem wdową. Straciłam też dziecko.

Zawróciła na pięcie i szybkim krokiem opuściła stajnię. Puściła się biegiem przez książęcy park w stronę skrytego w lesie szpitala, aż jej wykrochmalony fartuch furkotał na wietrze. Wzburzona tym, co zaszło, udała się wprost do szpitalnej sali. Nina siedziała na skraju jednego z łóżek i zmieniała rannemu opatrunek na świeży. Sanitariusz Walery pisał list pod dyktando żołnierza, któremu wybuch artyleryjskiego pocisku urwał obydwie ręce.

– Gdzie podziała się Olga? – spytała, rozglądając się po sali.

– Poszła na spacer – odparła Nina ze zgorzozoną miną. – Jakiś oficjalista zaczął się koło niej kręcić. A doktor jak zwykle zamknął się w swoim pokoju z butelką wódki do towarzystwa – dodała, uprzedzając pytanie Katarzyny.

Nie mając zatem nic lepszego do roboty, poszła do gabinetu zabiegowego i zabrała się do porządkowania środków opatrunkowych, które przywieziono im przed kilka dni. Szykuje się nowa ofensywa, pomyślała, widząc całkiem spory zapas. Z zewnątrz dobiegały odgłosy codziennej krzątania w postaci skrzypienia starego żurawia, kiedy pomoce kuchenne nabierały wodę, rżenia koni w pobliskich stajniach, krzyków wyrostków biegających po obejściu i głośne rozmowy żołnierzy rekonwalescentów, którzy wyszli przed budynek szpitalny zapalić papierosa. Zatopiona w ponurych myślach, nie usłyszała, jak ktoś otworzył drzwi i wszedł do środka.

– *Siestriczka!* A lekarz gdzie? – usłyszała nagle za plecami.

Odwróciła się gwałtownie i zamarła. Serce ze strachu miało zamiar wyskoczyć jej z piersi. Wszelki duch Pana Boga chwali, zdążyła jedynie pomyśleć, a niewidzialna pętla zacisnęła się jej na szyi, przed oczyma zatańczyły czarne mroczki i bez czucia runęła na podłogę.



## Rozdział 20

W kilka dni po zabójstwie „świętego starca” Kaledin zameldował się u generała Brusilowa i poprosił o przeniesienie z powrotem do jednostki frontowej.

– Na froncie wszystko było dla mnie jasne – tłumaczył swą decyzję. – Wiedziałem, z kim walczę i o co, kto jest swój, a kto nieprzyjaciel. Tutaj swoi walczą ze swoimi. A ja się do tego nie nadaję. Może ten cały Rasputin to był hochsztapler i oszust, ale przecież Rosjanin.

– A co, jeśli rzeczywiście był na usługach niemieckiego wywiadu, jak twierdzi nasz przyjaciel Buchanan? – spytał podchwytliwie Brusilow. – Znacie, Kaledin, inne wyjście niż śmierć dla *szpionów*?

– Nie znam, ekscelencjo. Ale nie mnie o tym sądzić, kto wróg, a kto przyjaciel – obstawiał przy swoim. – Całe życie podporządkowałem jednemu: robić, co powinienem, i czekać, co będzie. Teraz jednak już nie mam zamiaru czekać, co los przyniesie. Sam będę decydował.

– Obawiam się, rotmistrzu – generał się zasępił – że niezadługo wszyscy staniemy wobec tego problemu i będziemy musieli w swoim sumieniu rozsądzić, po czyjej się opowiedzieć stronie. Ale skoro jest taka wasza wola, wracajcie do swojej jednostki – zmienił temat, bo i tak już powiedział o jedno słowo za dużo.

Wróciwszy do swego pułku, Kaledin z przerażeniem stwierdził, że podczas jego nieobecności nastąpił całkowity rozkład moralny armii. Na froncie czasowo nie prowadzono żadnych działań wojennych. Niemcy, zamiast strzelać, rozrzucali zredagowane w języku rosyjskim broszury, w których nawoływali do całkowitego zaprzestania walk i zawarcia pokoju. Z wrogiem zawiązywali z pomocą wódki dobrosąsiedzkie stosunki, jakby wojna już się zakończyła. Od czasu do czasu to jedna, to druga strona ostrzelała przeciwnika ciężkimi haubicami, po czym znowu następowała cisza. Dowództwo nie wiedziało, co zrobić z beczynnymi żołnierzami, którzy tęsknili za domem, zatroskani o los swych najbliższych. Duża liczba uzbrojonych ludzi, którzy nie mają nic do roboty, stanowi dla porządku publicznego poważne zagrożenie, mawiali generałowie między sobą. Różne głupoty przychodzą im do głowy. Dotychczasową surową dyscyplinę zastąpiły czerwone kokardy przypięte do mundurów. Wraz z upadkiem caratu i powstaniem Rządu Tymczasowego, z księciem Lwowem na czele, sytuacja, zamiast się poprawić, uległa pogorszeniu. Ogłoszenie Karty Praw Żołnierza, wprowadzającej wybór oficerów, czy podejmowanie decyzji o bitwie przez rewolucyjne komitety przyspieszyło tylko rozkład i anarchię. Do dywizji przyszły wytyczne, aby oficerowie do żołnierzy zwracali się *per „wy”*. Oni zaś nie musieli już oddawać honorów zwierzchnikom, lecz mieli się zwracać do nich *per pan*. Żołnierze, zamiast atakować, niszczyli własne zapory, a nawet strzelali do alianckiej obsługi artylerii. Zamiast walczyć, wiecowali. Uznali, że nadrzędnym prawem jednostki ludzkiej jest „nicnierobienie”. Całymi dniami grali w karty lub wylegiwali się na słońcu. Służbę pełnili na usilne prośby oficerów. Aby przypodobać się masom żołnierskim, wielu dowódców także poprzyпинаło sobie czerwone kokardki. Stojąc na beczce, wygłaszali patriotyczne przemowy. Gdy rząd zniósł w armii karę śmierci, plagą stały się dezercje.

Natomiast oficerowie i żołnierze o polskiej narodowości, a było ich w dywizji wielu, jak tylko się zorientowali, że im wolno, utworzyli Związek Wojskowy Polaków. Jak się dowiedział Kaledin, mieli nadzieję na formowanie odrębnego wojska polskiego w ramach armii rosyjskiej. Z zazdrością spoglądał na przyjacielskie stosunki panujące wśród Polaków. Przypomniał sobie swoją babkę Lamparską i pożałował, że tak mało wiedział na jej temat. Muszę matkę dopytać przy najbliższej okazji, postanowił. W końcu po części też jestem Polakiem.

Znudzeni bezczynnością żołnierze dla zabicia czasu przygrywali sobie na harmonii, śpiewali i tańczyli. Z drugiej strony pola niczyjego często gęsto także dobiegały dźwięki muzyki. Jednego dnia któryś z żołnierzy wychylił się z okopu i zwołał:

– Hej! Niemiaszki! Nie strzelajcie!

– A bo co? – dobiegło z drugiej strony.

– Mamy papierosy i tytoń. Może się wymienimy?

Już po chwili z okopów wyskoczyli żołnierze i jakby byli na biwaku, a nie na wojnie, rozsiedli się na środku pola, które jeszcze nie tak dawno służyło im do walki. Pośród głośnych śmiechów, dźwięków harmonii i śpiewów poklepywali się po plecach i wymieniali towarem. Tego Kaledinowi, który wracał konno ze sztabu, było już za wiele. Przywołał do siebie jednego z podoficerów i wskazując palcem wchodzących w konszachty z wrogiem żołnierzy, wrzasnął:

– Macie pięć minut, aby wrócić do okopów! Później każę do was i waszych kompanów otworzyć ogień!

– Wy nie macie tutaj nic do gadania! – oburzonym tonem odparł sierżant, stojąc podparty pod boki, z mundurem niechlujnie rozpiętym pod szyją. Był nowy w oddziale. Nazywano go „leninowiec” i Kaledin już się domyślał, jaka była tego przyczyna. – To my decydujemy, czy siedzimy w okopach, czy nie! – oświadczył krótko i splunął pod kopyta wierzchowca, na którym siedział Kaledin.

– To rozkaz, sierżancie! – krzyknął i położył dłoń na rękajeści szaszki. Koń, wyczuwając jego poruszenie, niespokojnie przestępował z nogi na nogę i głośno zarżał.

– A wiecie, gdzie ja mam wasz rozkaz? W dupie! Ot co! – warknął sierżant. Gównu mi mogą teraz zrobić, kiedy mamy demokrację, pomyślał z pogardą o swoich dowódcach.

Odwrócił się na pięcie i nonszalanckim krokiem ruszył w stronę bratających się z wrogiem żołnierzy. Kaledin wyszarpnął szaszkę z pochwy i wziął zamach. Ubiję jak psa, zdążył pomyśleć, gdy huknął strzał. Poczul silne uderzenie w ramię, szabla wypadła mu z ręki, a on sam spadł z konia i fiknął kozła. Szarpiący ból rozrywał mu ramię. Gdy się pozbierał na nogi, rozejrzał się wokoło, ale żołnierze, którzy jeszcze chwilę temu kręcili się wokół okopów jak ospałe muchy nad końskim łajnem, rozpierzchli się błyskawicznie. Przyciskając rękę do boku, z trudem dotarł do batalionu sanitarnego, gdzie sanitariusz opatrzył mu ranę.

– Kula utkwiała w ciele, *wasze błagorodie* – oświadczył krótko. – Trzeba do szpitala, aby wyjęli.

– Wy nie potraficie? – spytał, rozglądając się po ziemiance, gdzie nawet nie było oświetlenia ani stołu zabiegowego. Ból z każdą chwilą stawał się nie do wytrzymania.

– Nie, wasza wysokość – odparł sanitariusz, bezradnie rozkładając ramiona. – Ja tylko kurs ukończyłem. Zbyt słabego zdrowia jestem, aby iść w żołdaty – przyznał się ze wstydem. – A szpital jest niedaleko, godzina drogi – dorzucił po chwili.

Szczęściem dla Kaledina konny wóz sanitarny znajdował się na miejscu. Umościł się na sianie i kazał woźnicy ruszać do szpitala. Gruntowa droga wiodła między rozrzuconymi z rzadka wsiami i przysiółkami. Jeszcze trochę, a zaczną wyc z bólu, myślał za każdym razem, gdy wóz podskakiwał na nierównościach drogi. Ten cholerny *izwozczyk* chyba celowo wybrał taką parszywą drogę. Aby się choć trochę ogrzać, zakopał się po uszy w sianie. Mimo to dygotał na całym ciele. Był już u kresu wytrzymałości, gdy ujrzał z daleka piękny zamek górujący nad Horyniem.

– Już jesteśmy na miejscu – oznajmił woźnica i po chwili pomiędzy gęsto rosnącymi sosnami pojawił się pobudowany w pobliżu rzeki rozłożysty budynek szpitala o spadzistym dachu i licznych tarasach. Głośne ptasie trele zagłuszały skrzypienie kół zdezelowanego wozu.

Woźnica zajechał na dziedziniec, gdzie kręcili się pracownicy, a rekonwalescenci,

umościwszy się na stosach drewna na opał albo na beczkach nie wiadomo po czym, paląc papierosy, wystawiali ku słońcu wymizerowane twarze.

Kaledin wygrzebał się z siana i niezdarnie wygramolił z wozu. Prawą rękę z bólu nie mógł w ogóle poruszyć. Woźnica zajął się końmi, uważając, że one wymagają większej troski niż ranny oficer. Niech was wszystkich cholera wydusi za nasze krzywdy, pomyślał, zerkając spode łba na Kaledina, który przytrzymując się muru, z trudem pokonywał schodki wiodące do szpitala. Z upływu krwi znacznie osłabł.

W środku ogarnął go znany mu już zapach, typowy dla wszystkich szpitali tej wojny. Była to mieszanina woni potu, krwi, środków dezynfekujących i chloroformu. Nie napotkawszy nikogo w holu, zagłębił się w jeden z dwóch korytarzy. Z miejsca natknął się na drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem „Gabinet zabiegowy”. Zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Co jest, do cholery, pomyślał ze złością. Zdechnąć można, zanim się człowiekiem zajmą. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Odwrócona tyłem do drzwi stała drobnej budowy sanitariuszka, ubrana w szarą suknię i biały fartuch. Jej włosy skrywała chustka, spływająca na plecy na kształt zakonnego welonu.

– *Siestriczka...* – odezwał się zbolalym głosem, czując ogarniającą go słabość. Na wszelki wypadek oparł się o futrynę. – A lekarz gdzie?

Mam nadzieję, że nie poszedł na wiec, pomyślał.

Sanitariuszka odwróciła się gwałtownie. Gdy ujrzała Kaledina, zamarła, a w jej oczach pojawiło się przerażenie, jakby ujrzała ducha. Sięgnęła ręką do kołnierzyka, chcąc go rozpiąć, aby móc zaczerpnąć powietrza, ale zanim jej się to udało, upadła zemdlna na podłogę.

– No masz ci los – szepnął Kaledin i rozejrzał się bezradnie po pokoju, ale był w nim kompletnie sam, jeśli nie liczyć leżącej bez czucia kobiety.

Gdy osunęła się na podłogę, spadła jej z głowy chusta, a jasne włosy, skręcone w drobne loczki, rozsypały się po podłodze. Natychmiast z dna pamięci Kaledina wychylił się obraz, który bezskutecznie starał się zapomnieć. Takie włosy miała moja Katarzyna, pomyślał i poczuł bolesne ukłucie w sercu. Podszedł do leżącej na ziemi sanitariuszki i przyklęknął tuż obok. Gdy ujrzał jej twarz, poczuł, jak serce przestaje mu bić. Na Boga, ja chyba śnię albo już umarłem i trafiłem do rajku, pomyślał, czując szczypanie łez pod powiekami.

– Katiu, moja jedyna – szepnął, chwytając dziewczynę w ramiona. Nawet nie poczuł szarpiącego bólu ani strużki krwi, która ciekła mu po ręce aż do końca palców. – Ty żyjesz, Kasieńko najmilsza! Ty żyjesz! – Łkając, tulił ją w ramionach. – Ty żyjesz, miłości ty moja, mój skarbie jedyny.

Ujął jej twarz w dłonie i obsypywał pocałunkami. Po policzkach ciekły mu łzy i kapały na jej bladą jak kreda twarzyczkę. Nagle Katarzyna otworzyła oczy i zaczerpnęła powietrza do płuc. Gdy ujrzała tuż nad sobą twarz Igora, z krzykiem zarzuciła mu ramiona na szyję i wybuchnęła szlochem.

– Powiedzieli, że nie żyjesz – mówiła z trudem, połykając łzy. – Żeś zginął od kuli. Chciałam umrzeć, ale nie mogłam! – Zniosła się płaczem, nie mogąc uwierzyć, że to nie sen, że jej ukochany żyje.

– Już dobrze, najśłodsza, już dobrze – szeptał, tuląc z całych sił Katarzynę do swojej piersi, jakby się bał, że straci ją po raz kolejny.

Nawet nie zwrócił uwagi, że spadł źle założony przez sanitariusza opatrunek. Krew, sącząc się z rany, kapała na fartuch Katarzyny i na podłogę. Nagle poczuł dziwne mdłości i słabość ogarniającą całe jego ciało. Świat zawirował mu przed oczyma i Igor osunął się na podłogę. Dopiero wówczas Katarzyna dostrzegła jego zalany krwią mundur i rozdarty rękaw.

– Doktorze Finger! – zawołała, zrywając się na nogi. – Na pomoc! Ratunku!

Z krzykiem wybiegła na korytarz i potrącając pomoce kuchenne niosące obiad dla chorych, pobiegła do pokoju lekarza. Wpadła bez pukania.

Lew Matwiejewicz siedział jak zwykle samotnie przy stole, na którym stała opróżniona niemal do dna butelka wódki. Opierała się o nią fotografia młodej kobiety w kapeluszu. Słyszając krzyk Katarzyny, podniósł na nią zaskoczone spojrzenie. Nigdy nie wpadała w histerię, pomyślał na widok zapłakanej sanitariuszki, na której fartuchu czerwieniły się plamy świeżej krwi.

– O co chodzi, *siestriczka*? – spytał bełkotliwie.

– On umiera, doktorze! – wołała przez łzy. – Musi go pan ratować!

– Dasz sobie radę beze mnie – machnął ręką i sięgnął po butelkę.

– Ani się waż! – krzyknęła Katarzyna i wyrwawszy doktorowi butelkę z rąk, cisnęła nią o ścianę.

Gdy ujrzał, jak po gładkim tynku popłynęły strużki alkoholu, a po pokoju rozeszła się jego charakterystyczna woń, wykrzywił usta w podkówkę jak dziecko i zapłakał.

– Cóżżeś uczyniła, podła dziewczyno?! – jęknął z rozpaczą w głosie. – To była moja ostatnia butelka.

– Musisz wytrzeźwieć, żeby go ratować! – Katarzyna chwyciła Fingera za ramiona, aby go podnieść z krzesła. Jednak ciężar ciała doktora przerastał jej możliwości fizyczne i Finger przewrócił się na podłogę, rechocząc z rozbawieniem.

Katarzyna dopadła umywalni, na której stał dzbanek z wodą. Nie namyślając się wiele, chlusnęła całą zawartość w twarz doktorowi. Prychnął i potrząsał głową jak pies. Spojrzał na Katarzynę bardziej przytomnym wzrokiem. Chwyciła miskę, w której nadal znajdowała się woda po porannej toalecie doktora. Jej zawartość także wylądowała na głowie Fingera.

– Już dobrze, wystarczy! – krzyknął przytomnie, widząc, jak jej wzrok padł na stojący pod łóżkiem nocnik, i przypomniawszy sobie, że nie opróżnił jego zawartości, na wszelki wypadek zasłonił głowę rękoma. – Mów, o co chodzi – poprosił, niezdarnie zbierając się z podłogi.

– On jest ranny i umiera! – pisnęła przez zasznurowane panicznym lękiem gardło. – Musicie go operować! Błagam!

– Ale kto? – Finger wziął ręcznik i wytarł sobie twarz. Choć nadal chwiało się na nogach, jego umysł pracował prawie normalnie.

– Igor! Mój Igor! Mówili, że zginął, a on żyje! – wyrzuciła z siebie, nie mogąc zapanować nad łzami.

– Gdzie on jest? – spytał, wychodząc z pokoju.

Katarzyna podążała krok w krok za doktorem, nie spuszczając z niego spojrzenia czujnego jak u psa.

– W zabiegowym.

– Każ kucharce zaparzyć garnek kawy. – Finger chwycił za ramię przechodzącą obok sprzątaczkę. – I przynieś mi ciepłą wodę oraz sól.

Kaledin nadal leżał na podłodze, ale był przytomny. Katarzyna natychmiast do niego przypadła.

– Zaraz doktor cię zoperuje – zapewniała, gładząc go po policzkach pokrytych czarnym zarostem. Nawet nie zwróciła uwagi na bliźnę szpecącą jego twarz i pasmo siwych włosów na skroni. Dla niej był to wciąż ten sam Igor, jej Igor. – To świetny chirurg. Będziesz żył, zobaczysz. Tylko nie umieraj!

– Olga! – doktor uchylił drzwi i ryknął w głąb korytarza. – Na salę operacyjną, migiem!

W tym czasie zdążyła przybiec kucharka, niosąc w jednej ręce garnek gorącej kawy, a w drugiej dzbanek z ciepłą wodą. Nie miała pojęcia, do czego doktorowi było to wszystko

potrzebne. Chyba chce wytrzeźwieć, pomyślała. Postawiła naczynia na parapecie i czekała na dalsze dyspozycje. Jeszcze nigdy nie widziała, aby Finger sam, z dobrej woli, chciał się pozbyć stanu upojenia alkoholowego, w który sam się wprowadził.

– Sól – poprosił stanowczym tonem, wyciągając rękę w stronę kucharki.

– Proszę. – Wyjęła z kieszeni słoik i z nabożną czcią podała lekarzowi.

Finger wlał wodę do szklanki, wsypał dwie łyżeczki soli, zamieszał i wypił duszkiem. Po chwili czynność tę powtórzył. Ledwie zdążył odstawić szklankę, gdy chwycił go mdłości. Otworzył szeroko okno i zwymiotował na zewnątrz całą zawartość żołądka. Chwilę tkwił przewieszony przez parapet, raz po raz szarpany gwałtownymi torsjami. Gdy uznał, że się oczyścił, chwycił garnek z kawą, która jeszcze nie zdążyła przestygnąć, i parząc sobie usta, pił łapczywie. Po chwili raz jeszcze zwymiotował za okno.

– *Nu chwatit* – oznajmił, ocierając usta i czoło rękawem lekarskiego fartucha, który miał na sobie. Wypił jeszcze kilka łyków kawy i odstawił garnek na parapet. – Możemy się brać do roboty.

Godzinę później Kaledin wybudził się z narkozy. Przy jego łóżku siedziała Katarzyna z różańcem w dłoniach. Doktor zrobił wszystko, co było w ludzkiej mocy, teraz liczyła na pomoc boską. Nie po to przecież, Boże, tutaj go przywiodłeś, aby mi go po raz drugi odebrać, tłumaczyła w myślach Najwyższemu, aby nie pomylił się w swojej decyzji.

– Kasieńko – szepnął Igor i wyciągnął dłoń w jej kierunku. Chwyciła ją łapczywie i obsypała pocałunkami. – Powiedziano mi, że umarłaś na czarną ospę. Ty, twój mąż i nasza córka...

– Skąd wiesz? – spytała i natychmiast zmroził ją lodowaty lęk. Pewno mi nie wybaczy, że wyszłam za innego, pomyślała i wstrzymała oddech.

– Spotkałem twojego brata, Albina – odparł Kaledin. – Wszystko mi opowiedział. Jak ojciec zamknął cię na klucz, o naszym dziecku i doktorze Kobierskim, za którego musiałaś wyjść za mąż. To wszystko moja wina. Zabrakło mi wiary w ciebie, w twoją miłość... Wybacz mi...

– Nie mów tak. – Katarzyna przytuliła dłoń Kaledina do swego mokrego od łez policzka. – To moja wina, że nie powiedziałam ci o dziecku. Ale się wstydziłam...

– Usiłowałem was odnaleźć... – Igor mówił z trudem, ale chciał jak najszybciej wyrzucić z siebie ciężącą mu prawdę. – Byłem nawet u ministra Protopopowa i tego świętego starca, Rasputina... Powiedział, że dziecko zmarło, ale ty żyjesz. A ja, dumny, mu nie uwierzyłem, tylko temu oszustowi, ministrowi.

– Nie mów tyle. – Katarzyna położyła mu palce na ustach. – Jesteś zbyt słaby. Musisz odpocząć.

– Powiedz mi tylko, czy to prawda, że nasze dziecko... – Reszta pytania nie mogła mu przejść przez gardło. Oczy nabiegły mu krwią i zagryzł wargi.

– Tak. – Katarzyna kiwnęła głową i kolejne łzy zalały jej policzki. – Najpierw umarł Stefan. Później Tamarka... – Głos uwiązł jej w gardle na wspomnienie tragedii, którą przeżyła. – Musisz wiedzieć, że to był wspaniały człowiek – zaczęła, gdy zebrała siły, aby powiedzieć Igorowi całą prawdę, aby już nic nie leżało między nimi. Jeśli mnie naprawdę kocha, to zrozumie, pomyślała, przelękając łzy. – Gdyby nie on, ja i Tamarka byśmy umarli przy porodzie. Kochał ją, choć wiedział, że to twoje dziecko. I mnie też kochał.

– A ty go kochałaś?

– Pokochałam, kiedy się nauczyłam żyć ze świadomością, że ciebie już na tym świecie nie ma. Ale to nie było to samo, co czuję do ciebie. Ty jesteś miłością mego życia – wyznała przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

– Byłaś z nim szczęśliwa?

– Byłam – kiwnęła głową i rogiem fartucha otarła łzy. – Na tyle, na ile można być szczęśliwym z połową serca.

Katarzyna umilkła, nie wiedząc, czy Igor ją zrozumie i wybaczy. Nerwowo zagryzała wargi i co chwilę pociągała nosem. To nic, myślała. Najważniejsze, że żyje. Tylko to się liczy. Nawet gdyby miał mnie teraz zostawić.

– Jak się wojna skończy – szepnął po chwili, wciąż ściskając dłoń Katarzyny – odszukamy grób Stefana i Tamarki. Pochowamy ich razem, a na grobie postawimy pomnik. Zrobię wszystko, abyś ze mną była równie szczęśliwa. A teraz mnie pocałuj...

\*

Kiedy Kaledin wydobrzeł na tyle, że mógł wstawać z łóżka, Katarzyna przeniosła go ze wspólnej sali do niewielkiego pokoiku na poddaszu, służącego za składzik, w sąsiedztwie sypialni sanitariuszek. Kiedy sądziła, że wszyscy już spali, zakradała się do niego i zostawała do świtu, jak kiedyś, gdy spotykali się w starej szopie na miechowskich polach. Nina, która szybko wysledziła, dokąd Katarzyna chadza po nocach, spoglądała na nią z oburzeniem. Nie śmiała powiedzieć tego głośno, ale kiedy tylko nadarzała się okazja, dawała do zrozumienia, co sądzi o takim grzesznym postępowaniu. Olga, wysłuchawszy historii ich miłości, płakała jak bóbr. Natomiast doktora Fingera nie interesowało, co po nocach robią jego *siestriczki*. Wszak mniszkami nie były, choć wyglądały podobnie.

Nowym ministrem wojny w rządzie księcia Lwowa został Aleksander Kiereński, eserowiec, wchodzący jednocześnie w skład piotrogrodzkiego sovietu. Mimo antywojennych nastrojów społeczeństwa miał zamiar dotrzymać zobowiązań sojuszniczych Rosji. Planował kolejną ofensywę i zapowiadał zwycięstwo. Miało ono przynieść, jego zdaniem, wzrost patriotyzmu i poparcie dla nowego rządu. Jednego wszak nie wziął pod uwagę. Że społeczeństwo było wygłodzone i wyczerpane, a wojny miało serdecznie dość. Natomiast żołnierze pragnęli tylko jednego: pokoju, aby mogli wrócić do domów, obrabować właścicieli ziemskich i żyć swobodnie bez uznawania jakiegokolwiek władzy. W tej sytuacji, kiedy Igor całkiem wydobrzeł, musiał wrócić do swojej jednostki. Nalegał na to generał Sokownin, zdając sobie sprawę, że takich oficerów jak Kaledin w jego dywizji było niewielu. Wyraził jednak zgodę na kilkudniowy urlop, który Igor chciał wykorzystać, aby odwiedzić rodziców i ponownie prosić o zgodę na ślub z Katarzyną.

– Wrócę, Kasieńko – szeptał, tuląc ją do swojej piersi. – Przysięgam na Boga, że nie dam się zabić. Czekaj na mnie tutaj. Przyjadę po ciebie, choćby się waliło i paliło.

Nie wiedział, że słowa swojej przysięgi wypowiedział w złą godzinę.

## Rozdział 21

Podróż okazała się trudniejsza, niż Kaledin przypuszczał. Pociąg nie tylko jechał wolniej niż rower, ale także co chwilę lokomotywę zatrzymywały zrewoltowane oddziały. Przebywając na froncie, nie zdawał sobie sprawy, co wyprawiało się na tyłach. Rozprężenie w armii zdawało się sięgać zenitu, ale ponoć nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej. Przemieszczające się dywizje – jedne na front, drugie z frontu wycofywane – przypominały egipską szarańczę. Dokuczliwe braki w zaopatrzeniu żołnierze uzupełniali na własną rękę, rabując nie tylko wojskowe magazyny z towarem, ale także ludność cywilną.

Pociąg, którym podróżował Kaledin, został zatrzymany przez liczny oddział żołnierzy z czerwonymi kokardami przy mundurach. Nie mieli zamiaru iść dalej pieszo. Nakazali kolejarzom otworzyć wszystkie drzwi i władowali się do przedziałów. Rozsiedli się na ławkach i z miejsca zabrali się do jedzenia zrabowanych po drodze *siemiaszek*, jak mówili na zebrane w koszyczkach siemię lniane. Łuski bezceremonialnie wypluwali na podłogę. Kilku z nich wepchnęło się także do wagonu sztabowego, gdzie wraz z innymi siedział Kaledin. Bezceremonialnie wyrzucili na peron dwóch podróżnych w cywilu. Ci, widząc, że to nie przelewki, nawet głośno nie protestowali. Na moment żołnierze podejrzliwy wzrok zatrzymali na Kaledinie, ale niezbyt wysoka szarża oficerska nie wzbudziła w nich agresji. Także sfatygowany w boju, poplamiony krwią mundur i blizna na policzku przemawiały na jego korzyść. Został nawet poczęstowany garścią *siemiaszek*. Nie ważył się odmówić. Nie ważył się także otworzyć okna, choć bijący od żołnierzy smród był nie do wytrzymania. Na kolejnej stacji inny oddział, który także miał zamiar dojechać do miejsca przeznaczenia kolejną, a nie maszerować piechotą, zażądał otwarcia drzwi.

– Nie otwierać! – z miejsca podnieśli krzyk ci, którzy już byli w środku.

Na wszelki wypadek zatarasowali wejścia, a w oknach wystawili strażę z karabinami w rękach.

Kaledin odetchnął z ulgą, gdy pociąg ruszył w dalszą drogę. Chryste Panie, to już koniec Rosji, pomyślał. Jakie straszne zezwierzęcenie, jakie bestialstwo ogarnęło tych ludzi. Jeszcze nie wiedział, że najgorsze było dopiero przed nim.

Z ulgą wysiadł na stacji kolei żelaznej w Sołowiejce, zostawiając żołnierzy w pociągu. Nikt na niego nie czekał, choć wysłał do domu telegram, że przyjeżdża. No tak, pomyślał. Jestem dwa dni później, niż zapowiadałem. Skąd mogli wiedzieć? Rozejrzał się wokoło, ale nigdzie nie dostrzegł żadnego wozu ani nawet furmanki. Ruszył więc polną drogą w stronę dworu rodziców leżącego na skraju wsi, z jednej strony otoczonego sadem, z drugiej rozległym parkiem, w którym latem Tamara Kaledina lubiła spacerować po żwirowych alejkach, a bliźniacy, Piotr i Paweł, karmili rybki w sadzawce albo bawili się piłką. Wrześniowe słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając blade promienie na pobliskie gospodarstwa i pola uprawne. Gdy Igor z daleka ujrzał szeroko posadowiony budynek o białych ścianach, serce mu się uradowało i przyspieszył kroku. Nie spodziewał się, że w jego wieku tak można tęsknić za matką i ojcem oraz młodszym rodzeństwem. Wprost nie mógł się doczekać, kiedy poczuje na policzku delikatne dłonie matki i usłyszy jej pełen miłości głos: „Synku, kochany mój...”. Chłopcy pewno przez ostatni rok wyrosli, pomyślał, przywołując w pamięci obraz podobnych do siebie jak dwie krople wody braciszków.

Zaskoczyły go walające się po dziedzińcu fragmenty połamanych mebli, rozwłócone resztki jakichś szmat i mnóstwo papierów wdeptanych w błoto. Wyprowadzili się czy co? –

pomyślał z niepokojem. O nieobecności kogokolwiek w domu świadczyły ciemne okna. O tej porze u Kaledinów służba zawsze zapalała lampy. Tamara Kaledina nie znosiła szarówki i panicznie bała się ciemności. Nagle z tyłu za sobą usłyszał tętent końskich kopyt. Obejrzał się gwałtownie, sięgając do kabury po rewolwer. Od strony zabudowań gospodarczych z rozwianą grzywą galopował koń. Zwolnił po chwili i potrząsając łbem, przystanął w pewnej odległości. Był to Bułat, pełnej krwi arab, kupiony przez ojca w prezencie dla Igora tuż przed wybuchem wojny. Był zbyt piękny, aby go zabrać na front. Potrząsał łbem i nerwowo grzebał kopytem w rozmięklej ziemi. Zdawał się czekać, aż go jeździec osiodła i pomkną niczym wiatr przez naddnieprzańskie stepy, jak to nieraz bywało.

Kaledin chwilę gładził konia po szyi, zastanawiając się, jakim cudem zwierzę wydostało się ze stajni. Muszę powiedzieć ojcu, aby wywalił na zbity pysk stajennego, pomyślał i dziarskim krokiem ruszył w stronę domu. Dopiero jednak kiedy podszedł bliżej, zauważył, że okna były pootwierane, a szyby wytłuczone. Pod butami zazgrzytało rozbite szkło.

– Chryste Panie! – krzyknął, domyślając się tragedii, i puścił się biegiem po schodach.

Popchnął drzwi i wpadł do holu. Na podłodze wały się wywleczone zapewne z ojcowskiej biblioteki książki. Zostały zdeptane, jakby przebiegło po nich stado krów.

– Ojcze! Matko! – zawołał Igor, rozglądając się bezradnie wokoło, ale w domu panowała martwa cisza – Czy jest tu ktoś?!

Nikt jednak na jego wołania nie odpowiedział ani nikt się nie pojawił. Pobiegł do jadalni. Stał w progu jak wryty. Obraz, który ujrzał, przeszedł jego najśmielsze wyobrażenia o ludzkim okrucieństwie i będzie go prześladował do samej śmierci. Za dużym stołem, zajmującym środek jadalni, gdzie zwykle rodzina spożywała posiłki, siedzieli jego dwaj młodsi bracia. Pochyleni do przodu, brodami dotykali blatu. Wysunięte języki mieli przybite bretnalami do stołu. Szeroko rozlana krew zdążyła zakrzepnąć. Już nie żyli. Z piersi Kaledina wydobył się krzyk rozpacz, przypominający ryk dzikiego zwierzęcia. Przeskakując przez dwa stopnie, wpadł do buduaru matki. Z ułożenia jej ciała się zorientował, że zanim wbito jej widły w pierś, najpierw została zgwałcona.

Przypadł do jej zimnego już ciała, wyszarpnął widły, po czym ostrożnie, jakby obawiał się sprawić jej ból, zaniósł do bawialni i ułożył na ulubionej przez matkę kanapie. Przed laty siadywał tutaj razem z nią i słuchał bajek, które mu czytała. Najbardziej lubił *Bajkę o carze Saltanie*, napisaną wierszem przez Puszkina. Poprawił na matce podartą i poplamioną krwią koszulę nocną i zdjął ze stołu koronkowy obrus, który cudem nie padł łupem rabusiów. Otulił nim ciało matki jak suknią i przytulił twarz do jej zimnego policzka. Wciąż pachniała swoimi ulubionymi perfumami.

Idąc szerokim korytarzem, szukał zwłok ojca. Nie miał nadziei, że zastanie go żywego. Jednak wszystkie pokoje świeciły pustkami. Ze ścian zniknęły cenne obrazy, pootwierane szafy zionęły opróżnionym wnętrzem. Zniknęła także część mebli i zasłony z okien. Gdy ojca nigdzie nie znalazł, zszedł do kuchni. Także została ogołocona ze sprzętów. Czego nie zabrano, zdewastowano.

Na zwłoki ojca, ubranego jak zawsze w swój ulubiony jedwabny szlafrok, natknął się dopiero w stajni. Były bez głowy. Tuż obok martwego ciała stał Bułat i potrząsał łbem, jakby nie dowierzał, że człowiek człowiekowi mógł zrobić coś takiego. Głowę ojca Kaledin znalazł nadzianą na wbity w ścianę hak, na którym wieszano końską uprząż. Zdjął ostrożnie i zaniósł tam, gdzie leżał tułów. W tym momencie usłyszał szelest dobiegający ze żłobu. Wyszarpnął z kabury rewolwer i podszedł bliżej. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca, które wpadały przez wąskie okna u sufitu, ujrzał zagrzebanego w siano po same uszy Mikołaja, lokaja, który najął się do Kaledinów w dniu narodzin Igora. Gdy zobaczył przed sobą młodego hrabiego,



wybuchnął głośnym szlochem.

– Ja nie winien, wasza wielmożność! – krzyczał przez łyzy, składając błagalnie dłonie. – Nie zabijajcie mnie! Ja nie winien!

– Kto to zrobił? – spytał Kaledin drewnianym głosem i chwyciwszy Mikołaja za ubranie, wywłócił go ze żłobu. Lokaj miał rozbitą głowę i twarz całą zalaną krwią. – Mów! Kto to zrobił?!

– Chłopi ze wsi – odparł, obcierając łyzy rękawem. – Przyszli późną nocą, jak żeźwa wszyscy spali. Z widłami i siekierami. Zażądali, aby wielmożny pan hrabia rozdzielił między nich krowy i konie oraz tegoroczne zbiory z folwarku, bo jak nie, to sami sobie wezmą. Bo teraz jest demokracja... – opowiadał, wciąż łkając. – Nie chciałem ich wpuścić, to drzewi siekierą wyłamali, a ja dostałem obuchem w łeb. – Odruchowo dotknął rany na głowie, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko, co się wydarzyło, było prawdą.

– Mów dalej – nakazał Kaledin i schował rewolwer do kabury.

– Kiedym się ocknął – ciągnął już spokojniejszy o swoje życie – oni już grasowali po domu. Puściłem się biegiem do stajni, aby konia osiodłać i pomoc sprowadzić, ale nie zdążyłem. Jakem usłyszał krzyki, wskoczyłem do żłobu i w sianie się skryłem. Słyszałem wszystko, jak wielmożnego pana hrabiego łyżyli, kiedy zabronił im ruszać koni. Pootwierał boksy i wszystkie wygonił w pole. Żaden nie wpadł w ręce tej hołoty. Wtedy go zabili... – Zaniósł się szlochem i ukrył twarz w dłoniach.

Przy pomocy lokaja Kaledin zaniósł zwłoki ojca do bawialni i położył na drugiej kanapie. Nie miał czym ich nakryć, bo dom ograbiono ze wszystkiego, nawet z dywanów i pościeli z łóżek. Gdy Mikołaj ujrzał, jaki los spotkał Piotra i Pawła, upadł na kolana i płakał, łącząc zabójców najgorszymi przekleństwami, jakie znał.

– Przynies jakieś obcęgi – polecił Kaledin. – Muszę wyjąć im te bretnale.

Gdy się z tym uporał, pozanosił ciała chłopców do bawialni i ułożył obok rodziców. Piotrusia u boku ojca, a Pawelka przy matce. Za życia tak właśnie siadywali obok siebie.

– Gdzie w domu trzymano naftę? – spytał wciąż rozpaczającego Mikołaja.

– W spiżarni – odparł, patrząc na hrabiego ze zdziwieniem. Nie śmiał spytać, do czego była potrzebna.

– Prowadź...

Spiżarnia także została splądrowana, ale napastnicy nie mieli pojęcia o loszku znajdującym się pod podłogą, gdzie trzymano naftę i świece. Być może w pośpiechu nie zwrócili uwagi na klapę. Kaledin wziął kilka baniek i wyniósł je na ganek. Promienie zachodzącego słońca wyłocły stojące tuż przy drzwiach dwa wiklinowe fotele, niemych świadków tragedii, która się rozegrała. Jedną bańkę Igor zaniósł do bawialni. Mikołaj cały czas dreptał za nim.

– Osiodłaj Bułata – rozkazał Kaledin.

Gdy został sam, pochylił się nad ciałem matki i ucałował ją w obydwie policzki. Później zdjął z jej palca obrączkę ślubną, którą widać napastnicy zignorowali, mając do dyspozycji całą szkatułkę z biżuterią. Ucałował jak zwykle ojcowską dłoń. Dopiero wówczas zauważył, że była pozbawiona palca, na którym nosił obrączkę. Żeby zdjąć obrączkę, będąc musiał sobie obciąć palec, przypomniał sobie ojcowskie słowa wypowiedziane nie tak dawno żartem. Pogłaskał czarne i kręcone włosy braci i dopiero wtedy połał wszystkie ciała naftą. Wycofał się z pokoju i rzucił zapaloną zapałkę. Buchnął ogień, a jego błękitne języki łakomie zaczęły lizać martwe już ciała. Resztę nafty Igor wylał w salonie i jadalni na podłogę. Gdy ją podpalił, wybiegł z domu na ganek.

Zabrał pozostałe bańki z naftą i poszedł do budynku starej wartowni, mieszczącej się nieopodal bramy wjazdowej. Od lat nikt tam nie urzędował, bo wydawało się, że nie ma takiej potrzeby. Stary hrabia trzymał w niej broń myśliwską, od dawna nieużywaną, oraz swą

generalską szablę. Jak się okazało, kiedy Kaledin wszedł do środka, trzymał tam także kilka karabinów typu Mosin. Były starannie wyczyszczone, z pełnymi magazynkami. Obok w torbie leżała amunicja. Ojciec musiał przeczuwać, co się stanie, i przygotował się na odparcie ataku, jednak zaskoczyli go we śnie, pomyślał Igor na widok tego niewielkiego arsenału, który cudem ocalał. Pewnie nikt nie zwrócił uwagi na chylący się ku ruinie budynek zarośnięty bluszczem.

Zarzucił sobie na ramiona dwa karabiny, przez pierś przewiesił torbę z nabojami, a z drugiej strony pasa rapciami przytroczył ojcowską szablę. Gdy zmierzał do stajni, nad dachem dworu unosił się wysoki słup dymu i ognia, przyćmiewając czerwonym blaskiem łunę zachodzącego słońca. Na dziedzińcu czekał Mikołaj, trzymając osiodłanego Bułata za uzdę. Do boku siodła Kaledin przytroczył dwie bańki z naftą i wskoczył na koński grzbiet.

– Módl się za ich i moją duszę – polecił Mikołajowi i skierował się ku szeroko otwartej bramie.

## Rozdział 22

Ściemniało się, gdy Igor dotarł na pola rozciągające się z tyłu wsi. Gęstniejący mrok rozpraszała jedynie czerwona luna płonącego dworu w Sołowiejce i mdły blask lamp naftowych, padający z okien chłopskich chałup. Młody Kaledin zsiadł z konia, zaczepił wodze o konar jednego z wielu drzew rosnących na miedzy i paląc papierosa za papierosem, czekał, aż nadejdzie jego czas. Nawet nie czuł chłodu nadchodzącej nocy. Powoli wraz z zapadaniem coraz głębszych ciemności milkły pijackie krzyki, dźwięki harmonii, śpiewy i głośny śmiech kobiet, rozochoconych wypitym winem zrabowanym z pańskiej piwnicy. W końcu mieszkańcy wsi, zmęczeni świętowaniem zwycięstwa nad starym Kaledinem, krwiopijcą i carskim sługusem, jak go nazywali, posnęli snem kamiennym. Na ten moment czekał młody rotmistrz.

Cisnął papierosa na ziemię i wziął do ręki obydwie bańki z naftą. Zakradł się na tyły stojących wzdłuż drogi, stłoczonych jedna obok drugiej chałup, polewając naftą pokryte słomą dachy. Biegiem wrócił do uwiązane go u drzewa Bułata. Z kawałka szmaty owiniętej wokół drąga sporządził pochodnię. Spiął konia ostrogami i ruszył przez wieś. Do każdej strzechy przykładął płonąca głownię. Ogień momentalnie ogarniał całe dachy, wyrzucając w górę pióropusze ognia i snopy iskier. Na skutki nie musiał długo czekać. Ledwie zdążył dojechać na skraj wsi, kiedy z płonących chałup z krzykiem zaczęli wyskakiwać przerażeni mieszkańcy. Rzucili się otwierać wrota obór i chlewów, aby zrabowane we dworze krowy i świnie nie upiekły się żywcem. I wówczas siedzący na koniu Kaledin otworzył w ich stronę ogień z karabinu.

Pierwszy na ziemię padł wąsaty mężczyzna w kwiecie wieku, ubrany w rubaszkę i szerokie portki. Zaraz po nim jego żona, tęga kobieta w długiej koszulinie nie pierwszej świeżości oraz mieszkające razem z nimi dwa młode parobczaki, dobrze zbudowane. Z trudem utrzymywali równowagę, wciąż zamroczeni wypitym w dużych ilościach alkoholem. Zanim wyskoczyli z chałupy, tylko portki zdążyli na siebie wciągnąć. Wyniesione z dworu meble i obrazy stanęły w płomieniach. Suknie hrabiny też. Piąta kula ścięła z nóg brodatego fornała. Położył się spać w zrabowanej we dworze atłasowej koszuli hrabiego. Bluzgająca z rany krew poplamiała ją na czerwony kolor, taki sam jak koszulę nocną Tamary Kalediny. Przerazone zwierzęta z rykiem i kwikiem wypadły na drogę, tratując leżących i przewracając uciekających. Zatarasowały jedyną drogę ucieczki. Wokoło szalały płomienie ognia, rozświetlając czerwona luną straszne widowisko, które się rozgrywało cichą wrześnieją nocą, z dala od frontu.

Kaledin sięgnął po drugi karabin. Huk wystrzałów zagłuszał rozpaczliwe krzyki, płacz i zawodzenie tych, co jeszcze żyli. Potrąceni przez świnie, tratowani przez krowy, dłuższą chwilę nie mogli się zorientować, kto i dlaczego strzelał do nich, jakby byli zwierzyzną łowną na polowaniu. Oprzytomnieli, gdy Kaledin na moment przerwał ostrzał, ładując do karabinu kolejny magazynek. Momentalnie wytrzeźwieli i zaczęli się rozpaczliwie rozglądać za czymś do obrony. O gaszeniu ognia, który trawił nie tylko ich dobytek, ale także wszelkie dobro zrabowane we dworze, nie mogło być mowy. Chwycili, co było pod ręką: widły, toporki i wyrwane z płotów sztachety. Desperacko ruszyli na Kaledina. Nim go dopadli, otworzył ogień. Pięciu położył trupem, jednego po drugim, reszta na wszelki wypadek przypadła do ziemi, zasłaniając głowy rękoma. Gdy strzały umilkły, poderwali się do walki. I wówczas ich oczom na tle gorejącego nieba i słupów ognia ukazał się galopujący na czarnym koniu jeździec o trupio bladej twarzy i nabiegłych krwią oczach. Płonęła w nich nienawiść i chęć zemsty. Już wiedzieli, kto i za jakie grzechy wymierzał im sprawiedliwość.

Zanim zdolali zadać mu choć jeden cios, Kaledin dobył z pochwy generalską szablę

swego ojca. Siekł celnie po głowach oprawców swych rodziców i braci. Bluzgając krwią, ich trupy potoczyły się wprost pod bydłęce kopyta. Reszta z przeraźliwym krzykiem rzuciła się do ucieczki. Boso, na oślep biegli przed siebie, byle uciec temu jeźdźcowi Apokalipsy. Nie musiał nawet zbytnio popędzać konia, aby ich dopaść, zanim minęli ostatnie chałupy i ich oczom ukazała się ciemna ściana lasu, w którym mieli zamiar się schronić. Krzyk mężczyzn mieszał się z piskiem kobiet, płaczem dzieci i rykiem zwierząt. Gdy już wszyscy mieszkańcy wsi, brocząc krwią, leżeli bez ruchu na drodze, Igor zawrócił konia. I wówczas w świetle pożaru zauważył stojącą na drodze trójkę dzieci: bosą dziewczynkę, która ścisnęła rączki swych malutkich braci płaczących wniebogłosy. Zamachnął się szablą, z której grubymi kroplami ściekała krew tych, co ze ślepej nienawiści i żądzy zysku przybili do stołu języki dwóch małych chłopców, widłami przebili szlachetne serce pięknej kobiety, a starcowi toporkiem odrąbali głowę.

– *Pany! Nie zabijajcie...* – dziewczynka pisnęła przez łzy, tuląc dzieci do siebie. – *My nie winawate...*

Wzniesione do góry ramię Kaledina zamarło. Jestem taki sam jak oni, pomyślał ze zgrozą. Opuścił szablę i skierował konia z powrotem do dworu. Pożar pomału dogorywał. Wiatr unosił w powietrzu czarne płatki sadzy, które osiadały na gałęziach drzew rosnących w sadzie i na trupio bladej twarzy Igora. Zeskoczył z siodła i podszedł bliżej. Stary dwór, który kiedyś był domem jego dzieciństwa, teraz stał się grobem tych, których kochał. Wyciągnął szablę ojca z pochwy i jednym ruchem złamał ją na kolanie, po czym w milczeniu wrzucił w dogasający ogień. Wskoczył na siodło i chwilę jeszcze spoglądał na sterczące wysoko okopcone kominy i czarne szkielety murów.

– Spoczywajcie w spokoju – szepnął.

Żadne słowa modlitwy nie mogły mu przejść przez gardło.

## Rozdział 23

Z rozkazu Kiereńskiego działania wojenne rozpoczęły się pod koniec czerwca siłami Frontu Południowo-Zachodniego. Pierwsze uderzenie poszło od strony Złoczowa i Brzeżan na Lwów. Zdobyto zaledwie trzy linie austriackich okopów. Nieco więcej szczęścia miała 8. Armia, zajmując w pierwszych dniach lipca Halicz, Stanisławów i Kałusz. Reakcja dowództwa niemieckiego była jednak natychmiastowa. Wyprowadzono kontruderzenie z rejonu Złoczowa, uderzając na prawe skrzydło 8. Armii, zmuszając ją do odwrotu. Zdesperowany Kiereński, widząc krach swojej koncepcji polityczno-militarnej, towarzyszył wycofującym się żołnierzom, jadąc samochodem. Każdy postój wykorzystywał do wygłaszania płomiennych mów, mających ich zachęcić do stawienia czoła wrogowi. W swojej naiwności sądził, że jest w armii uwielbiany, a jego przemowy na żołnierzach robią takie samo piorunujące wrażenie jak na mieszkankach Piotrogradu. Wystarczyło jednak, aby ktoś krzyknął: „Kawaleria niemiecka nadciąga!”, by ludzie rzucali się do ucieczki, trując się nawzajem. Pierwszy uciekał swym autem Kiereński. Oliwy do ognia dolewali niemieccy agenci, zachęcając do bratania się z wrogiem, a bolszewicy do dezercji i odmawiania wykonywania rozkazów.

Lipiec 1917 roku miał się ku końcowi, gdy do dowodzonego przez pułkownika Bolesława Mościckiego Pułku Ułanów Polskich, stacjonującego w Porohach koło Nadwórnej, dotarły niepokojące wieści o załamaniu się ofensywy Kiereńskiego i bezładnym wycofywaniu się armii rosyjskiej z frontu. Zrewoltowani żołnierze nie tylko nie mieli zamiaru walczyć, ale także odmawiali wykonywania wszelkich rozkazów. Oficerowie nie panowali już nad sytuacją i gromady żołnierzy rabowały mijane po drodze miejscowości, dopuszczając się morderstw i gwałtów. W tej sytuacji pułkownik Mościcki otrzymał rozkaz niezwłocznego dołączenia do II Korpusu Kawalerii generała Tumanowa, koncentrującego swoje siły w rejonie Stanisławowa w celu zamknięcia luki, jaka powstała po wycofaniu się 2. Dagestańskiego Pułku Kawalerii. Pułk Mościckiego jako jedyny nadawał się jeszcze do walki.

Kiedy do Wiktora Raweckiego dotarła nazwa miasta, do którego ich kierują, dostał skrzydeł u ramion. To przecież tam mieszkała Natalia. W swoich listach zapewniała, że nadal kocha i wciąż czeka, choć od ich spotkania minął rok. Miało to miejsce podczas ofensywy Brusłowa, gdy miasto opanowali Rosjanie. Lekko rany wówczas Wiktor trafił do szpitala, gdzie opatrywała go młodziutka sanitariuszka o zielonych oczach i kasztanowych włosach. Wystarczyło kilka spotkań na szpitalnym korytarzu, kilka wspólnych spacerów po parku, który otaczał wojskowy szpital, dawny pałac Potockich, aby się zakochał po same uszy. Sądził, że z wzajemnością. Gdy jakiś czas później jego pułk opuszczał Stanisławów, Natalia przybiegła na plac, gdzie szwadrony kawalerii ustawiły się w szyku gotowym do wymarszu. Wiktor ujrzał ją z daleka, gdy biegła wzdłuż długiego szeregu koni i przytrzymując ręką kapelusik, aby jej nie spadł z głowy, każdemu oficerowi zaglądała w twarz, szukając tej jednej, tej z szarymi oczyma, ozdobionej ciemnym zarostem. Znalazła dopiero po chwili, gdy zdążyła się solidnie zasapać. Aby zaczerpnąć powietrza do płuc, musiała rozpiąć zakiet, który miała na sobie. Kremowa bluzka pod spodem opinała jej drobny biust i niezwykle cienką talię.

– Wiktor! – zawołała zdyszana, gdy ujrzała go z daleka. – Już opuszczacie miasto?

– Taki dostaliśmy rozkaz – odparł, nie spuszczając z jej zarumienionej twarzy rozkochanego spojrzenia.

– Napisz do mnie, koniecznie! – poprosiła i wspiąwszy się na palce, wsunęła mu do ręki karteczkę z adresem. W oczach miała łzy i wargi jej drżały.

Wiktor wychylił się z siodła i nie pytając o zgodę, pocałował ją w usta. Ich słodki smak pamiętał do dziś. Dziewczyna oblała się rumieńcem i zawstydzona opuściła oczy na czubki swoich pantofelków na niezbyt wysokich obcasikach.

– Będę pisał, miła moja – obiecał.

Chwilę jeszcze stali w milczeniu, trzymając się za ręce. Nie spuszczała z siebie wzroku. Ich spojrzenia mówiły więcej niż najbardziej wyszukane słowa i zaklęcia. Obydwoje cierpieli z powodu rozstania, obydwójka lękali się, czy jeszcze kiedyś się spotkają.

Zbliżał się wieczór, gdy pułkownik Mościcki wydał swoim ułanom rozkaz wymarszu w kierunku Stanisławowa. Ruszyli karnie szwadronami, każdy o innej maści koni, ubrani jak spod igły, w granatowe spodnie do jazdy z amarantowymi lampasami, oliwkowe frence z czterema kieszeniami, czapki polowe w kolorze maskującym, w odróżnieniu od galowych, które miały amarantowe denko. Stopnie oficerskie stanowiły kąty szyte w zależności od szarzy srebrnym lub złotym galonem na lewym ramieniu. Ułanów rozpieęła radość i duma, że w końcu doczekali się narodowego, polskiego wojska. Co prawda, wciąż podpadało pod komendę księcia generała Tumanowa, ale przysięgę złożyli według własnej formuły, a białe-amarantowe proporczyki na kołnierzach ułańskich kurtek mundurowych nadawały mu narodowy, polski charakter. Stojący na czele pułku Bolesław Mościcki był nie tylko Polakiem, ale także doskonałym oficerem o wyjątkowej odwadze i niezłomnym charakterze.

W kierunku przeciwnym zmierzały masy pozbawionych dowództwa zrewoltowanych dezertów, wszelkiej maści maruderów i wozów taborowych, tarasując drogi. Pokonanie trzydziestu wiorst zajęło pułkowi całą noc. Słońce już dawno wzeszło, gdy pluton Wiktor, jadący na szpicy, wjechał do wsi Krechowce. Sprawiała wrażenie wyludnionej. Na drodze nie zauważyli ani jednej kury szukającej smakowitych robaków, ani żadnej krowy na pastwisku, choć wokoło rozpościerały się soczyste łąki. Nikt też po obejściach się nie krzątał. Dokąd ich wszystkich wymiotło? – pomyślał młody Rawecki i w tym momencie na drodze od strony Stanisławowa pojawiła się furmanka zaprzęzona w dwa konie, powożona przez mężczyznę w kwiecie wieku. Na wozie na wiązkach słomy siedziały trzy kobiety, mimo upału tak opatulone chustami, że tylko czubki nosów im wystawały.

– Stać! Stać! – zawołał Wiktor i podjechał do furmanki. – Gdzie wam tak śpieszno? – spytał podejrzliwie, chwytając jednego z koni za uzdę.

– Dezertery weszły do miasta, panie oficerze. Najpierw Kałusz zrabowali, teraz do nas dotarli – opowiadał woźnica z przejęciem, podejrzliwym wzrokiem lustrując wojskowych. Jednak ich schludny wygląd i karność wzbudziły jego zaufanie, a język polski, którym się posługiwali, mile zaskoczył. – Rozbiegli się po mieście jak te wszy po gaciach i rabują, co im tylko w łapy wpadnie. Mordują i domy podpalają. Kobity gwałcą – zniżył głos, zerkając z niepokojem na swoje pasażerki.

Jakby na potwierdzenie jego słów od strony miasta dobiegły pojedyncze strzały karabinowe, a wiatr przyniósł swąd spalenizny.

– Co to za wojsko? – spytał Wiktor, czując nieprzyjemny dreszcz na plecach. Chryste Panie, moja Natałka, pomyślał z przerażeniem.

– Moskalskie, panie oficerze – relacjonował uciekinier. – Najpierw szły przez miasto spokojnie, ale jak gdzieś sobie popili, to jakby diabeł w nich wstąpił. Rzucili się mordować Bogu ducha winnych ludzi. A u mnie trzy córki, jak łanie dorodne, tom umyślił w lesie się skryć. Noce ciepłe, da się przeczekać.

– Ilu ich jest?

– Całe mrowie, panie oficerze! Zliczyć trudno.

– Zaraz zrobimy z nimi porządek i będziecie mogli z córkami wrócić – obiecał

z przekonaniem i spojrzął z zainteresowaniem na siedzące w wozie kobiety.

Dopiero z bliska można było się przekonać, że były młode i ładne. Moja Natalia ładniejsza, pomyślał Wiktor z odrobiną dumy i poganiając konie, wrócił ze swoimi ułanami do reszty pułku.

Pułkownik Mościcki na wieść o tragedii rozgrywającej się w Stanisławowie, natychmiast się skontaktował z generałem Sytinem, dowódcą 11. Dywizji, której to właśnie oddziały tyłowe i niedobitki z innych jednostek rozpoczęły rabunki w mieście. Mając jego zgodę na zaprowadzenie porządku, z karabinami na plecach, z szablami u boku, z lancami wzniesionymi ku górze co koń wyskoczy ułani ruszyli w stronę Stanisławowa. Miasto powstało w XVII wieku z inicjatywy właścicieli tych ziem, Potockich. Na cześć pomysłodawcy, Stanisława Rewery Potockiego, nazwane zostało Stanisławowem. Ze swojego poprzedniego pobytu Rawecki zapamiętał kwadratowy rynek z ulicami odchodzącymi w cztery strony świata i stojący pośrodku siedemnastowieczny ratusz oraz rozmieszczone w śródmieściu kościoły, cerkwie i bożnice. Jednak najbardziej przypadła mu do serca ulica Sapieżyńska, zabudowana pięknymi kamienicami, w których mieściły się eleganckie sklepy, kawiarnie i restauracje. Stanowiła nie tylko reprezentacyjną część miasta, ale także centrum życia towarzyskiego stanisławowskiej socjety. No i, co wydawało się najważniejsze, tą ulicą dochodziło się do Lipowej, przy której mieszkała Natalia.

Słońce już stało w zenicie, gdy czterystu ułanów ze wzniesionym szablami wpadło do miasta. Zrewoltowani żołnierze, zaskoczeni niespodziewanym atakiem, rzucali w panice zrabowaną zdobycz i uciekali. Niektórzy stawili opór i wywiązała się walka. W ruch poszły szable, lance i bagnety. Dobrze wyszkoleni i karni ułani szli przez miasto jak burza. Wiktor wraz ze swoim plutonem, siekąc szablami na prawo i lewo, zmierzał w kierunku ulicy Lipowej. Dotarli w chwili, gdy gromada rosyjskich żołdaków usiłowała wyłamać drzwi wiodące do wnętrza zgrabnego domku, stojącego w cieniu wysokich lip. Z okna na parterze jakiś desperat raził do nich ogniem z myśliwskiej dubeltówki. Jednego już zdołał położyć trupem. W odwecie któryś z napastników wycelował w niego ze swego karabinu, ale zanim zdążył pociągnąć za spust, Wiktor przeszył go lancą. Dwóch kolejnych ułani roznieśli szablami. Reszta maruderów, widząc, że to nie przelewki, rzuciła się do ucieczki. Nie po to opuścili front, aby teraz zginąć z rąk swoich, jak myśleli.

– Wiktor! – nagle rozległ się krzyk i z domu wybiegła dziewczyna o kasztanowych włosach zaplecionych w dwa warkocze. Twarz miała bladą jak kreda.

Rozpoznał ją natychmiast. To była jego Natalia. Zanim do niego dobiegła, zdążył zeskokczyć z konia. Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił. Drżała na całym ciele.

– Nic ci się nie stało? Nie zrobili ci krzywdy? – wypytywał, zaglądając jej w oczy mokre od łez.

– Bogu dziękować, nie zdołali dostać się do domu. Ale gdyby nie wy, to kto wie, co by było – szczebiotała zadowolona ze szczęśliwego obrotu sprawy. – Tato chyba by nie dał rady nas obronić.

– Witamy, mości kawalerze – Wiktor usłyszał tubalny głos za swoimi plecami, zanim zdążył Natalię pocałować. Momentalnie wypuścił ją z objęć i się obejrzał.

Za nim stał zażywny mężczyzna, mający młodość już dawno za sobą, o czym świadczyły przyprószone siwizną włosy. Na sobie miał ciemną marynarkę i białą koszulę z szerokim krawatem pod szyją, jakby właśnie wybierał się do biura. Jedynie domowe pantofle na nogach świadczyły, że z domu wyгнаły go dramatyczne okoliczności. Wiktor natychmiast rozpoznał w nim mężczyznę, który ostrzeliwał się z dubeltówki, gdy Rosjanie szturmowali drzwi domu. Obok niego stała szczupła kobieta o bladej cerze i mocno posiwiałych włosach uczesanych w kok

z tyłu głowy, ubrana w szarą suknię o staromodnym kroju, ozdobioną białym kołnierzykiem. Na dnie jej oczu czaiła się niechęć.

– Mamo, tato – zwróciła się do nich Natalia, której policzki momentalnie pokrył rumieniec panieńskiego zażenowania – pozwólcie sobie przedstawić – wskazała ręką Wiktora. – Porucznik Rawecki. Ten, o którym wam opowiadałam – dodała, widząc zaskoczenie malujące się na twarzach rodziców.

– Wiktor Jaxa-Rawecki, porucznik w Pułku Ułanów Polskich – stukając obcasami oficerskich butów, przedstawił się Wiktor.

– Mówiłaś, że pan Rawecki jest rosyjskim dragonem. – Ojciec dziewczyny bystrym spojrzeniem szacował szczegóły umundurowania i uzbrojenia Wiktora i pozostałych ułanów. Miał wewnętrzne przekonanie, że się na tym znał. W końcu też kiedyś odbył służbę wojskową. – A wygląda mi na to, że życie nam ocalił polski żołnierz. Bazyli Tychowiecki, dyrektor miejscowego gimnazjum i *Oberstleutnant* regimentu huzarów w stanie spoczynku – przedstawił się na koniec. – A to moja małżonka.

– Niezmiernie mi miło państwa poznać. – Rawecki szarmancko ucałował dłoń pani Tychowieckiej, kościstą i zimną jak lód. Ręka ojca Natalii była pulchna i ciepła.

– A co to za pułki? – zainteresował się Tychowiecki, raz jeszcze ciekawie zerkając na mundur Raweckiego. – Czyżby nasz Piłsudski utworzył nowe formacje? Nic mi o tym nie wiadomo. No, ale niby skąd? Przecież od roku mamy tutaj rosyjską okupację – dorzucił głosem pełnym niezadowolenia.

– A ty od kiedy jesteś w polskim pułku? – wtrąciła się Natalia, zanim Wiktor zdążył otworzyć usta.

Ona także była żywo zainteresowana zmianą munduru. Wcześniej ojciec krzywo patrzył na jej korespondencję z kimś, kto służył carowi, jakby zapomniał, że sam służył austriackiemu cesarzowi. Matka nadal patrzyła na Raweckiego jak na raroga, nie mając zamiaru zamienić z nim ani słowa. Kto wie, czy do moich chłopców nie strzelał, bolesna myśl tłukła się jej po głowie.

– To długa historia – odparł Wiktor. – Jak się uporamy z tymi maruderami – kiwnął głową w kierunku centrum – i państwo pozwolą, to wówczas opowiem.

Żegnany smutnym spojrzeniem Natalii, wskoczył na konia i na czele swego plutonu wrócił do centrum miasta, skąd uciekały niedobitki zdemoralizowanych żołnierzy. Sytuację komplikowali Niemcy, ostrzeliwując miasto szrapnelami, szczęściem większych szkód nie uczynili. Jeszcze tylko jacyś desperaci otworzyli ogień z pociągu pancernego, ale i z nimi ułani poradzieli sobie bez strat własnych. Tętent końskich kopyt i odgłosy walki zwabiły do okien mieszkańców. Słyszając polską mowę, wybiegli z domów. Wszak w Stanisławowie to Polacy stanowili większość, choć przez lata miasto należało do zaboru austriackiego. Dopiero rok temu Rosjanie je zajęli. Kobiety obrzuciły wybawców kwiatami, a burmistrz miasta, Antoni Stygar, osobiście składał podziękowania na ręce dowódcy pułku.

– Mości pułkowniku, nasz wybawco kochanieńki. – Wylewnie ścisnął dłonie Mościckiego, którego wraz z grupą wyższych oficerów zaprosił na obiad. Niższych rangą gościli mieszkańcy. – Czy wasze wojsko nie mogłoby zostać w mieście tak ździebko dłużej?

– Z największą przyjemnością – kurtuazyjnie zgodził się pułkownik, łakomie spoglądając na suto zastawiony stół. On i jego żołnierze mieli za sobą nieprzespaną noc i nic od wczoraj nie jedli, więc kiszki im marsza grały. – Jednak musimy wrócić na linię frontu. – Bezradnie rozłożył ramiona.

– No tak. Rozkaz to rozkaz – z niechęcią przyznał burmistrz. – Częstujcie się, panowie – zachęcał, podsuwając półmiski z pieczonymi kurczakami, których znaczną ilość pozabijali maruderzy, a uciekając w popłochu, porzucili.



Przez chwilę dał się słyszeć brzęk sztućców i bulgotanie wina, lejącego się z butelek do kieliszków. Gdy szmer rozmów pomiędzy oficerami i miejskimi urzędnikami stał się głośniejszy, burmistrz pochylił się do ucha pułkownika.

– Czy nie byłoby bardziej politycznie – zaczął, ścisząc głos, jakby się szpiegów obawiał – gdyby wasz pułk przeszedł na stronę Austriaków i im poddał miasto?

– Panie burmistrzu! – zachnął się Mościcki i odłożył sztućce. Za kogo, u licha, on mnie ma? – pomyślał. – To zachowanie niegodne żołnierza polskiego. Broniełem miasta przed rosyjskimi maruderami, bo tak mi dyktował obowiązek Polaka i człowieka. Jednak muszę walczyć dalej z wrogiem, przeciw któremu dobyłem broni, bo tak mi nakazuje honor żołnierza.

– Chyba pan wie, kochany pułkowniku – burmistrz kontynuował swój wywód, licząc, że przekona Mościckiego – że Niemcy na mocy aktu z 5 listopada ubiegłego roku powołali do życia Królestwo Polskie i powstał rząd polski, Rada Stanu. Tworzą polskie wojsko...

– Rosja też zapowiedziała samodzielność państwa polskiego – z westchnieniem odparł pułkownik, zrażony do polityki prowadzonej z dala od frontu, przez ludzi, którzy prochu nigdy nie powąchali. – My, żołnierze, wiemy jedno. Że naszym obowiązkiem jest walczyć za ojczyznę. I dopóki ta walka będzie zgodna z celami Rosji, dopóty będziemy przy niej trwać. Ale to chyba długo nie potrwa, bo tam sprawy nie idą w dobrym kierunku. A jakby tego było mało, Polacy w Rosji sami ze sobą nie potrafią się dogadać, tylko tworzą przeróżne koterie i partyjki, a każda chce dominować nad pozostałymi.

– Niech mi pan powie, pułkowniku... – burmistrz ciągnął dalej, zatroskany o przyszłość. – Dlaczego my, Polacy, nie możemy choć raz, w obliczu tak ważnej sprawy, jaką jest niepodległość ojczyzny, mieć jednego, wspólnego zdania?

– I to jest całe nasze, Polaków, nieszczęście – zgodził się pułkownik. – Ale obiecuję, że do tej Rady napiszę i przedstawię sytuację żołnierza polskiego – dorzucił na koniec.

Gdy pluton Raweckiego uporał się z dogaszaniem podpalonej przez Rosjan kamienicy, Wiktor dał wolne swoim ułanom, na których już czekali mieszkańcy miasta z poczęstunkiem oraz z przygotowanymi na ich cześć wierszykami i piosenkami, a sam, otrzepawszy mundur z pyłu i kurzu, poganiając klacz ostrogami, puścił się galopem na ulicę Lipową, do domu państwa Tychowieckich.

Chyba mnie polubili, pomyślał, widząc suto zastawiony stół, na którym nawet świeżych kwiatów nie zabrakło. Jednak najbardziej zachwyciła go Natalia. Kasztanowe włosy upięte w kok odsłaniały delikatny owal twarzy i niewielkie uszy, a biała bluzeczka z jedwabiu, choć zapięta wysoko pod szyję, opinała drobną, lecz zgrabną sylwetkę. Szeroki pasek w talii dopełniał całości.

– Proszę się częstować, poruczniku – zachęcała pani Tychowiecka, matka nie tylko Natalii i jej młodszej siostry Rozalii, ale także, jak się wkrótce okazało, dwóch synów, którzy służyli w Legionach Piłsudskiego. Jeden w piechocie, drugi w kawalerii.

To dlatego patrzy na mnie jak na ewentualnego mordercę swych dzieci, pomyślał Wiktor, sięgając po łyżkę.

– Proszę zatem nam opowiedzieć o tych polskich pułkach – poprosił Tychowiecki, gdy biesiadnicy zjedli rosół i czekali, aż służąca poda pieczyście. – Od kiedy to Rosjanie są tacy chętni, aby Polacy mieli swoje wojsko?

– Ja wszystkiego nie wiem, bo od pierwszego dnia wojny trafiłem na front, a tam gazet nie przywożą – tłumaczył Wiktor, odrobinę zażenowany sytuacją. Siedząca tuż obok niego Natalia przytuliła do jego uda swoją nogę. Czuł wyraźnie jej ciepło. Mam nadzieję, że krewki ojczulek tego nie zauważy, pomyślał. – Ponoć już jesienią pierwszego roku wojny powstał Legion Puławski i Legion Lubelski oraz kilka szwadronów ułanów, którymi dowodził generał Piotr Szymanowski. Wraz z pułkownikiem Rządzkowskim czynili starania o przekształcenie

Legionów w większą formację. Ale dopiero jesienią piętnastego roku utworzono Brygadę Strzelców Polskich. Z nazwy „polska”, ale podlegała dowództwu rosyjskiemu, choć składała się prawie wyłącznie z Polaków. No i mundury rosyjskie.

– I co, panie Wiktorze, przeniósł się pan do nich? – zgadywał Tychowiecki i raz jeszcze zerknął na mundur Raweckiego. Jego uwagę zwróciły trzy kąty naszyte srebrnym galonem na lewym rękawie. Huzarzy takich nie mieli.

– Sam pan wie, jako były żołnierz, że to nie jest takie proste nawet w czas pokoju, a co dopiero podczas wojny, kiedy mogą człowieka oskarżyć o dezercję – odparł Rawecki. – Choć prawdę mówiąc, myśl, aby opuścić armię rosyjską, zakiełkowała mi w głowie znacznie później, gdy ujrzałem, jak bardzo jest zdemoralizowana. Nie miałem jednak zamiaru dezercerować, jak do tego namawiali bolszewicki agenci – ciągnął dalej i przełknął ślinę. Kolano Natalii napierało na jego nogę coraz mocniej. Oblało go gorąco. – Nie znam przyczyny, ale na jesieni szesnastego roku car nagle zezwolił na rozbudowę brygady...

– A to ja ci powiem, chłopcze, co go do tego skłoniło. – Tychowiecki ucieszył się, że mógł się popisać wiedzą na temat bieżących wydarzeń. W domu nie miał z kim o polityce porozmawiać. Żona zaczynała płakać, jak tylko padało nazwisko Piłsudskiego, Natalia całe dni spędzała w szpitalu, a Rozalka do takich tematów nie dorosła. – Akt wydany 5 listopada przez naszego, to jest, chciałem powiedzieć, przez austro-węgierskiego cesarza i cesarza Niemiec, zapowiadający utworzenie niepodległego Królestwa Polskiego z ziem wydartych Rosji. Powstała nawet namiastka rządu, Tymczasowa Rada Stanu, i tworzą polskie wojsko – opowiadał podekscytowany.

– Czyli bez zaboru niemieckiego. Sprytnie obmyślili, nie powiem. – Rawecki ze zrozumieniem pokiwał głową i sięgając po szklankę z kompotem porzeczkowym, niby przypadkiem musnął dłoń Natalii. Rozkoszny dreszcz przebiegł mu po karku. – W tej sytuacji car też musiał coś Polakom obiecać, aby przeciwną nas na swoją stronę, i oświadczył, że celem wojny jest utworzenie państwa polskiego ze wszystkich trzech zaborów. Ale znaczna część tych ziem jest teraz pod okupacją Austro-Węgier i Niemiec. Dwa kroki dalej poszedł ostatnio Rząd Tymczasowy.

– Typowa licytacja – wtrąciła się milcząca do tej pory matka Natalii. – Tylko czy my, Polacy, będziemy potrafili to wykorzystać, czy jak zwykle będziemy się spierać o imponderabilia?

Na chwilę zapadła cisza i oczy wszystkich skierowały się na Tychowiecką. Ze stoickim spokojem wygładzała ręką śnieżnobiały obrus. No, jak ta moja żona coś powie, to już powie, pomyślał Tychowiecki.

– Co masz na myśli, moja duszko? – spytał, zaskoczony jej znajomością łacińskich zwrotów. Nigdy by ją o taką elokwencję nie podejrzewał.

– Przecież ten cały Piłsudski, zamiast wstąpić z Legionami do tego wojska – zaczęła cała w pąsach – odmówił złożenia przysięgi. I nie dość, że go aresztowali, to razem z nim do więzienia poszli Bogu ducha winni młodzi chłopcy, w tym być może nasi synowie! – zakończyła podniesionym głosem. Lęk o życie i zdrowie synów przesłaniał jej całą resztę.

– Cóż tam było w tej przysiędze, że Piłsudski odmówił jej złożenia? – zainteresował się Wiktor. Co znaczyły owe imponderabilia, wolał nie pytać, aby nie wyszły na jaw jego braki w wykształceniu. On łaciny się nie uczył.

– Dochowanie braterstwa broni Niemcom i Austrii – Tychowiecki pospieszył z wyjaśnieniami, zadowolony, że w Wiktorze znalazł wdzięcznego słuchacza. – A wojskowa przysięga, moja duszko – zwrócił się do żony z wyrazem przygany na twarzy – to wcale nie jest jakaś tam nieuchwytna rzecz, tylko sprawa honoru. Chyba zgodzi się pan ze mną, poruczniku?

– W sprawie przysięgi oczywiście ma pan rację. – Rawecki kiwnął głową. – Z tego względu i nasz pułk musi do końca walczyć u boku Rosji. Myśmy złożyli przysięgę, że będziemy walczyć o wolną Polskę u boku Rosji i ententy. Natomiast, pan wybacz, ale nie wierzę, żeby Niemcy chcieli odbudować niepodległą Polskę – ciągnął zaaferowany i nawet nie poczuł, jak go Natalia pod stołem w nogę kopnęła. Dyskusja z jej ojcem na temat bieżącej polityki mogła się źle skończyć, bo tylko swoje racje uważał za słuszne.

Na moment zapadła nieprzyjemna cisza. Szczęściem drzwi się otworzyły i weszła służąca z półmiskiem pieczystego. Zapach smakowitego mięsa odwrócił uwagę wszystkich od tematu rozmowy i wywołał napływ śliny do ust. Na co dzień podczas wojny tak nie jadaliby.

– Obawiam się, że ma pan rację, poruczniku – zgodliwym tonem oznajmił nagle Tychowiecki i podsunął Wiktorowi półmisek. Ku zaskoczeniu domowników nie obstawał przy swoim, jak miał w zwyczaju. – Ja jednak początkowo dałem się nabrać na to austriackie gadanie – dorzucił żartem. Niegłupi chłopak z tego Wiktora, pomyślał, nakładając sobie udko na talerz. – Dopiero jak się dobrze wczytałem w deklarację, to zrozumiałem, o co tutaj chodzi.

– Ale Rosjanie nie są wcale lepsi. – Wiktor nie miał zamiaru bronić sojuszników, którzy wiele grzechów mieli na sumieniu. – Obiecują nam niepodległe państwo, tyle piszą o samodzielności, ale nie powołali do życia nawet namiastki polskiego rządu, a ich własny jest w stanie rozkładu. I dlatego właśnie pojawiła się jeszcze jedna, bardzo konkretna przyczyna, dla której zaczęto polskiego żołnierza traktować poważnie – zgrabnie wrócił do tematu, od którego zaczęła się dyskusja. Nie czuł się mocny w polityce, w odróżnieniu od Cezarego. Nagle za nim zatęsknił. Nie wiedział, że starszy brat już zdążył swe młode życie złożyć w ofierze, nie doczekawszy wolnej Polski.

– Jakaż to przyczyna? – zainteresowała się Natalia, odetchnąwszy z ulgą, że nie doszło do kłótni. Miała nadzieję, że dzisiejszy obiad zakończy się oświadczeniami.

– Od wielu miesięcy Rosja znajduje się na równi pochyłej – zaczął Wiktor, gdy przełknął spory kęs kurczaka. Na wszelki wypadek odłożył sztucce, aby go nie kusiło sięgnąć po następny. Nauki babci, aby nie mówić z pełnymi ustami, nie poszły w las. – Armia jest w kompletnym rozkładzie, dodatkowo demoralizowana przez bolszewicką agitację. Przerobiłem to na własnej skórze – ciągnął dalej. – Żołnierze odmawiali wykonywania rozkazów i masowo dezertowali. Polskie jednostki jako jedyne zachowały zdolność bojową. Zdając sobie z tego sprawę, Rząd Tymczasowy wydał zgodę, aby żołnierze polskiego pochodzenia przechodzili z rozpadającej się armii rosyjskiej do polskich dywizjonów. Ale czy zdania nie zmieniają, tego nie wiem.

– I to jest właśnie ta Brygada Strzelców Polskich? – Natalia zawiesiła na Wiktorze pytające spojrzenie, na którego dnie wyczytała miłosne wyznanie.

– I tak, i nie – odparł, zanim wsunął sobie do ust kawałek mięsa. – Na terenie Rosji od początku wojny sformowano wiele jednostek wojskowych z polskim rekrutem, choć podległych dowództwu rosyjskiemu. Między innymi dywizjon ułanów polskich. Poprzez rozbudowę brygady powstała Dywizja Strzelców Polskich, a dywizjon ułanów rozrósł się do rozmiaru pułku i został włączony w skład dywizji...

Z miny Natalii i jej matki wywnioskował, że nie nadążały za jego wywodem, choć starał się przedstawić całą historię bardzo skrótowo, bo obiad stygł. Jedyne Tychowiecki ze zrozumieniem potakiwał głową. Dla niego odróżnienie dywizji od dywizjonu czy pułku od brygady nie stanowiło żadnego problemu, wszak ładnych parę lat spędził w armii. To były czasy, pomyślał, uśmiechając się na wspomnienie wypraw do kabaretów i biesiadowania po karczmach. Musztry i doznawanych upokorzeń ze strony austriackich dowódców już nie pamiętał.

– W każdym razie – Wiktor wrócił do opowieści, gdy uporał się ze swoją porcją kurczaka i przepłukał usta paroma łykami kompotu – gdy mojemu dowódcy w 1. Zaamurskim Pułku

Konnym, pułkownikowi Bolesławowi Mościckiemu, zaproponowano dowodzenie Pułkiem Ułanów Polskich, wykorzystalem ten moment, aby opuścić armię rosyjską razem z nim. Chcę walczyć do końca, choć nie bardzo wiem, jak ten koniec będzie wyglądał. Mam nadzieję, że czeka tam na nas niepodległa Polska – zakończył z uśmiechem i pod stołem poszukał stopą nogi Natalii.

– Nas, Polaków, w tej wojnie spotkała straszna tragedia – grobowym głosem odezwał się nagle Tychowiecki i odłożył sztucce. Na jego twarzy pojawił się bezgraniczny smutek, a w pokoju zapadła cisza. – Doszło do tego, że brat musi walczyć przeciw bratu. Oby nigdy więcej naszego narodu nikt i nic nie podzieliło.

Ciszę przerwało stanowcze pukanie do drzwi. Do jadalni, poprzedzany przez służącą, wkroczył wachmistrz Borejko i zameldował:

– Panie poruczniku! Niemcy przerwali front i zmierzają prosto na nas!

## Rozdział 24

– Panowie! – zaczął Mościcki, zebrawszy naprędce w swojej kwaterze wszystkich oficerów. – Nie jest dobrze. 19. Dywizja Strzelców porzuciła swoje stanowiska polowe i wycofała się z walki, odsłaniając południową flankę. Niemcy błyskawicznie to wykorzystali i weszli do Krechowiec. Jeśli zaatakują od południa i zajmą te dwie przeprawy – postukał palcem w mapę sztabową, na której jak na dłoni przedstawiała się tragiczna sytuacja 11. Dywizji Piechoty, mającej zamiar wycofać się przez Stanisławów na Tyśmienicę – generał Sytin ze swoimi ludźmi znajdzie się w kotle. Jediną jednostką nadal zdatną do walki jesteśmy my... – Zerknął na swoich podkomendnych, czy zgadzali się z tą opinią. Zgadzali się. – Dlatego generał zwrócił się do mnie z prośbą, abyśmy choć przez godzinę trzymali Niemców w ryzach. Wówczas on zdąży swoją dywizję przeprowadzić przez obydwa mosty. Dacie, panowie, radę? – Przeniósł wzrok znad mapy na oblicza swoich oficerów, którzy nadal zawzięcie studiowali przyszłe pole bitwy.

– Po ich stronie walczy wyborowa piechota bawarska i Bośniacy. Oni jeńców nie biorą, więc może być krwawa jatka – z troską w głosie oznajmił rotmistrz Żółkiewski. – No i liczebnie biją nas na głowę. Mamy zaledwie czterysta szabel przeciwko dwóm tysiącom.

– Uzbrojeniem także nas przewyższają – dorzucił porucznik Podhorski. – Nie mamy nawet artylerii i karabinów maszynowych.

– To wszystko prawda – zgodził się Mościcki. – Ale nie ma rzeczy niemożliwych. Przynajmniej dla polskiego ułana. – Puścił do swych oficerów szelmowski uśmiech. – Zrobimy tak... – Po raz kolejny pochylił się nad mapą. – Nie będziemy czekać, aż nas zgniotą, tylko pierwsi zaatakujemy. Kawaleria ma jeden atut, jakim jest ruchliwość, i to wykorzystamy. Wy, poruczniku Podhorski, na czele 2. i 3. szwadronu uderzycie na Krechowce tędy. – Wskazał palcem widniejące na mapie pola. – 4. szwadron zabezpieczy drogę na Radczę, a 1. szwadron zostanie w rezerwie. Ja z oficerami łącznikowymi będę kierował z tego wzgórza. – Wskazał na mapie miejski park.

Trzy szwadrony jazdy jeden po drugim opuszczały mury gościnnego Stanisławowa. Mieszkańcy wylegli tłumnie, aby pożegnać swych wybawców. Pod końskie kopyta poleciały kwiaty. Zewsząd dobiegały serdeczne słowa. Wraz z innymi wybiegła żegnać swego ukochanego Natalia. Ze łzami w oczach spoglądała na podążających w bój ułanów, których konie, wzbijając kopytami chmury pyłu, wkrótce zniknęły za rogatkami miasta. Długo machała wiązką białych róż, którą z tego wszystkiego zapomniała rzucić w stronę jeźdźców. Tłum pomału zaczął się rozchodzić, tylko kilku wyrostków, których matki nie zdołały upilnować, puściło się boso opłotkami za miasto, aby obserwować szarżę ułańską.

Z rozdziawionymi ustami wpatrywali się, jak dwieście koni różnej maści, od białej poprzez kasztanową, szarą i gniadą do karej, rozwijając tyralierę, ruszyło galopem po zielonych pastwiskach i polach kukurydzy. Ziemia zadrżała pod setkami kopyt, a po okolicy poniósł się gromki krzyk: „Hurraaaa!”. Oliwkowej barwy kurtki ułańskie zlewały się z zielenią soczystej trawy. Jedyne amarantowe lampasy na nogawkach spodni rzucały się w oczy z daleka. Niemcy, widząc las pochylonych do ataku lancy i setki szabli wzniesionych w górę, rozpoczęli ostrzał artyleryjski.

Do wciąż stojącej w nielicznej grupie mieszkańców Natalii dotarł najpierw huk wybuchów i przeraźliwe rzenie koni, które wpadły pomiędzy stare rosyjskie okopy i dwie linie zasieków z drutu kolczastego. Znalazłszy przejście, ruszyły dalej. Po chwili rozległo się

terkotanie karabinów maszynowych. Boże, ocal go, modliła się w myślach, wyobrażając sobie wszystko, co najgorsze. Niespodziewanie pociski artyleryjskie dotarły do miasta. Mury zadrżały, sypał się tynk i leciały szyby z okien. Nasłuchujący odgłosów bitwy mieszkańcy rzucili się do ucieczki.

Zanim Natalia dobiegła do położonego w pewnej odległości od pola bitwy szpitala, kilka kamienic zdążyło się zamienić w kupę gruzów. Z ulgą przebiegła przez szeroko otwartą bramę w wysokim murze, ozdobionym dwoma kamiennymi maskaronami, które zdawały się pilnować wstępu do przyszpitalnego parku. Personel szpitala już się szykował na przyjęcie rannych. Wstawiono dodatkowe łóżka, przygotowano salę operacyjną. Widząc to wszystko, Natalia bez przerwy miała przed oczyma leżącego na ziemi Wiktora, całego we krwi. Nie mogła pohamować napływających jej do oczu łez. Pierwsi ranni, którzy o własnych siłach mogli zejść z pola bitwy, pojawili się dopiero pod wieczór. Rzuciła się w ich stronę, biegając od jednego nieszczęśnika do drugiego. Każdemu zaglądała w oczy, szukając tego jednego jedyne, o którego życie drżała z niepokojem.

– Co z porucznikiem Raweckim? Cały i zdrowy? – wypytywała rannego, którego po założeniu opatrunków zaprowadziła do łóżka.

– Ani nie draśnięty – odparł, uśmiechając się blado. Miał przebite udo i pogruchotane kości. Ból był trudny do zniesienia. – Myśleli, że nas artylerią i kulomiotami wystraszą. Ale huk i kłęby dymu już na nas nie robią wrażenia. Im bardziej nasilał się ogień, tym bardziej myśmy parli do przodu. Więcej niż my konie oberwały. A z porucznika to żołnierz pierwsza klasa – opowiadał, raz po raz obcierając pot z czoła. – Wypatrzył skryte w krzakach gniazdo karabinu maszynowego. Machnął ręką na mnie i wachmistrza, bośmy byli najbliżej. Przytuleni do końskich grzbietów, z wysuniętymi lancami poszliśmy wprost na kulomiot. W kilka sekund byliśmy na miejscu. Jednego z obsługi porucznik ciął szablą przez łeb, drugiego wachmistrz przekłuł lancą, pozostali cisnęli taśmy z nabojami i rzucili się do ucieczki. Zeskoczyli my z koni, odwrócili kulomiot o sto osiemdziesiąt stopni i grzali do uciekających Bośniaków i piechoty bawarskiej, aż się za nimi kurzyło.

Natalia, słysząc o bohaterstwie swego ukochanego, nie mogła ukryć radości. Miała ochotę wypytać o więcej, gdy drzwi do sali się uchyliły i wsunęła się głowa Wandzi, siostry przełożonej.

– Do zabiegowego! – oznajmiła stanowczo, niezadowolona jak zawsze, gdy sanitariuszki wdawały się w pogaduszki z pacjentami, zamiast zająć się czymś bardziej pożytecznym. – Rannych przywieźli.

Natalia pobiegła długim korytarzem, mało butów z nóg nie pogubiła. Żołnierze leżeli pokotem na korytarzu. Mieli poobrywane kończyny, rozprute brzuchy, zalane krwią głowy. Niektórzy cicho jęczeli z bólu, inni głośno domagali się pomocy, jeszcze inni w ciszy znosili cierpienie. Tych wymagających interwencji chirurgicznej wnoszono do sali operacyjnej, gdzie dwóch chirurgów zaszywało rany i amputowało pogruchotane kończyny. Pozostałych rannych po założeniu bandaży prowadzono do łóżek. Natalia każdemu zaglądała w twarz, modląc się w duchu, aby tej, której szukała, nie znalazła.

– Czy to już koniec bitwy? – wypytywała pułkowego sanitariusza, który razem z innymi zbierał rannych z pola, gdy przerwano walkę. – Pobiliście Niemców?

– Niestety, nie – odparł zafrasowanym głosem. – Niemcy, widząc, że nie dadzą rady wdrzeć się do miasta, postanowili je obejść od południa. Wówczas pułkownik Mościcki posłał tam stojący w rezerwie szwadron podrotmistrza Sobieszczańskiego. Ułani tak Niemiaszków rąbali i kłuli, że w końcu zdziesiątkowani zwiali do wsi. Nasi wpadli za nimi między ogrody i chałupy. Niespodzianie przyszedł im z pomocą rosyjski samochód pancerny. Siekł karabinami maszynowymi po Niemcach, tylko się kurzyło. Ale oni każdej zagrody bronili jak twierdzy.

Strzelali z okien i rzucali granatami zza płotów. Całe szczęście niezbyt celnie. Ale jak dostali posiłki i rozpoczęli ostrzał artyleryjski, to porucznik Podhorski zarządził odwrót. Mogliśmy wówczas rannych zebrać.

– A porucznik Rawecki? Spotkaliście go może? – spytała, z trudem hamując drżenie głosu.

– Spotkać nie spotkałem – odparł sanitariusz z wyrozumiałym uśmiechem. – Ale widziałem, jak jego szwadron szarżował na niemiecką kawalerię, która niespodziewanie pojawiła się na prawym skrzydle. Żeby siostrzyczka widziała, jak oni dymali przez pole! – opowiadał z nutką zazdrości w głosie. Jemu zdrowie nie pozwoliło zaciągnąć się do ułanów.

– Niemcy?

– Nie... – Skrzywił się z niesmakiem. – Nasi. Jak tylko dostali rozkaz: „Szable w dłoń! Tyralierą galopem marsz!” – opowiadał przejęty – poszli jak burza. Konie puścili w cwał, szable unieśli w górę, lance pochyłili do ataku. I ten ich krzyk mrozący krew w żyłach: „Hurraaa! Hurraaa! Naprzód, ułani!”. No i Niemcy, jak to zobaczyli, to rzucili się do ucieczki, nawet walki nie podjęli – zakończył z dumą, jakby to on osobiście brał udział w szarży.

Przez kilka godzin do miasta docierały odgłosy strzelaniny, huk wybuchających pocisków i krzyki walczących. Choć 11. Dywizja już zdążyła się przeprawić przez obydwa mosty, zacięta walka trwała nadal. Ułani, nie bacząc na ostrzał artyleryjski, dla pewności mosty wysadzili w powietrze. Gdy zapadł zmierzch, Natalia skończyła dyżur w szpitalu i z ciężkim sercem wróciła do domu. Nie miała żadnych informacji o Wiktorze. Nie znalazła go wśród rannych ani nie wzięto go do niewoli. Mówiono, że jakiś oficer poległ, lecz nikt nie potrafił jej powiedzieć który.

Z nastaniem nocy odgłosy walki stopniowo cichły, aż zgasły na dobre. I wówczas do miasta weszli Niemcy.

Natalia nie mogła usnąć. Przewracała się z boku na bok, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Do jej pokoju docierały strzępy rozmów ojca i matki. Ojciec zachwalał postawę dowodzącego wojskami niemieckimi generała Litzmana, który na prośbę burmistrza wyraził zgodę, aby mieszkańcy miasta zaopiekowali się rannymi i jeńcami. Mieli także przygotować pogrzeb poległych ułanów. Jak to możliwe, że bitwę wygrali, a Niemców wpuścili do miasta? – pytała w myślach raz po raz. Leżąc z szeroko otwartymi oczyma, zapatrzona w posrebrzoną blaskiem księżyca koronę lipy rosnącej tuż obok, usłyszała cichutkie pukanie w szybę. Wskoczyła z łóżka i bosą, w koszuli nocnej, podbiegła do okna. Poniżej stał jakiś postawny mężczyzna o zarośniętej twarzy, w kaszkiecie na głowie i szarej kurtce, ściągniętej w talii skórzanym paskiem. Już chciała krzyknąć przerażona, gdy kładąc palec na ustach, szepnął:

– To ja, Nastusiu, Wiktor...

Dopiero wówczas go rozpoznała. Niewiele brakowało, a krzyknęłaby z radości. Rawecki zgrabnie wspiął się na parapet, przerzucił nogi na drugą stronę i cichutko zeskoczył na podłogę. Chwył Natalię w objęcia. Przycisnął mocno do piersi, twarz wtulił w jej długie, rozpuszczone włosy. Miały gładkość jedwabiu i pachniały lawendą. Kiedy wyczuł, że pod koszulą jest całkiem naga, poczuł przyspieszone bicie własnego serca. Poszukał jej wilgotnych ust. Oddawała mu pocałunki z zapamiętaniem, zarzuciwszy ręce na szyję, jakby w obawie, że on za chwilę ucieknie. Jakie to szczęście, że on żyje, jakie to szczęście, myślała raz po raz. Pociągnęła Wiktora na łóżko, za nic mając wszelkie matczyne nauki. Rozpalona namiętnością krew kazała jej zrzucić z siebie koszulę nocną. A więc to jest ten grzech, tak smakuje, myślała, czując rozkoszne dreszcze, gdy dłonie Wiktora pieściły każdy centymetr jej ciała. Przez zaciśnięte powieki nie mogła zauważyć, że i on zrzucił z siebie kurtkę i to, co miał pod spodem. Gdy poczuła na sobie jego nagie ciało, pisnęła cichutko ze szczęścia. Ich serca były zgodnym, przyspieszonym rytmem,

coraz szybciej i szybciej.

– Co ty tutaj robisz, i to po cywilnemu? – spytała, gdy w końcu oderwali się od siebie.

– Zgłosiłem się na ochotnika, gdy pułkownik potrzebował gońca, aby zaniósł list do burmistrza – opowiadał szeptem, obsypując szyję i ramiona Natalii pocałunkami. – Nie mogłem wyjechać bez pożegnania.

– Jak to wyjechać? Przegraliście bitwę?

– I tak, i nie – odparł po chwili zastanowienia. – Szarżowaliśmy kilka razy mimo ostrzału artyleryjskiego i karabinów maszynowych. Powstrzymaliśmy trzy kolejne ataki Niemców. Mieli zamiar opanować stację kolejową i szosę prowadzącą do Tyśmienicy, aby rosyjska dywizja nie mogła się wycofać. Niestety... – ciągnął rozżalony – Rosjanie nie wykazywali chęci dalszej walki. Pozycje przez nas zdobyte oddali Niemcom, a kawaleria w ogóle odmówiła współpracy. Gdy zapadła noc, pułkownik Mościcki nakazał naszym szwadronom skryć się w kotlinie, tej na południu od miasta, i posłał kilka patroli na zwiad. Okazało się, że Niemcy już zajmują miasto. W tej sytuacji nie mamy innego wyjścia, jak podążyć za 11. Dywizją jako straż tylna.

Słyszając te słowa, Natalia poczuła, jak jej serce stanęło. Już go nigdy nie zobaczę, pomyślała z rozpaczą. Idzie w głąb Rosji na zatracenie.

– Wrócisz do mnie? – spytała z nadzieją, że jak on obieca, to słowa dotrzyma wbrew wszystkiemu.

– A będziesz na mnie czekała? – odpowiedział pytaniem i przygarnął ją do siebie.

– Będę... – pisnęła przez łzy. – Będę czekać, choćby wojna miała trwać jeszcze całe lata.

Przysięgam!

Podniosła ku niemu mokre od łez oczy, czekając, aż ją pocałuje. Zanim to zrobił, chwilę wpatrywał się w jej drobną twarzyczkę, zalaną srebrną poświatą księżycy, aby jej obraz zabrać ze sobą.

Jeszcze wówczas nie wiedział, że był to ich ostatni pocałunek. Kiedy zimą 1918 roku pułkownik Mościcki w cywilnym ubraniu będzie się przedzierał przez front niemiecko-bolszewicki, aby z ważnym pismem dotrzeć do Warszawy, Rawecki wraz z niewielką grupą oficerów i ułanów będzie mu towarzyszył. W lesie niedaleko Łunińca zaatakują ich bolszewicy i uzbrojeni chłopci. Pułkownik zginie podczas strzelaniny, a Rawecki zostanie otoczony. Nie pozwolę wziąć się żywcem, pomyśli, gdy w pistolecie zostanie mu ostatnia kula. Przypomni sobie wówczas opowieść dziadka o powstaniu styczniowym i jego walkach z Moskalami w szeregach żuawów śmierci. Przez moment będzie miał nawet wrażenie, jakby ujrzał między drzewami jego postać w powstańczej mundurze, z czerwonym fezem na głowie. Przywoła z pamięci twarz Natalii. Jej proste ciemne brwi, długie rzęsy rzucające cień na blade policzki i te kilka piegów, które ozdabiała jej zgrabny nosek. Przyłoży sobie pistolet do skroni i pociągnie za spust.



## Rozdział 25

Liza Aleksiejewna Rawecka wyjątkowo szybko doszła do równowagi psychicznej po śmierci męża. Być może stało się tak za sprawą następujących po sobie gwałtownych wydarzeń, które rozgrywały się niejako na jej oczach, skutecznie odwracając uwagę od osobistych problemów. Najpierw powołano Tymczasowy Komitet Dumy jako organ władzy. Równocześnie zaczęły powstawać Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Komitet Wykonawczy Rady w Piotrogradzie stał się w zasadzie drugim, konkurencyjnym ośrodkiem władzy, który na własną rękę administrował i stanowił prawo. Kilka dni później abdykował car. Ku swemu przerażeniu Liza oglądała z okien swego mieszkania, jak robotnicy palili flagi z dwugłowym orłem – symbolem caratu, deptali buciorami portrety cara i carowej. Nie wiedziałam, że aż tak go nienawidzili, pomyślała, kreśląc na piersiach znak krzyża. Z rozmysłem nie dodała: „*i caria chrani*”, bo cara już nie było. Choć wszyscy się o to modlili, Bóg go nie ochronił. Jeszcze nie wiedzieli ani się nie spodziewali, że już wkrótce na rozkaz bolszewików od kul zginie nie tylko car, ale także jego żona, znenawidzona Alix, i ich wszystkie dzieci. Ciała zostaną wywiezione do lasu i poćwiartowane. Aby zbrodnia nie ujrzała światła dziennego, oprawcy będą próbowali je spalić, a jak to się nie powiedzie, obleją szczątki kwasem siarkowym. To, co zostanie z Romanowów, zakopią w głębokim dole.

Utworzony w połowie marca przez księcia Lwowa Rząd Tymczasowy ogłosił amnestię, zapowiedział demokratyczne wybory do Zgromadzenia Narodowego oraz wprowadził wolność prasy i swobodę zakładania partii politycznych. Jednak to wszystko ani nie przyczyniło się do poprawy sytuacji ekonomicznej Rosji, ani nie przyniosło końca wojny. Chłopi wciąż domagali się ziemi, robotnicy chleba, a żołnierze pokoju. Tego Rząd Tymczasowy nie zamierzał im ofiarować.

Będący nowym ministrem sprawiedliwości Aleksander Kiereński masowo wyrzucał ze stanowisk sędziów, nazywając to reformą, oraz rozpoczął aresztowania wśród zwolenników starego porządku, a jego popularność rosła z dnia na dzień. Tłum nosił go na rękach, kobiety uwielbiały. Nawet mało do tej pory interesująca się polityką Liza, a także Daria zaczytywały się w jego płomiennych przemowach w parlamencie i na wiecach, drukowanych na łamach prasy.

– Takiego przywódcy Rosja potrzebuje – zachwycała się Liza, stukając dłonią w gazetę, gdzie widniało zdjęcie wschodzącej gwiazdy republikańskiej Rosji. – Młodego, przystojnego, o nowoczesnych poglądach, a nie takiego zgorzkniałego dziada jak ten Lwow, który od lat siedział w polityce i niczego dobrego nie działał.

W poparciu dla Kiereńskiego utwierdzał ją także Borys Sorokin, który po śmierci Leopolda Raweckiego otoczył Lizę i jej dzieci troskliwą opieką. Nie było dnia, aby pod byle pretekstem nie zajrzał do ich mieszkania. Kiedy zdarzyło się, że przez kilka dni się nie pojawiał, Liza zaczynała się zastanawiać, czy czasem już mu się nie znudziła opieka nad wdową i jej dziećmi. Czasami zapraszała go na herbatę, gdy Daria i Kola byli w domu, aby sąsiedzi nie wzięli jej na języki. Sorokin przynosił dla nich słodczyce, na które jej nie było teraz stać. Dobrze, że jest już ciepło i nie trzeba palić w piecach, myślała, robiąc co wieczór rachunki. Nigdy wcześniej się tym nie zajmowała. Szczęściem służąca Nadia wróciła po kilku dniach i zajęła się gotowaniem i sprzątaniami. Aby mieć czym płacić, Liza stopniowo wyprzedawała swoją biżuterię, futra i elementy zastawy stołowej. Nic mi nie zostanie na posag dla Daszy, myślała zrozpaczona za każdym razem, gdy opuszczała kantor lichwiarza.

Z czasem utarł się zwyczaj, że po herbacie prowadziła z Sorokinem długie dysputy na

temat przyczyn toczącej się wojny, reform, które powinien przeprowadzić car, a których zaniechał, co doprowadziło do rewolucji, reform, które chce przeprowadzić partia eserowców, do której Borys należał.

– Niech mi pan wytłumaczy, Borysie Wasiljewiczu – poprosiła jednego dnia, gdy wybrali się na spacer po Fontance. Nadeszło już lato, więc nie musiała się obawiać chłodnego powietrza ciągnącego od rzeki. Ostatnio coraz częściej nawiedzały ją ataki kaszlu, a wieczorami rosła temperatura. – O co chodzi z tymi sowietami? Cóż to takiego?

– Robotnicy chcą mieć wpływ na rządy – tłumaczył z ochotą, szczęśliwy, że może być tak blisko niej i zaglądać jej w oczy. – Dlatego tworzą w całym kraju swoje komitety, czyli rady delegatów.

– No tak, w zasadzie mają słuszość – zgodziła się po chwili namysłu. – Jestem za tym, aby posiadali w rządzie swego przedstawiciela, ale nie rozumiem, po co im odrębny rząd? Przecież teraz mamy dwa, ten dumski i te komitety delegatów robotniczych.

– Nie mają już zaufania do żadnej władzy – ciągnął Sorokin, który też nie do końca ufał burżuazyjnemu rządowi. – Tak mówią. Ale od czasu, jak do Piotrogradu wrócił Lenin, mam wrażenie, że oni chcą być jedyną władzą.

– Któż to jest ten Lenin? – zainteresowała się i zawiesiła na Borysie spojrzenie swych ciemnych oczu, przyprowadzając go o przyspieszone bicie serca. – Wszędzie, gdzie się obróć, mówią tylko o nim. Co to za osoba? I dlaczego tyle szumu wokół niego?

– Pochodzi z rodziny urzędniczej wyższego szczebla, z Symbirska, tego samego miasta, gdzie urodził się Kiereński. Ojciec Kiereńskiego był dyrektorem gimnazjum, w którym nauki pobierał młody Lenin. Nawet studia prawnicze ukończyli na tej samej uczelni w Petersburgu... – Sorokin uwielbiał tłumaczyć Lizie zawilosci polityki. Chłoneła jego słowa z ufnością, a w jej oczach zapalały się iskierki podziwu dla niego. Liczył w skrytości ducha, że kiedyś pojawi się w nich coś więcej. – Rewolucjonistą stał się dopiero po śmierci swego brata, którego władze carskie skazały na karę śmierci za udział w spisku.

– A więc chciał się zemścić na carze?

– Można tak to ująć. – Sorokin uśmiechnął się i przez chwilę zatrzymał wzrok na twarzy Lizy. Oczy jej płonęły, a policzki pokrywał rumieniec. Jaka ona jest śliczna, pomyślał. – Kiedy Kiereński robił karierę prawniczą, Lenin związał się z ruchem robotniczym i został przywódcą partii, która prowadziła działalność wywrotową. Zesłano go z tego powodu na Syberię, a po odbyciu kary wyemigrował, co nie znaczy, że zaprzestał rewolucyjnej działalności. Kiedy w socjaldemokracji doszło do rozłamu, on stanął na czele bolszewików, opierających się na ideologii marksistowskiej, zapowiadających przeprowadzenie rewolucji.

– Skoro on dąży do kolejnej rewolucji, to dlaczego minister Kiereński witał go z honorami, kiedy w kwietniu przyjechał do Piotrogradu?

– Prawdę mówiąc, też tego nie rozumiem. – Sorokin rozłożył ramiona i z uznaniem zerknął na Lizę. – Ten człowiek stanowi dla nas poważne zagrożenie i ja na miejscu Kiereńskiego przywitałabym go salwą plutonu egzekucyjnego, a nie salwą honorową.

– Ależ Borysie Wasiljewiczu! – zawołała Liza z pozornym oburzeniem. – Czymże on może Rosji zagrozić? Jako mówca nie sięga Kiereńskiemu do pięt. Nie dość, że nie wymawia „r”, to jeszcze się zacina. No i te jego mongolskie rysy. Kiedyś przez przypadek usłyszałam, jak przemawiał do zgromadzonego tłumu... Nie, na niego nikt nie będzie głośował – dorzuciła z pełnym przekonaniem.

– Jest pani w błędzie, Lizo Aleksiejewna – śmiertelnie poważnym tonem oznajmił Sorokin i zajrzał jej głęboko w oczy. – Bolszewików cechuje radykalizm oraz bezwzględność i żelazna konsekwencja. Lenin traktuje politykę niczym generał wojnę. W odróżnieniu od swoich

rywali politycznych, dąży do tego, aby przeciwnika pokonać wszelkimi sposobami, a najlepiej fizycznie unicestwić. Do zwycięstwa jemu nie jest potrzebna kartka wyborcza, jakieś kompromisy czy nawet strajki. A jak władzę raz zdobędzie, to już jej nigdy nie odda.

– To straszne, co pan mówi... – Liza poczuła na plecach nieprzyjemne ciarki i się wzdrygnęła.

– Ale to nie wszystko – Sorokin ciągnął dalej. – Mamy poważne podejrzenia, że Lenin jest finansowany przez Niemców, tylko brak nam jeszcze dowodów. Lecz sam fakt, że wyłożyli pieniądze na jego przyjazd do Rosji, już o czymś świadczy.

– W jakim celu mieliby to robić? – spytała, zaskoczona słowami Sorokina.

– To proste – odparł. – Kiedy do wojny przyłączyły się Stany Zjednoczone i na front zachodni rzuciły swoje wojska, Niemcy nie mają szans, aby dłużej walczyć na dwóch frontach. Muszą przegrać. Jediną ich nadzieją jest zawarcie pokoju z Rosją, aby mogli wszystkie siły skierować na front zachodni. Car nie miał zamiaru odstępować od wojny. Również Rząd Tymczasowy zapowiedział, że wywiąże się ze zobowiązań sojuszniczych. Tylko wybuch rewolucji i przejście władzy przez bolszewików daje szansę na wycofanie się Rosji z wojny. Więc Niemcy wpadli na chytry plan i przetransportowali Lenina w zaplombowanym wagonie ze Szwajcarii, przez Niemcy i Szwecję do Rosji. Podrzucili go nam jak Mongołowie w średniowieczu wrzucali za mury obronne trupy ludzi zmarłych na dżumę. Liczą naiwnie, że ta zaraza do nich nie dotrze...

– To niemożliwe... – oświadczyła Liza, nie mogąc uwierzyć, że ktoś dla osobistej zemsty czy korzyści był gotów sprzedać własną ojczyznę. Przecież ojczyzna to jak matka, pomyślała. – Byłby tak podły, aby oszukiwać tysiące ludzi? Przecież oni mu wierzą, że uczyni naród szczęśliwym. Zresztą ja też uważam, że wojna powinna się już skończyć i jakieś reformy na wsi trzeba przeprowadzić.

– Naszym zdaniem, to znaczy zdaniem eserowców – Sorokin w tym temacie czuł się jak ryba w wodzie – należy skonfiskować ziemię obszarczą i przekazać ją wspólnotom wiejskim...

Nawet mu przez myśl nie przeszło, że chłopci nie będą czekać, aż rząd cokolwiek zrobi w tej sprawie. Z nastaniem jesieni wezmą sprawy we własne ręce i pod hasłem całkowitego wytopienia dziedziców rozpętają prawdziwe piekło, przejmując ziemię, a dwory puszczając z dymem.

– Skoro wy, Borysie Wasiljewiczu, tak mówicie, to z pewnością tak należy zrobić – zgodziła się bez przekonania.

Miała pewne wątpliwości, czy wspólne zarządzanie własnością to dobry pomysł, ale nie śmiała przeciwstawiać się Sorokinowi. Uważała go za człowieka o wyjątkowo szerokich horyzontach i dużej wiedzy. To nie to samo co świętej pamięci Leopold, który tylko pieczętki przystawiał, gdzie mu naczelnik kazał, pomyślała, mimo woli krzywiąc się z niesmakiem, że tyle lat była żoną takiego małomiasteczkowego nieudacznika.

– Tymczasem Lenin zainstalował się w pałacyku baleriny znanej ze swych romansów z carskimi oficerami i w swoich tezach zwrócił się do tych, do których piękne mowy Kiereńskiego nie docierają – ciągnął dalej Sorokin. – Do wygłodzonych i zmęczonych wojną chłopów, robotników i żołnierzy. Za niemieckie pieniądze wydaje broszury i ulotki, wysyła agitatorów na front z chwytliwymi hasłami.

– Cóż jest takiego w tych ulotkach? – zaciekała się. – Jakoś nigdy żadna nie wpadła mi w ręce...

– Te same hasła, widniejące na sztandarach robotników, którzy zamordowali waszego męża: ziemia chłopom, pokój dla ludu, władza w ręce Rad.

– To dlaczego rząd nie wycofa się z wojny? Tak wielu ludzi już zginęło... – spytała

z troską o przyszłość nie tyle Rosji, ile swoją i dzieci. Jura przecież lada moment skończy naukę w szkole wojskowej i pošłą go na front, pomyślała. Kola też już ma szesnaście lat.

– Bo nie może... – Sorokin zniżył głos do szeptu, aby nikt postronny jego słów nie usłyszał. To, co chciał powiedzieć, było tajemnicą państwową.

– Co macie na myśli, Borysie Wasiljewiczu? – Podniosła na niego oczy, duże i ciemne, w których otchłani Sorokin już dawno utonął.

– Anglicy i Japończycy – ciągnął szeptem – po prostu nam zagrozili, że w razie zawarcia separatystycznego pokoju z Niemcami wypowiedzą nam wojnę.

– Więc te płomienne przemówienia, te zapowiedzi zwycięstwa to wszystko kłamstwa?

– To wszystko polityka, droga Lizo Aleksiejewna – odparł z uśmiechem, widząc oburzenie malujące się na jej twarzy. – Kiereński jest niezwykle ambitnym człowiekiem i jego plany sięgają znacznie dalej niż ministerialny stółek.

Oby czkawką mu się nie odbiły, pomyślał z odrobiną sarkazmu, ale tę uwagę zostawił dla siebie.

\*

Był ciepły lipcowy poranek, gdy przez szeroko otwarte okna do salonu Lizy dotarły z daleka jakieś głośnie krzyki. Podbiegła do okna i wyjrzała. Poniżej przejechały w wielkim pędzie dwa wojskowe samochody pancerne, najeżone lufami karabinów maszynowych. Od strony centrum niosły się głośno skandowane przez jakiś ludzi hasła: „Precz z wojną!”, „Chcemy chleba i pracy!”, „Ziemia dla chłopów!”, „Cała władza w ręce Rad!”. Po chwili tłum zaczął śpiewać *Marsyliankę*. Liza z miejsca przypomniała sobie wydarzenia sprzed kilku miesięcy, kiedy na ulicę wyszli manifestanci. Zatrzasnęła okno i zaciągnęła grube zasłony. Boże, dzieci są w kościele, pomyślała ze zgrozą. Zaczęła się ubierać, aby po nie wyjść, gdy nagle ktoś energicznie zastukał do drzwi. Zamarła z zakietem w ręce. Bała się otworzyć. Po chwili pukanie się powtórzyło, tym razem głośnie. Wyobraziła sobie człowieka z karabinem w ręce, w brudnym szynelu z czerwoną kokardą albo w marynarskim mundurze. Uchwyciła się oparcia krzesła, aby nie upaść na podłogę. Serce biło jej jak oszalałe.

– Lizo Aleksiejewna, proszę się nie obawiać, to ja, Borys Sorokin – usłyszała znajomy głos, głos, który zawsze napełniał ją otuchą.

Jak oszalała rzuciła się do drzwi. Z nerwów chwilę mocowała się z zamkiem. Gdy ujrzała w progu wysoką postać Sorokina, ubranego w jasny garnitur, ściskającego w ręce słomkowy kapelusz, wybuchnęła płaczem. Przypadła do niego, tuląc zapłakaną twarz do delikatnej tkaniny marynarki. Sorokin otoczył Lizę ramionami i mocno przytulił do piersi. Przymknął oczy ze szczęścia, wdychając odurzający zapach jej perfum, przypominający woń kwitnącego w maju bzu. Chwilę stali złączeni w uścisku, nie mówiąc ani słowa. Pierwsza oprzytomniała Liza i delikatnie wysunęła się z objęć Sorokina. Cofnęła się o krok. Co ja wyprawiam? – pomyślała. Gotów sobie wyobrazić Bóg wie co.

– Przepraszam... – bąknęła, wbijając wzrok w podłogę. – Przeraziłam się, że ci ludzie... że teraz mnie... Proszę wejść – dodała, zapraszając gestem do środka.

– Lizo Aleksiejewna... – Sorokin zdjął okulary i spojrzał z czułością na Lizę. – Już dawno chciałem to wam powiedzieć...

Mimo zamkniętych szczelnie okien do wnętrza pokoju dotarły strzały karabinowe.

Liza podniosła na Sorokina przerażony wzrok. Wówczas w jego oczach ujrzała to, o czym często czytała w powieściach, a czego nigdy nie ujrzała w oczach żadnego mężczyzny, nawet w oczach Leopolda, który z pewnością ją na swój sposób kochał.

– Co chcieliście powiedzieć, Borysie Wasiljewiczu? – spytała drżącym ze wzruszenia

głosem.

– Kocham panią od dawna – zaczął, a w jego oczach zalśniły łzy. – Od pierwszego wejrzenia. Gdy tylko panią ujrzałem, jak szła pani z Kolą ulicą. Jest pani moim ideałem kobiety, o której marzyłem podczas bezsennych nocy, moją gwiazdą na niebie i promyczkiem słońca na ziemi. Oddychanie tym samym powietrzem, którym pani oddycha, już jest dla mnie niebывałym szczęściem. Chciałbym całować ślady pani stóp, gdyby tylko pani pozwoliła...

Słuchając tych słów, tak przepojonych miłością, słów, jakich nikt nigdy wcześniej do niej nie mówił, poczuła, jak łzy płyną jej po policzkach. Zdała sobie sprawę, że i ona była zakochana. Przy Sorokinie wciąż czuła się młoda i piękna, nie odczuwała lęku przed manifestującą na ulicach tłuszcą, nie obchodziły jej te strzały karabinowe rozlegające się za oknem. Pragnęła, jak nigdy dotąd, aby ten mężczyzna wziął ją w ramiona i pieścił. Aby ją całował tymi zmysłowymi wargami, które kryły się w cieniu delikatnych wąsów. Aby ją posiadał tu i teraz, choćby na podłodze.

– Borysie... – szepnęła, stając tak blisko niego, że poczuła ciepło bijące od jego ciała i zapach tytoniu. – Ja też pana kocham...

Terkot karabinu maszynowego wyrwał ich z czarownego świata miłości, w którym na moment się znaleźli. Sekundę później rozległ się tupot nóg na schodach i ktoś gwałtownie załomotał do drzwi. Sorokin natychmiast je otworzył. W progu stał nieznany Lizie mężczyzna w mundurze. Nie była w stanie rozpoznać szarży.

– Borysie Wasiljewiczu! – krzyknął przejętym głosem. – Doszło do puczu! Gwardia Czerwona przejmuje strategiczne punkty w mieście!

– Zaczekajcie na mnie na dole. Zaraz zejść – oznajmił służbowym tonem.

– Niech pani, najdroższa moja, nie wychodzi dzisiaj z domu pod żadnym pozorem i dzieci nie wypuszcza – zwrócił się do Lizy, biorąc ją w ramiona. – Jak tylko będę mógł, przyjdę. Zapukam trzy razy.

Złożył na jej ustach pospieszny pocałunek i wybiegł z mieszkania. Stojąc w oknie, Liza z niepokojem obserwowała, jak wskoczył do czekającego nań samochodu z żołnierzem za kierownicą.

Do drzwi mieszkania Lizy zapukał późną nocą. Otworzyła mu w samej koszuli nocnej. Chwyliła za rękę i bezszelestnie, aby nie pobudzić Daszy i Koli, przemknęła na palcach do sypialni. Jesteśmy za starzy, aby tracić czas na niepotrzebne konwenanse, pomyślała i zrzuciła z siebie koszulę. Przez odsłonięte okna padał na jej nagie ciało srebrzysty blask białej petersburskiej nocy, słynnej na cały świat.

– Miłości ty moja – szepnął Sorokin i porwał ją na ręce.

Niczym cenny skarb zaniósł na łóżko.

Pośród rozspanych na poduszce ciemnych włosów Lizy jej blada twarz wyglądała na jeszcze bledszą, tylko oczy zdawały się płonąć niczym dwie pochodnie. Borys nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Drżącymi rękoma zdejmował krepujące go ubranie. Gdy w końcu wziął ją w ramiona i poczuł żar jej nagiego ciała na swojej skórze, miał ochotę krzyknąć ze szczęścia. Oplotła go ramionami i mocno ściskając udami, dała się ponieść pierwszy raz w życiu zaznawanej rozkoszy. Nim białą noc całkiem rozjaśnił świt, Sorokin, czule żegnając Lizę, wymknął się z jej mieszkania. Chwilę później, po ataku kaszlu, dostała pierwszego krwotoku.

Po kilku dniach sytuacja na ulicach Piotrogradu wróciła do normy. Borys zaglądał wieczorami do mieszkania Lizy, aby razem z jej dziećmi zjeść przygotowaną przez Nadie kolację. W nocy odwiedzał jej sypialnię. Jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy. Nawet jako dziecko nie zaznał tyle czułości i serdecznych słów co teraz. Jego matka zmarła, gdy był kilkuletnim chłopcem, a ojciec ożenił się po raz drugi. Macocha, zazdrosna o miłość, jaką mu

okazywał ojciec, szybko wyekspediowała go do gimnazjum odległego od domu o setki wiorst.

– Nie uwierzycie, jak wam coś powiem – oznajmił triumfująco pewnego dnia, gdy służąca zdążyła sprzątnąć ze stołu talerze i nastawiła samowar na herbatę. – Mamy w końcu dowody, że Lenin i bolszewicy są finansowani przez Niemców.

– A więc jednak. – Liza pokręciła głową, jakby nadal nie dawała wiary tym rewelacjom. Nalała herbatę do filiżanki i podała Borysowi. Czowała na sobie jego wzrok.

Choć była bardzo blada i oczy miała podkrążone, wyglądała uroczo. Specjalnie dla niego spięła włosy w kok na czubku głowy i włożyła kremową suknię z surowego jedwabiu, ozdobioną falbankami i koronką. W sam raz na ciepły wieczór.

– Nasze podejrzenia okazały się słuszne – opowiadał, małymi łydkami pijąc wrzący napar. – Wyobraźcie sobie, że w jego biurze i w redakcji „Prawdy”, tej ich gazety, znaleźliśmy pokwitowania odbioru pieniędzy od rządu niemieckiego. Na ogromne kwoty!

– No to trzeba go aresztować! – ze świętym oburzeniem w głosie zawołała Daria. Całym sercem popierała przemiany, jakie nastąpiły w Rosji. Zwłaszcza odezwę Rządu Tymczasowego, że powinna powstać niepodległa Polska. – Należy oskarżyć o szpiegostwo i skazać na śmierć!

W jej mniemaniu za śmierć jej ojca odpowiadali bolszewicy, którzy ludzi zamożnych nazywali krwiopijcami.

– Ba! – Sorokin bezradnie rozłożył ramiona. – Zdążył zwiąć. Zgolił brodę i w przebraniu gdzieś się ukrywa. Jak nam donoszą agenci, ponoć mieszka w jakimś szałasie w lesie nad Zatoką Fińską. Jak tylko się pojawi w mieście, z miejsca zostanie schwytyany.

Były to jednak zapewnienia bez pokrycia. Jak historia miała pokazać, Lenin wielokrotnie, przebierając się a to za robotnika, a to za starego dziadka z siwą peruką na głowie, a to za chorego z obandażowaną twarzą, zjawiał się w Piotrogradzie, aby w końcu wrócić na stałe w budce parowozu. Przygotowywał kolejny zamach na rząd, na czele którego niedawno stanął Aleksander Kiereński. Zamiast szumnie zapowiadanego przez nowego premiera zwycięstwa armia rosyjska ponosiła na froncie same klęski. Niemcy zajęli Rygę i zagrozili Piotrogradowi. Zrewoltowane dywizje odmawiały walki i opuszczały front. Nie pomagały płomienne przemówienia wygłaszane do wiecujących żołnierzy. Kiedy generał Ławr Kornilow próbował odsunąć od władzy nieudolnego premiera, Kiereński kazał go aresztować i rozwiązał Kwaterę Główną. Jako jedyne lekarstwo na kryzys miał czcze obietnice i pięknie brzmiące zapowiedzi. To one niegdyś wyniosły go na szczyt, teraz zaś pchały w przepaść. Na domiar złego, obawiając się kontrrewolucji ze strony popularnego generała, podjął współpracę z bolszewikami. Wypuścił z więzień tych, którzy w lipcu próbowali przejąć władzę. Wydał im broń i pozwolił zakładać organizacje paramilitarne. Oni jednak nie mieli zamiaru się odwdzięczyć. Wręcz przeciwnie. Natychmiast przystąpili do głoszenia wrogiej rządowi propagandy. Obiecywali szerokim masom chleb, pokój i władzę.

A lud tego właśnie oczekiwał. W najczarniejszych snach nie wyśnił jednak, że chłopci ziemi nie dostaną, a zamiast pokoju Lenin zafunduje Rosji krwawą wojnę domową, jakiej jeszcze świat nie widział. Dopiero za jego rządów tak naprawdę ludzie dowiedzą się, co to znaczy głód.

\*

Zaczęły się już pierwsze jesienne chłody, gdy pewnego dnia Dasza nie wróciła ze szkoły do domu. Liza chodziła od okna do okna, wypatrując jej na chodniku. Minęła pora obiadu, a córki nie było. Z nerwów Liza nie mogła nic przełknąć. Wyobrażała sobie wszystko, co najgorsze, bo znowu zaczęły się problemy z zaopatrzeniem miast w żywność i opał. W każdej chwili mogło po raz kolejny dojść do głodowych manifestacji. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, w którym nadal Sorokin pracował, miało pełne ręce roboty, a on dwoił się i troił,

aby pogodzić służbę z opieką nad Lizą i jej rodziną. Kiedy pewnej nocy dostała przy nim krwotoku, uświadomił sobie, że jest ciężko chora. Czuł się bezradny, nie mogąc jej pomóc. Wizyty u lekarzy kończyły się dobrymi radami i rozkładaniem rąk. „Chora musi dużo odpoczywać, dobrze się odżywiać, nie wychodzić na powietrze podczas chłódów” – mówił każdy, przepisując przeróżne mikstury.

Zapadł już zmierzch, gdy ktoś zapukał do drzwi. Kola, sądząc, że to Sorokin, za którym przepadał, pobiegł otworzyć.

– Mamusiu! – po chwili z krzykiem wbiegł do salonu, gdzie Liza, siedząc w fotelu, cerowała skarpetki. – Jakiś wojskowy przyszedł!

„Jezus Maria, powołali Borysa do wojska”, pomyślała z przerażeniem. Nie zdążyła nawet wstać z fotela, gdy do pokoju wszedł żołnierz, a w zasadzie żołnierka. Dopiero po chwili Liza rozpoznała w niej swoją córkę, ukochaną Daszeńkę. Miała na sobie oliwkową bluzę mundurową z dwiema kieszeniami na piersiach, zapinaną pod samą szyję na jeden rząd guzików, ściągniętą w tali skórzanym paskiem, przy którym wisiała kabura z pistoletem. Najgorsze jednak nastąpiło, gdy Dasza zdjęła z głowy czapkę z daszkiem, ozdobioną trupią czaszką na pischcelach. Podobna widniała na naramiennikach z czarno-czerwonymi obwódkami. Dasza nie miała już swych pięknych jasnych warkoczy. Nie tylko je obcięła, ale także ostrzygła włosy prawie do gołej skóry. Lizie stanęły przed oczyma sierpniowe dni, kiedy do Kielc weszli strzelcy Piłsudskiego. Wówczas to po raz pierwszy Dasza zapragnęła wstąpić do wojska i także obcięła warkocze. Teraz swe pragnienie wprowadziła w czyn.

– Chryste Panie... Daszeńko... – szepnęła Liza i zanosła się kaszlem. – Coś ty uczyniła? – spytała, gdy atak minął. Zakrwawioną chusteczkę błyskawicznie ukryła w kieszeni fartucha, aby dzieci nie zobaczyły. Po co mają się martwić, że niedługo umrę, pomyślała pogodzona z tym, co ją czekało.

– To, co jest moim obowiązkiem, *mamoczka* – odparła, siadając przy stole. – Wstąpiłam do Kobiecego Batalionu Śmierci.

– Cóż to jest?! Jaki batalion?! Na litość boską, czy ja śnię, czy to ty zwariowałaś?! – Liza załamywała ręce.

– Ani jedno, ani drugie, mamusiu. – Głos Daszy brzmiał nad wyraz poważnie i dojrzałe. – Rosja to moja druga ojczyzna i moim obowiązkiem jest stanąć po stronie prawowitego rządu. Rząd ten dał Polsce prawo do niepodległości. A jego armia już nie istnieje. Rozsadziła ją od środka bolszewicka propaganda, na dodatek za niemieckie i amerykańskie pieniądze. Lenin nie da Rosji szczęścia, lecz doprowadzi ją do ruiny. Wiem to.

– Skąd ty to możesz wiedzieć, dziecko? – Liza załamała ręce. Nie mogła pohamować łez, które płynęły jej po twarzy. Co spojrzała na ostrzyżoną główkę swej córki, serce jej krwawiło.

– Spytaj Sorokina, powie ci to samo – Dasza ciągnęła dalej ze ściśniętym gardłem. – Nie ma dla nas ratunku. Lecimy w przepaść. Nie chcę, aby mnie zgwałcił, a później zadźgał nożem pijany bolszewik. Wolę zginąć z bronią w ręku. Jak Czarek.

Po tych strasznych słowach zapadła cisza. Dla Lizy już wszystko stało się jasne. Dasza, jej jedyna córeczka, nie chciała dłużej żyć bez swego ukochanego. Głęboka wiara nie pozwalała jej targnąć się na swoje życie, więc postanowiła dać się zabić.

Ciszę przerwał Kola, który z emocji dostał czkawki.

– Chociaż mi powiedz, co to za batalion. Naprawdę są w nim same kobiety? – spytała Liza, szukając w myślach sposobu, jak by córkę odwieść od jej zamiarów. – Przecież przebywanie młodych kobiet, zwłaszcza takich ładnych, wśród żołnierzy będzie czynnikiem, który odwróci ich uwagę od zasadniczych celów. Żaden generał na to się nie zgodzi.

– Już się dawno temu zgodził – Dasza obstawała przy swoim. – Generał Brusilow.

Batalion powstał z inicjatywy *unteroficera* Marii Boczkariowej, która od początku wojny walczyła na różnych frontach i wiele razy była ranna. Dostała nawet medale. Ja po raz pierwszy o batalionie dowiedziałam się w czerwcu. Szłam się właśnie pomodlić do soboru Świętego Izaaka, gdy ujrzałam zgromadzone na placu tłumy. Na trybunie był sam Kiereński i przemawiał, obok niego stali generałowie. Właśnie odbywało się poświęcenie sztandaru tej jednostki. Dwa dni później batalion poszedł na front.

Jednej rzeczy jednak Daria nie wiedziała. Że mężczyźni w mundurach traktowali żołnierki jak prostytutki, a kiedy one bohatersko walczyły, oni nie chcieli im przyjść z pomocą, siedząc bezpiecznie w okopach. Na noc dowództwo musiało wystawiać specjalne warty, aby rozochoceni żołnierze nie dobierali się do kobiet w mundurach. Za cielesne kontakty z żołnierzami Boczkariowa swoje podkomendne osobiście karała śmiercią.

– Na mnie już czas – oznajmiła Dasza i wstała zza stołu. – Nie płacz, mamusiu. Mnie nie wyślą na front. Przynajmniej nie tak zaraz – dodała pocieszającym tonem. – Mam przydział do rot, która pełni straż w Pałacu Zimowym, tam gdzie urzęduje Kiereński. W razie zagrożenia jest jeszcze garnizon piotrogrodzki, który z pewnością przyjdzie nam z pomocą, gdyby zaatakowali bolszewicy.

Gdy w końcu zaatakują, żołnierze garnizonu będą spokojnie spali, nie mając zamiaru wtrącać się do polityki.

\*

Kiedy nastąpiły pierwsze przymrozki, Liza się przeziębila. Nie było dnia, aby nie biegła przed Pałac Zimowy, aby choć z daleka popatrzeć na córkę. Jednego dnia spotkała tam Jurę, który również został skierowany do obrony siedziby rządu. Prezentował się pięknie jako elew szkoły wojskowej. Szkoda, że Leopold go nie może zobaczyć, pomyślała z odrobiną żalu. Byłby dumny z syna. Gdy wróciła do domu, była skostniała z zimna, a w domu w piecach Nadia nie napaliła. Gdzieś się ulotniła od samego rana. Nawet nie ugotowała obiadu. Wieczorem Liza dostała wysokiej gorączki. Prerażony Kola pobiegł do mieszkania Sorokina, ale go nie zastał. Nie namyślając się wiele, mimo przerażenia, jakie budziło w nim pograżone w ciemnościach nocy miasto, pobiegł do budynku ministerstwa z nadzieją, że tam go zastanie. Początkowo wartownik nie chciał go wpuścić. Dopiero kiedy Kola wyjął z kieszonki zegarek, pamiątkę po ojcu, i mu dał, pozwolił mu wejść do środka.

Wrócili samochodem należącym do ministerstwa. Sorokin biegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Liza leżała w łóżku rozpalona jak piec. Choć okryła się kołdrą po czubek nosa, wstrząsały ją dreszcze. Mokre od potu włosy lepiły się jej do czoła. Na poduszce czerwienily się plamy świeżej krwi.

– Szczęście ty moje... – szepnął Borys załamującym się głosem i chwycił Lizę w objęcia.

Chwilę tulił do piersi, po czym pobiegł do kuchni i wstawił samowar na herbatę. Okrył Lizę pierzyną przyniesioną z pokoju Daszy i błyskawicznie rozpalil w piecu. Gdy zaniosta się kaszlem, podał jej przepisane przez lekarza kropelki. Niewiele pomogły i z ust Lizy buchnęła krew.

– Kola, syneczku – zwrócił się do przerażonego chłopaka – idź do swego pokoju i módl się, aby Bóg ocalił twoją mamę.

Liza zmarła tuż po północy, kołysana w ramionach rozpaczającego Sorokina.



## Rozdział 26

Kilka dni po pogrzebie Lizy do Borysa Sorokina, spędzającego noc w swoim gabinecie w budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dotarły pojedyncze strzały karabinowe. Był zaskoczony, że tylko tyle. Liczył, iż rząd w końcu zdecyduje się w sposób ostateczny rozprawić z bolszewikami. Od kilku dni w gazetach pojawiały się artykuły prasowe ostrzegające Lenina i jego partię przed wplątaniem się w kolejną próbę przejęcia władzy. Rząd odgrażał się aresztowaniami. Ale na wszystko było już za późno. Lenin, urzędujący w Smolnym, dawnym instytucie kształcenia dla dobrze urodzonych panien, gdzie nawet przez dwa lata uczęszczała Daria, zanim otrzymała posadę nauczycielki, wydał już dyspozycje. Jego ludzie mieli zająć najważniejsze punkty w mieście – elektrownię, dworce, centralny telegraf, banki i mosty. Szło im jak z płatka. Nad ranem na jego rozkaz kompanie Pułku Pawłowskiego, który przeszedł na stronę bolszewików, zajęły gmach sztabu Petersburskiego Okręgu Wojskowego. Bez jednego wystrzału rozbrojono wszystkich oficerów i pod konwojem odprowadzono do aresztu w Twierdzy Pietropawłowskiej. Rezerwowe pułki wraz z uzbrojonymi bolszewikami oraz marynarzami z Kronsztadu zajmowali po kolei kluczowe punkty miasta i gmachy publiczne, praktycznie bez walki, personel wysyłając do domów. Zanim nastał świt, Piotrogród został opanowany. Do wzięcia pozostał jeszcze tylko symbol władzy: Pałac Zimowy, dawna siedziba carów, w którym nieświadomi niczego przebywali ministrowie wraz z Kiereńskim.

Kiedy Sorokin wczesnym rankiem opuścił budynek ministerstwa, nie czekając, aż go nowa władza aresztuje, mógł się tylko domyślać, do czego doszło. Jeśli bolszewicy mieli dokonać zamachu stanu, to właśnie tej nocy, z 25 na 26 października, gdyż następnego ranka rozpoczynał obrady II Wszechzwiązkowy Zjazd Rad. Lenin chciał jego uczestników, zwłaszcza tych, którzy przeciwstawiali się zbrojnemu przejęciu władzy, postawić przed faktem dokonanym. Kiedy jego władza okrzepnie, zapłacą za to głową. Gdy Sorokin zamknął za sobą drzwi ministerstwa, z miejsca ogarnął go chłód, a zimne podmuchy wiatru przewiały go do kości. Idzie zima, pomyślał, zapinając płaszcz. Kapelusz naciągnął głęboko na czoło, a szyję owinął szalikiem. Mimo to trząsał się z zimna. Albo z emocji. Plan, który miał zamiar zrealizować, mógł skończyć się nie tylko jego śmiercią, ale także śmiercią Koli, a tego by nie chciał. Poprzysiągł umierającej Lizie, że jej dziecko ocali.

Z pozorów życie w Piotrogradzie toczyło się normalnie. Przechodnie spieszyli się w różne strony, a w restauracjach zrobiło się tłoczno. Przy gorącej herbacie mieszkańcy komentowali błahe z pozoru wydarzenia. Tak przynajmniej sądzili. Minie kilka tygodni, zanim się boleśnie przekonają, komu poprzez swoją obojętność oddali Rosję. Niewielkie oddziały bolszewików mieszały się z tłumem przechodniów. Od czasu do czasu przejechał samochód pancerny ozdobiony czerwonymi sztandarami i transparentami ze znanymi już hasłami. Pustymi, jak miał czas pokazać. Za każdym razem, gdy Sorokin ujrzał z daleka patrol bolszewików legitymujących przechodniów, wskakiwał do bramy. Z tego samego powodu wolał nie wsiadać do tramwaju. Gdy dotarł do kamienicy, w której mieszkał, wbiegł po schodach i w umówiony sposób zapukał do mieszkania Lizy. Otworzył mu Kola. Czekał na niego w płaszczu i futrzanej czapce na głowie, a pod ścianą stała jego spakowana walizka. Być może w ogóle nie położył się spać tej nocy. Oczy miał suche, lecz zaczerwienione od niedawno wylanych łez. Sorokin przytulił go na moment do piersi i poczuł nieprzyjemne szczypanie pod powiekami. Kola miał takie same oczy jak Liza – ciemne i głębokie jak górskie jeziora.

– To są twoje nowe dokumenty – powiedział, wręczając chłopcu paszport. – Nazywasz

się teraz Eryk Jansson i jesteś moim synem.

Nim zapadł zmierzch, przekroczyli granicę z Wielkim Księstwem Finlandii, które wielkimi krokami zmierzało ku niepodległości. Zostawili za sobą Rosję, gdzie porzucona władza leżała na ulicy i właśnie sięgali po nią bolszewicy.

O świcie tego samego dnia pod Pałac Zimowy podeszły bojówki Czerwonej Gwardii. Broniący obiektu młodzi junkrowie oddali salwę z armaty i bojówkarze rozpieczęli się na wszystkie strony, sądząc, że rząd dysponuje ogromnymi siłami do swojej obrony. Po południu szczęścia spróbowali marynarze z Kronsztadu, ale obrońcy otworzyli ogień. Nagle gdzieś się zawieruszył premier. Ktoś rozpuścił plotkę, że w kobiecym przebraniu opuścił pałac i uciekł. Tylko nikt nie wiedział dokąd. Inni twierdzili, że pożyczonym od ambasady amerykańskiej samochodem udał się po pomoc do oddziałów frontowych. Ministrowie już wiedzieli, że minionej nocy, kiedy oni sobie smacznie spali w pałacowych komnatach, bolszewicy wyciągnęli im stołki spod siedzeń. Liczyli, że przed szykującymi się do szturm bolszewikami obroni ich nie tylko sotnia kozacka, batalion kobiecy i młodziutki junkrowie ze szkoły oficerskiej, ale także wierne rządowi Kiereńskiego oddziały stacjonujące pod Piotrogiem.

Zanim nastąpiła noc, bolszewicy wręczyli ministrom ultimatum, zapowiadające ostrzał artyleryjski, jeśli się nie poddadzą. Choć paraliżował ich strach, odmówili. Spoglądali z nadzieją na szykujące się do decydującej batalii dziewczyny w mundurach. Z karabinami na ramionach zajęły wygodne pozycje do ostrzału głównej bramy i barykady przed wejściem. Nastąpiła noc i nic się nie działo. Zapowiedziany przez bolszewików ostrzał artyleryjski jakoś nie następował. Batalion kobiecy i junkrzy oraz trzęsący się ze strachu ministrowie nie zdawali sobie sprawy, że żadna z armat Twierdzy Pietropawłowskiej nie nadawała się do użytku, poza jedną, której nikt nie chciał obsługiwać, bo była przestarzała. A czas płynął. W końcu znaleziono śmiałka, który zdecydował się ponieść to ryzyko. Sygnałem dla krążownika Aurora, stojącego na Newie przy moście Mikołajewskim, aby oddał salwę w stronę pałacu, miała być zapalona czerwona latarnia. Okazało się, że w całej twierdzy takiej nie ma. Ostatecznie coś znaleziono, choć nie była to lampa czerwona, i w końcu z krążownika padł strzał. Nabój jednak okazał się ślepy i żadnej szkody w murach pałacu nie uczynił. Dwie godziny później odezwała się armata z twierdzy stojącej po drugiej stronie Newy. Wystrzelono z niej aż trzydzieści dwa pociski. Tylko dwa z nich trafiły w mury pałacu, nie czyniąc przy tym większej szkody, a reszta utonęła w nurtach rzeki.

Ale nie nadeszła też oczekiwana odsiecz. Z obrony rządu pierwsi zrezygnowali kozacy, zaraz po nich obsługa dział. Na stanowisku pozostał Kobiecy Batalion Śmierci oraz garstka młodziutkich kadetów, w tym Jura. Było już dobrze po północy, gdy w końcu uzbrojeni bolszewicy ruszyli na pałac. Nikt go do obrony dobrze nie przygotował. Nikt nie dysponował jego planami i nie znano rozkładu pomieszczeń. Nie był zaciemniony, a bocznych bram nikt nie zaryglował. Stojąca przy jednym z okien Daria poprzez mrok ujrzała nieliczną grupę uzbrojonych ludzi, którzy sforsowali barykady i pędzili w stronę głównego wejścia. Otworzyła ogień. Jej koleżanki również, ale w nikogo nie trafiły. Z drugiego końca pałacu dobiegły strzały oddane przez elewów. To Jura, pomyślała Daria i poczuła się raźniej, że w tych strasznych chwilach nie jest sama. Gdy bolszewicy podbiegli bliżej, namierzyła kolejny cel i strzeliła. Tym razem trafiła. Mężczyzna w szynelu upadł na ziemię, a jego towarzysze rozpieczęli się na boki.

Nagle usłyszała tupot butów w korytarzu. Z karabinem gotowym do strzału szybko ruszyła zobaczyć, co się dzieje. Natknęła się na bolszewika, który przez okno dostał się do wnętrza pałacu. Widząc lufę wymierzoną w swoją pierś, cisnął karabin i podniósł ręce do góry. Po chwili pojawił się kolejny. W innych punktach olbrzymiego budynku sytuacja przedstawiała się podobnie. Bolszewicy niczym robactwo pchali się do pałacu wszelkimi możliwymi otworami. Wszędzie ich było pełno. Część z nich dzielne żołnierki wzięły do niewoli. I to był ich śmiertelny

błąd. Wkrótce jeńców było znacznie więcej niż obrońców. Jeden z nich niespodziewanie rzucił się na żołnierkę i odebrał jej karabin. Inni poszli w jego ślady. Wywiązała się walka wręcz, w której dziewczyny w mundurach poniosły klęskę. Daria zdzieliła bolszewika kolbą przez łeb i rzuciła się do ucieczki. Biegła długim korytarzem, którego ciemności rozjaśniał jedynie blask księżycy wpadający przez niekończący się rząd okien. Za sobą słyszała tupot nóg i obrzydliwy rechot pijanych zdobywców. Nagle się o coś potknęła. Były to zwłoki jakiegoś junkra. Tuż obok leżał jego karabin. Był nabity. Chwyciła broń do ręki. Przystanęła na środku korytarza i wypaliła wprost przed siebie. Ten, który biegł pierwszy, oberwał i zalany krwią upadł na posadzkę. Pozostali przypadli do ścian. W ciemnościach nie mogła ich dostrzec.

– No, tchórze! – zawołała w ich stronę, ściskając w rękach gotowy do strzału karabin. – Wyłażcie, szczury, z nory!

I wówczas padł strzał. Poczula rozrywający ból w piersiach. To już koniec, pomyślała bez żalu i przywołała w pamięci smak pocałunku, który kilka lat temu na jej ustach złożył Cezary, jedynego pocałunku, jakiego w swym życiu zaznała. Czarus, kochanie ty moje, już idę do ciebie, szepnęła. Po chwili ogarnęła ją błoga cisza i ciemność. Nie usłyszała już, jak zwycięzcy pobili i brutalnie zgwałcili jedynych obrońców upadającego rządu, żołnierki z Kobiecego Batalionu Śmierci. Nie słyszała nawet tupotu nóg, kiedy bolszewicy, rabując, co tylko można było wynieść, rozbiegli się po pałacu. Pałacu będącym kwintesencją rosyjskiego baroku, gdzie przepych jest wprost trudny do wyobrażenia, pałacu, który przeszedł do historii jako ten, przed którym doszło do „krwawej niedzieli”, kiedy tysiąc robotników straciło życie tylko dlatego, że domagali się chleba od swego „cara-ojczulka”. Nie usłyszała, jak aresztowanych ministrów wyprowadzono z pałacu i pieszo zapędzono do Twierdzy Pietropawłowskiej.

Nagle coś Daszę połaskotało po nosie. Odruchowo machnęła ręką. Łaskotanie po chwili się powtórzyło. Jeszcze raz machnęła ręką. Gdy powtórzyło się po raz trzeci, otworzyła oczy.

Tuż nad sobą ujrzała roześmianą twarz Cezarego, który trawką łaskotał ją po nosie. Rozejrzała się wokoło. Leżała na szmaragdowej łące, pełnej polnych kwiatów. Natychmiast poznała to miejsce. Była to ta sama łąka w pobliżu Porętowa, po której spacerowała z Cezarym i gdzie razem za pomocą siatki łapali motyle. Usiadła zaskoczona. Nie miała pojęcia, skąd się tutaj wzięła, ale specjalnie jej to nie interesowało.

– Czarek, to ty? – spytała z niedowierzaniem i obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

Ubrany był w płócienne spodnie, białą koszulę z podwiniętymi rękawami oraz atłasową kamizelkę. Uśmiechał się jak zawsze, marszcząc nos. Grzywa jasnych włosów opadała mu na czoło, rzucając cień na jego głęboko osadzone szare oczy.

– Wiadomo, że ja – usłyszała odpowiedź.

– Czekales na mnie?

– Przez cały czas. Skąd wiedziałas, że umarłem? – spytał, biorąc ją za rękę.

– Sam mi powiedziałas, że śnie – odparła, nie zwracając nawet uwagi, że zamiast zakrwawionego munduru miała na sobie zwykłą sukienkę ozdobioną falbankami, a zaplecione w dwa warkocz jasne włosy spływały jej po plecach.

– Tęskniłas za mną? – dopytywał się dalej.

– Bardzo, nie było dnia, abym o tobie nie myślała. A ty, jak mnie tutaj znalazłeś?

– Wołałas mnie, nie pamiętasz?

– Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam...

Na moment zapadła cisza, zakłócana dzwonieniem skowronków wiszących wysoko nad łąką.

– Tam w dole pewno jeszcze noc? – spytał Cezary.

– Tak. Księżycowa.

– Chodź, pokażę ci, jak tu jest... – Chwycił Darię za rękę i pociągnął ją w dół po łagodnym zboczu niewysokiego pagórka.

Biegli razem, wciąż trzymając się za ręce, aż zniknęli w porannej mgle.

## Rozdział 27

4. Dywizja, w której szwadronem dragonów dowodził Kaledin, w nieładzie wycofywała się na wschód, oddając Niemcom pozycję za pozycją. W zastraszającym tempie szerzyła się dezercja, za którą już nie wolno było karać śmiercią. Szeroką strugą tysiące żołnierzy przemierzało zdewastowane szosy i polne drogi, budząc strach miejscowych. Dowodzący dywizją generał Sokownin nie mógł się doliczyć kilku pułków. Wśród tych, którzy pozostali w szeregach, panował rewolucyjny ferment. Na każdym kroku ich spojrzenia zdawały się mówić: „teraz my tutaj decydujemy”. Sytuacja uległa niewielkiej poprawie, kiedy w lipcu próba przejęcia władzy przez bolszewików zakończyła się ich porażką. Posypały się aresztowania, a Lenin salwował się ucieczką. Wieść, że generała Ławra Korniłowa, popularnego wśród nieskażonych bolszewizmem żołnierzy, mianowano wodzem naczelnym, w kręgach prawicowych została przyjęta entuzjastycznie, natomiast lewica przystąpiła do zajadłej krytyki. Zarzucano generałowi, że żądał przywrócenia kary śmierci dla dezertorów i buntowników oraz likwidacji komitetów żołnierskich. W prasie, która z opóźnieniem docierała do dywizji, można było przeczytać zdania krytyki wobec rządu Kiereńskiego. W odwecie inne gazety donosiły, jakoby Korniłow dopuścił się zdrady. Wówczas generał wydał proklamację zarzucającą rządowi celowe działanie na szkodę państwa rosyjskiego, poprzez uleganie naciskom Niemiec i Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Kiereński nie miał zamiaru czekać, aż zbyt ambitny jego zdaniem generał wyciągnie mu stołek spod tyłka, i zaapelował do społeczeństwa, by broniło rewolucji przed Korniłowem. Społeczeństwo miało już tego dość i coraz częściej mówiło: „a róbcie sobie, co chcecie, a nam dajcie święty spokój”. Całe to zamieszanie przyczyniło się jedynie do wzrostu popularności bolszewików, którzy teraz jawili się jako jedyni obrońcy zagrożonej kontrewolucją demokracji.

W takiej to skomplikowanej sytuacji politycznej zdziesiątkowana 4. Dywizja, rozsadzana od wewnątrz przez bolszewicką propagandę, przekroczyła Zbrucz i generał Sokownin oznajmił swym podkomendnym: „od dziś ani kroku w tył”, a oni odparli: „i ani kroku w przód”, co oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że żadne działania ofensywne nie wchodzi w grę. Rozlokowani w pobliżu Wołoczysk, miasteczka będącego jeszcze przed wojną punktem granicznym z Galicją, cieszyli się dobrodziejstwem urodzaju żyznej ukraińskiej ziemi. Generał wraz z garstką oficerów dzięki wypłacanemu żołnierzom żołdowi jako tako trzymali w ryzach resztki dywizji. Metalowa kasa stała się najlepiej strzeżonym obiektem w całej jednostce. Generał wraz z oficerami zakwaterowali się w pałacyku pana Moszyńskiego, który zdążył rodzinę wyekspediować do Odessy, licząc, że tam wojna nigdy nie dotrze. Sam został na posterunku, aby doglądać zbiorów i inwentarza. Obecność wojska napełniła jego serce otuchą, że nie padnie ofiarą chłopskich napaści na dwory, których liczba rosła z dnia na dzień. Przymykał więc oko na buszowanie po polach i sadach żołnierzy, rozlokowanych w starych okopach i ziemiankach. Nakazano im budowę nowych, gdyż wbrew powszechnym oczekiwaniom nie zanosilo się na rychły koniec wojny.

Lato chyliło się ku końcowi, ale dni wciąż były ciepłe i słoneczne, a zbiory kartofli na polach obfite. Żołnierze całymi dniami leżeli do góry brzuchami, żując *siemiaszki* lub obżerając się pieczonymi w ogniskach *kartoszkami*. Mimo surowego zakazu grali w karty na pieniądze. Niektórzy sprzedawali własne buty, cukier lub tytoń, aby tylko mieć za co grać. Inni dorabiali się na tym procederze znacznych sum. Z nudów całkiem się rozpolitykowali. Wiece odbywały się dzień w dzień, a komisarze roztaczali przed żołnierzami wizję przyszłego rajy na ziemi, jak tylko

lud weźmie sprawę we własne ręce. Bywały dni, kiedy od strony niemieckich okopów poleciało za Zbrucz kilka wrogich pocisków. Na ogół nikomu nie czyniły większej szkody. Generał Sokownin wydawał wówczas rozkaz, aby odpowiedzieć Niemcom pięknym za nadobne. Żołnierze najpierw wiecowali, czy wyrażają zgodę na usilną prośbę swego dowódcy, później załadowywali armaty lekkimi pociskami, bo ciężkich haubic dywizja już nie miała, i ostrzeliwali okopy wroga. I następowała cisza. Jednak coraz częściej zamiast pocisków na pozycje rosyjskie leciały setki puszek z ulotkami. Towarzysze niemieccy dobrze radzili towarzyszom rosyjskim, aby zmusili swój rząd do zawarcia pokoju, bo ta wojna już nikomu nie jest potrzebna. Bywali tak bezczelni, że wysyłali parlamentarzysty z białymi flagami, aby propozycje rozejmu składać osobiście. Na rozkaz generała w ich kierunku leciał grad ołowiu lub na śmiałków szarżował szwadron dragonów dowodzony przez Kaledina. Niemcy wycofywali się czym prędzej i sytuacja wracała do normy.

– *Gospoda...* – generał Sokownin zwrócił się pewnego wieczoru do kilku zaufanych oficerów, gromadząc ich w swoim pokoju, który w bezpowrotnie minionych czasach pełnił funkcję bawialni. Na pokrytych zaniedbanym zarostem twarzach malowało się zmęczenie i rezygnacja. – Sprawy nie idą w dobrym kierunku. Dostałem telegram, że generał Kornilow został aresztowany, a wraz z nim wszyscy jego generałowie. Kiereński zlikwidował też Naczelne Dowództwo. – Potoczył po oficerach badawczym spojrzeniem i z ich min wywnioskował, że całkowicie podzielali jego niepokój. Likwidacja Stawki była karygodnym błędem z wojskowego punktu widzenia. – A to oznacza, panowie, że nasza nadzieja na zapanowanie nad fatalnym rozwojem wydarzeń legła w gruzach. Natomiast ta tłuszcza – ruchem głowy wskazał okna, przez które do pokoju wpadały dobiegające z daleka wrzaski i rechot – ma powody do świętowania. Już wiedzą, że nie tylko nie wróci kara śmierci za dezercję, ale także w armii nadal będą rządzić komitety, których ustalenia oni mają, że się tak wyrażę, w dupie.

– Należałoby nie upubliczniać tego, co przysłał telegraf – podsunął pułkownik Sokołowski. Był to krępej budowy mężczyzna, pochodzący ze Skierniewic Polak, wykształcony w Pawłowskiej Szkole Wojskowej w Petersburgu, doświadczony zawodowy oficer, mający za sobą udział w walkach na froncie austriackim.

– Już za późno. – Generał machnął ręką. – Telegraf został opanowany przez zaufanych delegatów. Podają do publicznej wiadomości, co tylko nadejdzie. A bolszewicy dosłownie bombardują nas tymi swoimi hasłami o ziemi, pokoju i władzy dla ludu, do reszty niszcząc morale tych, którzy jeszcze nie ulegli zac zadaniu kłamliwą ideologią.

– Kilka dni temu – swoimi doświadczeniami chciał się podzielić pułkownik Szczerbakow, dowódca pułku artylerii – jeden z moich poruczników zagroził maruderom uchylającym się od pracy przy budowie ziemianek, że odda ich pod sąd rewolucyjny i każe rozstrzelać. To go pobili. Na domiar złego, prokurator właśnie jemu zagroził sądem za odgrażanie się żołnierzom.

– No i jak się sprawa skończyła? – zainteresował się generał, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Co za swołocz, pomyślał. Żeby podnieść rękę na oficera.

– Porucznik mnie ostrzegł, że dłużej w tym piekle nie wytrzyma i ucieknie – odparł Szczerbakow. – I wcale mu się nie dziwię. Sam mam ochotę zrobić to samo.

– Nie ma dnia, abym nie otrzymywał rezolucji pułkowej, żądającej zawarcia pokoju – z rezygnacją oznajmił Sokownin. – Na moje tłumaczenia, że chcemy wynegocjować dobre warunki, usłyszałem, że oni mają to gdzieś. Chcą pokoju na jakich bądź warunkach.

– My, jako korpus oficerski – grobowym głosem wtrącił pułkownik Gurko, kciukiem przyglądając bujnie wyrosnięte wąsy – już nie wydajemy rozkazów, tylko co najwyżej negocjujemy lub protestujemy. Nie dawniej jak wczoraj postawieni przed sądem korpusu malkontenci i hazardziści, kiedy uznano ich winę i zasądzono karę, rzucili się na sędziów

z pięściami. Zdążyli ująć z życiem, uciekając po dachach i rynnach.

– Niestety, stosunek żołnierzy do nas, oficerów, z każdym dniem staje się coraz gorszy – do rozmowy wtrącił się pułkownik Markodiejew, znany w swym pułku piechoty z surowego traktowania żołnierzy. – Nie ma dnia, abym nie napotykał złowrogich spojrzeń, a nawet mamrotanych pod nosem pogroźek. Jak tak dalej pójdzie, któreś nocy poderżną nam gardła...

– Też to zauważyłem – westchnął generał i sięgnął po papierosy leżące na stole. – Ale to nie wszystko... – ciągnął dalej, gdy zapalił. – Nie mam już pieniędzy, aby wypłacać żołd. My, oficerowie, możemy to zrozumieć, ale oni? – Ruchem głowy wskazał okna, przez które było widać płonące ogniska i żołnierzy piekących kartofle. – Obiecany transport żywności z kijowskich magazynów nie dotarł do dziś. Jeszcze kilka dni i kucharz nie będzie miał co do garnka włożyć. Jak nie wypłacę żołdu, ta czerń – po raz kolejny głową skinął w kierunku okien – rozgrabi nie tylko plony okolicznego chłopstwa, ale także folwark naszego dobrodzieja. I będziemy się cieszyć, jeśli z życiem ujdziemy.

– Jest jeszcze jeden problem. Nie wiem, czy nie znacznie poważniejszy – oznajmił pułkownik Szczerbakow i westchnął.

– Mówcie, pułkowniku – poprosił generał i utkwiał w oficerze spojrzenie pełne niepokoju.

– Mój pułk odmówił wykonania rozkazu, a jego przedstawiciele bezczelnie oznajmili, że oni nie przejdą na pozycje w kierunku na Zajcziki.

– Czym to wytłumaczyli? – Generał poczuł dreszcz na plecach. Wszystko rozłązi się w rękach, jakby ktoś na Rosję rzucił kłutwę, pomyślał.

– Że tam nie ma ziemianek i musieliby budować wszystko od podstaw. – Szczerbakow machnął ręką. – Ale podejrzewam, że obawiają się wysłania na front. A do walki ich teraz nikt nawet wołami nie zaciągnie.

– Już raz z taką sytuacją miałem do czynienia. – Generał ciężko usiadł za stołem. – Motłoch siłą usunął dowództwo pułku i wraz z okolicznymi chłopami wziął się do plądrowania miejscowego majątku ziemskiego. Porządek zaprowadziłem dopiero przy użyciu dwóch pułków jazdy i aeroplanu. A winnych jedynie usunięto z armii. Dziś mogę już nie znaleźć chętnych do pacyfikacji buntowników. Zaraz się skumają i będzie jeszcze gorzej.

Zapadła cisza, w której dały się słyszeć dobiegające z daleka krzyki wiecujących żołnierzy oraz tych, którzy znudzeni polityką kłócili się głośno przy grze w karty.

– Powinienem powiadomić dowództwo korpusu – westchnął Sokownin, czując się kompletnie bezradnym – ale generał Tumanow wyjechał do Odessy i kontakt z nim się urwał. Zresztą wysyłanie telegramu w obecnej sytuacji nie wchodzi w grę.

– No tak... – Pułkownik Sokołowski podszedł do okna i wyjrzał, aby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Delegaci przechwycą i tłuszcza skoczy nam do gardeł.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak posłać kogoś zaufanego do generała, aby przedstawił mu nasze położenie – ciągnął Sokownin. Wstał zza stołu i z rękoma w kieszeniach spodni spacerował po obszernym pokoju, prawie całkowicie pozbawionym mebli. – Może ekscelencja ma jeszcze w kasie korpusu jakieś pieniądze? Może cofnie rozkaz przesunięcia dywizji na południe albo każe rozpuścić wojsko do domów. Inaczej czarno to widzę.

– Podróż w tamte rejony wobec rozpasania motłochu żołnierskiego jest niezmiernie ryzykowna. Bez szwadronu wiernych sobie kozaków lepiej się nigdzie nie ruszać – z grymasem niezadowolenia na twarzy oświadczył Markodiejew.

– Skąd ja wam, pułkowniku, wezmę oddanych żołnierzy? Tym bardziej cały szwadron... – Generał spojrział na Markodiejewa z dezaprobatą. Ten już ze strachu sfajdał się w gacie, pomyślał pogardliwie.

– Ja pojedę – bez namysłu oznajmił Sokołowski. – Wezmę ze sobą rotmistrza Kaledina.

To oddany oficer i doskonały żołnierz.

Sokownin spojrział na swego podkomendnego wzrokiem pełnym zadumy. Co kieruje tymi Polakami, że jako jedyni nadal chcą walczyć? – pomyślał. Czyżby uwierzyli w zgodę Rządu Tymczasowego na powstanie niepodległej Polski? Utworzyli jeden korpus, teraz marzą się im kolejne.

– Wobec tego, pułkowniku Sokołowski – posłał swemu oficerowi pełne wdzięczności spojrzenie – jak tylko przygotuję pismo, możecie ruszać. Pociągi, *śława Bogu*, jeszcze kursują.

Jednak generał nie zdawał sobie do końca sprawy, na jakie niebezpieczeństwa byli narażeni pasażerowie owych pociągów. Nie docenił też niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad wszystkimi oficerami w obliczu postępującej demoralizacji armii. Gdy do jego dywizji na początku listopada dotrze telegram zawiadamiający, że władzę zwierzchnią objął Komitet Wojskowo-Rewolucyjny, nakazując żołnierzom aresztować dowództwo jako wrogów, jeszcze tej samej nocy jemu i wszystkim pułkownikom poderzną gardła. Życie zachowają ci, którzy przystąpią do bolszewików.

\*

Przemierzający ulice miasteczka Sokołowski i Kaledin ze zdumieniem spoglądali na tłumy okolicznych ziemian, którzy bryczkami wyładowanymi rodziną i dobytkiem zjeżdżali do Wołoczysk, przerażeni powtarzającymi się napadami na dwory. Zajmowali hotele i gospody lub kwatrowali u znajomych. Liczyli, że stacjonująca w mieście dywizja ochroni ich nie tylko przed nacierającymi wojskami niemieckimi, ale także przed pijaną czernią, żądną zemsty i krwi. Kolejna niespodzianka czekała oficerów, gdy dotarli do budynku stacji. Ich oczom ukazały się masy żołnierzy koczujących na peronie w oczekiwaniu na pociąg. Byli to przeróżnej maści maruderzy, liczący na lekkie życie poza armią. Gdy pociąg nadjechał, pośród krzyków i niewybrednych przekleństw rzucili się zajmować miejsca. Szczęściem dla oficerów zarezerwowany był specjalny wagon sztabowy, przyczepiony tuż za lokomotywą, do którego drzwi strzegli wartownicy, odganiając tłuszczy kolbami.

– Czy ten pociąg na pewno pojedzie do Odessy? – z niepokojem w głosie spytał Sokołowski zawiadowcę stacji, widząc, jak liczna grupa maruderów wyklócała się z maszynistą o kierunek jazdy.

– *Czort jego znajet* – odparł, wzruszając ramionami. – Żaden rozkład jazdy już nie istnieje. Jak towarzysze – ruchem głowy wskazał żołnierzy – uznają za stosowne, mogą pociąg skierować w inną stronę lub przetrzymać na stacji parę godzin. Macie, *gospoda oficerzy*, jakieś zapasy ze sobą? Bo wysiąść na kolejnej stacji stanowczo odradzam – postraszył na odchodnym.

W końcu pociąg ruszył. Od strony sąsiednich wagonów dolatywały wrzaski pijanej tłuszczy oraz przekleństwa na przemian z rewolucyjną pieśnią, której słowa wiejące grozą Kaledin słyszał po raz pierwszy. Poczul na plecach nieprzyjemne ciarki.

*Wyklęty powstań, ludu ziemi!*

*Powstańcie, których dręczy głód!*

*Myśl nowa blaski promiennymi*

*Dziś wiedzie nas na bój, na trud.*

*Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata,*

*Przed ciosem niechaj tyran drży!*

*Ruszymy z posad bryłę świata,*

*Dziś – niczym, jutro wszystkim my!\**

Na każdej kolejnej stacji jedni wysiadali, inni szturmowali wejścia przy głośnych protestach tych w środku. W wielu miejscach dochodziło do bójek. Bardziej przedsiębiorczy



wdrapywali się na dachy wagonów. Nie obawiali się chłodu, gdyż z każdym kilometrem przybliżali się do ciepłego klimatu Besarabii, gdzie przez większość roku świeci słońce, lato trwa znacznie dłużej niż gdzie indziej, a zimy mijają bez śniegu i mrozu. Nudę zabijali zrabowanym po drodze alkoholem, który chłopci masowo pędzili po chałupach.

Kaledin, kołysany jednostajnym rytmem wlokącego się koło za kołem pociągu, zapatrzył się na mijany za oknem krajobraz. Wzgórza wołyńskie, na których rozlokowane były Wołoczyska i płynący pośród zielonych łąk Zbrucz, ustąpiły miejsca płaskim jak stół, ciągnącym się po horyzont bezkresnym stepom. Porastały je falujące na wietrze wysokie trawy, przywodząc na myśl szerokie rozlewiska Dniepru. Osady ludzkie pojawiały się z rzadka, pobudowane w zasadzie tylko z jednej przyczyny – aby obsługiwać kolej na linii Odessa–Kijów, której tory położono jeszcze w XIX wieku. Od czasu do czasu gdzieś w oddali mignęły strzechy jakiegoś chutoru czy zapomnianej przez Boga wsi, skrytej mgłami sunącymi nisko przy ziemi lub dymem pożarów wznieconych w okolicy przez rozzuchwalone chłopstwo. W niczym ten krajobraz nie przypominał niewysokich wzgórz, na których leżał Miechów, spływając po łagodnym zboczu ku Miechówce, rzeczce wąskim nurtem opasującej miasteczko. Kaledin zatęsknił za jego niewysokimi kamieniczkami, za zielnymi łąkami porośniętymi polnym kwieciem, za tymi ludźmi, którzy z godnością znosili trudy rosyjskiego panowania. A nade wszystko zatęsknił za Katarzyną, której orzechowe oczy i słodki uśmiech, wyciskający w policzkach dwa dołeczki, wciąż miał przed oczyma. Wyciągnął z kieszeni jej fotografię, a w zasadzie to, co z niej zostało. Spękany i dziurawy kartonik skrywał zaledwie fragment twarzy jego ukochanej. Mimo to wpatrywał się w niego, czując szczypanie łez pod powiekami.

Byli już czwarty dzień w podróży, gdy w pewnym momencie przez okno ujrzał znaczną grupę uzbrojonych jeźdźców na koniach, którzy nagle pojawili się na horyzoncie. Poganiając wierzchowce, puścili się w pogoń za pociągiem.

– *Gospoda* – zwrócił się do swoich towarzyszy podróży. Obrzucił uważnym spojrzeniem siedzących w przedziale oficerów, będących w różnym wieku i z różnym doświadczeniem wojskowym. Od generałów w podeszłym wieku poczynając, na porucznikach z mlekiem pod nosem kończąc. Mam nadzieję, że potrafią celnie strzelać, pomyślał, bo chyba będzie to nam potrzebne. – Zdaje się, że mamy nieproszonych gości – oznajmił i ruchem głowy wskazał mijany za szybą krajobraz.

Oficerowie rzucili się do okna. Jeźdźcy byli już na tyle blisko, że dało się rozróżnić ich stroje. Świadczyły niezbitnie o braku przynależności do jakiegokolwiek jednostki wojskowej. Choć wszyscy mieli na sobie mundury, wywodziły się one z różnych formacji i były niekompletne. Portki na ogół były chłopskiego pochodzenia, a kozackie czapki z baranka mieszały się z tymi wojskowymi z daszkiem. Wszystkie jednak zdobiły czerwone tasiemki, przypięte w miejscu tradycyjnego „carskiego oka”, które w regularnej armii świadczyło o przynależności do konkretnego pułku. Większość z nich uzbrojona była w karabiny, przewieszane przez plecy. Tylko dowodzący grupą, jadący na przedzie, mógł się poszczycić oficerskim skórzanym pasem na szelkach, do którego przymocowana była kabura z pistoletem oraz szabla. Jako jedyny miał też wiszącą na piersiach lornetkę, a na dłoniach skórkowe rękawiczki.

– To nie jest regularna armia – oświadczył Sokołowski i sięgnął do kabury po rewolwer. Sprawdził, czy był naładowany. Natychmiast pożałował, że miał przy sobie tylko dwa zapasowe magazynki, ale na więcej zgody nie dostał, bo magazyny zaczynały świecić pustkami.

– Wygląda mi to na jakąś bolszewicką zbieraninę – zgodził się Kaledin. – Przystroili się w czerwone wstążeczki.

– Proponuję odczepić wagony z dezertkami. Ta zrewoltowana tłuszcza pierwsza rzuci się nam do gardeł, zanim ci na koniach nas dogonią – zaproponował jeden z generałów. Zdjął szynel,

aby nie krępował mu ruchów, i przygotował rewolwer do strzału. – Słyszałem, że nie dalej jak tydzień temu w rejonie Żytomierza zatrzymali pociąg i wszystkich oficerów zakłuli bagnietami.

Zanim pasażerowie zdążyli skomentować słowa generała, z daleka padły pierwsze strzały. Miały zapewne dać maszyniście sygnał, aby zatrzymał pociąg. Kaledin i Sokołowski wymienili między sobą spojrzenia. Rozumieli się bez słów. Pierwszy na zewnątrz wyszedł z przedziału Sokołowski i przytrzymując się specjalnych uchwyty, służących konduktorom w czasie przemieszczania się z przedziału do przedziału, ruszył po zewnętrznym stopniu w stronę lokomotywy. Poprzez węglarkę dostał się do budki, w której urzędował maszynista z pomocnikiem. Sterroryzował ich rewolwerem i kazał sypać węgiel w gorejącą czeluść pieca. Pilnował, aby żaden nie pociągnął za wajchę hamulca.

Kaledin w tym czasie w ten sam sposób zmierzał na drugi koniec wagonu, po drodze informując resztę oficerów, siedzących w swych przedziałach, o zaistniałej sytuacji. Niektórzy już zdążyli zauważyć zbliżających się jeźdźców i przygotowywali się do obrony. Szczęściem siedzące na dachach towarzystwo było bardziej zainteresowane goniącą ich watahą niż tym, co działo się poniżej. Machali do jeźdźców rękoma i strzelali na wiwat. Igor, dotarłszy na koniec wagonu, zdołał odkręcić śrubę, aby rozluźnić sprzęg łączący wagony, i błyskawicznie zdjął metalowe ucho z haka. Niezauważony tą samą drogą wrócił z powrotem do swojego przedziału. Zanim żołnierska tłuszcza zauważy, że zostaje daleko w tyle, będzie już za późno na reakcję.

Gdy zgraja jeźdźców znalazła się na odległość strzału, oficerowie, wychylając się przez okna, otworzyli ogień. Strzelali celnie, aby nie zmarnować ani jednej kuli. Choć wojna trwała już kilka lat, większość z nich dopiero teraz toczyła prawdziwą bitwę na śmierć i życie. Wcześniej posyłali do boju swych podkomendnych. Kilku jeźdźców, celnie trafionych, spadło z siodeł. Konie luzem galopowały dalej.

– Panowie – odezwał się jeden z generałów, energicznym ruchem ręki zrywając z ramion swe złote naramienniki. – Radzę wam zrobić to samo, aby szarzy nie rozpoznali. Może choć niektórzy z nas ocalą w ten sposób życie.

Zanim wszyscy zdążyli wykonać jego sugestię, banda zdołała zrównać się z pociągiem i otworzyła ogień w stronę okien. Pierwszy dostał generał pokaźnej tuszy, stanowiący łatwy cel. Dzięki ci, Boże, za śmierć w boju, zdążył pomyśleć, zanim uleciała z niego skołatana dusza. Zaraz po nim oberwał młodziutki porucznik, niemający żadnego doświadczenia w walce. Osunął się cichutko na podłogę wagonu, ściskając w dłoni pistolet, z którego zdążył już wystrzelić ostatni nabój. Żadnym nie trafił do celu. Po raz pierwszy przyszło mu powąchać prochu i od razu pożegnał się z życiem. Tymczasem maruderzy siedzący na dachu wagonu sztabowego usiłowali dostać się do środka, aby przyjść z pomocą swym towarzyszom na koniach. Jak tylko który wsunął łeb przez okno, dostawał kulę między oczy.

Nagle pociąg zaczął gwałtownie hamować. Spod zgrzytających po szynach kół posypały się snopy iskier. Z parowozu z sykiem wydobyły się kłęby pary, zasłaniając walczącym pole bitwy. Wykorzystali ten moment siedzący na dachu dezertjerzy. Z dzikim krzykiem na ustach przez pootwierane okna wtargnęli do przedziałów. Kluli bagnietami na oślep i prali kolbami. Kilkunastu pozostałych przy życiu oficerów rozbroili.

– Stać, towarzysze! – rozległ się krzyk dowodzącego bolszewikami. Choć galopował na czele, zdołał uniknąć kuli. – To moi jeńcy! Dawać ich tutaj!

Żołnierze wykonali rozkaz bez szemrania i popychając oficerów lufami, zmusili ich do opuszczenia przedziałów. Zagonili ich na skraj jakiegoś zagajnika. Kaledin, rozglądając się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ujrzał, jak maszynista z pomocnikiem wyrzucili z budki na ziemię pułkownika Sokołowskiego. Miał roztrzaskaną głowę i po chwili skonał. Co za swołocz, takiego oficera zatłukli szuflą, pomyślał z żalem i wściekłością zarazem.

– Jaśnie wielmożne pany ustawią się w szeregu! – z kpina w głosie rozkazał przywódca. Nie dał się zwieść brakiem oficerskich naramienników. Reszta bandy ryknęła śmiechem. – Oddawać dokumenty i wszystko, co tam macie po kieszeniach – warknął, nie zsiadając z konia, który przestraszony panującym wokół harmiderem nerwowo przestępował z nogi na nogę.

Niektórzy wykonali polecenie bez szemrania, licząc, że na tym się skończy i bandziory odjadą. Kaledin i dwóch pozostałych przy życiu generałów nawet nie drgnęli. Jak umierać, to z honorem, pomyślał każdy z nich.

– Przeszukać ich! – padł kolejny rozkaz.

Kilku bolszewików lub pospolitych przestępców – Kaledin w zasadzie nie wiedział, z kim mieli do czynienia – błyskawicznie przeszukało oficerskie kieszenie. Zrabowane portfele, listy, papierośnice i zegarki niechętnie oddali w ręce swego atamana. Zniszczone zdjęcie Katarzyny, znalezione w kieszeni Igora, cisnęli na ziemię.

– Teraz nadszedł czas, aby podziękować wielmożnym za trzysta lat panowania! – oznajmił przywódca bandy i odbezpieczył rewolwer.

Strzelił pierwszy, celując wprost w stojącego naprzeciw niego Kaledina. Reszta oddziału, repetując broń, poszła w jego ślady.

Huk salwy karabinowej wystraszył wrony i kruki, siedzące na gałęziach okolicznych drzew. Z głośnym krakaniem pofrunęły w stronę widocznych w pobliżu zabudowań, aby tam poczekać na szykującą się ucztę.

\* Tłum. Maria Markowska.

## Rozdział 28

Pod koniec lipca 1917 roku już nikt nie miał nadziei na zwycięstwo ofensywy Kiereńskiego. Najpierw do szpitala w Sławucie zaczęli napływać nieprzerwanym strumieniem ciężko ranni. Było ich tak wielu, że doktor Finger musiał przygotować dodatkową salę, aby wszystkich pomieścić. Personel uwijał się jak w ukropie, bandażując i zaszywając rany, wyjmując z ciał kule czy amputując kończyny. Katarzyna każdemu żołnierzowi, którego przywiózł wóz sanitarny, zaglądała w oczy, aby się upewnić, czy jego zarośnięta twarz nie należy do jej Igora. Żyła nadzieją, że Kaledin wkrótce powróci i już na zawsze będą razem. Z jego listów wynikało, że walczył gdzieś w pobliżu. W sierpniu walki toczyły się już sporadycznie i szpital pomału opustoszał. Jeszcze personel nie zdążył się nacieszyć ciszą i spokojem, gdy w miasteczku pojawiły się wracające z frontu dywizje. Dowódca jednej z nich wydał rozkaz, aby szpital ewakuował się razem z nimi. Istniało duże prawdopodobieństwo, że do miasteczka wejdą Niemcy.

– Ja nie mogę jechać, Lwie Matwiejewiczu – Katarzyna tłumaczyła doktorowi. – Jak tylko wojna się skończy, Igor po mnie przyjedzie tutaj, do Sławuty. Przecież w głębi Rosji nigdy się nie odnajdziemy.

– Wyślesz mi numer poczty polowej naszej dywizji – przekonywał, pakując na wóz skromne wyposażenie szpitala. Nie chciał użyć ostatecznego argumentu, że zrewoltowani żołnierze, dezertjerzy i wszelkiej maści maruderzy są gorsi nie tylko od Niemców, ale także od czarnej ospy. Bo na nich szczepionki nikt jeszcze nie wynalazł.

– W dzisiejszych czasach dywizja jest, a za chwilę już jej nie ma – obstawała przy swojej decyzji. – Obiecałam, że będę czekać. Nie pozwolę, aby los po raz drugi nas rozdzielił.

– Wiedziałem, że z was jest uparta osóbką – Finger westchnął z zalem i gdy woźnica zaciął konie batem, wskoczył na wóz. – *Proszczaj, Jekiatierino!* – zawołał, machając na pożegnanie ręką.

Jeszcze kilka razy się obejrzał za siebie, ale ona wciąż stała nieruchomo na schodach wiodących do opustoszałego budynku, otoczonego ciemną ścianą sosen. Na dziedzińcu wałyły się porzucone uszkodzone sprzęty, a ciągnący od Horynia wiatr rozwiewał wraz z uschniętymi liśćmi niepotrzebną już nikomu szpitalną dokumentację. Przymocowane do drewnianego pomostu łodzie, które przed wojną służyły kuracjom do przejażdżek po rzece, poruszone falami stukały jedna o drugą. Podobnie jak budynek szpitalny, tak i one zostały nadgryzione niszczącym zębem czasu.

– Co teraz z wami będzie, Katarzyno Pawłowna? – Głos rotmistrza Jemilianowa wyrwał Katarzynę z zamyślenia.

– Cóż ma być? – Obrzuciła go nieprzytomnym spojrzeniem. – Życie trzeba dalej. – Wzruszyła ramionami i szczerzej owinęła się chustą narzuconą na szarą sukienkę, jakie nosiły *siestriczki*. Nagle dostała dreszczy.

– Może byście się przenieśli do pałacu? Na czas niepokoju w kupie zawsze raźniej – zaproponował, skrywając na dnie duszy cichą nadzieję, że ukochanego dziewczyny na wojnie zabiją, a on będzie pod ręką na otarcie łez. Taka dzielna i do tego ładna *barysznia* w sam raz nadaje się na żonę, pomyślał.

– Cóż ja tam będę robiła, Osipie Osipowiczu? – spytała Katarzyna markotnym tonem. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że szybkimi krokami zbliżała się zima, a końca wojny, jak nie było, tak nie ma. Mieszkać w opuszczonym budynku szpitala się nie da. Nie miała też żadnych

środków do życia. – Ja się nawet na kucharkę nie nadaję, bo nie umiem gotować – dodała z rozbijającą szczerością.

– Znajdzie się dla was jakiś kąt do zamieszkania w oficynie – zachęcał. – I nikt nie mówi o roli kucharki, uchowaj Boże! Jesteście pielęgniarką, a księżę Sanguszko jest już stary i schorowany. Przy tym jest dość stanowczy, aby nie powiedzieć, że despotyczny. Grymasi i nie chce brać leków. Domownicy się go boją, bo nie przebiera w słowach. Może przed *siestriczką* poczuje respekt?

Katarzyna zdecydowanie odmówiła. Zanim przyjdzie zima, wojna na pewno się skończy, pomyślała z nadzieją. Jednak jakiś czas później do Sławuty wtargnął 264. Pułk Piechoty zwany Zapasowym. Po drodze pozabijali oficerów, którzy usiłowali utrzymać dyscyplinę, usuwając w ten sposób ostatecznie hamulce, które mogłyby ich powstrzymać przed mordowaniem i grabieniem. Rozlokowali się w okolicznych domach i czekali na okazję. Katarzyna, ujrawszy kilkuset zrewoltowanych, niemających żadnych barier moralnych żołnierzy, naprędce zebrała swój niewielki dobytek i przyciskając do piersi tobołek, zapukała do bram pałacu.

Kiedy mając na sobie fartuch pielęgniarki, z tacą, na której stały fiołki z lekarstwami, po raz pierwszy zapukała do gabinetu księcia Sanguszki, kolana jej drżały. Jak się zdenerwuje, gotów mnie wyrzucić ze służby i co ja wtedy, biedna, pocznę? – martwiła się na zapas, stojąc pod drzwiami. O ciętym języku księcia krążyły już prawdziwe legendy. Dopiero po chwili usłyszała nieco skrzekliwy, lecz donośny głos, zachęcający do wejścia.

Stary księżę siedział za solidnym dębowym biurkiem i przeglądał jakieś dokumenty. Niektóre kończyły żywot w płomieniach palącego się w kominku ognia. Wpadające przez okno blade promienie jesiennego słońca odbijały się od księżęcej łysiny, okolonej wianuszkami białych jak mleko włosów. Podniósł na Katarzynę wciąż żywe mimo osiemdziesięciu pięciu lat ciemne oczy, skryte pod krzaczastymi brwiami, i gestem poprosił, aby podeszła bliżej.

– Ty jesteś tą nową pielęgniarką? – spytał, odkładając papierzyska na bok.

– Raczej siostrą miłosierdzia Czerwonego Krzyża, mości księżę – odparła drżącym ze strachu głosem. Usiłowała zgrabnie dygnąć, jak ją matka uczyła jeszcze przed wojną, ale całkiem wypadło jej z pamięci, gdzie się stawiała lewą, a gdzie prawą stopę. – Ale mam ukończony kurs i przez kilka miesięcy pracowałam w szpitalu wojskowym w Łodzi. Przez rok jeździłam z sanitarką po linii frontu. Potrafię ranę zszyć, a zastrzyki wykonuję bezboleśnie – pochwaliła się na wypadek, gdyby słynącemu ze skąpstwa księciu przyszło do głowy, że nie będzie karmił darmożjada. Postawiła tacę na biurku i odmierzyła do szklanki odpowiednią ilość kropelek.

– A co cię, gołąbeczko, aż tutaj przygnało? Łódź przecież leży szmat drogi stąd.

– Wojna, mości księżę, ta straszna wojna – odparła krótko Katarzyna, nie czując się na siłach, aby opowiedzieć całą swoją tragiczną historię. Wolałaby już jej nie pamiętać.

– Skąd pochodzisz? – zainteresował się starzec i bez szemrania wychylił lekarstwo. Nawet się nie skrzywił, choć było gorzkie jak piołun.

– Z Miechowa. – Katarzyna z drugiej buteleczki odmierzyła kilkanaście kropelek i po raz kolejny podała księciu do wypicia. – To miasteczko w Priwislińskim Kraje, w guberni kieleckiej. Kiedyś, przed rozbiorami, była tam Polska.

Nagle zdała sobie sprawę, że już nie było ani Kraju Nadwiślańskiego, ani tej guberni. Ziemie owe znalazły się pod okupacją austriacką, a ona nie miała żadnych wieści od rodziny. Nawet nie wiedziała, czy wszyscy żyją. Choć od jej wyjazdu z domu minęły zaledwie trzy lata, miała wrażenie, jakby od tego czasu upłynęły całe wieki. A Polski jak nie było, tak nie ma, pomyślała z żalem.

– Wiem – syknął księżę, jakby mu ktoś na odcisk nadepnął, i łypnął na Katarzynę złowrogo. – Mnie nie musisz uczyć historii Polski. Mój stryj, Roman Stanisław Sanguszko,

walczył w powstaniu. Po jego klęsce, w *cepi i pieszkom*, wraz z innymi katorżnikami szedł pieszo zakuty w łańcuchy na zesłanie aż do Tobolska. Wrócił dopiero po latach.

– Mój dziadek, Andrzej Jaxa-Rawecki, też walczył w powstaniu – szybko podchwyciła nowy temat, przestraszona, że nieopatrznie rozsierdziła swego chlebobdawcę. – Cudem uszedł z życiem – pochwaliła się historią rodzinną i herbem, żeby książę sobie nie myślał, że ona sroce spod ogona wypadła.

– Pod którym generałem? – stary książę wyraźnie się ożywił, a fakt, że miał przed sobą pannę szlachecko urodzoną, nastawił go do Katarzyny życzliwiej.

– Pod pułkownikiem Rochebrune, w oddziale żuawów śmierci. Bitwa o Miechów była jedną z największych w powstaniu – opowiadała z dumą, przywołując z dna pamięci dziadkowe słowa.

– Więc ty masz na myśli ten nieodpowiedzialny zryw czerwonych, który przyniósł więcej szkody niż pożytku. – Sanguszko machnął lekceważąco ręką o szczupłych arystokratycznych palcach. Na jednym z nich tkwił sygnet z rodowym herbem, litewską Pogonią. Nawet nie zwrócił uwagi, że bez szemrania wypił podsuniętą mu do wypicia kolejną porcję lekarstw. – Mój stryj walczył w powstaniu listopadowym – oświadczył z dumą, jakby tamto powstanie nie zakończyło się klęską i represjami. – W styczniu próbowałem tej dziecinadzie zapobiec, tłumaczyłem, ale wszystko groch o ścianę! Stryj, choć staruszek, też się zaangażował i przywiózł z Wiednia do Galicji pierwszą skrzynię broni. Ja nie walczyłem – dorzucił dobitnie, aby nie było żadnych nieporozumień. – Jeździłem z pismami do generała Langiewicza i do księcia Czartoryskiego. Starałem się o wsparcie innych mocarstw. Ukrywałem powstańców w pałacu. Ale skończyło się, jak skończyło... – Posmutniał nagle. – Ile ja się musiałem napłacić tym chciwym rosyjskim *czynownikom*, aby nie doszło do ponownej konfiskaty majątku! – Przypomniawszy sobie nagle pazerność urzędników i z bólem serca zaczął wyliczać, który ile wziął.

Tyradę księcia niespodziewanie przerwał odgłos strzałów karabinowych, dobiegający od strony miasteczka. Obydwoje rzucili się do okien. Nic jednak szczególnego na pałacowym dziedzińcu się nie działo, jeśli nie liczyć jakiegoś wyrostka, który przebiegł przez podwórko i dopadł drzwi wiodących do biur zarządu sławuckiego majątku, mieszczących się w oficynie. Jeszcze książę Sanguszko nie zdążył skomentować jego dziwnego zachowania, gdy na ulicy Annapolskiej, wiodącej do bramy pałacu, ukazała się niewielka grupka jeźdźców na koniach. W dzikim pędzie wpadli na dziedziniec, zostawiając za sobą tumany przydrożnego kurzu. Była to hrabianka Ewa, hrabia Leon, masztalerz i chłopiec stajenny. Temu ostatniemu z rany na nodze ciekła krew. Po chwili cała grupa zniknęła w budynkach stajni.

– A to co się wyprawia? – spytał Sanguszko, jakby się spodziewał, że Katarzyna zna odpowiedź.

– Wygląda, jakby ktoś ich gonił – odparła, czując, jak niepokój zakradł się jej do serca. Zbyt wiele razy w ciągu ostatnich lat widziała taką galopadę, aby ją lekceważyć. – Czy mam pójść się rozpytać?

Zanim książę się zdecydował, na dziedzińcu zaroilo się od ludzi. Kilku oficjalistów w pośpiechu opuściło swoje biuro i biegiem puścili się drogą w stronę mostu przerzuconego przez Utkę. Natomiast kozacy rotmistrza Jemilianowa starannie ryglowali wszystkie bramy i furtki. On sam pojawił się po chwili i gromkim głosem wydawał dyspozycje. Z karabinami w rękach kilku wbiegło głównym wejściem do pałacu.

– No idź, gołębeczko, idź i się wypytaj, bo nie wygląda mi to na zabawę. – Sanguszko ciężkim krokiem wrócił za biurko, aby dokończyć porządkowania dokumentów.

Dopiero wówczas Katarzyna zauważyła wiszący na ścianie portret cara Aleksandra II, tego, który krwawo stłumił powstanie styczniowe. Nie był to jednak odpowiedni moment, aby

wypytywać księcia, z jakiej przyczyny w ten sposób uhonorował tego władcę.

Zanim pokonała długi korytarz i schodami zbiegła na niższą kondygnację, ponownie usłyszała salwy karabinowe i brzęk tłuczonego szkła. Gdy dotarła do hallu, ujrzała wybitą szybę w oknie i hrabiego Leona broczącego krwią z rany postrzałowej powyżej łopatki oraz kozaków Jemilianowa, którzy w pokojach zajmowali pozycje dogodne do odparcia ataku. Nie miała czasu wypytywać się, kto i dlaczego przypuścił szturm na siedzibę Sanguszków. Kazała zanieść hrabiego do jego sypialni, a sama pobiegła po opatrunki.

– Kula przeszła na wylot – oświadczyła z zadowoleniem, oglądając fachowym okiem ranę. Zdobyte pod okiem doktora Fingera doświadczenie było teraz jak znalazł. – Czy pan wie, panie hrabio, kto do was strzelał? – spytała, dezynfekując ranę.

– Żołnierze z tego pułku, który stacjonuje w miasteczku – odparł, zagryzając wargi, aby nie krzyknąć z bólu. W żadnym razie nie mógł przy tak ładnej dziewczynie okazać się mięczakiem.

– Tak bez powodu?

– W zasadzie bez powodu – odpowiedział, zbierając myśli. On niczego złego w swoim postępowaniu nie dostrzegł. – Pojechaliśmy sobie z Ewunią na przejażdżkę. Patrzymy, a tu kilku żołdaków beczelnie ścina drzewa w naszym lesie, to powiedziałem im, co sędzę na temat takiego rozboju, i jednego zdziesiąłem przez pysk szpicrutą. I wówczas te chamy zbuntowane rzuciły się na nas z siekierami. Szczęściem zdołaliśmy zawrócić konie i uciec.

– No tak, rzeczywiście, bez powodu – z odrobiną sarkazmu powiedziała Katarzyna. Co za idiota z tego hrabiego, aby igrać z ogniem, siedząc na beczce prochu, pomyślała. Jego głupotę wszyscy teraz możemy przypłacić życiem. – A kto w takim razie strzelał? – dopytywała się dalej, kończąc zakładanie opatrunku.

Nagle dała się słyszeć zażarta wymiana ognia pomiędzy żołnierzami chcącymi dostać się na teren pałacu a kozakami broniącymi dostępu. Całkiem jak podczas oblężenia Zbaraża, pomyślał hrabia z odrobiną niepokoju. Zupełnie wyszło mu z pamięci, jak tamto oblężenie się skończyło. Miał nadzieję, że obrona się powiodła, choć pałac w Sławucie nie umywał się do twierdzy w Zbarażu.

– Kiedy nas gonili przez miasteczko, jeden z ich towarzyszy wyskoczył z domu z karabinem w ręku i zaczął do nas strzelać – opowiadał ze stoickim spokojem, jakby nic wielkiego się nie stało. – Widocznie broń miał schowaną. A reszta żołdactwa, zanim tutaj przysła, musiała się włamać do magazynu.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi, przez które po chwili wszedł rotmistrz Jemilianow.

– Panie hrabio... – Skłonił się lekko. – Wszyscy domownicy powinni opuścić pałac, udając się tunelem do kościoła, poza mury pałacu. Nie mogę zagwarantować, że moi kozacy dadzą radę przeciwnikowi. Ich jest sześcuset, a nas tylko pięćdziesięciu.

– Pójdę po księcia i pomogę mu – oświadczyła Katarzyna i wrzuciwszy opatrunki do torby sanitarnej, pobiegła z powrotem do gabinetu Sanguszki.

– Mowy nie ma – oświadczył kategorycznie, gdy mu przekazała prośbę rotmistrza, i dumnie podniósł głowę. – Żaden Sanguszko nie uciekał tunelami jak szczur. I to przed kim? Przed Moskalami! – w jego głosie dało się słyszeć pogardę. – Stryj Roman w grobie by się przewrócił.

– Mam nadzieję, że nie sforsują tego ogrodzenia. Można się nadziać na nie jak na rozen – szepnęła Katarzyna, spoglądając przez okno na wysokie na trzy metry ogrodzenie, na które składał się ponadmetrowy mur, najeżony grubymi, ostro zakończonymi żelaznymi prętami.

Rozjuszeni żołnierze, nie mogąc sforsować głównej bramy, rozbiegli się wzdłuż liczącego

sobie trzy kilometry ogrodzenia, szukając słabego punktu. W końcu coś musieli znaleźć, bo nim słońce zaczęło się chylić się ku zachodowi, liczna ich grupa pojawiła się od frontu i usiłowała dostać się do głównych drzwi. Jednak z upływem czasu odgłosy walki pomału zamierały. Wybili kozaków Jemilianowa, pomyślała Katarzyna z przerażeniem i ponowiła prośby, aby książe razem z nią opuścił pałac.

– Mnie, starcowi, nic nie zrobią – oznajmił z pełnym przekonaniem. – Zresztą jeszcze nie nadszedł mój czas. Ale ty, gołąbeczko, uciekaj, bo ciebie ukrzywdzą.

Wypowiedziawszy te słowa, książe ruszył w stronę drzwi wiodących na balkon, mając zamiar rozmówić się z buntownikami. Jak rzucę trochę złota, to im złość przejdzie, pomyślał.

Katarzyna, przerażona zamiarami księcia, wybiegła z pokoju i ruszyła na poszukiwania Jemilianowa lub chociaż jednego z jego dwóch poruczników. Biegąc korytarzem, zaglądała do każdego z pokoi. W niektórych znalazła zwłoki kozaków i nielicznej służby, która także chwyciła za broń. W jednym z pokoi natknęła się na leżącego bez życia rotmistrza. Zanim dostał śmiertelny strzał w głowę, najpierw musiał oberwać w ramię i pierś. Wycierając rękawem łzy z policzków, pobiegła do apartamentów rodziny starego księcia. Nigdzie nie było żywego ducha. Uciekli, zostawiając staruszkę na pastwę tej tłuszczy, pomyślała ze złością. Ona by nigdy nie opuściła swego dziadka. Gdy znalazła się na schodach wiodących do holu, usłyszała tupot butów i dzikie wrzaski żołnierzy, którzy już zdołali wdrzeć się do wnętrza pałacu. Rozbiegli się po pokojach, rabując, co tylko dało się wynieść. Resztę niszczyli. Strzelali do portretów i kolbami rozbijali zabytkowe wazy. Stronice cennych ksiąg darli na bibułkę do skręcania papierosów.

Katarzyna puściła się biegiem po schodach, z powrotem do gabinetu księcia. Zdażył już otworzyć drzwi i narzuciwszy na siebie futro, wyszedł na balkon. Ujrzawszy go w aureoli zachodzącego słońca, żadna krwi tłuszczą zawyla dziko. Książe coś próbował im powiedzieć, coś wytłumaczyć. Jego słowa zagłuszał wrzask: „*Ubit kniazia! Ubit jego! Smiert! Smiert! Smiert!*”. Nagle kilku wspięło się po balustradzie i ściągnęli księcia na dół. Otoczyli go tłumnie, popychając w stronę parku. Boże, chcą go utopić w stawie, pomyślała Katarzyna i zakryła usta dłonią, aby nie krzyżeć. Nagle ktoś z tłumu wrzasnął: „*Zdies s nim pokończym!*”. W ruch poszły bagnety i kolby karabinów. Gdy skończyli, chwycili martwego już starca za nogi i wlokąc po ziemi niczym upolowaną zwierzynę, porzucili pod murem. Drogę znażyła smuga kszążęcej krwi. Chryste Panie, już po mnie, pomyślała Katarzyna z przerażeniem i rzuciła się do drzwi.

Biegąc korytarzem, usiłowała sobie przypomnieć słowa Jemilianowa, gdzie znajdowało się wejście do tunelu wiodącego do kościoła. Z dolnych kondygnacji wciąż dochodziły odgłosy rabunku i nawoływania: „*Bieritie! Eto wsio nasze!*”. Nagle usłyszała tupot nóg po schodach. Idą na piętro, pomyślała i wskoczyła do pierwszego z brzegu pokoju. Była to sypialnia hrabianki Ewy. Okna wychodziły na tyły pałacu. Mur w tym miejscu gęsto porastał milin, pięknie kwitnące egzotyczne pnącze. Nie namyślając się wiele, Katarzyna przełożyła nogi przez parapet i chwyciwszy się grubej na kształt konarów drzewa gałęzi, zwinnie opuściła się na ziemię.

Rozejrzała się wokoło, ale pogrążony w szarościach gasnącego dnia park całkiem już opustoszał. Wszyscy zdobywcy zajęci byli rabunkiem, nie patrząc, że niszczą cenne zbiory biblioteczne i antyczne meble. Brali w łapy to, co mogli później żydowskim kupcom sprzedać za grosze. Kiedy już pałac ograbili ze szczętem, oblali naftą ściany i podpalili. Katarzyna zdażyła niezauważona przebiec przez park i znalazłszy odgięty jeden z żelaznych prętów, precisnęła się na drugą stronę. Skryta w gęstych zaroślach, pogrążających się w ciemnościach nocy, patrzyła z przerażeniem, jak płonął niczym żywa pochodnia wspaniały pałac, a wraz z nim nędzne resztki bezcennego majątku, gromadzonego od wieków przez starożytny ród, wywodzący się jeszcze od wielkiego księcia litewskiego Giedymina. Do jej uszu doleciał tętent i rozpaczliwe rżenie



arabskich rumaków, które przerażone szalejącym ogniem pourywały się ze stajni i z rozdętymi chrapami, z paniką w pięknych czarnych oczach rzuciły się do ucieczki uliczkami miasta. Rozpasane żoldactwo, nie mając już innego celu, strzelało do koni.

**Część czwarta**  
**Na zgliszczach imperium**

## Rozdział 29

Najpierw do uszu Kaledina dotarły jakieś urywane zdania. Ktoś rozmawiał tuż obok niego. Później przez wciąż zamknięte powieki dotarło światło, jakby ktoś zaświecił lampę albo promień słońca padł mu na twarz. Po chwili poczuł ból, który zdawał się rozsadzać mu czaszkę. Gdzie ja jestem? – pomyślał. I w tym momencie zdał sobie sprawę, że coś było nie tak. Jeszcze nie wiedział co, ale coś było nie tak. Poruszył palcami u rąk i poczuł pod nimi coś miłego w dotyku. Ręce mam, pomyślał z zadowoleniem. Poruszył nogami. Nogi także mam, pomyślał i otworzył oczy. Zamknął je natychmiast. Oczy też mam, skoro razi mnie światło, stwierdził. Ale nadal było coś nie tak. Ponownie, tym razem powoli, uniósł powieki. Tuż nad sobą ujrzał wąsatą twarz mężczyzny ubranego w biały fartuch. Chyba jestem w szpitalu, domyślił się. I już po chwili wiedział, co było nie tak. Nie wiedział, kim jest i z jakiej przyczyny trafił do szpitala. Momentalnie oblał się zimnym potem. I wówczas sobie przypomniał, że gdzieś już słyszał o takich przypadkach, tylko nie pamiętał, kto i kiedy to mówił. Cała reszta też tkwiła gdzieś w grząskim bagnie niepamięci.

– Słyszysz mnie pan? – spytał mężczyzna z wąsami.

– Tak – odparł i kiwnął głową. – Gdzie ja jestem? – spytał niepewnym głosem. Mówienie wyraźnie sprawiało mu trudność, jakby znał kilka języków i nie wiedział, którego należy używać.

– W szpitalu – wyjaśnił mężczyzna i się uśmiechnął. – Jestem doktor Pietrow.

W szpitalu, w szpitalu, Kaledin powtórzył w myślach.

– Jestem chory? – spytał po chwili i zerknął na boki.

Przy łóżku stał pielęgniarz. Sala wypełniona była innymi chorymi, którzy sprawiali wrażenie ofiar jakichś tragicznych wypadków. Mieli obandażowane głowy, a niektórzy nie mieli rąk lub nóg, o czym świadczył kształt ciała leżącego pod kocem. Większość z zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowie, toczącej się między lekarzem a pacjentem, który przez wiele dni leżał nieprzytomny i nikt mu nie dawał żadnych szans na przeżycie.

– Został pan ciężko ranny. Nie pamięta pan? – odparł lekarz. Już zdążył przywyknąć, że czasami na skutek odniesionych ran żołnierzy dopadała krócej lub dłużej trwająca amnezja. – Pociąg, którym pan podróżował, został zaatakowany przez oddział bandytów. Albo Miszki Japończyka, albo Griszki Kotowskiego. Oni teraz rządzą Odessą i okolicą, podszywając się pod bolszewików, jakby to nie było jedno i to samo. Rozstrzelali wszystkich. Przeżył tylko pan.

– No tak. Coś sobie przypominam – Kaledin skłamał, na wszelki wypadek. Nie mógł sobie przypomnieć, skąd i dokąd jechał pociągiem ani kim byli bolszewicy. Wciąż bolała go głowa. Sięgnął ręką i namacał bandaż. Nieźle musiałem oberwać, pomyślał.

– Jakim cudem przeżyłem? – spytał i utkwiał w wąsatej twarzy lekarza niespokojne spojrzenie.

– Odgłos strzelaniny dotarł do pobliskiego dworu w Usiatowie – zaczął lekarz i usiadł na brzegu łóżka. Wsunął pacjentowi termometr do ust i opowiadał dalej: – Pan Czerkiesow wskoczył do bryczki i pojechał zobaczyć, co się wyprawia, bo do Odessy przecież kawałek drogi, a front daleko. Ujrzał odjeżdżający w asyście bolszewików pociąg i leżące pokotem zwłoki oficerów. Zwołał okolicznych chłopów, aby wykopali mogiłę i pochowali nieboraków. Kiedy wkładali ciała do dołu, wówczas jeden z nich zauważył, że pan jeszcze żyje. Natychmiast pan Czerkiesow załadował pana do bryczki i przywiózł do nas, do szpitala wojskowego w Birzule – beznamiętnym tonem wyjaśnił doktor. Wyjął Kaledinowi z ust termometr i spojrzął. Gorączki, *śława Bogu*, nie ma, pomyślał. – Opatrzność widać nad panem czuwała, bo kula poszła bokiem,

urywając panu jedynie ucho i kawałek skóry na skroni. Stracił pan przytomność, a bandyci, widząc kałużę krwi, wzięli pana za trupa – zakończył, wstając z łóżka.

– Poza tym wszystko z moją głową w porządku? – spytał Kaledin, nie chcąc wprost powiedzieć, że stracił pamięć.

– A co ma być? – Lekarz spojrzał nieco zdziwiony. – Kość nie została naruszona, a to najważniejsze. Jesteście nie do zabicia. – Uśmiechnął się szeroko. – Sądząc z ilości posiadanych przez was blizn, oberwaliście w swoim życiu niejedną raz. Bitny z was officer.

– Skąd wiecie, że jestem oficerem? – spytał Kaledin, uciekając spojrzeniem w bok. Nie wiedział, czy był to powód do radości.

– No, jak to skąd? Z rąk zrewoltowanej tłuszczy giną tylko oficerowie. – Doktor spojrzał na Kaledina podejrzliwie. Chyba jednak szok był większy, niż sądziłem, pomyślał i ciągnął dalej: – Miał pan na sobie mundur, podobnie jak tamci. W pralni został wyczyszczony, a dziury zacerowano. Byłby jak nowy, gdyby bandyci nie poodrywali wam pagonów.

– A dokumenty? – spytał Kaledin, mając nadzieję, że to wyjaśniłoby przynajmniej, jak się nazywał.

– Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów ani pieniędzy. Przy tamtych również – uprzedził pytanie swego pacjenta. – Musieli was obrabować. Proszę teraz spać, dużo spać – oznajmił na odchodnym.

Skoro gdzieś jest front, rozmyślał Igor, zamknąwszy oczy, a ludzie chodzą w mundurach, to znaczy, że wybuchła wojna i ja biorę w niej udział. Usiłował sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach został ranny, skoro nosił blizny, ale nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Jedynie jakieś wyrwane fragmenty, jakby oglądał cudze zdjęcia. Po chwili ujrzał przed sobą ciągnące się aż po horyzont pofałdowane pole, usiane tysiącem martwych żołnierzy. Niektórzy nie mieli rąk, inni nóg lub byli bez głowy, z wnętrznościami na wierzchu. Na końcu pola znajdowały się najeżone zasiekami z drutu kolczastego okopy. Między nimi kryły się gniazda karabinów maszynowych, a z tyłu sterczały skierowane wprost w niego lufy armat. Nagle z tych okopów, ściskając w rękach karabiny, z krzykiem na ustach wyskoczyły nieprzeliczone masy żołnierzy, biegnąc wprost na niego. Kaledin rzucił się do ucieczki. Jednak jego nogi co krok zapadały się po kolana w grząskim błocie. Z trudem pokonywał metr za metrem. I wówczas dogonił go huk salw armatnich. Fontanny ziemi wylatywały w górę, to z lewa, to z prawa, aby po chwili gradem spaść mu na głowę. Gdy tylko zdołał zrobić krok do przodu, wpadał w głęboki lej po pocisku. Na czworakach wygrzebywał się na zewnątrz. Za chwilę gdzieś całkiem blisko zaszczekał kulomiot i kule ze świstem go dopadły. Jak osy boleśnie żądliły po całym ciele. Krew sikała jak woda z cedzaka. Potykając się co krok, usiłował uciec z pola walki. W oddali majaczyły pozycje przeciwników, także najeżone drutem kolczastym. I wówczas ziemia zadrżała pod końskimi kopytami. Z tyłu za sobą ujrzał galopujących wprost na niego dragonów. Pochyleni w siodłach, wywijali wzniesionymi w górę szablami i krzyczeli: „Urrrra!”. Już po chwili jeden z nich znalazł się całkiem blisko i wzięły zamach. Kaledin z przerażeniem rozpoznał w nim siebie. Szabla ze świstem przecięła powietrze i ujrzał, jak jego własna głowa potoczyła się po polu wprost pod końskie kopyta.

Z przeraźliwym krzykiem usiadł na łóżku. Serce waliło mu mocno i cały był zlany zimnym potem. Już wiedział, że to nie był sen, tylko rzeczywistość, w której się obracał przez ostatnie kilka lat. Był dragonem, ale nie mógł sobie przypomnieć, w którym pułku służył, jak się nazywał ani skąd pochodził.

– Czy coś się stało? – spytał leżący obok mężczyzna z zabandażowaną głową i ręką.

– Miałem straszny sen – odparł Kaledin i powoli opadł na poduszki. Rękawem obtarł pot z twarzy. – Śniło mi się, że strzelali do mnie z armat i kulomiotów. Jakby tego było mało,

szarżowali na mnie dragoni. Jeden z nich szaszką odciął mi głowę.

– Czyli nic szczególnego – stwierdził mężczyzna i uśmiechnął się ze zrozumieniem. – To na tej wojnie, dla nas, żołnierzy, chleb powszedni. Wy z jakiej formacji?

– Z kawalerii – odparł bez namysłu, mając dziwne przeświadczenie, że tak właśnie było.

– To tak jak ja – ucieszył się mężczyzna. – Pozwólcie, że się przedstawię. – Usiłował się podnieść, ale był zbyt słaby, więc dał za wygraną. – Porucznik ułanów, Witold Grabowski. Koledzy mówią na mnie Graba.

Kaledin poczuł się nieswojo. Diabli nadali te wszystkie uprzejmości, pomyślał wściekły. Nadal nie pamiętał ani swego imienia, ani nazwiska.

– Iwan Kalita – oświadczył po chwili. Miał wrażenie, że chyba właśnie tak się nazywał albo bardzo podobnie. – Też porucznik – dorzucił po chwili. Skoro doktor mówi, że to byli oficerowie, to pewno wie, co mówi, pomyślał, a na generała jestem w końcu za młody.

Niczym liście na wietrze jakieś fragmenty wspomnień wirowały mu w pamięci – niemieckie samoloty zrzucające bomby na rosyjskie stanowiska, wsie płonące niczym pochodnie, brodata twarz starego generała, któremu strzelił w skroń, duszący smród gazu, puszczonego przez Niemców, oraz matka, piękna kobieta o kruczoczarnych włosach, z książką w ręce, ojciec o marsowej twarzy, dwóch małych chłopców podobnych do siebie jak dwie krople wody.

– Jesteś żonaty? – wypytywał Graba, ciekawy swego nowego kolegi, którego cud przywrócił do życia. – Bo ja tak. Mam nawet córeczkę, choć jeszcze jej nie widziałem. Urodziła się kilka miesięcy po wybuchu wojny.

– Nie mam żony ani dzieci – skwitował krótko Kaledin, mając już dość tych pytań.

Z dna jego splątanej pamięci wychylił się obraz dziewczyny o brązowych oczach ocienionych długimi rzęsami i jasnych jak pszenica włosach, pozwijanych w drobne pierścionki loków. Do tego dwa słodkie dołeczki w policzkach, gdy się uśmiechała. Zerknął na swoje dłonie, ale obrączki ślubnej na palcu nie ujrzał. Może to siostra, pomyślał, albo sen.

– Spójrz. To moja Amelia. – Graba podał zdjęcie, a na jego pokrytej rudym zarostem twarzy pojawił się wyraz niebywałego szczęścia.

Na fotografii widniała drobnej budowy kobieta, ubrana w ciemną suknię ozdobioną skromnym białym kołnierzykiem i długim łańcuszkiem wiszącym na piersi. Na głowie miała zgrabny toczek z przyczepionym z boku ptasim piórkiem. W jednej ręce trzymała niewielką torebkę, a drugą wspierała na poręczy ogrodowej ławki. Z tyłu za nią widniał namalowany na ścianie parkowy pejzaż. W dolnym rogu widniał napis:

„Fotografia artystyczna. Warszawa. Plac Trzech Krzyży 4”.

Kaledin z miejsca nabrał przekonania, że znał to miasto, i to nawet bardzo dobrze. Przy placu Trzech Krzyży stał kościół w kształcie rotundy, zwieńczony kopułą, wybudowany na cześć cara Aleksandra, a ja mieszkałem przy ulicy Marszałkowskiej, przypomniał sobie w jednej chwili. Jak w kalejdoskopie mignęły mu przed oczyma pyszne kamienice stojące z obydwu stron szerokich ulic i renesansowe kamieniczki w Rynku. Później obraz się zamazał i zniknął.

Szpitalny czas z pozoru płynął leniwie, odmierzany rytmem docierających z Piotrogradu wiadomości na temat wydarzeń na froncie i w stolicy. Z szelestem uschłych liści spadających z kasztanowców do szpitala mieszczącego się w barakach na peryferiach Birzuły dotarła mocno spóźniona informacja, że Niemcy zajęli Rygę i zagrozili Piotrogradowi. Jak donosiły gazety, dla obrony przed Niemcami Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich powołała do życia Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Jednak z treści innej gazety, „Nowoj Żizni”, wynikało, że bolszewicy planowali zbrojne przejęcie władzy. Leżący na sali ranni żołnierze z miejsca podzielili się na tych, co byli za, i na tych, co byli przeciw. Wówczas wyszło na jaw, że i wśród rannych znaleźli się bolszewiczcy agitatorzy. Momentami sala chorych przypominała

wiec.

– Kornilow razem z Denikinem dopuścili się zdrady i celowo oddali Rygę! – wykrzykiwał jeden, lżej ranny. – Pod sąd zdrajców!

– Gówno prawda! – zaprzeczył ktoś z końca sali. – *Gienierał* to syn kozackich chłopów, nasz człowiek! Wielki bohater!

– Taki on bohater jak i ta cała reszta! – wtrącił się kolejny. – Odważny, jak dezertarów każe rozstrzeliwać, ale jak przed Niemcami bronić, to nas na front wysyła, a sam dupę w Stawce chowa!

Jedynie z uwagi na ciężkie obrażenia, które przykuły ich do łóżek, nie dochodziło do bijatyki. Gdy zaczęli wracać do zdrowia, z antyrządową agitacją bolszewicy przenieśli się przed szpitalny barak i grzejąc się w promieniach jesiennego słońca Besarabii, wygłaszali płomienne przemówienia, nagradzane gromkimi okrzykami, które momentami przeradzały się w złowrogie pogrożki wobec przeciwników.

Kaledin nadal nie odzyskał pamięci. Pytany, podawał się z Iwana Kalitę urodzonego w Warszawie. Nocne koszmary przynosiły wspomnienia walk, które stoczył, ból otrzymanych ran i tęsknotę za dziewczyną o włosach w kolorze pszenicy. Jej imienia też nie mógł sobie przypomnieć, podobnie jak miejsca, w którym ją poznał. Może to tylko senna zjawa, a ja się upieram, że to dziewczyna z krwi i kości, myślał, budząc się w nocy. Razem z Grabowskim z niecierpliwością oczekiwali, kiedy doktor Pietrow uzna ich za zdolnych do dalszej służby.

Ten dzień nadszedł wraz z rozesłanym do wszystkich brzemieniem w skutkach telegramem, który miał zmienić losy świata, a zaczynał się od trzech prostych słów:

„*Wsiem! Wsiem! Wsiem!*”.

Donoszono wszystkim, że władzę w Rosji objął nowy rząd, Rada Komisarzy Ludowych, z Leninem na czele, który wydał trzy dekry: *O pokoju*, *O władzy* i *O ziemi*. W ślad za nim władzę w Rosji zaczęły przejmować komitety wojskowo-rewolucyjne. Jakby tego było mało, już kilka dni później Ukraińska Centralna Rada wydała uniwersał zapowiadający niezależność Ukrainy od Rosji, a na czele tworzącej się armii ukraińskiej stanął Semen Petlura.

– No i co ty na to, Waniusza? – spytał Graba, wkładając do kieszeni mocno sfatygowaną gazetę. Zdjęte z głowy bandażę ukazały światu miedzianą czuprynę porucznika, w latach szczenięcych będącą przyczyną kpin kolegów z gimnazjum, wołających na niego „Marchewa”. – Czy bolszewicy zawrą z Niemcami rozejm, nie oglądając się na swych sojuszników, i nastanie pokój?

Obydwaj w mundurach, choć bez broni, zmierzali główną ulicą miasta w stronę sztabu 12. Dywizji Jazdy rozlokowanej w tutejszych koszarach. Na błękitnym niebie królowało słońce, rozleniwiając swymi ciepłymi promieniami bezpańskie psy i koty, wylegające się pod murami niskich domów. Birzuła, choć niewielka, tętniła życiem. Tłumy ludzi przewalały się po ulicach pełnych dziur i śmieci rozwiewanych przez wiatr. Zewsząd dobiegał wielojęzyczny gwar. Żydzi, pootwierawszy sklepiki i ustawivszy stragany, starali się przekrzyczeć Ormian i Turków, nawołujących klientów do swoich sklepów i straganów. Pomiedzy nimi uwijały się bosc i obszarpane dzieci, usilujace zwędzic cokolwiek do jedzenia. Czasami się udawalo i pokrzywdzony właściciel z głośnym krzykiem usilował dopaść winowajcę. Pozostawiony sam sobie stragan natychmiast stawał się łupem kolejnego złodziejaszka. Z wnętrza restauracji i kafejek dobiegał gwar rozmów i głośna muzyka grana na przeróżnych fujarkach, bandurach czy tamburach. Od czasu do czasu rozlegał się stukot kopyt osłów, ciągnących wóz wypełniony towarem, albo beczenie kóz pędzonych stadem na podmiejskie pastwiskach. Z głośnym „mee, mee, mee, mee” uciekały przed dezertarami włóczącymi się po ulicach. Były ich setki i każdego dnia przybywali następni. Liczyli na łatwy, zdobyczny chleb. Wielu z nich solidaryzowało się

z nową władzą, czego wyrazem miały być czerwone wstążki przypięte do mundurów. Część z nich zmierzała w stronę pobliskiej Odessy, która już przed wojną zyskała sławę „ziemi obiecanej”, gdzie każdy mógł się jakoś urządzać.

– Skąd ja mogę wiedzieć, co zrobią bolszewicy? – Kaledin wzruszył ramionami. Zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. – Jak patrzę na to, co się wyrabia, to mam wrażenie, że będzie jeszcze gorzej, niż było. Przecież teraz oni tutaj rządzą. – Ruchem głowy wskazał na zachowujących się hałaśliwie żołnierzy, którzy rozsiedli się tuż przy murze niewysokiego stacyjnego budynku ozdobionego kolumnowym portykiem. Czekali na pociąg do Odessy. – Nawet nie wiem, co będzie ze mną...

– Jak to co? – Graba obrzucił swego przyjaciela uważnym spojrzeniem. – Pewno dostaniesz awans i staniesz na czele jakiegoś pułku. Oficerów im brakuje.

– Im? – zdziwił się Kaledin. – Nie wracasz do armii?

– Wracam, ale nie do tej – odparł Grabowski z tajemniczą miną.

– Masz zamiar przejść na stronę Niemiec? – spytał Kaledin, zaskoczony deklaracją kolegi. Miał nadzieję, że razem będą dalej walczyć.

– Co to, to nie – zaperzył się Grabowski, urażony słowami Kaledina. – W Rosji powstaje polski korpus i generał Dowbor-Muśnicki werbuje żołnierzy, którzy służą w armii rosyjskiej, a są Polakami. To dla nas jedyna szansa, aby wrócić do Polski z bronią w rękę.

– Przecież Polski nie ma... – oznajmił Kaledin bez przekonania. Skoro Ukraina chce być niepodległa, choć nigdy nie była, to tym bardziej Polska, przyszło mu na myśl i spojrzał wyczekująco na Grabę, licząc na jakieś konkrety.

– Jak to nie ma? – oburzył się Grabowski. – Już jest. Jest nawet rząd. Rada Regencyjna. Powstało także polskie wojsko u boku armii niemieckiej...

– No to mówię przecież – Kaledin parsknął śmiechem – że przechodzisz na stronę niemiecką.

– Nigdzie nie przechodzę! – Ze złości Graba aż poczerwieniał na twarzy. Bardziej czuł sercem, niż pojmował umysłem, skomplikowany proces odradzania się jego ojczyzny. – Korpus Dowbor-Muśnickiego nie jest podporządkowany Niemcom...

– Tylko Rosji? – już nic nie rozumiejąc, Kaledin wpadł mu w słowo.

– Teoretycznie tak – zgodził się Graba – ale w praktyce już nie. Przecież armii rosyjskiej w zasadzie już nie ma. Sam widzisz. – Kiwnął głową w stronę maszerujących bez ładu i składu żołnierzy, zajmujących całą szerokość ulicy. Co chwilę coś kradli z licznych straganów, zaczepiali kobiety, czasami kopnęli psa, gdy podszedł za blisko. Czuli się panami, bo nikt już nimi nie dowodził i nikt nad nimi nie panował. – A jak z bronią w rękę wrócimy do kraju, to Niemców się pogoni...

Kaledin już o nic więcej nie pytał. Graba odzyskał swoją ojczyznę, a ja swoją utraciłem, pomyślał z zalem, mając głębokie przeświadczenie, że był Rosjaninem, choć jak się przekonał, doskonale mówił po polsku i francusku. Zastanawiał się, w jakich okolicznościach poznał oba języki. Z zamyślenia wyrwały go krzyki żołnierzy, którzy wdali się w bójkę z miejscową szajką złodziei.

– To gdzie powstaje to twoje wojsko? – spytał, gdy awantura przeniosła się na jedną z bocznych uliczek.

– Słyszałem, że w Bobrujsku...

– Chryste! A gdzie to jest? – Kaledin aż przystanął. Miał wrażenie, że kiedyś już z tą nazwą się zetknął.

– W guberni mińskiej... – odparł Graba nieco markotnym głosem. – Kawał drogi stąd. Ponad tysiąc wiorst na północ.

– Żywy nie dojedziesz – stwierdził z pełnym przekonaniem Kaledin i wcisnął ręce w kieszenie spodni. Dziwnie się jakoś czuł, czegoś mu w mundurze brakowało. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jako kawalerzysta u boku nosił nie tylko pistolet, ale także szablę. – Zabijają cię po drodze, tak jak mnie próbowali.

– Może w dywizji generała Mannerheima są jacyś Polacy. Nie byłbym jedyny – bąknął Graba z nadzieją. Co ma być, to będzie, pomyślał i przyspieszył kroku, aby nie zostawać w tyle za Kaledinem. Był od niego znacznie niższy i nie nadążał.

W koszarach panowało kompletne rozprężenie. Część żołnierzy już dawno zdezerterowała. W zasadzie w szeregach dywizji zostali tylko ci, którzy nie mieli dokąd się udać, a armia nadal dawała dach nad głową i kawałek chleba. W sali, na której drzwiach widniał czerwony napis „Wojskowo-Rewolucyjny Komitet”, całymi dniami odbywały się zebrania i obrady żołnierzy. Wieść o przejściu władzy przez Radę Komisarzy Ludowych większość z nich przyjęła entuzjastycznie. Znienawidzonych oficerów aresztowali i zamknęli pod kluczem. Byli też tacy, którzy się do bolszewików przyłączyli, licząc, że ujdą z życiem. Pozostali starali się szczególnie aktywnym komisarzom schodzić z drogi. Czekali na jakieś rozkazy od rządu. Lecz ten stary już nie istniał. Kiereński uciekł za granicę, a ministrowie zostali aresztowani. Nowy rząd, choć oświadczył, że przejął władzę, na dalekim południu Rosji nie panował nad sytuacją. Zebrane w jednym miejscu tysiące zrewoltowanych żołnierzy, nad którymi władzy nie miały nawet ich komitety, stanowiły dla wszystkich zagrożenie.

Mimo to żaden z dowódców poszczególnych oddziałów nie kwapił się przyjąć w swe szeregi oficera bez dokumentów. Albo niemiecki szpieg, albo bolszewik, przychodziło im do głowy. W końcu Kaledin dotarł przed oblicze generała Mannerheima. Zameldował się przepisowo i poprosił o przydział do jednostki. Informację, że nie posiada żadnych dokumentów, Mannerheim przyjął nieufnie. Kilkakrotnie przeczytał pismo doktora Pietrowa, raz po raz zerkając podejrzliwie na stojącego na baczność oficera. Nie dlatego, żeby podejrzewał, iż ten naszpikowany ołowiem, oszepecony brakiem ucha i blizną na policzku kawalerzysta był niemieckim szpiegiem, gdyż wojna w zasadzie była już przegrana, armia w rozsypce, a władzę w kraju obejmowali bolszewicy, mający zamiar zawrzeć odrębny rozejm, ale dlatego, że nikt przy zdrowych zmysłach nie pchał się teraz do armii, kiedy nie musiał. Wszyscy z niej usiłowali się wydostać. Widać jeszcze są w tym kraju patrioci, pomyślał.

– Czytaliście, poruczniku, ten telegram? – spytał po chwili, ruchem głowy wskazując gazetę leżącą na stole. – To chyba już koniec Rosji...

– Obawiam się, *gospodin gienierał*, że ma pan rację. To jest koniec Rosji, Rosji, jakiej składaliśmy przysięgę. Rząd Kiereńskiego okazał się jeszcze bardziej nieudolny od carskiego. Nie mnie jednak oceniać, kto i jakie popełnił błędy, doprowadzając Rosję do klęski. Ja jestem tylko żołnierzem. Spełniam swe obowiązki, a inne sprawy mnie nie obchodzą.

– Tak, Kalita... Tamtej Rosji już nie ma... – z nutką żalu oznajmił generał. Choć nie był Rosjaninem, w carskiej Rosji spędził najlepsze lata swego życia i dzięki niej mógł posmakować szpiegowskiego fachu w dalekich Chinach. – I nie wasza to wina, bo byliście dzielnym żołnierzem. Wasze blizny mówią same za siebie. – Wstał z za stołu i zakładając ręce za plecy, przespacerował się po pokoju. On też nie poczuwał się do winy. Z nieznanym mu przyczyn popadł u Kiereńskiego w niełaskę, co utwierdziło go w przekonaniu, że nadszedł już czas, aby Rosję opuścić. Pod rządami bolszewików tym bardziej nie miał czego szukać. – Więc niech mi pan powie: dlaczego wraca pan do armii, mogąc wziąć urlop z powodu odniesionych ran i wrócić spokojnie do domu, do żony? – spytał, aby zaspokoić ciekawość. Sam też miał zamiar nadal walczyć, tylko już u siebie, w Finlandii.

– Chcę wypełnić swój obowiązek wobec ojczyzny do samego końca. Cokolwiek miałoby



to oznaczać – oświadczył Kaledin, spuszcżając oczy. Nie mam juź przecieź nikogo poza ojczyzną i armią, pomyślał. Jestem jak taki bezdomny pies.

– Czy czasem w waszych żyłach nie płynie polska krew? – spytał niespodziewanie generał, przyglądając się bacznie swemu rozmówcy. – Ładnych parę lat służyłem w Priwislinskom Kraje i jako Fin, także przeciwny rusyfikacji w mojej ojczyźnie, byłem serdecznie przyjmowany przez Polaków. Dla nich honor i ojczyzna od życia ważniejsze. Dla nas, Finów, teź.

Kaledin juź chciał zaprzeczyć, gdy niespodziewanie przypomniał sobie słowa swojej matki, rzucone ojcu w twarz w okolicznościach, które nadal tkwiły w okowach niepamięci: „Twoja matka była Polką!”.

– Zgadza się, generale. Mówię teź po polsku – potwierdził z ochotą, ciesząc się, że kolejną kartę ze swojej przeszłości zdołał odkryć. Dlatego tak dobrze pamiętam Warszawę, pomyślał. Naprawdę tam musiałem się urodzić.

– Skoro tak... – oznajmił generał z szerokim uśmiechem na twarzy – to miałbym dla was propozycję.

## Rozdział 30

Kaledinowi w panującym rozgardiaszu z trudem udało się odszukać barak, nad którego drzwiami wisiał okazałych rozmiarów transparent informujący, że w tym właśnie miejscu żołnierze będący polskiego pochodzenia mogą wstępować w szeregi powstającej narodowej kompanii. Przed drzwiami tłoczyli się szeregowi i oficerowie, a także dość spora liczba cywilów, poczynając od młodzieńców, a na siwych starcach kończąc. Każdy z nich liczył nie tylko na przydział sortu mundurowego w miejsce dotychczasowych łachmanów, ale także na dach nad głową i miskę zupy, a nade wszystko na transport z tego zapadłego na końcu świata, objętego bolszewicką rewolucją zakątka do Polski, która ponoć już się odrodziła. Wielu z nich stanowili też ludzie znudzeni wojną, marzący o powrocie do dawnego życia lub niewiedzący, co ze sobą począć. Kaledin wmieszał się w tłum, choć nie był w pełni przekonany, czy dobrze zrobił, przyjmując propozycję generała. W końcu tak naprawdę to nie wiem, kim jestem, rozmyślał, przysłuchując się toczącym się wokół, na ogół w języku rosyjskim, głośnym rozmowom.

– A ty co tutaj robisz? – nagle usłyszał za swoimi plecami znajomy sobie głos.

Odwrócił się natychmiast i ujrzał uśmiechniętą twarz porucznika Grabowskiego. Cały promieniał radością, jakby odziedziczył duży spadek, a nie został przyjęty do wojska, które miało w planach walki z Niemcami. W promieniach słońca jego rude włosy lśniły miedzią.

– To co ty – odparł Kaledin i wbił w swego nowego przyjaciela badawcze spojrzenie. Nadal nie miał pewności, czy mógł mu całkowicie zaufać, ale chyba innego wyjścia nie miał. – Mam zamiar wstąpić do polskiej kompanii.

– Ty?! – Na pociągłej, dawno niegolonej twarzy Graby malowało się zdziwienie. – Przecież ty...

– Co się tak drzesz? – warknął Kaledin. – Muszę ci coś powiedzieć – mruknął po chwili. – Tylko daj mi słowo honoru, że sprawę zachowasz dla siebie.

– Słowo oficera – po namyśle odparł Graba, kładąc dłoń na sercu. Mam nadzieję, że Kalita nie jest niemieckim szpiegiem, pomyślał. Dla Grabowskiego i jemu podobnych dane słowo było świętością, więc pochopnie nim nie szafowano.

– Pamiętasz, z jakiego powodu trafiłem do szpitala? – spytał Kaledin.

– Pamiętam. Bandyci do ciebie strzelali...

– Otóż... – Kaledin ściszył głos i zerknął na boki. Nikt się nimi nie interesował. Wszyscy zajęci byli własnymi sprawami. – Chyba z tego powodu... – dotknął dłonią szpetnej blizny w miejscu, gdzie kiedyś miał ucho – straciłem pamięć – wyrzucił z siebie ściśle skrywany sekret. – Nie wiem, kim jestem. Pamiętam tylko urwane fragmenty ze swojej przeszłości. Między innymi fakt, że moja babka była Polką. Nazywała się Lamparska. Zachowałem też umiejętność posługiwania się językiem polskim, ale nie wiem, skąd go znam. Generał Mannerheim na tej podstawie uznał mnie za Polaka i dał swoją zgodę, aby się tutaj zapisał. – Ruchem głowy wskazał widoczny za plecami barak.

– A to nazwisko: Iwan Kalita? Nie jest twoje? – wypytywał Graba. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Pamiętał swego dziadka, który przed śmiercią mylił swoją córkę z żoną i ciągle urządzał jej sceny zazdrości, oskarżając o niewierność. Ale dziadek miał lat siedemdziesiąt, a Kalita nie ma więcej jak trzydzieści, choć już dorobił się siwizny na skroni, pomyślał sceptycznie.

– Nie pamiętam, jak się naprawdę nazywam – na dnie głosu Kaledina dał się słyszeć głęboki smutek. – Nie pamiętam, kim jestem. Z pewnością nie Niemcem, bo miałem na sobie

mundur rosyjskiego oficera. Nawet nie pamiętam, czy byłem porucznikiem, czy może już rotmistrzem. Bo na generała jestem przecież za młody. – Zaśmiał się nerwowo.

– Chryste Panie... – szepnął Graba, wpatrując się ze współczuciem w bladą twarz Kaledina. – To straszne, co mówisz. A Warszawa? Mówiłeś, że tam się urodziłeś.

– Pamiętam miasto, ale nie wiem skąd. Być może tam się urodziłem i mieszkałem. Pamiętam, jak walczyłem, jak tysiącami w polu ginęli żołnierze, ale nie pamiętam, gdzie to wszystko miało miejsce. Pamiętam też jakąś śliczną dziewczynę o jasnych włosach. Ale nie wiem, kim była dla mnie. Nie mam ani do kogo, ani dokąd wracać... – Umilkł na chwilę i wziął głęboki oddech. – Została mi tylko babka Lamparska, i tego postanowiłem się trzymać. Może przy jej pomocy uda mi się odgrzebać moją przeszłość – skończył z nadzieją w głosie i utkwiał w twarzy Grabowskiego czujne spojrzenie. Chyba nie weźmie mnie za wariata, pomyślał.

– Możesz na mnie liczyć jak na brata – oznajmił Graba po chwili. Niby po co miałby kłamać? – pomyślał i serdecznie uściskał Kaledina. – Jakby co, to ja poświadczę, że jesteś Jan Kalita z Warszawy. Bo „Iwan” to po polsku „Jan”.

Rekrutacją zajmował się rotmistrz Bolesław Królikowski. Był krępej budowy młodym mężczyzną, niemającym nawet trzydziestu lat, o nogach typowych dla kawalerzysty, czyli z lekka pałakowatych. Gdy Kaledin wszedł do jego biura, rotmistrz właśnie odprawiał z kwitkiem kolejnego cywila w mocno zaawansowanym wieku. Spojrzał na wchodzącego mężczyznę w mundurze z nadzieją. Z tego będzie pociecha, pomyślał, z daleka wyczuwając w nim zawodowca. Ta postawa, ten dryg. Zatrzymał na twarzy Kaledina badawcze spojrzenie swoich pochmurnych oczu. Blizna na policzku i brak ucha świadczyły, że ten żołnierz nie żałował swej krwi. O pozostałych bliznach pisał doktor Pietrow.

– Takich ludzi jak pan potrzebuję, poruczniku Kalita – oznajmił z miejsca, o nic nie pytając, zdając sobie sprawę, że powiedzieć można wszystko, a życie to później i tak weryfikuje. Służył w armii carskiej już ładnych parę lat, a czas wojny nauczył go tchórza i dekownika rozpoznawać na kilometr. – A przychodzą do mnie, serdeczko, przeróżni intendenci, sanitariusze i technicy, nawet Rosjanie podający się za Polaków, oczywiście bez znajomości języka. Żołnierza frontowego, potrafiącego dosiadać konia, jest tyle, co kot napłakał. Na domiar złego, jak tylko nastąpił przewrót bolszewicki, władzę w Birzule przejął ten ich komitet rewolucyjny. Z miejsca zadali mi pytanie, co sobą przedstawiamy. Odparłem, że jesteśmy neutralnym polskim oddziałem, który czeka tylko na sposobność powrotu do ojczyzny. Na razie patrzą na nas przychylnie, tak jak na Ukraińców, którzy tworzą własne wojsko, ale z niepokojem dostrzegam coraz większą popularność bolszewickich haseł w naszych szeregach.

Jak z otwartej szuflady, z pamięci Kaledina wysunął się obraz, kiedy żołnierze wbrew rozkazom opuszczali okopy i bratali się z wrogiem. A jeden strzelił do niego z ukrycia.

– Jeśli mogę coś radzić, rotmistrzu... – zaczął ogólnikowo, bo przecież szczegółów nie pamiętał – to proszę pogonić na cztery wiatry to towarzystwo. Z żołnierza skażonego bolszewizmem już nic dobrego nie będzie. Prędzej czy później odmówi rozkazu lub strzeli w plecy. Wiem, co mówię.

– Całkowicie się z panem zgadzam – odparł Królikowski i na moment zatrzymał wzrok na twarzy Kaledina. Po czym usiadł za biurkiem, aby wypisać potrzebne dokumenty. – Lepsza setka nieuległych w bitwie i karnych niż tysiąc siejących niezgodę i ferment – dodał, wręczając nowe dokumenty Igorowi.

Figurował w nich jako porucznik kawalerii Jan Kalita.

Kaledinowi przypadł do serca jego nowy dowódca. Z miejsca nabrał do niego zaufania i polubił go. Oprócz niego i Grabowskiego do polskiego wojska zostało przyjętych jeszcze kilku innych oficerów z różnych pułków kawaleryjskich. Wkrótce rotmistrz Królikowski mógł się

pochwalić szwadronem jazdy.

– To wszystko stare wiarusy, doświadczone w walce – meldował generałowi, nie kryjąc satysfakcji. – Ale brakuje mi koni i siodła, mundurów oraz żywności i pieniędzy. Gdyby *gospodin gienierał*...

– Oczywiście – Mannerheim przerwał mu w pół słowa. – Zaraz wydam odpowiednie dyspozycje. A tak na marginesie: czy zgłosił się do was porucznik Kalita? Taki dryblas bez ucha, z blizną na policzku?

– Zgłosił się i został przyjęty – odparł Królikowski. – Mam niewielu oficerów, a ten sprawia wrażenie zawodowca. Robota pali mu się w rękach.

– I jeszcze jedno, rotmistrzu – generał ściszył głos i zerknął na drzwi, ale z korytarza dobiegały tak głośne rozmowy, a nawet jakieś krzyki, że prawdopodobieństwo, aby ktoś ich podsłuchał, było równe zeru. – Radzę się pospieszyć z opuszczeniem Birzuły. Doszły mnie słuchy, że bolszewicy zmienili zdanie i mają zamiar zabronić tworzenia narodowych formacji.

Dwa dni później szwadron rotmistrza Królikowskiego był gotowy do wymarszu. Ponad stu ułanów oraz dwa wozy taborowe czekały na rozkaz dowódcy, aby natychmiast opuścić miasto. Coraz częściej napotykali wrogie spojrzenia wałęsających się bez celu żołnierzy z czerwonymi kokardami przypiętymi do szyneli, którzy z zawiścią spoglądali na wyładowane furazem wozy, na nowiutkie mundury i starannie wyglansowane wysokie buty. Jedynie gotowe do strzału karabiny wartowników, stojących na straży dzień i noc, powstrzymywały ich przed atakiem. Brakowało im także dowódcy, który wydałby taki rozkaz.

– Panowie! Droga do naszej ojczyzny jest cholernie daleka – zaczął rotmistrz Królikowski, zwracając się do garstki swych oficerów zebranych na odprawie poprzedzającej dzień wyjazdu z Birzuły. Na stole przed nim leżała rozłożona mapa sztabowa, na której zaznaczył marszrutę. – Mamy przed sobą do pokonania tysiąc trzysta wiorst, co skłaniałoby do wybrania pociągu jako środka lokomocji. Ale z uwagi na panującą wszem i wobec anarchię wydaje się to zbyt ryzykowne. Na pociągi napada, kto tylko może i zechce. Bolszewicy, oddziały Ukraińców, ale także różnego rodzaju bandy złożone z dezertersów i zanarchizowanego chłopstwa. Coś na ten temat może wam powiedzieć porucznik Kalita.

Przeniósł wzrok na Kaledina, z ponurą miną wpatrującego się w mapę, na której dostrzegł zaznaczone miasteczko Sławuta. Nazwa nie była mu obca, lecz nic ponadto nie potrafił sobie przypomnieć. Raz po raz zaciągał się trzymanym w ustach papierosem.

– Będziemy zatem poruszać się konno – ciągnął dalej Królikowski, gdy nie usłyszał żadnych pytań czy uwag. – W razie potrzeby łatwiej będzie się bronić czy nawet zaatakować.

Śpiący snem sprawiedliwych mieszkańcy Birzuły nie zwrócili uwagi na rzenie koni i tętent kopyt, jakie wczesnym rankiem poniosły się przez miasto. W końcu nie było dnia, aby wojsko nie przemierzało ulic w tę lub tamtą stronę z sobie tylko wiadomych przyczyn. Dzień wstawał słoneczny, lecz chłodny, ale i tak zima w tym rejonie Europy obchodziła się z mieszkańcami łagodnie. Toteż szwadron polskich ułanów, w dwójkowym szyku opuszczający miasto, nie miał powodów do narzekania. Bez żalu zostawiali za sobą miasteczko, w którym coraz śmielej poczynali sobie bolszewicy i ich władze. Przed sobą mieli szmat obcej ziemi, Małorosji, po której szeroko rozlało się bezprawie. Na porządku dziennym były mordy, kradzieże i gwałty. Przeróżne „towarzystwa” z atamanami czy batiuszkami na czele, złożone z dezertersów i zbuntowanych chłopów, nie tylko zwalczały się wzajemnie, ale także prześcigały się w barbarzyństwie wobec okolicznej ludności, rabując, mordując i gwałcąc.

## Rozdział 31

Szwadron rotmistrza Królikowskiego stanowił zgrany zespół nieustraszonych i zaprawionych w boju zabijaków, którzy po czterech latach wojny nie potrafili już bez niej żyć, w walce widząc jedyny sens swego istnienia. Byli przy tym karni i gotowi w każdej chwili dla dobra wspólnego położyć na szali własne życie. Aby nie spowalniać marszu, wiedli ze sobą tylko dwa wozy taborowe, wypełnione głównie furazem oraz zapasami broni i żywności. Pierwsze dni podróży jawiły się im niczym wyjazd na manewry. Noce nie były mroźne, a chleba dla nich i paszy dla koni było pod dostatkiem. Na wszelki wypadek przemieszczali się bezdrożami, omijając z dala ludzkie osiedla. Sytuacja uległa zmianie, gdy zapasy żywności się skończyły i oddział przystąpił do rekwizycji po okolicznych wsiach. Nocami chłopci usiłovali dokonać pomsty za swoje krzywdy i ułani musieli mieć się na baczności. Za dnia na swej drodze napotykali rozpasane chłopstwo, upojone pędzonym w każdej chacie samogonem, rabujące i mordujące, co tylko się dało. Uciekali w popłochu na widok szarżujących koni i szabel w dłoniach kawalerzystów. Poważniejsze zagrożenie stanowiły liczne oddziały matrosów, grasujące po pozbawionym władzy kraju. Wyposażeni w karabiny maszynowe, przesiąknięci bolszewizmem na wylot, napadali znienacka, urządzali zasadzki. Jednak doświadczenia w boju nie mieli żadnego ani też dobrych dowódców. Daleko im było do wojskowego wyszkolenia kompanii Królikowskiego. W jednej z potyczek zdołali matrosom odebrać kulomiot z kilkoma tysiącami sztuk naboju. Od czasu do czasu mijali zgliszcza dworskich zabudowań, ograbionych z wszelkiego dobytku, czy miasteczka, w których straszły ruiny spalonych domów, a ludność z przerażeniem spoglądała na kolejne wojsko maszerujące ulicami. Nie miała pewności, czy oni także się nie rzucą rabować, gwałcić i mordować.

Ułani byli już drugi tydzień w podróży, gdy pod wieczór ujrzeli majaczące z daleka światełka zabudowań. Posłani na rozpoznanie żołnierze wrócili z dobrą informacją. Dotarli do Raszówki, majątku ziemskiego należącego do Seweryna Baranowskiego. Zapraszał do siebie w gościnę.

– Podjęliście się, panowie, bardzo ryzykownej wyprawy – stwierdził krótko i obrzucił badawczym spojrzeniem siedzących w jadalni przy stole oficerów. Kończyli właśnie pochłaniać podaną przez kucharkę kaszę ze skwarkami. Ułanów rozlokowano w oficynie i budynkach gospodarczych, a dowódcy plutonów wyznaczili warty. – W tym kraju w zasadzie już nikt nie rządzi – ciągnął rozgoryczony. – Wszędzie panoszą się bandy złożone ze zrewoltowanych żołnierzy. Rabują, co tylko wpadnie im w łapy. Bolszewiccy komisarze jeżdżą po wsiach i chłopów podburzają, aby wystąpili przeciwko gnębiicielom i rabusiom odbierającym im chleb, jak mówią o nas, ziemianach.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „wystąpili”? – spytał Królikowski, zapalając papierosa.

– Teoretycznie chodzi o parcelację ziemi obszarnej – tłumaczył Baranowski – lecz w praktyce sprowadza się to do rabowania i mordowania ziemiaństwa przez pijaną czerń. Kto zna historię, ten wie, że na tych ziemiach różnie między Polakami i Rusinami bywało. Raz budowali w zgodzie, a raz się brali za łby. Jednak klęska myśli politycznej Trojga Narodów w XVII wieku, zapoczątkowała okres tak zwanej Ruiny dla Rusi i początek upadku Rzeczypospolitej. Kiedy my i Rusini przelewaliśmy bratnią krew, Moskwa rosła w siłę i czekała. Aż się doczekała. – Westchnął ciężko i przepłukawszy usta łykiem wina, ciągnął dalej, widać obeznany w dziejach tych ziem: – Obie strony prześcigały się w okrucieństwie, ale zdaje się, że Kozacy pod tym względem zdobyli niechlubną palmę pierwszeństwa. Nie było chłopca czy Kozaka, który by

swych rąk krwią nie zbrukał i dobra cudzego nie grabił. Wymordowano tysiące ludzi wszystkich wyznań, lecz szczególnie cierpiała ludność wyznania katolickiego. Przykładem może być męka Świętego Andrzeja Boboli, nad którym w sposób szczególny pastwili się Kozacy za to, że nawracał z prawosławia na katolicyzm. Nie tylko go straszliwie pobili, ale także pasami darli z niego skórę, obcięli mu nos, uszy i wargi, wylupili oczy i wyrwali język, a rany posypywali sieczką. Na koniec powiesili głową w dół...

Przy stole zapadła cisza, a rotmistrz Królikowski nakreślił na piersiach znak krzyża i szepnął:

– Myślałem, że w *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza poniosła pisarska fantazja...

– Później też nie było lepiej – Baranowski wrócił do opowieści. – Wystąpienia hajdamaków, koliszczyzna czy rzeź w Humaniu. Długo by wyliczać, panowie... – Westchnął z żalem. – I tak zostało do dziś. Jeśli tylko gdzieś tutaj zaczyna się jakowaś ruchawka, a pod ręką będzie Żyd, Lach czy Moskał, to miej nas, Boże, w swojej opiece – dodał na koniec.

– Niepojęte, że w człowieku, ponoć na podobieństwo Boże stworzonym, drzemią niewyczerpane wręcz pokłady nienawiści i bestialstwa – odezwał się po chwili Królikowski, wstrząśnięty usłyszaną przed chwilą lekcją historii. O tym w szkole z wiadomych względów nie uczono.

Żaden z oficerów siedzących przy stole w jadalni nie potrafił tego zjawiska wyjaśnić. Przez cztery lata wojny zdołali na tyle przywyknąć do bólu, cierpienia i śmierci, że przestali na nie zwracać uwagę. Stały się nieodłączną częścią ich życia, jak posiłek i sen.

– Kiedy dotarły do wsi hasła braterstwa, równości i wolności – Baranowski ciągnął dalej – ta ostatnia dla chłopów oznacza *wolju*, czyli zupełną swobodę. Jeden z nich powiedział mi to prosto w twarz: „Wolność jest wtedy, gdy można robić, co się chce”. A chłopci i maruderzy chcą tylko jednego: zabić ziemian i zagarnąć ich majątek.

– A pan? Panu tutaj nic nie grozi? – spytał po chwili Kaledin i rozejrzał się po obszernej jadalni, gustownie umeblowanej, o ścianach ozdobionych rodzinnym portretami, jakby się spodziewał ujrzeć przyczajonych za meblami zbuntowanych chłopów z nożami w dłoniach. Jego uwagę przykuł jeden obraz. Przedstawiał młodą kobietę, której rysy twarzy wydawały się mu znajome. Jednak nie mógł sobie przypomnieć niczego konkretnego.

– Żonę i dzieci już dawno wysłałem do Żytomierza – odparł, dolewając wina swym gościom. W snach nie wyśnił, że miasto na mocy traktatu ryskiego do Polski już nie wróci, a całą jego rodzinę kilka lat później dotknie klęska głodu. – Sam zostałem dobyteku pilnować, ale siedzę jak na rozżarzonych węglach. Sądziłem, że kogo jak kogo, ale mnie, który starałem się być dla mieszkańców tych ziem jak ojciec i krzywdy nie czyniłem żadnej, nic złego z ich strony spotkać nie może. Ale chyba byłem w błędzie. Nie ma dnia, abym nie natknął się na ich pełne nienawiści spojrzenia. A nie dalej jak wczoraj usłyszałem, jak jeden mówił do drugiego: „*Jakbi paniw ne wyhnaw, zawżdi wiernutsia. Jakszczo wyriżemo wsich, z tamtoho swita ne prijudut*”. A więc muszą nas pozabijać, bo martwi już na te ziemie nie wrócimy... – dokończył ze smutkiem i z rezygnacją machnął ręką. Już stracił wszelką nadzieję na porozumienie między bratnimi narodami.

– Kogo przedstawia ten portret? – spytał Kaledin, wskazując obraz, na którym artysta uwiecznił młodą kobietę.

– To moja żona, Ewelina – odparł Baranowski, a w jego oczach na moment pojawił się smutek. Nie tylko tęsknił za rodziną, ale także martwił się o jej los.

Dalszą wymianę zdań nad istotą chłopskich wystąpień przerwały strzały dobiegające od strony bramy wiodącej na dziedziniec. Królikowski i jego oficerowie chwycili za broń pozostawioną w holu i wybiegli przed dom. Od strony wsi ciągnęła drogą liczna grupa wieśniaków. Na ich widok straż oddała w powietrze kilka ostrzegawczych salw, które jednak na

chłopach nie zrobiły najmniejszego nawet wrażenia. Już z daleka dały się słyszeć ich złowrogie okrzyki. Jak można było wywnioskować ze ściskanych w rękach wideł, noży i toporków, nie z wizytą towarzyską zmierzali do dworu. Napojeni samogonem, umyślili sobie wymierzyć sprawiedliwość dziedzicowi, który ich zdaniem utuczył się na ich krzywdzie. Tak przynajmniej twierdził miejscowy komisarz i tak ojcowie opowiadali.

– Poruczniku Orzechowski! – rotmistrz zwrócił się do jednego z oficerów, widząc, co się święci. – Pokaż, serdeńko, tej rozbisurmanionej hołocie, gdzie jest jej miejsce.

Chłopi, ujrawszy pluton kawalerii, który nagle pojawił się na dziedzińcu, przystanęli zaskoczeni. Chwilę między sobą poszeptali. Jeden z nich, z czerwoną kokardą przypiętą do klapy żołnierskiego płaszcza, coś głośno wykrzykiwał, wygrażając w stronę dworu pięściami. Widocznie jego słowa odniosły skutek, gdyż chłopi podjęli marsz, mocniej ściskając w rękach toporki i widły. Gdy podeszli bliżej, Orzechowski dobył szabli i zawołał:

– Chłopczy, szable w dłoń! Za mną, galopem, marsz! – I poganiając konia ostrogami, ruszył w stronę zrewoltowanej czerni.

Reszta plutonu natychmiast poszła za nim.

Rzenie koni, tętent kopyt i uniesione w górę szable przeraziły chłopów. Co innego widłami zadźgać bezbronny mężczyznę czy toporkiem odrąbać głowy jego dzieciom, a co innego stawić czoła uzbrojonym w szable znawcom od zabijania, jakimi jawili się im kawalerzyści. Woleli nie ryzykować bliższego z nimi kontaktu i gubiąc po drodze swoje prymitywne narzędzia mordy, w panice rzucili się do ucieczki. Zanim dobiegli do wsi, ułani solidnie wyplązowali im grzbiety szablami. Przeszukali chaty i cały zapas samogonu wylali do rowu. Komisarz, który tak dzielnie im przewodził, w obawie o swoje życie zdołał się ulotnić.

– Bóg mi panów zesłał! – Baranowski nie wiedział, jak ma dziękować za ocalenie życia. Ścisnął oficerom dłonie, a Orzechowskiego wycałował serdecznie. – Gdyby nie panowie, puściliby mnie z dymem, a pewnikiem też gardło poderżnęli. Kto by pomyślał, że ta straszna zaraza bolszewizmu dotrze i tutaj? – spytał drżącym głosem, wciąż nie mogąc ochłonąć po niedawnych wydarzeniach.

Reszta nocy minęła spokojnie i skoro nastał świt, szwadron ruszył w dalszą drogę, odprowadzając bryczkę z Sewerynem Baranowskim do pobliskiego miasteczka. Wołał zostawić majątek na pastwę losu niż ryzykować życiem. Jednak znalezienie wolnego pokoju w hotelu graniczyło z cudem. Wszystkie były pozajmowane przez ziemian, liczących, że do miasta zbuntowane chłopstwo nie dotrze. Nie wzięli pod uwagę, że oddziały bolszewików, które wkrótce zajmą te ziemie, niewiele się od niego będą różnić, a może okażą się jeszcze gorsi, choć na sztandarach przyniosą szczytne hasła wolności i pokoju.

Podczas kolejnych nocy ułani musieli korzystać z wymuszonej gościny u okolicznych chłopów, którzy grzecznie się kłaniali, ale w ich oczach znać było z trudem skrywaną wrogość. Istniało zatem ryzyko, że któryś z nich zdoła przechytrzyć wystawione posterunki i powiadomi grasujące gdzieś w pobliżu „towarzystwo” lub, co gorsza, oddział bolszewików albo Ukraińców, którzy z niechęcią widzieli na swoim terenie obce wojska, nawet przejazdem.

Szwadron miał już za sobą tydzień podróży po zgliszczach, jakie zostały po potężnym nie tak dawno imperium, gdy ułani, wysłani na zwiad pod dowództwem wachmistrza Żabskiego, przepadli jak kamień w wodę. Tknięty złym przeczuciem rotmistrz Królikowski wysłał na poszukiwania pluton porucznika Jaszca. Jadąc śladami końskich kopyt zostawionych w świeżym śniegu, wkrótce z daleka ujrzeli błakającego się po polu wierzchowca. Gdy podjechali bliżej, natknęli się na leżącego na ziemi ciężko poranionego ułana, jednego z tych, którzy brali udział w zwiadzie. Żył jeszcze, lecz był bardzo osłabiony z upływu krwi i wychłodzenia.

– Niepotrzebnie wdaliśmy się z nimi w rozmowę – opowiadał szeptem, gdy Jaszcz opatrzył mu rany zadane siekierą i opatulił zdjętym z własnego grzbietu płaszczem. – Reszta czerni wykorzystwała naszą nieuwagę. Zaszli nas z widłami i siekierami od tyłu. Rechotali głośno, że w końcu mogą sobie z Lachami pohulać... – Głos uwiązał mu w gardle i zapłakał. – Tych, co nie usiekli... rozebrali do naga... skrępowali drutem kolczastym i... żywcem zakopali... – Ramionami rannego ułana wstrząsnął cichy szloch. – Ja jeden uszedłem z życiem...

– Na rany Chrystusa... – jęknął Jaszcz i zacisnął pięści w bezsilnej złości. Z trudem powstrzymywał ordynarne przekleństwa, które cisnęły się mu na usta. – Ułan Kowalik i starszy ułan Marczak odwiożą rannego do miejsca postoju szwadronu – wydał po chwili rozkaz z twarzą białą jak kreda, a w oczach zapłonęła mu żądza zemsty. – A reszta panów, za mną! Teraz my pohulamy sobie z muzykami!

Dobylł szabli z pochwy, spiął konia ostrogami i puścił się przez przypudrowane śniegiem pole. Reszta plutonu ruszyła za nim. Wkrótce konie, zadzierając ogony i rżąc bojowo, z galopu przeszły w cwał, wrywając kopytami grudy stwardniałej ziemi. Głośny tętent ich kopyt poniósł się po okolicy.

Kiedy wpadli do wsi, na śniegu pomiędzy chałupami wciąż jeszcze widniały plamy dopiero co przelanej krwi. W sąsiedztwie chlewu czernił się kopiec świeżej ziemi, gdzie żywcem pogrzebano ułanów. Ich wierzchowce chłopci już zdążyli zaprowadzić do swoich stajen, a kawaleryjskie siodła i broń ukryć w sianie. W jednej z chałup zasiedli przy stole, aby podzielić się skromną zawartością żołnierskich kieszeni. Byli tak zajęci, że nie usłyszeli, kiedy pluton Jaszcz wpadł pomiędzy zabudowania. Wybiegli dopiero, gdy usłyszeli huk wystrzałów i brzęk wybijanych szyb. Przywitały ich ostrza szabiel. Rozległy się krzyki zabijanych mężczyzn, zawodzenie zrozpaczonych kobiet i płacz dzieci. Niektórzy, mniej zamroczeni wypitym w dużych ilościach samogonem, rzucili się do ucieczki. Dopadły ich karabinowe kule. Kilka zapalek rzuconych na rozlaną w chatach naftę zamieniło chałupy w pochodnie, a czarne kłęby dymu unoszące się wysoko ku niebu zasnuły horyzont. Gdy porucznik Jaszcz uznał, że zemście stało się zadość, rękawem obtarł z twarzy pot zmieszany z krwią zabójców swych towarzyszy broni i wydał rozkaz odwrotu.

– Nie wymierziliście zbyt okrutnej kary? – spytał Królikowski z naganą w głosie, gdy godzinę później szwadron w grobowej ciszy mijał wieś, z której pozostały tylko dymiące zgliszcza oraz porzucone na pastwę dzikich zwierząt trupy jej mieszkańców. Zdzieliliśmy na tej wojnie ze szczerem, pomyślał, z bólem serca patrząc na leżące w kałużach krwi zwłoki kobiet i dzieci. W niczym nie różnimy się od naszych wrogów. Stosowanie zasady „śmierć za śmierć” do niczego dobrego ludzkości nie doprowadzi.

– Nie sadzę, aby kara była zbyt surowa – odparł Jaszcz, wciąż mając w pamięci słowa ocalałego z pogromu ułana: „żywcem zakopali”. – Wieść o zemście rozejdzie się lotem błyskawicy. Będą wiedzieli, że sprawiedliwość przez nas wymierzona jest krwawa i straszna. Dwa razy się zastanowią, zanim podniosą rękę na kogoś z naszych.

Gdy Kaledin ujrzał zgliszcza i trupy, zbladł jak kreda i poczuł się nieswojo. Już kiedyś taki obraz widziałem, pomyślał ze zgrozą. Dobry Boże, daj, aby to był tylko zły sen. Szwadron jechał dalej w milczeniu. Byli przecież żołnierzami i mieli walczyć z wrogiem, a przyszło im mordować ogłupiałych propagandą i zamoczonych samogonem chłopów. Zanim dotarli do miasteczka, w którym mogli się rozłożyć obozem na noc, zerwał się wichur i z nieba sypnęło śniegiem. Zalepał oczy i usta. Dzięki pieniądzom otrzymanym od generała Mannerheima udało im się kupić u miejscowych baranie kozuchy. W przeciwnym razie zamarzliby w dalszej drodze.

Zima rozpanoszyła się na dobre. Śnieg grubą warstwą zalegał na polach i drogach, otulił drzewa w lesie, oślepił oczy, a konie zapadały się w świeżym puchu po brzuchy. Mróz skuł



ziemię i rzeki lodem, co jednak nie tylko ułatwiało podróż po bezdrożach Ukrainy, ale także umożliwiało przeprawę przez mijane po drodze rzeki bez konieczności szukania brodu lub mostu. Noce stały się tak mroźne, że ułani skuleni przy ogniskach w namiotach z pałatek słyszeli, jak pękają drzewa w lesie. Marzyli o noclegu choćby w stodole i z utęsknieniem wspominali ciepły i łagodny klimat Besarabii. Gdy po kilku dniach wyjechali z lasu, który zdawał się nie mieć końca, w oddali ujrzeli otuloną białym puchem wieś. Z kominów ku niebu ciągnęły szare smugi dymu, a w oknach błyskały światełka naftowych lamp.

– Poruczniku Kalita! – Królikowski zwrócił się do Kaledina. – Weź, serdeńko, paru chłopaków i zobaczcie, czy nie czeka tam na nas jaka przykra niespodzianka. W razie niebezpieczeństwa wystrzelcie racę! – krzyknął za odjeżdżającymi.

Końskie kopyta głucho zatętniły po zamarzniętej na kamień ziemi i wkrótce oddział zwiadowczy zniknął mu z oczu.

Reszta oddziału, paląc papierosy i wierząc się w siodłach, które zdawały się przymarzać im do tyłków, czekała na wynik rozpoznania. Ach, żeby tak móc zanocować w ciepłej izbie, rozmarzył się Królikowski. Konie rżały zniecierpliwione niespodziewanym postojem i przestępowały z nogi na nogę.

Nie minęło pół godziny, gdy czekający na mrozie ułani ujrzeli jeźdźca galopującego przez pole.

– Melduję, że we wsi mieszkają głównie Polacy! – zawołał radośnie, osadziwszy wierzchowca, który zarżał głośno niezadowolony. – Zapraszają na nocleg.

Oficerów do swojej chaty, najbardziej okazałej w całej wsi, zaprosił Wacław Suchoń, zamożny rolnik, mający lat czterdzieści lub więcej, mogący się pochwalić sumiastymi wąsami i gromadką dzieci. Szeregowi i podoficerowie rozlokowali się na noc po stodołach i chałupach. Zanim Królikowski zasiadł wraz z innymi oficerami do wieczerzy, sprawdził, czy stojącym na warcie ułanom niczego nie brakowało.

– W razie zagrożenia najpierw strzelać, później pytać! – polecił półzartem. Czasy nastały takie, że wróg czał się wszędzie.

Gdy wrócił do chaty, Suchoniowa właśnie ustawiała na stole miski z kartoflami, garniec żuru i bochen chleba. Zapachniało topioną słoniną i świeżym pieczywem, którego ułani Królikowskiego nie jedli od wielu dni.

– A wy, smarki – Suchoń zwrócił się do swoich dwóch synów, którzy jeszcze nie osiągnęli wieku poborowego, więc wojaczka im się marzyła – do stodoły spać!

Bez szemrania wykonali ojcowskie polecenie, choć wiele by dali, aby przysłuchać się opowieściom tych starych frontowych zabijaków, na jakich wyglądali siedzący za stołem oficerowie. Szczególnie jeden, taki wysoki, z blizną na policzku i chmurnym spojrzeniu czarnych oczu, miałby wiele do opowiadania. Jeszcze im się zdawało, że wojna to zabawa w podchody, i za nic mieli opinię Żyda ze sklepu bławatnego z Malina, który zawsze im powtarzał: „Wojna to zła rzecz. Tam ludzi zabijają”.

– Daj, matka, *stakancyki* i przynieś butelkę z komory. – Suchoń przymilnie uśmiechnął się do żony. – Mróz sakramencki, panowie oficerzy powinni się napić czegoś mocniejszego dla rozgrzewki.

– Panowie oficerzy, a juści! – odparła, podpierając się pod boki, przez co jej wydatny brzuch, rozepchany przez sześć cięż rok po roku, wydał się jeszcze większy, jakby siódmy potomek się w nim skrywał. – Ale ty w cieple siedziałeś pół dnia.

– No, matka... – Obląpił ją w pasie i przygarnął do siebie. – Taka okazja...

– No już dobrze, już dobrze – zachichotała, speszona czułościami męża w obecności obcych. – Marynia! – zawołała w stronę krzątającej się przy piecu córki, o szerokich jak matka

biodrach, ubranej w półkożuszek dla ochrony przed chłodem. – Podaj samogonu!

Dopiero gdy dziewczyna z zalakowaną butelką w ręce, w której kołysał się matowy płyn, podeszła bliżej lampy, siedzący za stołem oficerowie mogli ocenić jej urodę, typową dla tych ziem: rumiane policzki i niebieskie oczy, ocienione długimi rzęsami. Jasne włosy, splecione w dwa warkoczki, upięte wokół głowy, tworzyły coś na kształt korony.

– I co to teraz będzie? – dopytywał się Suchoń, gdy opróżnił zawartość swojej szklaneczki i obtarł usta wiechem dłoni. – Prawda to, że teraz my, czyli lud, sprawujemy władzę? I ziemia cała do nas ma należeć?

– Kto wam takich rzeczy naopowiadał? – spytał Królikowski i wymienił szybkie spojrzenia ze swoimi oficerami. A więc bolszewicka propaganda zdołała dotrzeć i tutaj, pomyślał z niepokojem.

– Przyjechał taki jeden z miasta, z Malina – ciągnął Suchoń. – Gadał jeszcze, że cara już nie ma i wojna z Niemcami przegrana. Prawda to?

– Cara już nie ma, to prawda. – Królikowski skinął głową i z trudem kryjąc niesmak, wychylił kolejną szklaneczkę samogonu. Jak oni mogą pić to świństwo, pomyślał, obcierając wąsy kciukiem. Zdążyły przez dwa tygodnie podróży solidnie wyrosnąć i zasłaniały mu usta. – Wojna przegrana, też prawda, a władzę objęli bolszewicy. Mówią, że lud teraz będzie rządził, ale ja widzę, że rządzą komisarze, a kto przeciwny, temu kulka w łeb.

\*

Nastał słoneczny, choć mroźny poranek. Śnieg skrzypiał pod butami ułanów i końskimi kopytami, gdy szwadron szykował się do dalszej drogi. Zakładali siodła, dociągali popręgi i ładowali na wóz otrzymany od Suchonia obrok dla koni. Nagle na podwórko wpadli, siedząc na koniach na oklep, dwaj synowie gospodarza. Choć nieproszeni, skoro świt wyruszyli na zwiady, aby poczuć, jak to jest w tej polskiej kawalerii.

– Tatulu! Tatulu! – darli się jeden przez drugiego.

Zeskoczyli z końskich grzbietów i dopadli ojca, ładującego na wóz worek z sianem.

– Co tak jazdoczecie, jakby kto was żywcem ze skóry obdzierał?! – spytał z pozoru ze złością, spoglądając z dumą na swych synów, prostych jak świece i zwinnych w ruchach.

Nadają się, smarki, na ułanów, pomyślał, uśmiechając się pod siwym wąsem. Kiedy dwadzieścia lat później wybuchnie kolejna wojna, zginą w niej obydwaj, służąc w kawalerii. Ale Suchoń o tym nigdy się nie dowie. Wraz z żoną i córką oraz wnukami zostanie w wagonie bydłowym wywieziony na Syberię, do łagru, gdzie wszyscy umrą z głodu i zimna.

– Bolszewiki drogi blokują! – krzyczeli dalej, podekscytowani, za nic mając ojcowskie połajanki. – Ustawiają kulomioty i szykują się do ataku!

– A oni skąd się tutaj wzięli? – Królikowski poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. Nie lubił być zaskakiwany. – Mówiliście, że we wsi jest tylko jeden komisarz...

– Pewnikiem pognął do miasteczka i doniósł tamtejszym, że pańskie wojsko we wsi stanęło – Suchoń tłumaczył się, jakby to on ponosił winę. – Oni takiego wojska, w którym nie ma komisarzy, nie uznają. Jak tylko mogą, to mordują.

– Ilu ich jest? – spytał Królikowski i wyciągnawszy mapę, rozłożył ją na worku z sianem.

Już na pierwszy rzut oka się przekonał, że przez wieś wiodła tylko jedna droga. Jej wlot i wylot właśnie obstawili bolszewicy. A tabory przez zaorane w grubą skibę pole, zamarnięte na kamień, nie miały szans przejechać. Wyduszą nas w tej wsi jak wszy na dupie, pomyślał, usiłując znaleźć wyjście z sytuacji.

– Będzie ze dwa tysiące... – bąknął niepewnym głosem Suchoń.

– Piechota czy jazda? – wtrącił się porucznik Marszałek, gdy dotarła do niego treść

rozmowy.

– Głównie piechota z taczankami, na których wiozą kulomioty, ale paru jeźdźców też mają – jeden przez drugiego odpowiadali Suchoniowie i nie spuszczały oczu z rotmistrza, gotowi wykonać każde jego polecenie, aby tylko polskie wojsko wyszło cało z opresji.

– Czy jest jakaś inna droga, którą można ze wsi się wydostać? – spytał na wszelki wypadek, zdając sobie sprawę, że miejscowi lepiej znali swoje tereny niż sztabowcy.

– Jest taka, przez las, tylko trzeba uważać, bo może na bagna wyprowadzić, choć teraz pewno zamarzły – ścisząc głos, odpowiedział Suchoń, jakby się obawiał, że bolszewicy go usłyszą. – Ja poprowadzę – zaproponował, widząc wahanie na twarzy rotmistrza.

Po godzinnym kluczeniu leśnymi duktami, gdzie w śniegu momentami konie zapadały się powyżej kolan i grzęzły wozy taborowe, wyjechali w końcu z lasu na drogę. Dowódcy plutonów wydali rozkaz uformowania szyku do wymarszu. Potrząsając grzywami i prychnając, konie posłusznie ustawiały się dwójkami.

– Bóg zapłać za wszystko! – Królikowski uściśnął spracowaną dłoń wieśniaka. – Jakby mochy wypytywały, w którą stronę poszło wojsko, to mówcie, że na Korosteń. No, bywajcie zdrowi!

– Niech was Bóg prowadzi! – Suchoń z ojcowską troską obrzucił wzrokiem szykujących się do dalszej drogi kawalerzystów, wskoczył na konia i zniknął pomiędzy drzewami.

Rotmistrz Królikowski zwołał garstkę swoich oficerów na naradę. Wyjął mapę i odgarnąwszy śnieg, rozłożył ją na pniu przewróconego drzewa. Chwilę wpatrywał się w nią z uwagą.

– Musimy zrobić tak... – zaczął po chwili, gdy ucichły szmery. Jedynie konie rżały zniecierpliwione postojem. – Jak znam zaciętość bolszewików, to z pewnością nam nie wybaczą, żeśmy się im wymknęli, i będą nam deptać po piętach do usranej śmierci. Musimy zatem wyprowadzić ich w pole... – ciągnął dalej. – Pan, poruczniku Kalita, razem ze swoim plutonem i taborami z rannymi pojedziecie przodem i skręcicie na Hraby. – Puknął palcem w cienką linię wyrysowaną na mapie, wijącą się pomiędzy polami. – Jak będzie taka możliwość, serdecznie, zostawcie tam rannych i wymienicie konie, bo nasze są już zmęczone. Jak Bóg da, spotkamy się w drodze na Bobrujsk.

– Tak jest! – Kaledin stuknął obcasami i ruszył biegiem przygotować swój pluton oraz wozy taborowe do wymarszu.

– Natomiast my... – Królikowski spojrzał w oczy swoim oficerom, jakby chciał z nich wyczytać, czy myślą podobnie jak on – pojedziemy prosto na Korosteń. A po drodze zasadzimy się na psubratów – dorzucił dla jasności.

Mam nadzieję, że wyjdziemy z tego żywi i cali, pomyślał, wskakując na siodło.

## Rozdział 32

Gdy jadący z dwoma ułanami na szpicy porucznik Jaszcz ujrzał wąską przecinkę wiodącą w głąb gęstego lasu, wstrzymał konie i poczekał na resztę oddziału.

– Myślę, że to miejsce jest w sam raz – zwrócił się do rotmistrza i ruchem głowy wskazał ścieżkę wijącą się pomiędzy świerkami, których pokryte śnieżnym puchem gałęzie zwieszały się nisko nad ziemią.

– Masz słusność, serdeńko – przytaknął Królikowski. Spojrzał w niebo i dodał, nie kryjąc zadowolenia: – Dobra nasza. Zaraz zacznie padać i śnieg zasypie nasze ślady.

Skierował konia w las, a jeźdźcy jeden po drugim podążali za nim. Nie minęło pół godziny, jak cztery plutony kawalerii w kompletnej ciszy zniknęły w leśnych ostępach, jakby się pod ziemię zapadły. Ułani zajęli pozycje i czekali, aż siedzący wysoko na drzewach przy drodze dwaj ułani, naśladując krakanie wrony, dadzą znak, że bolszewicka piechota minęła przecinkę. Czas dłużył się niemiłosiernie, a najbardziej tym siedzącym na drzewach. Całkiem zdrętwiały im ręce i nogi, mróz kąsał ich po całym ciele, a bolszewicy jak nie nadchodzili, tak nie nadchodzili. Denerwował się także Królikowski. Zaczynał wątpić w słusność swojego planu. A jeśli ta czerwona hołota poszła na Hraby? – bił się z myślami. Wytluką tam wszystkich co do nogi i jeszcze dwór ograbią i puszczą z dymem.

Ułani dreptali w miejscu, aby rozgrzać skostniałe stopy. Głaskali konie po chrapach, gdy przychodziła im ochota, aby rzeć z sobie tylko znanych przyczyn. Nawet pogadać nie mogli, by nie zdradzić swego miejsca pobytu. Rotmistrz zabronił także palenia papierosów. Z czasem niebo zasnuły ciężkie ołowiane chmury i sypnęło śniegiem. Początkowo szeleścił w koronach wysokich świerków i jodeł, których gęste gałęzie stanowiły swego rodzaju parasol nad stojącymi w bezruchu ułanami i ich końmi. Jednak po chwili z nieba sypnęło na dobre i biały puch powoli, lecz nieubłaganie, osiadał na czapkach, mundurach i końskich grzbietach, czyniąc wszystkich niewidzialnymi pośród śnieżnej zawieruchy. Trwali tak w głębi lasu dobrą godzinę, gdy poprzez szum wiatru dotarło do ich uszu najpierw skrzywienie i stukot kół ciężkich wozów taborowych i taczanek, a jakiś czas później równy marszowy krok wielu setek par nóg.

Na dany przez „wrony” sygnał ułani dosiedli koni. Przedzierając się pomiędzy drzewami, ruszyli w stronę gościńca. Gdy konie wyskoczyły na drogę, po bolszewickiej kompanii nie pozostały nawet ślady ich butów, które szybko zasypywał ciężki i mokry śnieg, a ona sama zniknęła gdzieś za zakrętem.

Królikowski uformował szwadron w klin. Wraz z porucznikiem Marszałkiem stanęli na czele. Na miejscu samobójców, jak niegdyś mówiono.

– Szable, lance w dłoń! – padł po chwili rozkaz rotmistrza. – Za mną do ataku, galopem marsz!

Konie ruszyły z kopyta, za nic mając kłujące w oczy sypiące gęsto płatki śniegu. Z galopu przeszły w cwał i ziemia zadrżała pod ich kopytami. Dalekie rzenie koni i pobrzękiwanie szabel nadciągającego oddziału kawalerii dotarły wkrótce do rosyjskich piechurów. Ci, którzy zamykali kolumnę, obejrzel się za siebie, ale w tumanach padającego śniegu niczego nie dostrzegli. Przyspieszyli jednak kroku, wpadając na wlekących się przed nimi towarzyszy broni. Zrobił się tumult i podniósł krzyk, zagłuszający tętent końskich kopyt. Gdy do nich dotarł, na cokolwiek, co mogłoby uratować ich życie, było już za późno. Rozpędzona konnica dosłownie wbiła się klinem w maszerującą kolumnę, rozdzielając ją na pół. Część piechurów natychmiast skończyła żywot stratowana końskimi kopytami. W ruch poszły lance i szable. Rosjanie odpierali atak bagnietami.

Rozdrażnione konie włączyły się do walki, gryząc zębami i wierzgając na wszystkie strony. Tratowały upadających na ziemię rannych. Rżenie wierzchowców i szczęk broni mieszały się z krzykami walczących i jękami konających. Obsługa kulomiotów, popędzana przez dowódcę, w panice zdejmowała z wozu karabiny i taśmy z nabojami. Ze skostniałych z zimna rąk wszystko leciało im na ziemię.

– Szybciej, durnie, szybciej!! – popychał ich i wrzeszczał, tylko utrudniając zadanie.

W końcu ustawili na drodze jeden karabin. Gdy celowniczy spojrzął na pole walki, ujrzał kłębowisko koni i ludzi, których rozróżnić w tumanach śniegu było nie sposób. Jeden z jeźdźców, wymachując szablą, z dzikim krzykiem na ustach pędził wprost na niego. Celowniczy w panice rzucił się do ucieczki, a ładowniczy, porzucając taśmę z nabojami, poszedł w jego ślady. Widząc tchórzostwo swoich podkomendnych, dowódca doskoczył do kulomiotu i załadował naboje. Zanim nacisnął na spust, chorąży Tesarz zdążył rozplatać go szablą. Reszta bolszewickiej piechoty, porzucając broń, w panice puściła się biegiem przez pole. Inni wybrali ucieczkę w las. Chorąży zeskoczył z konia i przyklęknął przy kulomiocie. Jeden z ułanów, domyślając się, w czym rzecz, przyszedł mu z pomocą. Dopadł karabinu i chwycił do rąk taśmę z nabojami. Chorąży wycelował i nacisnął na spust. Karabin pluł ołowiem w uciekających przez pole żołnierzy. Długie do kostek zimowe płaszcze utrudniały im zadanie. Trafieni padali na twarz z rozrzuconymi na boki rękoma. Terkotanie kulomiotu ucichło, gdy niedobitki bolszewickiej kompanii zniknęły pośród wirujących płatków śniegu. Nastąpiła cisza, zakłócana tylko szelestem sypiącego z nieba śniegu, który błyskawicznie pokrywał leżące w kałużach krwi trupy.

\*

W tym czasie dwa wozy taborowe oraz pluton dowodzony przez Kaledina, brnąc w kopnym śniegu, powoli zmierzały w stronę Hrabów. Zachmurzyło się i z nieba sypnęło śniegiem. Zalepiał oczy i usta, odbierając oddech. Sytuację pogarszał lodowaty wiatr. W skostniałych z zimna palcach jeźdźcy z trudem utrzymywali wodze. Co chwilę musieli zsiadać z koni, aby wydobyć z zasy jeden czy drugi wóz. Krótki styczniowy dzień zbliżał się ku końcowi, gdy poprzez wirujące płatki śniegu ujrzeli ciemny zarys zabudowań folwarcznych: stajnie, obory i chlew. Tuż obok wysoką stodołę.

– To chyba w końcu te Hraby – jadący przodem Kaledin zwrócił się do porucznika Grabowskiego. – Dupa mi do siodła całkiem przymarzła.

– Nie tylko tobie – odparł Graba i cmoknął na konia, aby przyspieszył. – Dałbym wiele za talerz gorącej zupy. Dajmy na to, takiego tłustego rosółu z kury z makaronem... – rozmarzył się, a przed jego oczyma mignęła uśmiechnięta twarz żony, stawiającej na stole wagę, z której wydobywał się apetyczny zapach. Aż mu ślina do ust napłynęła, tak był realny.

– Mógłby być i rosół – zgodził się Kaledin. – Byle samogonem nie częstowali – dorzucił i wybuchnął śmiechem, gdy ujrzał grymas malujący się na twarzy Graby.

Już z daleka uderzyła ich panująca wokoło cisza. O tej porze dnia na folwarku zazwyczaj bywa gwarno jak w ulu. Powinni kręcić się pracownicy doglądający inwentarza, ponaglani donośnym głosem zarządcy, psy ujadać, a dzieci baraszkować wesoło na śniegu. Brakowało też porykiwania bydła, rżenia koni i gdakania kur. Gdy kolumna jeźdźców, a za nią dwa wozy taborowe podjechały bliżej, wszystko stało się jasne. Solidnie przed wiekiem pobudowane budynki folwarczne dopiero co zostały obrócone w gruzy i zgliszcza. Wciąż nad nimi unosił się siwy dym i nieprzyjemny swąd spalenizny. Sypiący z nieba śnieg z sykiem opadał na tłące się jeszcze resztki. Nad okopconymi ścianami zwieszały się zwęglone drewniane konstrukcje dachów. Pomiędzy tym wszystkim z podkulonymi pod siebie ogonami kręciły się bezradnie dwa psy, jakby zgubiły drogę do domu. Na widok obcych, zamiast zaszczekać, na ugiętych nogach

czmychnęły w krzaki.

Zostawiając za sobą gruzy budynków gospodarczych, Kaledin wraz z ułanami ruszyli w stronę mającego w tumanach śniegu obszernego dworku z kolumnowym portykiem z przodu oraz wysokim dachem z lukarnami na poddaszu. Kilka okien na parterze pozbawionych było szyb, a wokoło walało się potłuczone szkło. Podjazd był usłany połamanymi sprzętami i meblami, wywleczonymi zapewne z dworu, zniszczonymi podczas rabunku, przez rabusiów uznanymi za zbędne.

– Chryste Panie... – szepnął Grabowski i spojrzał na jadącego obok na koniu Kaledina. Zaskoczyła go bladość jego twarzy i nieobecne spojrzenie.

Niespodziewanie z dna pamięci Kaledina wychylił się obraz jasnego dworu, stojącego w cieniu parku, podobnie jak ten pozbawionego okien, ze śladami tragedii, która rozegrała się niedawno. Ujrzał piękną kobietę o kruczoczarnych włosach, swoją matkę, która siedząc w fotelu, dwóm chłopcom podobnym do siebie jak dwie krople wody czytała *Bajkę o carze Saltanie* Puszkina, jego ulubioną bajkę z dzieciństwa. Po chwili zobaczył siebie w czarnym mundurze porucznika 45. Jamburgskiego Pułku Dragonów, w hełmie z białym pióropuszem. Rozmawiał o czymś z ożywieniem z ubranym w mundur generalski postawnym mężczyzną, swym ojcem, o surowym wyrazie twarzy ozdobionej sumiastym wąsem.

– Bolszewicy pomordowali wrogów klasowych czy chłopci wymierzili sprawiedliwość dziejową? – Głos Graby przywrócił Kaledina do rzeczywistości i obraz zniknął, jakby był tylko senną marą sprzed lat.

– Zbuntowani chłopci pokazali, na co ich stać – odparł po chwili drewnianym głosem. Uporczywie z dna jego powracającej do życia pamięci wychylały się kolejne obrazy. Zdeprawowane wnętrza rodzinnego dworu, martwe ciało matki, której pierś ktoś przebił widłami, głowa ojca wbita na stajenny hak i braciszkwowie bliźniacy, z zemsty za niepopelnione winy językami przybici do stołu. – Z koni! – zwrócił się do ułanów znieruchomiałych ze zdumienia. Wiele słyszeli o buntach chłopskich, które obracały w zgliszcza chylące się ku upadkowi imperium, ale pierwszy raz widzieli ich dzieło z bliska. To, co ujrzą za chwilę, nie pozwoli im spokojnie spać już do końca ich dni. – Przeszukać całe obejście! Centymetr po centymetrze, tylko mieć się na baczności! Jakby co, strzelać bez pardonu! Józek i Marcin zostają przy koniach! A my – zwrócił się do Graby – musimy przeszukać dwór. Być może ktoś jeszcze ostał się żywy i potrzebuje pomocy – oznajmił stanowczym tonem i zeskoczył z siodła.

Rzucił wodze jednemu z ułanów i dobywszy pistolet z kabury, wbiegł po schodach do wnętrza dworu. Graba podążył za nim.

Już w holu natknęli się na porozrzucone i zdeptane obłoconymi buciorami resztki dworskiej biblioteki. Księgi o cienkich kartkach zabrano ze sobą, aby mieć na rozpałkę pod kuchnią i do skręcania papierosów. Z pokoi na parterze powynoszono większość mebli, ze ścian pozdejmowano obrazy, pod podeszwami butów przy każdym kroku zgrzytały skorupy porozbijanej porcelany. Być może nie znalazła uznania w oczach rabusiów lub przez nieuwagę upuścili figurki czy wazy na posadzkę. Piętro nie zostało ograbione, jakby coś rabusiów spłoszyło. Kaledin i Graba przeszukali wszystkie pomieszczenia i nigdzie nie natknęli się ani na żadne zwłoki, co przyjęli z ulgą, ani na nikogo żywego, co napełniło ich serca niepokojem. Jeszcze mieli zamiar zajrzeć na strych, gdy z dworu poprzez powybijane okna dotarły do nich jakieś krzyki. Rzucili się do schodów i wyskoczyli przed dom.

– Panie poruczniku! – W stronę domu bieгло z krzykiem, potykając się o porozrzucone przedmioty, dwóch ułanów. Twarze mieli pobladłe, a po policzkach ciekły im łzy.

– Tam... w sadzie... znaleźliśmy pomordowanych... – wydusił z siebie jeden z nich, z trudem panując nad szlochem, który wrywał się mu z piersi. Spojrzał za siebie, na przysypane

śnieżnym puchem dorodne drzewa owocowe, chlubę pana domu.

Kaledin i Graba puścili się biegiem we wskazanym kierunku. Igor wiedział, czego się spodziewać, Graba jedynie się domyślał. Po chwili ujrzeni bezradnie stojących pod drzewem pozostałych ułanów. Płakali rzewnymi łzami. Choć wiele bestialstwa i ludzkiego cierpienia było im dane na wojnie posmakować, to, z czym mieli teraz do czynienia, nawet w snach nie wyśnili. Na gałęziach drzew, niczym koszarne strachy na wróble, wisiały ciała trójki dzieci, mających nie więcej niż po kilka lat. Ktoś im wcześniej wylupił oczy. Krew, ściekając po twarzach, zakrzepła na kształt czarnych łez. Wiatr, kpiąc sobie z majestatu śmierci, kołysał nimi na wszystkie strony. W pobliżu natknęli się na przysypane śniegiem zwłoki kobiety. Już z ułożenia ciała i podartej na piersiach sukni można było wnosić, że zanim ciężkim przedmiotem rozłupano jej czaszkę, najpierw ją brutalnie zgwałcono i obcięto piersi. Prawie nagie ciało mężczyzny leżało kilka metrów dalej. Przed śmiercią oprawcy zdarli mu skórę z piersi, obcięli nos i wargi, a na koniec przebili widłami.

– Za co to wszystko, powiedz, za co? – głosem pełnym rozpaczony Graba zwrócił się do Kaledina. – Cóż im uczyniły te niewinne istoty?

– Diabeł przybiera różne maski i postacie – po chwili namysłu odparł Kaledin. – Teraz przybrał postać zrewoltowanego narodu.

Przecież to niemożliwe, aby Bóg nas tak surowo karał, pomyślał, wciąż pełen wiary w miłosierdzie boskie.

– Zabierzcie ciała i zanieście na wóz – zwrócił się do swych podkomendnych, którzy widząc ten bezmiar cierpienia, zamarli w bezruchu. Graba upadł na kolana, aby pomodlić się za dusze zmarłych.

Nagle od strony dworu dały się słyszeć jakieś podniesione głosy. Kaledin ruszył biegiem w ich stronę, aby sprawdzić, co się działo. Oby tylko nie kolejne trupy, pomyślał z niepokojem. Z daleka zobaczył dwóch swoich kawalerzystów, jak trzymając pod ręce wrywającego się człowieka, prowadzili go w stronę dworu.

– Co się tutaj wyprawia? – spytał, obrzucając mężczyznę badawczym spojrzeniem.

Miał na sobie cały upstrzony słomą barani kozuch i wysokie buty, z których także wylażyły słomiane wiechcie. Futrzana czapka spadła mu z głowy podczas szamotaniny i leżała na śniegu. Rzadkie siwe włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały wysokie czoło, na które obficie sypały się płatki śniegu. Kulał na jedną nogę. Nie wyglądał mi na maoruskiego chłopca, pomyślał Kaledin.

– Coś za jeden? – spytał odruchowo po polsku, choć już wiedział, że sam Polakiem nie był. Był rosyjskim oficerem, rotmistrzem kawalerii i nazywał się Igor Kaledin. Był także hrabią, choć w czasach, które właśnie nastąpiły, szlachecki tytuł stanowił okoliczność obciążającą.

– Jestem tutaj ekonomem – odparł zapytany i ponownie próbował wyszarpnąć się ułanom. – Nazywam się Kozłowski.

– Puście go, chłopcy – nakazał Kaledin. – A pan niech mówi. Co się tutaj stało?

– *Pogromszczyki* przyszły jakoś tak w południe – zaczął niepewnym głosem. – „Precz z Polską!”, krzyczeli. „Precz z polskimi panami! Niech żyje wolność! Niech żyje rewolucja!” Służba z miejsca uciekła. Rządcę zabili, bo drogę im zagroził... – Głos uwiązł mu w gardle.

– Gdzie są jego zwłoki? – spytał Kaledin i odruchowo zerknął na boki. W sadzie więcej trupów nie znaleźli.

– Pewno w polu...

– To znaczy?

– Końmi włóczyli...

– Chryste... – jęknął Graba, który zdążył przybiec z sadu i nakreślił na piersiach znak

krzyża. Oczyma wyobraźni ujrzał całe we krwi ludzkie szczątki. – Te zwłoki w ogrodzie do kogo należą? – spytał.

– Do pana dziedzica Korczyckiego, jego żony i dzieci – odparł Kozłowski. Zwiesił głowę na piersi, a jego ramionami wstrząsnął cichy szloch.

W panującej ciszy dał się słyszeć jedynie świst lodowatego wiatru i rzenie koni stojących w pobliżu.

– A te *pogromszczyki* to kto? – spytał Kaledin, zaciskając szczęki. Z dna odzyskanej pamięci wychylił się obraz puszczonej z dymem wsi, z której żywa wyszła jedynie mała dziewczynka z dwoma braćmi. Już do niego dotarła straszna myśl, że jeszcze raz będzie musiał uczynić to samo co kiedyś. Była zbrodnia, musi być kara. Śmierć za śmierć. I tak od wieków.

– Miejscowi – odparł Kozłowski – ale mieli prowodyrów. Takich z czerwonymi wstążkami przy płaszczach. Zapowiedzieli, że jutro przyjdą po resztę dobytku. Dziś spłoszyła ich jakaś strzelanina.

– A pan jakim cudem uszedł z życiem? – spytał Kaledin, podejrzewając, że Kozłowski był z napastnikami w zмовie. Pytanie, dlaczego nie stanął w obronie swych chlebobawców, cisnęło się mu na usta.

– Jakem tylko zobaczył, jak folwark rabują, owinąłem się słomą i niby chochoł przycupnąłem w ogrodzie, na klombie z różami – tłumaczył się przez łzy, wciąż mając w pamięci te straszne, zamroczone samogonem twarze i te dzikie wrzaski z piekła rodem, wydawane przez ludzi, których, jak myślał, znał od lat, lubił i szanował za ich ciężką pracę. – Że jaśnie państwa mordują, domyśliłem się, słysząc ich rozpaczliwy krzyk i płacz dzieci. Sam jeden tej czerni nie dałbym rady – dodał na koniec, domyślając się podejrzeń oficera.

– Niech mi pan powie: dlaczego pan Korczycki nie przeniósł się z rodziną do miasta, jak to inni zrobili? – spytał Kaledin, dochodząc do wniosku, że zrewoltowanej tłuszczy nikt nie mógł się przeciwstawić, poza regularną armią, i to pod warunkiem, że się z nią nie zbrata.

– Jak tylko bolszewiki przewrót zrobiły, pan dziedzic planowali do Sławuty do jaśnie wielmożnego księcia Sanguszki się udać, bo to krewny Korczyckich, ale okazało się, że zbuntowani chłopci księcia zamordowali, a pałac z dymem puścili...

– A szpital w Sławucie? – Kaledin przerwał mu w pół słowa. Odzyskana pamięć przyniosła mu obraz dziewczyny o orzechowych oczach i jasnych włosach, dziewczyny, która była miłością jego życia. Miała czekać na niego w Sławucie. – Co ze szpitalem? – dopytywał się natarczywie.

– Szpital wojsko wcześniej ewakuowało, ale nie wiem dokąd...

Kaledin poczuł, jak mu serce z bólu zamarło. To nie może być prawdą, powtarzał w myślach, zagryzając wargi. Los nie mógł nas po raz drugi rozdzielić. Kozłowski opowiadał jeszcze o korpucie generała Michaelisa, który ponoć maszerował z Kijowa na zachód, do Polski, ale do Hrabów nie dotarł, bo na uboczu leżą, ale to już nie miało dla Igora żadnego znaczenia.

Zwłoki pomordowanych Korczyckich Kaledin odesłał do miasteczka, aby pochowano ich na miejscowym cmentarzu. Wraz z nimi w asyście dwóch kawalerzystów wyprawił także rannych ułanów. Zwołał resztę swego plutonu i przedstawił im swoje zamiary. Całkowicie się z nim zgadzali. Skrupulatnie wykonali wszystkie polecenia i czekali, aż się wypełni czas i wybije godzina. Sypiący z nieba śnieg przyprószył białym puchem pozostawiony przez nich nawet najmniejszy ślad.

Godzina wybiła następnego dnia, kiedy okoliczni chłopci, rozochoceni bezkarnością za popełnioną zbrodnię, łakomi na resztę majątku Korczyckich, ruszyli do dworu. Zasypany białymi płatkami budynek skrzył się w promieniach słońca niczym drogocenny klejnot, odcinając się wyraźnie od błękitu pogodnego nieba. Puszysty śnieg niczym futrzany dywan rozścielony



wokoło lśnił dziewiczą czystością, skrywając pod spodem ślady wczorajszej okrutnej zbrodni i późniejszych przygotowań do zemsty. Jednak oni nie potrafili przystanąć w zachwycie, aby nasycić wzrok urodą tego miejsca i chwili. Ciężko pracując od świtu do nocy, zatarali wszelką wrażliwość nie tylko na piękno, ale i na krzywdę innych. Interesowała ich tylko własna krzywda i jej rachunki właśnie wyrównywali. Smutek i żal topili w samogonie. Inaczej nie umieli. Tak żyli długie lata.

Szli wszyscy: mężczyźni, kobiety i dzieci. We wsi zostali tylko niedołęzni starcy i maleństwa niezdolne do rabowania dobytku. Taka okazja może się więcej nie powtórzyć, bo wszystkie dwory wokoło już zostały splądrowane. Weszli na dziedziniec i szeroką ławą, przepychając się wzajemnie, ruszyli biegiem w stronę budynku. Jako pierwsza pędziła grupka mężczyzn ubranych w wojskowe szynele, ozdobione czerwonymi kokardami – duchowi przywódcy wsiowej społeczności. Liczyli, że w pokojach na piętrze suto się obłowią i do domów wrócą z wojny bogatsi niż przed jej wybuchem. Jeszcze nie wiedzieli, że służyli ideologii, która posiadanie karała śmiercią. Nagle drzwi wiodące do wnętrza dworu otworzyły się i oczom *pogromszczyków* ukazał się karabin maszynowy. Zanim zdążyli pomyśleć, skąd się tam wziął, ciszę rozdarło jego głośnie „terr, terr, terr, terr, terr”, a w ich stronę poleciał grad ołowianych kul. Pierwsi trupem padli ci w szynelach, plamiąc czystą biel śniegu czerwienią – kolorem, który nosili na sztandarach i wstążkach. Tłum z krzykiem rzucił się do ucieczki. Ci, którzy byli ostatni w wyścigu po ziemskie dobro, nagle stali się pierwszymi w wyścigu po życie. Taką przynajmniej mieli nadzieję. Nie zdążyli ubiec nawet kilku kroków, gdy nie wiadomo skąd na ich drodze pojawili się żołnierze na koniach. Galopowali wprost na nich, wymachując szablami. W ich oczach ujrzeli wydany na siebie wyrok śmierci. Konie rżały, tętniąc kopytami po ubitym śniegu. Tłum wydał z siebie krzyk przerażenia i na moment przystanął. Chłopi w panice rozglądali się za drogą ucieczki. Jedyń, która istniała, sami wczoraj własnymi rękoma zawalili, ścinając wszystkie drzewa stojące wzdłuż alei wiodącej od dworu w stronę lasu. Potężne pnie stuletnich lip, których upojny zapach każdej wiosny przyciągał tysiące pszczoł z okolicznych pasiek, leżały w poprzek drogi. Kobiety krzyczały, wznosząc ręce do nieba i do Najwyższego zwracając się o pomoc. Zdążyły zapomnieć błagania pani Korczyckiej o litość nad jej dziećmi. O litość nad sobą nie prosiła, była zbyt dumna. Mężczyźni pożałowali, że nie wzięli ze sobą wideł i kos. Byłyby teraz jak znalazł.

Nie mając innego wyjścia, tłum rzucił się w stronę drogi zawalonej pniami drzew. Chłopi liczyli, że skryją się za nimi jak za barykadą, ale zanim dobiegli, niektórzy padli pod ciosami szabel. Pozostałych dosięgły karabinowe kule. Ich martwe ciała zawisły na barykadzie z drewna. Kaledin ze ściśniętym sercem ogarnął spojrzeniem pobojowisko. Leżący pokotem w kałużach krwi wieśniacy wzbudzali litość i współczucie. A jednak dzień wcześniej z zimną krwią pastwili się nad niewinnymi ludźmi. Jaka diabelska siła popycha ten naród do zbrodni? – pomyślał z goryczą i zawrócił konia.

W grobowej ciszy oddział kawalerii z pochodniami w rękach ruszył w stronę wsi. Pozostali w chałupach nieliczni starcy i gromadka małych dzieci, jak tylko ich ujrzeli, rzucili się do ucieczki, ale nikt ich nie gonił. Im życie darowano. Mieli opowiedzieć sąsiadom, jaka kara spotyka każdego, kto podnosi rękę na życie i mienie sąsiadów. Kaledin pierwszy podłożył ogień pod strzechę jednej z chałup. Reszta poszła w jego ślady. W kilka minut ku niebu uniosły się kłęby czarnego dymu oraz słupy ognia. Wiatr roznosił iskry, wznecając pożary w innych miejscach. Przerażone krowy, świnie i kury, rycząc, kwicząc i gdacząc, rozpierzchły się w panice po całej okolicy. Po chwili zapadła cisza, zakłócana jedynie skwierczeniem ognia, przywodząc na myśl piekło, które ludzie sobie wzajem zgotowali na ziemi, jakby nie mogli się doczekać tego w zaświatach.

Gdy podkomendni Kaledina wyłapali już wszystkie konie, zabrowane przez zbuntowane chłopstwo podczas pogromu, wrócili do opuszczonego, częściowo splądrowanego dworu. Sprawiał przygnębiające wrażenie. Również pamięć o męczeńskiej śmierci jego właścicieli leżała im ciężarem na sercach. Zgodnie z rozkazem zaczęli szykować pluton do wymarszu. Zakładali koniom siodła, podciągali popręgi, pętali luzaki. Na stojącą samotnie na drodze okazałą bryczkę, która cudem przeżyła swych właścicieli, załadowali karabin maszynowy, zapasy amunicji oraz trochę żywności, jaka się uratowała z pogromu.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął Kaledin, podchodząc do Grabowskiego, sprawdzającego stan podków u swego wierzchowca.

– Mów... – poprosił Graba, zerknąwszy na przyjaciela. Tembr jego głosu wydał mu się podejrzany. Chyba Jankowi od wczoraj przybyło siwych włosów, przyszło mu na myśl.

– Wybacz mi, ale dalej z wami nie jadę... – oznajmił Kaledin. Podczas bezsennej nocy przemyślał wszystko i podjął decyzję. Nie chciał jednak uciekać po kryjomu jak tchórz.

– O czym ty mówisz? – Graba początkowo sądził, że źle zrozumiał słowa kolegi. – Jak to nie jedziesz? Jesteś ranny? – Obrzucił Kaledina uważnym spojrzeniem, ale nigdzie nie dostrzegł nawet kropli krwi.

– Nic mi nie jest, poza tym, że nie mogę jechać do Bobrujska – warknął Kaledin, licząc, że zniechęci tym porucznika do dalszych pytań.

– Do diabła! Mów, w czym rzecz! – Graba nie miał zamiaru odpuścić. Uważał tego dryblasza z blizną na twarzy i bez ucha za swego przyjaciela i jeśli on miał kłopoty, to chciał być pomocny. – Chyba zasługuję na odrobinę zaufania?

– Pamięć mi wróciła – Kaledin, znając upór Graby, dał za wygraną i zdradził powód swojej decyzji. Przecież mnie nie aresztują, bo się nie dam, pomyślał. Na wszelki wypadek położył dłoń na rękojeści szabli. – Nazywam się Igor Kaledin. Jestem rosyjskim oficerem, synem carskiego generała, polakożercy, choć jego matka była Polką. Nie mogę zatem służyć w polskiej armii, chyba rozumiesz...

Kiedy do Graby w pełni dotarło znaczenie słów Kaledina, początkowa radość go opuściła. Spojrzał mu w oczy, na których dniu dostrzegł cierpienie.

– Nie musisz zaraz ogłaszać tego faktu w dzienniku porządkowym – starał się bagatelizować sprawę. – Nikt ci przecież dziury w brzuchu nie wierci o świadectwo chrztu – ciągnął dalej. – Wszyscy cię znają jako Jana Kalitę i niech tak zostanie. Ja potrafię dotrzymać tajemnicy. – Przyłożył rękę do miejsca, gdzie biło jego serce, jakby już składał przysięgę.

– Dzięki ci, przyjacielu. – Kaledin uśmiechnął się blado i posłał mu pełne wdzięczności spojrzenie. – Ale to nie wszystko – dorzucił po chwili. – Przed wojną mój pułk stacjonował w Miechowie, gdzie pokochałem pewną dziewczynę, Polkę. Ma na imię Katarzyna. Wojna nas rozdzieliła. Los przypadkiem zetknął nas w szpitalu wojskowym w Sławucie i ona tam na mnie czeka, narażona na taki sam los. – Ruchem głowy wskazał widoczny za oknem sad, gdzie w strasznych męczarniach dokonała żywota rodzina Korczyckich. – Nawet nie wiem, czy już nie jest za późno – dodał na koniec grobowym głosem i zacisnął szczęki, aż mu zęby zgrzytnęły.

Zapadła cisza, w której dały się słyszeć głośnie rozmowy ułanów i rzenie koni.

– Jadę z tobą – oznajmił Graba po krótkim namyśle. On postąpiłby tak samo, aby ratować życie swej żony. – Myślę, że oni – kiwnął głową w stronę ułanów – nie zostawią swego dowódcy w potrzebie.

– Ale to będzie dezercja – uświadomił mu Kaledin. – Mamy przecież stawić się w Bobrujsku. Nie mogę od was wymagać, abyście dla mnie poświęcili swój honor.

– Nie bredź. Jaka tam dezercja?! – Graba przerwał mu w pół słowa. – Sam zginiesz i dziewczyny nie uratujesz – obstawał przy swoim. – Widzisz przecież, co się wyprawia.

Ratowanie ludności cywilnej z tego piekła jest także naszym żołnierskim obowiązkiem – ciągnął dalej, mając już w głowie gotowy plan. – Czy to ważne, którędy dojedziemy do miejsca koncentracji? A jak po drodze natkniemy się na generała Michaelisa, to się z nim zabierzemy. Co za różnica, w którym korpusie będziemy służyć? Nas spory między politykami nie dotyczą. – Robiąc dobrą minę do złej gry, szturchnął Kaledina w bok, choć wiedział, że z tej wyprawy mogą nie wyjść żywi.

Przed sobą mieli do pokonania drogę wiodącą poprzez tereny ogarnięte anarchią, gdzie każdy na własną rękę sprawował władzę i według własnego uznania wymierzał sprawiedliwość, a ich była zaledwie garstka.

## Rozdział 33

Mieszkańcy mijanych wiosek, przysiółków czy chutorów różnie reagowali na widok niewielkiego oddziału wojaków. Niektórzy, niejedno mając na sumieniu, woleli czmychnąć w las, aby uniknąć kary za grabież, gwałt i mordy. Inni nie kryli niechęci, lecz w obawie przed karabinami i szablami żołnierzy trzymali swe mordercze żądze na wodzy. Bywało, że uzbrojeni, atakowali pluton Kaledina zdobytą w niejasnych okolicznościach bronią palną. Szczęściem dobrze celować nie potrafili. Czasami Kaledin był zmuszony zdejmować z bryczki kulomiot i gradem ołowiu obrzucać zbuntowaną wieś. W końcu ułani, mający dość dźwigania żelastwa, zdemontowali tylne siedzenie i na stałe przytwierdzili kulomiot do podłogi bryczki. Wystarczyło odpowiednio się ustawić, aby razić ogniem przeciwnika. Z rzadka rozrzucone po okolicy ziemiańskie dworki czy magnackie rezydencje już należały do przeszłości – splądrowane, rozgrabione, w większości puszczone z dymem bądź rozebrane do fundamentów, aby *pany*, które cudem uszły z życiem, już nie miały do czego wracać. Głód dawał się wszystkim we znaki, zarówno po wsiach, jak i po miasteczkach. Brakowało mąki na chleb i owsa dla koni. Na tym tle często dochodziło do scysji między żołnierzami a chłopami, którzy nie mieli zamiaru swych zapasów uszczuplać.

Nie lepiej przedstawiała się sytuacja w Nowogrodzie Wołyńskim. Kaledin nawet nie musiał się rozpytywać, czy wojsko dotarło do miasteczka. Ślady jego bytności wciąż rzucały się w oczy w postaci zdemolowanych i rozgrabionych sklepów, domów puszczonych z dymem i świeżych grobów na cmentarzu. Armia carska wycofująca się z frontu po nieudanej ofensywie Kiereńskiego zostawiała za sobą ruiny i zgliszcza. W tej sytuacji o szpital wojskowy nie było co pytać. Mieszkańcy cieszyli się, że bolszewicy jeszcze w te strony nie dotarli. W mieście powstały już urzędy podporządkowane Ukraińskiej Centralnej Radzie, która przed paroma dniami ogłosiła niepodległość państwa. Z tego względu mieszkańcy patrzyli na polskich ułanów z wyraźną niechęcią, podejrzewając ich o wrogie zamiary. Spędziwszy noc na plebanii u proboszcza Komarnickiego, ruszyli w dalszą drogę. Niestety, duchowny także nic nie umiał powiedzieć na temat lekarzy i sanitariuszek jakoby wycofujących się razem z wojskiem na wschód.

Po kilku dniach uciążliwej podróży, grzęznąc w śniegu, nocami przemierzając do szpiku kości, przeganiając grasujące po okolicy bandy, w końcu przedarli się bezdrożami przez gęsty sosnowy las odgradzający Sławutę od reszty świata. Niespodziewanie wyłoniły się przed nimi pierwsze zabudowania miasteczka przycupnięte tuż przy ziemi, o dachach przykrytych śnieżnymi czapami. W bladym świetle chylącego się ku końcowi pochmurnego dnia stanowiły przygnębiający widok.

– Naładować karabiny i trzymać w pogotowiu – nakazał Kaledin i wysunął się na czoło plutonu. – Obsada kulomiotu, zająć miejsca!

Obok niego jechał porucznik Grabowski, z tyłu za nimi dwójkami ułani, na końcu bryczka zamieniona na taczankę i przywiązane do niej konie luzaki. Pochód zamykał wachmistrz Kasprzak z dwoma ułanami. Rozglądali się uważnie na boki, nie wiedząc, czego mogą się spodziewać. Budynki, luźno pobudowane z drewna, parterowe, przypominające bardziej chałupy niż domy, sprawiały wrażenie opuszczonych. Tylko z niektórych kominów snuły się niemrawo kłęby szarego dymu. Znak, że szło na zmianę pogody. Dopiero gdy dotarli do centrum, na ulicy pojawili się pierwsi mieszkańcy: okutane wełnianymi chustami baby, wracające z koszami z targu, Żydzi w swych czarnych chałatach spieszący do domów, mężczyźni w baranich kozuchach. Wszyscy z zainteresowaniem zerkali na oddział, z pewnością niezaliczający się do

„sinych żupanów”, jak powszechnie nazywano nowo powstające ukraińskie wojsko z uwagi na niebieski kolor mundurów i wysokie barankowe czapki. Z pewnością nikt oddziału Kaledina nie wziął za armię carską, bo ta już od kilku miesięcy nie istniała, ani tym bardziej za bolszewików, bo byli zbyt czysti i zdyscyplinowani. Nie mieli też żadnych czerwonych wstążek na mundurach czy czapkach.

Miasteczko nosiło ślady świetności z czasów przedwojennych. Położone na wysoczyźnie wołyńskiej, tuż nad brzegiem Horynia i Utki rozlanej w centrum w szeroki staw, otoczone sosnowym lasem, z uwagi na klimat przyciągało kuracjuszy. Pobudowane przed laty urocze drewniane domki z ganeczkami od frontu zdążyły już zmienić właścicieli, o czym świadczyły gromadki dzieci bawiące się przed wejściem oraz kury i kaczki w ogrodzie. Częściowo tylko funkcjonowały powstałe z inicjatywy Sanguszków fabryki, a stadniny koni arabskich już nie było. Kaledin zapuszczał ciekawskie spojrzenie w okna domów, zaglądał w twarz każdej mijanej po drodze kobiecie, mając nadzieję rozpoznać w niej Katarzynę. Obiecała czekać, powtarzał w myślach. Przecież nie mieszkała w pałacu, więc jej zabić nie mogli.

Już wkrótce wokół oddziału zebrała się gromadka wyrostków i ciekawskich mieszkańców Sławuty. Wypytywali, skąd i dokąd oddział zmierza. Ktoś zdążył powiadomić świeżo utworzone władze podległe Ukraińskiej Centralnej Radzie i jej przedstawiciel w asyście urzędników pojawił się na drodze. Odetchnął z ulgą, że to nie bolszewicy, którzy już zdążyli opanować Kijów i parli na zachód. Przedstawił się jako Petro Mikołajko.

– A wy kto? – spytał, groźnie marszcząc brwi. Nic innego już mu nie pozostało, wszak wojskiem nie dysponował.

– Oddział wydzielony I Korpusu Polskiego – skłamał Kaledin, nie chcąc się przyznawać, że dysponował jedynie garstką ułanów, skrzynką granatów i jednym kulomiotem ustawionym na bryczce, odgrywającej rolę taczanki.

– Po czyjej stronie wasze wojsko się opowiada? – wypytywał Mikołajko.

Podczas wędrówki szwadronu Królikowskiego przez zgliszcza imperium Romanów Centralna Rada proklamowała powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej, a bolszewicy powołali do życia Ukraińską Ludową Republikę Rad, co praktycznie oznaczało wojnę domową.

– Jesteśmy neutralni wobec konfliktu Ukrainy z bolszewikami – odparł Kaledin zgodnie z ustaleniami powziętymi jeszcze w Birzule.

On i jego żołnierze nie mieli pojęcia, że kilka dni temu podpisany został w Brześciu traktat między Ukraińską Republiką Ludową a Niemcami i Austro-Węgrami, oddający Ukrainie ziemie, które Polacy uważali za swoje. A to oznaczało konflikt także między sąsiadami.

– Chcemy odpocząć dzień lub dwa i ruszamy w dalszą drogę do naszej ojczyzny – wyjaśnił nieco ogólnikowo, bo tak naprawdę nie miał pojęcia, w którym miejscu zaczynały się ziemie nowej ojczyzny, a kończyły starej.

O Katarzynę nie pytał, bo z rozmowy wynikało, że Mikołajko był w Sławucie człowiekiem obcym, przysłanym z Kijowa. Uspokojony zapewnieniami Kaledina, oddał do dyspozycji oddziału stajnie należące jeszcze nie tak dawno do księcia Sanguszki oraz jeden z budynków gospodarczych. Zobowiązał się też dostarczyć furaz dla koni oraz zapasy żywności dla żołnierzy i zostawiwszy jednego z urzędników jako przewodnika, pożegnał się chłodno.

– Jednak prawdę gadał stary Kozłowski – grobowym głosem odezwał się Graba, gdy minęli centrum miasteczka i pokonawszy most na Utce, poprzez pozbawione liści gałęzie drzew ujrzeni z daleka nędzne resztki stojącego na wzniesieniu wspaniałego ongiś pałacu.

Jego urodę mogli sobie tylko wyobrazić, spoglądając na poczerńiałe kikuty wysokich ścian, pozbawione okien i dachu, przysypane grubą warstwą śniegu. Natomiast wspaniałe stajnie, mogące w oczach osoby nieznającej historii tego budynku ujść za pałac, wyszły z pogromu bez

szwanku. Podobnie jak część oficyny dla służby pałacowej, w której zakwaterowano oddział Kaledina.

Zadbawszy o żołnierzy i konie, Kaledin wraz z porucznikiem Grabowskim wybrali się z wizytą do ufundowanego przez ród Sanguszków na początku XIX wieku kościoła pod wezwaniem Świętej Doroty, mającego być nie tylko miejscem kultu i spotkań miejscowych katolików, ale także rodzinnym mauzoleum. Od bramy pałacowego muru wiodła do niego wydeptana w śniegu dość stroma ścieżka pomiędzy szpalerem wiekowych lip. Po chwili wędrówki ich oczom ukazał się klasyczny w stylu budynek kościoła. Od frontu znajdowało się sporych rozmiarów mauzoleum pobudowane z okrągłych kamieni. Przed wejściem do jego wnętrza kręciło się kilku robotników, jak można było wnosić z tego, czym się zajmowali. Rozłupywali sporych rozmiarów kamienny blok, co mogło sugerować, że pracują nad kolejnym sarkofagiem. Nawet przez myśl im nie przeszło, że już kilka miesięcy później doczesne szczątki książąt Sanguszków zostaną z mauzoleum wywleczone i rozwłócone po okolicy, aby ostatecznie spocząć pod płótem. Nieco z boku, być może doglądając pracy, stał ksiądz, ubrany w ciepły płaszcz z futrzanym kołnierzem i w karakułową czapkę. Dłonie w wełnianych rękawiczkach splótł na brzuchu, jakby miał za moment przystąpić do modlitwy.

– Niech będzie pochwalony! – podchodząc bliżej, zgodnym chórem zawołali Kaledin i Graba.

– Na wieki wieków! – odparł duchowny i teatralnym gestem chwycił się za serce. – Polskie wojsko zawitało do Sławuty! A rozpowiadają plotki, że te ziemie Niemcy Ukraińcom oddali! Witajcie, moi drodzy! – Z otwartymi ramionami rzucił się ściskać obydwu oficerów. – Jestem tutaj proboszczem i mimo trudności wciąż wiodę trzódkę wierną prawdziwej wierze – ciągnął dalej, nie dając dojść do słowa swoim gościom. – Alojzy Wieczorek – przedstawił się na koniec.

– Porucznik Jan Kalita, dowódca plutonu ułanów – Kaledin stuknął obcasami oficerskich butów i skinął głową – a to porucznik Witold Grabowski.

– Plutonu? – W głosie duchownego dał się słyszeć głęboki zawód, jakby liczył co najmniej na dywizję.

– Odłączyliśmy się od naszego szwadronu w poszukiwaniu jednej osoby – zaczął Kaledin, na gwałt szukając słów, którymi powinien przedstawić sytuację. Ksiądz mógł nie zrozumieć, dlaczego on poszukuje wdowy po doktorze Kobierskim. – Bardzo mi bliskiej – dorzucił enigmatycznie.

– To polskie wojsko nie wejdzie do Sławuty? – ksiądz odpowiedział pytaniem, puszczając słowa Kaledina mimo uszu. Cóż go mogły obchodzić losy pojedynczych ludzi, gdy ważyły się losy miasta.

– Jesteśmy w drodze z Odessy już ponad miesiąc, proszę księdza – tłumaczył Kaledin. – Tylko dzięki opatrności boskiej dotarliśmy cało do tego miejsca i nie wiemy nic o wydarzeniach na świecie. Wiemy jedynie, że tworzą się polskie korpusy i zmierzają do ojczyzny. Po drodze zamiast gościny natknęliśmy się na tej ziemi na bezmiar zbrodni i ludzkiego nieszczęścia.

Proboszcz wyraźnie zmarkotniał i ze smutkiem pokiwał głową. I do niego dotarły pogłoski o pogromach, których przyczyn nie mógł pojąć, a szczegółów nie znał, bo wolał od parafii się nie oddalać.

– Więc to pewnikiem prawda, że miasto przypadnie Ukrainie... – oznajmił zrezygnowanym głosem. – Ale czy oni będą zdolni obronić nas przed bolszewikami? – spytał po chwili i utkwiał w oficerach przepełnione troską spojrzenie.

Ale i na to pytanie Kaledin i Grabowski nie znali odpowiedzi.

– Zapraszam do środka, bo mróz sakramencki. – Westchnąwszy ciężko, ksiądz wskazał

ręką przysypane śniegiem schody

Wiodły z obydwu stron mauzoleum na jego szczyt, będący równocześnie tarasem, z którego wchodziło się do świątyni. Stał na nim dość duży krzyż. Drugi, choć mniejszy, widniał na trójkątnym dachu kościoła. Poniżej można było przeczytać napis złożony ze złożonych liter: „Święta Doroto, módl się za nami”. Ledwie oficerowie zdążyli zerknąć na wystrój kościoła, który został wybudowany na wzór i podobieństwo paryskiego kościoła Świętego Eustachego, gdy duchowny otworzył przed nimi niewielkie drzwi i pierwszy, unosząc lekko sutannę, aby nie przydepnąć, ruszył krętymi i wąskimi schodami na górę.

Po chwili dotarli do zgrabnego pokoju z oknami wychodzącymi na łąkę, być może latem tonącą w kwiatach, lecz teraz pokrytą grubą pierzyną śniegu. W rogu stał kominek, w którym wesoło buzował ogień, napełniając ciepłem całe pomieszczenie.

– To gabinet, którego używał świętej pamięci jaśnie oświecony książę Sanguszko, gdy potrzebował się skupić nad jakimś ważnym problemem lub porozmawiać z zachowaniem tajemnicy – wyjaśnił konfidencjonalnym tonem i gestem zaprosił, by usiedli na krzesłach rozstawionych wokół kwadratowego stołu.

– Więc to prawda, że zbuntowani chłopcy zamordowali swego dobroczyńcę? – spytał Kaledin, zdejmując czapkę i płaszcz.

– Ależ uchowaj Boże! – z oburzeniem w głosie zawołał ksiądz i nakreślił na piersiach znak krzyża. – Zagląдали co prawda do wsi tacy, co próbowali buntować, ale okoliczna ludność wiele księciu zawdzięczała, więc nawet w zamroczeniu alkoholowym nie dała się podburzyć. To zrewoltowany pułk zapasowy podniósł rękę na czcigodnego starca...

Kaledin i Graba słuchali opowieści duchownego, mając wciąż w pamięci morze bestialstwa, z którym przyszło im się zetknąć na swojej drodze. Gdy proboszcz skończył, zapadła cisza, zakłócana szumem ognia w kominku.

– Pogrzeb księcia odbył się po trzech dniach – ksiądz wrócił do opowieści, gdy otarł łzy płynące mu po wciąż zarumienionych z mrozu policzkach. – Uczniowie polskiego gimnazjum i szkoły handlowej założonej przez księcia oraz cała polska ludność utworzyli szpaler, którym niesiono trumnę ze zwłokami z kostnicy do kościoła. Ale w pogrzebie wzięli także udział Ukraińcy i Żydzi, a nad trumną przemawiał nie tylko nasz biskup, ale także pop i rabin. Tak mi się wydaje, że wraz z odejściem księcia odeszła już na wieki świetność naszej Sławuty... – stwierdził ze smutkiem i łzy na nowo potoczyły się po jego twarzy.

– Czy nikogo więcej wówczas nie zamordowano? – z drżeniem serca spytał Kaledin.

– Jeśli nie liczyć kozaków, którzy polegli w obronie księcia, reszta przeżyła. – Duchowny kraciastą chusteczką wyjętą z kieszeni sutanny powycierał łzy i głośno wysiąkał nos. – Tym bardziej że zaraz na drugi dzień do Sławuty przyjechał pułk regularnej armii i przepędził buntowników, a morderców aresztowano. Ale cała służba i mieszkańcy pałacu zdążyli już uciec gdzieś do Galicji.

– Czy ksiądz proboszcz wie coś na temat Katarzyny Kobierskiej? Była sanitariuszką w tutejszym szpitalu wojskowym. Ponoć latem został ewakuowany... – Kaledin zawiesił na duchownym z pozoru obojętne spojrzenie, z trudem skrywając gryzący go ogromny niepokój o życie ukochanej.

Proboszcz posłał mu krótkie, uważne spojrzenie i na wszelki wypadek, aby oficer nic nie zdołał z niego wyczytać, szybko spuścił oczy na swoje splecione na podolku dłonie. W pamięci stanęła mu owa młoda dziewczyna, którą los zdążył tak srogo doświadczyć. Poznał ją, kiedy zamieszkała w pałacu i przychodziła na msze i do spowiedzi. Wyjeżdżając, zostawiła mu list dla kogoś dla niej bardzo ważnego, jak powiedziała. Ale na kopercie widniało nazwisko „Igor Kaledin”. Ten zaś, który o nią pytał, nazywał się Jan Kalita. Jego wygląd świadczył, że bardziej

był bezwzględnym zabijaką niż kimś ważnym dla bogobojnej dziewczyny.

– Oczywiście, że znałem panią Katarzynę – odparł z pozoru spokojnym głosem, wciąż unikając wzroku Kaledina. – Kiedy wojsko wywiozło szpital ze Sławuty, przeniosła się do pałacu, aby dbać o zdrowie księcia. Jakimś cudem udało się jej uciec przed gniewem oprawców...

Kaledin, słuchając słów duchownego, z trudem pohamował okrzyk radości, który usiłował wydostać się z jego piersi. A więc żyje moja gołąbeczka, cieszył się w myślach.

– Wyjechała razem z innymi, ale nie wiem dokąd.

Słowa księdza w jednej sekundzie zabiły jego radość.



## Rozdział 34

Kaledin i Grabowski wracali do książęcych stajni w milczeniu. Zapadła już noc i drogę oświetlała im srebrna tarcza księżyca. Zmrożony śnieg złowrogo skrzypiał pod butami.

– I co teraz zrobimy? – spytał Graba, spoglądając ze współczuciem na bladą twarz Kaledina, na której rzucała się w oczy blizna biegnąca od oka do kącika ust. Brak ucha skrywała czapka.

– Rozpytamy się jutro w miasteczku – odparł bez wahania. – Być może nie wyjechała sama. Ktoś musiał coś widzieć, coś słyszeć. Przecież ludzie zawsze i wszędzie interesują się cudzym życiem i wtykają nos w nie swoje sprawy.

Jednak nie musieli czekać do następnego dnia. Jeden ze stajennych, zajmujący się arabami księcia w czasach, kiedy jeszcze stadnina tętniła życiem, nie tylko znał siostrzyczkę, jak powiedział, ale także wiedział, dokąd wyjechała. Po śmierci księcia Sanguszki, kiedy została bez dachu nad głową i środków do życia, leśniczy Osipowicz ją przygarnął i zaprosił do swojej leśniczówki w pobliżu wsi Holiki, kilka wiorst od Sławuty, aby pomagała jego żonie w opiece na gromadką dzieci. Kaledin był gotów wyruszyć natychmiast. Graba z trudem mu ten pomysł wyperswadował. Igor całą noc przewracał się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Wszystkie swoje myśli, cały swój lęk i tęsknotę kierował ku miłości swego życia i modlił się, aby Pan ją zachował i uratował.

Ranek nastał pochmurny, lecz Kaledin nawet nie zwrócił na to uwagi. Poruszał się jak w transie. Popędzał swych podkomendnych, aby jak najszybciej wyruszyć do leśniczówki. Jeszcze tylko dwie, trzy godziny i ją zobaczę, cieszył się w myślach. W końcu oddział ruszył w drogę. Jadący na przedzie Kaledin miał wrażenie, jakby siedział na rozżarzonych węglach, a nie na końskim grzbiecie. Najchętniej ruszyłby galopem, na skróty przez las, lecz rozsądek mu podpowiadał, że nie był to dobry pomysł. Czasy nastały takie, że nawet w małym chutorze można było spotkać całkiem duży oddział uzbrojonych bandytów lub zbuntowanych chłopów, którzy posiadali nawet karabiny maszynowe. Graba jechał tuż obok, rozglądając się wokoło. Jego niepokój wywoływały krążące po okolicy pogłoski o zbliżających się bolszewikach. Nie należało tego lekceważyć. Gdy tylko pluton zostawił za sobą ostatnie zabudowania miasteczka, musieli zwolnić. Mało uczęszczana, zasypana głębokim i sypkim śniegiem droga wkrótce skręciła w las. Wlekąca się na samym końcu bryczka, choć zaprzęgnięta w dwa konie, grzęzła w głębokich zaspach, a wierzchowce momentami zapadały się po brzuchy. Mróz nieco zelżał, lecz w zamian, aby niedogodnościom było zadość, zaczął prószyć śnieg. Szczęściem do leśniczówki, pobudowanej na skraju lasu w niewielkiej odległości od Holików, wiodła tylko jedna droga, więc obawa pobłądzenia nie wchodziła w grę. W końcu stanęli nad brzegiem skutego sinym lodem Horynia. Tuż za rzeką czerniła się ściana sosnowego lasu.

– Jadę pierwszy – oznajmił Kaledin i nie czekając na zdanie Grabowskiego, skierował wierzchowca na lód.

Koń stawiał nogi ostrożnie, jakby wietrzył niebezpieczeństwo. Rżał głośno i momentami przystawał, gdy tylko jego kopyta zaczynały się ślizgać po lodzie. Z radością wyskoczył na brzeg, szczęściem niski, zasypany kopnym śniegiem. Na znak Kaledina ułani jeden po drugim wchodzili na lód, prowadząc konie za uzdę. Na samym końcu wjechała bryczka. Gdy była już na środku, dał się słyszeć huk, przypominający armatni wystrzał. Na lodzie, niczym pajęcza siatka, zarysowały się liczne pęknięcia. Spłoszone konie stanęły dęba i zarżały. Woźnica wpadł w panikę i trząsknął z bicia, pogarszając jedynie sytuację. Kaledin, wiedząc, czym się to może

skończyć, zeskoczył z siodła i wbiegł na lód. Dopadł zaprzęgu i chwyciwszy uzdy obu koni do rąk, ciągnął z całych sił ku sobie.

– Prrr, prrr, prrr, spokojnie, *malczyszki...* – przemawiał czule, nie puszczając uzd. – Bez paniki, *wsie w poriadkie*.

Zwierzęta po chwili się uspokoiły i prowadzone przez Kaledina, szły za nim posłusznie. Zanim lód popękał na kilka kawałków, zdolali bezpiecznie dotrzeć na drugi brzeg.

– Nie wiedziałem, że potrafisz rozmawiać z końmi – zażartował Graba, gdy oddział pokonał nadbrzeżną łąkę i znalazł się na leśnym dukcie, noszącym liczne ślady końskich kopyt oraz płózów sań. – Jakby poniosły, to byłoby po naszych zapasach i karabinie maszynowym.

– Leśniczówka powinna być już niedaleko. – Kaledin puścił mimo uszu słowa Grabowskiego. Był zbyt spięty i podniecony, aby myśleć o czymkolwiek innym niż o Katarzynie.

Po chwili z daleka między drzewami zamajaczyły jakieś poczerwiałe kształty i dotarł do nich mocny swąd spalenizny, przywodzący na myśl tragiczne wydarzenia. Chryste Panie, pomyślał Kaledin i na nic więcej już nie czekając, spał konia ostrogami i galopem puścił się przed siebie. Ziemia zatętniła głucho, a spod końskich kopyt prysnęły grudy zamrożonego śniegu.

– Za mną, chłopcy! – zawołał Graba i popędzając konia, ruszył za Kaledinem, a ułani pognali za nim. Jedynie ciężka bryczka została daleko w tyle, tocząc się powoli.

Już po chwili Kaledin był na miejscu, tam gdzie jeszcze kilka godzin temu stała obszerna leśniczówka. Zostały z niej jedynie zwęglone ściany i dwa sterczące ku niebu kominy. Drewniane elementy budynku jeszcze się tliły, a gdzieniegdzie błąkały się języki ognia. Obficie sypiące się z nieba płatki śniegu z sykiem kończyły swój żywot w zetknięciu z żarem. Ocalała jedynie stodoła i budynki gospodarcze, opróżnione jednak ze wszystkiego.

Kaledin zeskoczył z siodła i gdyby nie Graba i wachmistrz Kasprzak, którzy w ostatniej chwili chwycili go za ramiona, byłby wskoczył w sam środek żaru.

– Puście mnie! – krzyczał i szarpał się zdesperowany. – Może ona jeszcze żyje!

– Opanuj się, Kalita! – wrzasnął Graba. – Skąd wiesz, że ich spalili?! Może zdążyli uciec?! Może wcześniej wyjechali?!

Kaledin ukrył twarz w dłoniach, a jego ramionami wstrząsnął szloch. Boże, ocal ją, modlił się w myślach. Zabrałeś mi wszystkich, ale jej mi nie zabieraj!

– Nie widzę, aby znajdowały się tutaj jakieś ludzkie szczątki! – zawołał jeden z ułanów, którzy długimi drągami grzebali w gasnących zgliszczach.

Kaledin wyrwał się Grabie i nie patrząc, że sadza czerni mu twarz, przeszukiwał pogorzelnisko. Grabowski i Kasprzak poszli w jego ślady. Zanim metr po metrze obeszli całe obejście, z lasu zdążył wyjechać ich wóz taborowy. Woźnica, gdy ujrzał zgliszczka, zdjął z głowy czapkę i nakreślił na piersiach znak krzyża.

– Jedziemy do wsi! – charczącym głosem oznajmił Kaledin i ruszył w stronę swego wierzchowca. – Pohulamy sobie z muzykami.

– Poczekaj, Janku! – Graba chwycił go za ramię. Co za raptus z niego, pomyślał. – Jak ich pozabijamy, to już nikt nam nie powie, co się stało z mieszkańcami leśniczówki. Musimy ich odpowiednio przepytac. Rozumiesz, co mam na myśli? – spytał na wszelki wypadek, widząc szaleństwo w oczach Igora.

Kaledin, słysząc te słowa, nieco oprzytomniał. Ma słuszość, pomyślał i po przyjacielsku klepnął porucznika po plecach.

– Dziękuję, przyjacielu – szepnęła z wdzięcznością i wskoczył na siodło.

Ruszyli kłusem po trakcie wiodącym do majaczącej na horyzoncie wsi. Sypiący z nieba śnieg zasnuł bielą całą okolicę, a konny oddział uczynił niewidocznym. Mieszkańcy musieli ich

jednak w porę usłyszeć, bo część z nich zdążyła zabarykadować się po chałupach. Inni w panice rozpiechli się po okolicy. Jednak ułanom udało się schwycić tuż nad brzegiem Horynia trzech mężczyzn ubranych w kozuchy i baranie czapki, jakie wszyscy nosili w okolicy. Mimo toporków zatkniętych za pasami nie sprawiali wrażenia zorganizowanej bandy. Czas był taki, że bez broni tylko dzieci biegały. Nawet baby chwyciły za widły w razie potrzeby. Wachmistrz i dwaj ułani, szturchając ich w plecy lufami karabinów, doprowadzili jeńców przed oblicze Kaledina siedzącego na koniu, przez co wydał im się jeszcze wyższy, niż był w rzeczywistości.

– *Ne wbiwajcie, pane, my ne winni!* – darli się jeden przez drugiego i padli przed nim na kolana. Od razu się domyślili, że chodziło o puszczoną z dymem leśniczówkę.

Blizna na policzku, brak ucha i gorejąca w czarnych oczach żądza zemsty dodawały Igorowi niesamowitego wyglądu. Wpatrywali się w jego usmarowaną sadzą twarz z przerażeniem. *Isusie Chrystie*, diabeł z piekła rodem, pomyśleli wszyscy trzej.

– Kto ograbił i spalił leśniczówkę? – spytał chrapliwie. Wyciągnął z kabury pistolet i lufę skierował prosto w nich.

– *Ne znajemo!* – odparli chórem i zawzięcie kręcili głowami.

Chytrymi spojrzeniami ciemnych oczu uciekli w bok, aby nic z nich nie wyczytał. Już z ich min Kaledin wywnioskował, że prawdy nie powiedzą, bo musiała być dla nich niewygodna.

– My o niczym nie wiemy! – Na dowód swej prawdomówności brudnymi i sinymi z mrozu paluchami kreślili na piersiach znaki krzyża.

– Łżecie jak sobaki! – wrzasnął, nie panując na nerwami. Aż go ręce świerzbiły, aby wyszarpnąć szablę i posiekać ich na kawałki. – Ale już ja wycisnę z was całą prawdę!

– Może podsmażyć im boczek, jak to zrobił Kmicic posłowi Kalinowskiemu? – spytał usłużnie Graba i zawiesił na Igorze wyczekujące spojrzenie. Jego zdaniem wieśniakom źle z oczu patrzyło.

– O czym ty mówisz? Jaki Kmicic? – spytał Kaledin i spojrzał na Grabę nieprzytomnym wzrokiem.

– Taka postać literacka – bąknął porucznik i machnął po chwili ręką, uświadomiwszy sobie, że Kaledin *Potopu* z pewnością nie czytał. Nadrobi zaległości po wojnie, pomyślał. Już ja tego przypilnuję. Oby tylko ta Kasieńka się odnalazła.

– Mam już dość widoku ognia i krwi – powiedział Igor i zatrzymał spojrzenie na skutej sinym lodem rzece, szeroko rozlanej. Latem wieśniacy poili w niej bydło, baby prały bieliznę, a wyrostki ryby łowiły. – Mam lepszy sposób. Zdejmować buty! – rzucił w stronę wciąż klęczących chłopów i zeskoczył z siodła. – I to migiem, bo jak sam wam zdejmę, to ze skórą – dodał, widząc, że się nie kwapią.

Nie mogąc pojąć, po co temu oficerowi bez ucha są potrzebne ich stare, sfatygowane buty, bez szemrania wykonali polecenie i przestępując z nogi na nogę, czekali, co będzie dalej.

– A teraz na lód zapraszam, mości panowie! – zawołał z kpiną w głosie, wskazując na zamarzną rzekę. – Ślizgawka czeka! I nie radzę uciekać, bo będę strzelał.

Posłusznie wykonali polecenie, sądząc naiwnie, że postać sobie boso na lodzie każdy głupi potrafi. Prędzej panom dupy zmarzną, to sobie pójdą, pomyśleli. Już po kilku minutach wiedzieli, że byli w błędzie. Może gdyby dano im do wyboru, toby woleli przysmażanie boczków, o którym mówił jeden z oficerów, bo lód też zdawał się palić żywym ogniem. Gdy tylko próbowali siadać, ułani strzelali. Z dziur wypływała woda, potęgując katusze. Wystarczyło chwilę postać bez ruchu i skóra natychmiast przymarzała do lodu. Podskakiwali więc bez przerwy niczym w jakimś egzotycznym tańcu. Muzyki tylko brakowało.

– My wszystko powiemy... – jęknął jeden z nich, gdy minęło pół godziny i już z sił opadł. – Tylko pozwólcie wzuć buty.

– Najpierw mówcie – oznajmił Kaledin i zawiesił na nim ponure spojrzenie.

– Leśniczówkę spalił batuszka Stieńka Jakow – trzepał językiem jak najęty, aby jak najszybciej jego męka się skończyła. – Gada, że jest jakimś anarchistą czy antychrystem, czy jakoś tak. Mogę już wzuć buty? – jęknął błagalnie i z nadzieją zerknął na swoje sfatygowane buciory, razem z onucami leżące na śniegu. Wolał nie mówić, że dla nich, okolicznych chłopów, ataman był mścicielem, który odpłacał panom za lata wyzysku i krzywd. Wówczas wyszłoby na jaw, że nie tylko go wspierali, ale także pomagali mordować i grabić burżujów.

– Wzujesz, jak ja ci pozwolę – warknął Kaledin, domyślając się, jaką rolę odgrywał ów Jakow, podważający władzę komitetów i rad, w związku z czym przez bolszewików także uważany za wroga. – Gdzie jest teraz ten Stieńka Jakow?

– *Ne znaju...* – zaprzeczył stanowczym ruchem głowy. Jakow za zdradę własnoręcznie karał śmiercią.

– Jak ci nogi całkiem przymarzną, że toporkiem trzeba będzie rąbać, to sobie przypomnisz – warknął Kaledin i sięgnął po papierosa. Zapalił i z pozornym spokojem spoglądał na podskakujących na lodzie chłopów. Dotarła do nich straszna prawda, że znaleźli się między młotem a kowadłem. Cokolwiek zrobią, czeka ich marny koniec.

– Pojechał ze swoimi do Polany! – płaczliwym głosem oznajmił kolejny z jeńców. Pomyślał, że zemsta Jakowa może go nie osiągnie, jak ten bez ucha z bandą Jakowa się rozprawi. Innej możliwości wolał nie brać pod uwagę. – To taki chutor w głębi lasu. Ma tam kryjówkę.

– Ilu ich jest?

– *Ne znaju...*

Kaledin chwycił parę butów i rzucił daleko w śnieg.

– Będzie ze steka, panie! – trzeci zdecydował się mówić. Już mu było wszystko jedno, byle tylko z lodu zejść. Odnosił wrażenie, że zamiast stóp miał dwa kawałki lodu.

– Co się stało z leśniczym Osipowiczem i jego rodziną? – Kaledin poczuł, jak mu serce załomotało w piersiach.

Życie wielu ludzi zależało od tej odpowiedzi. Jeśli moja gołąbeczka nie żyje, zrównam wieś z ziemią, pasy będę darł z Jakowa, a na koniec palnę sobie w łeb, pomyślał i wbił w chłopów ostre jak nóż spojrzenie.

– Pan leśniczy z żoną i dziećmi wyjechali zaraz po godach – opowiadali jeden przez drugiego, nie mogąc się doczekać momentu, kiedy będą mogli owinąć stopy onucami i wzuć buty.

Jednak dla siebie zachowali informację, że przyczyną wyjazdu rodziny były pogroźki, które rzucali Osipowiczom. Leśniczy to przecież też pan i Lach. Zanim wyjechali, mieszkańcy wsi zabrali im zboże, krowy i świnie. Noże też już na nich ostrzyli.

– Co się stało z dziewczyną, która mieszkała u leśniczego? – Igor z trudem wydobył głos z gardła. Zacisnął dłoń na rękojeści szabli, aż mu stawy zatrzeszczały.

Chłopi wymienili między sobą spojrzenia. Już wiedzieli, w czym rzecz, że nie o leśniczego temu bez ucha chodziło. Zadrżeli ze strachu.

– Okropnie głodowała, biedactwo, gdy Osipowicze wyjechały – kluczyli, aby tylko nie powiedzieć tego najgorszego. – Nauczyła się łapać wróble i to jadła.

– W lesie szyszki zbierała i nasiona wydłubywała...

– Gdzie ta dziewczyna jest teraz?! – Kaledin wyszarpnął z pochwy szablę. Mało serce mu nie pękło z rozpacz, gdy słuchał tych słów. – Mówcie, bo wam te durne łby poobcinam!

– *Bat'ko* Jakow ją sobie upatrzył – jeden z chłopów pospieszył z odpowiedzią. – Musiał ją okrutnie miłować, bo chodził w konkury jak do żadnej. Mleko i miód jej przynosił, ale ona nie

chciała ani jego, ani tego miodu. Wolała te chude wróble. Gdy dalej się naprzykrzał, zebrała się na odwagę i wymierzyła mu kilka siarczystych policzków, a na koniec nawyzywała od chamów. Ale jego to tylko umocniło, że są dla siebie stworzeni. W końcu leśniczówkę puścił z dymem, a dziewczkę porwał...

Z piersi Kaledina wydobył się krzyk rozpacz, niczym ryk śmiertelnie rannego zwierzęcia. Nabrał garść śniegu i dłuższą chwilę przecierał twarz. Z trudem zapanował nad sobą, aby szablą nie usieć chłopów na miejscu.

– Oddać im buty i puścić wolno – wycharczał z trudem.

Rzucił się na kolana i zanurzył głowę w śniegu. Chryste, pomóż, bo ja zaraz oszaleję, pomyślał, czując, jak mu włosy stanęły dęba.

Chłopi wzuli buty i nie oglądając się za siebie, puścili się biegiem w stronę wsi. Nie mając czucia w nogach, co chwilę się przewracali. Graba i Kasprzak ze łzami w oczach w milczeniu patrzyli na rozpaczającego Kaledina. Nie znali słów, które mogłyby go pocieszyć, choć gotowi byli życie poświęcić, aby przyjść mu z pomocą.

Po chwili Igor podniósł się z kolan i starł z twarzy śnieg. Spojrzał na nich oczyma nabiegłymi krwią.

– Zrobimy tak... – zaczął chrapliwym głosem.

## Rozdział 35

Jeszcze słońce nie zdążyło się skryć za lasem, gdy Kaledin w chłopskim kozuchu i walonkach, jadąc konno na oklep, zjawił się w Polanach. Drogę zastąpił mu uzbrojony w karabin jeden z żołnierzy Stieńki Jakowa. Na sobie miał zniszczony szynel spięty skórzanym pasem, a spod wysokiej baranej czapki wystawały mu ciemne kręcone kudły.

– A wy gdzie? – spytał podejrzliwie, chwytając konia za uzdę.

– Ja do *bat'ki* Jakowa – odparł Kaledin i zeskoczył na ziemię.

– A ty kto taki, że do atamana ci pilno?

– Swój – odparł Igor, nacisnąwszy baranią czapkę głębiej na czoło. – Tutejszy, znaczy się. Petro Dybeńko z Szepietówki. Mam dla *bat'ki* poufne wieści.

Żołnierz chwilę przypatrywał się przybyłemu. Nie podobał mu się jego wysoki wzrost, zbyt wysoki. Stieńka Jakow był znacznie niższy, a kto to widział, by byle muzyk był wyższy od atamana. Szczęściem nie zauważył braku ucha, bo to dałoby mu do myślenia. Blizna na usmarowanej Bóg wie czym twarzy nie rzucała się w oczy. Nie dostrzegł też przy nim żadnej broni, lecz kieszenie kozucha wyraźnie miał czymś wypchane. Żołnierz nie mógł wykluczyć, że chłop ukrył w nich granaty. Nie takie rzeczy lepiły się ostatnio wieśniakom do rąk.

– Co tam macie? – spytał, wskazując wzrokiem zdeformowane kieszenie kozucha.

– Gościniec dla was. Mróz tęgi, to przyda się na rozgrzewkę. – Kaledin zarechotał głupekowato, jakby żart jakiś opowiedział, i wręczył żołnierzowi dwie butelki samogonu.

Oczy mu się zaświeciły i całkiem się udobruchał. Wcisnął butelki do kieszeni szynela i poufale poklepał Kaledina o plecach.

– *Bat'ko* Jakow jest tam. – Wyciągniętą ręką wskazał przycupniętą nisko przy ziemi krytą strzechą drewnianą chatę i zarzuciwszy karabin na ramię, zniknął między drzewami.

Kaledin, idąc wydeptaną w śniegu ścieżką, dyskretnie zerkał na boki. Chutor był niewielki i liczył sobie zaledwie kilka chat na krzyż i ze dwie stodoły. Igor zastanawiał się, gdzie buntownicy mogli przetrzymywać Katarzynę i ilu ich tak naprawdę było. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Jakow pozbawił ją życia. Jeśli zniewolił, pasy żywcem będę z niego dał i oczy wyłupię, obiecywał w myślach krwawą zemstę. Jednak we wnętrzu chat poprzez maleńkie okna niczego ani nikogo nie mógł dojrzeć. Gdy zapukał do drzwi wskazanej chałupy, otworzył mu mężczyzna w średnim wieku, ubrany w żołnierską bluzę i spodnie wpuszczone w wysokie buty. Dłoń trzymał na kaburze rewolweru przypiętej do oficerskiego pasa z szelkami. Obrzucił Kaledina badawczym spojrzeniem, ale głupekawy uśmiech i postawa silnego, lecz mało rozgarniętego chłopca uspiły jego czujność.

– Czego? – warknął, zagradzając swym ciałem szparę w drzwiach.

– Ja do *bat'ki* Jakowa z wiadomością zostałem przysłany – odparł Kaledin i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mów – mężczyzna nakazał stanowczym tonem.

– Kazano przekazać *bat'ce* Jakowowi – obstawał przy swoim i nachmurzył się jak dziecko, któremu odmawiano cukierka.

Mężczyzna szerzej otworzył drzwi i Kaledin wszedł do środka. Serce waliło mu jak młotem. Jeśli Katarzyna mnie rozpozna i się z tym zdradzi, to zginiemy oboje, układał w myślach plan działania, czując przez koszulę chłód wiszącego na piersiach granatu. Jednak w izbie za stołem, na którym stała butelka samogonu i kilka szklanek, siedziało jedynie dwóch dość młodych mężczyzn w strojach będących kombinacją oficerskiego munduru z tradycyjnym

strojem kozackim. Byli całkowicie pochłonięci dyskusją na tematy polityczne, jak Kaledin zdołał się zorientować.

– Państwo jest dla ludzi szkodliwe! – dowodził nieco bełkotliwie jeden z nich, ten niższy, o ciemnych, mocno kręconych włosach, które opadały mu grzywką na oczy. Wbił w swego rozmówcę spojrzenie ostre jak stal, którego tamten nie był w stanie wytrzymać i opuścił wzrok. – Rewolucja nie ma polegać na tym, że teraz rządzić będą bolszewicy za pośrednictwem dyktatury proletariatu, lecz na faktycznym oddaniu władzy w ręce robotników i chłopów. Państwo do niczego nie jest potrzebne i dlatego należy je zniszczyć natychmiast. I to za pomocą terroru.

– Masz, Stieńka, całkowitą rację – zgodził się ten drugi, dość mocno zamroczony samogonem. Rozparł się łokciami na stole i usiłował trafić zapaloną zapalką do papierosa, którego trzymał w ustach. – Państwo nic innego nie robi, tylko ściągą podatki i chłopów do wojska pobiera. Nasze problemy we wsi od zawsze załatwialiśmy sami, a jak kto zawinił, to i karę się wymierzało. Do tego nie są nam potrzebni ani biali, ani czerwoni.

– I dlatego należy bić czerwonych, aż zbieleją, i bić białych, póki nie poczerwienieją! – głośnym śmiechem wybuchnął Stieńka, zadowolony z wymyślonego przez siebie sloganu, który powtarzał przy byle okazji. – A ty czego chcesz? – warknął, zauważywszy nagle stojącego w progu Kaledina. Z miejsca pozazdrościł mu wysokiego wzrostu i barczystej sylwetki. Pod tym względem Stieńka miał kompleksy od dziecka. Jak siedział przed wojną w więzieniu, wyzywano go od kurdupli.

– Oddział wojska zainstalował się w Szepietówce – usłużnym tonem donosił Kaledin, kłaniając się w pas.

Napatrzył się w swym życiu dość, jak prości ludzie musieli giąć karki przed swymi chlebobawcami czy zwierzchnikami, więc ich naśladowanie poszło mu gładko. Stieńka Jakow, choć głosił śmierć wszystkim, którzy staną na drodze do zdobycia wolności przez lud pracujący, sam zachowywał się jak udzielny władca.

– Bolszewicy? – spytał.

– To pańskie wojsko, Lachy – Kaledin kłamał jak z nut. – Będzie ich sotnia, a może dwie. Ciągną ze sobą liczne podwozy, wyładowane dobrem wszelakim, a dowodzący nimi generał podróżuje automobilem. Uciekli z Kijowa przed bolszewikami – dodał na koniec i obtarł nos rękawem wyszmelcowanego kozucha.

– No to populamy sobie jutro z Lachami, aż im się żyć odechce! – z radością wykrzyknął Jakow i zerwał się z krzesła. – Lepszego prezentu ślubnego nie mogli mi sprawić. Własnym automobilem pojedę do cerkwi – oznajmił z satysfakcją i nalał do szklanek samogonu. – Na, masz! – Podał jedną Kaledinowi. – Wypij za zdrowie młodej pary!

Igor poczuł lodowaty dreszcz na plecach. Tego się nie spodziewał. Jeszcze chwila, a nie zapanuje nad sobą i uduszę tę swołocz gołymi rękoma, pomyślał, zaciskając dłoń na szklance. Niewiele brakowało, aby pękła.

– A któraż to panna dostąpi zaszczytu? – spytał, wlawszy w siebie palący płyn jednym haustem. Obtarł usta wierzchem dłoni i szklankę odstawił na stół.

– Pilnuj swego nosa – odburknął Jakow, zdając sobie sprawę, że ślub pod przymusem był nieważny w świetle prawa.

Jemu jednak chodziło jedynie o udobruchanie ambitnej panny, a nie o legalny związek. Jak mi się dziewczka znudzi, dam ją moim mołojcom do zabawy, pomyślał, czując dreszcz podniecenia na wspomnienie wymierzonych mu przez krewką dziewczynę policzków.

– To my beczkę samogonu na wesele przywieziem dla naszego kochanego *bat'ki*! – zawołał Kaledin, szczerząc głupkowato zęby. Pokłonił się nisko i niezatrzymywany wyszedł z chaty.

Drogę przez las pokonał jak w transie. Skoro ma być ślub, to na razie siłą mojej gołąbeczki nie weźmie, pocieszał się w myślach. A jutro, jak Bóg da, rozpędzimy na cztery wiatry to szemrane towarzystwo.

Oddział ułanów zainstalował się w stodole, która wyszła cała z pożaru leśniczówki. Chłopom z Holików kazali przywieźć trochę słomy i niezbędne sprzęty, aby mogli jako tako funkcjonować. Chcąc udobruchać wojaków, wieśniacy z własnej inicjatywy dorzucili im kilka butelek samogonu. Kawalerzyści rozsiedli się za stołami i topiąc smutek w alkoholu, snuli plany, jak to będzie po wojnie. Jedynie Kaledin wymknął się niepostrzeżenie do stojącej na skraju lasu niewielkiej cerkwi, której złote hełmy, zdobiące dwie niewysokie wieże, lśniły w blasku księżyca. Noc spędził na kolanach przed ikoną Matki Boskiej Kazańskiej, modląc się o zachowanie przy życiu swojej ukochanej.

Skoro świt ułani obstawili drogę wiodącą z chutoru Polany w stronę Szepletówki. Na zasadzkę wybrali miejsce tuż za łukiem drogi, aby oddział Jakowa zbyt wcześnie ich nie wypatrzył. Mógłby wówczas zmienić plany i zawrócić, aby poszukać innej drogi. Pierwszy szereg ułanów rozłożył się brzuchami na śniegu z karabinami gotowymi do strzału. Tuż za nimi klęczał drugi szereg. Z tyłu stanęła bryczka z karabinem maszynowym i jego obsługą w postaci porucznika Grabowskiego i wachmistrza Kasprzaka.

Dochodziła godzina dziesiąta, gdy do czekającego z drżeniem serca Kaledina i jego ludzi dotarł tętent końskich kopyt oraz jakieś buńczuczne pokrzykiwania. Po chwili zza zakrętu wyskoczyli jeźdźcy, jedni poubierani w kozuchy, inni w żołnierskie szynele. Na głowach większość miała wysokie czapki z baraniej wełny, ale nie brakowało też czapek wojskowych. Zwykła zbieranina, a nie wojsko, pomyślał Kaledin na widok tej dość licznej gromady, uzbrojonej w karabiny i szable. Niektórzy, zapewne oficerowie, mieli przy pasach kabury z rewolwerami. Gdy z daleka na swojej drodze ujrzeli uszykowanych do walki żołnierzy, momentalnie osadzili konie i czekali na decyzje swego atamana. Jakow z miejsca nabrał pewności, że zasadzkę urządziło wojsko, o którym poprzedniego dnia opowiadał wysoki ponad miarę miejscowy chłop. Tylko gdzie ukryła się reszta? – pomyślał, widząc garstkę żołnierzy, nie więcej niż pluton. Rozejrzał się wokoło, jednak pomiędzy drzewami nikogo nie ujrzał. Skinieniem ręki przywołał do siebie swoich kamratów.

– Ktoś zdradził! – warknął, lustrując ich twarze surowym spojrzeniem. Skulili się w sobie, pokorni jak niewolnicy. – Osobiście zdrajcę zastrzelę jak psa! – wrzeszczał siny ze złości. – Wytluc Lachów co do nogi, żeby tu już nigdy więcej nie powrócili! – zawołał po chwili buńczucznie.

Jeźdźcy błyskawicznie ustawili się w szyku i wywijając szablami, ruszyli galopem do ataku. Mając przewagę liczebną, liczyli na łatwe zwycięstwo. Jakow wraz z grupką swych najbliższych kamratów zostali w bezpiecznej odległości, obserwując przebieg walki.

– Spokojnie, chłopcy, spokojnie – Kaledin, stojąc tuż obok pierwszego szeregu, studził zapal gotowych do odparcia ataku ułanów. – Jeszcze nie teraz. Niech podjadą bliżej. Strzelać dopiero na mój znak.

Leżąc na zmrożonym śniegu, czuli, jak ziemia drżała pod końskimi kopytami. Z daleka dolatywało do nich pbrzękiwanie szabel i rżenie koni, a im krew coraz szybciej krążyła w żyłach, palce coraz mocniej ścisnęły kolby karabinów. I wówczas rozległ się gwizdek Kaledina. Wraz z nim huknęła salwa i błysnął ogień. Na ziemię z końskich grzbietów pospadali pierwsi zabici. Oberwało się też koniom, które kwicząc przeraźliwie, dokonywały żywota, brocząc krwią. Drugi gwizdek i kolejna salwa, za chwilę jeszcze raz i jeszcze raz. Gwizdek i salwa, gwizdek i salwa, gwizdek i salwa. Rżenie koni, krew bryzgająca na śnieg, rżenie konających, jęki rannych. Pierwszy atak został odparty. Jeźdźcy zawrócili, ale zbesztani przez



Jakowa, po chwili, akurat na tyle dłużej, aby ułani zdążyli raz jeszcze naładować karabiny, zaatakowali ponownie. Tym razem ataman osobiście poprowadził ich do boju.

– Czekać, chłopcy, czekać – spokojny głos Kaledina studził w gorącej wodzie kąpanych ułanów.

Dreszcz emocji czuli na karkach. Któryż to raz przyszło im zmierzyć się z kostuchą?

Gdy konnica znalazła się na odległość strzału, rozległ się dźwięk gwizdka i huknęła salwa karabinowa. W pierwszym szeregu się zakotłowało. Niektóre konie, już uwolnione od jeźdźców, w panice wpadły między drzewa i pognały w las. Gdy ułani wystrzelali cały zapas naboju w swoich karabinach, na znak Kaledina zaszczekał kulomiot. Jego głośnie „terr, terr, terr, terr, terr” mieszało się z rzeniem koni. Jeden po drugim napastnicy spadali z siodeł, inni koziołkowali razem z wierzchowcami. Kilku ocalałych z pogromu jeźdźców, w tym Jakow, w panice uciekło w las. Za sobą pozostawili leśną drogę zasłaną trupami swoich towarzyszy.

Nie mając zamiaru ich gonić, Kaledin wskoczył na siodło i popędzając konia szpicrutą, puścił się galopem w stronę chutoru, zanim Jakow wraz z niedobitkami swojej bandy zdąży się pozbierać do kupy i wróci do swego zbójckiego gniazda. Igor zwolnił, gdy w prześwicie między drzewami ujrzał z pozoru opustoszały chutor. Nie wiedział, czego może się spodziewać. Być może część oddziału pozostała w chałupach. Wjehawszy pomiędzy chaty, wypalił z pistoletu w powietrze. Już po chwili z jednej z nich wytoczyło się dwóch bandziorów. Pilnując narzeczonej *bat'ki*, aby mu nie wyfrunęła przed ślubem, racyli się samogonem. Obydwaj mieli już dobrze w czubie. Zanim zorientowali się w sytuacji, Kaledin dobył szabli i dwoma zdecydowanymi cięciami rozplątał im łby. I wówczas z chaty wybiegła Katarzyna. Widząc otwarte na oścież drzwi, postanowiła skorzystać z nadarzającej się okazji i uciec w las. Zarzuciła na siebie barani kozuch, który dostała w prezencie od leśniczyny, bo jej cała garderoba poszła z dymem podczas pożaru pałacu, a na głowę starą, podgryzioną przez mole czapkę, spod której na plecy spływały długie do pasa kręcone włosy. Gdy ujrzała Kaledina siedzącego na koniu, zamarła, a krew odpłynęła jej z twarzy. Ja chyba śnię, pomyślała, nie mogąc zrobić ani kroku.

– Igor! – krzyknęła po chwili, gdy oprzytomniała. I przyciskając do piersi płócienny tobołek, w którym miała wszystkie swoje tułacze skarby, rzuciła się ku niemu.

Kaledin zeskoczył z konia i chwycił ją w objęcia. Ze szczęścia brakowało mu tchu.

– Kochanie ty moje, skarbie jedyny – powtarzał w kółko, tuląc ją w ramionach. – Teraz już nic nas nie rozdzieli. Nawet śmierć.

– *Moj gołubczik*, wróciłeś, nie zapomniałeś – szeptała nieprzytomna ze szczęścia i podniosła ku niemu zalaną łzami twarz.

Przypadł do jej ust tak mocno, jakby chciał całą ją pochłonąć, aby już nikt mu jej nie odebrał.

– Musimy uciekać – oznajmił, gdy z braku tchu oderwali się od siebie.

Wskoczył na siodło i podawszy Katarzynie rękę, posadził ją przed sobą na końskim grzbiecie. Smagnął wierzchowca szpicrutą i galopem ruszył w drogę powrotną ku swoim. Gdy z daleka ujrzał ułanów, jak obchodzili pole bitwy w poszukiwaniu rannych, usłyszał huk wystrzału i w tej samej sekundzie poczuł rozrywający ból w prawym boku.

**Część piąta**  
**Po burzy**

## Rozdział 36

Dzień był słoneczny, lecz chłodny. Na tle ciemnego błękitu nieba czerwieniły się ostatnie zwiedłe liście, których jesienne wiatry nie zdołały strącić z gałęzi drzew. Te, które już spadły, szeleściły gnane podmuchami to w jedną, to w drugą stronę. Paweł Rawecki, ciągnąc za lejce, zatrzymał bryczkę w pobliżu innych, stojących wzdłuż ogrodzenia kościoła parafialnego w Miechowie. Ostrożnie, aby się nie potknąć, zsiadł z kozła i pomógł swojej żonie Agnieszce wysiąść z bryczki. Czarny płaszcz kupiony przed kilku laty wisiał na niej jak na haku, będąc dowodem tego, jak bardzo ostatnio schudła, a spod niewielkiego kapelusza, którego woalka zakrywała jej twarz, wymykały się pasemka posiwiałych włosów. Sięgnęła po naręczce ostatnich już róż z ogrodu w Porętowie, leżących na siedzeniu, i zagryzając wargi, aby się nie popłakać, ruszyła za mężem w kierunku kościelnej bramy. Ilekroć tutaj przychodziła, a przychodziła często, zawsze płakała. Nie mogła zapanować nad wzruszeniem, które ją ogarniało, gdy uświadamiała sobie, że z tego świata odeszło tyle bliskich jej osób, w tym pierworodny syn, Cezary. Wraz z Raweckimi do kościoła Grobu Bożego zmierzali mieszkańcy Miechowa i okolicznych miejscowości, aby uczestniczyć w ostatnim pożegnaniu Apolonii Raweckiej, wdowie po świętej pamięci Andrzeju, zmarłym nagle w kościele podczas pasterki w pierwszym roku wojny. „Jaka piękna śmierć” – mówili wówczas niektórzy z odrobiną zazdrości w głosie, czego Agnieszka w żaden sposób nie mogła pojąć. Jak śmierć może być piękna? – pytała sama siebie. Nigdy nie była na polu walki, więc skąd mogła wiedzieć, że tam śmierć nie miała w sobie nic z majestatu i wzniosłości, że była bolesna, pełna brudu, smrodu i błota.

Wnętrze kościoła było wypełnione do ostatniego miejsca, poza ławką dla najbliższej rodziny, gdzie już czekała na brata i bratową obleczona w zakonny habit siostra Benedykta, przez rodzinę zwana Lalą. Byli to jedyni żyjący krewni zmarłej, której zwłoki spoczywały w otwartej trumnie, wystawionej w punkcie centralnym świątyni. „Pięknie wygląda świętej pamięci Apolonia” – ścisząc głos, komentowały sąsiadki, z zazdrością spoglądając na jej smukłą sylwetkę obleczoną w czarną suknię i koronkowy szal, także czarny, zakrywający siwe włosy upięte w kok jak za życia. Sprawiała wrażenie osoby pogrążonej w głębokim śnie, a nie zmarłej na influencę.

Kiedy Agnieszka i Paweł zajęli przynależne im miejsca, a na ambonie stanął ksiądz proboszcz i powiódł wymownym spojrzeniem po swojej trzódce, wszelkie szmery ucichły i świątynię wypełniła pełna powagi i smutku cisza. Któryż to już raz żegnamy naszych zmarłych i modlimy się za ich dusze? – z bólem serca pomyślała Agnieszka, padając na kolana, aby zmówić „Ojcze nasz”. Nie było jej dane pomodlić się na grobie Cezarego, pogrzebanego na obcej ziemi. Jeszcze nie wiedziała, że kilka lat później staraniem polskich władz prochy ułanów poległych w szarży pod Rokitną, w tym jej syna, zostaną sprowadzone do ojczyzny i uroczyście pochowane na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Albin też ostatnio nie pisał, a o Wiktorze wszelki śluch zaginął. Nie miała również żadnej wieści od Katarzyny. Kiedy tylko pojawiła się możliwość, Paweł pojechał do Łodzi, ale tam już córki nie zastał. Nie było jej także w Warszawie, dokąd ponoć uciekła z mężem przed Niemcami. Agnieszka nie wiedziała także, bo i skąd, że Leopold i Liza oraz ich córka Daria już nie żyli, a los Koli i Jury pozostawał nieznany. Także Ewelina i Seweryn, odcięci kordonem granicznym na mocy traktatu brzeskiego, nie dawali znaku życia. Zatopiona w modlitwie, błagała Najwyższego, aby pozwolił jej dzieciom wrócić do rodzinnego gniazda.

– Piękny pogrzeb miała nasza mama – słowa męża przywróciły Agnieszce do

rzeczywistości.

Pogrążona we własnych myślach, nawet nie zauważyła, kiedy smutna ceremonia dobiegła końca.

– Tak, piękny – zgodziła się bez większego entuzjazmu. Cóż pięknego może być w pogrzebie? – pomyślała, ujmując męża pod ramię.

Paweł po pierwszym szoku, jaki przeżył z chwilą wybuchu wojny, i po wprowadzeniu pierwszych restrykcyjnych zarządzeń austriackich władz okupacyjnych zdążył wrócić do równowagi psychicznej. Z biegiem czasu zauważył, że rządy Austriaków miały też swoje dobre strony. Zaczęto utwardzać drogi, wykorzystując do tego kamień wydobywany w okolicy, wybudowano kolej wąskotorową, łącząc Miechów z Charsznicą i Kazimierzą Wielką, a z czasem przywrócono swobody obywatelskie i zezwolono na spolszczenie administracji oraz szkolnictwa. Proces ten nabrał tempa po ogłoszeniu aktu 5 listopada w 1916 roku, który zapowiadał utworzenie Królestwa Polskiego. Wszystko to ułatwiało Pawłowi prowadzenie folwarku w Porętowie, do którego przenieśli się z żoną po śmierci ojca. Agnieszka z żalem zamknęła swoją jadalnię, ale wkrótce odnalazła się w roli ogrodniczki, poświęcając każdą chwilę uprawie krzewów róż, których Lala różne odmiany przywoziła jej z Krakowa. Jednak po otrzymaniu wiadomości o śmierci Cezarego popadła w głęboką melancholię, zostawiając na pastwę losu swój ogród i krzewy różane. Przy życiu utrzymywała ją nadzieja, że pozostałe dzieci gdzieś blakają się po świecie i wraz z końcem wojny wrócą do rodzinnego gniazda.

– Może złożymy jeszcze kwiaty pod pomnikiem? – zaproponował Paweł nieśmiało, pomagając żonie wsiąść do bryczki. Miał nadzieję, że widok ludzi, znanych sobie ulic i domów w Miechowie pobudzi ją do życia, które wydawało się jej w ogóle nie interesować.

Zgodziła się kiwnięciem głowy i Paweł trzasnął z bicza. Stara ojcowska bryczka podskakiwała na nierównościach drogi wiodącej do rynku, gdzie przed dwoma laty za zgodą władz austriackich mieszkańcy Miechowa pobudowali pomnik, mający upamiętnić ofiary walk toczących się w okolicy w pierwszym roku wojny. Zgodnie z projektem Wacława Niezabitowskiego, miejscowego nauczyciela, miał kształt strzelistego cokołu z piaskowca z orłem zrywającym się do lotu na szczycie. Na moment odsłonięcia pomnika wybrano 18 sierpnia, dzień urodzin cesarza Franciszka Józefa, która to data była bardzo bliska pamiętnego dnia, kiedy do Miechowa wkroczył Piłsudski ze swoją kompanią. Także lokalizacja nie była przypadkowa. Pomnik postawiono w miejscu studni, do której Rosjanie po bitwie miechowskiej wrzucali zabitych i rannych powstańców styczniowych.

– Szkoda, że ojciec nie dożył tej chwili – z westchnieniem powiedziała Agnieszka, składając kwiaty u stóp obelisku. – Byłby szczęśliwy, że w końcu miejsce kaźni tyłu jego towarzyszy broni doczekało się upamiętnienia.

– Powinno się pomyśleć o budowie pomnika na cmentarzu, tam gdzie w dole na wapno pochowano pozostałych powstańców – stwierdził Paweł. – Całe lata zabraniano nam nawet krzyż tam postawić czy świeczkę zapalić. Jeśli nie będziemy pamiętać o naszych bohaterach, cóż będziemy wari jako naród?

Tak zapalił się do swego pomysłu, że całą drogę powrotną do Porętowa zasypywał Agnieszkę coraz to nowymi sugestiami, jak taki pomnik powinien wyglądać.

– Moim zdaniem – wtrąciła Agnieszka, wykorzystując chwilę ciszy, która zapadła, gdy Pawłowi wyczerpał się arsenał pomysłów – pomnik powinien przypominać skromną kapliczkę. Taką z Matką Boską Częstochowską.

Ani się spostrzegli, gdy dotarli do dworu. W promieniach jesiennego słońca lśniły jego białe ściany, a podmuchy chłodnego wiatru strącały z gałęzi drzew rosnących w sadzie resztki zwędłych liści. Trzeba by dach położyć nowy, pomyślał Paweł na widok porośniętych mchem

dachówek, które w wielu miejscach ponadgryzał ząb czasu. Po śmierci ojca zdążył odremontować budynki gospodarcze, które popadły w ruinę, gdy wojsko stacjonowało na folwarku. Kupił także w Krakowie nowy sprzęt i narzędzia rolnicze.

„A tak się zarzekałeś, synku – mawiała za życia Apolonia – że ty na hreczkosieja się nie nadajesz. Jeśli nie ty, to kto?” – pytała, dumna ze swego syna.

Zmęczeni pogrzebem, zasiadali właśnie do obiadu, czekając, aż Antosiowa poda im zupę, gdy nagle z zewnątrz do ich uszu dobiegł jakiś rejwach. Po chwili usłyszeli krzyki Antosiowej:

– Chryste Panie! Bogu Najwyższemu niech będą dzięki!

Zerwali się zza stołu i wybiegli na ganek ozdobiony dwiema kolumnami. Ich oczom ukazała się odjeżdżająca spod domu dorożka zaprzęzona w dwa konie oraz Antosiowa ściskająca w ramionach jakąś drobną kobietę. Tuż obok stał postawny oficer, ale jakiej szarży, Paweł się nie rozeznał. Odnosił dziwne wrażenie, jakby już kiedyś tego człowieka spotkał na swojej drodze. I nie były to przyjemne okoliczności.

– Kasia! Dziecko moje! – nagle z piersi Agnieszki wyrwał się krzyk tak głośny, że z pewnością postawiłby na nogi umarłego, jak lubił mawiać Paweł.

Zbiegła ze schodów jak oszalała i wyrwała przybyłą kobietę z objęć Antosiowej. Nie panowała nad łzami, które zalewały jej twarz, a ze wzruszenia nie mogła wydobyć z siebie ani słowa więcej. Paweł nie miał zamiaru czekać, aż żona nacieszy się odzyskaniem córki. Ogarnął obie ramionami i płakał rzewnie razem z nimi.

– Mamusiu! Tatku! – pociągając nosem, zaczęła Katarzyna, gdy w końcu wyswobodziła się z ramion rodziców. Miała wrażenie, że lada moment ją uduszą. – Pozwólcie, że wam przedstawię mojego narzeczonego. – Wskazała stojącego obok oficera, ubranego w oliwkowy frencz i granatowe spodnie z amarantowymi lampasami, wpuszczone w wysokie, starannie wyglansowane buty. Zdjął z głowy czapkę z orzełkiem i nerwowo miętosił ją w palcach, cierpliwie czekając, aż przyjdzie na niego kolej. – Porucznik Jan Kalita.

Uśmiechając się życzliwie, spojrzeli na niego przez łzy. Za nic mieli bliznę na policzku i brak ucha, które szpeciły jego twarz oraz mimo młodego wieku siwe włosy na skroniach. Po latach wojny i nieszczęściach, które ich dotknęły, już wiedzieli, co w życiu jest ważne, a na co należy machnąć ręką. Chyba mi się zdawało, że to on, pomyślał Paweł, prowadząc córkę i jej narzeczonego do jadalni, gdzie już czekał obiad. Tamten był Rosjaninem, a ten jest polskim oficerem. Jednak gdy siedzieli już przy stole i ich spojrzenia się skrzyżowały, Paweł rozpoznał Kaledina. Poczul ogromną ulgę, że jego córka odzyskała swego ukochanego. Nie miał jednak zamiaru zdradzać się ze swoim odkryciem. Może będzie lepiej, że przeszłość zostanie zakryta, pomyślał, podsuwając Igorowi wazę, aby dolał sobie zupy. Także Agnieszka nie dała się zwieść. Te czarne oczy, wpatrzone z ogromną miłością w jej córkę, rozpoznałaby pośród tysiąca innych. Skoro Bóg tak chciał, ja nie będę się przeciwstawiać. Oboje przeszli przez piekło, aby znowu być razem, pomyślała, szczęśliwa z powrotu swego dziecka. Jedno tylko nie dawało Agnieszce spokoju: co się stało z dzieckiem, które Katarzyna nosiła pod sercem, i ze Stefanem Kobierskim, za którego wyszła za mąż. Gdy wieczorem zostały same w salonie i Katarzyna opowiedziała matce, co przeszła, mało jej serce z bólu nie pękło.

Ślub odbył się kilka dni później. Z uwagi na czas wojny i krótki żołnierski urlop pana młodego ksiądz musiał zrezygnować z zapowiedzi i innych wymogów, możliwych do zrealizowania w normalnych warunkach. Kaledin nie posiadał się ze szczęścia. Stojąc przed ołtarzem, zdał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, aby tego dnia nie dożył. Gdy dosięgła go kula, być może wystrzelona przez Jakowa lub kogoś z jego bandy, błakającego się po lesie, był przekonany, że oto nadeszła jego ostatnia chwila.

– Chwyć wodze – zdążył wówczas szepnąć, czując, jak traci siłę w dłoniach. – Zdaje się,

że oberwałem.

– Jezus Maria... – Katarzyna pisnęła przez łzy. – Obejmij mnie mocno w pasie – poleciła przytomnie i delikatnie ciągnąc wodze, osadziła konia. Oby tylko nie spadł z siodła, pomyślała zrozpaczona.

Ze swego tobołka wydobyła płócienną koszulę. Podarła ją na kawałki, z których ukręciła powróż i przywiązała nim Igora do siebie.

– Przyciśnij do rany, aby krew zatamować – poprosiła z troską w głosie, wręczając mu resztki płóciennej koszuli.

Gdy posłusznie wykonał jej polecenie, ruszyła stępa przed siebie.

– Jeszcze tylko kawałeczek i już będziemy na miejscu – szeptała drżącym głosem. – Dasz radę?

– Dam... – odparł słabnącym głosem.

Po kilku minutach, które Katarzynie wlekły się w nieskończoność, dotarli w pobliże leśniczówki. Starając się zapanować nad szlochem, przez zasznurowane panicznym lękiem gardło krzyknęła rozpaczliwie:

– Na pomoc! Ratunku!

Porucznik Grabowski i wachmistrz Kasprzak natychmiast puścili się biegiem w jej stronę.

– Igor jest ranny – oznajmiła, gdy chwycili konia za uzdę.

Obydwaj zanieśli Kaledina do stodoły i położyli na stole. Był przytomny i wodził za Katarzyną oczyma, jakby jej obraz chciał zabrać ze sobą na tamten świat.

– Lekarza! Niech ktoś jedzie po lekarza! – wołała, błagalnie przenosząc zrozpaczone spojrzenie od jednego do drugiego ułana, stojących bezradnie wokoło.

– Tutaj w promieniu setek wiorst nie ma lekarza – z rozpaczą w głosie wyjaśnił Graba. – Sanitariusz, do mnie! – wrzasnął po chwili.

Ułan pełniący funkcję sanitariusza zjawił się natychmiast z torbą wypełnioną medykamentami i nieporadnie zabrał się do zdejmowania z Igora płaszcza i kurtki mundurowej. Katarzyna stała tuż obok i załamując ręce, błagała Najwyższego o darowanie życia jej ukochanemu.

– Kula utkwiała w ranie – oznajmił po chwili sanitariusz i bezradnie opuściwszy ręce, przestraszone spojrzenie zatrzymał na Katarzynie.

– No to ją wyjmij! Na co czekasz?! – pisnęła przez łzy.

– Kiedy ja nie potrafię. – Pokręcił głową i zrobił krok w tył, jakby się obawiał, że go zmuszą do grzebania w krwawiącej ranie.

– Ja to zrobię. – Katarzyna odepchnęła sanitariusza i zdjawszy z siebie kożuch i żakiet, rzuciła je na ziemię. – Macie jakiś alkohol? – spytała, podwijając rękawy bluzki.

Mieli. Samogon od chłopów, którego nie zdążyli całego wypić, bo Graba im zabronił. Polali jej na dłonie.

– Przysuńcie drugi stół i zapalcie wszystkie lampy – Katarzyna wydawała dyspozycje, jakby wciąż pracowała w szpitalu w Sławucie.

Ułani uwijali się jak w ukropie, wykonując jej polecenia. Mieli nadzieję, że ta drobna dziewczyna wie, co robi. W płomieniu lampy odkaziła szczypce, które znalazła między opatrunkami. Były tam też nici i igły. Jedynie eteru zabrakło. Została po nim pusta butelka. Pewno korek ten niezguła źle zakręcił, pomyślała ze złością, zerkając na sanitariusza.

– Muszę wyjąć ci z rany kulę – szepnęła, głaszcząc Kaledina po policzku. – Nie mam eteru. Wytrzymasz?

– Wytrzymam. – Uśmiechnął się blado. – Dla ciebie zrobię wszystko.

– Wypij to – podała mu butelkę w połowie wypełnioną samogonem. – Będzie mniej

bolało.

Krzywiąc twarz, posłusznie wykonał polecenie.

– A teraz zagryź na tym zęby. – Wcisnęła mu do ręki zwinięty w rulon bandaż. – Będzie ci lżej i języka sobie nie odgryziesz.

Zanim Kaledin wsunął bandaż do ust, pocałowała go namiętnie.

– Gotowy? – spytała, biorąc do ręki szczypcę. Była blada jak kreda, lecz oczy miała suche. Tyle razy w szpitalu wyjmowała żołnierzom kule, więc wiedziała, że ona da radę. Tylko czy Igor wytrzyma ten ból?

Wytrzymał. Bóg stworzył człowieka nie z gliny, lecz z żelaza, pomyślał, gdy Katarzyna skończyła zszywać ranę. Dopiero wówczas stracił przytomność, być może z powodu wypitego alkoholu.

– Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. – Słowa księdza, wiążącego stulą dłonie narzeczonych, wyrwały Igora z jego strasznych wspomnień i przywróciły do rzeczywistości, jakże dla niego szczęśliwej.

Paweł i Agnieszka płakali rzewnymi łzami, co dla zgromadzonych w kościele mieszkańców Miechowa i Porętowa było zjawiskiem normalnym na ślubie jedynej córki. Niektórzy z nich, zwłaszcza starsze panie, z rozrzewnieniem przypominając sobie własną ceremonię, również ukradkiem ocierali łzy. Innych wzruszał ułański mundur pana młodego i jego rany odniesione w boju. Cokolwiek by mówić, to jednak wojna ma w sobie coś romantycznego, myśleli naiwnie. Zapatrzeni w narzeczonych, nie zwrócili uwagi na skrytego za filarem dziwnego człowieka ubranego w czarną pelerynę, której kaptur zasłaniał jego twarz. Chwilę przysłuchiwał się słowom przysięgi składanej przez parę młodych stojących przed ołtarzem, po czym nakreślił dłonią znak krzyża i zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił.

Zauważył go jedynie stojący tuż przy drzwiach żołnierz w sfatygowanym mundurze, który spóźnił się na ceremonię ślubną. W prawej ręce trzymał czapkę, lewej nie miał, o czym świadczył luźno zwisający rękaw, którego końcówka tkwiła w kieszeni płaszcza. Tuż obok niego stała młodzianka dziewczyna ubrana w obszerny płaszcz, z trudem maskujący jej błogosławiony stan. To Jaxa z Miechowa, pomyślał żołnierz, czując dreszcz na plecach. Ten sam, który uratował dziadka w powstańczą noc...

## Rozdział 37

Gdy ceremonia ślubna dobiegła końca, zebrani w kościele uczestnicy wyszli na zewnątrz, aby móc wiwatować na cześć młodej pary, kiedy będzie opuszczała progi świątyni. W stronę Igora i Katarzyny, która na prosty kostium w beżowym kolorze narzuciła futro z norek odziedziczone po babci, poleciały garście pszenicy, pomieszane z okrzykami: „Wiwat państwo młodzi!”.

Z uwagi na żałobę po śmierci Apolonii zrezygnowano z wesela, co zebrani uczestnicy uroczystości zaślubin przyjęli ze zrozumieniem. Gdy już złożyli życzenia i wyściskali młodych, zaczęli się rozchodzić do domów. Na placu przed kościołem pozostał jedynie ów żołnierz bez jednej ręki i młoda dziewczyna przy nadziei, trzymająca się kurczowo za pusty rękaw jego wojskowego płaszcza. Agnieszka zauważyła ich dopiero po chwili, gdy już zmierzała w stronę bryczki. Gdy spojrzała w oczy chłopaka, poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach, i gdyby nie Paweł, który zdążył ją chwycić pod ramię, byłaby upadła na bruk.

– Albin... – wydusiła z siebie i wstrzymała oddech. Dopiero po chwili, wyrwawszy się Pawłowi, z płaczem rzuciła się w stronę żołnierza. – Syneczku... wróciłeś... – szeptała, obsypując jego twarz i głowę pocałunkami.

Wraz z nią witać cudem ocalałego z wojny podbiegli Paweł i ciotka Lala. Katarzyna ujęła Kaledina za rękę i również podeszli bliżej.

– Braciszku – odezwała się, gdy w końcu Albina wypuszczono ze stęsknionych ramion. – Poznaj mojego męża, porucznika Jana Kalitę. – Wskazała ręką nieco skrępowanego sytuacją Igora.

Mam nadzieję, że mnie nie pamięta, pomyślał, wyciągając rękę do szwagra.

Jednak Albin na końcu świata by rozpoznał to chmurne spojrzenie czarnych oczu rosyjskiego dragona, choć czas wojny tak bardzo go oszpecił. Pamiętał ich pojedynek na szable, w którym dragon, mogąc go usieć jednym cięciem, darował mu życie, a później ryzykując własnym, wypuścił z niewoli. Zastanowił go jedynie orzełek na czapce, identyczny jak ten Albina. Nie zgadzało się także imię i nazwisko. Skoro je zmienił, widocznie miał ku temu wyraźny powód, pomyślał, o nic nie pytając.

– My się już znamy – oznajmił z uśmiechem i uściśnął wyciągniętą do siebie dłoń Igora. – Dziękuję ci za uratowanie życia, bo wcześniej nie było okazji! – dodał po chwili, ku zaskoczeniu wszystkich zebranych. – Mamo, tato – zwrócił się do Agnieszki i Pawła, zanim zdążyli o cokolwiek zapytać. – Przedstawiam wam moją żonę, Marylę, z domu Kochanowską. Jak widzicie – z czułością położył dłoń na jej brzuchu – już niedługo powitamy na świecie kolejnego Raweckiego. Lub Rawecką – dorzucił po chwili.

\*

Dwa dni później, korzystając ze słonecznej pogody, Igor i Albin wybrali się na konną przejażdżkę do Raclawic, wciąż pamiętających wygraną bitwę z Moskalami. Kaledin z rozrzwinięciem spoglądał na zrudziałe łąki, po których zaledwie cztery lata temu spacerował z Katarzyną. Z uwagą rozglądał się w poszukiwaniu starej szopy, która była świadkiem ich pierwszych uniesień, ale nigdzie nie dostrzegł nawet kawałka deski. Widać wojenna zawierucha i to zabrała, pomyślał ze smutkiem. Miał wrażenie, jakby od tamtych dni minęły całe wieki.

– Pewno chcesz wiedzieć, dlaczego występuję pod innym nazwiskiem? – spytał Albina, zdając sobie sprawę, że szwagier sam o to nie spyta.



– No cóż. – Albin wzruszył ramionami, z trudem kryjąc palącą go ciekawość. – Widać masz ku temu jakiś powód.

Czuł przed Igorem respekt, nie tylko dlatego, że był oficerem i doskonałym szermierzem. Od Katarzyny zdążył się dowiedzieć, przez co Kaledin przeszedł, maszerując z Odessy do Polski, i czym ryzykował, ratując ją z rąk *bat'ki* Jakowa.

– Jest ich nawet kilka... – Igor nie wiedział, od czego zacząć. – Najważniejszy to ten, że zdecydowałem się zostać Polakiem. W moich żyłach płynie polska krew, po babce. Po matce gruzińska – dorzucił z odrobiną nostalgii. – Początkowo była to konieczność, aby służyć w polskiej armii, później szczerą chęć. No i jeszcze wasz ojciec, który przed wojną podał mi czarną polewkę. Katarzyna nie miała pewności, czy nie uniesie się ambicją i nadal nie będzie stał okoniem, więc tak zadecydowała...

Albin wybuchnął śmiechem, rozbawiony podstępem swojej siostry. Ciekawe, czy tatko dał się nabrać, czy tylko udaje? – pomyślał.

– A skąd masz dokumenty? – spytał zaciekawiony po chwili.

– Generał Mannerheim dał wiarę, że nazywam się Jan Kalita, i na takie nazwisko wystawił mi papiery – opowiadał Igor. – Jedyne z aktem chrztu miałem niewielki kłopot. Ale mało to kościołów tej wojny spłonęło? – Zaśmiał się i puścił do Albina porozumiewawcze oko. – Mnie tam wszystko jedno, czy ksiądz, czy pop mi pobłogosławił. Bóg przecież jest jeden.

Smagnęli konie szpicrutami i pomknęli klusem po łagodnej pochyłości wzgórza. Wiatr chłodził im policzki i hulał we włosach, a ziemia tętniła pod końskimi kopytami. Obaj byli w swoim żywiole, tylko brzęczenia szabel u boku im brakowało.

\*

– Jeszcze nam nie opowiedziałeś, synku, w jaki sposób Janek uratował ci życie – zagadnęła Agnieszka, gdy po obiedzie cała rodzina rozsiadła się w salonie, oprócz Pawła, który w interesach wybrał się do Krakowa.

– Nic ciekawego – ubiegł go Igor, aby szwagier zbyt wiele nie wyjawiał. – Jeszcze wówczas służyłem w armii carskiej, jak wielu naszych, i kiedy Albin wraz ze swoimi kolegami dostał się do niewoli, zakradłem się nocą do szopy, w której siedzieli, podważyłem spróchniałą deskę i kazałem uciekać.

– I co było potem? – zainteresowała się Agnieszka. Siedziała na kanapie z robótką w rękach. Szyła koszulkę dla mającego przyjść na świat najmłodszego z Raweckiego. Radość oczekiwania osuszyła jej łzy po stracie Cezarego i Wiktora oraz przywróciła chęć do życia.

– Kiedy tylko wyskoczyliśmy z tej koszmarnej szopy, pod osłoną nocy dotarliśmy nad Stochód, gdzie stacjonowała nasza brygada – Albin, ociągając się, przystąpił do opowieści. Wiedział, że to, co miał do powiedzenia, kłóciło się z romantycznym wyobrażeniem ułańskich walk. Na wojnie były tylko krew, pot i łzy. O brudzie, smrodzie i wszach wstyd było opowiadać. – Siedzieliśmy tam w okopach do końca października szesnastego roku. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaka radość nas ogarnęła, gdy dotarła do nas wieść o tym akcie dwóch cesarzy...

– Tak – wtrąciła Agnieszka. – Myśmy z ojcem też płakali ze szczęścia...

– Ale zaraz się okazało, że to tylko kolejny wybieg zaborców – Albin ciągnął dalej. – Legiony przekształcono w Polski Korpus Posiłkowy i zażądano od nas złożenia przysięgi na wierność cesarzowi. Mało nas cholera nie wzięła. Kiedy odmówiliśmy, Piłsudskiego wraz z częścią legionistów internowano i osadzono w obozach, a resztę, w tym moją brygadę, pod eskortą pruskiej konnicy, niczym zwykłych przestępców, odesłano do fortu w Przemyślu, a stamtąd na koniec listopada siedemnastego roku na front w Besarabii. Zajęliśmy znane sobie

sprzed dwóch lat pozycje. Tam gdzie w szarzy pod Rokitną poległ Cezary... – Umilkł i z niepokojem zerknął na matkę.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie... – szepnęła tylko z ciężkim westchnieniem i nakreśliła na piersiach znak krzyża. Ze zdwojoną energią przystąpiła do szycia. Jeśli to będzie chłopczyk, to dostanie na chrzcie imię Cezary, zdecydowała w myślach.

– Amen – zawtórowała jej reszta rodziny i na moment zapadła cisza.

– Ja wówczas zostałem ranny – Albin po chwili wrócił do opowieści, ponaglany przez Katarzynę. – Trafiłem do szpitala i tam poznałem Marynię. – Z uśmiechem ujął jej dłoń i czule pocałował. – Nadarzała się więc okazja, aby ukochaną odwiedzić, zwłaszcza że na froncie nic się nie działo. Co wyprawiało się w tym czasie w Rosji, zwyczajnie nie mieliśmy pojęcia.

Maryli stanęła w pamięci tamta chwila, jakby to było wczoraj, choć od owego deszczowego dnia minął już prawie rok. Nadal wówczas pracowała w szpitalu w Sadagórze. Kiedy jej koleżanki powiedziały, że jakiś śliczny żołnierz o pszenicznych loczkach czeka na nią przed wejściem, puściła się biegiem po korytarzu, mało nóg nie łamiąc. Albin, ledwie widoczny w mroku gasnącego dnia, stał pod drzewem, aby nie zmoczył go siąpiący od kilku godzin deszcz.

– Albin, szczęście ty moje... – szeptała przez łzy, oplótłszy ramionami jego szyję. – Nie zapomniałeś o mnie. – Dłońmi ścierała mu z policzków krople deszczu, pomieszane ze łzami.

– Jakże bym mógł zapomnieć, Maryniu! – Tulił ją w ramionach niczym skarb najdroższy.

Po chwili zamknął jej usta pocałunkiem, na który oboje czekali długie dwa lata. Żaden list, najbardziej płomienny, nie mógł zastąpić ciepła rąk i smaku ust. Nie potrafili się od siebie oderwać. Nagłe trzaśnięcie drzwiami do budynku przywołało ich do rzeczywistości. Maryla rozejrzała się wokoło i chwyciła Albina za rękę. Poprzez tonące w błocie podwórko puścili się biegiem do stojącej na uboczu stajni. Gdy z hukiem zamknęli za sobą drewniane wrota, konie poruszyły się niespokojnie w boksach i zarżały chrapliwie.

– Tutaj – szepnęła, ciągnąc Albina poprzez mrok stajni w stronę solidnej, przywiezionej poprzedniego dnia kopy siana, pachnącej łąką i świeżym powietrzem.

Albin cisnął w kąt karabin, błyskawicznie zdjął z siebie płaszcz i rzucił na siano. Maryla, zanim się położyła, z niecierpliwością rozpiniała długi szereg guzików przy swojej sukience. Albin ze swoją żołnierską bluzą uporał się szybciej. Mrucząc z rozkoszy, pieścił ustami każdy skrawek ciała dziewczyny. Pachniało chloroformem i środkami dezynfekującymi. Marzył o tej chwili każdej nocy, każdej długiej godziny, gdy kule świszczą mu nad głową. Ostrożnie, aby nie podrzeć, zsunął z jej piersi delikatną materię koszulki. Gdy pod palcami poczuł gorące i sterczące brodawki, łzy szczęścia popłynęły mu po policzkach. Maryla, nie mogąc się doczekać rozkoszy, którą pielęgnowała w pamięci od ich ostatniego spotkania, zsunęła z siebie sięgające kolan majtki.

– Chodź – szepnęła schrypniętym z podniecenia głosem. – Zróbmy to jeszcze raz.

Krzyk rozkoszy, który po chwili wyrwał się jej z piersi, Albin uciszył pocałunkiem, a konie zagłuszyły chrapliwym rżeniem. Ten najbliższy stojący poruszył się niespokojnie, stukając kopytami po posadzce.

– Cichutko, kochanie moje najmilsze – szeptał i pieszcząc płatki jej uszu ustami, podążał tą samą drogą ku rozkoszy, której ona przed chwilą doznała.

– Nadeszła zima, a nasza brygada wciąż tkwiła w tym samym miejscu – głos Albina wyrwał Marylę z jej słodkich wspomnień.

Poczuła, jak jej policzki oblały się rumieńcem, choć przecież nikt z zebranych nie potrafił czytać w jej myślach.

– A my dzięki temu mogliśmy często się widywać – raz jeszcze ucałował dłoń swojej

żony, która cała w pąsach opuściła skromnie powieki. – Zostałem przedstawiony rodzicom i wkrótce się zaręczyliśmy. Sielanka się skończyła, gdy dotarła do nas informacja o decyzjach traktatu brzeskiego. Dla nas oddanie Chełma, Przemyśla i Lwowa Ukrainie to była zdrada. Koledzy płakali jak dzieci, a jeden z oficerów umarł na serce z rozpacz. Za cztery lata walki, za morze krwi, które wylaliśmy, za tysiące poległych naszych braci, żołnierzy i wspaniałych dowódców tak nam się odwdzięczyli! – ciągnął coraz bardziej rozgorączkowany. – Piłsudskiego i legunów w obozach pozamykali i za naszymi plecami z Ukraińcami się układali! Wszyscy już wiedzieliśmy, poczynając od szeregowców, na dowódcach kończąc, że miarka się przebrała i dalsze pozostawanie na służbie zaborcy było zdradą ojczyzny. Na najwyższym szczeblu zapadła decyzja, że pod pretekstem nocnych ćwiczeń brygada nasza przekroczy front, aby połączyć się z II Korpusem Polskim stacjonującym pod Sorokami. Wyszliśmy nocą. Śnieg skrzypiał nam pod butami, a mróz szczypał w policzki i z oczu wyciskał łzy. Mimo to radość nasza była wielka. Jeszcze wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy, na co się porwaliśmy.

Albin na moment przerwał swoją opowieść. Wciąż jeszcze w uszach brzmiało mu ujadanie karabinów maszynowych, gwizd szrapneli, wybuchy pocisków artyleryjskich, krzyki rannych i straszny kwik zabijanych koni, a przed oczyma migały oślepiające smugi reflektorów, które swym światłem wyszukiwały na polu żołnierzy zbuntowanej brygady.

– Pierwszą potyczkę mieliśmy wygraną – wrócił do opowieści. – Udało nam się otworzyć drogę do Rarańczy. Ale ledwie zdążyliśmy minąć wieś, gdy znowu rozgorzała walka. Przymykając się z dość dużymi stratami między oddziałami austriackimi, zdołaliśmy dotrzeć do naszych starych okopów. Ocalało nas tylko dwustu, nie więcej. Tam przeczekaliśmy do rana. Gdy zaczęło świtać, wyszliśmy na otwarty teren. Płaski niczym stół, nigdzie się nie schronisz. Natychmiast ryknęły austriackie armaty i posypał się na nas grad żelastwa. To już nie był marsz, lecz śmiertelny, beładny wyścig do widocznych w oddali okopów. W powietrzu fruwały pourywane głowy, z których hełmy nie pospadały... – Umilkł na chwilę, a pod powiekami ujrzął strzęp ludzki, który został z Kostka. – Wraz z fontannami ziemi – chrząknął, aby odpędzić wzruszenie – w górę wylatywały poszarpane ciała moich towarzyszy broni. Choć szrapnel niektórym urwał ręce, one wciąż ścisnęły karabin. Zawrócić też już nie mogliśmy, bo za nami tyralierą szli Austriacy.

Z piersi Agnieszki wyrwał się cichy szloch. Chryste, za jakie grzechy nas to wszystko spotkało? – pomyślała, zasłaniając usta dłonią.

– Dymaliśmy przez pole szeroko rozrzuconi, klucząc jak te zające, od leja po pocisku do leja – Albin ciągnął dalej swoją opowieść. – Aż tu nagle drogę zagroziły nam stare zasieki z drutu kolczastego. A my bez nożyc. Co było robić? Zdejmowaliśmy migiem płaszcze i rzucaliśmy na druty. I jak po moście na drugą stronę, do rosyjskich okopów. Były puste. To wówczas szrapnel rękę mi urwał... – dodał na koniec, czując, jak mu pot ciurkiem leciał po skroniach. Szczęściem nad łzami zapanował.

Zapadła cisza, zakłócana cichutkim szlochem Agnieszki i Maryni. Przytulone do siebie, nie mogły zapanować nad żalem, który je ogarnął. Żal im było Albina, którego tak bardzo kochały, żal tych wszystkich młodych mężczyzn, którzy polegli, i żalowały same siebie, że tak ciężko los je doświadczył. Katarzyna przytuliła się do Igora i ukryła twarz na jego piersiach. Dzięki ci, Boże, że jego przeprowadziłeś cało przez to piekło, w myślach zwróciła się do Najwyższego. Zbaw niewinne dusze Tamarki i Stefana.

Nagle z zewnątrz dobiegł tętent końskich kopyt i rozpędzona bryczka wtoczyła się na podjazd. Konie zarżały nerwowo, gdy siedzący na koźle Paweł mocno ściągnął lejce. Wyskoczył z bryczki, jakby go ktoś gonił, i przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na ganek.

– Janku! Albinie! Ludzie moi kochani! – krzyczał już w holu. W rękę ścisnął egzemplarz

krakowskiej gazety. – Koniec wojny! Podpisano zawieszenie broni! – wołał, rozglądając się w poszukiwaniu rodziny.

Zastał wszystkich siedzących w salonie, z pobladłymi twarzami, z resztkami łez na policzkach. Był tak zaaferowany, że nawet nie zwrócił na to uwagi.

– O czym ty mówisz? – Agnieszka spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem i chusteczką wyjętą z kieszeni spódnicy otarła łzy. – Kto podpisał? I gdzie?

– Ententa i Niemcy! W jakimś wagonie kolejowym stojącym na stacji w Compiègne we Francji! Niemcy muszą się wycofać ze wszystkich zagrabionych ziem, a traktat w Brześciu uznano za nieważny! A wiecie, co to oznacza? – dopytywał się rozgorączkowany. – To, że mamy Polskę! – oznajmił, nie czekając, aż ktoś mu odpowie.

– No, przecież Rada Regencyjna jakiś miesiąc temu ogłosiła utworzenie niepodległego państwa... – zaczęła Agnieszka.

– Do diabła z tą ich papierową Radą Regencyjną! – Zniecierpliwiony machnął ręką. – Piłsudskiego Niemcy zwolnili z Magdeburga! – opowiadał podekscytowanym głosem, wymachując zwiniętą w rulon gazetą. – Przyjechał do Warszawy! Objął władzę nad wojskiem i ma utworzyć rząd!

Wyrzuciwszy z siebie wszystkie rewelacje, usiadł za stołem i nalał sobie do filiżanki zimnej już herbaty. Wypił duszkiem, nie słodząc.

– Kiedy to się stało? – spytał Kaledin, czując na dnie serca żal za utraconą jedną ojczyzną, pograżoną w chaosie bratobójczych walk, i jednocześnie radość, że ta druga, po babce Lamparskiej, wróciła do życia.

– Zaraz, zaraz. – Paweł drżącymi palcami wertował gazetę. Z emocji zapomniał, jaki był dzień. – Wczoraj. 11 listopada...

*Gdy znów do murów klajstrem świeżym  
przylepiać zaczną obwieszczenia,  
gdy „do ludności”, „do żołnierzy”  
na alarm czarny druk uderzy  
i byle drab i byle szczeniak  
w odwieczne kłamstwo ich uwierzy,  
że trzeba iść i z armat walić,  
mordować, grabić, truć i palić;  
gdy zaczną na tysięczną modłę  
ojczyznę szarpać deklinacją  
i ludzi kolorowym godłem  
i judzić „historyczną racją”  
o piędzi, chwale i rubieży,  
ojcach, pradziadach i sztandarach,  
o bohaterach i ofiarach;  
gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin  
pobłogosławić twój karabin,  
bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba  
że za ojczyznę – bić się trzeba;  
kiedy rozścierwi się, rozchami  
wrzask liter pierwszych stron dzienników,  
a stado dzikich bab – kwiatami  
obrzucać zacznie „żołnierzyków”. –  
– O, przyjacielu nieuczony,*

*Mój bliźni z tej czy innej ziemi!  
Wiedz, że na trwogę biją w dzwony  
Króle z panami brzuchatemi;  
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,  
Gdy ci wolają: „Broń na ramię!”.  
Że im gdzieś nafta z ziemi sikła  
i obrodziła dolarami;  
że coś im w bankach nie sztytuje,  
że gdzieś zwęszyli kasy pełne  
lub upatrzyły tłuste szuje  
cło jakieś grubsze na bawełnę.  
Rznij karabinem w bruk ulicy!  
Twoja jest krew, a ich jest nafta!  
I od stolicy do stolicy  
Zawołaj, broniąc swej krwawicy:  
„Bujać – to my, panowie szlachta!”.  
Julian Tuwim, *Do prostego człowieka**

## Słowniczek

**Balabany, szeptuny, kalatały** – różne rodzaje dzwonków przyczepianych do końskiej uprzęży.

**Batiuszka, bat'ko** (ros.) – ojczulek.

**Bebut** – rodzaj długiego noża używanego w armii.

**Białe kości** – rosyjskie określenie oznaczające szlachetność rodu. W Polsce mówimy: błękitna krew.

**Cadyk** – charyzmatyczny przywódca odłamu judaizmu, zwany także rabe.

**Dragon** – w carskiej Rosji (ale nie tylko) żołnierz walczący na koniu. W Polsce stosowano nazwę ułan.

**Frencz** – kurtka o kroju wojskowym, z klapami i czterema naszytymi kieszeniami.

**Furażka** – potoczna nazwa furażerki, rodzaj miękkiej sukiennej czapki bez daszka, o podłużnym kształcie, stosowanej najczęściej w wojsku.

**Golicja i Głodomeria** – ironiczne określenie Galicji i Lodomerii, krainy w monarchii austro-węgierskiej, słynącej z biedy.

**Grażdanin, grażdanka** (ros.) – mieszczanin, mieszcza; forma grzecznościowa (w Polsce zwracamy się w formie: pan, pani).

**Honwed** – węgierska formacja wojskowa wchodząca w skład sił zbrojnych monarchii austro-węgierskiej.

**Instytut Smolny** – potoczna nazwa Instytutu Szlachetnie Urodzonych Panien w Petersburgu kształcącego dziewczęta z tak zwanych dobrych domów.

**Iwanogród** – nazwa Dębłina z okresu zaborów.

**Jegrzy** – żołnierze specjalnej formacji strzelców wyborowych w wojsku pruskim (niemieckim).

**Kulomiot** – karabin maszynowy.

**Lejbik** – dawniej: obcisły stanik.

**Moskale, mochy** – pogardliwa nazwa Rosjan stosowana na ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim.

**Mużyk** – chłop.

**Ochrana** – oddział ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego, czyli tajna policja polityczna w Imperium Rosyjskim.

**Ołowiane siekańce, kapsle** – rodzaj naboju używanych w dziewiętnastowiecznej broni palnej.

**Otczestwo** – w Rosji używano imienia ojca jako swego rodzaju pierwszego członu nazwiska, np. Jan Kowalski, syn Piotra, to Iwan Piotrowicz Kowalski.

**Pałasz** – broń biała, przeznaczona do cięć i do sztychów, z prostą, długą i szeroką jedno- lub obosieczną głownią.

**Perszeron** – rasa koni pociągowych, wywodząca się z regionu Le Perche we Francji.

**Podłóżniczka** – czubek jodły albo świerka lub sosnowa gałąź, wieszane pod sufitem jako ozdoba w Boże Narodzenie.

**Razwiedzik** (ros.) – wywiadowca.

**Samodzierżawie** – jedyńowładztwo, rządy absolutne, nazwa systemu sprawowania władzy w Rosji carskiej.

**Siemiaszki** (ros.) – niełuskane z koszyczków nasiona lnu.

***Szapkami nakidajem*** (ros.) – nakryjemy czapkami. Przenośne określenie posyłania do boju dużej liczby żołnierzy, lecz słabo wyszkolonych i uzbrojonych.

**Szaszka** – rodzaj lekko zakrzywionej szabli używanej głównie w Rosji.

**Szrapnel** – pocisk artyleryjski używany do rażenia ludzi. Zawiera lotki (np. w postaci ołowianych kulek lub strzałek).

**Szuba** – obszerne okrycie wierzchnie podbite futrem i z futrzanym kołnierzem.

**Szwadron** – pododdział w kawalerii liczący około stu jeźdźców.

**Taczanka** – dwuosioowy pojazd ciągnięty przez konie, uzbrojony w ciężki karabin maszynowy.

**Transzeja** – odkryty wąski rów wykopany wzdłuż linii frontu, łączący w jednolity system inne elementy fortyfikacji (okopy, schrony itp.), ułatwiający skryte manewry wzdłuż frontu.

**Tuberkuloza** – spolszczenie łacińskiej nazwy *tuberculosis* – gruźlica.

**Wasze *blagorodie*** (ros.) – wasza wielmożność.

**Wiorsta** – dawna rosyjska miara długości, w XIX wieku wynosząca około 1066 metrów.

## Spis treści:

Okładka Karta tytułowa Niezbędnik historyczny Główni bohaterowie powieści Postaci historyczne występujące w powieści Katarzyna Część pierwsza. Cisza przed burzą Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Część druga. Pod obcymi sztandarami za polską sprawę Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Część trzecia. Ofiary są nieważne, liczy się tylko zwycięstwo Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Część czwarta. Przez oceAn łoż i morze krwi Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 IGOR Część pierwsza. Do ostatniej kropli krwi Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Część druga. Wszyscy mają krew na rękach Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Część trzecia. Za bramami piekła Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Część czwarta. Na zgliszczach imperium Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Część piąta. Po burzy Rozdział 36 Rozdział 37 Słowniczek Karta redakcyjna

Copyright © by Jolanta Maria Kaleta

Opieka redakcyjna: Monika Rossiter

Adiustacja i korekta: Pracownia 12A

Projekt okładki: Nikola Hahn

Fotografie na okładce: kobieta – © Rekha Garton / Trevillion Images,

mężczyzna – © Ollyy / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-586-0



[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

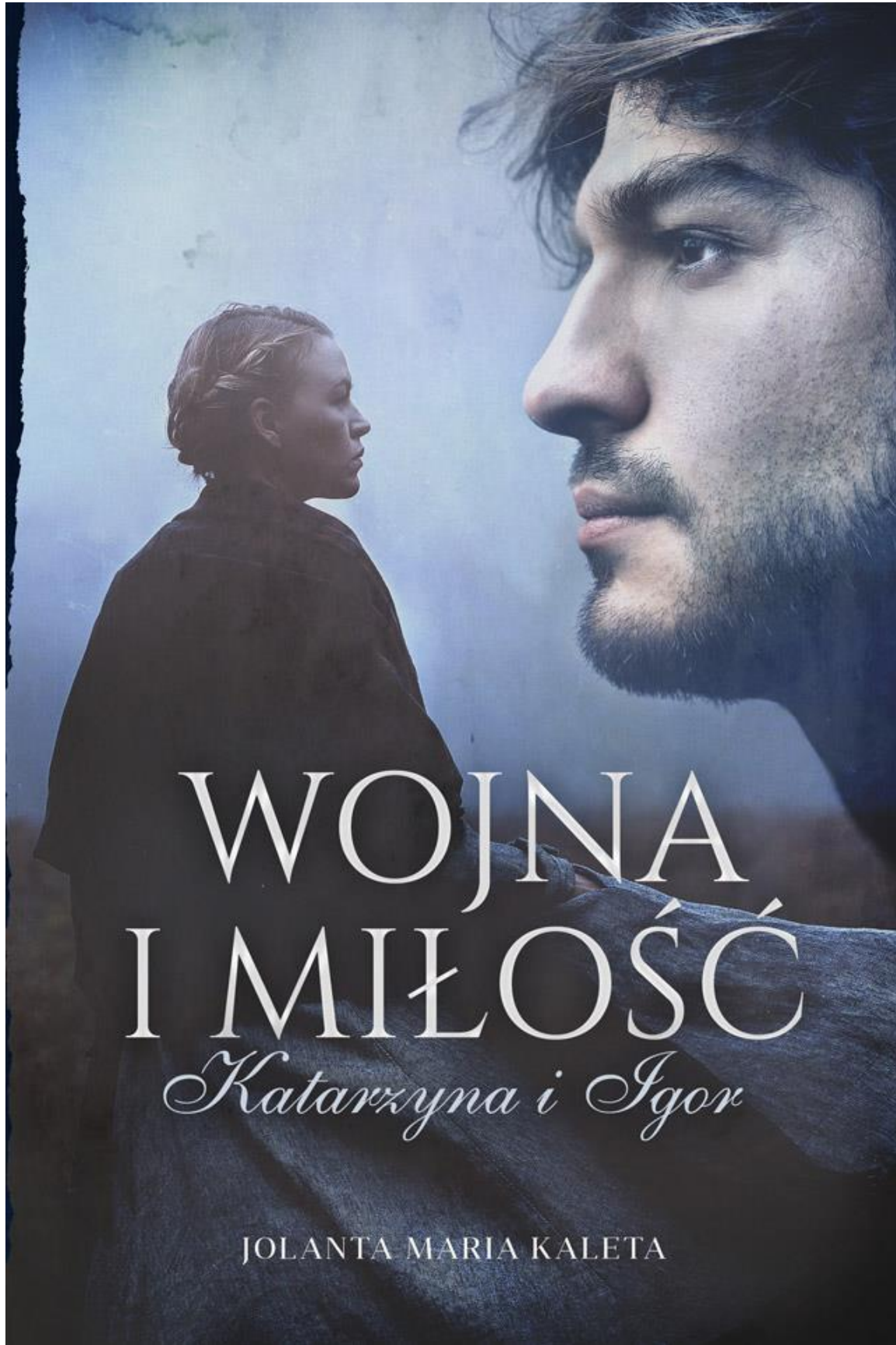


[woblink.com](http://woblink.com)



plik przygotowała Katarzyna Rek





WOJNA  
I MIŁOŚĆ  
*Katarzyna i Igor*

JOLANTA MARIA KALETA